

— *Spacer Aleją Róż* —

DRZEWA  
SZUMIĄCE  
NADZIEJĄ



EDYTA ŚWIĘTEK

  
Replika

— *Spacer Aleją Róż* —

DRZEWA  
SZUMIĄCE  
NADZIEJĄ





## *Spis treści*

Drzewo genealogiczne rodzin: Pawłowskich, Szymczaków oraz Kurbieli – rok 1956

W poprzedniej części

Prolog

Rozdział 1 – Zamieszanie

Rozdział 2 – Płonne nadzieje

Rozdział 3 – Nowohuckie spotkania

Rozdział 4 – Czas zmian

Rozdział 5 – Potęga rodziny

Rozdział 6 – Porywy serc

Rozdział 7 – Rozkoszny zawrót głowy

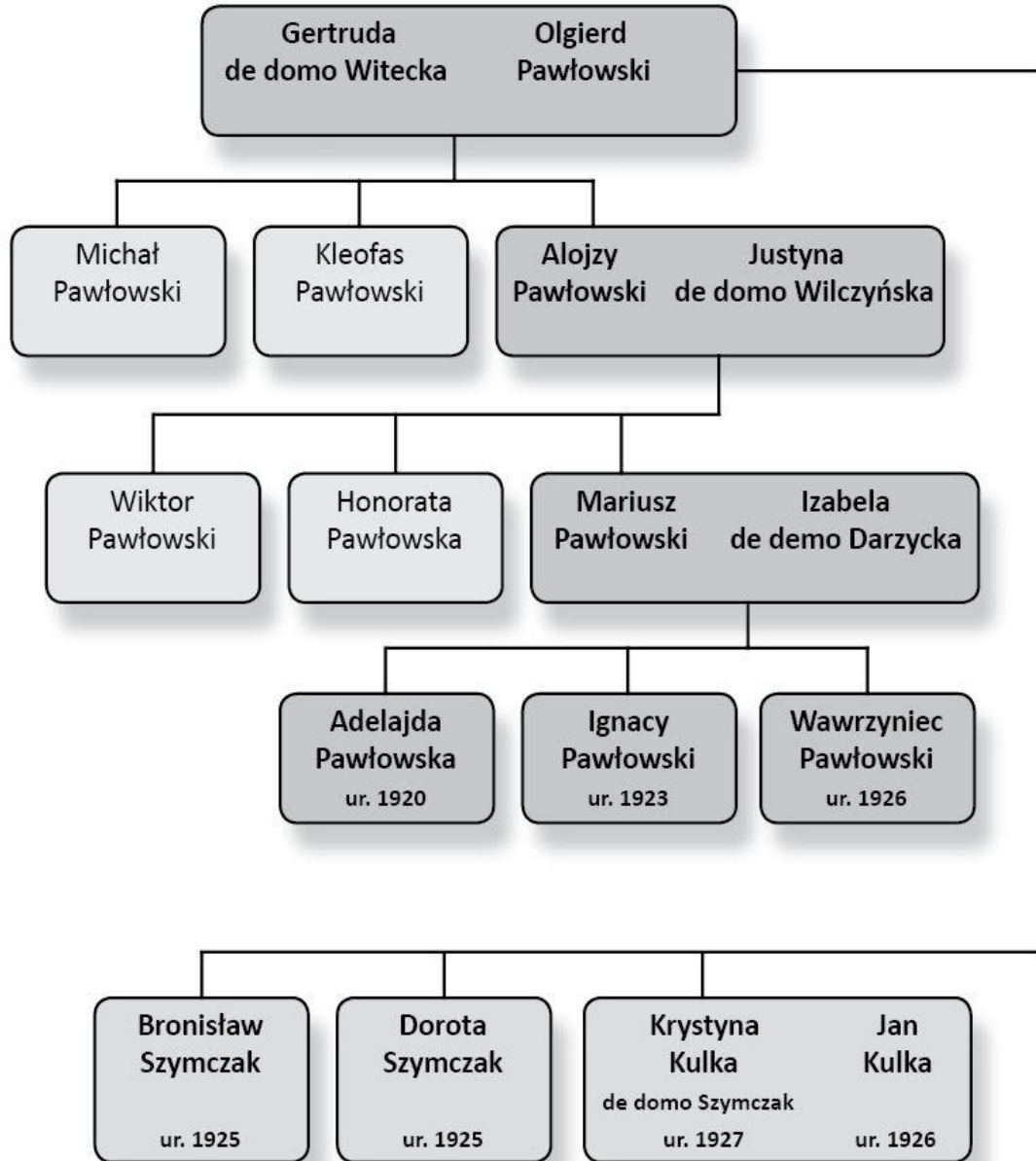
Rozdział 8 – Cisza przed burzą

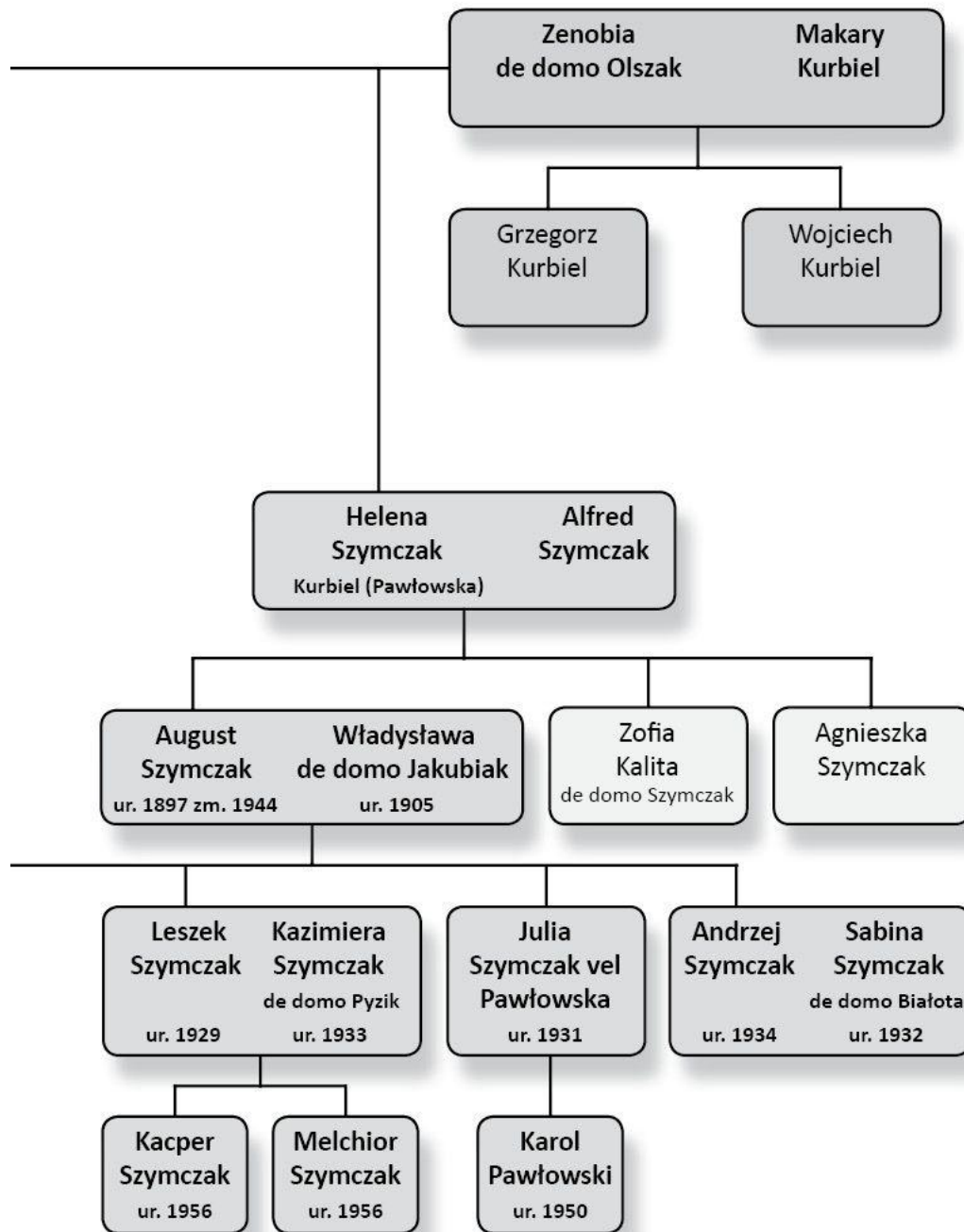
Rozdział 9 – Czarne chmury nad miastem

Rozdział 10 – Krajobraz po burzy

Epilog

*Drzewo genealogiczne rodzin: Pawłowskich,  
Szymczaków oraz Kurbieli – rok 1956*







*W poprzedniej części*

W tajemniczych okolicznościach znika przewodniczący spółdzielni rolniczej w Pawlicach. Edward podejrzewa, że szwagierka brała w tym udział. W miejsce Bartka zostaje zatrudniony Ksawery Olszański.

Julka wyprowadza się od Bronka i znajduje zatrudnienie w biurze, niestety nie może dojść do porozumienia z przełożonym. Janek pomaga jej w zagospodarowaniu nowego mieszkania.

Na zaproszenie brata Andrzej przyjeżdża do Nowej Huty. Podejmuje pracę w cegielni. Zaczyna trenować piłkę nożną.

Nowy zarządca kolchozu proponuje Dorocie etat bibliotekarki. Krystyna nie może sobie poradzić ze stratą Bartka. Szuka zapomnienia w alkoholu oraz w ramionach innych mężczyzn.

Małżeństwo Haliny i Bronka przechodzi poważny kryzys. Szymczak spotyka Bogusię. Zaprasza ją do restauracji. Rozmawiają o przeszłości. Mężczyzna wyznaje ukochanej miłość. Trudno im się ze sobą rozstać.

Andrzej ulega wypadkowi. Niefortunne zdarzenie kładzie kres marzeniom o karierze piłkarskiej. Chłopak już do końca życia będzie kulawy.

Podczas sprzątania Halina znajduje paragon z namalowanym na odwrocie sercem. Między małżonkami dochodzi do karczemnej awantury, padają słowa o rozstaniu. Pod naciskiem męża kobieta zmienia pracę, co powoduje znaczne ocieplenie ich relacji. Jednak kolejna kłótnia kończy się zniknięciem Haliny. Broniek zamierza wnieść pozew o rozwód – czeka z tym na powrót żony. Po kilku dniach milicjanci informują go o znalezieniu jej ciała.

Andrzej podejmuje naukę w technikum. Zatrudnia się w kinie jako bileter.

Bogumiła rozpoczyna pracę w Szpitalu Specjalistycznym im. Żeromskiego.

Milicja Obywatelska podejrzewa Szymczaka o zamordowanie żony. Po pogrzebie bratowej Krysia sprowadza się do Nowej Huty, gdzie poznaje Nikosa Stefanidesa – greckiego robotnika. Spotykają się przez kilka miesięcy. Dziewczyna marzy o ślubie.

Leszek porzuca służbę w wojsku i przyjeżdża do miasta. Podejmuje pracę w kombinacie.

Podczas przechadzki Krysia spotyka Greka z inną dziewczyną. Mężczyzna przyznaje, że zamierza zenić się ze swoją rodaczką. Kulka pociesza załamana kobietę, ich spotkanie znajduje

finał w pościeli. Później Janek odczuwa wyrzuty sumienia, że wykorzystał siostrę przyjaciela. Prosi ją o rękę, chociaż wciąż myśli o Julii. Młodzi odnajdują szczęście w małżeństwie. Brakuje im tylko dziecka.

Andrzej poznaje aktorkę Sabinę. Między młodymi rodzi się uczucie.

Leszek zaskakuje rodzinę informacją o tym, że został ojcem bliźniąt. Matką dzieci jest Kazimiera, którą poznał po przeprowadzce do miasta.

Olszański zarządza wyburzenie oficyny. Podczas prac robotnicy natrafiają na szkielet. Dorota wysyła list do najstarszego brata, informując go o znalezisku.

Bronek ponownie spotyka Bogusią. Udają się do kawiarni. Mimo że kobieta jest zaręczona, postanawiają dać sobie szansę. Tymczasem w Pawlicach toczy się śledztwo. Szymczak zostaje aresztowany w dniu, gdy był umówiony z Bogusią. Milicjanci stawiają mu zarzut morderstwa na Marczyku. Edward w brutalny sposób usiłuje zmusić go, by przyznał się do winy. Cała wieś daje alibi oskarżonemu, milicjanci są bezsilni. Dotkliwie poturbowany mężczyzna opuszcza areszt.

Bogusia ma wątpliwości, czy chce wiązać się z człowiekiem, którego dwukrotnie podejrzewano o morderstwo. Zrywa kontakt z ukochanym.

Tajemniczy mężczyzna wciąż obserwuje Julię.

Krystyna i Janek bezskutecznie starają się o potomstwo.

Podczas pracy na budowie Bronek spada z rusztowania i trafia do szpitala, gdzie dochodzi do siebie pod troskliwą opieką Bogumiły. Gdy na oddział przybywa z wizytą jego rodzina, przedstawia im ukochaną.

Julia zostaje napadnięta. Traci torebkę, a wraz z nią fałszywe dokumenty. Z pomocą przychodzi mężczyzna, który obserwował ją od jakiegoś czasu. Człowiek ten przedstawia się Julii jako Wawrzyniec Pawłowski.





## *Rok 1960*



### *Prolog*

Agresywne stukanie do drzwi zakłóciło ciszę nocną.

*Dobry Boże, spraw, aby to był Andrzej* – jęknęła w duchu przerażona Sabina.

Mijał trzeci dzień od wybuchu zamieszek w Nowej Hucie. I chociaż starcia robotników z oddziałami ZOMO ucichły jakiś czas temu, do tej pory nieznany był los wielu osób. Przepadli także bracia Szymczakowie oraz Janek. W mieszkaniach zostały przerażone kobiety z dziećmi. Szepcząc pacierze, wyczekiwały wieści o najbliższych.

Energicznie opuściła łóżko. Przed momentem ułożyła się na spoczynek. Jej organizm, wymęczony opieką nad noworodkiem oraz stresem związanym z zaginięciem męża, domagał się choćby chwili wytchnienia. O śnie i tak nie było mowy przy tylu niespokojnych myślach krążących w głowie.

Sięgnęła po szlafrok i narzuciła go na koszulę nocną. Rozsądek podpowiadał, że za łomot do drzwi, który wciąż nie ustawał, odpowiada ktoś obcy. Wszak Andrzej nie tłukłby się bez opamiętania, wiedząc, że w domu śpią dzieci.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl usłyszała kwilenie niemowlęcia.

– Cii... Śpij, kruszynko, śpij – szepnęła. – Zaraz do ciebie przyjdę.

Wiedziała, że nie może zostać z dzieckiem, bo inaczej człowiek stojący za drzwiami nie przestanie w nie walić. A to może tylko pogorszyć sytuację. Jeszcze tylko tego brakowało, aby do kompletu obudził się synek i też zaczął marudzić.

– Kto tam? – zapytała w przedpokoju.

Niemowlę zaczęło głośno płakać. Skonsternowana matka wahała się, czy wrócić do dziecka, czy raczej otworzyć dobijającej się osobie, aby zapobiec dalszemu hałasowi. W końcu zdecydowała się na to drugie. Odryglowała zamek i uchyliła drzwi na szerokość łańcucha uniemożliwiającego otwarcie ich szerzej. Zobaczyła dwóch mundurowych i człowieka w cywilnym ubraniu. Ledwo zdążyła odskoczyć, gdy stojący na zewnątrz milicjanci napaarli z całych sił. Niezbyt mocno zamontowane zabezpieczenie puściło. Paździerzowe płyty z hukiem uderzyły o ścianę. Kobieta pisnęła przestraszona.

– Matko Boska! Co się dzieje? – wykrzyknęła.

Jeden z mężczyzn – czerwony na twarzy blondyn o nieprzyjemnym wyglądzie – złapał ją za rękę i bez słowa wyjaśnienia pociągnął do pokoju. Drugi zatrzęsł drzwi, nie przejmując się hałasem. Trzeci podszedł do łóżeczka i wyjął płaczące maleństwo.

– Co pan robi?! Niech pan zostawi moje dziecko! – zaprotestowała, lecz on miał to za nic. Chciała zabrać mu córkę, aby ją utulić, lecz powstrzymał ją silny uścisk dłoni zaciśniętej na jej przedramieniu.

– Obywatelka Szymczak Sabina?

– Tak. Kim jesteście?

– Służba Bezpieczeństwa – oznajmił człowiek w prochowcu. – A teraz zamknij się, głupia babo, i posłuchaj, co mamy ci do powiedzenia.

Zacząła się szamotać. Przepęłniała ją obawa o córkę. Mężczyzna, który ją trzymał, zatkał jej usta dłonią.

Tymczasem milicjant, który wziął dziewczynkę na ręce, podszedł do okna. Jedną ręką trzymał maleństwo, drugą próbował otworzyć kwaterę. Ponieważ nie mógł sobie poradzić, przyszedł mu z pomocą kolega.

Sabina z przerażeniem spoglądała na milczących funkcjonariuszy. Chciała zawołać na pomoc kogoś z sąsiadów, lecz jej głos skutecznie dławiła dłoń w skórzanej rękawiczce. Czuła w ustach nieprzyjemny posmak. Szamotała się jak oszalała, próbując drapać, kopać albo chociaż gryźć, lecz jej wysiłki spełzały na niczym.

– Przestań się miotać – powiedział milicjant, który otwierał kwaterę. Podszedł i boleśnie uszczypnął ją w pierś.

Ten, który trzymał na rękach dziecko, wyjrzał przez okno. Wychylił się nawet, prawdopodobnie aby ocenić wysokość. Nic sobie nie robił z tego, że noworodek może mu wypaść.

– Mamy, obywatelko, sprawę do omówienia. Jeśli nie chcecie, aby małego zasańca spotkało coś złego, radzę wysłuchać, a potem zastosować się do rozkazów. Czy to jasne?

*Rok 1956*

## **Rozdział 1**



### *Zamieszanie*

Ustawione w kółeczko dzieciaki grzecznie czekały na swoją kolej. Parę minut wcześniej skończyły śpiewać piosenkę dla Karolka. Teraz chłopiec szedł pomiędzy nimi, rozdając cukierki.

– Weź se dwa. Weź se dwa – powtarzał za każdym razem, pęczniąc przy tym z dumy.

Rzadko się zdarzało, aby koledzy lub koleżanki równie hojnie rozdzielali łakocie. On mógł sobie pozwolić na taki gest, ponieważ dzień wcześniej, wieczorem, przyszedł do ich mieszkania wujek.

– Masz, smoku! To dla ciebie – oznajmił, wręczając mu pękata torbę słodyczy.

– Ależ Janku! – Julia załamała ręce na ten widok. – Nie masz na co wydawać pieniędzy?

– A komu kupię, jak nie Lolkowi? – zapytał ze smutkiem. – Swoich dzieciaków nie mam.

Leszkowe jeszcze za małe na cukierki. A że trafiła się kiedyś okazja, to żem wziął, ile mogłem. Pewnie przydadzą się na jutro do przedszkola.

Rzeczywiście, bardzo się przydały! Wprawdzie mama kupiła trochę landrynek, ale skoro dostał jeszcze te, to pozwoliła mu zabrać więcej. Dzięki wujkowi został bohaterem dnia. Pewnie i tak by nim był, ale zawsze przyjemniej, gdy można zaimponować chłopakom oraz tym głupim dziewczynom. Głupim, bo potrafiły się tylko mazać, kłócić o lalki albo obgadywać stroje

koleżanek. I na niczym się nie znały: ani na samochodach, ani na pistoletach. Mamusia też niewiele wiedziała na te tematy, ale ona była w porządku, robiła pyszny kogel-mogel, ładnie pachniała i można było z nią pogadać prawie tak samo jak z kolegami. Albo wujkami. Znała się na wielu ważnych sprawach. Na przykład na roślinach. Pomogła mu zrobić zielnik do przedszkola, za który dostał ładny dyplom z misiem. Znała się też na leczeniu bolącego brzuszka, potrafiła naprawić urwane koło w ciężarówce i opowiadała najlepsze bajki na świecie. Nawet ciekawsze niż te, które można było przeczytać w książeczkach.

Tak sobie kiedyś wymyślił, że skoro mężczyźni muszą mieć żony – mama i bunia Władzia wciąż powtarzały to wujkowi Bronkowi, a wcześniej również Jędrusiowi – to on się ożeni właśnie z mamą. Bo ona i tak nie miała męża i chyba było jej trochę smutno z tego powodu. Czasami, gdy myślała, że on tego nie widzi i nie słyszy, wzdychała i ocierała ukradkiem oczy. Nigdy nie widział, aby płakała naprawdę, ale zawsze po wyjściu wujka Janka i cioci Krystyny wpadała w zadumę.

A po południu pójdą razem do kina! To dopiero frajda!



Chłodne powietrze uszczypnęło Julię w policzki. *To musiała być halucynacja* – przemknęło jej przez myśl. Podniosła powieki i zobaczyła pochylonego nad sobą mężczyznę.

– Wszystko w porządku? – dobiegł ją jego głos.

– Aa! – krzyknęła, wystraszona.

A więc ten człowiek nie był żadnym przywidzeniem.

– Zdaje się, że mamy ze sobą do pogadania, *madame Pawłowska*.

– Kim pan jest, do diabła? – zapytała.

– Diabłem wcielonym? – odparł pytaniem i unióśł brew. A potem dodał szybko: – Moja propozycja jest taka: pójdzie pani na posterunek złożyć wyjaśnienia w sprawie kradzieży dokumentów. Oczywiście wejdziemy razem jako małżeństwo pogodzone po karczemnej awanturze. Zapewne milicjanci wydadzą zaświadczenie o kradzieży, na podstawie którego można będzie wyrobić nowe dokumenty. A później złoży pani wyjaśnienia przede mną – zakończył ze srogą miną.

– Kim pan jest? – ponowiła pytanie. Bała się wypowiedzieć na głos słowa, które kołatały w jej umyśle. – Urząd Bezpieczeństwa? – zdobyła się na odwagę.

Zmarszczył brwi i spojrzał na nią jakoś dziwnie.

– Później – powiedział wymijająco. – Najpierw zakończmy sprawę kradzieży. Szkoda czasu na głupstwa. Wszak czeka panią jeszcze wymiana zamków w mieszkaniu. I chyba musimy odebrać z przedszkola naszego... hm... syna.

Twarz kobiety uległa naglej metamorfozie. Zniknęła anielska łagodność, pojawił się ogień.

– Łapy precz od mojego dziecka!

– Tę kwestię także omówimy później. A teraz idziemy tam. – Kiwnął głową w stronę pobliskiego komisariatu.

Próbował ująć ją pod rękę, lecz wyrwała mu się jak oparzona.

– Nie dotykaj mnie!

Jej serce łomotało tak, jakby za moment miało wyskoczyć z piersi. A jednak nie pomyliła się w ocenie tego człowieka – musiał być cholernym ubekiem. Łaził za nią już od dłuższego czasu. Tylko po co, skoro zamierzał jej pomóc?

A może to nie miała być pomoc, lecz misternie zastawiona pułapka? Może jej torebkę ukradł jego wspólnik, a teraz chcą ją podstępem zwabić na posterunek?

– Nie panikuj, Julio. Lepiej zrób, co ci radzę. Wtedy nic złego się nie stanie.

– Od kiedy jesteśmy na ty? – warknęła niechętnie.

– Hm... Sama zaczęłaś. Chodź, później porozmawiamy.

– Nie! Muszę wiedzieć, kim jesteś i dlaczego podajesz się za mojego zmarłego męża.

Spojrzał na nią z ukosa.

– To ja chciałbym wiedzieć, czemu ty podajesz się za wdowę po mnie – odparł.

– Naprawdę nazywasz się Wawrzyniec Pawłowski? – Patrzyła nań z niedowierzaniem.

Uliczne latarnie skutecznie rozświetlały popołudniowe ciemności. Zresztą nie musiała mu się zbyt wnikliwie przyglądać. Już wcześniej w rysach jego twarzy dostrzegała coś znajomego. Czy to możliwe, aby stał przed nią potomek dziedzica z Piotrowic? Nie pamiętała dobrze Pawłowskich. Minęło kilkanaście lat od dnia, gdy opuścili dwór. Zresztą przed wojną nieczęsto miała z nimi do czynienia. Czasami widywała ich w kościele. Pamiętała, że Mariusz krzywo patrzył na jej rodzinę. Byli mu solą w oku. Jeśli to jego syn, możliwe, że przejął po ojcu niechęć do Szymczaków. Pozostawało pytanie o to, co robił w Nowej Hucie. Jakoś musiał przetrwać

wojnę i odnaleźć się w nowych realiach – wyjątkowo niezycliwych dla takich jak on. Czy zostałby funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa, aby zapewnić sobie wygodne życie?

A jeśli to tylko zbieżność nazwisk? Albo pułapka? Bez względu na to, kim był, wszystko świadczyło przeciw niemu.

– Wydawało mi się, że tę kwestię mamy wyjaśnioną. Ostatni raz odwołuję się do twojego zdrowego rozsądku: wejdziemy tam jako zgodne małżeństwo. Załatwimy co trzeba, a potem spokojnie porozmawiamy. Bo mamy o czym, żoneczko. Nie rób scen! – dodał grobowym głosem, wzbudzając jeszcze większy strach kobiety. Wziął ją pod rękę i dość delikatnie, lecz stanowczo zarazem pchnął ku drzwiom do budynku.

Spojrzała na niego z niechęcią.

Pomyślała, że na własne nieszczęście podała w przedszkolu adres Bronka – tak na wszelki wypadek, gdyby kiedyś przydarzyło jej się coś złego. Tym razem brat nie mógł zaopiekować się Karolkiem.

*Czy ja także powinnam obciąć warkocz? – zastanawiała się Dorota, szczotkując długie aż do pośladków włosy. Julka i Krysia już dawno to zrobiły, obydwie jako panny. Może byłoby mi wygodniej z krótszą fryzurą?*

Wprawnie zawinęła ciasny kok. Przejrzała się w lustrze toaletki, aby sprawdzić, czy jest uczesana wystarczająco porządnie. Kiedyś spoglądanie na własne odbicie sprawiało jej ogromną przykrość. Unikała zwierciadeł. Z czasem nauczyła się patrzeć na nie tak, aby nie widzieć swojej twarzy i szpecących ją blizn, a jedynie ubranie i włosy. Po latach przestała wzdrygać się na widok okaleczeń. Zaakceptowała swój wygląd. Przestała nosić bure i bezkształtne spódnice sięgające kostek. Już nie chowała twarzy przed ludźmi. W zmianie wizerunku bardzo pomogła Julia, która przyjechała pewnego dnia do Pawlic z kilkoma swoimi sukienkami, zbyt ciasnymi – jak twierdziła – na nią. Dorota wątpiła w jej prawdomówność, gdyż nawet po urodzeniu Karola siostra wciąż była szczupłą, choć nieznacznie przybrała w biodrach i biuście. Nie na tyle jednak, aby nie zmieścić się w te rzeczy.

– Nie może być, aby bibliotekarka nosiła wór pokutny – powiedziała Julka dobitnie, gdy Dorota zaczęła wzbraniać się przed przyjęciem podarunku. – Pracujesz na etacie, spotykasz się z ludźmi, wyglądasz więc jak człowiek.

– Ależ Julciu! Ja nie powinnam... – protestowała, lecz Pawłowska zaraz ją zmiętygowała:

– Musisz. Tu w Pawlicach wszyscy wiedzą, co cię spotkało. Nie zawiniłaś wtedy niczemu! I nie jest to też powód do tego, abyś wiecznie chodziła ze spuszczoną głową! Nie cofniesz czasu. Jesteś Szymczakówną. W twoich żyłach płynie również krew Pawłowskich. Pokaż więc innym, że stoisz ponad wyrządzoną ci krzywdę. Powinnaś nosić się godnie, jak przystało na kogoś z twoim urodzeniem i klasą!

Byłyby się wtedy pokłóciły, bo jedna i druga ostro broniły swoich racji. W końcu Julka wyciągnęła wyjątkowo bolesny argument:

– Mnie też wyrządzono krzywdę! I co? Czy włożyłam przez to włosienicę? Nie! Nie dałam temu ancykrynowi satysfakcji, choć przyznaję, że każdego dnia płakałam nad moją niedolą. Ładna sukienka nie sprowokuje przyzwoitego mężczyzny do niecnych czynów. Podobnie jak waciak i zgrzebny przyrodziewek nie uchronią przed złym człowiekiem. Mnie tamten drań posiadał w chlewie wśród cuchnących macior!

Dorota ustąpiła i od tej pory zaczęła nosić ładne rzeczy. Ludzie życzliwie przyjęli zmianę jej wizerunku. Usłyszała nawet na ten temat kilka miłych słów. Oczywiście nadal nosiła się skromnie, lecz jej odzież nie była już tak bezkształtna.

Julia miała rację, mówiąc, że taki strój nikogo nie sprowokuje. Chłopcy nadal schodzili bibliotekarce z drogi i nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby robić jakieś dwuznaczne propozycje. A ona dzięki tej zmianie poczuła się jakoś swobodniej.

Przychodziły chwile, gdy myślała, że swoim okaleczeniom zawdzięcza święty spokój. Nie interesował się nią żaden mężczyzna, nie była narażona na zaczepki. Po tym, co zrobiła jej ta ruska swołocz, nie wyobrażała sobie, aby ktoś kiedykolwiek dotknął jej ciała.

Czasami jednak odzywały się w niej tęsknoty – ostatnio nawet coraz częściej. Nie chodziło bynajmniej o romantyczną miłość, w tę bowiem nie wierzyła. Marzyła o czymś, czego los nigdy jej nie da – o dziecku. Własnej małej istotce do kochania. O kimś, kto umiliłby jesień życia, która nieuchronnie nadejdzie.

Póki miała matulę, nie było źle – samotność nie doskwierała tak bardzo. Dorota z przygnębieniem myślała o własnej, samotnej starości. Cóż ją czekało w życiu? Pewnego dnia Władzia odejdzie na spotkanie ze Stwórcą. A wtedy nie będzie do kogo ust otworzyć. Przecież nie pojedzie do miasta na poniewierkę. Tam każdy gapiłby się na jej oszpeconą twarz.

Z tego powodu długie zimowe wieczory były wyjątkowo przygnębiające!

Praca w bibliotece nadała nowy sens jej życiu. Przywróciła utraconą na skutek gwałtu godność. Zmuszała do przełamywania barier, pokonywania lęków i onieśmienia. Nauczyła ją na nowo rozmawiać z ludźmi. Przekonała, że aniołem może okazać się człowiek, który także doznał w życiu ogromnej niesprawiedliwości, a mimo to potrafi wyciągnąć pomocną dłoń.

Bała się myśleć o tym, co by było, gdyby przewodniczącym spółdzielni nadal pozostawał Marczyk. Dwie samotne kobiety z trudem wiązałyby koniec z końcem. Zapewne Dorota i tak musiałyby szukać zajęcia w kołchozie, ale z całą pewnością nie otrzymałyby tak przyjemnego. Tamten potwór, jeśli przydzieliłby jej jakąś robotę, zadbałby o to, aby została dotkliwie upokorzona.

Z tą myślą poszła do pracy.

Zakładała, że dzień będzie spokojny, gdyż od kilku dni sypał śnieg i cała okolica sprawiała wrażenie uśpionej. Kto nie musiał wychodzić, siedział przy piecu. Dorota zaplanowała porządki na półkach. Już od dawna miała ochotę na dokonanie paru zmian. Zamierzała poprzekładać woluminy tak, aby korzystanie z księgozbioru było wygodniejsze.

Po przyjściu do biblioteki zdjęła kozuch, a ciepłe buty z cholewami zmieniła na wygodne pepegi. Może nie najlepiej wyglądały w zestawieniu ze spódnicą, lecz do skakania po drabinie będą jak znalazł.

W pomieszczeniu panował chłód, więc bez chwili zwłoki zapaliła w kaflowym piecu. Na szczęście Ksawery zadbał o to, aby każdego dnia któryś z parobków przynosił węgle oraz porąbane szczapy. To wszystko czekało w sieni, wystarczyło tylko wygarnąć popiół z poprzedniego dnia i przygotować palenisko. Jakiś czas później przestronna sala zaczęła się wypełniać przyjemnym ciepłem.

Nucąc pod nosem, Dorota rozstawiła drabinkę i przystąpiła do zdejmowania tomów z górnych półek. Energicznie wchodziła i schodziła po drewnianych szczeblach, uważnie stawiając stopy. Tak ją to zajęcie utrudziło, że szybko poczuła gorąco. Zdjęła więc przez głowę sweter i odłożyła na krzesło. Niechący zahaczyła przy tym o spinki podtrzymujące kok. Kilka z nich wypadło, parę się poluzowało. Poprawiła włosy, choć czuła, że kok jest mocno rozluźniony.

– Pal licho! Pewnie nikt tu dzisiaj nie przyjdzie. – Machnęła ręką. A ponieważ ciepło



buchające z pieca zrobiło swoje, rozpięła jeszcze górne guziki bluzki, co w ogóle było do niej niepodobne.

Uwijała się, nucąc ulubione piosenki. Nawet nie zauważyła i nie usłyszała, jak ktoś uchylił drzwi biblioteki.

Ksawery stał w milczeniu i obserwował pracującą kobietę. Była odwrócona tyłem, co jakiś czas migał mu jej profil. Nie zwracała na niego uwagi. Poruszała się zwinnie i z gracją. Miała na sobie koszulę i układaną w zaczynające się poniżej bioder plisy spódnicę z samodziału. Od jakiegoś czasu nie nosiła bezkształtnych burchaczkowych szmat. W takim wydaniu wyglądała bardzo powabnie. Mężczyzna z zachwytem spoglądał na wiotką figurę z delikatnie zaokrąglonymi biodrami. Kiedy nie widział naznaczonej cierpieniem twarzy, odnosił wrażenie, że ma przed sobą uroczą i energiczną dziewczynę. Jej włosy, zwykle gładko przyczesane, zwichrzyły się i wymknęły spod wsuwek. Niby drobiazg, lecz on, przyzwyczajony do surowego i na swój sposób nieskazitelnego wizerunku bibliotekarki, poczuł coś, czego zdecydowanie czuć nie powinien.

Ach! Jak te niesforne pasma podziały na jego wyobraźnię!

Jakże one musiałyby pięknie wyglądać uwolnione od tych wszystkich spinek i rozrzucone na białej pościeli!

*Dobry Boże! Co za myśli!* – przeraził się Olszański.

Nagle z koka wysunęła się jakaś strategiczna szpilka, która do tej pory podtrzymywała prowizoryczną fryzurę. Ciężkie, ciemne pasma niczym jedwabny płaszcz opadły na plecy Doroty.

Ksawery zamarł. Oto miał przed sobą boginię.

Dorota poczuła, jak rozluźnia się jej kok, a następnie włosy opadają bezładnie na plecy.  
– A niech to! – westchnęła i zwinnie zeszła z drabinki. Odłożyła na bok książki, które zdjęła z góry.

Nagle usłyszała ciche chrząknięcie. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Ksawerego. Zaskoczona znieruchomiła, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

– Dzień dobry, panno Doroto – przywitał się jak gdyby nigdy nic, choć jego głos zabrzmiał inaczej niż zazwyczaj.

– Dzień dobry. Porządkuję księgozbiór – odparła i zaczęła szybko zapinać guziki rozchełstanej bluzki.

– Zauważyłem – powiedział, zbliżając się. – Pięknie pani wygląda. Nie wiedziałem, że ma pani takie śliczne włosy – dodał z zachwytem. – Wpadłem tylko, aby zostawić prasę. Muszę już iść – powiedział zduszonym głosem i szybko opuścił pomieszczenie.

Bibliotekarka spoglądała w osłupieniu, jak przewodniczący podchodzi do drzwi, naciska klamkę i wychodzi na korytarz. Jej serce zabiło zadziwiająco niespokojnie.

Ksawery oparł się plecami o ścianę w przedsionku. Zamknął powieki, lecz to tylko pogorszyło sytuację. Miał bowiem przed oczami rozpuszczone włosy i ciemne, brązowe tęczęwki Szymczakówny. Jej drżące palce, gdy zapinała guziki. Niepokój w źrenicach, może nawet zażenowanie.

Oddychał ciężko, jakby własnoręcznie zaorał kilka zagonów.

To nie mogło być prawdą!

Nie mógł czuć tego łomotu w piersi, tego pulsowania w skroniach, tego nieznośnego ucisku w...

– Boże, bądź litościw! – jęknął.

Serce – niepokorny mięsień szybszy od zdrowego rozsądku!

Za oknami panowały ciemności. Rodzice pozabierali już dzieci. Woźna uprzątnęła część bawialni. Przedszkole zamierało. Pozostał jeszcze tylko jeden chłopiec z najstarszej grupy oraz opiekunka, która z coraz większą niecierpliwością spoglądała na zegar.

– Gdzie jest moja mamusia? – zapytał po raz kolejny Karol drżącym głosem.

Widać było, że siłą powstrzymuje płacz. W nosie mu bulgotało, a wielkie czekoladowe oczy wypełniały łzy.

Kasia pochyliła się nad malcem i, choć sama była zdenerwowana, gdyż spieszyła się do własnych dzieci w domu, przytuliła chudziutką kupkę nieszczęścia, aby choć trochę ukoić ten smutek. To podziałało jak katalizator – przestraszony chłopczyk rozplakał się na dobre.

– Gdzie jest moja mamusia? Ja chcę do mamy!

– Nie płaczże, smyku. Mamusia na pewno zaraz przyjdzie. Pewnie coś ją zatrzymało w biurze.

Wygrzebała z kieszeni jego fartuszka chustkę zaczepioną na tasiemce. Pomogła mu wysiąkać nos.

Ponownie zerknęła na zegar. Dochodziła siedemnasta.

*Coś musiało się stać – westchnęła. Dzisiaj są urodziny malego. Przecież matka nie sprawiłaby mu zawodu w tak ważnej chwili.*

Pawłowska nigdy się nie spóźniała, a jeżeli wiedziała, że może nie zdążyć do przedszkola, jej synka odbierał któryś z wujków. W kartotekach dzieci były zanotowane adresy nie tylko rodziców, ale również innych dorosłych osób na wypadek jakiejś nieprzewidzianej sytuacji. Wychowawczynie odszukała potrzebne dane. Napisała kilka słów na karteczce, którą w razie czego zamierzała przykleić do drzwi wejściowych.

– Chodź, Karolku, włóż kurtkę. Najpierw sprawdzimy, czy twoja mama jest w domu. A jeśli jej nie zastaniemy, to odprowadzę cię do wujka Bronka i tam na nią poczekaasz – powiedziała do chłopca, siłąc się na jak najspokojniejszy ton.

Błagała w duchu, aby nie okazało się, że Pawłowską zatrzymało coś znacznie poważniejszego. W tych czasach łatwo było się narazić. A ponieważ ojciec chłopca nie żył, sytuacja wyglądała nieciekawie.

A jeśli kobietę zaatakował jakiś seryjny morderca? Naśladowca tego draba Mazurkiewicza, o którym w ostatnich czasach było dość głośno?

Co jeszcze mogło się wydarzyć?

Wypadek?

*Dobry Boże! Oby nie. Nie pozwól, aby to biedne dziecko zostało sierotką* – rozczuliła się Katarzyna, pomagając Karolowi w zakładaniu bucików.

– Pani Alu – zwróciła się do woźnej, gdy już byli gotowi, aby wyjść na zewnątrz. – Odprowadzę Karola do domu. Jeśli nie będzie tam matki, pojedziemy na osiedle Wandy, do jego wuja. A jeśli go nie zastaniemy, wezmę chłopca do siebie. Napisałam to na kartce, którą przykleję do drzwi, ale na wypadek, gdyby pojawiła się tutaj pani Pawłowska, proszę jej to wszystko powtórzyć, dobrze?

– Oczywiście, pani Kasiu.

W mieszkaniu na osiedlu Centrum B nie zastali nikogo. Podobnie było na Wandy. Zdeterminowana przedszkolanka zapukała do sąsiednich, dość odrapanych drzwi opatrzonych odręcznie zrobioną wizytówką z nazwiskiem „Mirgowie”. Po chwili otworzyła jej czarnowłosa kobieta o smagłej karnacji.

Przedszkolanka się wzdygnęła, gdy stanęła twarzą w twarz z Cyganką.

– Dobry wieczór. Przepraszam, że przeszkadzam, ale nie wie pani przypadkiem, gdzie mogę znaleźć mieszkającego tam mężczyznę? – Kasia wskazała lokal Bronka.

– Śimciaka? A! Wujka tego *czaworo*? – Kiwnęła głową w stronę chłopca. – Ni ma go! W śpitalu legnął. Spadł z ruśtowania na budowie.

– Ojej! – zmartwiła się przedszkolanka, lecz zaraz znalazła wytłumaczenie, dlaczego Pawłowska nie odebrała dziecka. – A kiedy to się stało? Dzisiaj?

– Iii... Nie. Będzie z tydzień, może dwa. Ja nie wiem. Nie godom z *gadzio*. Mój *mursz* zabronił.

– Dobrze. Dziękuję i przepraszam – odparła opiekunka.

Spojrzała ze strapieniem na chłopca. Po jego czerwonej od chłodu buzi toczyły się powoli wielkie łzy.

– Pojedziemy do mnie – oznajmiła.

Nie próbowała pocieszać dziecka. Nie chciała także zostawiać go u sąsiadów wujka, choć przez moment brała to pod uwagę. Postanowiła trzymać się planu i wziąć malucha do siebie, a rano skonsultować problem z dyrekcją przedszkola. Na pewno istniały jakieś procedury na taką okoliczność. Być może trzeba będzie zgłosić sprawę na posterunku milicji.

– Ach, jaka tu ciasnota – westchnęła Kazimiera, wciskając świeżo uprasowaną pościel do bieliźniarki. – Tak by się przydała większa szafa! Jedna to za mało na nas czworo.

– Wiem, żabko, ale nic na to nie zaradzimy. Mieszkanie małe, więc choćbym chciał, dodatkowego grata nie dokupię. Trzeba byłoby chyba postawić go na środku izby.

Ostatnio temat ciasnoty coraz częściej powracał w rozmowach. Żona wciąż miała Leszkowi za złe, że nie zakręcił się za mieszkaniem, które wydział kwaterunkowy przydzielił Kryśce. Teraz nadawała, że Julia, jak ta księżna udziałna, mieszka z jednym dzieckiem w dwóch naprawdę przestronnych pokojach z dużą, słoneczną kuchnią oraz balkonem. Kulkiwie też mieli dobrze na osiedlu Wandy. I Broniek, sam jeden w dwóch izbach! Andrzejowi było może trochę ciaśniej, ale na pewno nie tak jak im w cztery osoby! Póki chłopcy nie chodzili, jakoś dało się żyć. Teraz wciąż należało na nich uważać, żeby sobie nie porozbijali głów o ostre krawędzie mebli.

– Powinieneś napisać podanie o inny przydział. Niechby sobie z powrotem zabrali tę ciasną dziurę.

– Dobrze, Kaziu. Napiszę wniosek – odpowiedział skwapliwie, wiedząc, że to i tak nic nie da. Wszak kolejki oczekujących niemożliwie urastały. Ludzie latami żyli w dużo gorszych warunkach. Im też do niedawna groziła poniewierka po hotelach lub obcych kątach.

Dobrze pamiętał, jak się żona cieszyła, gdy powiedział, że będą mieli swoje cztery kąty. Jak mimo zaawansowanej ciąży tańczyła w pozbawionym mebli pokoju.

A teraz co? Cóż za krzywdę miała?

Zapomniała już, jak spotykali się po krzakach albo na łąkach?

Ot, znalazła się niezadowolona hrabina!

Nie raz skrzeczała mu za uszami, że mógł powiedzieć Kryśce, jak dostała przydział, aby oddała jemu to mieszkanie. Potrzebowali go bardziej niż Julka, której z powodzeniem wystarczyłby jeden pokój. A przecież to na jej prośbę nic nikomu nie mówił o spodziewanym powiększeniu się rodziny. Wtedy była zawstydzona, teraz zdawała się tego nie pamiętać!

*Co za baba! Za nic takiej nie dogodzisz! Ech...*

Dla świętego spokoju wolał nie wdawać się w żadne dyskusje na newralgiczne tematy. Jęzda tak potrafiła wałkować byle drobiazg, że aż skóra cierpła na grzbiecie. W kółko jedno i to samo! Nadawała i nadawała. A każda jego próba samoobrony kończyła się fiaskiem.

Był pantoflarzem. Niestety.

Czasami myślał, że to przez służbę w wojsku. Lata spędzone w kamaszach namieszały mu we łbie. Nastawiony był na wypełnianie rozkazów. Nie musiał wówczas myśleć. Przyzwyczał się do tego i było mu poniekąd dobrze. Z wygodnictwa nie stawiał oporu, gdy Kaźmierka zaczęła owijać go sobie wokół małego palca. Ot, z jednej służby przeszedł na drugą.

Zdenerwowana Julia spojrzała na zegarek. Dochodziła osiemnasta, a ona dopiero teraz opuszczała posterunek milicji! Przez myśl jej nie przeszło, że to wszystko tak długo będzie trwało. Drżała z niepokoju o syna. Nawet nie potrafiła odczuwać ulgi, że cała sprawa nie okazała się jakimś straszliwym podstępem.

Karol na pewno bardzo się bał. Co gorsza, w przedszkolu mieli tylko adres domowy Bronka, a przecież brat wciąż przebywał w szpitalu.

Co robić?

– Dziękuję panu za pomoc – powiedziała do towarzyszącego jej mężczyzny. – Muszę już iść!

Ruszyła czym prędzej po chłopca.

– Julio, proszę, poczekaj! – usłyszała głos Wawrzyńca.

Po wizycie na posterunku tożsamość Pawłowskiego nie budziła najmniejszych wątpliwości, gdyż wylegitymował się przed funkcjonariuszem. Wspólnie wyjaśnili przebieg zdarzeń. Później podpisali zeznania. Na razie motywy jego postępowania w ogóle jej nie interesowały. Miała ważniejsze sprawy na głowie.

– Proszę mnie zostawić – warknęła, nie zwalniając kroku. – Nie mam teraz czasu na pogawędki! Muszę odebrać syna z przedszkola.

– Oczywiście. Ale powinnaś zajrzeć do mieszkania. Przecież złodziej zabrał twoje klucze. To było dość dawno temu. Mógł tam wejść i narobić szkód – zauważył.

– Nie rozumie pan? Dziecko jest najważniejsze! Ma pan dzieci? – zapytała z wyrzutem.

– Właściwie to chyba mam. Tak przynajmniej zeznaliśmy na komisariacie.

Spojrzała na niego wilkiem.

– Zostaw nas w spokoju! – wróciła do bezpośredniej formy.

– Chcę ci pomóc – upierał się mężczyzna.

– Dziękuję, nie trzeba – sapnęła, gdyż szybki marsz wywołał lekką zadyszkę.

– Dobrze. Pomogę. – Pawłowski ewidentnie należał do przekornych. – Jeżeli złodziej nie dostał się do mieszkania, to trzeba będzie wezwać ślusarza, który otworzy, a następnie zmieni zamki. Pójdę tam i dopilnuję, żeby nikt nie wszedł do środka pod twoją nieobecność. To na wypadek, gdyby Karola nie było w przedszkolu i musiałabyś go skądś odebrać. Zapewne opiekunka poszła już do domu. Nie wiem, co się robi w takich przypadkach – stwierdził skonsternowany. – Później załatwimy sprawę wymiany zamków. To też może być kłopot, zważywszy na późną porę. Idź po dziecko i o nic się już nie martw.

Łatwo było powiedzieć!

Julia umierała ze strachu, choć teoretycznie sześciolatek pozostawał pod dobrą opieką. Na pewno był przestraszony. Zawiodła go w dniu urodzin! Przecież obiecała mu, że po wyjściu z przedszkola pojadą do kina obejrzeć *Dzielnego zająca* – radziecki film animowany. Później miała zabrać swojego prawie dorosłego mężczyznę do cukierni na ciacho. Obydwoje cieszyli się na to wyjście, ponieważ nieczęsto mogli pozwalać sobie na zbytki. A tu masz ci los! On najbardziej ucierpiał w tym całym zamieszaniu.

Wawrzyniec siedział na schodach. Zdążył już nieźle zdrętwieć i zmarznąć. Co więcej, doszedł do wniosku, że to, co zrobił, było nader głupie, lekkomyślne i poniekąd podłe.

Głupie, ponieważ nie powinien tak bardzo angażować się w nie swoje sprawy. Nawet jeśli ta mała wmówiła wszystkim wokół, że jest wdową po nim, co nader go intrygowało.

Lekkomyślne, ponieważ pozwolił, aby Julia samotnie poszła na poszukiwanie syna. Już dawno zapadł zmrok. Na ulicach było niebezpiecznie, a tyle się ostatnio słyszało o różnych mordercach. Taki Mazurkiewicz, chociażby! Mieszkał jakiś czas po sąsiedzku. Niby normalny człowiek. Zawsze się uklonił, czasem coś zagadał o tym lub owym. A tymczasem wyszło na jaw, że z zimną krwią pozbawił życia mnóstwo osób!

Pawłowski oparł głowę o ścianę. Rzeczywiście zachował się podle wobec Julii. Na pewno ją wystraszył. Wzięła go za ubeka. Była przestraszona kradzieżą, martwiła się o synka, a on wyskoczył ze swoimi rewelacjami jak Filip z konopi. Powinien był zrobić to znacznie subtelniej. Po prostu przypomnieć jej, kim jest, gdyż znali się jako dzieci. Co prawda wyłącznie z widzenia i na duży dystans. To oczywiste, że była mu winna wyjaśnienie. Nie miał wątpliwości, że z jakiegoś konkretnego powodu podawała się za jego żonę, i bardzo chciał to wyjaśnić.

Siedział, rozmyślając o wszystkim, i zastanawiał się, jak jeszcze mógłby pomóc, gdy w końcu usłyszał ruch na klatce schodowej oraz głos Julii.

– Jeszcze pan jest? – wyraziła zdumienie.

Była spokojna. Widać odnalezienie dziecka dobrze na nią wpłynęło.

– Przecież powiedziałem, że zadbam o to, aby nikt tu nie wszedł pod pani nieobecność. Na szczęście nic się nie stało. Pani ma swoją zgubę – spojrzał wymownie na chłopca – a mieszkanie zastałem zamknięte i nie kręcił się tu nikt podejrzany. Chciałbym jakoś pomóc. Sprowadzić kogoś z pani bliskich? Bo obawiam się, że na ślusarza nie ma co liczyć o tej porze.

– No tak – westchnęła. – Muszę dostać się do mieszkania.

– Czy jest ktoś, kto ma zapasowe klucze?

– Bronek, mój brat. Ale on leży w szpitalu. Jakoś nie przyszło mi do głowy, aby dawać je komuś więcej.

– Niedobrze – zmartwił się Wawrzyniec.

– I co teraz?

– Nie mam pojęcia – westchnęła. – Dziękuję. Stracił pan przeze mnie mnóstwo czasu.

– Drobiazg. Mogę jeszcze coś zrobić? Przecież nie zostawię pani i dziecka na schodach – dodał, widząc odbijające się na jej twarzy zdumienie.

Pochylił się nad chłopcem. Spojrzał na niego uważnie.

– Kim pan jest? – zapytał mały.

– Znajomym twojej mamy. A ty jesteś Karol, tak?

– Tak. I mam dzisiaj urodziny. Mieliśmy iść do kina, ale na mamusię napadł jakiś straszny bandzior i ukradł jej torebkę. Szkoooda, że mnie przy tym nie było, bo wyciągnąłbym mój zaczarowany niewidzialny rewolwer i bym go zastrzelił. Trach! Trach! – zademonstrował na poczekaniu.

– Dzielny chłopak z ciebie – pochwalił go Pawłowski.

– No! Bo mamusia ma tylko mnie. I ja jestem za nią odpowiedzialny – powoli przesyłabizował ostatni wyraz.

Mężczyznę korciło, aby zapytać małego o ojca, lecz Julia chrząknęła, przyciągając jego uwagę. Pokręciła głową, robiąc błagalną minę.

– Porozmawiamy innym razem. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Poradzę sobie z resztą.

– Jak? – zapytał.

– Może sąsiad pomoże mi wejść do mieszkania.

- Pozostanie pani problem braku zamknięcia – zauważył.
- Szwagier na pewno coś na to zaradzi.
- Mam po niego pójść?

Zawahała się. Przerażała ją perspektywa noclegu przy otwartych drzwiach. Ostatecznie podała Wawrzyńcowi adres do Kulki, sumitując się, że nie chce mu sprawiać kłopotu. Pawłowski został jeszcze chwilę, aby pomóc w otwarciu mieszkania.



Natarczywe pukanie do drzwi zakłóciło spokojny wieczór.

– Jasiu, otworzysz? – zapytała Krysia, pracowicie pokrywając paznokcie karminową emalią.

Pan domu odłożył gazetę i spełnił prośbę żony. Za drzwiami stał obcy mężczyzna. Ubrany w płaszcz i kapelusz z niewielkim rondem wyglądał dość podejrzanie.

*Ubek czy ki pieron?*

Spojrzał wyczekująco na nieznanego. Ten uchylił lekko nakrycia głowy.

– Dobry wieczór. Przepraszam, że przeszkadzam. Przysłała mnie tutaj pani Julia Pawłowska...

– Matko Święta! Coś jej się stało? – zapytał wystraszony.

– Spokojnie. Nic takiego – odparł przybysz, widząc, jakie wrażenie wywołał. – Na szczęście nie. Jakiś huncwot ukradł jej torebkę z kluczami i dokumentami. Byłem świadkiem tego zdarzenia. Julia poleciła, abym przyszedł i zawiadomił pana o tym niefortunnym zdarzeniu. Póki nie wymieni zamków w drzwiach, nie może opuszczać mieszkania. I w związku z tym prosi, aby pan odprowadził jutro rano Karola do przedszkola i dał znać do jej pracy, że nie może przyjść.

– Ojej! – zmartwił się gospodarz. – Na pewno nic jej się nie stało?

– Zapewniam pana. Byłem w pobliżu, gdy do tego doszło. Próbowałem nawet złapać złodzieja, lecz niestety nie zdołałem go dogonić. Udałem się więc z panią Pawłowską na posterunek. Następnie przypilnowałem, aby nikt się do niej nie włamał, gdy poszła po dziecko. Później pomogłem jej sąsiadowi w otworzeniu drzwi. Niestety, musieliśmy narobić szkód. Obydwa zamki zostały uszkodzone, nie daliśmy rady inaczej. O tej porze nie uświadczy się ślusarza, a przecież nie mogła spędzić z dzieckiem nocy byle gdzie. Nie mogła też zostawić mieszkania na pastwę złodzieja. Nie dała sobie pomóc w inny sposób, co jest w pełni zrozumiałe. Teraz można ufać tylko rodzinie i przyjaciom.

– Bardzo panu dziękuję. Zaraz do niej pojedę. Mogę jakoś odwdziżyć się za pomoc? – zapytał.

– Ależ nie ma mowy! Każdy na moim miejscu pomógłby kobiecie w opresji. Do widzenia szanownemu panu. – Uchylił lekko kapelusza i już go nie było.

Skonsternowany Janek zatrzasnął drzwi. Martwił się, że Julia spędzi noc w niezamkniętym mieszkaniu. Póki nie przyjdzie ślusarz, aby założyć nowe zamki, będzie skazana na tkwienie w czterech ścianach.

Zasadniczo ślusarz nie był już do niczego potrzebny. Nie takie rzeczy można zrobić samemu!

– Kto to był, Jasiu? – zapytała Krystyna, unosząc wzrok znad paznokci.

– Jakiś obcy. Nie mam pojęcia, kto to, bo się nie przedstawił. – Powtórzył żonie rozmowę z nieznanym. – Muszę do niej pójść i zmienić zamki w jej mieszkaniu.

– O tej porze? – zdziwiła się, widząc, że mąż wkłada kurtkę. – Skąd teraz weźmiesz zamki? Przecież wszystkie sklepy są pozamykane.

– Ach, no tak! – Spojrzał na zegar. – I co teraz będzie?

– Nic nie będzie – burknęła. – Skoro dostała się do mieszkania i ma gdzie spać, to nie ma problemu. Poradzi sobie.

– Ależ Krysiu! Tak nie można. Muszę pomóc. Rano dziecko powinno pójść do przedszkola, a ona do pracy.

– Przypominam ci, że nie masz zamka – odparła chłodnym tonem.

– Zamek, zamek – powtarzał, żałując, że nie ma zapasowego.

Od razu pomyślał o tym, że każdy powinien mieć w domu choć jeden rezerwowany na taki

przypadek. Lepsze to niż nic. Czy dwa albo trzy zamki lepiej zabezpieczą mieszkanie przed złodziejami? Może i tak, bo to więcej roboty z ich pokonaniem. Ale jeden powinien na razie wystarczyć. Tylko skąd go wziąć?

Nagle Janek pacnął się dłonią w czoło.

No przecież miał zamek, a nawet trzy – we własnych drzwiach. Sam je zakładał po przeprowadzce. A teraz po prostu zdemontuje jeden. Weźmie skrzynkę z narzędziami i jakieś deseczki, które poniewierały mu się po piwnicy. Zabezpieczy choćby prowizorycznie mieszkanie Julii. A jutro, jak wróci z pracy, zrobi to jak należy.

Jak postanowił, tak uczynił. Zabrał się za wykręcanie jednego z własnych zamków.

– Na litość boską! Co ty robisz? – wykrzyknęła Krystyna, zwabiona do przedpokoju chrobotaniem.

Stała właśnie pomiędzy pokojem a korytarzem, odgarniając kolorowe paski zaczepione nad futryną – szczyt mody w wystroju wnętrza, który zawisł tam przed kilkoma dniami.

– Usiłuję pomóc szwagierce – odparł spokojnie.

– Jak? Dewastując nasze drzwi?

– Nie. Po prostu na razie założę u Julki jeden z naszych zamków. Zrobię prowizorkę, a jutro po pracy załatwię sprawę jak należy.

– No ja już tego nie wytrzymam! Znowu Julka! Nic, tylko Julka i Julka!

– Och... Przestań cudować, Krysiu. Kobieta potrzebuje pomocy, ot co. Sama jak palec.

Tym razem nawet na Bronka nie może liczyć.

– To niech się wyda za męża, a nie liczy na pomoc cudzych chłopów!

Janek kończył montowanie ostatniego nowego zamka w drzwiach mieszkania Julii, gdy usłyszał kroki na klatce schodowej. Zerknął w tamtym kierunku i dostrzegł mężczyznę, który dzień wcześniej zawiadomił go o kradzieży. Obrzucił uważnym spojrzeniem eleganta z bukietem kwiatów i zachnął się w duchu.

*Aha! Myśli, że jak pomógł, to zaraz coś wskóra! Niedoczekanie twoje, bratku.*

– Dzień dobry. Zastąpiłem panią Pawłowską?

– Dobry, dobry – wymamrotał Janek przez zaciśnięte wargi. Wyjął spomiędzy nich dwie śrubki, wyprostował się i zastąpił drogę nieznanemu. – Owszem, jest. A pan to kto? Bo wczoraj zapomniał pan się przedstawić – przypomniał obcesowo.

– O, pardon! – powiedział przybysz. Celowo nie zrobił tego wczoraj, aby nie wywoływać większego zamieszania. Ponieważ wiedział, że ma do czynienia ze szwagrem Julii, teraz był niezmiernie ciekaw jego reakcji. Czy kobieta wspomniała mu już cokolwiek na ten temat? Zakładał, że nie, gdyż w takim przypadku Kulka nie pytałaby go o nazwisko. – Pan pozwoli – przełożył kwiaty do lewej ręki, prawą wyciągnął w powitalnym geście – Wawrzyniec Pawłowski.

Janek przełknął ślinę tak energicznie, że aż poczuł ból grdyki. Dobrze, że chwilę wcześniej wyjął z ust owe śrubki, ponieważ z całą pewnością połknąłby je z wrażenia i kłopot gotowy!

– Paw... Pawłowski? – powtórzył przejęty.

– Domyślam się, że Julia nie wspomniała o mnie w rozmowie.

– Ano nie – odparł.

Nawet przez myśl mu nie przeszło, aby wypytywać szwagierkę o mężczyznę, który pomógł jej w opresji. Na dalsze wyjaśnienia nie było czasu, gdyż usłyszeli głos dobiegający z głębi mieszkania:

– Co tam, Janku?

Po chwili w przedpokoju stanęła Julia, a zza jej pleców wychylał się zaciekawiony Karolek.

– Pan do ciebie – oznajmił szwagier, całkiem niepotrzebnie, gdyż już dostrzegła przybyłego. Była zdenerwowana, choć starała się to ukryć. Zauważył drżące delikatnie dłonie, zaciskane na sweterku, a także krzyżujące się spojrzenia pani domu oraz gościa.

– Dzień dobry, pani Julio. Przepraszam za najście bez zapowiedzi, ale chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. No i oczywiście porozmawiać na wiadomy temat – dodał wymownie, zerkając z ukosa na Kulkę.

W milczeniu skinęła głową.

– Chwileczkę – powiedziała i odwróciła się do synka. – Pójdiesz na pole, Karolku. Możesz zabrać sanki.

Uznała, że mimo zmierzchu bezpieczniej będzie wysłać chłopca na zewnątrz, gdzie wciąż jeszcze dokazywały dzieciaki sąsiadów, niż aby maluch przysłuchiwał się rozmowie, która ją czekała. Bała się, że mogłoby w jej trakcie paść imię lub nazwisko gościa, a to trudno byłoby wytłumaczyć chłopcu, który regularnie dopytywał o niby niezującego ojca.

– Hura! – ucieszył się sześciolatek.

Mamusia rzadko pozwalała mu wychodzić samemu po zmroku.

– Tylko pamiętaj, masz się bawić pod oknami – napomniała syna, pomagając mu we włożeniu kurtki.

W tym czasie Janek dokręcił ostatnią śrubkę. Opieszale zaczął pakować narzędzia. Przypuszczał, że szwagierka będzie chciała odprawić go jak najszybciej, aby porozmawiać z człowiekiem, który nazywał się tak samo jak ona.

Kim był? Czyżby krewniakiem ludzi, których nazwisko przejęła po przeprowadzce do

miasta?

Nie było innego wytłumaczenia.

Dręczyły go złe przecucia. Nie podobał mu się wymuskany elegancik w jesionce. Z całą pewnością nie był robotnikiem. Julia w jego obecności wyraźnie zeszywniała. Chyba nie powinien zostawiać jej samej.

A jeśli tamten podał fikcyjne nazwisko?

Może nie wiedział, że ma do czynienia ze szwagrem Julii? Pomyślał, że są tylko mało znaczącymi znajomymi, a przedstawiając się jako Pawłowski, zyska nad nim przewagę jako niby-członek rodziny.

Kulka spojrzał na gospodynię, która poprawiała szalik chłopcu. Zdołał nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

– Będziesz potrzebowała czegoś jeszcze, Julisiu? – zapytał wyjątkowo poufale.

– Nie. Bardzo ci dziękuję. Rozliczymy się przy najbliższej okazji, dobrze? – zapytała, dając mu tym samym do zrozumienia, że jest zbędny i powinien odejść jak najszybciej.

– Dobrze. Nie ma problemu.

Karol opuścił mieszkanie. W ślad za nim ruszył Kulka. Pawłowski wciąż stał w przedpokoju, ściskając w dłoni kwiaty.

– Proszę, to dla pani. – Podał jej bukiet.

Zawahala się przed przyjęciem. Nie miała ochoty na pogawędkę z ofiarodawcą. Ostatecznie wzięła wiązankę i zaprosiła gościa do pokoju. Przeprosiła go na moment, wychodząc po wazon z wodą.

Wawrzyniec z zainteresowaniem rozejrzał się po wnętrzu. Pomieszczenie było dość przestronne. Środek zajmował stół, zapewne rozkładany, przykryty serwetą zrobioną szydełkiem. Wokół ustawiono cztery krzesła, dwa następne stały pod oknem ozdobionym ręcznie dzierganą firanką. Do tego politurowany kredens z jakimiś niewyszukanymi szklami oraz wersalka przykryta ręcznie wykonaną narzutą. Skromnie, lecz przytulnie. Parapet zastawiony był doniczkami, w których kwitły fiołki o różnych kolorach. Na ścianie dostrzegł święty obrazek, a na makatce zawieszanej nad wersalką zaczepiono kilka fotek. Żyrandol z kolorowymi kloszami lśnił, jakby przed momentem został wypolerowany. Ani śladu kropek pozostawianych przez muchy. Również we frontach kredensu można byłoby przejrzeć się jak w lustrze. Długie witki zadbanego asparagusa zwisały niemalże do podłogi z zaczepionego pod sufitem kwietnika, co uznał za fenomen w mieszkaniu zasiedlonym przez dziecko. Chłopcy w tym wieku – malec na oko miał jakieś pięć, może sześć lat – kojarzyli mu się z niszczycielskim żywiołem.

*Lubi kwiaty i jest czystciutka* – pomyślał o pani domu. *A Karol pewnie dobrze wychowany, skoro nie bałagani.*

Synowie jego poprzedniej gospodyni potrafili tak napaskudzić, że wszystko się lepilo. Byli ruchliwi, hałaśliwi i wyjątkowo uciążliwi. Cisza zapadała wyłącznie wtedy, gdy szli spać. Na szczęście, gdy jeszcze tam mieszkał, mało bywał na kwaterze za dnia – pracował do późnych godzin.

W powietrzu unosił się kuszący zapach.

*Czyżby szarlotka?*

Kubki smakowe mężczyzny momentalnie zareagowały. Dawno nie kosztował domowego ciasta. Tacy jak on mogli liczyć jedynie na kiepskie cukierniane wypieki.

Do pokoju wróciła gospodyni, niosąc ze sobą wazon, w który włożyła kwiaty. Postawiła go na stole, z miejsca wygładzając nieistniejącą fałdkę na sztywno wykrochmalonej serwecie.

– Co pana sprowadza? – zapytała bez ogródek.

– Nie wydaje się pani, że powinniśmy zamienić parę słów na temat naszych... hm...

koligacji rodzinnych? – położył nacisk na ostatnie słowa.

– I tylko o to panu chodzi? – upewniła się kobieta.

– Zapewniam, że tak.

Spojrzał na brunetkę, która wciąż stała, wahając się, czy usiąść. W końcu przeważała gościnność.

– Napije się pan herbaty? Mogę do niej zaoferować kawałek szarlotki. Przed paroma minutami wyjęłam z piekarnika.

– Z przyjemnością – odparł, przełykając ślinę, która nagromadziła mu się w ustach.

*Nie będzie tak źle* – pomyślał, gdy odeszła.

Idąc do niej, żywił obawy, że zostanie odprawiony z kwitkiem. Wcale by go to nie zdziwiło. Wszak byli sobie obcy. Trudno o nich powiedzieć nawet to, że znali się jako dzieci. Do dziś pamiętał, że jeszcze przed wojną ojciec dał w twarz Ignacemu, gdy przyłapał go na całowaniu najstarszej Szymczakówny. Dorota jej chyba było. Oj, nawymyślał mu wtedy ile wlezie i przypomniał, jak to świętej pamięci pradziad, a jego dziadek, stracił głowę dla niejkiej Zenobii Olszak, z którą począł bękarta. To zapoczątkowało ruinę ich rodziny, bowiem tamta sprytna czarownica owinęła go sobie wokół palca w mgnieniu oka. Nie tylko hojnie ją wyposażył, zapisując kochanicy kawał gruntu, ale jeszcze łożył na utrzymanie nieślubnej córki. Później kształcił małą na pensji, a tuż przed własną śmiercią, gdy wydawała się za męża, również ją zanie wyposażył. Jak widać z jednej wiedzy wyrosły całe pokolenia powabnych kusicielki, których Pawłowscy starali się unikać niczym diabeł kropidła. Bo z jakiegoś powodu, mimo łączącego ich początkowo bliskiego, a aktualnie bardzo rozcieńczonego pokrewieństwa, zawsze ciągnęło ich w stronę pawlickich ślicznotek. Diabli miot, ot co!

Czy i on, jako kolejny z rodu, miałby dać się otumanić ciemnym oczom takiej dzierlatki?

Co to, to nie!

Oj... gdyby na powrót był panem na Pawlicach! On by pokazał tej smarkuli, gdzie raki zimują! Przed wojną takie jak ona nadawały się do tego, aby je przygnieść na sianie. A teraz – patrzcie państwo! Wyrosło toto na damę z miasta!

Do pokoju wróciła Julia. Miała tacę, a na niej dwie szklanki z dość mocną herbatą oraz, ach!, szarlotkę. Wawrzyńcowi z miejsca zrobiło się głupio za wcześniejsze butne myśli. Choć był niepożądanym intruzem, pani domu podejmowała go nad wyraz życzliwie. Wszak wczoraj musiał napędzić jej strachu.

A może nie?

Może była zaciekawiona, co też miał jej do powiedzenia. Przecież spotkali się w dość zaskakujących okolicznościach. Zapewne chciała go wyprowadzić z błędu i powiedzieć, że faktycznie jest wdową po jakimś Pawłowskim, co było zabawną zbieżnością. Mimo to postanowił podtrzymać swoje stanowisko i zarzucić jej, że uzurpuje sobie prawo do cudzego nazwiska.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, zajmując się słodzeniem herbaty. Julia podsunęła mężczyźnie talerzyk oraz widelczyk.

– Proszę się poczęstować.

– Z przyjemnością. – Nie dał sobie dwa razy powtarzać i już po chwili delektował się świeżym smakołykiem. – Mm! Coś wspaniałego! – pochwalił ze szczerym zachwytem.

Był łasuchem. Bezsprzecznie.

Julka nieznacznie odetchnęła z ulgą. Zdaje się, że zdołała go obłaskawić. Poprzedniego dnia bardzo jej pomógł. Zachował trzeźwość umysłu, gdy składała zeznania. Dzięki niemu wkrótce pozyska nowe dokumenty – już nie fałszywe, i na dodatek na nazwisko, które nosiła od ponad sześciu lat. Przestała go podejrzewać o współpracę z Urzędem Bezpieczeństwa – żywiła

nadzieję, że nie na wyrost.

– Cieszę się, że panu smakuje – odparła. – Ale nie przyszedł pan na ciasto i herbatę – naprowadziła rozmowę na właściwy temat.

Z żalem odłożył talerzyk oczyszczony niemalże do ostatniego okrucha. Chętnie poczęstowałby się jeszcze odrobiną, ale to mogłoby zostać uznane za łakomstwo. No i rzeczywiście nie przyszedł na kurtuazyjną herbatkę.

– No tak. Chodzi mi o pani nazwisko. A raczej moje nazwisko. I o to, że nie protestowała pani na posterunku, gdy zeznawałem jako pani mąż. Chcę wiedzieć, czemu przedstawia się pani jako Pawłowska.

Julia wyglądała na zmieszaną. Widać nie zamierzała wtajemniczać go w swoje sprawy.

– Nie jest pani wdową po żadnym moim krewnym, prawda? – drążył temat.

Spojrzała mu w oczy i pokręciła głową.

– Nie poślubiła pani nikogo z mojej rodziny.

Temu także nie mogła zaprzeczyć.

– Skąd więc to nazwisko?

– Jest fałszywe – wyznała, drżąc na myśl o kłopotach, które mogłaby na siebie ściągnąć.

– Dlaczego akurat Pawłowska, a nie Kowalska, Nowak czy cokolwiek innego?

– Bronek to wymyślił. Aby łatwiej nam było się przyzwyczaić.

– Do czego? Do życia w Hucie?

– Poniekąd tak.

– Skąd się tu wzięliście? Przecież nie mieliście aż tylu hektarów co my.

– Owszem, mieliśmy ich za dużo. Po ostatnich pomiarach okazało się, że podpadamy pod ustawę wywłaszczającą. Państwo zabrało naszą ziemię, a my musieliśmy wyjechać za chlebem.

Julia wstała i podeszła do okna. Wyjrzała na zewnątrz, aby sprawdzić, czy synek bawi się tak, jak mu przykazała. Na szczęście w świetle latarni widziała, jak beztrudnie dokazuje z grupką kolegów – chłopcy urządzili bitwę na śnieżki. Uspokojona tym widokiem wróciła do stołu.

W tym samym czasie Pawłowski zastanawiał się, czy zostałby uznany za łakomczucha, gdyby sięgnął po jeszcze jeden kawałek ciasta. Szarlotka kuszyła niebywałym aromatem, boleśnie drażniącym kubki smakowe. Z trudem zapanował nad zachcianką.

– Całą rodziną? – indagował, przełykając ślinę.

– Nie. Na wsi została jeszcze matula oraz Dorota. Moja najstarsza siostra – wyjaśniła zupełnie niepotrzebnie.

– Wiem, kim jest Dorota – powiedział. – Wszyscy przyjęliście nasze nazwisko? Mam na myśli tych, którzy tu mieszkają.

– Nie. Tylko ja.

– Dlaczego?

– Musiałam.

– Ukrywa się pani przed kimś – próbował zgadywać.

– Niezupełnie.

– A ojciec dziecka? Akceptuje to? – zaryzykował.

– Ojciec dziecka nie żyje.

– Przepraszam – odparł zbity z tropu.

Czyli rzeczywiście była wdową.

– Pani Julio... Proszę mi to jakoś racjonalnie wyjaśnić. Chyba mam prawo tego oczekiwać. Szczególnie teraz, gdy okazuje się, że jestem żonatym mężczyzną, chociaż nie brałem ślubu. To trochę komplikuje moją sytuację życiową, czyż nie?

– Przykro mi. Nie powinien był pan zmuszać mnie do zgłaszania kradzieży. Jakoś bym

sobie poradziła.

– Doprawdy? – zapytał, zezując na smakołyk.

– To mój problem – zauważyła.

– Ale moim problemem jest żona, która nagle mi się pojawiła.

– Na szczęście to się da naprawić. Weźmiemy rozwód.

– Tak przypuszczam. Nadal jednak nie wiem, dlaczego posługuje się pani fałszywym nazwiskiem.

– To przesłuchanie? – próbowała wymigać się od odpowiedzi.

– Nie. Ale w zamian za okazaną pomoc chciałbym poznać prawdę.

– Dobrze. Powiem panu. Spodziewałam się dziecka, gdy przyjechałam do Nowej Huty. Zamieszkałam u Bronka. Mój brat wymyślił zmianę nazwiska, aby nikt mnie nie szkalował.

– Czyli pani w ogóle nie jest wdową.

– Nie. I nie jestem też rozwódką ani mężatką! – zirytowała się. – Uciekłam z Pawlic przed ojcem Karola! Ten potwór najpierw mnie zgwałcił, a potem żądał, abym zabiła dziecko! To pan chciał usłyszeć? – krzyczała.

Nie miał podstaw, aby jej nie wierzyć. Poczul palący wstyd.

– Przepraszam, pani Julio. Nie miałem pojęcia. Nie myślałem...

– Otóż to. Wy, mężczyźni, bardzo rzadko myślicie w takich przypadkach! Proszę już iść i zostawić mnie w spokoju! – zażądała roztrzęsiona kobieta.

Podeszła do kredensu i z szuflady wyjęła kartkę oraz długopis.

– Proszę mi zapisać swój adres. Skontaktuję się z panem w sprawie rozwodu tak szybko, jak to będzie możliwe.

– Bardzo mi przykro, że uraziłem panią. Nie miałem złych intencji – usiłowałem ją przeprosić, lecz jego wysiłki zostały skwitowane pełnym niechęci spojrzeniem. – Nie ma pośpiechu z rozwodem. Nie planuję w najbliższym czasie zakładania rodziny – oznajmił. – Proszę spokojnie pozatwierać swoje sprawy.

Zanotował adres, przełykając ślinę, która jak na złość wciąż napływała mu do ust. Z żalem stwierdził, że w tej sytuacji sięgnięcie po ciasto byłoby grubo nie na miejscu. Że też musiał wykazać się takim uporem w drażnieniu tematu! Gdyby wcześniej obrócił wszystko w żart, to może siedziałby teraz, gawędząc z panią domu o jakichś przyjemniejszych sprawach. I oczywiście delectowałby się aromatycznym wypiekiem.

Edward Marczyk, funkcjonariusz już nie Urzędu, ale Służby Bezpieczeństwa[1], starannie zasznurował pękatą teczkę. Znał na pamięć jej zawartość – były to kopie wszystkich dokumentów, jakie zostały zgromadzone w sprawie zaginięcia i śmierci Bartka. Ku jego wściekłości temat zabójstwa został zamknięty – morderstwo zostało przypisane Władysławowi Mazurkiewiczowi, choć ten z uporem maniaka twierdził, że nie miał z tym absolutnie nic wspólnego. Winnego skazano. Teoretycznie więc Edek powinien odczuwać satysfakcję – już niedługo zbrodniarz zawisnie i tym samym brat zostanie pomszczony. A jednak pracownik bezpieczeństwa nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Mimo że prowadzący dochodzenie znaleźli jakiegoś świadka, który zeznał pod przysięgą, że na własne oczy widział „pięknego Władzia” w okolicy Limanowej, Edek nie dowierzał ani jego wiarygodności, ani tym bardziej udziałowi znanego przestępcy w niecnym czynie.

On już dawno miał własną teorię i nie dopuszczał myśli, że może być inaczej. Bartka zabił Szymczak. Nie mógł tego zrobić nikt inny, bowiem nikt więcej nie miał ku temu istotnych powodów. A z Bronkiem zawsze mieli na pieńku. Pewnie szukał, smarkacz jeden, pomsty za to, że mu rywal sprzątnął sprzed nosa narzeczoną. No i oczywiście za te hektary, co to je utracił na skutek reformy rolnej – zasłużenie zresztą.

Przyszedł czas, aby wziąć sprawy w swoje ręce i samodzielnie poszukać sprawiedliwości.

Edek, podtrzymując palcem wskazującym brudną łyżeczkę wystającą ze szklanki, siorbnął łyk zimnej kawy. Napój skończył się zdecydowanie zbyt szybko. Wprawdzie można byłoby zagrzać wodę i zrobić dolewkę – Marczyk zawsze tak czynił, aby nie zmarnować kosztownego i trudno dostępnego towaru, ale tym razem zrezygnował. To miała być ostatnia kawa wypita w Limanowej. Chciał ją dobrze zapamiętać.

Następna będzie w Nowej Hucie.

[1] Po reorganizacji Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego jednostki, które wcześniej mu podlegały, zostały zreorganizowane i włączone do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jako Służba Bezpieczeństwa. W takim kształcie działały od 28 listopada 1956 r. do 31 lipca 1990 r.



*Rok 1957*

## **Rozdział 2**



*Płonne nadzieje*

*Nowy Rok, nowe nadzieje* – myślał Janek, składając życzenia Krysi.

Tym razem musiało wystarczyć kilka ogólnie wypowiedzianych słów, bez precyzowania tego, co najważniejsze. Żeby nie zapeszyć, ponieważ cztery dni wcześniej żona powiedziała mu, że nie dostała na czas miesiączki. Jeszcze bali się mówić o tym na głos, rozważać, co może oznaczać to spóźnienie.

Do tej pory, gdy wspominał o dziecku, wciąż go mitygowała, że nie ma powodu do niepokoju, bo przecież są niewiele ponad rok po ślubie i jeszcze wszystko przed nimi. Mimo to odczuwał obawy. Marzył o powiększeniu rodziny. Pozostawieniu po sobie na ziemi jakiegoś śladu. Udowodnieniu, że sprawdził się jako mężczyzna.

Jego nowa rodzina rosła w siłę. Bliźniaki Leszka coraz lepiej chodziły. Za niespełna tydzień skończą rok. Andrzej głaskał pękaty brzuszki Sabiny, która niebawem spodziewała się rozwiązania. Tylko patrzeć, jak Broniek weźmie ślub i oznajmi, że zostanie ojcem. Nie doczekał się na dziecko od Haliny, lecz w tym nie było nic niezwykłego, czegoż można spodziewać się po takiej kobiecie?

Z nowohuckiej części rodziny Szymczaków tylko u niego i u Julii upływ czasu nie przysparzał większych zmian. Ale ona miała przynajmniej swoje kilkuletnie szczęście i, jak

mawiała, niczego więcej nie było jej potrzeba.

Janek wciąż wodził tęsknym wzrokiem za Karolem. Chciał mieć chłopca takiego jak on: grzecznego, ułożonego i nad podziw bystrego. Jego matka była wyjątkową osobą, skoro samodzielnie potrafiła wychować dziecko tak pięknie.

*Mój synek też będzie taki. Dołożę do tego wszelkich starań. Będziemy dużo rozmawiali, pokażę mu świat. Nigdy nie zabraknie mi cierpliwości. A jeśli urodzi się dziewczynka... Zostanie moją małą księżniczką. Daj Boże, aby ta chwila nadeszła dla nas jak najprędzej!*

Wypity wcześniej alkohol i wzruszenie sprawiły, że jego oczy zaszyły łzami.

*Daj Boże – powtarzał w myślach. Daj Boże. Daj Boże, daj Boże...*

– Musisz zawsze tak się do niej wdzięczyc? – Zimny ton sprawił, że styczniowy poranek robił wrażenie jeszcze chłodniejszego.

Wracali od Julii z sylwestra, na którym wcześniej zgromadziła się cała familia.

– O czym ty mówisz, Krysieńko? – Zdziwiony Janek spojrział na połowicę.

– O Julce! – wybuchnęła. – Wciąż robisz do niej maślane oczy, nadskakujesz jej na każdym kroku!

– Coś sobie ubzdurałaś – odparł spokojnie.

Znał ją wystarczająco, aby wiedzieć, że gwałtowne zaprzeczenia w niczym nie pomogą, a jedynie rozjuszą wzburzoną połowicę. Gdy na jej zarzuty odpowiadał z opanowaniem, dawała w końcu wiarę jego słowom i odpuszczała.

Nie pierwszy raz okazywała zazdrość o siostrę.

Czy tak mocno miał wypisane uczucia na twarzy?

Cierpiał na swoisty rozszczęp serca. Kochał swoją żywiołową małżonkę. Kiedy nie urządziła awantur o byle drobiazg i nie narzekała na migrenę, dobrze im było ze sobą.

A jednak wciąż miał ogromny sentyment do Julii, bowiem to, co do niej czuł, trudno byłoby nazwać miłością. Szanował ją i podziwiał, gdyż świetnie radziła sobie ze wszystkim.

Jego zdaniem Krystyna nie miała najdrobniejszych powodów do zazdrości. Powiedział jej o tym, lecz to tylko zaogniło sytuację.

Już dawno nie widział żony równie poruszonej.

– Powiem ci coś na temat tego twojego ideału! – krzyczała zapamiętała. – Wydaje ci się, że jest święta i niewinna? Otóż nie, mój drogi! To mała, zakłamana franca!

– Krysiu, uspokój się. Mówisz o swojej siostrze – oponował.

– Co z niej za siostra, skoro wciąż muszę pozostawać w jej cieniu? Julka zawsze dostaje od losu więcej niż ja, a mimo to kładzie łapy również i na tym, co moje!

– Natychmiast przestań! Tymi słowami obrażasz nie tylko ją, ale i mnie. Czyżbyś miała do mnie jakieś zastrzeżenia, Krysiu? Jeśli tak, powiedz mi o tym, ale zostaw w spokoju Julię.

– Właśnie o nią mi chodzi! O nic innego. Dałeś się jej omotać tak samo jak Bartek! – chlapanęła mimo woli i natychmiast zamilkła.

– Bartek? – podłapał mężczyzna. – Jaki Bartek?

Przez chwilę sprzeczali się chaotycznie, gdyż Krystyna nie chciała wyjawic, co ma na myśli, a on, raz zaintrygowany, postanowił nie odpuszczać. W końcu nie wytrzymała.

– Dobra. Powiem ci wszystko! Przekonasz się, co za ziółko jest z Julii! Ona wcale nie jest wdową! Okłamała ciebie i oszukuje wszystkich wokół. A to dziecko! Ten mały wstrętny bękart...

– ...jest owocem gwałtu – dokończył za nią. – Wiem o tym, Krysiu. Broniek dawno temu opowiedział mi historię Julii.

– I co? Uważasz ją za świętą?

– Owszem. Szanuję twoją siostrę i podziwiam za to, że po pierwsze nie poszła do znachorki, a po drugie, że nigdy nie zdradziła się przed nikim ze swoimi troskami. Co więcej, nie życzę sobie, abyś nazywała Karola w taki sposób. Jeśli ktokolwiek zasługuje na pogardę, to jedynie bydlak, który skrzywdził Julię.

– Skrzywdził? – syknęła oburzona kobieta, robiąc ogromne oczy. Było w nich coś przerażającego. – Skrzywdził! To ona strzelała za nim wzrokiem. Kusila go ile wlezie! Omamiła go! A on był mój – załkała. – To mnie pierwszą zauważył. Czekałam na swatów od niego – szlochała coraz głośniej. – Nigdy nie uwierzę w to, że ją zgwałcił! Ona łze! Na pewno tak nagadała Bronkowi, bo Bartek nie chciał się z nią ożenić! Bo... Bo... Bo on zawsze kochał tylko mnie! Mnie! Rozumiesz? A ona wlała pomiędzy nas!

Płakała rozpaczliwie, nie mogąc się uspokoić.

Janek patrzył na nią w osłupieniu.

*Ach więc tak sprawy się mają! To dlatego Krysia tak nie lubi Julii!*

Zaraz jednak nabrał sceptycyzmu.

*Ale... Ale to nie może być prawda! Nie wierzę, żeby Julia była zdolna do odbicia narzeczonego własnej siostrze, a później łgania wszystkim wokół, że on jest gwałcicielem.*

Słowo żony przeciwko historii, którą kiedyś opowiedział mu Szymczak.

Komu wierzyć?

I chociaż było to niesprawiedliwe i krzywdzące dla Krystyny, doszedł do wniosku, że prawdą jest to, co usłyszał od Bronka. Znał Julię wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nie byłaby zdolna do takiego oszustwa.

Co innego w dobrej wierze i dla ochrony własnego dziecka skłamać na temat swojego stanu cywilnego, co innego wmówić wszystkim wokół, że dojrzewające życie jest owocem gwałtu. Żadna kobieta nie naznaczyłaby świadomie potomstwa tak przerażającym piętnem.

Janek złapał żonę za ramię i mocno je uściśnął.

– Jeśli kiedykolwiek powtórzysz to komukolwiek, gorzko zapłaczesz z tego powodu. Nigdy więcej nie chcę słyszeć ani słowa na ten temat. A jako twój mąż zwracam ci uwagę na niestosowność opowiadania historyjek o byłym absztyfikancie.

– Stajesz po stronie Julii? Nigdy ci tego nie zapomnę! Nigdy!

– Milcz, kobieto! – skarcił ją ostrym tonem. – Powiedziałaś już dosyć. Ale jest jeszcze możliwość, abyśmy zapomnieli o tej kłótni – dodał łagodniej, otwierając przed nią drzwi.

Nowy rok nie przyniósł Polakom znacznych zmian.

Szóstego stycznia powołano do życia Polskie Towarzystwo Pielęgniarskie, co wzbudziło żywe zainteresowanie Bogusi. Od tej pory Zakrocka pilnie śledziła wszelkie związane z tym wieści, spodziewając się, że dzięki przystąpieniu do organizacji będzie mogła podnieść kwalifikacje zawodowe. Pokładała w tym większe nadzieje niż w PZPR, do której wciąż ją próbowano zwerbować. Nie zamierzała zapisywać się do PZPR-u, choć pewnie coś by na tym zyskała. Czerwona legitymacja mogłaby przekreślić jej związek z Szymczakiem. Zakrocka doskonale знаła zapatrywania polityczne ukochanego, co więcej, sama miała podobne poglądy. Liczyła teraz na to, że po zasileniu szeregów Towarzystwa zyska święty spokój i skończą się nagabywania dyrektora personalnego, który nie ustawał w agitacji.

Projekcja filmu *Człowiek na torze* w reżyserii Andrzeja Munka przyciągała rzesze fanów dziesiątej muzy. Cierpliwie czekali w długiej kolejce do kasy, w której urzędował Szymczak. Niedawno przełożony docenił sumienność Jędrka i powierzył mu nowe obowiązki. Sprzedaż biletów wiązała się z odpowiedzialnością za pieniądze, a więc także z niewielką podwyżką wynagrodzenia, i była traktowana jak awans.

Andrzej wiercił się niespokojnie. Potrzebował pilnie wyskoczyć, gdyż właśnie od ludzi stojących w kolejce usłyszał, że od kilku dni można zawierać zakłady Toto-Lotka. Wprawdzie najbliższe losowanie miało się odbyć dopiero w niedzielę, ale on chciał jak najszybciej skreślić sześć z czterdziestu dziewięciu liczb i zgarnąć główną wygraną. Wszak milion złotych to kwota niemalże astronomiczna. Przy niej sto tysięcy, jakie oferowano za wygraną w zakładach sportowych, wyglądało... nędznie. No i jakie to było łatwe! By zagrać, nie trzeba się znać na piłce nożnej i śledzić na bieżąco rozgrywek – choć te nieustająco interesowały Szymczaka. Wystarczyło tylko prawidłowo wytypować sześć liczb. A cóż to jest sześć liczb? Ech, bułka z masłem!

Co on by zrobił z taką kasą?

Kupiłby sobie samochód, najlepiej zagraniczny. Marzył o Chevrolecie Bel Air. Ach, te jego kształty! Te białe skrzydła nad tylnymi kołami i chromowane wykończenia, które tak pięknie lśniły w pełnym słońcu! To eleganckie wnętrze, które udało mu się kiedyś obejrzeć, gdy zobaczył samochód tej marki zaparkowany przed budynkiem Dzielnicowej Rady. Marzenie, które trudno byłoby spełnić! Ostatecznie mógłby kupić produkowaną od kilku lat warszawę M20, choć oczywiście wolałby zagraniczny pojazd. Sabinie podarowałby piękne futro ze srebrnych lub czarnych lisów. Takie, jakie noszą gwiazdy filmowe, najlepiej te zagraniczne: Greta Garbo, Marlena Dietrich albo ta śliczna, młodziutka Brigitte Bardot, która swym szerokim i zaraźliwym uśmiechem przypomina jego ukochaną żonę.

Oczywiście nabyłby także piękną daczę w górach. Albo lepiej całoroczny dom, w którym mieszkaliby sobie szczęśliwie, z dala od zagrożeń nuklearnych i polityki. Jego nie obchodziły wybory parlamentarne sprzed blisko dwóch tygodni. Cóż mogły zmienić? Z góry było wiadomo, kto wygra. Cyrankiewicz łatwo nie oddałby władzy, odpowiadał mu rządowy stołek.

Wspomógłby także rodzeństwo, bo przecież nie mógłby sam wszystkiego wydawać, podczas gdy taka Julka ledwo wiąże koniec z końcem. U Leszka też nietęgo z dwójką dzieci, a i w Pawlicach przydałaby się pomoc. Wszędzie znalazłyby się tysiące dziur do zatkania.

Byle tylko wygrać! Byle wygrać.

Było jeszcze jedno marzenie, o którym nie lubił mówić na głos – desperacko pragnął powrotu do zdrowia. Poruszania się bez pomocy laski. Godnej postawy, a nie powykęcanych kulasów. Pozwoliłby sobie te cholerne nogi połamać po raz trzeci, gdyby tylko wiedział, że lekarz uczyni cuda. Ponoć za granicą nie takie rzeczy się działy!

Cóż on by dał za to, aby odzyskać pełną sprawność. Gdyby tak się stało – każdej soboty zabierałby żonę na dancing! I tańczyliby, tańczyli, tańczyli – aż po błądy świt. Aż po ostatni bąbelek szampana, który lałby się całymi strumieniami.

Musiał więc prędko pokuśtykać po te swoje marzenia. Zanim go inni ubiegną!

Projekcja filmu trwała w najlepsze, gdy Andrzej uzgodnił z koleżanką sprawdzającą bilety, że wyskoczy na moment z pracy. Czym prędzej poszedł, aby wypełnić kupon. Przy okazji zatrzymał się przy kiosku RUCH-u, gdzie nabył dziennik. Ponieważ miał trochę czasu, po powrocie do kina przejrzał pobieżnie artykuły. Jeden z nich przykuł jego uwagę na dłużej. Zaaferowany mężczyzna zwinął gazetę.

– Pani Haniu, jeszcze chwilę mnie pani zastąpi, dobrze? – zapytał i już go nie było.

Tym razem skierował chwiejny krok w przeciwnym kierunku, ku wejściu do Teatru Ludowego. Tam już go dobrze znali, więc nikt nie robił trudności, gdy wszedł na próbę spektaklu.

Od paru miesięcy Sabina pracowała na pełny etat jako aktorka. To było ukoronowanie jej marzeń, gdyż wcześniej musiały jej wystarczyć wyłącznie drobne role na zastępstwo. Trochę się martwiła, czy będzie mogła wrócić do pracy po urodzeniu i jakim takim odchowaniu dziecka. Żał byłoby, gdyby straciła z trudem wypracowaną pozycję.

Odczekał chwilę, aż ukochana zakończy swoją kwestię. Później dawał w milczeniu znaki, aby podeszła do niego.

– Coś się stało, Jędrus? – zapytała, gdyż nieczęsto przeszkadzał jej w pracy.

– Zobacz! – Wyjął z kieszeni kraciatej marynarki, a następnie rozwinął płachtę gazety. – Tutaj stoi, że na Montelupich powiesili Mazurkiewicza! W końcu dostał za swoje! – powiedział zajadle.

– Dziewczyny! Dziewczyny! – krzyknęła Sabina. – Chodźcie, powiem wam coś ciekawego!

Wokół małżonków stłoczyła się gromadka aktorek.

– Nie żyje ten zbrodniarz, co to zastraszył cały Kraków! Jesteśmy już bezpieczne! Powiesili ancykrysa!

Od dłuższego czasu miasto żyło strachem przed seryjnym mordercą. Chociaż w trakcie procesu nie udowodniono mu aż tak wielu zbrodni, istniały przypuszczenia, że jego ofiarą padło co najmniej trzydzieści osób. Kobiety bały się samotnie wychodzić wieczorami, bo choć zbrodnie popełniane były głównie na tle rabunkowym, kto wie, co siedzi w głowie takiego łotra?

– Dobrze mu tak! – Sabina odetchnęła. – Wcale mi nie szkoda, że zawisł.

– Siedem razy powinni go powiesić, dla pewności, by ten upiór nie ożył!

– A co tam jeszcze ciekawego piszą, Jędrus? – zagadnęła młoda statystka Anielka Luraniec.

Sabina z miejsca koso na nią spojrzała. Według niej ta siksa stanowczo za bardzo spoufalala się z jej mężem. Już dawno zauważyła, że mimo kalectwa ślubny przyciąga spojrzenia dziewczyn. *Nie ma się co dziwić* – myślała – *przystojny to on jest jak mało który. Ubiera się modnie. Dziewuchy patrzą na niego jak sroki w gnat.*

Na razie mąż nie dawał jej powodów do zazdrości, ale kto się wyzna, co siedzi w męskiej łepetynie? A co będzie, jak ciążowy brzuch urośnie jeszcze bardziej i stanie się dla niego nieatrakcyjna? Był wiecznie spragniony i niewyżyty. Mógłby się z nią kochać po kilka razy każdej nocy i czasami faktycznie tak bywało. Jak więc Andrzej zniesie późniejszą wstrzemięźliwość: tuż przed porodem oraz w czasie połogu?

– Już wam mówię – odparł, po czym streścił artykuł: – „Elegancki morderca” do ostatniej chwili chciał zachować fason. Nic sobie nie robił z czekającego go stryczka. A jego ostatnie

słowa brzmiały ponoć: *Do widzenia, panowie. Niedługo wszyscy się spotkamy* – skwitował.

– Brr! Straszne. Cóż to za piekielnik! – oburzyła się Aniela, trzepocząc przy tym zalotnie powiekami. – Aż mi serce wali na samą myśl o nim! – Teatralnym gestem przycisnęła dłonie do piersi tak mocno, że zafalowały, co oczywiście nie uszło uwadze atrakcyjnego bikiniarza.

– Proszę się nie obawiać, panno Anielciu! On już wisi. A raczej leży w drewnianej jesionce.

– Zasłużył sobie na szubienicę. – Wydeła uszminkowane na czerwono usteczka.

– Brat mi kiedyś napomknął, że temu zbrodniarzowi przypisano śmierć jego żony. Sprawa przepadła, bo w procesie zabrakło dostatecznych dowodów. No i adwokat wykił się, że przecież „Piękny Władzio” nie brudził sobie rąk podryzaniem gardła, lecz zabijał strzałem w głowę. Tylko że przy denatce znaleziono chustkę z jego inicjałami. No i ponoć Halina pomagała mu w jakiejś mętnej transakcji. Sprzątnął ją pewnikiem, bo nie potrzebował niewygodnego świadka! Dobra, miłe panie, czas na mnie. Muszę wracać do pracy. Padam do nóżek! Przyjdę później po ciebie – zwrócił się do małżonki i cmoknął ją w policzek.

Widząc, że Sabina nie patrzy, puścił oko do Anielki.

Nielatwo przychodziło Jędrkowi panowanie nad wybujałymi potrzebami ciała. Wciąż miał apetyt na pieszczoty, a tymczasem, jak na złość, żona po zajściu w ciążę zdawała się tracić zainteresowanie figlami. Najpierw nie miała ochoty, ponieważ źle się czuła: wieczorami wciąż chciało jej się spać albo miewała migrenę. Zasypiała zaraz po przyłożeniu głowy do poduszki. Za dnia bywała drażliwa i zmęczona. Wszystko ją irytowało, a każda czynność, którą miała do wykonania, nastroczała niebywałych trudności. Zawsze pechowa i niezdarna, teraz stała się jeszcze płaczliwa. Wciąż coś gubiła albo tłukła, a potem godzinami potrafiła ślimaczyć się o byle bzdurę. A rano... Cóż, rano ją mdliło, więc tym bardziej wszelka myśl o odrobinie przyjemności nie miała racji bytu. Robili to więc znacznie rzadziej. Wprawdzie po jakimś czasie ślubna poczuła się lepiej, co od razu znalazło odzwierciedlenie w ich pożyciu, lecz radość nie trwała długo. Kilka dni temu zaczęła bowiem kaprysić, że jest już gruba, urósł jej brzuch i czuje napięcie w obrzmiałych piersiach.

Ech... Nic, tylko siedzieć i wyć!

Za oknem panowały ciemności. W wysokich witrynach Stylowej niczym w lustrze odbijały się mleczone kule żyrandoli, sztukaterie oraz białe i czerwone obrusy. Kelnerzy niemal bezszelestnie lawirowali po marmurowych posadzkach, kręcąc się pomiędzy stolikami a donicami wybujałych kwiatów. W tle słychać było wygrywaną na pianinie muzykę.

– Przyjemnie tutaj – stwierdziła Bogusia, przeglądając menu.

Nigdy wcześniej nie była w tym lokalu. Działał zaledwie od kilku miesięcy.

Inaugurowano go z okazji Święta Odrodzenia Polski dwudziestego drugiego lipca ubiegłego roku. Kawiarnia z założenia miała być najelegantszym miejscem w dzielnicy i przyciągała elity nowohuckie. Do tej pory pielęgniarka знаła ją jedynie z opowieści lekarzy, umawiających się na kieliszek koniaku lub bułgarskiego wina. Chwalili wyjątkową kulturę kelnerów oraz atmosferę – jakże inną od hałaśliwych barów, gdzie gościom serwowano wódkę i śledzia.

– Owszem, przyjemnie. Nareszcie człowiek może przyjść z kobietą w wytworne miejsce bez obawy, że ktoś nieopatrznie ochlapie mu damę piwkiem, albo że wypali papierosem dziurę w płaszczu. Na co masz ochotę?

– Poprzestanę na kawie – stwierdziła, odkładając kartę.

Nie miała sumienia, aby naciągać Bronka na cokolwiek więcej, gdyż lokal zdecydowanie nie należał do tanich.

– Mowy nie ma! – zaprotestował mężczyzna. – Co powiesz na kieliszek czerwonego wina? I może wuzetkę do tego? Albo kremówkę? Dzisiaj świętujemy!

– A co to za okazja, że tak ją chcesz celebrować? – zdziwiła się kobieta.

– Najpierw złożymy zamówienie, później wyjaśnię ci, o co chodzi. – Puścił oko do ukochanej.

Przywołał przechodzącego kelnera, a gdy już zostali obsłużeni, ujął Bogusię za rękę. Wolną dłonią uniósł kieliszek.

– Dokładnie siedem lat temu los postawił mi na drodze anioła, który odmienił całe moje życie. Dzięki guzowi, którego sobie wówczas nabiłem, odzyskałem przytomność i postanowiłem wyrwać się z Meksyku.

– Pamiętasz? – wyraziła zdziwienie.

– Co do dnia! Jakże mógłbym zapomnieć?



– Uratowałeś wtedy moją cześć. Kto wie? Może nawet życie. To ja powinnam dzisiaj postawić ci kawę i kieliszek wina.

– O nie! – zaprotestował żywo. – To ty ocaliłaś mnie: przed pijaństwem i ohydą baraków. Przed totalnym upadkiem. Gdy obudziłem się w szpitalu, zrozumiałem, że marnuję sobie życie. Bo choć nie miałem już ziemi i zostałem skazany na wygnanie, mogłem przecież zachować godność, z której także próbowali mnie ograbić komuniści. A ty, cytując wówczas *Pana Tadeusza*, wlałaś w moje serce nową nadzieję. Uwierzyłem, że jeszcze powrócę...

– *Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, / Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem*[2] – skończyli zgodnie.

– Jak cię nie kochać, aniele? No jak? – zapytał, spoglądając z czułością w niebieskie oczy ukochanej.

– Kochaj mnie, Bronuś. Kochaj na zawsze – powiedziała szeptem.

– Póki starczy tchu moim płucom, póki w żyłach płynie krew – zapewnił. – To była pierwsza pozytywna sprawa od czasu, gdy przyjechałem do Nowej Huty – powrócił do przerwane go tematu. – Drugą jest moja nieustająca miłość do ciebie, która z każdym dniem zdaje się coraz bardziej przybierać na sile, choć już dawno odnosiłem wrażenie, że mocniej kochać niepodobna – ucałował dłoń wybranki. – A teraz przyszedł czas na trzecią odmianę losu.

Bogusia słuchała wywodów z niespokojnie bijącym sercem. Wstrzymała oddech, gdy włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej złoty pierścionek. Drobiazg wyglądał na bardzo stary i wygładzony przez czas.

– Należał do mamy – oznajmił. – Dała mi go podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Przed nią nosiła go jej matka, a wcześniej Zenobia, moja prababka. Ona dostała ten pierścień od mężczyzny, który pokochał ją miłością równie szaloną i gorącą, jaką ja czuję do ciebie. A teraz chciałbym zapytać, Bogusiu, czy przyjmiesz go ode mnie i będziesz nosić najpierw jako moja narzeczona, a niebawem jako żona? Ja wiem, że może ci się to wydawać zbyt szybko, ale straciliśmy już wiele lat i nie chcę marnować więcej czasu – dodał, gdyż milczała, spoglądając to na niego, to na złotą ozdobę. – Wyświadczysz mi ten zaszczyt, aniele?

– Bronuś! – powiedziała, zasłaniając usta drżącą dłonią. – Bronuś... Kochany! Najdroższy!

– Czy to oznacza, że się zgadzasz?

– Tak – wyszeptała i spłonęła rumieńcem niezwykłym dla jej karnacji.

Politycy rządzący krajem uznali, że jedyna słuszna partia potrzebuje kolejnej tuby propagandowej, co doprowadziło do utworzenia tygodnika „Polityka” – czytanego namiętnie przez Kazimierę oraz Leszka, ignorowanego przez pozostałych członków rodziny Szymczaków oraz Kulków.

– Szkoda wycinać lasy na papier dla drukowania tej szmaty – stwierdził niezadowolony Bronek.

– Nie martw się, chłopie. Będzie czym tyłek wycierać – ripostował po swojemu Janek.

Szwagrowie nabyli jeden numer nowego periodyku. Przeczytali go podczas przerwy w murarce, po czym zgodnie zdecydowali o jego przeznaczeniu. Kulka z ogromną satysfakcją zlął z drugiego piętra nowo budowanego bloku, w którym stawiali ściany działowe, i przeciął ogrodzony prowizorycznie plac budowy. Ślizgając się po budowlanych wykrotach, pognął w stronę sławojki.

– Kaj ty tak pędzisz? – zagadnął go Heniek Kojderek. – Sraczka cię zdybała?

– A żebyś wiedział! – odparł, zwalniając kroku. Pomachał koledze przed oczami gazetą, dokładając przy tym starań, aby tytuł był jak najbardziej widoczny. – Brygadzysta załatwił nam papier toaletowy do wychodka. A żem ciekaw, jak się nim będzie podcierało, lecę skorzystać jako pierwszy.

– Uważaj, żeby ci jakieś krosty od tego nie wylazły – napomniął go kolega.

– Spokojna twoja łepetyna! Tyłek mam odporny na pieprzenie polityków.

Kulka pognął dalej, aby pozbyć się gazety. W podobny sposób kilka dni wcześniej potraktowali krakowski tygodnik „Wieści” poświęcony problemom wsi. Wtedy to Bronek pastwił się nad nim, utyskując na peany pochwalne pod adresem PGR-ów i innych podobnych twórców.

Partia nas posłała na ten odcinek walki, powierzyła nam tę pracę, pieczołowicie kierowała naszą pracą, prostowała błędy i braki, i dlatego tylko są te osiągnięcia[3].

Edward Marczyk powtarzał te słowa niczym motto. Nie miał najmniejszej wątpliwości co do tego, jak zaszczytna jest praca w strukturach Służby Bezpieczeństwa. Oto czynnie walczył z wrogami narodu. Wcześniej, w Limanowej, należał do Sekcji 5, która odpowiadała za zabezpieczenie gospodarki rolnej i środowiska chłopskiego przed wrogą działalnością. Tamta funkcja pomogła mu w obsadzeniu Bartka na etacie naczelnika spółdzielni rolniczej.

– Psiakrew! Wszystko dobrze szło, póki ten jebany kułak nie wszedł mi w paradę – burczał sam do siebie, siorbiąc kawę zaprawioną kieliszkiem bimbru, który przynieśli mu koledzy z pobliskiego posterunku Milicji Obywatelskiej. – Czekaj, bratku, jeszcze się porachujemy!

Chwilę zemsty odkładał póki co na bliżej nieokreśloną przyszłość. Na razie musiał jakoś zagospodarować się w Nowej Hucie. Nawiązać znajomości z funkcjonariuszami innych sekcji i przekonać ich, że konieczna jest inwigilacja tego chłystka.

Po przeniesieniu do miasta trafił do Wydziału B zajmującego się obserwacją zewnętrzną i wywiadami o osobach. To bardzo ułatwiało mu działanie, bowiem mógł spokojnie śledzić poczynania Szymczaka.

Nie miał jeszcze okazji spotkać się twarzą w twarz ze swoim wrogiem, choć zgromadził już trochę informacji na jego temat. Znał adresy oraz miejsca pracy większości członków rozrastającej się rodziny. Wiedział, że nie mają teczek. Siedzieli cicho na dupach albo byli wyjątkowo ostrożni. Zakładał raczej tę drugą opcję. Dla niego ludzie dzielili się na tych, którzy siedzieli, siedzą bądź dopiero będą siedzieć. I on dopilnuje, aby ten skurwiel trafił tam, gdzie należy.

Nie mógł sobie pozwolić na ciche sprzątnięcie znenawidzonego wroga. Wiedział bowiem, że koledzy z Limanowej zrobili do akt notatkę służbową na temat metod, które stosował w trakcie przesłuchania. Nie znosili go, z wzajemnością zresztą. Uważał się za ważniejszego od nich, a oni kwestionowali tę hierarchię i tylko szukali sposobności, aby mu stanąć okoniem. Mocno z nimi zadarł – nie tylko wtedy, ale przez cały czas pracy w tej zapyziałej dziurze. Gdyby Szymczak zniknął, mogliby rzucić na niego podejrzenie. Musiał więc postępować ostrożnie i zgromadzić jakieś dowody, które dałyby podstawę do aresztowania. Cóż, czasami nawet pracownicy Służby Bezpieczeństwa winni zachować rozwagę.

A tak właściwie, to jaką by miał satysfakcję, gdyby zastrzelił go z ukrycia? No, jaką? Bartek umierał powoli i świadomie, więc i ten gnojek powinien tak zdechnąć. Sama śmierć to za mało, by pomścić taką krzywdę.

*Posrasz się w portki ze strachu, jak już się tobą zajmę.*

Przechodząc obok kiosku RUCH-u, Julia przypomniała sobie, że obiecała Karolowi „Misia”. Miesiąc wcześniej ukazał się pierwszy numer kolorowego pisemka dla maluchów i wszystkie dzieciaki z przedszkola fascynowały się nowością.

– No bo wiesz, mam, tam są takie różne bajki i wierszyki. A w środku wycinanka! Można zrobić coś fajnego!

– A nie wystarczy ci moje bajeczki?

– Ale mam! Bo chłopaki mają... Proszę... – upierał się dość powściągliwie.

Właściwie czemu nie miałyby mu kupić gazetki? Tak ładnie już potrafił czytać! Wszak to tylko złoty pięćdziesiąt.

Zatrzymała się na moment i poprosiła kioskarkę o czasopismo.

– Pani Julio, a może weźmie pani jeszcze to? – Sprzedawczyni pokazała jej najnowszy numer tygodnika „Ekran”.

– Chętnie – ucieszyła się kinomaniaczka.

Zmarniętymi palcami zaczęła wygrzebywać drobne z portmonetki. Dwie monety wypadły i brzdęknęły o chodnik. Schyliła się, aby je pozbiierać. Równocześnie z nią pochylił się ktoś jeszcze. Najpierw sięgnęli razem po ten sam pieniążek, potem w tym samym czasie podnieśli głowy, boleśnie się zderzając.

– Auć! – jęknęła Julia.

– Ojej! – usłyszała znajomy głos.

– To pan? – zdziwiła się, gdy w końcu przed jej oczami przestały wirować czarne płatki.

– Najmocniej przepraszam, pani Julio. Bardzo boli? – zmartwił się Wawrzyniec, ujmując ją za łokieć.

– Nie, nie! W porządku – odparła spłoszona.

Odwróciła się gwałtownie do okienka i zapłaciła należność za prasę.

Żywiła obawy, że przypadkowe spotkanie może skutkować jakąś niemiłą rozmową, na którą nie miała ochoty. Niestety wbrew jej oczekiwaniom Wawrzyniec podjął konwersację, jak tylko włożyła do torebki zwinięte w tutki gazety.

– Nie chciałem nabić pani guza. Proszę o wybaczenie. A może wypije pani ze mną filiżankę kawy? Muszę się upewnić, że nic pani nie dolega – dodał asekuracyjnie, na wypadek gdyby zamierzała odmówić.

Julia pomyślała, że właściwie mogłaby pójść z nim na tę kawę. Wyjaśniłaby mu przy okazji, że sprawa ich rzekomego małżeństwa utknęła, ponieważ wciąż nie wystawiono jej nowych dokumentów. Posiadała tylko zaświadczenie o kradzieży poprzednich.

– No dobrze – odparła – ale zaznaczam, że nie mogę panu poświęcić zbyt wiele czasu. Muszę odebrać syna z przedszkola. Pan, zdaje się, zamierzał coś kupić – przypomniała.

– Ach, to drobiazg – odparł i machnął lekceważąco ręką.

Mniejsza o „Politykę” i powołany na drugą kadencję rząd Cyrankiewicza. Teraz ważniejsza była Julia. Nie mógł pozwolić, aby odeszła.

W minionych kilku miesiącach widywał ją w przelocie, zazwyczaj z oddali. Czasami go zauważała. Na powitania odpowiadała chłodnym skinieniem głowy. Nie próbował podejść bliżej, gdyż widział wyraźną niechęć w jej oczach.

*Rzuciła na mnie urok, czarownica jedna!* – nachodziła go czasami zaskakująca myśl, nieprzystająca pracownikowi naukowemu Akademii Górniczo-Hutniczej.

A teraz, gdy w końcu zdołał na moment stopić lód, który zawsze widział w jej oczach, aż chciało się zanucić:

Cicha woda brzegi rwie,

Nie wiesz nawet jak i gdzie.

Nie zdązysz nawet zabezpieczyć się,  
Bo nie zna nikt metody,  
By się ustrzec cichej wody[4].

Tłumiąc chichot, powstrzymał się od śpiewania – żywił obawy, że mógłby zostać źle zrozumiany.

Udali się do Stylowej. Raz, że była dość blisko, dwa – nie chciał zabierać Julii byle gdzie. Zakładał, że znajoma unika podejrzanych knajp, gdzie mogłaby narazić się na zaczepki.

Pamiętał o tym, co powiedziała w listopadzie. Domyślał się, że raz skrzywdzona – pozostaje nieufna względem mężczyzn. To tłumaczyłoby, dlaczego taka ładna kobieta jest sama. W to, że nikogo nie ma, nie wątpił. Nigdy nie widział jej z nikim poza Bronkiem, dzieckiem lub koleżankami. Na powitania panów odpowiadała zawsze z dystansem. Otoczyła się zwartym murem, przez który trudno było się przebić.

A on bardzo chciał sprawdzić, przed czym z taką pasją przestrzegał go ojciec, a wcześniej ojca dziadek.

Zajęli miejsca. Kelner podał im karty. Wawrzyniec do swojej nawet nie zajrzał, lecz poczekał cierpliwie, aż Julia dokona wyboru. W czasie gdy studiowała menu, przyglądał jej się dyskretnie. Coraz lepiej rozumiał, dlaczego zostali wychowywani w przeświadczeniu, że muszą trzymać się z dala od kobiet z tej rodziny. Choć widział ją już niejednym razem, nie mógł oderwać od niej wzroku. I nie żeby była aż tak powalająco piękna! Wszak nie mogła równać się z gwiazdami kina. Nie miała jednak w sobie tej pospolitości, którą charakteryzowały się typowe twarze wiejskich dziewcząt. Wyraźnie widać było jej intelekt w żywym, bystrym spojrzeniu. A te oczy w kolorze gorzkiej czekolady! Tak wyraziście, że nie musiała wiele mówić, aby wiadomo było, o co jej chodzi. Potrafiła przeszyć człowieka wzrokiem na wskroś, trafić prosto w duszę.

Tak, duszę!

Wierzył bowiem w istnienie w człowieku czegoś więcej poza organami cielesnymi. Jego zdaniem to nie w sercu lokowane były uczucia, lecz właśnie w duszy, która powodowała, że ów mięsień szybciej łomotał. To dusza sprawiała, że myśli żywiej przelatywały przez głowę, a krew zdawała się pulsować w jakimś szaleńczym tempie. Serce umierało wraz z ciałem. Było tylko zlepkiem komórek podlegających procesowi śmierci.

A czyż miłość nie była wieczna?

Wszak ludzie poezji – ci wszyscy romantyczni piewcy uczuć – opisywali ją jako coś ponadczasowego. Trwałego. Niezniszczalnego.

*Wróć! Jaka miłość?* – skarcił się momentalnie w duchu. *Czarownica, ot co!* – pomyślał z niejaką satysfakcją, że należycie ją ocenił. Zamienił z nią bowiem ledwo parę słów, a ta obsesja, w którą popadł dawno temu, nie przechodziła.

Julia wyczuła jego badawcze spojrzenie.

– Czemu tak mi się pan przygląda? – zapytała, nie unosząc wzroku znad karty.

*Zabawne! Przecież nie zdradzę jej moich przemyśleń, choć właśnie je potwierdziła.*

– Szukam podobieństw.

– Podobieństw? – Odłożyła kartę i spojrzała mu w oczy. – Czyżbym miała do czynienia z pierwszym Pawłowskim, który przyznaje się do koligacji pomiędzy naszymi rodzinami?

Wawrzyniec uznał to za niezły pretekst do podtrzymania nie tylko konwersacji, ale również znajomości, choć ta płaszczyzna wydawała mu się dość dziwna.

– Wychodzę ponad uprzedzenia – oznajmił.

– Tak. Jasne. Podobnie jak Ignacy, który jednego dnia skradł całusa Dorocie, a następnego przeszedł obok niej, jakby była powietrzem – odparła z przekąsem.

– Skąd... – urwał. Głupio brzmiałoby takie pytanie. Wszak były siostrami. Zapewne

mimo dzielącej je różnicy wieku Dorota zwierzyła się z tego przeżycia. Niekoniecznie wtedy, równie dobrze mogła to zrobić całkiem niedawno.

– Co u niej słyhać? – zapytał wymijająco. – Wspomniała pani, że została na wsi. Pewnie ma już liczną rodzinę, co?

Pozornie niewinne pytanie przyprawiło kobietę o nieprzyjemny skurcz w żołądku. Nastręczyło także pretekstu do tego, aby pokazać temu arystokratycznemu zadufañcowi, co myśli o przedstawicielach jego płci.

– Ależ nie, drogi *kuzynie*. Moja siostra jest starą panną. Nigdy nie będzie miała rodziny. Tak sobie z nią w czasie wojny pofolgowali mężczyźni, że do końca życia nie spojrzy na żadnego z was.

Zapewne to wyznanie miałoby znacznie większy dramatyzm, gdyby nie kelner, który przyszedł, aby przyjąć zamówienie.

– Dla mnie tylko kawa – oznajmiła.

– Ja również wypiję kawę. Proszę także o dwie szarlotki – zdecydował za siebie i za kobietę.

Zostali sami. Położył rękę na jej dłoni i lekko przytrzymał, gdy chciała ją zabrać.

– Czego się obawiasz, Julio?

– Niedorzeczne pytanie. Wy, mężczyźni, nie kojarzycie mi się nazbyt dobrze – odparła wrogim tonem.

– Nie mogę przeproszać za ludzi, którzy skrzywdzili twoją siostrę i ciebie. A ty nie powinnaś wrzucać nas wszystkich do jednego worka. Nigdy nie spotkałaś człowieka, który jest prawy i szlachetny?

– Owszem. Moich braci oraz szwagra. A cała reszta mnie nie interesuje – oznajmiła zaciekle.

– Trudno się z tobą rozmawia – zauważył.

Na stole pojawiła się kawa oraz ciastka. Wawrzyniec podsunął kobiecie cukierniczkę.

– A czego się pan spodziewał? – zaakcentowała przedostatni wyraz, gdyż irytowało ją, że on nieustannie wchodzi w poufały ton.

– Liczyłem na to, że wieloletnie sąsiedztwo, łączące nas pokrewieństwo i zamieszanie z listopada skruszą choć trochę lody.

– Po-kre-wień-stwo – powtórzyła ospale. – Rodzina wyrzekła się ciebie czy co, że za wszelką cenę próbujesz uczepić się rozrzedzonej krwi swego pradziadka, która płynie w moich żyłach?

– Nie. Matka nie przeżyła wojny. Była krucha, śmierć ojca kompletnie ją załamała. Zmarła na tyfus krótko po tym, jak dotarliśmy do Krakowa – powiedział.

– Przykro mi – rzuciła Julia niby trochę od niechcienia, ale mimo wszystko ze współczuciem. Nie myślała wcześniej o tym, że siedzi przed nią człowiek, którego los doświadczył nie mniej niż jej rodzinę. Nie знаła jego wojennych losów. Wszak po okupacji nie pojawił się w Piotrowicach żaden Pawłowski. – A reszta? – zapytała.

– Adelajda wyszła za mąż w czasie okupacji, a tuż po wojnie wyjechała z mężem do Elbląga. Ignacego los rzucił do Szczecina. Tam dostał ładne mieszkanie po jakiejś niemieckiej rodzinie. Ożenił się, ma trójkę dzieci.

– Rozpierzchliście się po Polsce.

– Tak. Zostałem tutaj sam. Wy, mimo wszystko, mieliście więcej szczęścia. Jesteście niemalże w jednym miejscu, bo czym jest odległość z Huty do Pawlic?

– To prawda. Nas los nie rozproszył tak jak was. Ale czy mieliśmy szczęście? – westchnęła. – Szczęściem było, gdy mogliśmy sami decydować o sobie, a Bronek uprawiał swoje

ukochane łany zbóż. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby radziecka swołocz nie sponiewierała Dorotki. Gdyby tato przeżył wojnę. Gdyby... – urwała. Nie zamierzała zwierzać się ze swoich bolączek, chociaż nagle stwierdziła z zaskoczeniem, że jej pierwotny gniew gdzieś uleciał.

– Dobra szarlotka – przerwał chwilową ciszę towarzyszący jej mężczyzna. – Spróbuj, proszę. Ja wiem, że nie umywa się do tej, którą kiedyś mnie poczęstowałaś, ale naprawdę jest niezła.

– Zapamiętał pan smak mojego ciasta? – zapytała rozbawiona.

– Owszem. Czy to takie dziwne? W życiu nie jadłem czegoś równie dobrego. Jestem niepoprawnym łasuchem – przyznał rozbijając szczerze, widząc, że w jej oczach na moment zamigotały wesołe iskierki. Jeszcze raz przywołał kelnera i nie konsultując tego z Julią, zamówił dwa kieliszki wina.

Zmarszczyła czoło.

– Nie lubię, gdy ktoś podejmuje za mnie decyzje.

– Ależ, Julio! – zaprotestował. – Cóż to za decyzja? To tylko lampka czerwonego bułgarskiego. Pomyślałem, że czas najwyższy wyprostować relacje pomiędzy nami.

– Relacje?

– Owszem. Powinniśmy w końcu wypić bruderszaft, kuzynko.

– Z Bronkiem, Leszkiem, Andrzejem i Krysią też zamierzasz to zrobić?

– Czemu nie? Jeśli tylko nadarzy się sposobność. Jestem tutaj rozpaczliwie samotny – wyznał, okraszając wypowiedź uśmiechem, co znacznie ujęło jej powagi.

Julia przyjrzała mu się wnikliwie.

Czy mówił prawdę? Trudno było jednoznacznie ocenić.

– Ależ! Pański ojciec w grobie się przewróci! – Jej ton był równie pogodny.

– Wawrzyniec – poprawił. – Cóż, będzie musiał się z tym pogodzić. Wszak trzeba iść z duchem czasu. Niepodobna także przeczyć łączącemu nas pokrewieństwu.

– Dobry Boże! Nie wierzę! – Uszczypnęła się w grzbiet dłoni. – Pawłowski, który na nas nie warczy? – Na co tak naprawdę liczysz? – zapytała podejrzliwie.

– Na miłe towarzystwo co jakiś czas. Julio, proszę... Nie odmawiaj. Zapewniam cię, że możesz mi zaufać – trafił w samo sedno.

– To nie takie proste.

– Dlaczego? Czy chodzi o to, że zostałaś kiedyś skrzywdzona?

– Między innymi – odparła wymijająco. W rzeczywistości miała na myśli przede wszystkim syna. Trudno byłoby wytłumaczyć dziecku, że jej znajomy, Wawrzyniec Pawłowski, choć nazywa się tak, jak jego *tato*, w rzeczywistości wcale nim nie jest.

– Pozwól mi udowodnić, że nie wszyscy są tacy sami – nalegał mężczyzna. – Bywacie czasami w Pawlicach? – zmienił radykalnie temat. – Dawno chciałem o to zapytać, lecz nie było okazji.

– Oczywiście! Przecież zostały tam mama i Dorota.

– A wiesz może, co w Piotrowicach? Czy nasz dom jeszcze stoi? – zapytał z lękiem.

– Stoi – odparła. – Okupanci nie dali mu rady. Przetrwał wojnę niemalże nienaruszony. Tylko oficynę trzeba było rozebrać. Teraz ma tam siedzibę dyrektor pegeeru. Wydzielono mu niewielkie mieszkanie. Prócz tego jest biblioteka i świetlica, w której odbywają się różne zebrania. Część pomieszczeń przysposobiono na magazyny.

– Bardzo... Bardzo go zdewastowali?

– Nie. Właściwie to nie zauważyłam większych szkód. Co ciekawsze, przetrwał księgozbiór, który stanowił podwalinę biblioteki. Oczywiście większość mebli, bibeloty i co tam jeszcze mieliście, wywiozły szwaby. W salonie ruscy urządzili sobie strzelnicę. Narobili dziur

w ścianach, ale nic więcej się nie stało.

Wawrzek odetchnął z ulgą.

– Jak dobrze. Wiem, że to już nie jest mój dom. Prawdopodobnie nigdy tam nie wrócę, ale pragnąłem, aby ocalał z wojennej zawieruchy.

– Czemu nie pojechałeś, żeby to sprawdzić?

– Bałem się tego, co zobaczę – przyznał rozbrajająco szczerze. – Nie miałem też ochoty spotykać nikogo znajomego. Wiesz, to nie takie proste pokazać się w rodzinnych stronach jako ktoś przegrany.

– My tak powracamy do Pawlic – oświadczyła ze smutkiem Julia. – Za każdym razem, gdy jedziemy z wizytą. W wakacje i w święta. Straciliśmy niemalże wszystko, prócz domu. Aż dziw bierze, że i tego nie wzięli – powiedziała z goryczą. – Może dlatego popuścili, bo nie tak duży jak wasz.

– Serce mi pęka, jak o tym myślę. A najgorsze jest to, że coraz mniej już pamiętam. Opuściłem Piotrowice siedemnaście lat temu. To więcej niż połowa mojego życia. A ty od dawna jesteś w mieście?

– Nam dobrali się do skóry pod koniec czterdziestego dziewiątego.

– To i tak późno – zauważył. – Reforma rolna...

– Tak, wiem – weszła mu w zdanie – była znacznie wcześniej. Ot, spóźniona zemsta jednego ancykrysa, który zazdrościł nam dobrobytu. Zrobił wszystko, aby zniszczyć moją rodzinę – dodała ciszej. – Ale my żeśmy się nie dali – jej głos na nowo zabrzmiał dźwięcznie – a on poszedł już do piachu.

– A któż tak się na was zawziął? – zainteresował się mężczyzna.

– Marczyk – wyrzuciła z siebie nienawistne nazwisko, którego nikt w jej rodzinie nie wypowiadał na głos od bardzo dawna. Czasami Szymczakowie szeptali o Marczykach, lecz robili to nader rzadko, aby nie ranić uczuć Julki, nie przypominać Andrzejowi o niechlubnym czynie, Krysi o płonnych nadziejach na małżeństwo, a Bronkowi o pobycie w limanowskim areszcie. – Mówi ci to coś?

– Nic a nic. – Pokręcił głową. – Byłem dzieciakiem, jak nas rugowali. A wcześniej ojciec nie pozwalał nam gonić po wsiach i spoufalać się z chłopstwem.

– Wiem coś na ten temat – powiedziała z przekąsem.

– Przepraszam. To było dawno temu, jeszcze przed wojną. – Zdał sobie sprawę, że palnął głupstwo.

– Nie wzięłam tego do siebie. Dla mnie to bez znaczenia. Wojna i tak wywróciła wszystko do góry nogami.

– I zrównała to, co dawniej było nierówne – podsumował.

– Nie do końca. Wszak nadal są równi i równiejsi. Powinam już pójść – oznajmiła.

– Jeszcze chwilę, Julio. Proszę. Nie dopiłaś kawy. – Wskazał jej filiżankę.

– No tak. Karol na mnie czeka. Muszę go odebrać z przedszkola.

– Wiem. Wygląda na bystrego i grzecznego chłopaka.

– I taki właśnie jest – odparła zaskakująco suchym tonem. – Jest całym moim światem. Nikomu nie pozwolę go skrzywdzić.

– To oczywiste, skoro jesteś jego matką.

Spojrzała mu w oczy tak wymownie, że w lot pojał, o czym myśli.

– Chcesz, abym trzymał się od niego z daleka. Nawet jeśli zgodnie z metryką jestem jego... hm... ojcem.

– Otóż to. Nie mogę mu tego bardziej wikłać. Dla niego Wawrzyniec Pawłowski nie żyje.

– Spotkasz się jeszcze ze mną? – zapytał.



Delikatnie pokręciła głową.

– To nie jest dobry pomysł. Właśnie z uwagi na Karola.

– Czy to jedyny powód?

– Nie. Nie będę udawała, że jest inaczej: mężczyźni wzbudzają moją niechęć.

– Ja też? Czym na to zasłużyłem?

– Niczym. Przykro mi, ale tak musi pozostać – nie pozostawiła mu nawet cienia nadziei.

– Rozumiem – odparł ze smutkiem.

Kryśia nie miała już najmniejszych wątpliwości. Nie urodzi dziecka. Nigdy. Jakiś czas temu przełamała wewnętrzny opór i odwiedziła lekarza. Później drugiego. Trzej następnii postawili taką samą diagnozę.

Tak bardzo pragnęła mieć własne maleństwo! Słodką istotkę do kochania. Serce pękało jej za każdym razem, gdy spoglądała na bliźnięta Leszka. Karol wzbudzał w niej głęboką niechęć i irytację. Nie znosiła go, choć w niczym jej nie zawinił. Ale był jak ten mały, wstrętny wyrzut sumienia, który przypominał, że ona też mogła mieć dziecko w jego wieku.

Ostatnio Sabina kłuła ją w oczy pęczniącym brzuchem. Nawet Andrzej, ten cholerny połamany smarkacz, okazał się jurnym skurczybykiem i zmajstrował dzieciaka ukochanej. Musiał się do tej roboty zabrać jeszcze przed weselem, gdyż szwagierka przybierała zdecydowanie zbyt szybko.

*Tylko patrzeć, jak i Bronkowi się poszczęści!* – zachnęła się w myślach na wspomnienie pielęgniarki, którą przedstawił rodzinie kilka miesięcy wcześniej.

Nie mogła podzielić się swoją zgryzotą z nikim. Absolutnie nikim. Dobrze wiedziała, że bliscy wciąż mają jej za złe to, co zrobiła przed laty. Pomijali temat milczeniem, lecz ona widziała niemy wyrzut w spojrzeniach matki. Współczujący wzrok Doroty. Kose spojrzenia braci.

Powinna się cieszyć, że nikt nie zdradził jej niechlubnego sekretu Jankowi.

Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała od lekarzy.

*To bzdura. Oni wszyscy popełnili błędy podczas badań! Musi nastąpić jakiś cud. Przecież tak łatwo zachodzi się w ciążę! Jeśli wierzyć Julce, jej bachor pojawił się za pierwszym razem. Ja też nie sypiałam z Bartkiem długo, nim zaciężłam. Raptem parę razy wytarzał się ze mną na sianie albo w krzakach.*

[2] A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, księga I *Gospodarstwo*, Warszawa 1988, s. 8.

[3] Z wypowiedzi Stanisława Radkiewicza (generała dywizji bezpieczeństwa publicznego) z 4 marca 1954 r. – źródło: <http://arch.ipn.gov.pl/ftp/pdf/Twarze.krakowskiej.bezpieki.pdf> (pobrane w dniu 7 lipca 2017 r.).

[4] Autor tekstu: Ludwik Jerzy Kern, kompozytor: Adi Rozner, Zbigniew Kurtycz, wykonanie oryginalne: Zbigniew Kurtycz, płyta: *Z piosenką przez świat* (LP, 1990).

### Rozdział 3



#### *Nowohuckie spotkania*

Pisane do rządu petycje oraz delegacja, która udała się w tym celu do stolicy w listopadzie ubiegłego roku, przyniosły wreszcie upragniony skutek. Po latach modlitw i oczekiwania wśród mieszkańców Nowej Huty rozeszła się niesamowita wieść: władza ludowa wyraziła zgodę na budowę kościoła!

– Dobry Boże! Nareszcie – cieszył się Broniek, współtwórca niejednego pisma kierowanego w tej sprawie do odpowiednich urzędów.

– A widzisz? – podłapał Kulka. – Mówiłem, że trzeba pisać do skutku! Warto było gonić za tymi podpisami! Nareszcie! Nareszcie!

– Jak znam życie, a trochę już je poznałem, to przypuszczam, że nasza ukochana władza tak łatwo nie popuści. Na pewno będą mnożyć przeszkody. Skoro na budowę szpitala trudno było o terminowe dostawy budulca, to wątpię, aby z kościołem poszło łatwiej – zasępił się od razu Szymczak.

Szwagrowie siedzieli u Julki, delektując się domowej roboty nalewką z wiśni. Przyszli z radosnymi wieściami, a teraz w trójkę świętowali. Karol w tym czasie dokazywał z kolegami pod blokiem. Raz po raz słyhać było chóralne:

– Ma-mo Ku-by! Ma-mo Ka-ro-la! Ma-mo Sa-szy!

– Co tam? Czego się drzecie? – Co jakiś czas zza okna dobiegała odpowiedź tej czy innej kobiety.

Także Julka parę razy wyjrzała przez okno, aby sprawdzić, czego potrzebuje jej dziecko.

– Rzuć mi pis-to-let! – krzyczał Karol. – I gwiaz-dę!

– Bros’-tie mnie łuk i strie-ty![5]– prosił swoją matkę Sasza Brywkin.

Julka szybko zlustrowała pokój syna i znalazła zabawkę oraz sześcioramienne blaszaną

przypinkę z wytłoczonym napisem *sheriff* – najnowsze upominki od chrzestnego ojca, nabyte na odpuszcie w Mogile. Zapakowała je do papierowej torebki.

– Łap! – zawołała, ostrożnie rzucając przedmioty.

Zabawki upadły na młodą trawę zieleniącą się u jego stóp.

– Bę-dzie-my się ba-wić w In-dian i kow-bo-i! – oznajmił rozradowany kandydat na szeryfa.

– Dobrze. Tylko bądźcie grzeczni! I żebyście mi się nie wspindrali na drzewa, bo znowu któryś spadnie i tyłek potłucze! – nie omieszkała napomnieć całej hałaśliwej gromadki, pieczołowicie pozyskującej niezbędne akcesoria. Przymknęła okno i dołączyła do mężczyzn. – Ach, ci chłopcy!

– Nie narzekaj, mamuśka. Masz grzecznego dzieciaka.

– To prawda – przyznała. – Odpukać, nie sprawia kłopotów. Mam nadzieję, że i jutro będzie grzeczny.

– Zabierasz go ze sobą? – zdziwił się szwagier.

– A jakże! To historyczny moment! Chcę, aby zapamiętał, jak powstaje kościół w Nowej Hucie – oświadczyła.

– Słusznie – poparł ją brat. – Niech od małego uczy się, co jest w życiu ważne.

– Nie będzie się nudził? – Janek wciąż był sceptyczny.

– Poradzimy sobie – uśmiechnęła się matka. – Byle tylko pogoda dopisała.

– Mnie tam deszcz niestraszny. Choćby żabami prało, pójdę – zapewnił.

– Będzie pogoda. Bóg nam sprzyja – stwierdził brat.

– To oczywiste. Najwyższy czas, aby nastały lepsze dni.

Bronek napełnił kieliszki nalewką. Brzdęknęło szkło.

– Wyborny trunek – pochwalił Kulka.

– To z pawlickich wiśni – oznajmił przyjaciel. – Wart bólu głowy i grzechu pijaństwa.

– Eee... Jakie tam pijaństwo? Jaki grzech? – Przyjaciel wzruszył ramionami. – A wiecie wy, czemu komuniści nie pójdą do piekła? – Spojrzał na Julkę i Bronka, a gdy ci zaczęli plątać się w nieprawidłowych odpowiedziach, dokończył: – A bo taki raj zaczęliby tam budować, że diabli by nie wytrzymali.

– Dobrze! – pochwalił szwagier i szturchnął go w bok. – A jakże ty to wszystko we łbie mieścisz? Pamięć masz jak encyklopedia.

Janek wzruszył ramionami i sięgnął po karafkę z wiśniówką.

– Ach! Nie uwierzysz, Bronku, kogo spotkałam! – Julia zmieniła nagle temat rozmowy.

– Nawet nie próbuję zgadywać.

– Wpadłam przedwczoraj na Wawrzyńca Pawłowskiego!

– Znowu? – wyraził zdziwienie. Słyszał o niebywałym spotkaniu jesienią. Trochę go to wtedy zmartwiło, nie wiedział bowiem, czego spodziewać się po tym człowieku. Z relacji siostry wynikało, że potraktowała go wówczas dość obcesowo. – Rozmawialiście?

– Owszem. Wyobraź sobie, że jaśnie pan przyznaje się do łączących nas więzów krwi. Nazwał mnie... kuzynką!

– Coś takiego! Toż to dziedzic przewraca się w grobie! – wykrzyknął rozbawiony.

*Ta... kuzyn się znalazł* – pomyślał z niechęcią Kulka, który z miejsca ocenił, że postawny elegancik jest mocno podejrzany. Na głos wołał nic nie mówić. Kojarzył i on rodzinę Pawłowskich, choć siłą rzeczy nie przypominał sobie, czy kiedykolwiek wcześniej spotkał Wawrzyńca. Skłonny był stwierdzić, że ominęła go ta wątpliwa przyjemność. Tak na dobrą sprawę wołałby i teraz nie znać tego człowieka. Coś mu podpowiadało, że to wichrzyciel i przysporzy jeszcze Szymczakom nielichych kłopotów. Oczywiście najbardziej obawiał się

o Julię. Wszak nosiła to przeklęte nazwisko.

*Diabli nadali! Też nie mogła przemianować się jakoś inaczej?*

– Jak stwierdził, jest tu bardzo samotny. Rodzina rozpierzchła mu się po świecie – kontynuowała szwagierka.

W czasie gdy ona beztrąsko paplała, zdając bratu relację ze spotkania z Pawłowskim, Janek z każdym jej słowem coraz bardziej zżymał się w duchu. Musiał bardzo uważać, aby nikt nie poznał, jakie myśli kołaczą w jego kędzierzawej łepetynie. Skłonni by uznać, że jest zazdrosny o Julię!

*Samotny, biedaczek!* – ubolewał z przekąsem. *Bajok jeden!*

Szczyściem przyjaciel zdawał się podzielać jego obawy, gdyż po wysłuchaniu opowieści nie omieszkął przestrzec siostry, aby uważała na tego człowieka.

– Teraz to nikomu nie można ufać. Wiadomo, z kim on trzyma? Może z komuchami? Wszak jakoś musiał zakotwiczyć w nowej rzeczywistości. Dobrze wiemy, jak nasza kochana władza nie lubi takich paniczyków. A z tego, co mówisz, wygląda, że nieźle mu się wiedzie. Dobra, Juleczko, czas na mnie. Janku, ty też idziesz? – zagadnął szwagra.

– Tak, tak – odparł Kulka z niejakim żalem. Chętnie dopytałby jeszcze co nieco o Pawłowskiego.

– No, to do jutra! Pamiętaj: pod kapliczką w Bieńczycach. A potem ruszamy procesyjnie na róg Marksa i Majakowskiego[6] – przypomniał Broniek.

– Jak mogłabym zapomnieć?

Janek wstał opieszale. W domu czekała na niego nadąsana Krysia. Rano posprzeczali się o jakieś głupstwo. Ostatnio dość często im się to zdarzało. Od dwóch dni żona chodziła rozdrażniona jak osa i tylko patrzyła, czym mu dogryźć. Przypuszczał, że znowu dostała miesiączkę i to było powodem złego humoru. Daremnie starali się o dziecko, a jej desperacja wzrastała. Przykro mu było z tego powodu i nie chował urazy za drobne złośliwości oraz utarczki. Niestety w takich chwilach ślubna raczyła się sownie alkoholem, po który ostatnio sięgała coraz częściej.

Kulka nie raz ze zgrozą obserwował, jak nieszczęśnica wlewa sobie w gardło kolejne kieliszki. Potrafiła pić jak chłop. A kiedy piła – nie przebierała w słowach i ze słodkiej, czarującej żoneczki zamieniała się we wrednego babsztyla.

Jeśli się nie pomylił, za kilka dni powinna złagodnieć i znowu będzie próbowała mu wynagrodzić uczynione wcześniej przykrości. To już zaczynało trącić rutyną. Godził się na wszystko z anielską cierpliwością, ponieważ kochał tę kapryśnicę. Może nie taką miłością, jaką miał dla Julii, ale skłamałby, mówiąc, że żona nie budzi w nim głębszych uczuć.

Ot, skomplikowana ludzka natura!

Jakiś czas temu przyjaciel wyciągnął swą narzeczoną, jego, Krysę i Julię na jeden ze spektakli świetlicowych, jakie licznie wystawiano w Nowej Hucie. Szymczakowie znali *Balladynę* już wcześniej, on widział przedstawienie po raz pierwszy. Oglądał dramat i miał nieodparte wrażenie, że to o nim. Dylemat Kirkora przy wyborze między siostrami zdawał się odzwierciedlać jego rozdarcie i rozterki. *Serce mam jedno, a ciągnie do obu*[7] – powtarzał w myślach zdanie, które zapadło mu w pamięć najmocniej.

Kiedy był z żoną i zatapiał się w nią w miłosnych uściskach, nie myślał o Julii. Wypierał z pamięci uwielbienie, jakie miał dla szwagierki. Skupiony był na krągłych kształtach Krystyny. W codziennym pożyciu dbał o dobry humor i przyjemności swej połowicy. Troszczył się o nią, uprzedzał jej potrzeby i oczekiwania, oddawał uwielbienie należne towarzyszcze życia. A jednak grzeszył, bowiem nie było dnia, aby nie pomyślał o Julce. Mogli się nie widywać przez kilka dni, czasami nawet tygodniami – on nie potrafił wyrzucić jej z pamięci. Była w jego myślach, gdy

zasypiał, oraz kiedy się budził. Pojawiała się w luźnych wspominkach w ciągu dnia: *Co robi? Czy czegoś nie potrzebuje? W jakim jest nastroju?*

Starał się nieść pomoc za każdym razem, gdy zachodziła potrzeba. Malowanie, drobne naprawy w domu, przestawianie mebli – on był pierwszy do takich prac, choć zazwyczaj zwracała się z tym do Bronka.

Następnego dnia część rodziny spotkała się pod niewielką kapliczką w Bieńczycach. Z minuty na minutę tłum gęstniał. Wśród ludzi panowała atmosfera niebywałej ekscytacji. Oto po latach oczekiwań, które upłynęły na pisaniu petycji do władz, nadszedł w końcu upragniony dzień. Jeszcze tylko chwile dzieliły wiernych od rozpoczęcia uroczystej procesji z krzyżem, który zostanie ustawiony przy zbiegu ulic Marksa i Majakowskiego. W tym właśnie miejscu wyznaczono teren pod budowę pierwszego nowohuckiego kościoła. Była niedziela, siedemnastego marca.

Bronek przez długie miesiące nie mógł przeżalować, że upadek z rusztowania udaremnił mu wzięcie udziału w delegacji do Warszawy. Historyczna decyzja zapadła właśnie wtedy, gdy leżał w szpitalu Żeromskiego, dziękując Bogu za cud ocalenia życia.

Drugim cudem, za który zanosił wówczas dziękczynne modły, było uczucie najśłodszej pielęgniarki z oddziału urazowego.

Nie pojechał wraz z innymi na spotkanie z Gomułą. Później dowiedział się, że pierwszy sekretarz partii z dużym zrozumieniem potraktował prośby nowohuckich robotników. Skierował delegatów do Jerzego Sztachelskiego, szefa Urzędu do spraw Wyznań. Ten, ku niezmiernej uldze wiernych, nie widział przeszkód, aby można było ruszyć z budową.

Kilka tygodni po tych rozmowach na adres parafii w Bieńczycach wpłynęło oficjalne pismo z krakowskiego urzędu, potwierdzające wcześniejszą decyzję władz. Później wszystko potoczyło się stosunkowo szybko, gdyż już dwudziestego trzeciego stycznia przygotowany został kolejny dokument – tym razem wydany przez Biuro Projektów „Miastoprojekt”, stwierdzający, że po przeprowadzeniu wizji lokalnej w terenie ustala się lokalizację kościoła. Drugiego marca Komitet Budowy Kościoła, w którym nader aktywnie udzielali się zarówno Broniek, jak i Julka, otrzymał pismo od Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych Kraków-Miasto. Tym dokumentem w oficjalny sposób przekazano im parcelę przeznaczoną na budowę świątyni.

Wczesnym popołudniem wyruszyła uroczysta procesja nowohuckich robotników prowadzona przez księdza prałata Stanisława Czartoryskiego. Parafianie nieśli na ramionach potężny krzyż. Kilkudziesięciu mężczyzn dźwigało wsparte na mocnych żerdziach symboliczne drzewo zbawienia. Każdy wspornik podtrzymywały cztery osoby. W transportowaniu pomagały również kobiety.

Janek, Broniek i Heniek oraz zezowaty Franciszek szli ramię w ramię, mocno dzierżąc drążek. Kroczyli powoli i dostojnie. Choć przygniatał ich ogromny ciężar, czuli się zadziwiająco lekko. Julka starała się trzymać jak najbliżej nich. Też rada byłaby pomóc, lecz musiała pilnować Karola. Mocno ścisnęła rączkę synka, a jej serce łomotało z przejęcia.

Na przyszłym placu budowy czekał na procesję arcybiskup Eugeniusz Baziak – jeszcze jedna ofiara represji aparatu państwowego – człowiek oskarżany na podstawie fałszywych dowodów o szpiegostwo na rzecz wrogich mocarstw. Duchowny poświęcił i ucałował symbol wiary, a robotnicy z miejsca przystąpili do osadzenia go na przygotowanym miejscu.

– *Wzięliśmy na swoje barki krzyż i mamy ten krzyż dźwigać, aż do szczęśliwego zakończenia!*[8] – zwrócił się do tysięcy parafian zgromadzonych na placu proboszcz Stanisław Kościelny.

Cóż to była za radość dla mieszkańców dzielnicy! Jakże rozmodlili się i rozśpiewali na chwałę bożą! Tysiące gardeł podejmowało słowa pieśni religijnych. W oczach wiernych błyszczały łzy wzruszenia.

I choć wiadomo było, że budowa potrwa ładnych parę lat, oni już cieszyli się na myśl o mszach odprawianych nie pod gołym niebem, lecz we własnej świątyni. Nikt nie mógł zaprzeczyć temu, że do szczęścia potrzebowali kościoła. W niewielkiej kaplicy w Bieńczycach, która mogła pomieścić zaledwie sto osób, co tydzień odprawiano niedzielne nabożeństwa – mimo braku urzędowej zgody i sprzeciwu władz. Na te msze schodziły się tysiące ludzi, stojąc wokół budyneczku bez względu na deszcz, śnieg, skwarne słońce czy porywisty wiatr.

Ciężka posługa przypadła w udziale proboszczowi tej zadziwiającej parafii bez kościoła. W społeczności, gdzie z każdej strony sączono w ludzkie umysły marksistowskie doktryny. Gdzie relacje pomiędzy ludźmi były powierzchowne, bowiem młoda dzielnica składała się z obcych sobie napływowych mieszkańców. Trudno było o prawdziwe więzi przyjacielskie na takiej podwalinie. Na domiar złego władza jak tylko mogła szczyła ludzi przeciwko sobie, bowiem skłóconym i nieufnym motłochem łatwiej manipulować. Ludzie uciekali z przeludnionych mieszkań do świetlic, w których serwowano im spektakle i pogadanki o podłożu ideologicznym. Mniej wymagający szukali rozrywki w barach przy kieliszku gorzały, kartach i tanich, prymitywnych ucieskach.

Jak tylko zdołał, troszczył się Stanisław Kościelny o swoje owieczki, w czym dzielnie pomagał mu wikariusz Zbigniew Mońko. Gdy przychodził czas spowiedzi, Kościelny miał jeszcze na podorędziu ojczulków benedyktynów z Tyńca oraz wesołego, skorego do żartów Karola Wojtyłę, który dojeżdżał z Krakowa.

Mimo licznych niedogodności parafianie nie zrażali się – na przekór urzędnikom twierdzącym, że w najnowocześniejszym i najbardziej postępowym miejscu w Polsce religia jest zbędna, a wręcz niepożądana. Swą obecnością dawali świadectwo wiary i potrzeby bliskości z Bogiem. Od lat domagali się świątyni, a teraz ich oczekiwanie nareszcie było bliskie spełnienia.

Uroczystości dobiegły końca. Przepelnieni radością parafianie zaczęli się z wolna rozchodzić. Plac przeznaczony na budowę sukcesywnie się wyludniał. Broniek wciąż jeszcze stał w tym tłumie i szukał wzrokiem znajomych twarzy. Nagle odniósł wrażenie, że zobaczył kogoś, kto nie powinien przebywać w tym miejscu. Jego serce załomotało wyjątkowo niespokojnie i mimo umiarkowanej temperatury poczuł, jak robi mu się gorąco. Jeszcze raz zerknął tam, gdzie przed momentem mignęła mu charakterystyczna czerwona twarz, lecz albo go z kimś pomylił, albo Edward Marczyk zdążył już odejść.

*Nie! Niemożliwe – zachnął się Szymczak. Cóż by tutaj robił? Czego miałby szukać w Nowej Hucie?*

Po chwili jednak dopadła go zatrważająca myśl:

*A jeżeli to on? Może przyjechał tutaj, aby szukać pomsty za tamtego zwyrodnialca? Nie dawał wiary moim zeznaniom. Zapowiadał, że choćby miał stanąć na głowie, założy mi postronek na szyję. Czy powinienem ostrzec resztę?*

Zastanawiał się przez chwilę. W końcu jednak uznał, że nie powinien wzbudzać niepokoju wśród rodzeństwa. Na pewno uległ przywidzeniu. Mało to ludzi podobnych do siebie? A skoro już utarło się wśród bliskich, by nie rozmawiać o przeszłości, to lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Po co im przysparzać dodatkowego cierpienia poprzez ponure wspominki?

Zaraz przestał myśleć o nienawistnym ubeku, gdyż do niego i Bogusi podeszli Kulkowie.

Znalazła się też Julia z synkiem. Gwarzyli więc całą gromadą. Potem Krysia i Janek odłączyli się od rodziny. Julia oraz narzeczeni stali jeszcze, wciąż wracając w rozmowie do zakończonej właśnie uroczystości.

– Dużo narodu przyszło – stwierdził mężczyzna.

– Na przekór partyjnym ignorantom. Chcieli pokazać, że nie jest nam potrzebny kościół? No to mają teraz obraz sytuacji – odparła siostra kurczowo trzymająca rękę Karola.

– Daj Boże, aby to coś zmieniło. Może skończą się te wszystkie pijackie burdy, nierząd i rozboje, z których zasłynęła Nowa Huta? Może ci, którzy pobłądzili, oprzytomnieją?

– Ech, Bronku, wierzyć mi się nie chce, że to aż tak podziała. Na pewno część się nawróci. Są też tacy jak my, którzy latami czekali na ten moment. Ale czy najbardziej zatwardziali zmiękną? Mało realne. Jest wśród nas coraz więcej takich, którzy na dobre oddalili się od Kościoła i wolą żyć bez niego.

Szymczak przypomniał sobie własne chwile zwątpienia, gdy po przyjeździe na budowę przeżywał kryzys wiary, obarczając Boga winą za własne problemy. Nawróciła go wówczas smarkata siostra. Teraz sama sprawiała wrażenie sceptycznej.

*Jak to wszystko się zmienia! Prawdą jest, że nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, bo rzeka, choć na pozór taka sama, za każdym razem jest inna.*

– Trzeba wierzyć, Julciu. Cóż nam innego pozostało? W Bogu nasza ufność. Popatrz tylko dookoła na te wszystkie smutne twarze, które dzisiaj zajaśniały szczęściem. Ludzie potrzebują nadziei na lepszą przyszłość. Potrzebują drogowskazów, jak mają żyć. Pozbawieni wiary tracą moralność i zaczynają postępować jak dzikusy: bez jakichkolwiek zasad. Ja wierzę, że gdy powstanie kościół, to wywrze dobroczynny wpływ na niejedną zbłąkaną owcę. Może nie od razu. Pewnie to trochę potrwa, ale jestem przekonany, że ci, którzy dzisiaj błądzą, odczują potrzebę nawrócenia.

– Obyś się nie mylił, bo wieczorami strach wyjść samotnie z domu. Tutaj ludzie wyraźnie idą na zatracenie. Jakże to dalekie od pawlickiej sielanki – westchnęła Julka. – Dopiero teraz widzę, jaki tam panuje błogi spokój. Nigdzie nie zauważyłam Leszka – stwierdziła. – Nie powiedzieliście mu?

– Mamuś, chodźmy już do domu – poprosił znudzony chłopiec.

Od dłuższego czasu dreptał w miejscu, zabawiając się kopaniem kamyka. O ile ustawianie krzyża wzbudziło jego zainteresowanie – wszak wymagało sprytu i siły – to rozmowy dorosłych uznał za całkowicie nudne. Zdecydowanie wolałby już pognać na boisko i zagrać w piłkę z Bukanem, Jane i innymi chłopakami.

– Za chwileczkę. Porozmawiam jeszcze z wujkiem.

– Chodźże, Karolku – powiedziała Bogusia, stojąca dotąd w milczeniu. – Przejdziemy się kawalek.

– Mogę, mamuś? – zapytał, ciągnąc Julię za poję płaszcza.

– Oczywiście, smyku. Tylko bądź grzeczny i słuchaj cioci Bogusi – pouczyła chłopca. – To co z tym Leszkiem? – zwróciła się do brata, spoglądając jednakże za odchodzącymi.

– Byliśmy u niego z Jankiem, a jakżeby inaczej? Wszyscy wiedzieli: on, ty i Andrzej.

– Jędrka widziałam z daleka. – Odwróciła się ponownie do brata. – Mignęła mi w tłumie jego kraciasta marynara i niepewny krok. Nie zdołałam precyzyjnie się w jego stronę. Nie widziałam, czy był z Sabcią, ale może nie chciał jej zabierać między tłum. Wszak lada dzień można spodziewać się rozwiązania.

– Pewnie tak. Nie daj Bóg, aby stało jej się coś złego – stwierdził. – Na szczęście nie doszło do żadnych zamieszek. Wiesz, miałem stracha, że w ostatniej chwili władza wytnie nam jakiś brzydki numer i odwołają złożoną obietnicę. Albo że zjadą się tutaj i zaczną jakieś



przepychanki.

– Dlaczego mieliby to robić?

– Bo ten kościół, na który wydali nam zgodę, na pewno nieźle ich uwiera. Zauważyłem dzisiaj wśród rozmodlonych ludzi również i tych, co tylko popatrywali za czymś w tłumie.

Przez moment zastanawiał się, czy nie wspomnieć o tym, że prawdopodobnie dostrzegł Marczyka, lecz szybko porzucił tę myśl. Po co wzbudzać niepokój Julii, skoro nie był pewien, czy rzeczywiście go zobaczył? Po co psuć taką wzniosłą chwilę przywoływaniem potwornych wspomnień?

– Ja też się rozglądałam. Szukałam wzrokiem naszej rodziny.

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi.

– Wiem. – Zniżyła głos do szeptu. – Wszędzie kręcą się podejrzani osobnicy. Tak bardzo trzeba uważać na każdym kroku. To okropnie męczące. Martwię się o Leszka – wyznała. – Czy on nie wpadł czasem w łapy partyjniaków?

Brat spojrział na nią ze smutkiem.

– Ja też wciąż o nim myślę, Juleczko. – Odgarnął z jej twarzy niesforny kosmyk. – Kaźmierka nie wzbudza we mnie ani sympatii, ani zaufania. Tyle czasu są razem, a wciąż żyją na urzędowym świstku. Niby dzieciaki ochrzczone, ale wydaje mi się, że to ot tak, na odczepnego. Nie widuję Leszka w kościele. A ona tylko strzyże uszami, o czym między sobą gadamy. Nie raz człek chlapnie coś głupiego przy wódce, a potem żałuje, że się nie ugryzł w język.

– To prawda. Janek też wspominał, że szwagierka mu się nie podoba. Daj Boże, abyśmy się wszyscy co do niej mylili – stwierdziła z przygnębieniem, patrząc na tłum wiernych. Nagle natrafiła wzrokiem na czyjeś natarczywe spojrzenie. Mężczyzna stojący w pobliżu wyraźnie się ożywił. Pomachał do niej ręką i zaczął przedzierać się w jej stronę. Serce Julki niespokojnie drgnęło.

*Wawrzyniec. Co on tutaj robi?*

Wciąż nie mogła ocenić, czy jest wiarygodny. Zapewne Broniek i Janek mieli rację, zasiewając ziarno nieufności w jej sercu.

Mógł być esbkiem, tajniakiem, donosicielem.

Mógł być uczciwy.

Odwróciła się szybko w stronę brata, w nadziei, że gdy Pawłowski go zobaczy, to poniecha zamiaru i nie podejdzie. Choć wspomniał kiedyś, że chciałby odnowić znajomość z jej rodziną, wątpiła, czy był szczerzy. Przeliczyła się jednak, bowiem już po chwili usłyszała najpierw ciche chrząknięcie, a później entuzjastyczne:

– Dzień dobry, Julio!

Dostrzegła zmianę na twarzy brata. Zainteresowanie przemieszane z rezerwą. Broniek zapewne odgadł, kto ją zaczepił. Zmarszczył lekko brwi.

Kobieta odwróciła się w stronę intruza.

– Dzień dobry – przywitała przybysza, a następnie usiłowała dokonać prezentacji:

– Wawrzyniec Pawłowski. Broniek Szymczak, mój brat.

– Tak, wiem – powiedzieli niemal równocześnie, mierząc się uważnymi spojrzeniami.

Pawłowski wyciągnął rękę jako pierwszy.

– Wawrzek.

– Broniek. Miło mi.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wymienili mocny uścisk.

– Jak się masz, Julio? Miło znowu cię widzieć. To wielki dzień dla mieszkańców Nowej Huty.

– Dziękuję, dobrze – odparła, zerkając w kierunku, w którym odeszła Bogusia z Karolem. Odczuwała zdenerwowanie na myśl o ewentualnym spotkaniu dziecka z tym mężczyzną. W jaki sposób miałyby go przedstawić?

– Widzę, że i ciebie los rzucił w to miejsce – zagaił Szymczak.

– Tak jakoś się złożyło. Wcześniej mieszkałem w Krakowie na Biskupiej. Dacie wiarę, że przez parę lat byłem sąsiadem „pięknego Władzia”?

– Mazurkiewicza? – upewnił się Bronek.

– Owszem.

– Co ty mówisz!

– Też byłem zdziwiony. Wyglądał tak normalnie! Przystojny, dobrze ubrany, lubił zabawę w towarzystwie pięknych pań. Brr! Do tej pory czuję nieprzyjemny dreszcz emocji za każdym razem, gdy pomyślę, z kim miałem do czynienia. Ech... Było, minęło!

*To zadziwiające, że znowu pojawia się cień tego potwora. Czy to on zamordował Halinę? Szkoda, że milicjanci nie wyjaśnili tej sprawy. Gówniani detektywi. Potrafią tylko węszyć za wrogami pezetpeeru. Zamiast dbać o nasze bezpieczeństwo, zajmują się łapaniem takich, co słuchają Wolnej Europy – pomyślał Bronek.*

– Co tutaj porabiasz? – zmienił temat. Nie miał ochoty na przykre wspomnienia w tak radosnym dniu.

– Jestem pracownikiem naukowym oddelegowanym przez Akademię Górniczo-Hutniczą. Czuwam nad procesami wytopu stali. Pisałem o tym pracę naukową. Niedawno dyrektor Czechowicz zaproponował mi stały etat. Przyjąłem – oznajmił krótko. – W przyszłym miesiącu zaczynam regularną pracę. Do tej pory było to bardziej z doskoku, choć od blisko dwóch lat mieszkam niedaleko stąd. – Wykonał ręką mało precyzyjny gest w stronę placu Centralnego.

– Pięknie – stwierdził Bronek bez choćby krzty zazdrości. – Julia też pracuje na kombinacie. Jest maszynistką w Pałacu Dożów – oznajmił z dumą. – Ale pewnie już o tym wiesz.

– A nie, nie wiedziałem. Twoja siostra nie należy do szczególnie wylewnych osób. – Łypnął na nią z ukosa. Ciekaw był, co na jego temat powiedziała bratu. Musiała coś wspomnieć, skoro Szymczak od razu odgadł, z kim ma do czynienia. Miał nadzieję, że nie przedstawiła go w niekorzystnym świetle. Wszak niczym nie zasłużył sobie na takie traktowanie. Przecież jej pomógł na ile było to możliwe.

– Tak, to prawda – odparł Bronek.

– Jeśli można, Julio, chciałbym cię zapytać, czy nie zechciałabyś pojechać ze mną w któryś dzień do Krakowa?

W chwili, gdy to mówił, Julia dostrzegła nadchodzącą parę.

– Przepraszam was. Ja już muszę iść – oświadczyła i wyszła synowi naprzeciw.

Nie mogła dopuścić, aby spotkał Pawłowskiego.

Mężczyźni zostali sami.

– Szkoda, że tak jej się spieszyło. Nawet nie odpowiedziała na moje zaproszenie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, abym się z nią umówił.

– Jest dorosła. To ona decyduje, z kim chce spędzać wolny czas, a z kim nie. Jest też bardzo nieufna, co chyba nikogo nie powinno dziwić w tych cudacznych czasach – powiedział oględnie.

– Liczę na to, że zdołam zapracować na jej zaufanie.

Bronek spojrział na niego badawczo. Zmarszczył brwi.

– Mam uczciwe zamiary – dodał asekuracyjnie Wawrzyniec. Doskonale rozumiał, że w jej rodzinie może wzbudzać niechęć.

– Coś ci powiem – odparł strażnik niewieściej czci. – Czasy, gdy tacy jak ty uważali się

za lepszych od nas, minęły. Nie myśl więc sobie, że pójdzie ci tak łatwo.

– Wcale tak nie myślę – padła spokojna odpowiedź.

To zadziwiające, że on, potomek szlachetnie urodzonych ziemian, poczuł się w tej chwili jak człowiek gorszej kategorii. Jakby Julia była niedostępną księżniczką, której nie był godny.

Jakiś uporczywy głos podpowiadał mu, że warto podjąć próbę i walczyć.

Wieczorem Bronek odprowadził Bogusię na osiedle Młodości. Wracając, rozmyślał o spotkaniu z Wawrzyńcem Pawłowskim. Mimo że jego ojciec nie żył od siedemnastu lat, a majątek skonfiskowano dawno temu, Szymczak wciąż nie potrafił wyrwać ze swoich myśli określenia *dziedzic*.

Póki jeszcze mieszkał w Pawlicach i aspirował do ziemiaństwa, marzył o takim mężu dla swej siostry. Nie chodziło o utracone dobra, bo te przepadły bezpowrotnie. Chciał, aby związała się z kimś wykształconym, elokwentnym, posiadającym ogładę. Uważał, że Julia jest godna najlepszej partii.

Czy Wawrzyniec nadawał się do takiej roli?

Problem w tym, że Bronek roił o czymś takim, zanim została skrzywdzona. Teraz nie chciała słyszeć o zamążpójściu. Marczyk próbował ją zbrukać swoim plugawym dotykiem, ale w odczuciu brata pozostała istotą nieskazitelnie czystą.

O tym samym wspominał kiedyś przyjaciel.

– Nigdy nie miałem w dłoni brylantów, lecz słyszałem, że nie da się ich zniszczyć. Taki kamień nie utraci bezpowrotnie swej szlachetności, gdy zanurzysz go w błocie. Jego blask na chwilę przygaśnie, ale łatwo go odczyścić, a wówczas zalśni na nowo. Twoja siostra ma w sobie taką samą cechę. I dlatego mam dla niej tak wielki podziw i szacunek.

Choć spotkanie z inżynierem nie trwało długo, a i wcześniej Julia wypowiadała się dość oględnie na temat tego mężczyzny, Bronek nie wątpił, że Pawłowski jeszcze nie raz pojawi się na horyzoncie. Widział, jak on na nią patrzył. Dostrzegł w nim determinację.

*Czy ktoś taki należycie ją doceni?*

Wiosną Broniek i Janek w uznaniu zasług otrzymali od władz miasta odznaczenie Budowniczego Nowej Huty. Wśród swoich pokpiwali trochę z tego wyróżnienia. Okazja ku temu nadarzyła się nader prędko, gdyż dwa dni po dekoracji rodzina została zaproszona na przyjęcie urodzinowe do Leszka.

W maleńkim mieszkaniu, na dodatek mocno zagraconym, stawiało się całe nowohuckie rodzeństwo. Zasiadli przy rozkładanym stole, sadowiąc pośladki na czym tylko kto mógł: na wersalce, na krzesłach, na zydłu przyniesionym z piwnicy, na taborecie kuchennym. Bliźniaki w tym czasie bawiły się zadziwiająco spokojnie w łóżeczku, a Karol stał przy oknie i starannie kolorował malowaną leżącą na parapecie.

Stół uginał się pod ciężarem ciast upieczonych przez Julkę, sałatek zrobionych przez panią domu, rozkosznie chrupiących ogóreczków konserwowych oraz kiszonych, które Broniek przywiózł jesienią z Pawlic, alkoholu załatwionego przez Andrzeja i półmisków z wędliną zabezpieczoną przez Krysię. Dawno już nie mieli tak wystawnego przyjęcia, bowiem nawet w Nowej Hucie – chlubie komunistów – różnie bywało z zaopatrzeniem. Jak w całym kraju, tak i tutaj panowała drożyzna, a przed sklepami ustawiały się długie kolejki.

Ciasno im było, ale humory nie opuszczały rozochoconej alkoholem rodziny.

– Patrzcie państwo, jak to mnie władza ludowa uhonorowała! Mnie! Takiego kułaka i wroga systemu! – zaśmiał się brygadzysta, prezentując rodzinie błyszczące nowością odznaczenie.

– He! He! He! – zarechotał Kulka, wypinając pierś, na której miał przyczepiony taki sam medal. – Tylko patrzeć, jak nas będą przymuszać, byśmy się zapisali do partii.

– Łażą za mną od samego początku – przyznał Broniek.

– Za mną też. Mówił mi jeden taki, że jest mus.

– A ty co mu na to? – zagadnął przyjaciel, odpalając papierosa.

– Że mus, to ja czuję do ślubnej. A z partią ślubu nie brałem i brać nie będę.

– Nie damy się – stwierdził wojowniczo Szymczak. – Nie wierzę tej zarazie nic a nic. Parę razy próbowali mnie ściągnąć na zebranie partyjne, lecz ja mam nosa, nie dałem sobie zamydlić oczu!

– Ja też nie. A wiecie, co to jest mieszanina pieprzu z dżemem? – zapytał rezolutnie Janek, wznosząc w górę kieliszek.

– A co ty nam tu z kulinariami teraz wyjeżdżasz? – zdziwił się Jędrak. – Niedorzecznie i nie na temat, choć może i trochę pasuje przy biesiadnym stole.

– I tu się mylisz, szwagier, bo właśnie w temacie. Zebranie partyjne, Jędrus: jeden pieprzy, a reszta drzemie.

Towarzystwo zgromadzone przy stole roześmiało się, choć żart nie był szczególnie lotny.

– No to chlup, panowie! Za te wasze medale! – Młody ujął szkło i uśmiechnął się kpiąco.

– Czort z medalami. – Kulka machnął ręką. – Odznaczenia włożyliśmy dla zgrywy.

Zdrowie jubilata!

– Zdrówko, Leszku! – Do toastu urodzinowego przyłączyła się Julia. – I niech ci się królowie dobrze chowają.

– Baltazara do kompletu życzę – wtrącił przytomnie szwagier, macając się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

– Na Baltazara na razie nie pozwalają warunki mieszkaniowe – westchnęła Kazia piastująca przysypiającego Kacperka. – Robimy, co możemy, aby wymienić tę klitkę na coś większego, ale marnie to widzę.

Janek zerknął na nią z ukosa. Wciąż zastanawiał się, czy aby czasem nie przeholowali wcześniej z kpinami. Nie miał za grosz zaufania do tej baby.

*Że też nie ugryzłem się w język* – westchnął, wspominając na pozór niewinne żarciki.

Trzasnął zapalką o pudełko, odpalił lotnika i zaciągnął się gryzącym dymem. A ponieważ zrobił to dość zachłannie, zaczął kaszleć tak, że oczy zaszczyły mu łzami. Broniek poklepał go po plecach.

– Powinniście grać w Toto-Lotka – poradził życzliwie Jędrrek. – Jakbyście trafili szóstkę, to mielibyście tyle pieniędzy, że znalazłoby się i mieszkanie.

– Ech... bo to tak trafić. – Pan domu wzruszył ramionami.

– Trzeba być dobrej myśli, nie, Sabcia? – Przytulił ciężarną połowicę i cmoknął ją w skroń. – My gramy regularnie.

– A wygrałeś już coś? – zainteresował się brat.

– Na razie tylko jakieś drobniaki, ale kiedyś na pewno zgarnę główną wygraną. Szczęściu trzeba pomagać, stary!

– Eee, tam. Wierzyć mi się nie chce, że to takie łatwe.

– A ja wierzę. Powiem ci więcej. Ja już widzę się za kierownicą nowiuńskiej syreny.

– Ta! Akurat! Samochód produkują ledwo od kilku dni, a ty chciałbyś się dopchać – stwierdził z przekąsem Broniek. – Nawet o warszawę byłoby ci trudno!

– Już tam się ustawiła kolejka dla uprzywilejowanych. Takie zbytki to jedynie dla wożenia partyjnych tyłków. Motłochowi pozostaje tylko tramwaj lub autobus – poparł go Janek i znowu ugryzł się w język, zerkając ukradkiem na Kazimierę.

– Oj tam! Dajcie spokój chłopakowi. – Julka wyjątkowo wzięła w obronę najmłodszego.

– Każdy ma prawo o czymś pomarzyć. Jędrrek zawsze lubił samochody. A nuż uda mu się wygrać i spełni swoją zachciankę?

– Ha! Jeszcze zobaczycie mnie za kółkiem. Bo z marzeniami jest tak, że można bez końca bujać w obłokach. A ja już nie marzę o samochodzie, tylko ustaliłem sobie, że to mój cel. I ja go osiągnę.

– A niech ci się poszczęści – stwierdził Leszek, wznosząc w górę kieliszek. – Za te nasze marzenia, bo każdy jakieś posiada.

– Chluśniem, bo uśniem!

– No to siup w głupi dziób!

Wypili po pięćdziesiątce, zakąsili ogórkami kiszonymi. Broniek i Janek ponownie przypalili papierosy.

– Ach! Czy wy musicie tyle kopcić? – zirytowała się Julka, jedyna niepaląca w dorosłym towarzystwie. – Aż mnie oczy gryzą od dymu!

– Masz, młoda, spróbuj i ty. – Leszek wyciągnął ku niej swoją paczkę sportów.

– A dajże ty mi spokój! Jeszcze to mi potrzebne!

Kazia odłożyła przysypiającego syna do łóżeczka i podreptała do kuchni, aby dokroić kielbasy. Żałowała, że goście zjedzą wszystko to, co wspaniałomyślnie podrzuciła Krystyna. Dobrze byłoby zostawić cokolwiek na jutro. Irytowało ją, że rodzina męża tak się objada.

*Jakby swojego nie mieli w domach! Ino tutaj przyleźli się nażreć!*

Nie mogła jednak trzymać ich przy pustym stole, skoro sami nanieśli jedzenia. Krajała więc tę nieszczęsną kielbasę najcieniej jak tylko potrafiła, a w dołku tak ją ścisnęło, że aż strach!

Tymczasem w pokoju trwała licytacja na to, kto o czym marzy. Andrzej wciąż upierał się przy samochodzie. Sabinie marzyła się dacza nad jeziorem. Mocno wstawiony Leszek już urządzał w wyobraźni przestronne mieszkanie albo lepiej willę. Julka tęsknie stwierdziła, że najchętniej wybrałaby się z Karolkiem na porządne, zagraniczne wczasy. Do Jugosławii, Bułgarii albo na Węgry. W ubiegłym roku dostała z zakładu pracy przydział na wyjazd do Kołobrzegu i bardzo jej się podobało. Ale koleżanki bez przerwy chwaliły się a to Balatonem, a to

Hajdúszoboszló. Ach, te ciepłe wody! Marzenie! Nawet wiecznie ponura Krysia rozkręciła się i zaczęła coś paplać o nowych fatalaszkach. I tylko Janek jakoś nie miał ochoty na zabieranie głosu.

– Ja tam nie wierzę w spełnienie marzeń – stwierdziła Kazia, stawiając na stole napełniony półmisek. – Jak się człowiek sam nie weźmie do działania, to nic nie osiągnie. I dlatego zapisałam się na kurs fryzjerski – oznajmiła, licząc na to, że szwagierki zapamiętają jej słowa i jak tylko skończy naukę, z miejsca zyska stałą klientelę. Pieniądze na pewno im się przydadzą, bo jak już załatwią większy lokal, to będą mieli z Leszkiem spore wydatki.

Westchnęła nieznacznie na myśl o mężu, który przed ślubem sprawiał wrażenie rezolutnego i obrotnego chłopaka, a we wspólnym życiu okazał się safandulą pozbawioną choćby krzty przedsiębiorczości. Gdzie mu tam było do Bronka, który na samym początku budowy dzielnicy pozalał rodzeństwu takie piękne mieszkania! Gdzie mu do Jędrka, handlującego na lewo z konikami, ciągnącego dodatkową kasę z biletów na co ciekawsze filmy? Prócz tego kombinował coś więcej, bowiem nieraz widziała w jego mieszkaniu kolorowe zagraniczne pisemka albo inne intrygujące drobiazgi.

Tę samą zaradność miała Krysia, sprzedawczyni z działu mięsnego. Ach! Ta dopiero ułatwiała życie rodzinie! Ile czasu można było dzięki niej zyskać! Nie musieli wystawać wciąż w kolejkach, bowiem szwagierka zawsze odłożyła a to mięso, a to inne artykuły, które podrzucały jej koleżanki z sąsiednich stoisk. Nawet Julce nie najgorzej się wiodło. Wiadomo: dama z biura! Taka to i czekoladki od petentów dostanie, i pończochy z okazji Dnia Kobiet od dyrektora. Mogła sobie wyjechać na wczasy, a stroje, nieliczne wprawdzie, ale jakie szykowne, szyla zawsze u krawcowej!

Ech! Życie nie umierać.

Tylko jej trafiła się niedojda, nauczona jedynie ślepego wypełniania rozkazów.

– O, świetnie! – ucieszyła się Krysia na wieść o spodziewanych usługach fryzjerskich. Dla niej dbałość o wygląd pozostawała priorytetem. Miała nadzieję, że na rodzinie bratowa nie będzie zarabiać. Wszak nie wypada zdzierać skóry z najbliższych. Sama przecież nigdy nic nie doliczała rodzeństwu za te wszystkie kiełbasy, wódki i słodycze, które dla nich odkładała. Nawet dla Karola przynosiła czasami cukierki, choć oczywiście zanosił je małemu Janek, bo ona nie lubiła bachora. Niby był grzecznym chłopcem, ale nie mogła na niego patrzeć.

Nie i już.

Zresztą Julka też ją ciągle irytowała, a od noworocznej kłótni z mężem siostra wybitnie działała jej na nerwy. Janek zdecydowanie za mocno angażował się w jej sprawy.

*Co to już Bronka nie wystarczy do niańczenia tej malej glizdy, przez którą nic, tylko zazdrość i zgryzoty?*

– A co z twoim absztyfikantem, Julka? – zapytał niedyskretnie trochę wstawiony pierworodny, wpędzając siostrę w zażenowanie.

Młoda kobieta spłonęła rumieńcem.

– Bronku! – syknęła, wskazując wzrokiem Karola.

W tym momencie spojrzało na nią osiem par zaciekawionych oczu.

Krysia dostrzegła, że jej małżonek mocno pobladł i zacisnął żuchwę. Aż ją coś skręciło ze złości. Dłoń, w której trzymała papierosa, zadrżała.

*Bardzo dobrze! Niech sobie w końcu wyjdzie za mąż. Może wtedy Janek oprzytomnieje i przestanie do niej wzdychać!*

Wcale nie była ciekawa tego kawalera. Kto mógłby się zainteresować dzieciątą chudą szczapą? Pewnie taki sam desperat jak Julka – o pogmatwanej przeszłości. Albo jakiś skończony gamoń. Albo biedak, któremu znudziło się życie w hotelu robotniczym lub kątem u obcych

i postanowił sobie polepszyć warunki egzystencji.

– Ej, no! Siostra, nic nie mówiłaś, że masz starającego! – podchwycił zaraz Andrzej.

– Bo nie mam!

– Masz, masz – zachichotał najstarszy z braci – ino jeszcze o tym nie wiesz. Albo nie chcesz wiedzieć.

– Julia! No nie bądź taka! Pochwalże się, kto to – nalegała Kazimiera.

Jej oczy błyszczały z ciekawości, z kim też może spotykać się Pawłowska. Od Leszka wiedziała tylko tyle, że jest wdową. Mąż nigdy nic o tym nie opowiadał, choć nieraz go wypytywała. On tylko wzruszał ramionami i mówił, że siostra wyszła za mąż młodo, gdy służył w wojsku. A potem bardzo szybko owdowiała, a na pamiątkę krótkotrwałego związku pozostało jej dziecko. Do tej pory z nikim się nie spotykała, choć Kazimiera słyszała czasem, jak rodzeństwo i matka próbują namówić samotną kobietę na znalezienie męża. Julia zawsze się wykręcała i tłumaczyła, że dobrze jej w pojedynkę.

– Nikt – burknęła wdowa. Była wyraźnie poruszona i dosłownie piorunowała wzrokiem najstarszego brata. – Broniek coś sobie ubzdurał.

– Nie ubzdurał, nie ubzdurał! – zaprotestował. – Absztyfikant osobiście mnie zapewniał o uczciwości zamiarów.

Bogusia trąciła go lekko w ramię i pokręciła głową, jakby chciała prosić, aby przestał. Ten jednak nie zważał na gesty narzeczonej.

– Wydamy cię za mąż. – Wycelował palec wskazujący w stronę siostry. – Tobie też należy się coś od życia. A kawaler ci się trafił naprawdę przedni – pochwalił.

– Dajże ty mi spokój! – oburzyła się siostra, wciąż zerkając, czy aby syn nie słyszy czegoś, co nie jest przeznaczone dla jego uszu. Na szczęście maluch zajęty był swoją kolorówką i nie obchodziły go nudne pogawędki dorosłych. – Powiedz jeszcze słowo na ten temat, a pożałujesz! – zagroziła.

– Zostaw ją, Bronuś. – Bogumiła ujęła się za przyszlą szwagierką. – Jeżeli faktycznie będzie spotykała się z kimś na poważnie, to na pewno przedstawi nam swojego przyjaciela.

Julia spojrzała na nią z wdzięcznością.

Nie zamierzała opowiadać nikomu o mężczyźnie, który pojawił się nagle w jej życiu i kawałek po kawałku zaczynał wywracać je do góry nogami.

Spotkała go bowiem nazajutrz po uroczystym ustawieniu krzyża. Wracając tramwajem z biura, gdy Wawrzyniec usiadł obok niej i póty nalegał, aż zgodziła się wyjść z nim na filiżankę kawy. Nie było w tym nic nadzwyczajnego – ot, po prostu poszli razem do kawiarni, gdzie przez godzinę rozprawiali o jakichś głupstwach. Później oznajmiła, że musi pójść po Karola, i kategorycznie zaprotestowała, gdy chciał jej towarzyszyć.

Nie umówiła się z nim na następny raz, choć proponował randkę. Syn nadal był idealnym pretekstem, aby splewiał wszelkiej maści natrętów.



W piątek dwunastego kwietnia rodzina Szymczaków powiększyła się o Pawła, syna Andrzeja i Sabiny. Świeżo upieczony ojciec odetchnął z ulgą: nareszcie odzyska żonę! Skończą się puchnące nogi, obolałe piersi i marudzenie, że jest już za gruba, ciężka i nie ma na nic ochoty. Niech no tylko przywiezie swą połowicę ze szpitala, a życie wróci do normy.

Biedaczysko! Zadowolony z wieści, że wszystko poszło dobrze, udał się w niedzielę na wódkę z kolegami, aby uczcić narodziny potomka. Planował kulturalne postawienie im po kielichu, a następnie powrót do domu, lecz po pierwszej kolejce wypitej za zdrowie syna okazało się, że wypada też uczcić zdrowie szczęśliwej matki. A skoro matki, to przecież i ojca, który, było nie było, spisał się na medal podczas swojej roboty. Wszak to nie lada wyczyn spłodzić w pierwszej kolejności chłopaka. Czwarty toast wzniesli przyszłościowo – za następną pociechę, którą Andrzej (jurny skurczybyk) powinien płodzić jak najszybciej, póki żona młoda, ładna i chętna do działania. No i oczywiście dobrze by było (piąta kolejka), aby za drugim razem urodziła się dziewczucha, bo tak byłoby do pary. Szósty kieliszek nie wymagał już szczególnego pretekstu, podobnie jak następne. Co więcej, do wesołego towarzystwa zgromadzonego w barze dołączyły rychło ładne młódki, które przywędrowały z pobliskiego hotelu robotniczego, więc zabawa rozkręciła się w najlepsze.

– Napij się jeszcze, Jędrus – namawiał Adam Kopeć, ćmiąc zwisającego z kącika ust zagranicznego papierosa.

– Kiej juszsz nie mogę – stęknął. – We łbie mi się mąci.

– Pij! Bo to ostatnia szansa! Jak twoja wróci z porodówki, to się skończą zabawy, zobaczysz. Za próg cię nie puści, chyba że do roboty.

– Głupssstwa pitoliszsz – wybełkotał, rozpinając kraciatą marynarkę i guzik koszuli. – Moja Ssabinka? Nigdy w żżyciu. Anioł nie kobita, powiadam wam!

Drżącą dłonią podniósł kieliszek i spełnił kolejny toast.

– Za palmy, bo dziś Niedziela Palmowa – przypomniał sobie, wlał w gardło alkohol, a następnie głośno czknął. – Alem się ululał. Jutro mi bania spuchnie.

– Za palmy to my zapalmy. Macie jeszcze cygarety? – Piotrek Rogala poklepał się wymownie po kieszeniach, że mu zabrakło.

Zaraz ktoś życzliwy podsunął koledze nową paczkę. Przypalił, zaciągnął się i nie wyjmując papierosa z kącika ust, nalał następną kolejkę.

– Spuchnąć powinno ci coś inszego, jak już twoja wróci do domu – zachichotał nie mniej ululany Adaś, żonaty cwaniaczek, który migał się jak tylko mógł przed robotą na etacie, zarabiając na życie handlem biletami, alkoholem i wszystkim, co mogło przynieść krociowy zysk, a nie wymagało fizycznego wysiłku. On także ubrany był z fantazją, ale że mu było gorąco, dawno zdjął żółty krawat z wizerunkiem nagiej kobiety oraz okrycie wierzchnie. „Męski zwis” puszczono w obieg wokół stolika, wzbudzał bowiem spore zainteresowanie. Brały go w ręce nawet dziewczęta, czerwieniąc się i chichrając.

– Te, Anielka, oddaj mnie moją paniusię. – Kopeć wyciągnął rękę po ulubiony dodatek. A kiedy go odzyskał, spojrział krytycznie na siedzącą mu na kolanach kobietę, a potem na wizerunek uwieczniony na kawałku jedwabnej tkaniny. – Niech się przy tobie schowa malowana lala – powiedział. – Stawiam na to, że ty masz lepsze walory. Dałabyś mi porównać!

Próbował ją podszczypnąć, lecz wywinęła mu się ze śmiechem i zgrabnie przeskoczyła na kolana siedzącego obok bohatera wieczoru. Ten skwapliwie przygarnął dziewczynę. Odurzył go mocny zapach perfum. Wyposzczone przez długie tygodnie ciało mężczyzny od razu zareagowało na rozkoszny ciężar. Filutka, czując, co się święci, powierciła się trochę, niby szukając wygodniejszej pozycji.

Dawno temu Szymczak wpadł jej w oko. Jeszcze nim wziął ślub z Sabiną. Już wtedy

ostrzyła sobie nań pazury, lecz on zdawał się świata nie widzieć poza tą ciamajdą. Pożartował z innymi, a jakże. Powiedział jakieś miłe słówko albo puścił oko, gdy ukochana nie mogła tego usłyszeć i zobaczyć. Czasami podrzucał im na próbę jakieś łakocie z pobliskiej cukierni. Szarmancki był jak mało który: padał do nóżek, całował rączki, przepuszczał w drzwiach, pomagał wkładać płaszcze, kurtki i sweterki. Wszystko to jednak z dystansem i kulturą, bo w obecności swej lubej zachowywał się nader poprawnie. Chyba że ta zaguzdrała się w garderobie, a on czekał na nią w westybulu. Oj, wówczas śmiechom nie było końca! Stał zazwyczaj otoczony wianuszkami aktorek, sypiąc żartami jak z rękawa. No i jeszcze ubierał się modnie i kolorowo, nie to co inne chłopaki: szare, bure i nudne. Dziewczeta szalały na punkcie jego falującej grzywy, zaczesanej zwykle na brylantynie. Żadna nie przejmowała się tym, że Andrzej jest kuternogą – chętnie zajęłyby miejsce Sabiny u jego boku.

Ach! Zatracić się chociaż raz z takim dzollerem!

– Anielka, Anielka! – westchnął, czując wzbierające pożądanie. – Ja ci sssię powierzę! – Dmuchał lekko w okolicę jej ucha, gdyż falujące włosy łaskotały go w twarz.

– Zdrówko, Jędruś. – Adam ponownie wznosił w górę pełne szkło. – Dzisiaj jest twój dzień. Wyjątkowo daruję ci nawet to, żeś mi, huncwocie jeden, pannę odbił.

– Nie jojc jak baba – zaśmiał się i objął mocniej dziewczynę. Spoglądając przekornie na przyjaciela, pocałował smukłą szyję.

Ach! Jakie go od razu naszły fantazje! Zawsze mu się podobała ta dzierlatka. Rad by ją przydusił, ponieważ wyglądała na skorą do figli.

– Pij, bo szkło cierpi! Amorów mu się zachciało! – wykpił go kolega.

Szkło brzdęknęło, gdy trącali się kieliszkami. Wychylili zawartość, przepili.

Andrzej otrzepał się, co wywołało salwę śmiechu u Anieli.

– Nie wierzgaj, bo zniewolę – zagroził żartobliwie.

– A spróbuj, spróbuj – podjudziła go, specjalnie wierząc się na jego kolanach.

Zamknął ją więc mocno w uścisku ramion.

– Czekaj, czekaj, Anielka. Porachujemy sssię jeszcze – wyszeptał wprost w jej ucho.

– Tak tylko gadasz! – Wzruszyła ramionami. – A słyszałeś, że pies, co najgłośniej ujada, najmniej gryzie?

– O ty franco! – Włożył w obraźliwe określenie tyle rubasznej czułości, że zabrzmiało niemalże jak komplement. – Taka jesssteś? Nie ugryzę? – Zaśmiał się pijacko, a następnie złapał ją zębami u nasady karku.

Choć ukąsił delikatnie, poczuła jego język na szyi. Zwróciła też uwagę, że w przykrótkich portkach Andrzeja zachodzi coś ciekawego. Z chęcią popracowałyby nad tym nabrzmiałym problemem. Otarła się o przystojniaka, a on aż syknął z wrażenia. Nachyliła się więc i szepnęła:

– Pójdźże ze mną, Jędruś. Nie pożałujesz.

– A dokąd? – zapytał.

– A odprowadźże mnie do hotelu.

– A dyć do mnie bliżej – powiedział, licząc na to, że gadka o odprowadzaniu była li tylko pretekstem, aby opuścić rozbawione towarzystwo.

Już nie pamiętał o powodzie, który przygnał go tego wieczoru do baru. Co mu tam żona! Dwa lata starsza, trochę już opatrzona, marudna, opuchnięta, a teraz zapewne również i obolała. W najbliższym czasie pewnie i tak niewiele będzie miał z nią uciechy, a tymczasem pod ręką była rozochociona młódka. Sabina skazała go na straszliwy post i ledwo mógł wytrzymać, tak go wodziło. Czuł, że jak sobie zaraz nie pofolguje, to go z tej chuci rozerwie.

Niewiele myśląc, opuścili zadymiony bar. Nie wiedzieć jak dotarli do jego kawalerki. Tam zrzucili tylko płaszcze i szaliki, a następnie zwarli się w namiętym pocałunku.

Całował ją chciwie, jakby nigdy w życiu nie miał żadnej kobiety. Jego język uwijał się w jej ustach. Nie było czasu na dłuższe pieszczoty. Jędrak szybko zadarł spódnicę Anieli. Znalazł majtki i zsunął z jej pupy. Posadził kobietę na stole, rozpiął spodnie i już po chwili wypełniał swą męskością przyjazne wnętrze.

Ach! Jaka była rozkoszna! Zachęcająca! Wilgotna! Jak mu było w niej dobrze! Ona też musiała odczuwać zadowolenie, gdyż raz po raz wzdychała, tarmosząc go za długą grzywę.

Przed oczami aktorki pstrzyła się rozpięta kraciasta marynarka i prążkowana koszula. Było tak wspaniale, jak to sobie wyobrażała. Chciała zerwać z Andrzeja ubranie i do krwi poorać mu skórę paznokciami. Zostawić swój ślad na jego torsie i plecach, aby nie zapomniał o chwilach ekstazy.

Teraz ten ogier należał do niej, nie do Sabiny!

Rozkosz eksplodowała w nich w tym samym momencie. Pokój zdawał się wirować, sufit zatańczył nad ich głowami.

– Jeszcze raz – wyszeptała spazmatycznie, gdy mężczyzna znieruchomiał. – Weź mnie jeszcze raz, Jędrus.

– Matko Przenajświętsza – zawył Andrzej i zamknął szybko powieki podniesione nieopatrzenie ułamek sekundy wcześniej.

Światło dnia, które wdarło się w jego źrenice, spotęgowało upiorny ból głowy.

– Za jakie grzechy? – wyjęczał udręczony kacem.

Zaraz sobie jednak przypomniał wydarzenia minionego wieczoru i nocy. Jak przez mgłę pamiętał pijatykę oraz obściskiwanie się z Anielką, które znalazło finał w łóżku. Krótco po tym, jak wziął aktorkę na stole, przenieśli się na wygodniejszy mebel, gdzie zgrzeszyli po raz wtóry – znacznie spokojniej, ale za to dość wyuzdanie, bowiem alkohol zwolnił wszelkie hamulce zarówno u niej, jak i u niego.

Zdradził żonę!

Przysięgał miłość, wierność i uczciwość, a tymczasem kilka miesięcy po ślubie zadał się z inną kobietą!

– To nie moja wina – wysapał i zaraz zamilkł, gdyż nawet mówienie sprawiało mu ból, tak bardzo miał spieczone gardło.

*Zwiodła mnie, kusicielka jedna! Wszak ja żem się do niej nie lasił. To ona wskoczyła mi na kolana i ocierała się o moje przyrodzenie – daremnie szukał usprawiedliwień.*

*Ależ ze mnie skurwysyn! Słusznie mnie boli lepetyna. Pokarało mnie za Sabinę.*

Przez pół dnia snuł się po mieszkaniu jak cień. Marne samopoczucie potęgowały wyrzuty sumienia. Do tego doszło nieliche pragnienie, ból głowy i ogólne rozbitcie. Nie pomogło kwaśne mleko ani woda spod kiszonych ogórków.

Chodząc z miejsca na miejsce, spojrzął na blat stołu, gdzie po raz pierwszy dał upust pożądaniu. Zobaczył ślad swojej zdrady. Wstrząsnął nim dreszcz obrzydzenia. Poszedł do kuchni, wziął ze zlewu myjkę. Dokładnie ją wypłukał pod kranem. Później wrócił do pokoju i bardzo starannie wyszorował cały stół, łącznie z nogami. Serwetkę, która leżała na środku i teoretycznie nie miała szansy, aby się zabrudzić, wrzucił do kosza na pranie. Znowu wypłukał myjkę. Zaparzył ją nawet w gorącej wodzie, lecz wciąż sprawiała wrażenie brudnej. Wyrzucił ją więc do kubła na odpadki.

W końcu przyszedł czas, aby zbierać się do roboty. Co za szczęście, że pracował po południu! Rano nie byłby w stanie skupić się na niczym. A tu przecież trzeba wydawać bilety, inkasować należność. Być może czekały go też inne zajęcia, gdyż czasami musiał robić za złotą rączkę.

W drodze do kina wstąpił do sklepu i nabył nową myjkę do naczyń.

Tego dnia ruch w Świcie był niewielki. W sumie nie było w tym nic dziwnego. Wszak zaczął się Wielki Tydzień. Mniej pokorna część mieszkańców Nowej Huty przygotowywała się duchowo na największe katolickie święta, a to oznaczało rezygnację z wszelkich rozrywek i przyjemności. Andrzej tym bardziej palił się ze wstydu na wspomnienie pijatyki z poprzedniego dnia. Kilka godzin wcześniej modlił się w kaplicy w Bieńczycach, a później uczestniczył w takich wyczynach! Ba! Sam je zainicjował!

Z rozgoryczeniem pomyślał o tym, że narozrabiał. Odkąd rok wcześniej Broniek opuścił areszt śledczy, a rodzina rozgrzeszyła Jędrka z popełnionego morderstwa, wszystko co robił, było wynagradzaniem lat, gdy bezsennymi nocami walczył z upiorem Marczyka.

Zachłysnął się życiem w mieście. Wszędzie go nosiło: do kina, do teatru, do barów. Znał każdy lokal w Nowej Hucie. Póki mógł, wszędzie ciągnął ze sobą żonę. Potem jednak trzeba było przystopować – ciężarnej nie służyły nocne rozrywki, a to sprawiało mu przykrość. Kiedy miał się bawić? Jak będzie stary? Dość czasu już zmitrężył!

Najpierw chodził w nieutulonym żalu po Agacie, później zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia, a wypijany alkohol był tylko sposobem na zalenie robaka. Do tego doszło kalectwo

i strach przed wykryciem zbrodni. Całe dorosłe życie upływało mu w nieustannych zgryzotach.

To wszystko nie usprawiedliwiało jednak zdrady.

Po powrocie do mieszkania jego wzrok spoczął w pierwszej kolejności na stole. Andrzej zmarszczył czoło. Wydawało mu się, że wciąż widzi na jego blacie wilgotny odcisk dziewczęcej pupy i resztki swojego nasienia. Wziął więc nową myjkę do naczyń i jeszcze raz starannie wyszorował blat.

Nazajutrz zbudził się w znacznie lepszej kondycji. Odetchnął z ulgą, gdyż musiał odebrać ze szpitala żonę oraz nowo narodzone dziecko. Sabina na pewno poznałaby, że sporo wypił. Zjadł śniadanie. Przejrzał się krytycznie w lustrze. Zobaczył bladą twarz zasiniąłą pod oczami. Po wykonaniu porannej toalety włożył świeżą koszulę, krawat i ulubione spodnie. Poszukał czystych skarpetek. Kończył się ubierać, gdy jego wzrok padł na nieszczęsny stół.

*A jeżeli Sabina coś pozna?*

Dla świętego spokoju wygrzebał z kubła na odpadki jedną z wyrzuconych poprzedniego dnia myjek. Starannie ją wypłukał i wyczyścił mebel.

Po powrocie do domu Sabina była wiecznie zmęczona, niewyspana i obolała. Pawełek ciągle płakał i domagał się matczynej uwagi. Tak więc całe zainteresowanie połowicy skupiało się na dziecku oraz jego potrzebach. O jakichkolwiek figlach nie było mowy. Najpierw musiała dojść do siebie po porodzie, później nie pozwalała na to rozwrzeszczany potomek. A kiedy już w domu Szymczaków robiło się cicho, młoda matka padała bez sił na tapczan, marząc o odrobinie snu.

Andrzej usiłował w tym czasie nadrabiać zaległości w nauce, gdyż zbliżał się koniec roku szkolnego, a on miał sporo dwój. Do matury został mu ledwo rok i szkoda byłoby zaprzepaścić wysiłek kilku lat pracy. Ponieważ miał sporo lekcji, a prócz tego pracował na utrzymanie rodziny, żona wypełniała wszystkie domowe obowiązki. Nie robiła jednak nic ponad to. Z atrakcyjnej, zadbanej aktorki zamieniła się w odzianą w podomkę kurę domową. Nie dbała o siebie, ponieważ twierdziła, że nie ma na to czasu. Nie miała też czasu dla ślubnego. Wszystko kręciło się wokół Pawła.

Andrzej, jako najmłodszy z rodzeństwa, najbardziej wypieszczony przez matkę oraz starsze siostry, źle znosił nową sytuację. Do tej pory to on był w centrum zainteresowania, teraz wszystko uległo zmianie.

Obiad a i owszem dostawał. Pod warunkiem, że zrobił wpierw zakupy, które zleciła mu żona. Siadał po pracy przy stole. Przesuwał talerz, który Sabina z przyzwyczajenia stawiała wciąż w tym samym miejscu.

– Czemu to robisz? – wyraziła zdziwienie pewnego dnia, bowiem wcześniej zwykł zajmować krzesło przy innej krawędzi.

– Tu mi wygodniej – odpowiedział.

Nigdy więcej *tam* nie usiadł. Czuł obrzydzenie na samą myśl o tym, choć w głębi duszy przyznawał, że chwile spędzone z Anielą były jednym z najbardziej ekscytujących wrażeń w jego życiu.

Gorsze były podszepty, które się w nim odzywały.

Pragnął powtórzyć noc z młodą aktorką.

Marzył o jej pięknym ciele: niedużych, ale jędrnych piersiach, smukłych udach i krainie

rozkoszy, w której zatracił się wówczas bez reszty. Wspominał zmysłowe pieszczoty oraz ekstatyczne okrzyki, gdy po raz drugi i trzeci doprowadzał ją do spełnienia.

To było silniejsze niż skrupuły, jakie odczuwał w związku ze zdradą.

Kilka tygodni później cała rodzina miała okazję do ponownego spotkania. Tym razem przy wspólnym stole, a wcześniej przed ołtarzem, zgromadził ich ślub Bogumiły i Bronisława. Połały się łzy wzruszenia, posypały gratulacje. Skromne przyjęcie urządzone w niewielkiej krakowskiej restauracji, bowiem rodzina Zakrockiej upierała się, że do nich należy zorganizowanie wesela sierocie wojennej. Panna młoda żartowała, że nigdy nie czuła się sierotką, tak jej dobrze było w domu cioteczki, ale przystała na wspaniałomyślną propozycję.

Początkowo Luiza doradzała młodym zmianę terminu zaślubin.

– Dzieciaki kochane! – Załamywała ręce, niepomna tego, że te *dzieciaki* mają odpowiednio trzydzieści jeden i trzydzieści dwa lata. – Toć nie bierze się ślubów w maju!

– Ależ cioteczko! – zaprotestował narzeczony, który ku przyjemnemu zaskoczeniu Bogusi z miejsca zaskarbił sobie sympatię jej rodziny. Nie było gadania o mezaliansie, kręcenia nosem, że wychodzi za zwyczajnego murarza, który wcześniej uprawiał rolę. – Kto by się tam przejmował przesądami! Szkoda życia!

– Ja tam swoje wiem. Ślub należy brać w tych miesiącach, które mają w nazwie literę r. To gwarancja szczęścia. Może być marzec, czerwiec, sierpień, wrzesień albo grudzień. No i październik – uzupełniła.

– Maj także. Wszak wiosna to czas zakochanych – bronił swojego stanowiska. – Uzgodniliśmy z Bogusią, że chcemy się pobrać jak najszybciej. To był pierwszy termin, jaki zdołałem załatwić. Cioteczko! Przecież my już siedem lat na siebie czekamy! Na co dłużej tracić czas? He?

– Tak ci prędko do żeniaczki, nicponiu? – zapytała żartobliwie.

– A jakże. *Gdyby można zrobić czary / Ponapędzać te zegary*[9] – zanucił przedwojenny szlagier.

– No jak ja mam się sprzeczać z takim amantem? – roześmiała się Luiza. – Toż to wierna kopia Eugeniusza Bodo! Ależ ci się kawaler trafił! Ho! Ho! Ho!

W odpowiedzi usłyszała radosny śmiech siostrzenicy. Jednocześnie została cmoknięta w mankiet przez przyszłego zięcia, jak określała Bronka, odgrazając mu się jednocześnie, że będzie go traktowała z całą surowością, jak przystało na osobę pełniącą obowiązki teściowej. Oczywiście wiedziała, że z Szymczaka żaden kawaler, ale wdowiec, lecz kto by tam zwracał na to uwagę?

*Grunt, że Bogusia jest z nim szczęśliwa i już niebawem przestanie marnieć w staropanieństwie. Skronie zaczynają jej siwieć! To chyba ostatni dzwonek do założenia rodziny.*

Władzia z dumą spoglądała na pierwородnego stojącego u stopni ołtarza i ślubującego ukochanej kobiecie miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Wzdychała co jakiś czas, ocierając oczy. To nie były słone łzy smutku. Płakała, ponieważ kolejne dziecko odnalazło szczęście.

*Jeszcze tylko moje córuchy pozostają samotne. Cóż... Lata płyną, a ich serca wciąż naznaczone są okrutnymi bliznami. Julia nawet nie spojrzy na mężczyznę, tym bardziej Dorcia. Dobrze choć, że jest Karolek. Kochany chłopiec – na pewno osłodzi matce samotność jesiennych lat.*

Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo myli się w swoich spekulacjach na temat Julii! Wówczas matczyne serce biłoby jeszcze raźniej. Tak się bowiem składało, że od kilku tygodni Julia regularnie spotykała Wawrzyńca. Zazwyczaj stawała przy kiosku, w którym nabywała prasę i bilety tramwajowe. Tam najczęściej wpadała na mężczyznę proszącego o „Głos Nowej Huty”[10]. Czasami wracali razem z pracy, choć to bywało rzadko, gdyż on nie miał ściśle wyznaczonych godzin. W takich przypadkach podchodził do niej już na przystanku. Wsiadali do wagonu, zajmowali miejsca obok siebie. Rozmawiali o wszystkim i o niczym. O głupstwach i o sprawach poważnych. Wspominali rodzinne strony – każde z nich inaczej, choć na swój sposób podobnie.

Często wypijali razem kawę lub jadaliby obiady w Stylowej, delectowali się deserami z ulubionej cukierni. Czasami kupowali obwarzanki, siadali na ławce i trochę podjadali, trochę rzucali wróblom. Później Julia żegnała się z nim i szła do przedszkola po synka. Nigdy nie pozwoliła Wawrzyńcowi, aby jej towarzyszył. Nie zapraszała go do domu. Nie umawiała się z nim na oficjalne spotkania, pozostawiając przypadkowi losy ich znajomości. Tak przynajmniej jej się wydawało, gdyż Pawłowski zdążył już poznać na tyle przyzwyczajenia czarującej brunetki, aby wiedzieć, kiedy i gdzie może na nią trafić.

Przez chwilę Julia odczuwała pokusę, aby zaprosić go na wesele brata. Szybko jednak porzuciła tę myśl. Nie wiedziała bowiem, na ile poważne są zachody Wawrzyńca, czy nie okaże się za chwilę, że to był tylko krótkotrwały kaprys. Nie wszyscy mężczyźni byli stali w uczuciach, przekonała się o tym już nie raz, spoglądając na osoby w swoim otoczeniu. Narobiłaby tylko zbędnego zamieszania, wprowadzając go pomiędzy bliskich. Przed ewentualnymi zawirowaniami chciała uchronić przede wszystkim Karola oraz matkę, która nieustająco ubolewała nad jej losem. Po co więc rozbudzać nadzieję na coś, co miało nikłe szanse przetrwania?

Wszak taki pan jak Pawłowski – co z tego, że pozbawiony majątku – nie potrzebuje prostej wiejskiej dziewczuchy o szemranym pochodzeniu, z nieciekawą przeszłością i z nieślubnym dzieckiem na karku.

Dla niej Karol był najważniejszy na świecie. Nie zniosłaby myśli, że ktoś może nim poniewierać z powodu czegoś, na co ani on, ani ona nie mieli wpływu. Póki był dzieckiem, stanowili niemalże nierozzerwalną całość. Odpowiadała za niego i kochała go tak mocno, jak tylko może kochać matka.



Nad ranem Broniek i Bogusia wrócili do swojego mieszkania. Przyjęcie dobiegło końca. Przyszedł czas na to, aby odpiąć z włosów biały welon, zdjąć ślubny garnitur i zacząć prawdziwe życie – pierwszy naprawdę wspólny dzień.

Żona stanęła przed lustrem i zaczęła wyjmować spinki podtrzymujące tiulową dekorację.

– Zostaw jeszcze na chwilę – poprosił Broniek, stając za jej plecami.

Na chwilę przywarł całym ciałem do ukochanej. Mimo zmęczenia całonocną zabawą poczuł wzbierające w nim pragnienie. Siłą woli zmusił się do powściągliwości. Z żalem wypuścił Bogusię z objęć, chociaż wiedział, że za chwilę do niej wróci. Zapalił świece i wyłączył światło. Podszedł do gramofonu. Nastawił swoją ulubioną płytę. Z głośnika popłynęły pierwsze dźwięki *Drugiego Walca Rosyjskiego*.

– Szostakowicz? – upewniła się kobieta.

– Zawsze, gdy słuchałem tej melodii, oczyma wyobraźni widziałem ciebie, aniele mój.

Zatańczysz ze mną? – zapytał, kładąc kurtuazyjnie jedną dłoń na sercu. Drugą wyciągnął w stronę największego marzenia, jakie spełniło się w całym jego życiu.

Spowita w biel kobieta oparła czubki palców na ręce męża.

– Oczywiście, najdroższy.

W pokoju nie było wiele przestrzeni, mimo że rano Broniek przestawił stół pod okno. Na szczęście to wystarczyło, aby mogli zatańczyć. Przez chwilę unosili się na falach walca. Oczarowany mężczyzna spoglądał na ukochaną kobietę.

– Pięknie wyglądasz, Bogusiu – powiedział. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki jestem teraz szczęśliwy.

– Ja też, Bronku. Tak długo czekaliśmy na ten dzień...

– Teraz już nic nas nie rozdzieli – zapewnił świeżo upieczony mąż.

Zatrzymał się i na ustach żony złożył delikatny pocałunek. Odpowiedziała nań z nieśmiałością, jakiej nie spodziewał się po trzydziestoletniej. Broniek spojrział na nią z zaskoczeniem. Przecież całował ją już niejedną raz.

– Coś się stało? – zapytał, spoglądając w jej wielkie niebieskie oczy.

Była zmieszana.

– Bronuś... – zająknęła się lekko. – Ja... Ja...

Już spodziewał się najgorszego – jakiegoś okrutnego sekretu, który zrujnuje tę długo wyczekiwaną chwilę szczęścia, gdy padły dalsze słowa:

– Ja jeszcze nigdy tego nie robiłam. W moim życiu nie było innego mężczyzny. Jestem tylko twoja.

Splonęła głęboką czerwienią rumieńca. Szymczak zmarł. Nie zastanawiał się nad tym wcześniej, choć być może powinien. Wszak nie sypiali ze sobą przed ślubem. Bogusia nigdy nie przyjmowała zaproszeń do jego mieszkania wieczorem, nie pozwalała także na to, aby on był u niej w późnych godzinach. Tłumaczyła swoje postępowanie tym, że nie chce sobie szargać opinii w oczach wścibskich sąsiadów. I oczywiście, że to byłby grzech. On nie należał, choć bardzo jej pragnął. Szanował wolę wybranki. Zakładał jednak, że jej poprzedni narzeczony mógł nie okazywać takiej wyrozumiałości.

– Aniele mój – powiedział zdławionym przez wzruszenie głosem. – To najpiękniejsze słowa, jakie mogłem usłyszeć.

Przytulił kobietę i przycisnął wargi do jej czoła. A później niespiesznie zaczął poszukiwać zapięcia białej sukni. Bogusia zdjęła welon oraz wianek z drobniutkich sztucznych kwiatków. Gdy małżonek uporał się z rozsunieniem zamka w jej kreacji, ona rozluźniła mu krawat i odpięła guziki koszuli.

*Zadziwiająca... Widziałam go już na wpół obnażonego, gdy w szpitalu zmieniałam mu*

*opatrunki. A jednak wtedy ten widok nie ekscytował mnie tak mocno.*

Po chwili Bronek pozostał w samych spodniach a ona w halce i bieliźnie.

– Śliczności moje – powiedział z zachwytem.

Położyła dłoń na jego torsie w miejscu, gdzie przecinała go blada pręga blizny. To był ślad po pamiętnej bójce, od której wszystko się zaczęło. Mężczyzna skierował wzrok na własną pierś, a potem spojrzął w oczy ukochanej.

– Uwierz mi, że warto było. Gdybym cofnął czas i wiedział, czym to się wtedy skończy, zrobiłbym to ponownie. Dla ciebie oddałbym życie.

– Kocham cię, Broniś.

Stali tak blisko siebie, że ich oddechy mieszały się w jedno niespokojne tchnienie. Usta małżonków połączył długi pocałunek. Wpierw powolny, subtelny i delikatny, będący samą pieśczęcią warg. Później nabral namiętności oraz żaru, wywołując pospieszne bicie dwóch serc. Mężczyzna z pasją tulił do siebie ukochaną, błędząc dłońmi po jej ciele. Powoli zsuwał ramiączka halki oraz stanika, szukał haftek w bieliźnie. Bogusia, nieco speszona nagością, zamknęła powieki i poddała się zmysłowemu pieścizotom męża.

Jego zachłanne wargi przesunęły się po szyi i obojczyku, wędrując coraz niżej i niżej ku przyjaznym krągłościom piersi. Zanim jednak na dobre pochłonął go płomień pożądania, wziął żonę na ręce i zaniósł do mniejszego pokoju, gdzie czekała na nich wygodna wersalka ze świeżą pościelą. Otulił ich przytulny półmrok krótkiej majowej nocy, która już niebawem miała zamigotać barwami świtu.

Spletli się w miłosnych uściskach – jeszcze nie połączeni w sposób ostateczny, ale już temu bliscy. Bronek, choć przepelniało go pragnienie, pierwszy raz w życiu poczuł treść przed tym, co miało nastąpić. Nie chciał sprawić bólu ukochanej. Pragnął, aby ten moment był szczególny, wszak mieli go zapamiętać na całe życie.

To Bogusia rozchyliła szerzej uda i szepnęła mu na ucho słowa zachęty.

Ostrożnie zanurzył się w jej dziewiczym wnętrzu. Delikatnie poruszając biodrami, całował zamknięte powieki żony.

– Mój aniele. Mój cudny aniele – powtarzał, aż znalazł się na granicy spełnienia.

Znajomość Julki i Wawrzka zaczęła nabierać rumieńców. Coraz częściej spotykali się po pracy. Choć jeszcze niedawno byłoby to nie do pomyślenia, zdarzało się, że kobieta sama rozglądała się na przystanku wśród osób czekających na tramwaj. Szukała wzrokiem wysokiego postawnego mężczyzny, który zaproponuje kawę w Stylowej lub obiad, albo przynajmniej zapyta, czy może odprowadzić ją do przedszkola lub domu. Oczywiście nie zawsze mogła korzystać z jego zaproszeń, gdyż często na pierwszy plan wysuwały się jakieś sprawy rodzinne. Ale już nie próbowała go do siebie zniechęcać, jak to bywało na początku.

Pawłowski bardzo chciał poznać jej synka. Wspominał o tym kilkakrotnie. A ona uparcie odmawiała, ponieważ nie wyobrażała sobie tego momentu. Przecież nie powie dziecku, że ten pan nazywa się wprawdzie tak samo jak jego tato, ale nim nie jest. Nawet siedmioletni chłopiec nie byłby w stanie uwierzyć w aż taki zbieg okoliczności.

Tym razem to on wypatrzył ją pierwszy. Zamiast do kawiarni, zaprosił Julię na spacer nad zalew zasilany przez Dłubnię – najnowszą nowohucką atrakcję, zaprojektowaną przez Ścigalskiego, a przyciągającą licznych spacerowiczów. Wawrzek miał nawet bułki, które zamierzał pokruszyć, aby nakarmić łabędzie.

Nie musiał jej długo namawiać. Julia już wcześniej przypuszczała, że się zobaczą, i choć dziwnie jej było z tą myślą, pragnęła, aby do tego doszło. Poprosiła nawet Bogusię o odebranie dziecka z przedszkola. Zyskała tym sposobem dłuższe popołudnie i czas dla swego amanta – coś więcej niż godzina skradziona chłopcu.

Niewiarygodne – tęskniła za Wawrzyńcem!

– Ślicznie wyglądasz, Juleczko – powiedział. Od dawna nie nazywał jej kuzynką.

Miała na sobie jego ulubioną sukienkę w groszki oraz lakierowane pantofle na niewysokim słupku. Widywał ją już w tym stroju i za każdym razem podobała mu się w nim coraz bardziej. A może to nie tyle kwestia kreacji i starannie ułożonych włosów, co uśmiechu, który coraz częściej gościł na ślicznej twarzy? Już nie była sztywna i chłodna jak na początku znajomości. Wtedy zachowywała się tak, jakby chciała go zniechęcić. Teraz widział, jak w oczach Julii zapalają się radosne iskierki. I choć wciąż zachowywała dystans, czuł, że mur, którym próbowała się od niego oddzielić, mocno skruszał.

– Dziękuję – odparła i ku zaskoczeniu towarzysza przechadzki sama wsunęła rękę pod jego ramię. – Jak spacer, to spacer, czyż nie? – zapytała filuternie.

A on, choć usiłował tego nie okazywać, cieszył się niczym sztubak, gdyż do tej pory musiał mu wystarczać jedynie krótki uścisk dłoni. Gdy proponował ramię, grzecznie odmawiała.

Walczył z pokusą położenia ręki na jej palcach, ale bał się, że może spłoszyć Julię. Oswajał ją ze swoją obecnością wyjątkowo subtelnie. Pomny słów o niechęci do mężczyzn, wolał postępować rozważnie. Co do jednego był przekonany: nie potrafił z niej zrezygnować. Przyprawiała go o zawrót głowy i żywe bicie serca.

– Pięknie tutaj – zachwyciła się, choć drzewa i krzewy, które posadzono wokół, wciąż jeszcze wyglądały rachitycznie. Oczywiście wyobraźni już widziała to miejsce za kilka lat: pełne soczystej zieleni latem, a zimą pokryte śnieżną pierzynką.

– Tak. Może następnym razem popływamy łódką? Albo rowerkiem wodnym? – zaproponował.

– Byłoby cudownie – ucieszyła się Julka. – Tak lubiłam pływać po naszych stawach w Pawlicach! – wspomniła z nostalgią. – Jako dzieciaki częstośmy się tam wymykali. Później, gdy nastali okupanci, matula i tatko srogo zakazali nam, dziewczętom, samotnego waleśniania się po wsi. Napominali nas, abyśmy nie kusiły losu. I, niestety, mieli rację – westchnęła.

Wawrzek odgadł, że przypomniła sobie o smutnej przeszłości Dorotki. Kiedyś mu o tym wspomniła, dodając, że to jeden z powodów, dla których tak bardzo uprzedziła się do mężczyzn.

– Zobacz, łabędzie podpływają! – Skutecznie odwrócił jej uwagę od smutnych przemyśleń.

Z papierowej torebki wyjął dwie suche bułki. Jedną podał kobiecie, drugą sam zaczął kruszyć. Nakarmili stado majestatycznych ptaków, a następnie ruszyli dalej.

– Mogę cię odprowadzić? – zapytał jak zwykle.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła i szybko uzupełniła: – Dzisiaj moja szwagierka odbiera Karola. Mam więc jeszcze trochę czasu.

– Naprawdę? – ucieszył się mężczyzna.

– Owszem – odparła.

Nim się obejrzała, złapał ją w pasie, uniósł i wykręcił z nią piruet.

– Cudownie! – stwierdził, gdy już postawił ją na chodniku. – To co teraz? Obiad w Stylowej?

– Z przyjemnością.

– Ach, jestem dzisiaj szczęściarzem! A gdyby tak jeszcze... – zawahał się, a później objął Julię i delikatnie do siebie przyciągnął. Nie zdążyła wykonać żadnego gestu, gdy poczuła na wargach jego gorący oddech.

Cóż za niezwykle doznanie ją spotkało! Ile było w tym czułości i żaru zarazem! To w niczym nie przypominało natarczywych pocałunków tamtego prostaka, którego wszelkimi sposobami usiłowała wyrzucić z pamięci, lecz było subtelną, wyrafinowaną pieśczętą rozpalającą zmysły.

Nie do końca świadomie Julia wsunęła palce we włosy Wawrzyńca.

On samymi opuszkami dotykał pieśczętliwie jej policzka, wodził kciukiem po żuchwie aż po płatek ucha. Drugą ręką mocno obejmował szczupłą talię.

Czuła obezwładniającą słabość.

– Kocham cię, Julio – powiedział, gdy rozsądek doszedł w końcu do głosu. Wszak byli w miejscu publicznym! – Tak bardzo cię kocham, że nie jestem w stanie wyrazić tego słowami.

Patrzyła na niego tym swoim zadumanym wzrokiem. Co by dał w tej chwili, aby móc zgłębić jej myśli!

*Dalem się zacczarować Szymczakównie – pomyślał z rozbawieniem. To tak, jakbym oddał duszę diabłu. Przepadła, po prostu przepadła na wieki! Ojciec miał rację, broniąc nam choćby spoglądania w stronę tych dziewczyn.*

*Dobry Boże – zamarła. Czy to nie za szybko? I czemu moje serce tak mocno teraz łomocze, jakby chciało uciec z piersi? On... On nie jest mi obojętny!*

W Stylowej było o tej porze sporo osób, lecz na szczęście znalazł się dla nich wolny stolik. Złożyli zamówienie, a później wrócili do przerwanej rozmowy. W drodze do restauracji Julia opowiedziała mężczyźnie o okolicznościach, w jakich został uśmiercony, i dlaczego wybór padł akurat na niego.

– Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że spotkamy się tutaj, w Nowej Hucie – dodała na koniec. – I że wszystko potoczy się tak zadziwiająco.

– Życie jest pełne niespodzianek. – Rozciągnął usta w uśmiechu. – A ty jesteś dla mnie chyba największą. Sprawiałaś, że przestałem czuć się pokrzywdzony przez los – stwierdził, splatając razem ich palce.

– To miłe... – odparła. Wyczuł jakieś niedopowiedzenie w jej tonie.

– Ale? – zapytał. – Dokończ.

– Nie wiem, czy powinnam – westchnęła.

– Powiedz, proszę. Czuję, że to istotne.

– Przed laty twój krewny uwiódł moją prababcie. Nigdy nam nie wybaczyliście, że do tego doszło. Nie traktowaliście nas jak równych sobie, okazując na każdym kroku niechęć.

– Ubolewam nad tym, ale nie cofnę czasu. Nie mam wpływu na to, co robili moi przodkowie. Zapewniam cię jednak, że ja się od tego zdecydowanie odcinam. Proszę, Julio, nie traktuj mojego wyznania, jakby to były puste słowa.

Kelner podał im zamówione potrawy, lecz posiłek zszedł na boczny tor.

– Chciałabym ci wierzyć – westchnęła.

Jej słowa sprawiły mu przykrość. Nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić albo powiedzieć, aby ją przekonać o swej szczerości.

– Bardzo szanuję ciebie i twoją rodzinę. Kiedy widziałem się z wami w marcu, powiedziałem Bronkowi, że mam uczciwe zamiary. Od tamtej pory niewiele się zmieniło. Właściwie nic, prócz tego, że każdego dnia moje uczucie do ciebie przybiera na sile. Zaufaj mi, Juleczko.

[5] Z rosyjskiego – Бросьте мне лук и стрелы – Rzuć mi łuk i strzały.

[6] Obecnie jest to ulica Obrońców Krzyża na styku z Ludźmierską.

[7] J. Słowacki, *Balladyna*, Wrocław 1986, s. 85.

[8] Źródło:

<http://www.radiownet.pl/publikacje/dzis-60-rocznica-poswieceniakrzyza-w-nowej-hucie-miescie-nowego-czlowieka> (pobrane w dniu 12 maja 2017 r.).

[9] Fragment tekstu piosenki z filmu: *Piętro wyżej* (1937 r.) – *Umówiłem się z nią na dziewiątą*, słowa: Emanuel Schlechter, muzyka: Henryk Wars, oryginalne wykonanie: Eugeniusz Bodo.

[10] Tygodnik powstały w 1957 r na bazie gazety „Budujemy Socjalizm”.

## Rozdział 4



### *Czas zmian*

Po spiekocie upalnego dnia dobrze było wyjść z rozgrzanego mieszkania. Wieczór był ciepły i przyjemny – jak to w czerwcu. Broniek maszerował w stronę szpitala, pogwizdując pod nosem ulubioną melodię. Szedł po żonę, która zaraz miała zakończyć popołudniowy dyżur. Nie lubił, gdy samotnie wracała mrocznymi zaułkami dzielnicy.

Choć w Nowej Hucie nie brakowało milicjantów, trudno byłoby nazwać to miejsce bezpiecznym. Wizja łatwego życia oraz iluzja możliwości, jakie dawało miasto, wciąż przyciągały rzesze ludzi. Prócz spokojnych pracowitych robotników przybywali więc wszelkiej maści awanturnicy, prostytutki i cwaniacy. Stróże prawa na ogół pozostawali bezsilni wobec rosnącej przestępczości. Zresztą ich działania miały na celu głównie tropienie elementu wywrotowego, podburzającego przeciw jedynej słusznej ideologii.

Nikogo nie dziwiło, że bimber był niemalże równie łatwo dostępny jak chleb. Każdy spragniony znał co najmniej jeden adres, gdzie dało się zaopatrzyć w trunek niezależnie od pory dnia. Nocą można było szybko stracić portfel lub zdrowie, gdy ktoś zanadto bronił pieniędzy. Za parę szeleszczących banknotów mężczyźni kupowali przechodzącą z rąk do rąk dziewczynę, zyskując dodatkowo jakąś nieprzyjemną przypadłość.

Broniek znał na pamięć blade twarze wiecznie niewyspanych dziewcząt. Wiedział, w jakim miejscu można którąś spotkać najczęściej. Nachalnie przyzywały przechodzących mężczyzn, wabiąc ich do bram lub w mroczne zaułki.

Porządne panie także narażone były na zaczepki, gdyż na ulicach nie brakowało podchmielonych amatorów kobiecych wdzięków. Wszak Szymczak już raz bronił czci swej ukochanej, choć wtedy jeszcze nie wiedział, że nieznajoma, w której obronie stanął, trwale zapisze się w jego sercu i życiu. Z tegoż względu nie lubił, gdy żona wracała samotnie z pracy. Jeszcze pół biedy dotrzeć ze szpitala do ulicy Igołomskiej[11], gdzie znajdował się przystanek

tramwajowy. W tym kierunku szło zazwyczaj sporo osób, a w grupie zawsze bezpiecznie. Gorzej, gdy z jasno oświetlonej arterii należało wejść pomiędzy domy na osiedlu Wandy. Niby niedaleko, lecz można było nabić sobie guza.

Szedł niespiesznie, miał jeszcze trochę czasu. Z otwartych okien dolatywał go hałas radioodbiorników i telewizorów. Ktoś wrzeszczał dość głośno na żonę, że za dużo wydaje na fatałaszki, to znowuż jakaś połowica zarzucała niewierność swemu ślubnemu. W wielu mieszkaniach było już ciemno.

Nagle Broniek usłyszał kroki tuż za sobą. Ktoś zbliżał się do niego w szybkim tempie. Zerknął przez ramię, aby ocenić, czy mogą z tego wyniknąć jakieś kłopoty. Idący za nim mężczyzna ubrany był w prochowiec i miał głęboko nasunięty kapelusz.

Nieciekawie to wyglądało. Na taki strój, nawet nocą, było zdecydowanie za ciepło.

Co robić? Szukać drogi ucieczki? Zwolnić i poczekać, czy ten człowiek pójdzie dalej? Skonfrontować się z tajemniczym osobnikiem, który wygląda na esbeka? A jeżeli tamten nie jest sam?

Dotarli już niemalże pod szpital. Lada moment mogli wyjść z niego pracownicy. Czy to zapewniało jakiegokolwiek bezpieczeństwo?

Szymczak zatrzymał się nagle i odwrócił. Szpicel nie przewidział tego manewru, byłby się z nim zderzył. Uniósł głowę. W mdłym świetle latarni Broniek dostrzegł znajomą twarz, którą litościwy mrok nocy pozbawił śmiesznej czerwonej barwy. Momentalnie oblała go fala gorąca.

A jednak to Edka zauważył w tłumie kilka tygodni wcześniej.

– Czego za mną łazisz? – zapytał bez ogródek, spoglądając wokół, czy zza winkla nie wychynie jakiś pomagier piekielnika.

– Bo mam z tobą niewyrównane rachunki.

– Ty? Ze mną? – zakpił. – Prędeż to ty mnie coś zalegasz za te wszystkie krzywdy, coście z Bartkiem wyrządzili mojej rodzinie.

– Zabiłeś go, skurwysynu!

Broniek popatrzył, czy nie mają świadków, a potem złapał go za kołnierz.

– Ty mojej matki nie obrażaj, gnojku! I wbij sobie w końcu do łba, że nie brudzę rąk ścierwem. Trzymaj łapy z daleka ode mnie i mojej rodziny.

Edek bezskutecznie próbował mu się wyszarpać. Zaklął w duchu, że dał się zaskoczyć. Pod szczelnie zapiętym prochowcem ukrył kaburę z tetetką, ale jak dobyć broni, skoro ten drab miał nad nim fizyczną przewagę?

– Ty lepiej uważaj, Szymczak! Więcej szacunku! Nie z takimi jak ty dajemy sobie radę w Służbie Bezpieczeństwa.

– Choćbyś mnie dziesięć razy zabił, zawsze pozostaniesz śmieciem – odparł z pogardą. – Choćbyś wytlukł wszystkich wokół, nie kupisz sobie szacunku. Nie boli cię ta świadomość?

Ze szpitala zaczęli wychodzić pracownicy. Broniek rozluźnił uścisk, a potem odwrócił się tyłem do wroga.

– Kiedyś cię zabiję, Szymczak – usłyszał.

Nie odpowiedział, nawet nie spojrział wstecz. Odszedł wolnym krokiem, pogwizdując pod nosem walca.

Na pozór spokojny, wewnątrz kipiał emocjami i obawą, czy ten szubrawiec nie strzeli mu w plecy. Zapewne miał przy sobie broń. Gdy go trzymał, ten macał dłonią po płaszczu w poszukiwaniu guzików.

*Muszę ostrzec rodzinę. Diabli wiedzą, co chodzi po głowie takiemu piekielnikowi – przemknęło mu przez myśl. Człowiek ino trochę odetchnął z ulgą. Myślałem, że najgorsze za nami, a teraz to już tylko spokój. No i masz ci los! Szlag trafił!*

Takie spotkanie wróżyło wyłącznie kłopoty.

*Trzeba zachować ostrożność. Nie mogę dać mu się sprowokować. Szybka śmierć od kuli to nic w porównaniu z tym, co esbek może zrobić człowiekowi.*

Andrzej ostatni raz przejechał szmatką po stole. Nachylił się i krytycznie obejrzał jego powierzchnię pod światło. Zmarszczył brwi. Ten cholerny ślad wciąż tam był niczym piętno wypalone przez szatana. Na ciemnej politurowanej powierzchni wyraźnie odcinały się dwa jaśniejsze półkola. To właśnie tam opierała pośladki Aniela, gdy uwijał się pomiędzy jej udami.

– Jędrus, a co ty robisz? – zapytała Sabina, widząc męża pochylonego nad blatem.

Wyprostował się gwałtownie. W dłoni wciąż trzymał myjkę do naczyń.

– Szoruję blat, bo jest brudny.

– Ależ skąd! Przed chwilą go wycierałam.

– Oczywiście, stokrotko, ale ta krawędź... – stwierdził krytycznie. – No, sama zobacz.

Spojrziała na wskazane miejsce. Nie dostrzegła brudu. Zauważyła jednak, że politura nie jest tam tak błyszcząca jak na pozostałej powierzchni.

– Dlatego tak ci się wydaje, bo zmatowiał w tym miejscu. Zerknij pod światło.

– Tak, tak. Oczywiście – odparł i jeszcze raz przetarł stół.

To na pewno nie była wina matowiejącej polityry, lecz Anieli. Diabeł nie baba, skoro tak skutecznie odcisnęła tam swoje pośladki. Tyle razy szorował już ten mebel i nic nie pomagało. Może powinien potraktować plamę rozpuszczalnikiem? Co też podkusiło go wtedy, aby gzić się z tą dzierlatką na stole, przy którym jada z żoną posiłki?



Sielankę ostatnich miesięcy psuła myśl o tym, że wróg nie dał za wygraną. Wieści przekazane bliskim przez Bronka wzbudziły strach wśród Szymczaków. Do sekretu zostali dopuszczeni wyłącznie bracia oraz Julia. Na razie nie było podstaw do tego, aby straszyć resztę rodziny. Marczyk nie wygrażał całej rodzinie, a jedynie najstarszemu. Zresztą on też usiłował zbagatelizować zajście.

– Już raz mu się wywinąłem. Dobrze wie, że nic na mnie nie ma. Za tę zbrodnię powieszono już Mazurkiewicza.

– Niewinnie zginął – martwił się Jędrak, którego mimo upływu lat wciąż odczuwał skrupuły.

– Co ty chrzanisz, młody? – oburzył się Leszek. – Jakie „niewinnie”? Toć ten drab miał dość na sumieniu.

– No przecież! – wtrąciła Julka. – A czy to nie jemu przypisywano zamordowanie Haliny?

Rozmawiali w jej mieszkaniu. Karol bawił się na zewnątrz z kolegami. Przez otwarte okno dobiegały bez troskie pokrzykiwania dzieciaków.

– Co zamierzasz? – zapytał najmłodszy.

*Diabli nadali! Czy to człowiek nie może mieć choć chwili wytchnienia?* – pomyślał. Na głos wolał nie wypowiadać tej kwestii. Znał braci aż nazbyt dobrze, by wiedzieć, że zaraz przywołałby go do porządku.

– Nic – odparł ze stoickim spokojem. – Nie dam się sprowokować temu ciulowi.

Julka przesłała mu gniewne spojrzenie.

– Przepraszam za słownictwo – zmiłogował się szybko.

– Jedyne wyjście to zachowanie zimnej krwi – ocenił Leszek.

Siostra kiwnęła tylko głową. Sprawiała wrażenie zamyślanej.

– Nie martw się. – Broniek poklepał ją po dłoni. – Myślę, że nikomu z nas nic nie grozi.

– To po co tu przyjechał? – dociekała.

– Ano może awansował i przenieśli go na lepszą placówkę.

– Akurat tutaj?

– Czemu nie? To chyba dość atrakcyjne miejsce dla kogoś takiego. Dostał pewnie ładne służbowe mieszkanie. Pensję też być może ma lepszą niż w Limanowej.

– Ja tam nie wierzę w aż takie zbiegi okoliczności – wtrącił Jędrak.

Pozostali zgodnie pokiwali głowami. Broniek rozłożył ręce w geście bezradności.

– Nic z tym fantem nie zrobimy. Nie zapominajcie, że ma po swojej stronie *stróżów prawa* – zaakcentował cynicznie. – Nie natrzemy mu uszu, bo zaraz skrzyknąłby jakichś kolegów i całą chmarą urządziliby sobie na nas ćwiczenia z bicia pałą. Ty, Julka, nie masz powodów do obaw. Nikt prócz nas nie wie, że brat tej kanalii oddał ducha również za twoją krzywdę. Zastanawiałem się, czy w ogóle powinienem ci mówić o tym wszystkim, ale doszedłem do wniosku, że lepiej, abyś wiedziała. Bo przecież możesz przypadkowo wpaść na niego na ulicy. Nie chciałem, żebyś przeżyła szok.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Dobrze zrobiłeś – stwierdziła. – To na pewno nie byłaby przyjemna niespodzianka.

– Przykro mi, że musiałem przypomnieć ci o tym, co było – powiedział oględnie.

– Julio! Poczekaj, proszę!

Odwróciła się, słysząc głos Wawrzyńca. Szła z przystanku tramwajowego w stronę przedszkola.

– Dzień dobry, cieszę się, że cię widzę. – Przywitał ją radosnym uśmiechem. – Napijesz się ze mną kawy?

– Dzień dobry. Przepraszam cię, ale nie dzisiaj. Spieszę się po Karola. Obiecałam, że odbiorę go trochę wcześniej.

– Mogę z tobą pójść – złożył propozycję, choć z góry przewidywał, jaka będzie jej reakcja.

Nie mylił się, gdyż z miejsca odmówiła.

– To nie jest dobry pomysł. Nie chcę mącić dziecku w głowie.

Delikatnie złapał ją za nadgarstek.

– Nie musisz mącić mu w głowie. Daj mi parę minut – poprosił. – Przrzekam, że odbierzesz synka wcześniej. Proszę, to bardzo ważne.

– No dobrze – odparła.

– Chodźmy – powiedział i poprowadził ją w stronę alei Róż.

Minęli ukwiecone klomby, gdzie królowe kwiatów zdawały się prześcigać w konkurowaniu urodą, barwą oraz zapachem. Julia myślała, że skręcą do Stylowej, lecz on szedł dalej, w kierunku parku Ratuszowego.

Zatrzymał się dopiero wśród zieleni otaczającej jeden z pomników. Lekkie podmuchy wiatru szeleściły liśćmi na młodych klonach.

*Te drzewa szumią nadzieją* – pomyślał Wawrzyniec.

Dzień był piękny, słoneczny. Na ocienionych alejkach nie brakowało spacerowiczów – głównie młodych mam z niemowlętami w wózkach lub baraszkującymi brzdącami.

– Przepraszam cię, że tak to będzie wyglądało, ale nie dajesz mi szansy na załatwienie sprawy inaczej – oznajmił asekuracyjnie.

A później, nie zważając na przechodzących obok ludzi, uklęknął przed Julką. Ujął jej dłoń. Spoglądając w oczy ukochanej, złożył na niej pocałunek.

Zamarła z bijącym niespokojnie sercem.

– Julio, jesteś cudowną kobietą. Od dawna nie przestaję o tobie marzyć. Czy zechcesz zostać moją żoną? Proszę, uczyn mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Odkąd wyznał jej miłość, żyła obawami, że zada w końcu to pytanie. I wciąż nie wiedziała, jak na nie odpowiedzieć. Stała więc i patrzyła bezradnie na mężczyznę, który wstrzymał oddech.

– Wawrzek... – wyszeptwała.

– Nie bój się, Juleczko – powiedział, wstając.

Położył dłoń na jej policzku, delikatnie ogarniając pukiel włosów unoszony delikatnym powiewem wiatru.

– Zaufaj mi. Wszystko będzie dobrze. Przysięgam.

Objął ją jedną ręką w pasie. Czuł, jak zadrżała.

Patrzył w jej czekoladowe oczy i widział w nich lęk.

W takich chwilach wzbierała w nim nienawiść do człowieka, który skrzywdził ją przed laty. Gdyby żył tamten łotr, pewnie udusiłby go gołymi rękami. Za to, co zrobił, zasługiwał na wszystko, co najgorsze.

*Nie czas na posępne myśli!*

– Juleczko – powiedział najczulej jak tylko mógł. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby cię uszczęśliwić. Nie odmawiaj – szeptał gorączkowo, zbliżając wargi do jej warg.

Delikatnie ją pocałował. Odczuła to raczej jak muśnięcie motyli skrzydeł a nie prawdziwy dotyk.

– Proszę... – szeptał z ustami przy jej ustach.

Bała się. To nie był jednak ten sam zły strach, który dręczył ją w ostatnich tygodniach zamieszkiwania w Pawlicach. Teraz ogarniały ją inne lęki – mimo jego wyznań i zapewnień o szacunku.

– Powiedz coś. Nie wypuszczę cię z ramion, póki nie odpowiesz na pytanie – zagroził filuternie, ciepłym tonem przeczącym zaborczości, jaka kryła się w tym stwierdzeniu.

– Karol. – Tylko tyle była w stanie wyszeptać.

– Nie obawiaj się o synka. Porozmawiamy z nim za chwilę. Jest dużym chłopcem, zrozumie. Nie lękaj się także o to, czy będę go dobrze traktował. Kocham cię, a on jest częścią ciebie. Muszę więc pokochać również i jego. Nigdy nie dam mu odczuć, że jest dla mnie kimś mniej ważnym.

– On cię nie zna. Będzie zaskoczony.

– Nie myśl teraz o tym. Zaufaj mi. Spójrz na mnie – poprosił, gdy zamknęła powieki, bijąc się z myślami.

Nie chciała być sama. Pragnęła dzielić życie z tym człowiekiem. Choć wciąż niewiele wiedziała na jego temat, musiała przynajmniej spróbować. Nie wzbudzał w niej przerażenia. Przyprawiał ją o przyjemny zawrót głowy. Być może stanowił antidotum dla toksyny, którą wlał w jej żyły tamten potwór.

Nie mogła pozwolić, aby Marczyk triumfował nawet po śmierci.

Spojrzała w oczy Pawłowskiego.

– Tak – szepnęła ledwo dosłyszalnie. Czuła, że porywa się na nieprawdopodobne szaleństwo.

Teraz to on zamarł.

*Przesłyszałem się? Nie, na Boga!*

– Kocham cię. Przysięgam, że nigdy nie pożałujesz swojej decyzji – powiedział, nim zamknął jej usta w czułym pocałunku. Po krótkiej, delikatnej pieszczocie ostatni raz przytulił narzeczoną. – Chodź, moja piękna. Czas odebrać dziecko.

– Boję się, jak on to przyjmie. Kiedy powiemy mu, jak się nazywasz, będzie w szoku.

– Przekonajmy się, Julio.

W drodze do przedszkola ustalili, że sama odbierze synka, a Wawrzek w tym czasie poczeka w pobliżu. Wezmą chłopca do domu i tam spokojnie z nim porozmawiają.

Swój plan zrealizowali połowicznie.

Kiedy kobieta z chłopcem opuściła budynek przedszkola, mężczyzna wstał i wyszedł im naprzeciw. Chłopiec podskakiwał i głośno wyrażał radość z powodu wcześniejszego wyjścia. Na widok nieznanego, który wyraźnie zmierzał w ich stronę, przystanął.

– Witaj, Karolu – powiedział mężczyzna.

– Dzień dobry. Kim pan jest? – zapytał rezolutnie przedszkolak. – Chyba już pana gdzieś widziałem.

Julia miała właśnie objaśnić, że trochę ponad pół roku wcześniej, nazajutrz po kradzieży, człowiek ten wpadł do ich mieszkania z krótką wizytą.

Pawłowski spojrział na nią. Przez chwilę wyglądał, jakby nad czymś głęboko się zastanawiał. Kucnął, aby zrównać się wzrostem ze swoim przyszłym pasierbem. Spojrział mu w oczy, kładąc dłonie na jego ramionach.

– Jestem Wawrzyniec Pawłowski – oznajmił.

Zamarła. Panicznie bała się reakcji dziecka na tę nowinę. Przecież mieli o tym porozmawiać w domowym zaciszu, a nie na ulicy!

Karol z wrażenia rozdziawił buzię.

– Tatusiu? – zapytał z ogromną nadzieją w czekoladowych oczach.

– Tak, synku. Ja żyję – powiedział mężczyzna i złapał malca w objęcia. Uniósł go, mocno do siebie przytulając. Chłopiec otoczył jego szyję rękami.

– Tatusiu! Tatusiu! Tatusiu! – powtarzał, tuląc się do mężczyzny.

Wawrzyniec spojrział na ukochaną ponad ramieniem dziecka. Pokiwał głową, jakby chciał prosić, aby nie próbowała sprostować tej informacji.

Zobaczył łzy szklące się w oczach kobiety.

Jedną ręką trzymał Karola, drugą wyciągnął do narzeczonej. Ją również przytulił do siebie.

– Już dobrze, smyku. Nie płacz. Dużym chłopakom to nie wypada. Jestem z wami. Na zawsze.

Poszli w trójkę do mieszkania Julii. Chłopiec ani na moment nie wypuścił ręki Wawrzyńca. Szedł, kurczowo go trzymając, i wciąż odwracając głowę w jego stronę. Próbował zadawać jakieś pytania, lecz słyszał tylko, że porozmawiają w domu. Z drugiej strony kroczyła matka i z przejęciem przyglądała się reakcjom dziecka. Maluch był tak zaaferowany, że nie patrzył pod nogi i kilka razy utknął na nierównym chodniku. Dobrze, że obydwójce go trzymali, bo byłby upadł i rozbił kolano.

Tak bardzo bała się, czy jej synek nie przypłaci tej wielkiej euforii równie dużym rozczarowaniem!

Ledwo weszli do mieszkania, Karol znowu zasypał Wawrzyńca gradem pytań:

– Gdzie byłeś, tato? Co robiłeś? Czemu nie przychodziłeś wcześniej?

– Pomału, smyku. Biegnij do łazienki i umyj ręce. Zaraz wszystko ci wyjaśnimy. – Matka potrzebowała choć chwili na to, aby zapytać Wawrzyńca o motywy jego postępowania.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, jak wielką nadzieję w nim rozbudziłeś? – wyszeptała, gdy chłopiec odszedł.

– Jestem świadom odpowiedzialności, którą biorę na siebie. Zaufaj mi, Julio!

– Wiesz, co będzie, gdy on pewnego dnia odkryje kłamstwo?

– Przysięgam, że nigdy nie zdradzę mu prawdy. Przecież jest zarejestrowany jako mój syn. Nie ma więc możliwości, aby jakiś urzędnik narobił bigosu. Jeśli tylko twoja rodzina nie powie mu, jak było w rzeczywistości, to nic złego się nie stanie. Jestem przekonany, że dla dobra dziecka wszyscy będą woleli milczeć. Tak, jak milczeli do tej pory, gdy mówiłaś, że jego ojciec nie żyje.

Z łazienki wciąż jeszcze dolatywał szum wody.

– Nie mogę tego pojąć – stwierdziła szczerze pani domu. – Naprawdę chcesz wziąć na siebie odpowiedzialność za cudze dziecko i wychowywać je jak własne?

– A mamy inne wyjście? Kocham cię – powtórzył. – Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Serce pękało mi każdego dnia, gdy odwracałaś się ode mnie i odchodziłaś w milczeniu. Po co więc jeszcze bardziej wikłać to, co już raz zostało zawikłane? Czy nie będzie łatwiej sprawić, aby stało się prawdą drobne kłamstwo z przeszłości?

*A słowo ciałem się stało* – przemknęło przez jej myśli. I choć można było uznać to za świętokradcze nadużycie, uznała, że idealnie odzwierciedla zaistniałą sytuację.

Kłamstwo powtórzone dziesiątki razy przemieniło się w prawdę.

Niczym burza wpadł do pokoju rozentuzjasmowany chłopiec. Stał przed *ojcem* i spojrzał mu w oczy.

– No, to gdzie tak długo byłeś, tatku? – zapytał.

– Chorowałem. Zaszło wielkie nieporozumienie. Kiedy wybuchła mina, byłem dość daleko, ale mimo to zostałem ciężko ranny. Pogotowie zabrało mnie do szpitala. Tamtej nocy w tym samym szpitalu zmarł inny pan, także przywieziony po podobnym wypadku. Przez straszliwą pomyłkę o śmierci powiadomiono rodzinę twojej mamusi. A tymczasem ja żyłem, choć nie wiedziałem o bożym świecie.

– A dlaczego nie przyszedłeś do nas po wyjściu ze szpitala?

– Widzisz, synku, nie mogłem. Jeden z odłamków uderzył mnie w głowę tak mocno, że straciłem pamięć. Nie wiedziałem nawet tego, kim jestem i jak się nazywam.

– Ojej! To okropne! – Oczy Karola zogromniały. – A co było później? Jak sobie przypominałeś?

– Pewnego dnia spotkałem na ulicy piękną panią. Jakiś zły człowiek ukradł jej torebkę i ja byłem świadkiem tego zdarzenia. A kiedy spojrzałem w oczy twojej mamy, pomyślałem, że znam ją skądś. Ona także mnie rozpoznała, lecz nie mogła uwierzyć, że to ja. Myślała, że to ktoś ładząco podobny. Sobowtór. Wiesz, kto to taki? – zagadnął.

– Nooo... Chyba! Sobowtór to ktoś niby taki sam, ale inny.

– Otóż to. Bystry chłopak z ciebie. – Poczochrał ciemne włosy dziecka. – Poszliśmy wtedy razem na posterunek, aby zgłosić kradzież. Twoja mama przedstawiła się milicjantowi, a ja nagle przypominałem sobie absolutnie wszystko.

– To dlaczego nie powiedziałeś od razu, kim jesteś? – zapytał, robiąc żalostną minę.

– Bo najpierw Julia musiała przyzwyczaić się do myśli, że nie jestem żadnym duchem. Miałem także do załatwienia kilka innych, mniej ważnych spraw. A teraz jestem już z wami.

Jestem z tobą, synku.

Przytulił do siebie chłopca. Ponad jego głową wymienił z narzeczoną spojrzenia.

Uśmiechała się. Kłamstwa, które opowiadał z takim zacięciem, trafiły jej do przekonania.

– Zamieszkas z nami? – padło pytanie.

– Oczywiście, ale jeszcze nie od dzisiaj.

– Ojeeej! Szkoooda! Dlaczego?

– Chwilowo nie mogę. Ale już niebawem razem zamieszkamy. Będę jednak bardzo często przychodził, daję słowo. Będziemy grali w piłkę. Pojedziemy razem do zoo i do kina na western. Chcesz?

– No pewnie! Kowboje są fajni! Wujek Broniek też tak uważa, bo kiedyś dał mi rewolwer i odznakę szeryfa. Pokazać ci, tato?

– Oczywiście!

– Zjesz z nami obiad? – zagadnęła Julia, przerywając ojcowsko-synowską sielankę.

– Jeśli tylko nie prawię ci kłopotu, to z przyjemnością, kochanie.

– Żaden kłopot, ale uprzedzam, że posiłek będzie ubożuchny. Mam nadzieję, że lubisz ryż zapiekany z jabłkami i cynamonem.

– Oczywiście! – zapewnił szybko, żeby czasami nie wycofała zaproszenia.

– To dobrze. Zaraz zagrzeję.

Wyszła do kuchni, zostawiając panów samych. Była tym wszystkim bardzo oszołomiona, ale wiedziała, że po obiedzie czeka ją wyjątkowo trudne zadanie. Będzie musiała choć na chwilę oderwać dziecko od *ojca* i wysłać je do kolegów, aby odbyć jeszcze jedną poważną rozmowę ze swoim hm... Narzeczoną? Mężem?

No właśnie: z kim?

Bo jak w tej sytuacji rozwiązać kwestię ślubu?

Zgodnie z urzędowymi dokumentami byli małżeństwem od co najmniej siedmiu lat.

Sęk w tym, że w międzyczasie on miał inną żonę, z którą zdążył się rozwieść.

*Och! Same komplikacje* – westchnęła.

Włożyła do szabaśnika gęsiarkę ze skromnym posiłkiem. *Wawrzyniec zjadłby pewnie coś treściwszego. Szkoda. Nic innego nie mam.*

Kilka minut później postawiła przed narzeczoną talerz z parującą potrawą.

Przyzwyczajony do stołkowego jedzenia z apetytem wcinał domowe danie.

– Pyszne – chwalił pomiędzy jednym kęsem a drugim. – Palce lizać! Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem coś równie dobrego.

– Bez przesady. To zwyczajny obiad.

– Ależ nie! Mogę prosić o dokładkę? – zapytał.

– Oczywiście. A ty, Karolku? Czemu nie jesz?

– Bo nie lubię cynamonu – odparł chłopiec, grzebiąc widelcem w talerzu.

– No widzisz? – zwróciła się do mężczyzny. – Mój domorosły smakosz twierdzi inaczej.

– Serio ci nie smakuje? – zdziwił się świeżo upieczony ojciec. – Ja jestem zachwycony.

– I co ty na to? – zapytała matka. – Widzisz, jak eee... tatuś – zająknęła się lekko przy tym słowie i zerknęła na gościa, lecz on tylko pokiwał głową – wcina. Aż mu się uszy trzęsą.

Powinieneś brać z niego przykład.

– Ojej – westchnął dzieciak. – Teraz będziecie mnie we dwoje torturować?

– Ależ oczywiście! – odparła Julia. – W temacie jedzenia tato na pewno będzie trzymał moją stronę.

– To jakaś zmowa! – stwierdził buntowniczo.

– Nigdy w życiu! Po prostu chcemy, abyś wyrósł na dużego i krzepkiego chłopaka. No,

bo jak mam grać w piłkę z takim chuchrem? No, jak?

– A zagrasz ze mną?

– Oczywiście. Ale jeszcze nie dzisiaj, dobrze? Na razie mamy dużo spraw do omówienia z mamusią. Przecież nie widzieliśmy się tyle czasu! Obiecuję ci, że nadrobimy to przy najbliższej okazji.

– Dooobra! Kiedy?

– Zobaczymy – powiedział niepewnie Wawrzyniec.

– Ale jeśli chcesz grać z piłką, to najpierw kończ jedzenie – uzupełniła pragmatyczna Julka. – A później możesz iść na pole.

– Niech ci będzie – odparł, pakując do ust widelec pełen ryżu.

Dziesięć minut później zbiegał po schodach na podwórko. Z jednej strony żał mu było zostawiać cudem odzyskanego ojca, z drugiej bardzo chciał pochwalić się kolegom. Pewnie zostałby w domu, bo jednak tego dnia tato był najważniejszą sprawą, ale mamusia nalegała, aby poszedł się dotlenić.

– Świetny chłopak – zagaił Wawrzyniec, gdy Karol opuścił mieszkanie.

– Nie rozczarujesz go, prawda? – upewniła się Julia.

– Przysięgam – zapewnił. – Zostaw te naczynia. – Złapał ją za rękę i posadził na krześle stojącym obok. – Później pomogę ci przy zmywaniu.

– Ha! Ha! Ha! Potrafisz? – powątpiewała.

– Możesz się zdziwić. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Jeszcze niejednym cię pewnie zaskoczę.

– A! To akurat nie ulega wątpliwości. Jak na razie jesteś dla mnie jednym wielkim zaskoczeniem – przyznała.

Położył dłoń na jej twarzy i delikatnie ją pogładził.

– Wybacz. Czasami radykalne działania są konieczne. – Nachylił się, aby ją pocałować.

W końcu mógł włożyć w to choć trochę przepelniającej go pasji. Nareszcie byli sam na sam, bez kręcących się wokół przechodniów.

– Ma-mo! Ma-mo! – Wołanie Karola przerwało chwilę słodkiej czułości.

– Muszę – powiedziała Julia, opuszczając objęcia ukochanego.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

*Jeszcze będziemy mieli dość czasu dla siebie – pomyślał.*

Wyjrzała przez okno. Synek potrzebował pilnie swojego colta. Do gry w piłkę było za mało chłopaków. Postanowili więc urządzić sobie zabawę w milicjantów i złodziei. Żądany przedmiot trafił w ręce dziecka, a Julia wróciła wprost w ramiona Wawrzyńca.

Jego pocałunki burzyły krew w żyłach.

– Nie uważasz – powiedziała, gdy na chwilę oderwał wargi od jej ust – że mamy do omówienia parę ważnych spraw?

– Oczywiście, kochanie.

Usiedli przy stole.

– Co teraz będzie? – zapytała.

– Myślę, że powinniśmy się wybrać do Pawlic. Pragnę załatwić wszystko jak należy i poprosić twoją matkę o zgodę na nasz ślub. Trzeba ponadto odwiedzić plebana, aby załatwić formalności.

– Tak, to jest niemalże oczywiste. Nie zapominaj jednak, że formalnie jesteśmy małżeństwem. Zwłaszcza dla Karola. Lepiej trzymać go z daleka od takich spraw.

– Rozumiem. – Zastanowił się chwilę. – Myślałem o tym już od jakiegoś czasu.

W urzędzie lepiej niczego nie zgłaszać, byśmy sobie nie narobili problemów. Znajdę jakiś

sposób, aby wybrnąć z sytuacji, gdyby jakiś nadgorliwy urzędnik zaczął drążyć temat. Nie ulega wątpliwości, że musimy wziąć ślub w kościele. Przed Bogiem jesteśmy narzeczonymi. Załatwię z proboszczem, aby to była cichutka ceremonia. Wyłącznie dla nas i dla najbliższej rodziny. Zaprosisz tylko te osoby, które twoim zdaniem powinny być z nami w takiej chwili. Co ty na to?

– Dobry pomysł – odparła.

– Przykro mi, że nie będziemy mieli prawdziwego wesela. Pewnie marzysz o sukni ślubnej, welonie i innych atrakcjach...

– Nie – przerwała mu. – Welon nie jest dla mnie – stwierdziła z przygnębieniem. – Będzie tak, jak mówisz. A kiedy chciałbyś jechać na wieś?

– Jak najszybciej. – Ujął jej dłoń i uścisnął. – Ze względu na Karola nie ma sensu odkładać tego na później. Poza tym nie będę ukrywał, że chciałbym już mieć cię dla siebie na co dzień.

Podniósł jej rękę do ust.

– Bardzo ci się spieszy – zauważyła. – A jeśli potem nastąpi rozczarowanie?

– Czym? Tobą? Nie wierzę.

Spojrzała mu bardzo poważnie w oczy.

– Jestem kobietą po przejściach. Do tej pory unikałam mężczyzn.

– Czas zapomnieć o człowieku, który cię skrzywdził. Nie wszyscyśmy tacy sami – zapewnił. – Zaufaj mi, Juleczko.



Wracał do domu pogrążony w głębokiej zadumie.

*Serio potrzebujesz tego?* – zapytywał samego siebie. *Udźwigniesz problemy kobiety, która została zgwałcona? Dasz sobie radę z wychowaniem cudzego dziecka?*

Czekało go nieliczne wyzwanie, lecz on nie bał się wyzwań. Nie miał wątpliwości, że postępuje jak należy.

Przepełniała go miłość do Julii.

Teraz rozumiał potęgę uzależnienia swego przodka, który wystawił na szwank reputację, wdając się w skandaliczną miłość z Zenobią.

Julia także rozmyślała nad wydarzeniami minionego dnia.

Jakimś cudem zdołała zapędzić podekscytowane dziecko do łóżka. Przez cały wieczór odpowiadała na dziesiątki pytań. Teraz nareszcie w mieszkaniu zapadła cisza.

*Od zawsze jestem sama. Do tej pory było mi dobrze. Może czasami tęsknię za czymś towarzysztwem, ale czy te tęsknoty są na tyle duże, aby podejmować aż takie ryzyko?*

Bała się o to, jakim mężem będzie Wawrzyniec. Wszak już raz mu nie wyszło w małżeństwie. Wspomnił coś o tym pokrótce, nadmieniając, że z tamtą kobietą miał wyłącznie ślub cywilny, gdyż była niewierząca i kategorycznie odmówiła uczestnictwa w ceremonii kościelnej, nawet gdy złożył propozycję, że wyłącznie on będzie ślubował. Nie wchodził w szczegóły. Powiedział tylko, że nie mieli dzieci, a ich związek bardzo szybko się rozpadł z uwagi na rażące różnice światopoglądowe. Miłość wygasła, namiętność ostygła. Postanowili wziąć rozwód.

A co, jeśli nie powiedział prawdy?

Jeżeli tamta odeszła, ponieważ był złym mężem?

Później przypomniała sobie o pierwszym małżeństwie Bronka. Z miejsca naszła ją refleksja, że nie wszyscy mężczyźni są z gruntu źli. Tak właściwie jedynym naprawdę podłym człowiekiem, jakiego spotkała osobiście, był drań, który od lat gryzł ziemię.

Bronek świata nie widział poza Bogusią. Andrzej poza Sabinką. Leszek poza Kazią. Janek poza Krysią. Wszyscy byli dobrymi, wiernymi mężami. Pomagali żonom w domowych obowiązkach. Nie awanturowali się i nie bili – a przynajmniej ona nigdy nie usłyszała na ten temat słowa skargi. Ani bratowe, ani siostra nigdy nie chodziły poobijane, co widywało się czasami wśród innych pań.

Nie dopuszczała myśli, aby jeszcze kiedykolwiek jakiś mężczyzna podniósł na nią rękę.

*Nie wolno mi tak myśleć! Muszę mu zaufać.*

Bała się nie tylko zaciśniętych pięści. Martwiła się także o reakcję swojego ciała na dotyk drugiego człowieka.

Do tej pory wszystko układało się dobrze. Delikatne i czułe pocałunki Wawrzyńca nie wzbudzały jej niechęci – wręcz przeciwnie, przyprawiały ją o przyjemny trzepot serca oraz łaskotanie w podbrzuszu. Zupełnie jakby w jej ciele pojawiło się nagle stado motyli. Ale czy czar nie pryśnie, gdy dojdzie do zbliżenia?

Czy nie wróci wówczas echo przerażających wspomnień?

Przez ostatnie osiem lat robiła, co mogła, aby wymazać to wszystko z pamięci.

Wypełniała czas i myśli czym tylko zdołała. Wbijała sobie do głowy, że nie wolno rozpamiętywać wydarzeń tamtego lutowego dnia. Już dawno przestała truchleć, gdy jakiś mężczyzna dłużej zatrzymał na niej wzrok. Ale co innego spojrzenie, co innego nieprzyjemny ścisk w tramwaju, a co innego małżeństwo i wszystkie jego konsekwencje.

Nieprzypadkowe spotkanie z Marczykiem wzbudziło poważny niepokój Bronka. Skoro wróg dotarł za nim do Nowej Huty i dyszał chęcią zemsty za urojoną przewinę, należało zachować ostrożność. Z przygnębieniem przypominał sobie, z jaką niefrasobliwością słuchali z Jankiem audycji Radia Wolna Europa. Wszak przyłapanym na gorącym uczynku groziły poważne konsekwencje. Niby zachowywali jakieś środki ostrożności: byli zawsze sami, nastawiali głośno muzykę albo odkręcali krany, aby szum wody zagłuszał inne dźwięki, podczas gdy oni nadstawiali uszu, aby posłuchać wieści ze świata. To wszystko jednak mogło być niewystarczające.

Jakie było prawdopodobieństwo, że ten cholerny esbek założył mu podsłuch w mieszkaniu?

Janek wciąż lubował się w dowcipach politycznych. Przy każdej okazji sypał żartami jak z rękawa. Chyba też powinien go ostrzec, aby uważał na to, co mówi. Nawet na pozór niewinne pogaduszki czy zabawy z dziećmi mogłyby się źle skończyć.

Wszak nie tak dawno, podczas zabawy z Karolem, Janek rzucił od niechcienia:

– A wiecie, czemu komuniści nie bawią się w chowanego?

Nawet nie próbowali zgadywać, o co chodzi, bowiem zaraz sam sobie odpowiedział:

– Boją się, że nikt ich nie będzie szukał!

A co by było, gdyby chłopiec powtórzył ten żart w przedszkolu? Albo na ulicy wśród obcych ludzi?

Nie było na co czekać! Musiał rozmówić się z przyjacielem.

Wtajemniczył we wszystko żonę. Zabrał ją na spacer po łąkach. Najpierw upewnił się, czy nikt im nie *towarzyszy*. Uprzedził Bogusię, aby zawsze starannie zamykała mieszkanie, a przed wyjściem rozsypywała na podłodze cieniutką warstwę mąki i po powrocie zawsze sprawdzała, czy ktoś jej nie zdeptał. Gdyby zauważyła coś niepokojącego, powinna mu o tym powiedzieć, ale nie w domu, lecz podczas spaceru.

– To nieobliczalny człowiek. Nie mogę pozwolić, aby trafił mu się pretekst. On tylko czeka na okazję, żeby mnie przydybać. Nie martw się, Bogusiu – dodał, widząc jej przerażenie. – Tobie nic nie zagraża. On zawział się tylko na mnie. Podejrzewa mnie o zamordowanie swojego brata.

– Zrobił to Andrzej – upewniła się szeptem.

– Tak. Nie wydam młodego. – W jego głosie brzmiała stanowczość.

– Doskonale cię rozumiem.

Teraz, gdy była częścią rodziny Szymczaków, spoglądała na poczynania i decyzje męża z zupełnie innej perspektywy. Byli siłą i jednością, której nic nie mogło osłabić. I choć przed rokiem odczuwała wzburzenie na myśl o tym, że mąż kryje zbrodniarza, teraz nawet ona rozgrzeszyła w myślach Jędrka z popełnionego czynu.

Wawrzyniec postanowił kuć żelazo, póki gorące. Szkoda mu było każdego dnia, więc trzy dni później w sobotnie popołudnie zabrał Julię oraz Karola do Pawlic. Zaskoczył przy tym narzeczoną, bowiem zamiast pekaesem, pojechali wysłużonym łożnikiem pamiętającym jeszcze czasy okupacji.

– Łooo! Ale fajowy! – Karol nie posiadał się z radości.

– To twój samochód? – wyraziła zdziwienie.

– Nie ma aż tak dobrze – westchnął. – Pożyczyłem od kolegi. Chciałem, aby podróż była szybka i wygodna. Jestem zapisany do kolejki na syrenę, ale pewnie przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać.

Zadziwiająco, jak szybko i łatwo przyszło mu obejmowanie ich liczbą mnogą. Julia dopiero przyzwyczajała się do tej myśli, on już planował wspólne życie.

Teraz jej największym zmartwieniem było, jak wytłumaczyć wszystko matuli. Musiała to zrobić tak, aby Karol nie odkrył prawdy. Dręczyły ją obawy, że element zaskoczenia może zniweczyć wszystkie dotychczasowe starania o zachowanie tajemnicy. Nazajutrz po zaręczynach napisała do Pawlic długi list, w którym opisała szczegóły swojej znajomości z Wawrzyńcem. Wprawdzie podczas ostatniego przyjęcia weselnego jej bracia wypapłali matce, że siostra ma jakiegoś tajemniczego adoratora, lecz Julia zbyła wówczas temat i jak zwykle wymigała się od odpowiedzi. Broniek także dyskretnie milczał. Co więcej, nazajutrz po urodzinach Leszka przeprosił ją za swój długi jęzor, tłumacząc, że wypił trochę za dużo i po prostu wygadawał głupstwa.

Teraz świeżo upieczona narzeczona trochę żałowała, że nie zwierzyła się wcześniej rodzinie. Mogła jakoś przygotować ich na tę niespodziankę. Tymczasem masz ci los! List dopiero co wysłała, nie było najmniejszej szansy, aby dotarł do domu tak szybko. A Wawrzek, ten okropny uparciuch, stwierdził, że musi jak najszybciej pokłonić się jej matce i załatwić sprawę zapowiedzi. I nie było mowy o tym, aby odłożyć tę wycieczkę choćby o tydzień.

– Aż tak ci pilno? – próbowała go przystopować, gdy dwa dni wcześniej zaproponował wspólny wyjazd.

– A jak myślisz? – zapytał, głaszcząc pieszczotliwie jej policzek.

Na więcej nie mogli sobie pozwolić, gdyż w pokoju obok siedział Karol, pracowicie coś rysując. Wcześniej grali w piotrusia i warcaby. Za oknem padał deszcz, bębniąc o blaszany parapet. W związku z tym niemożliwe było wysłanie chłopca na zewnątrz i odbycie sensownej rozmowy.

– Dla dobra dziecka powinniśmy jak najszybciej zamieszkać w trójkę. Nie mogę w nieskończoność szukać wymówek, dlaczego jestem ojcem na dochodne. Nie przypuszczam też, abyś zgodziła się na życie pod jednym dachem bez ślubu.

– I słusznie – odparła. – Nie ma takiej możliwości.

– Ach... Okrutna kobieto! – powiedział z żarem.

Pozwoliła mu, aby skradł jej krótki pocałunek.

– Nadal uważasz, że jestem okrutną kobietą?

– Ależ oczywiście. Czyż to nie jest jeszcze większa tortura, gdy mogę zaledwie poczuć smak twoich ust?

Po dwóch godzinach podróży Wawrzyniec zaparkował łazika przed domem Szymczaków. Z miejsca pojawiły się na ganku kobiety zwabione warkotem.

– Wszelki duch pana Boga chwali! – wykrzyknęła Władzia, miętosząc kraciatą ścierkę. – Julcia? Karolek? A co wy tu robicie?

Dorota w milczeniu wytrzeszczała oczy, osłaniając twarz chustą.

Tej chwili Julia obawiała się najbardziej. Położyła szybko palec na ustach, nakazując milczenie.

– Tatuś nas przywiózł! Zobacz, babciu! Tatuś! – krzyczał rozentuzjasmowany chłopiec. – Tatuś się odnalazł!

Gospodyni spojrzała na mężczyznę wysiadającego z łazika. Zapomniana ścierka upadła na ziemię. Julia szybko pokiwała, a potem pokręciła głową i znowu położyła palec na ustach. W tym czasie Wawrzyniec obszedł wóz i pomógł narzeczonej oraz dziecku w opuszczeniu pojazdu.

Po chwili wnuk zawisł na szyi skonsternowanej babci.

– Moje uszanowanie. – Pawłowski uklonił się kobietom.

– Dobry Boże! Czy mnie oczy nie mylą? – Władysława nie dowierzała temu, co podpowiadał jej rozum. – Toż to wykapany nieboszczyk Pawłowski!

– Cii... Mamo, proszę – syknęła Julia, wskazując na synka.

– No przecież mówię ci, babciu, że tatuś do nas wrócił – paplał chłopiec, wciąż wczepiony w babciną szyję, a jednocześnie odwracając główkę ku kierowcy.

Dorota parsknęła na siłę tłumionym śmiechem, co momentalnie zwróciło uwagę niespodziewanego gościa.

– Witam szwagierkę – powiedział rezolutnie.

– Skąd pana do nas przywiodło? Jak? Jakiż to cud się wydarzył? – zapytała Szymczakowa.

– Mamo, za chwilę wam wszystko wyjaśnię. Wejźmy do domu – powiedziała Julia.

– Tak, tak! Oczywiście, Bardzo prosimy! – Gospodyni wskazała otwarte drzwi.

Kiedy Julia ją mijała, nawiązała z nią kontakt wzrokowy. W jej oczach widać było jedno wielkie zdumienie.

Pawłowska zaprowadziła narzeczonego do paradnej izby. Za nimi weszła matka oraz Dorota. Ciotka trzymała rękę idącego za nią siostrzeńca.

– Juleczko, a może ja zabiorę Karola na spacer, a wy spokojnie się rozmówicie? – zaproponowała nader domyślnie, co zostało przyjęte z wdzięcznością.

Władzia zapytała gości, na co mają ochotę, lecz oni zgodnie poprosili, aby z nimi usiadła. Kobieta odpasała fartuch, gdyż niezręcznie się w nim czuła w obecności tego człowieka.

– Możesz mi to w końcu wyjaśnić, córeczko? – zapytała z konsternacją.

– Pani wybacz – odpowiedział mężczyzna – że to wszystko tak nagle. Wawrzyniec Pawłowski. – Uklonił się i ujął spracowaną dłoń kobiety. Szarmancko ją pocałował.

– Wa... Wawrzyniec – zająknęła się Władzia.

– Do usług, *madame*.

– Skąd pan tutaj? – zapytała.

– Żaden pan. Po prostu Wawrzek. A jeśli szanowna pani będzie łaskawa, to już niebawem zięc. Zanim jednak pokłonię się o rękę Julii, jesteśmy winni wyjaśnienie całej sytuacji.

Usiedli w trójkę przy stole. Popłynęła opowieść o najbardziej niezwykłym spotkaniu, do jakiego doszło w Nowej Hucie. A gdy już młodzi ludzie skończyli swą naprzemiennie snutą historię, Pawłowski wstał i podszedł do gospodyni. Uklęknął przed nią i pochylił głowę.

– Szanowna pani, czy w świetle zaistniałych okoliczności wyświadczy mi pani zaszczyt

i wyrazi zgodę na to, abym pojął Julię za żonę?

Oszolomienie odjęło mowę skonsternowanej Władysławie. Od pokoleń Szymczakowie byli solą w oku jaśnie państwa. Mimo zmieszanej krwi, mimo splecionych losów. A teraz nareszcie ich rodziny miały się trwale połączyć. Oto klęczał przed nią ostatni potomek dziedzica, najmłodszy Pawłowski z Piotrowic. Nie miał w sobie nic z buty, która cechowała jego ojca.

– Oczywiście, synu. Nie mogę być wam przeciwną, ponieważ widzę, że moja córka jest ci przychylna – odparła. – Tylko jak zamierzasz zrealizować swój zamiar, skoro dziecko uważa cię za ojca i męża swej mamy? – wyraziła troskę, która dręczyła również Julię.

Mężczyzna miał już na to gotową odpowiedź.

– Porozmawiam z plebanem. Wierzę, że jak dostanie odpowiednio więcej *co łaska*, to uda nam się załatwić tę sprawę szybko i pomyślnie. Ślub będzie cichy. Jeżeli Julcia pragnie zachować wszystko w sekrecie przed naszym synem, to Karola powinniśmy w tym czasie wysłać na kolonie – snuł plany. Władzia otarła dyskretnie łzy kręcące się w kącikach oczu, gdy usłyszała jego ostatnie słowa. Tymczasem mężczyzna prezentował kolejne wizje: – Na ceremonię zaprosimy wyłącznie rodzeństwo. Zgodnie z prawem i tak jesteśmy małżeństwem, chcemy uświęcić to przed Bogiem. Na szczęście dla nas władza ludowa nie poważa związków sakramentalnych. Nikt więc nie zarzuci nam, że robimy to niejako powtórnie. Julia nigdzie nie musi niczego zgłaszać, gdyż oficjalnie nosi moje nazwisko. Jedyne problem jest taki, że do tej pory podawała się za wdowę, a przecież pracujemy razem w kombinacie, choć nie w tych samych wydziałach. Załatwi się jednak i to, papier wszystko przyjmie.

– Ach, pięknieś to wszystko obmyślił. Tylko co ludzie powiedzą tutaj, w Pawlicach?

– I na to mam sposób. Niech mnie Julka wszystkim przedstawia jako męża. Trzeba mówić, że dawno temu wzięliśmy ślub państwowy, ale nie chciałem tutaj przyjeżdżać, gdyż cierpiałem na wspomnienie rodzinnego domu. Ludzie jak to ludzie: pogadają trochę, a potem zapomną.

Po wczesnym obiedzie Wawrzek zaproponował spacer Julce i Karolowi.

– Daleko stąd do dworu? – zapytał, gdy wyszli na zewnątrz. – Po tylu latach straciłem orientację w terenie.

– Nie. Trzeba iść gościńcem prosto jakieś trzy kilometry – oceniła. – Przypuszczam, że masz ochotę tam pójść.

– Trudno to nazwać ochotą, ponieważ wiem, że będzie bolało. Ale powinienem, skoro jestem tak blisko. Zaprowadzisz mnie?

– Oczywiście. A wiesz, że teraz wystawiamy się na żer bojcorzom?

Stali jeszcze na podwórku Szymczaków, czekając na Karola, który ślamazarnie wiązał sznurówki w pepegach. Mężczyzna odgarnął za ucho ukochanej niesforny kosmyk falujący na wietrze. Spojrzał jej w oczy z powagą.

– Prędzej czy później i tak się dowiedzą. Zapewne nie zostawią na nas suchej nitki, ale nic nie szkodzi. Czym szybciej będziemy mieli to z głowy, tym lepiej. Pamiętasz, jak masz mnie w razie czego przedstawiać?

Pokiwała głową w milczeniu. Zawstydzona opuściła wzrok.

– A cóż to, pani Pawłowska? Czyżbym dostrzegł rumieniec na twym policzku?

– Do tej pory nie używałam tutaj tego nazwiska. Nie było takiej potrzeby. Nawet na kopertach z listami pisałam moje panięskie.

– Kto będzie sobie zaprzętał tym uwagę?

– Tatku! Tatku! Idziemy? – Karol wybiegł z ganku i od razu uczeplił się jego ręki. – Ale fajowo!

Julia z rozrzewnieniem pomyślała o tym, jak bardzo musiało mu brakować ojca. Przyjął *powrót* taty bez najmniejszych zastrzeżeń. Nie próbował kwestionować historyjki, którą mu opowiedzieli. Nie zadawał Wawrzekowi zbyt wielu pytań, jakby żywił obawy, że czar pryśnie. Cieszyła go każda chwila, którą spędzali wspólnie.

Mężczyzna wyciągnął wolne ramię w stronę ukochanej.

– Pozwól, moja droga. – Puścił do niej oko. A ona uznała, że to nawet nieźle będzie wyglądało przed ziomkami, gdy on pójdzie w środku, prowadząc za rękę *synka* i żonę.

Pogodny dzień sprzyjał niespiesznej przechadzce. Pawłowski szedł powoli, dostosowując swój krok do Karolowego drobiazga. Odpowiadał na dziesiątki pytań związanych ze swoim dzieciństwem. Mówił o zabawach, o spędzaniu wolnego czasu, o książkach, które lubił czytać. Wspominał o rodzeństwie i nieżyjących rodzicach – *dziadkach* chłopca.

Zza płotów i z obejść śledziły ich ciekawskie oczy wieśniaków. Ten i ów przywitał się grzecznie, uchylając z daleka czapki.

– Dzień dobry, Juleczko! A co to: spacer z kawalerem? – zagadnęła odważnie Goliszowa.

– Dzień dobry, pani Stasiu. Nie z kawalerem, lecz z mężem – odparła rezolutnie, pomna pouczeń Wawrzka.

– Mę... Mężem? – upewniła się największa plotkara ze wsi.

*Mężatka* siłą stłumiła parsknięcie. Niełatwo to przyszło, bowiem w tym samym momencie *mąż* dał jej lekkiego, porozumiewawczego kuksańca.

– Uszanowanie pani. – Skłonił nieznacznie głowę. – Wawrzyniec Pawłowski.

– Wa... Wa... Wa... wrzyniec? Pa... Pa... Pa... włowski? – zająknęła się i wytrzeszczyła oczy.

– We własnej osobie – potwierdził.

– A... A... A... le z *tych* Pawłowskich? Syn dziedzica?

– A jakżeby inaczej?

– A... Ale Julia nic nie wspominała – stwierdziła gospodyni, owijając dłonie



poplamionym fartuchem, to znowuż je odsłaniając. Widać było, że ciekawość wprost ją pożera, lecz słowa nie nadążają za myślami. – Jakże to? Kiedyście się pobrali?

– Ano minęło już trochę czasu – odparł mężczyzna. – W Nowej Hucie. Doczekaliśmy nawet syna – odparł z dumą – ale o tym pewnie już wiecie, ponieważ Julcia przyjeżdżała tu z naszym małym na wakacje.

– A pan czemu nie przyjeżdżał do domu? – zapytała podejrzliwie.

– Żeby nie narażać się na wścibskie pytania. Zresztą jak miałem przyjeżdżać, skoro władza zrabowała mój dom i dobra ziemskie?

– No... Ale przecie Julia wyjechała stąd z brzuchem, więc jakże to było? – dociekała wścibska kobieta.

– A tak było, żeśmy się pobrali w sekrecie. A potem zabrałem żonę do miasta. Słyszałem, żeście różnie wtedy o niej gadali – dodał z groźną miną – choć ona niczemu nie była winna. Szanowanie – pożegnał się krótko, ucinając niebezpieczny temat.

Zostawili skonsternowaną gospodynię i ruszyli w stronę Piotrowic.

– Ach, jak tu pięknie! – zachwycił się Wawrzek. – Spójrz tylko, Julciu, na te pagórki. – Wskazał dłonią pobliskie wzniesienia. – Jakże urokliwie wyglądają te kopki z sianem! A to zboże falujące dorodnymi łanami. Tak połyskuje w słońcu, jakby sypnął ktoś garść złota między kłosa!

– Jakbym słyszała Bronka – zauważyła. – On także wciąż zwraca na to uwagę.

– Wieś ma w sobie tyle uroku. Gdzie nam, miastowym, szumią tak pięknie drzewa? Słyszysz to? Ten szelest? Tę cichutką piosenkę nadziei? Ach! A to lazururowe niebo! Czyste, z białymi pierzastymi obłoczkami. A ten radosny szczebiot ptaków! Gdzie w Hucie usłyszysz ich śpiew? Tam drzewa dopiero wyrastają, ptaszyny jeszcze nie zdążyły uwić gniazd. Zobaczysz jeno wróbla lub gołębia na parapecie. A tutaj? I sójka, i czyżyk, i jaskółki, co wieszczą zmianę pogody! Jakie to wszystko swojskie, znajome i obce zarazem! Nie byłem w tych stronach całe lata. Co tam wycieczki w okolice Krakowa! Tutaj dopiero czuję zapach powietrza! – rozprawiał ożywiony.

– Masz rację, Wawrzku! Niebo nad Hutą jest żółte od pyłu. Czasami powietrze okropnie cuchnie. Szczególnie trudno jest w upalne letnie dni, gdy to wszystko kisi się nad miastem. Nie ma wtedy czym oddychać, choć właściwie przyzwyczaiłam się już do tego smrodu. A kiedy wysiadam tu z pekaesu, za każdym razem przeżywam zaskoczenie przejrzystością nieba i soczystością barw. I tym, jak moje płuca zachłannie oddychają, jakby chciały nabrać na zapas tej ożywczej świeżości.

– Ach, Julciu! Nawet nie wiedziałem, jak bardzo tęskniłem za tym miejscem!

– Pamiętasz to wszystko? – Wskazała ruchem dłoni sielankowy, wiejski pejzaż.

– I tak, i nie. To zadziwiające, jak mało wspomnień mi zostało – wyznał Wawrzyniec z głębokim smutkiem. – Wokół dworu było chyba więcej lasów. Nie pamiętam, bym chadzał tą drogą. Nie pamiętam też tych domów ani widoków na wzgórza.

– Ja się temu nie dziwię. Przecież nie było potrzeby, abyś zajeżdżał z ojcem do Pawlic. Kościół jest w Piotrowicach – przypomniała. – A zamiast gonić do naszej wiejskiej szkółki, miałeś własnego nauczyciela. Nawiasem mówiąc, w czasie wojny Kownaccy uczyli mnie i moje rodzeństwo – dodała.

– O! Proszę! Nie wspominałaś o tym wcześniej.

– Ach, nie było kiedy – zachichotała. – Dość krótko byliśmy razem – dodała przytomnie, gdyż wszystkiemu przysłuchiwał się Karol. Uszczypnęła dyskretnie Wawrzyńca i wskazała oczami chłopca.

– No tak, rzeczywiście. – Uświadomił sobie, jak bardzo musi uważać na to, co mówi przy dziecku, by sekret się nie wydał. – Mogę jednak stwierdzić, że mieliście doskonałych

i wymagających belfrów.

– Oj bardzo! – przytaknęła, rada, że na moment odwróciła jego uwagę od smutniejszych spraw. – Musieliśmy się solidnie przykładać do nauki. Nie było żadnych wykrętów.

– Szczególnie surowy był Józef. Do dzisiaj pamiętam, jak mi dał linijką po łapach za niestaranną kaligrafię.

– Dostałeś karę od nauczyciela? – zdziwił się Karol.

– Owszem, dostałem – przyznał mężczyzna. – Ale zasłużenie. Nie myśl więc, młody człowieku, że będziemy z mamą przymykali oko, jeśli nie będzie ci się chciało uczyć, jak już pójdziesz do szkoły – powiedział z udawaną groźbą. Na chwilę puścił rączkę chłopca i pogroził mu palcem. – Pamiętaj, żebyś ojcu wstydu nie przyniósł.

– Będę pilnym uczniem, daję słowo! – zapewnił kandydat na pierwszoklasistę, lecz widząc, że tato się z nim trochę przekomarza, zapytał – A bardzo cię bolały łapy?

– Oj bolały, bolały.

Zbliżali się do piotrowickiego dworu. Z dała widać było park okalający zabudowania.

Julia uścisnęła mocniej przedramię Wawrzyńca. Spojrzeli sobie w oczy.

Ona także odczuwała zdenerwowanie. Nie była tam od ośmiu lat. To miejsce nie wywoływało przyjemnych wspomnień. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co może odczuwać wyrugowany spadkobierca. Zerknęła na niego.

Oczywiście momentalnie spoważniał, a z chwilą, gdy przekroczyli przerdzewiałą, oberwaną na zawiasach bramę, na jego czole pojawiła się pionowa bruzda.

Przypuszczał, co może ujrzeć – obraz upadku i ruiny.

Niewiele zapamiętał z dzieciństwa. Z każdym następnym krokiem widział coraz więcej, lecz to nie pobudzało jego pamięci. Serce łomotało mu z niecierpliwością. Odczuwał ból.

Nagle zaczął sobie przypominać.

Zachwaszczony podjazd był niegdyś wysypany żwirem. Wzdłuż niego, na starannie przystrzyżonym trawniku, rosły różane krzewy. Teraz trudno było dostrzec, w którym miejscu kończyła się aleja, a zaczynał gazon. Przed oknami dworu pasły się krowy. To byłoby nie do pomyślenia przed wojną! Nic nie zostało z róż – niepielęgowane rośliny zdziczały lub zostały zagłuszone przez chwasty. Zza drzew prześwitywała fasada – obłupiona miejscami z tynku. Część okien miała wybite szyby. Ktoś byle jak załatał je deskami. Ale były też i takie, które lśniły czystością. To ostatnie napawało optymizmem.

*Zdecydowanie lepiej widzieć w tym miejscu biuro spółdzielni, bibliotekę i świetlicę większą niż stertę gruzu.*

Dwór stał i w gruncie rzeczy wyglądał nie najgorzej.

*Ach! Gdyby cofnąć czas i znowu tutaj mieszkać! Albo żeby zdarzył się jakiś cud i moja rodzina odzyskała zagrabiony majątek* – westchnął nieznacznie. Nie zamierzał okazywać słabości. Był mężczyzną.

*Fasadę można byłoby odnowić, poprawić kruszące się schody, wstawić szyby w okna i doprowadzić wnętrza do ładu, bo prawdopodobnie są zapuszczone. Brakuje tu ręki właściciela.*

– Myślisz, że pozwolą nam wejść? – zagadnęła Julia. – Dorcia mówiła, że Olszańscy mieszkają w dworze.

– Zobaczymy – powiedział zdeterminowany.

Nie po to odbył tę wycieczkę, aby zrezygnować u drzwi. Wcisnął przycisk elektrycznego dzwonka – nowości, której nie pamiętał z czasów dzieciństwa. Otworzyła im nastoletnia dziewczyna. Obrzuciła przybyłych uważnym spojrzeniem piwnych oczu.

– Słucham państwa? – zapytała grzecznie.

– Dzień dobry. Nazywam się Wawrzyńiec Pawłowski. To moja żona Julia oraz syn Karol.

Przed laty ten dwór należał do mojej rodziny. Bardzo chciałbym zajrzeć do środka – powiedział prostolinijnie.

– Aha. A ja jestem Gienia Olszańska. Proszę chwilę poczekać. Tatku? Tatku! – Odwróciła się i krzyknęła w głąb domostwa. – Pozwól tu, proszę.

Po chwili w drzwiach stanął mężczyzna w średnim wieku. Gość przedstawił siebie oraz rodzinę i ponownie wyłuszczył prośbę.

– Oczywiście, proszę uprzejmie – usłyszał w odpowiedzi.

Drzwi zostały otwarte na oścież i przybysze weszli do środka. Wewnątrz dworu nic nie wyglądało jak przed laty. Zniknęły meble, obrazy i kryształowe żyrandole. Część tapet została zastąpiona sinymi lamperiami. Czas odcisnął nieubłagane piętno na pomieszczeniach, które mimo wszystko były zadziwiająco czyste.

Julia także rozglądała się z ciekawością. Była tutaj parę razy za rządów Marczyka. Pamiętała poczerniałe pajęczyny wiszące pod sufitami, brudne okna i zdeptane podłogi. Rupiecie walające się w każdym kącie. Teraz dwór nadal prezentował się nędznie – niczym ponury upiór z przeszłości, ale przynajmniej nie straszył brudem.

– Czyściutko tutaj – zauważyła Pawłowska. – Widać, że w spółdzielni nastał lepszy gospodarz. Poprzedni był fletuchem jakich mało.

– Oj! Prawdę pani mówi – przyznał Olszański. – Żona i córki nie mogły doszorować mieszkania po Marczykach. Gabinet też wołał o pomstę do nieba. Chciałem coś podreperować, ale się nie dało – wyjaśnił. – Władze powiatu odmawiają środków na remont. Nie pomaga tłumaczenie, że mamy tutaj bibliotekę i świetlicę, i nawet oddział przedszkolny. Dla nich to nie jest obiekt służący społeczeństwu, lecz niepożądany relikwini minionej epoki. Ale umyśliłem sobie akcję, która mi pomogła. Otóż dużo się teraz mówi o brudzie i konieczności wprowadzania higieny, więc ogłosiłem w okolicy konkursy: na najschludniej uprzątnięte podwórko, na najczystsza kuchnię, na najstaranniej obieloną chałupę. Tutaj potrzebne są takie zrywy. – Pokręcił głową. – No i jakże by to było, gdyby juror sam mieszkał w podłych warunkach? Dzięki temu zdołałem uzyskać trochę pieniędzy na malowanie. Może przyjdzie czas, gdy urzędnicy przestaną do tego budynku dorabiać ideologię i docenią, że gmina nie musiała od podstaw budować obiektów kulturalnych?

– Oby. Ja bym tam jednak wołał, aby władza zwróciła takim jak ja to, co nam niecie wydarto.

– Niestety. – Ksawery pokręcił głową. – Na to się nie zanosi. Takie to wszystko zaciekle! Kazali skuć z tynku wszelkie zdobienia i wasz herb rodowy. Robię co mogę, aby utrzymać zabudowania w przyzwoitym stanie, tyle że większość decyzji nie należy do mnie, ale przychodzi z wyższego szczebla. Wiem, jak się pan teraz czuje. Ja też straciłem dom w podobny sposób – dodał na koniec, jakby czuł potrzebę usprawiedliwienia stanu zabudowań.

– Tak, tak. Zdaję sobie z tego sprawę – odparł prawowity gospodarz. – Da Bóg, kiedyś to wszystko wróci do normy.

– Może wypijecie państwo z nami herbatę? Moja żona upiekła rano kruche ciasteczka – zaproponował Olszański.

– Z przyjemnością – odparł szybko Wawrzyniec z obawy, by Julia nie odmówiła, tłumacząc, że nadchodzi wieczór i czas wracać do domu. Wszak droga do Pawlic była prosta, jak strzełił. Jeśli zajdzie potrzeba, to on poniesie małego na barana. A łakocie domowego wypieku... Ach! Czy można byłoby oprzeć się takiej pokusie?

Obecny zarządca zaprosił ich do swoich prywatnych pokoi. Rodzina Olszańskich zajmowała trzypokojowe lokum na piętrze. Oddzielono je od reszty pomieszczeń ścianą i dodatkowymi drzwiami. Aby się tam dostać, musieli przejść obok biblioteki.

– A wie pan, że jestem siostrą Dorotki? – zagadnęła Julia.

– Nie może być! Naprawdę? – ucieszył się gospodarz i spojrzał na nią z przychylnością. – Powinienem był odgadnąć – stwierdził. – Macie takie same oczy, kolor włosów i podobnie intonujecie wypowiedzi. Bardzo cenię pannę Dorotę. Wkłada serce w każde zobowiązanie, które podejmuje.

W niedzielne popołudnie, już po powrocie do Nowej Huty, Wawrzyniec zaprosił narzeczoną i Karola na kolację do siebie.

– Wcześniej nie było okazji, a chciałbym, żebyś zobaczyła, jak mieszkam. W najbliższym czasie trzeba będzie podjąć decyzję, gdzie urządzimy się w trójkę.

– Oczywiście – odparła krótko.

Nie myślała o tym wcześniej, lecz istotnie czekało ich ustalenie również tego. Żywiła nadzieję, że pozostaną u niej. Było tam dość przestronnie jak dla nich. Mieszkanie miało dobrą lokalizację, no i co tu dużo mówić: obydwójce z Karolem bardzo je lubili. On miał tu swoich kolegów. Szkoła znajdowała się blisko, podobnie jak przystanek tramwajowy oraz sklepy. Z drugiej strony wiedziała, że przyszedł mąż mieszka na osiedlu Centrum D, a więc nie spodziewała się gorszych warunków. Nigdy wcześniej nie wypytywała go o sprawy lokalowe, bowiem uważała, że nie wypada być aż tak ciekawską. Zresztą zaskoczył ją szybkimi oświadczeniami i ustaleniem prędkiego terminu ślubu.

Najpierw zajechali do niej i rozpakowali wiktuały, które wcisnęła im Władzia. Matka, jak to matka – wychodziła z założenia, że miastowym mizerakom trzeba dać jajek, sera i choćby wypatroszoną gęś, bo nic lepszego nie miała. Jak twierdziła, na wsi i tak żyło im się cokolwiek łatwiej, bo każdy miał swoją jarzynę, owoce i drób. A i wieprzki kwiczały w chlewiku, lecz te potrzebowały jeszcze trochę czasu, nim będą gotowe do ubicia.

Dopiero gdy to wszystko trafiło do szafek i lodówki, poszli do Wawrzyńca. Wprawdzie Julka proponowała mu, aby jeszcze wypili u niej herbatę, lecz on grzecznie, acz stanowczo odmówił. Nie nalegała więc mocno, ponieważ w rzeczy samej ciekawa była jego mieszkania.

– Cztery pokoje? – zdziwiła się, gdy oprowadził ją po słonecznym, przestronnym lokum.  
– Jakim cudem? Takich dużych mieszkań nie przydzielają ot tak! Wiem coś o tym, bo Broniek ma kolegę w kwaterunku. Nawet z jego znajomościami nie udało mu się załatwić dla Leszka choć trochę większego lokalu. Gniece się, biedaczysko, z żoną i bliźniakami w jednej izbie.

Mężczyzna uśmiechnął się i pospieszył z wytłumaczeniem:

– Początkowo, jak wszyscy, dostałem przydział do Domu Młodego Robotnika. Już wtedy wiedziałem, że będę tam przejściowo. Miałem w pokoju tylko jednego sublokatora, również naukowca. Mieszkaliśmy cicho, nie wadząc sobie wzajemnie. Zarząd kombinatu jeszcze przed dniem rozruchu kusił mnie etatem. Potrzebowali kadry z odpowiednim wykształceniem. Widać nie wszędzie sprawdzają się niedouczzone tumany, którymi władza ludowa tak ochoczo obsadza wysokie stanowiska. W Hucie potrzebowali wiedzy, a nie kolejnego partyjnego entuzjasty.

– A tak przy okazji – przerwała mu – bo jesszczem cię o to nie zapytała: należysz do pezetpeeru?

– Nigdy w życiu. Jak Boga kocham! – Uderzył się w pierś, aż zadudniło. – Zresztą co im w partii po wywłaszczonym synu ziemiańskim? Dla nich zawsze pozostanę kołtunem.

– No to jakże zdobyłeś to mieszkanie? – dociekała.

– Kołtun kołtunem, ale oni potrzebowali mojej głowy. Mnie tam nie ciągnęło, aby tutaj zamieszkać. Gdym jeszcze żył w Krakowie, Nową Hutę miałem za dzicz – uśmiechnął się. – Targowałem się więc z Czechowiczem ile wlezie. Ach, to dopiero persona! Poznałaś go już?

– Znam go tylko z opowiadań i przelotnych spotkań na korytarzu. Nigdy nie miałam z nim do czynienia bezpośrednio. Sprawia wrażenie bardzo energicznego człowieka.

– O tak! Nie można mu tego odmówić. Swoją drogą, on to ma fantazję ułańską! Zauważyłaś, jak się nosi? Te wyglansowane cholewy, wojskowe bryczesy... Wypisz wymaluj oficer Armii Krajowej. – Zniżył głos, ponieważ wypowiedzianie takich kwestii mogło być nierozważne. – Tak czy owak zależało mu chyba na mojej głowie, bo obiecał, że jak przyjmę stanowisko, to dostanę ładne mieszkanie. A że akurat wtedy stanęła mi na drodze pewna

urodziwa brunetka, pomyślałem: a co tam! Targowałem się tylko, aby lokal był przyszłościowy, a nie jakaś marna klitka. No i jakie są wasze wrażenia? – zapytał gości.

– Tatku! Tu jest klawo! – oznajmił chłopiec. – Dużo miejsca! Można by jeździć na rowerze.

Mieszkanie, dość spartańsko umeblowane, faktycznie było wyjątkowo przestronne. Julia zakręciła się w kółko na środku największego pokoju. Oczyma wyobraźni już widziała stojący tutaj stół i krzesła, serwantkę oraz biblioteczkę, o której od zawsze marzyła, lecz do tej pory nie miała jej gdzie wcisnąć.

– Rower możesz sobie wybić z głowy – przystopowała zamysły chłopca. – Zniszczyłbyś parkiet.

– Mamo! Ja tak tylko gadam.

– Ależ oczywiście, Lolek. Na rower mam komórkę lokatorską.

Chłopiec zmarkotniał i westchnął cichutko. Nie śmiał wypowiedzieć na głos swojej myśli z obawy, aby czar nie prysnął. Nie wyobrażał sobie, że cudownie odzyskany tato, którym nie zdążył się jeszcze nacieszyć, znika razem z innymi dziecinnymi fantazjami.

– No, co jest grane? – Wawrzyniec kucnął, aby spojrzeć mu w oczy.

– Bo ja nie mam roweru. Z moich kolegów ma tylko Zbyszek Gruca, ale on jest sknera i nikomu nie daje pojeździć.

– Będzie i rower – obiecał. – Pomyślmy o tym, jak tylko urządzimy mieszkanie.

– Naprawdę? – Zawisł na jego szyi.

– Masz moje słowo. Ale na razie musimy kupić trochę mebli, bo jak sam widzisz, trochę pusto tutaj. Prawda, Juleczko?

– Tak, masz rację, choć nie przypominam sobie, abym powiedziała, że zamieszkamy u ciebie.

– Och, moja miła – odparł, uwalniając się z uścisku Karola. Podszedł do ukochanej i wycisnął siarczystego całusa na jej ustach. Próbowła go przepędzić ze śmiechem, lecz on nic sobie z tego nie robił. – Myślę, że nie ma się nad czym zastanawiać. Co nie, Karol?

Z najstarszych nowohuckich osiedli zniknęły pobudowlane śmieci i rumowiska. Na skwerach pomiędzy chodnikami zazieleniła się trawa, a w gorące letnie dni można było znaleźć ukojenie w cieniu niedawno nasadzonych drzew. Przyjemnie było otworzyć okna, gdy wiatr nie wpychał do mieszkań tumanów kurzu, lecz niósł ze sobą upajający zapach kwiatów oraz szelest liści. Piękniało to wszystko w oczach.

W innych częściach dzielnicy wciąż królowały żurawie, strzelając wysoko w niebo, jakby miały zahaczyć o chmury. Mimo cięć budżetowych dzielnica nadal dynamicznie się rozwijała, przyciągając junaków z całego kraju, ba, nawet z zagranicy!

W miarę upływającego czasu plany urbanistyczne Nowej Huty ulegały kolejnym modyfikacjom. Zamierzona budowa ratusza na osiedlu B-32 nie doszła ostatecznie do skutku. Zamiast budynku użyteczności publicznej zaczęto wznosić kolejny blok – tym razem według wyjątkowo śmiałej i innowacyjnej myśli Marty i Janusza Ingardenów. Małżonkowie, którzy przez jakiś czas przebywali w Szwecji, nakreślili modernistyczny obiekt. Nowy blok z jednej strony wpasowywał się w plan zagospodarowania osiedli, a z drugiej swoją nowoczesnością znacznie odbiegał od sąsiadujących z nim zdobnych kamieniczek.

Dla budowniczych dzielnicy nadchodziły nowe czasy. Przyszła pora na porzucenie dotychczasowych technologii i radykalną zmianę. Teraz najważniejsza była funkcjonalność. Od tej pory mieszkania miały zapewniać lokatorom znacznie więcej światła słonecznego. Obowiązkowo wyposażano je w balkony lub chociaż loggie. Zamiast wykonywania mozolnej murarki cegłą najpierw ustawiano szkieletową konstrukcję, którą zapełniano siporexem – betonem komórkowym. To wymagało nieco innych metod pracy. Większość murarzy narzekała na innowacje. Nie lubili zmian i marudzili, że to burzy im przyzwyczajenia. Broniek nie był aż tak sceptyczny. Po prostu zabrał się do pracy, szukając w nowym jakiejś korzyści. Mieszkań wciąż brakowało i były przeludnione – ludzie nadal żyli w nieprawdopodobnym ścisisku hoteli robotniczych. Jeśli więc mieli odtąd budować szybciej i więcej, musieli iść z duchem czasu.

Zresztą on teraz wcale sobie nie krzywdował.

Wracał do domu radosny jak skowronek. Tam wszystko lśniło czystością, a na niego czekał smaczny posiłek. Jeśli żona nie pracowała, zjadali go razem – bez pośpiechu, ceniąc każdą wspólnie spędzoną chwilę. Gdy Bogusia miała dyżur, odgrzewał to, co mu pozostawiła w szabaśniku. Potem, by nie siedzieć samotnie, leciał do Julki albo kogoś z rodzeństwa. W czym mógł, w tym pomagał zapracowanej i dzieciatej młodzieży. Był ukochanym wujkiem, który zawsze miał czas, aby się pobawić albo zabrać maluchy na spacer. Kacpra i Melchiora już uczył kopać piłkę, choć ledwo toto od ziemi odrastało. Z Karolem gadał o *męskich sprawach* albo grali razem w piotrusia, a malusieńkiego Pawełka woził w wózku osiedlowymi alejkami. Miały z niego radość i wyrękę kobiety!

A on wciąż nie mógł się nadziwić, jak to możliwe, że jego pierwsza i druga żona, choć dorastały w podobnych okolicznościach i warunkach, tak bardzo były do siebie niepodobne. Jedna i druga straciła najbliższą rodzinę w czasie wojny. Obydwie wychowywały się pod okiem krewnych. Ba! Nawet mieszkały niemalże po sąsiedzku. Taki sam miały start w dorosłe życie: zaczynały naukę w tym samym liceum pielęgniarskim. Jakim więc cudem dzieliła je aż taka przepaść?

Julia szybko pożałowała, że nie zaprezentowała Wawrzyńca rodzinie choć trochę wcześniej. Nie przypuszczała, że ten narwaniec tak się będzie ze wszystkim spieszył. Ledwo poprosił ją o rękę, już pojechał złożyć pokłon jej matce i dać plebanowi na zapowiedzi. Teraz nie pozostawało nic innego, jak sprosić rodzeństwo na cichutki i skromny ślub w Pawlicach. I jeszcze musiała to zrobić tak, aby Karol nie odkrył prawdy. Przy czym dodatkową atrakcją było niebywałe zaskoczenie członków rodziny osobą jej narzeczonego. Broniek, jedyny obeznany wcześniej z tematem, poradził jej, aby nie zdradzała przed Kazią swojego sekretu. Obiecał, że zamieni na ten temat parę słów z bliskimi.

– Ach, Bronku! Znowu kłamstwo. – Załamała ręce. – Całe życie mam budować na iluzji?

– Julka! Nie martw się, dziewczyno. To już ostatnie oszustwo – zapewnił. – Od teraz będziesz tylko uwiarygodniać swój wizerunek. Robisz to dla dobra dziecka. Za kilka dni weźmiesz ślub, zamieszkaś z mężczyzną, którego nazwisko nosisz od lat, i będziecie żyli długo i szczęśliwie.

– Skąd taka wiara w tobie?

– A ty jej nie masz?

– Nie w takim stopniu.

– Ufam Wawrzкови. Sprawia wrażenie bardzo przyzwoitego. Wpatrzony w ciebie jak w obrazek! Widać, że jest za Karolkiem, i nie dostrzegam obłudy w jego postępowaniu. Czegóż ci więcej trzeba do szczęścia? Parę lat temu w najodważniejszych przypuszczeniach nie śmiałybym zakładać, że tak pięknie się to wszystko ułoży. Więcej wiary, Julciu. Więcej wiary. Nie wszyscy są jak to bydlę, co zdechło za ścianą wymurowaną przez Andrzeja. – Zniżył głos niemalże do szeptu.

– Nie myślę w ten sposób o Wawrzku. Gdyby tak było, pogoniłabym go na cztery wiatry – zapewniła, choć nie do końca podzielała entuzjazm brata. Skąd mogła wiedzieć, czy ów optymizm nie jest związany z tym, że Broniek po latach tęsknoty zdobył w końcu miłość swojego życia? Może stąd te różowe okulary, przez które teraz spoglądał na świat?



Oczywiście Bronek dotrzymał obietnicy i gdy Julia z Wawrzyńcem zapraszali rodzinę na ślub, nie dość, że opiekował się w tym czasie Karolem, to jeszcze przypilnował, aby odpowiednio wcześniej każdy usłyszał tę część prawdy, którą usłyszeć powinien. Przede wszystkim chodziło o Kazimierę, gdyż tej nikt nie był pewien, więc ona została poczęstowana tą samą śpiewką co mały – o cudownym odnalezieniu zaginionego mężczyzny.

Pierwsze zaskoczenie Szymczaków było ogromne. Szczególnie uzewnętrzniła to Kryśia, która długo nie mogła wyjść z osłupienia na wieść o tym, za kogo wydaje się Julka.

– Cyganisz! – Wzruszyła ramionami w pierwszej chwili. – Pawłowski? A niby skąd on się nagle wziął?

– A stąd co i my – odparł Bronek. – Stracił wszystko i musiał szukać szczęścia w świecie.

– I akurat wylądował w Nowej Hucie?

– Oj, nie musisz mi wierzyć. Sama się niebawem przekonasz, bo wybierają się do was z zaproszeniem na ślub. Ja tylko uprzedziłem, żebyście nie byli w szoku.

– Ja tam nie jestem zdziwiony – odparł Janek. – Miałem już przyjemność z tym człowiekiem wtedy, gdy okradli Julkę.

– I nic żeś mi nie wspomniał? – oburzyła się żona.

– A cóżem ci miał gadać? Nie przywiązałem do tego znaczenia. Skąd miałem wiedzieć, że tak się sprawy potoczą? Myślałem, że raz się pojawił i tyle – powiedział z ledwo skrywaną goryczą.

Zaraz zaczął sobie wyrzucać w duchu, że gdy jeszcze był kawalerem, nie próbował skuteczniej zakręcić się wokół Julii. Wtedy wciąż powstrzymywały go jakieś wydumane powody. Nie czuł się dość dobry dla niej, to znowuż uważał, że jest na to za wcześnie, ponieważ ona cierpi z powodu wyrządzonej krzywdy. A wystarczyło spróbować. Może gdyby wyznał miłość, to utorowałby sobie drogę do jej serca? Wszak nigdy wcześniej nie słyszał, aby miała jakiegokolwiek absztyfikanta. Wawrzyniec był pierwszym mężczyzną, jaki pojawił się na horyzoncie, i, ku rozpaczy Janka, od razu rozbił bank. Widać Julce musiała doskwierać samotność.

*Ach! Czemuż się nie postarałem? Czemuż położyłem uszy po sobie?*

Tkwiał w tej niemej rozpaczy przez następne dni. W tym czasie Krystyna szalała w dwójnasób. Wciąż rosła jej wściekłość na męża nieudolnie usiłującego zamaskować swe uczucia. Ogarnęła ją też złość na tę głupią, chudą smarkulę, która znowu spiła całą śmietankę z mleka. No, bo jakże inaczej określić zaręczyny z kimś takim?

– W czepku urodzona, hadra! – burczała pod nosem, kiedy nikt tego nie mógł usłyszeć. – Zawsze tej francy zbolalej we wszystkim się szczęściło, nie to co mnie. Mnie to tylko wiatr wieje w oczy – wzdychała.

W rezultacie, gdy w końcu narzeczeni dotarli do Kulków, zastali małżeństwo skwaszone, acz nadrabiające minami. Każde z nich udawało dobry humor ze zgoła innego powodu.

Kazia i Sabcia coraz częściej spoglądały na Bronka zazdrosnym okiem. Zaradny był, pracowity i opiekuńczy jak mało który. Pewnie, że i krewki, bo handryczyć też potrafił się nie najgorzej, jak coś szło nie po jego myśli. Ale nie unikał obowiązków domowych, wszak sam przez lata prowadził swoje małe kawalerskie gospodarstwo. Żona miała z niego pociechę, bo i zakupy zrobił, i ziemniaki obrał, i nawet pozmywał, jak trzeba było. No i jeszcze te mieszkania, które wszystkim pozałatwiał! Jakie były, to były, ale przecież Szymczakowie nie musieli wegetować po hotelach jak inni. I na brygadzystę szybko awansował, choć przecież pochodzenie społeczne miał nie takie jak trzeba, bo kułacze.

– Ach! Gdybyś ty miał choć połowę tej zaradności co Broniek – wdychała Kazimiera, gdy jej mąż siedział zasłonięty płachtą „Głosu Nowej Huty”. – Nie gnietlibyśmy się w tej klitce.

– Uhm. – Tyle musiało jej wystarczyć za całą odpowiedź.

Mąż nigdy nie należał do wylewnych, a po ślubie przycichł jeszcze bardziej. W ogóle był jakimś dziwnym stworzeniem, które ciężko jest rozgryźć. Bo nie dość, że milczek, to jeszcze uparciuch. Można było doń gadać całymi dniami, on i tak niczego nie słuchał, a robił swoje. Płuca by sobie wypłuła, prosząc go, aby ruszył tyłek i próbował coś zdziałać z mieszkaniem. Na gwałt przydałoby im się większe – choć o jedną izbę dla chłopaków. Tym bardziej że od kilku dni miała – na razie – przeczucie, że rodzina doczeka owego *Baltazara*, którego tak skwapliwie życzonej przy każdej okazji. Nie była z tego powodu zachwycona, o nie! Dopiero co oduczyla dwójkę urwisów sikania w majtki, a już miałyby wrócić do prania pieluch? Żeby choć ta niemota, Leszek, w czymkolwiek pomógł! Ale nie. On jak ten głaz zaległ pośrodku jej życia i nie drgnął w żadną stronę, ino trza go było obchodzić dookoła. Jedynie w nocy przypominał sobie, że jest mężczyzną, i włożył na nią w wiadomym celu. A za dnia nic! Nie kwapił się ani do tańca, ani do różańca. Czasami wręcz traktował ją jak powietrze – jakby była nikim.

Raz tylko udowodnił, że jest zdolny do tego, aby wstać z fotela i odłożyć gazetę. To było wiosną ubiegłego roku. Przepadł wtedy na tydzień, tłumacząc się pilnym wyjazdem na wieś. Indagowany, co tam robił, nie powiedział ani słoweczka, czym doprowadził ją niemalże do szału. Nic jednak nie mogła zaradzić, bowiem gdy próbowała o to samo zagadnąć szwagrów i szwagierki, wszyscy jakby się zmówili, powtarzali to samo: że była potrzeba jechać do matuli. Ot, jaka solidarność!

Nie lubili jej. Czują to wyraźnie. Tylko czemu? Czym im tak zawiniła? Tym, że dorobiła się brzucha przed ślubem? A bo to ona pierwsza? Że do kościoła nie chodziła i nie chciała przysięgać Leszkowi przed ołtarzem? A nic im do tego! To jej sprawa. Też coś! Kto to widział, aby dwukrotnie brać ślub z tym samym chłopem? Czy jej księża kiedykolwiek w czymkolwiek pomogli? Czy nakarmili rodzinę podczas wojny, gdy wszyscy cierpieli z głodu? Czy dali dach nad głową? Ciepłe buty na zimę? Nie! Po wielokroć nie! Oni tylko wyciągali łapska, aby brać więcej i więcej, i więcej. Byle napchać te bandziochy opięte czarnymi sukienkami! Ona za grosz im nie wierzyła i mężowi też zabraniała wierzyć klechom. Niech tam se reszta rodziny goni do Mogiły albo Bieńczyc, niech se piszą petycje w sprawie przyspieszenia budowy kościoła. Niech się podniecają tym, że w końcu udało się rozstrzygnąć konkurs na projekt świątyni. Jej to wszystko nie obchodziło nic a nic.

Niemniej jednak, gdy przyszła do nich Julka z tym swoim rzekomo cudownie odnalezionym mężem, aby zaprosić ich na ślub kościelny, nie skomentowała tego faktu, choć nią wtedy szarpnęło. Dopiero później, gdy wyszli, zaczęła utyskiwać do tego swojego głazu:

– Kościelny? Po tylu latach? Niby taka cnotliwa pobożnisia, a żyła z nim tylko na cywilnym?

– Dajże spokój, Kazia. Nie nam ją oceniać.

– Ale ciekawam jest, czemu nie wzięli od razu kościelnego. Przeca wtedy cywilny nie był

musiem.

– Nie wiem czemu, widać mieli ku temu powody. Byłem w wojsku. I o niczym nie wiem – uciał dyskusję w tradycyjny sposób, oddzielając się od połowicy płachtą gazety. – Ty lepiej nie gderaj tyle, jeno włącz radio. Przegapimy *Matysiaków* przez to twoje gadulstwo!

– Ach! *Matysiakowie* ważniejsi! – burknęła.

To też wzbudzało jej irytację, ponieważ odkąd zaczęto emitować cholerne słuchowisko, mąż o ile tylko mógł, nie opuszczał ani jednego odcinka. Cokolwiek by nie robił, potrafił w momencie wszystko rzucić i zasiąść przy radioodbiorniku. Zamiast zająć się czymś poważnym, tracił czas. Chętnie ukróciłaby te duperele. Żeby stary chłop tak zdurniał i nabijał sobie łeb głupotami!

Ona zdecydowanie wolała posłuchać ładnej muzyki, a nie bzdurnych wymysłów.

Bronek jakoś nie marnował czasu na błażostki! Kazia jeszcze nigdy nie słyszała, aby Bogumiła żaliła się na cokolwiek. Taki mąż to prawdziwy skarb! Nie to co ta niemota, ech!

Po blisko roku małżeństwa Sabina też nie należała do nazbyt szczęśliwych mężatek. Odkąd urodziła Pawła, odnosiła wrażenie, że straciła zainteresowanie ślubnego. Poniekąd sama była temu winna. Kiedyś nie mogła się od niego opędzić, taki był rozochocony. Teraz o figlach nie było mowy – wciąż narzekała na zmęczenie i brak snu. Nie mogła jednak liczyć na jego obecność w domu. Andrzej zniknął na całe dni, zdarzało się, że również i na noc. Wykręcał się pracą, spotkaniami to z Leszkiem, to z Bronkiem, to z kolegami. Tłumaczył pokrętnie, że nie zna się na opiece nad dziećmi i taki z niego łamaga, że mógłby tylko zrobić krzywdę małemu.

Czasami, gdy poprosiła o pomoc w domu, to więcej było z niego szkody niż pożytku. Stół szorował zawsze tylko w jednym miejscu, podobnie jak podłogę. Wyrzucał dobre, mało używane myjki do naczyń, a obrusy zmieniałby najchętniej codziennie.

Dobrze, że czasami zaglądał szwagier i zabierał bratanka na spacer. Mogła wtedy posprzątać albo zrobić przepierkę. Nie było mowy, żeby w tym czasie odpocząć. Kiedyś próbowała mu się wyzalić na Jędrka, że wciąż zostawia ją samą. On tylko wysłuchał i pokiwał głową. Obiecał pogadać z bratem.

– Młody jest i głupi – podsumował jego zachowanie. – Boi się odpowiedzialności, która na niego spadła. Daj mu trochę czasu, Sabciu. Wszystko się jakoś ułoży. Może on potrzebuje przywyknąć do myśli o ojcostwie? Najmłodszy z rodzeństwa, to i zawsze był najbardziej wypieszczony. Matula chuchała i dmuchała, podobnie jak siostrzyczki.

Pomyślał, że tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego. Andrzej całe lata żył w strachu i męczył się z wyrzutami sumienia. Widocznie teraz chciał to sobie jakoś powetować. Bronek postanowił jednak, że zmyje głowę smarkaczowi. Było nie było, Jędrak miał już dwadzieścia trzy lata. W jego wieku wypadało otrzeć mleko spod nosa i wziąć się z życiem za bary. A życie to nie tylko pomsta na kacie, co to mu sponiewierał ukochaną, lecz również prozaiczne sprawy powszednie, w których nie ma miejsca na heroizm.

[11] Obecnie jest to aleja Jana Pawła II.

## Rozdział 5



### *Potęga rodziny*

Zgodnie z oczekiwaniami Pawłowskiego proboszcz przyjął na zapowiedzi i zgodził się udzielić ślub w najszybszym możliwym terminie. Na prośbę narzeczonego, popartą mocnym i szezszącym argumentem, zamiast je normalnie odczytać, jak było to w zwyczaju, przez następne trzy niedziele po zakończonej mszy świętej wspomniał po łacinie o planowanym małżeństwie Julii i Wawrzyńca, lecz nawet pominął przy tym ich nazwiska. Nikt z wiernych nie zwrócił na to uwagi, któż bowiem znał się na obcej mowie?

Wprawdzie czułe uszy okolicznych bojcor wyłowiły te imiona z księżowskiej mowy, lecz kumochy zgodnie uznały, że pewnie Pawłowscy dali na jakąś własną intencję.

Może chodziło o to, żeby im się narodziło drugie dziecko? No bo jakże tak, ostać tylko przy jednym? Skoro o Karolka tak szybko się postarali, to powinni pomyśleć jeszcze o jakiejś córce.

Na początku sierpnia, w obecności zaledwie garstki osób, Julia oraz Wawrzyniec przysięgli sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że wytrwają razem aż do śmierci. Ceremonia miała miejsce w sobotnie popołudnie. W tym czasie Karol przebywał na swoich pierwszych koloniach. Do Pawlic przyjechali za to Adelajda oraz Ignacy, lecz pojawili się na tak krótko, że mało kto we wsi zdążył zauważyć obecność gości, a tym bardziej ją skomentować. Żadne z nich nie przejawiało bowiem zainteresowania wycieczką do utraconych dóbr, nie chodzili także po okolicy, by nikogo nie kłuć w oczy. Nie mieli ochoty odpowiadać na wścibskie pytania chłopów ani tym bardziej przysparzać im tematów do plotek. Adela nie rozstawiała się z okularami przeciwsłonecznymi zasłaniającymi prawie pół twarzy oraz słomkowym kapeluszem z wielkim rondem. Ignacy natomiast był tak mało podobny do swego ojca, że w ogóle nie przejmował się, czy ktoś rozpozna w nim dziedzica. Zresztą po blisko dwudziestu latach wygnania Pawliczanie i Piotrowiczanie raczej nie wyglądali powrotu Pawłowskich.

Wprawdzie po tym, jak we wsi gruchnęła wieść, rozpuszczona pracowicie przez Goliszową, o małżeństwie Julki z młodym dziedzicem, goście odwiedzający Władkę mogli wzbudzać jakąś ciekawość, lecz kto ma czas na takie sensacje w samym środku żniw? Pogoda trochę kaprysiła. Każdy tylko patrzył, aby jak najszybciej swoje pozbierać, a jeszcze przecież należało obrobić i spóldzielcze. Roboty było huk, więc gdy piaszczystym gościńcem przejechał jeden, a kilka dni później drugi samochód, to nikt nie zwrócił na to większej uwagi, choć takie widoki wciąż należały w Pawlicach do rzadkości. Prócz plebana nikt w okolicy nie posiadał własnego pojazdu, więc to oznaczało, że przyjechał ktoś obcy. A że samochody zajechały na podwórko Szymczaków? Tego też nie zauważono, bowiem we wsi dom od domu stał w takim oddaleniu, że ludzie nie zaglądali sobie wzajemnie na boiska. Zresztą Leszek w try miga rozwarł wrota od pustej, bezużytecznej stodoły, gdzie zaraz zaparkowały auta. Być może zdziwiłaby kogoś obecność całej rodziny, ale ta akurat przypadła na sobotę po święcie Matki Boskiej Zielnej, na które co roku mieszcuchy zjeżdżały się do Władzi.

Swoją drogą nikt też jakiegoś szczególnego sekretu nie robił, że Julka i Wawrzyniec będą sobie ślubować przed ołtarzem. A bo to ona jedna żyła z chłopem na urzędowym papierku? Oczywiście hałasu nie czyniono, ale było oczywiste, że wieści i tak się rozejdą po fackie, bowiem do mszy ślubnej musiał usłużyć ministrant. Potrzebny też był kościelny, który otworzy kościół i zapali świece. Niech więc sobie ludzie gadają do woli, jeśli będą mieli taką ochotę, ale nikt z rodziny nie myślał ułatwiać zadania bojcorzom, wychodzić przed szereg i podawać pożywki dla plotek na srebrnej tacy.

Biesiada przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Pierwsze padły bliźnięta Leszka. Dorosli jeszcze trochę zostali przy stołach rozstawionych w ogrodzie. Noc była ciepła, gwiazdzista, komarów niewiele, więc siedziało się nader miło. W otwartym oknie paradnej izby stało radio, z którego leciały piosenki.

Ignacy co jakiś czas popatrywał ku Dorocie i z rozrzewnieniem wspominał stare, dobre przedwojenne czasy, gdy ona była najpiękniejszą panienką w okolicy, a on skradł jej całusa, za którego potem – pierwszy i jedyny raz w życiu – dostał od ojca po łbie. Teraz, gdy niknęli w mroku nocy, rozświetlonej jedynie kilkoma świeczkami, nie mógł oprzeć się myśli, że wciąż widzi tę samą dziewczynę, choć parę lat starszą i dojrzałą. Jej blizny nie rzucały się w oczy tak jak za dnia, lecz nawet w blasku promieni słonecznych widział klasyczne rysy twarzy, z subtelnymi łukami brwi, wysokimi kośćmi policzkowymi oraz ogniste spojrzenie ciemnych, niemalże czarnych tęczywek.

Wiedział od Wawrzka, jaki los zgotowali jej ruscy. Całe szczęście, że brat go o tym uprzedził, gdyż pierwsze wrażenie faktycznie było przykre. A jednak, gdy posłuchało się jej mądrych słów, wyczuło zawarty w nich zawoalowany dowcip, okaleczenia przestawały być zauważalne. Nie dziwiło go, że otrzymała etat w bibliotece – z takim intelektem zmarniałaby przy innej pracy w pegeerze. Bił od niej zadziwiający spokój i coś na kształt pogodzenia się z losem.

Jednego tylko nie mógł zrozumieć, a mianowicie, że nie znalazł się w całej okolicy kawaler lub wdowiec na tyle wytrwały, aby pomóc jej w pokonaniu przerażających wspomnień i uszczęśliwić ją miłością. Bo ona na pewno miała serce przepełnione uczuciami. Widać to było w ciepłych spojrzeniach, gdy zagadywała bawiącą się dziatwę, w tym, jak lgnęły do niej młode Szymczaki – oswojone z wyglądem ciotki.

*Ot! Czarownica* – pomyślał, i westchnął na wspomnienie bury, którą dostał przed laty od ojca.

Ona, zdaje się, wyczuła jego zadumę szóstym zmysłem, gdyż chwilę dłużej spojrzała mu w oczy. Przesłała mu delikatny uśmiech, a potem jakby nigdy nic odwróciła się z powrotem do siostry i podjęła przerwana konwersację.

Dorocie nie było łatwo zasiać z nim przy jednym stole, choć czas i okoliczności życiowe oswoiły ją z koniecznością spotykania się z ludźmi. Uprzedzona wcześniej przez Julię o jego wizycie, miała trochę czasu, aby przywyknąć do tej myśli. I udało się nader skutecznie, bowiem na widok gości nie umknęła w popłochu. Potraktowała ich uprzejmie i z delikatnym, typowym dla siebie dystansem. Podziękowała w głębi ducha Ksaweremu za to, że dając jej etat w bibliotece, wyrwał ją z poprzedniego marazmu, w którym tkwiła przez lata, unikając ludzkiego wzroku. Teraz było jej o wiele lżej.

Odżyła.

Coraz rzadziej nawiedzały ją mroczne sny i wizje. Skończyły się przewidywania przyszłości. Ale wciąż pozostawała jej ta niezwykła intuicja, która potrafiła przeświecić dusze i poznawać się na ludziach lepiej, niż robili to inni.

Przepełniał ją spokój o rodzinę, choć martwiła ją chwiejność Andrzeja. Wyczuwała, że brat nadal jest czymś mocno zaaferowany, choć źródło tego nie leży w tych samych troskach co niegdyś. Zauważyła także jakąś zubożniałą rezygnację Leszka, ale ten wyglądał mimo wszystko na zadowolonego z życia. Dostrzegła onieśmienie Julii, gdy jej wzrok napotykał spojrzenia świeżo poślubionego męża. Tę czekało zmierzenie się z własnymi upiorami już niedługo, być może jeszcze tej nocy. Mimo to nie odczuwała strachu o siostrę. Ufała, że Wawrzyniec nie uczyni swej połowicy nic niezgodnego z jej wolą.

A kiedy przenosiła wzrok na Bronka i Bogumiłę, wyraźnie słyszała bicie trzeciego serca.

*Będą wiosną chrzciny. Może nawet niejedne* – pomyślała uradowana i postanowiła, że jeśli nadarzy się ku temu okazja, to zagadnie bratową o samopoczucie. A później podaruje jej kawałek bielusińskiego batystu, który jakiś czas temu dostała od Julci na nową bluzkę, oraz motek koronki, co ją ubiegłej zimy sama wydziergała szydełkiem. Jej niepotrzebny był jeszcze jeden fatałaszek. Do biblioteki biały kolor nie był zbyt praktyczny, a do kościoła miała już ładne stroje. Bardziej przyda się przyszłej mamusi na koszulki dla maleństwa. Kto wie, ilu jeszcze maluchom posłużą później te drobiazgi?

Zrobiło się późno. Biesiadnicy, ziewający dotąd ukradkiem, zaczęli przebąkiwać o udaniu się na spoczynek. Raz dwa uprzątnięto jadło ze stołów, a potem każdy poszedł przyłożyć głowę do poduszki. Poukładali się gdzie popadło, miejsca w domu było pod dostatkiem. Młodym dostała się w udziale paradna izba, która przez lata służyła jedynie gościom, a wcześniej Władzi i Augustowi.

Wawrzyniec siedział na krześle. Pokój tonął w półmroku, rozświetlonym jedynie małą lampką stojącą na nakastliku przy wezgielwiu szerokiego małżeńskiego łóża. Żarówka była słaba, więc miejsce, które zajął mężczyzna, pozostawało w cieniu. Choć Pawłowski miał stąd widok na całe pomieszczenie oraz drzwi, w których lada moment spodziewał się ujrzeć Julię, patrzył na niebo za oknem. Podwójne szyby pokazywały zwielokrotniony obraz księżycy.

W domu panował lekki ruch. Słychać było wyciszony gwar ostatnich pogaduszek, czyjeś kroki, skrzypienie podłóg.

Nieco wcześniej Julia poszła do pokoju siostry, aby wykonać wieczorną toaletę. On miał już to za sobą – umył się w chłodnej wodzie przyniesionej wprost ze studni. Zimna kąpiel pobudziła krew w jego żyłach i orzeźwiła umysł.

Czekało go teraz nie lada wyzwanie.

Znając przeszłość żony, spodziewał się, że skrzywdzona może odczuwać lęk przed zbliżeniem. Przygotowany był na to, że w razie potrzeby prześpi tę noc jak grzeszny chłopiec. Nie zamierzał robić nic wbrew jej woli. Pobrali się w pośpiechu, lecz mieli przed sobą całe życie. Dla niego ważniejsza była miłość i zaufanie istoty, którą poślubił.

Jęknęła sprężyna klamki, pisnęły dawno nie oliwione zawiasy.

Wawrzyniec odwrócił twarz od okna. Jego serce zabiło mocniej niż zwykle. Spojrzał na onieśmiałą ukochaną, która najpierw rzuciła krótkie nerwowe spojrzenie na łóżko, a potem rozejrzała się po największym pomieszczeniu w całym domu.

– Tutaj jestem, kochanie – powiedział półgłosem, wyciągając do niej rękę.

Zamknęła drzwi i z wahaniem podeszła do męża.

Miała na sobie szlafrok. Ciekaw był, czy włożyła pod niego koszulkę, którą podarował jej poprzedniego dnia.

Zdobycie jedwabnego cudu kosztowało go krocie i odsunęło marzenie o nabyciu własnego samochodu co najmniej o miesiąc. Nie mógł jednak nie skorzystać z nadarzającej się okazji. Kilka tygodni temu żona jego współpracownika odbyła podróż do Tuluzy – była bowiem półkrewi Francuzką. Poprosił więc za pośrednictwem jej męża, aby kupiła mu prezent dla Julii – taki, jaki wymarzył sobie krótko po tym, jak spotkał ją po raz pierwszy.

– Wawrzku, nie powinieneś! – wykrzyknęła narzeczona, gdy rozpakowała bieliznę nocną uszytą z jedwabiu w kolorze głębokiego burgunda ozdobioną najpiękniejszą na świecie czarną koronką. Oczywiście była zmieszana tym sugestywnym upominkiem.

– Drobiazg – powiedział, rad, że niespodzianka była udana, bowiem prócz lekkiego niepokoju dostrzegł w jej oczach zachwyty.

– Ach, jakie to piękne! Jakie mięciutkie i miłe w dotyku. – Przytknęła do policzka szlachetną tkaninę. – Wiesz... Miałam kiedyś jedwabną bluzkę. Bronis kupił po jednej dla mnie i dla Krysi. Strasznie dużo go kosztowały. I ty musiałeś wydać fortunę! – Zmartwiła się na samą myśl o tym.

– Gdybym mógł, podarowałbym ci gwiazdkę z nieba.

– Niepotrzebne mi gwiazdy, mam ciebie – odparła z lekką nieśmiałością.

– A nie dostanę za to całusa? – zapytał, unosząc lekko brwi.

Julia wciąż jeszcze nieskora była do takich gestów. Pozwalała, aby on czasami skradł jej pocałunek, lecz sama nie przejawiała inicjatywy. Nie dziwiła go ta powściągliwość. Miał jednak nadzieję, że z biegiem czasu ukochana przemieni się w czułą żonę.

Z wahaniem otoczyła jego kark rękami.

– Dziękuję, Wawrzku. To najpiękniejszy prezent, jaki otrzymałam w całym życiu – powiedziała i ledwo wyczuwalnie musnęła jego wargi.

Ach, ta jej świeżość i niewinność! Jakże go to rozczulało!



Czasami myślał o bydlaku, który wyrządził jej krzywdę. Jak to dobrze, że mimo wszystko nie zdołał jej splugawić i zniszczyć tej cudownej osobowości!

– A skąd wiedziałeś, jaki rozmiar kupić? – zapytała, gdyż na oko oceniła, że jedwabne cudo powinno leżeć jak ulał.

– Nie pamięta moja księżniczka, jak zaraz po zaręczynach byliśmy razem u krawcowej, aby obstałować sukienkę na ślub?

– Pamiętam.

– A ja zapamiętałem, jak krawcowa zapisywała wymiary. – Uśmiechnął się szelmowsko.

Wawrzyniec bez pośpiechu rozsupłał pasek szlafroka Julii i rozchylił jego poły. Koszulka rzeczywiście leżała jak ulał.

– Mój Boże! – westchnął z zachwytem. – Jaka ty jesteś piękna.

Wciąż siedział w tym samym miejscu, a ona stała, więc musiał podnieść głowę, aby spojrzeć jej w oczy. Umknęła spłoszonym wzrokiem.

Otoczył rękami talię żony i przytulił policzek do jej brzucha. Niemal nie zauważył przyjemnej gładkości jedwabiu, tak oszołomiła go bliskość ukochanej.

– Moja najpiękniejsza – wyszeptał. – Moja śliczna.

Odczekał, aż jej onieśmienie choć trochę przeminie.

Tymczasem ona stała, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Serce świeżo upieczonej mężatki łomotało wyjątkowo mocno. Nie wiedziała – ze strachu czy ze szczęścia? Od tej nocy miało zależeć wszystko: całe jej dalsze życie. Zamieni się teraz w pasmo nieustannych udręk? A może raz na zawsze wymaże z pamięci cienie wspomnień, które czasami straszły ją, gdy układała się do snu?

Przełamała się i wyciągnęła dłoń. Przesunęła nią po starannie ostrzyżonych włosach męża. Wawrzyniec od razu podniósł głowę i spojrział jej w oczy. Uśmiechał się tak, jak robi to człowiek przepełniony szczęściem.

Zsunął z ramion swej bogini szlafrok. Następnie posadził sobie Julię na kolanach. Dostrzegł cień lęku przemykający po twarzy ukochanej.

– Zaufaj mi. Ja nigdy cię nie skrzywdzę. Kocham cię całym sercem, jak nikogo na świecie.

Delikatny pocałunek połączył ich usta.

Wawrzyniec nie spieszył się z kolejnym krokiem. Czekał, aż żona się rozluźni, bowiem czuł, jak nagle zeszywniała w jego ramionach.

– Nie zrobię nic wbrew twojej woli – zapewnił. – Pragnę, aby to była najpiękniejsza noc w naszym życiu. Jeżeli coś będzie nie tak, obiecaj, że mi o tym powiesz, dobrze? – Spojrział z powagą w jej oczy.

Milczała, wyraźnie zmieszana.

– Kochanie? Uwierz mi, że jesteś najważniejsza.

– Wierzę ci, Wawrzku – odparła, a następnie otoczyła rękami jego kark.

Odetchnął z ulgą, dotykając wargami jej ust. Włożył w tę delikatną pieśczęć całą czułość, jaką nosił w sercu. Wodził opuszkami po twarzy ukochanej. Przesuwał nimi wzdłuż brwi, aż po doskonale uformowany płatek małżowiny. Musnął wgłębienie pomiędzy uchem a głową, później przesunął palce niżej na obojczyk.

– Jesteś taka krucha i delikatna. Czuję, jakbym trzymał w ramionach istotę utkaną z łabędziego puchu.

Następnego dnia, mimo serdecznych zaproszeń Władzi, wszyscy goście rozjechali się do siebie. Zostali tylko nowożeńcy oraz Broniek i Bogusia. Po obiedzie młodszy małżonkowie udali się na przechadzkę łąkami, Szymczakowie zostali w obejściu, gdyż Bogusia czymś się przytruła i od rana męczyły ją mdłości. Widząc jej wymęczoną, bladą twarz, Dorotka poszła do ogrodu i przyniosła stamtąd pęk ziela.

– Napij się tego. – Podetknęła szklanekę bratowej. – To napar z mięty i melisy. Niezastąpiony w takich okolicznościach. Jak będziecie odjeżdżali, spakuję trochę ususzonych ziół. Na pewno ci się przydadzą, a i zdrowsze to niż kupione w aptece, bo świeżutkie i pachnące.

– Myślisz, że tak długo będę chorowała? – zmartwiła się niedomagająca.  
– Na nic nie chorujesz – oświadczyła dobitnie szwagierka. – A już na pewno nie na żołądek. – Spojrzała na Bogusię tak wymownie i ciepło, że ta w lot odgadła jej myśli.

– Domyśliłaś się szybciej niż ja – zauważyła.  
– Gadają o mnie, że czarownica, ale to nieprawda. Nie ma czarownic na świecie i nigdy nie było. Mam intuicję i zmysł obserwacji. A cóż może dolegać młodej mężatce, na którą mąż spogląda z tak wielkim uczuciem i której najchętniej nie odstępowałby na krok?

– Dałby Bóg, żebyś miała rację!  
– Jestem pewna. Broniś będzie zachwycony – dodała całkiem niepotrzebnie, ponieważ to była rzecz oczywista.

– Czym będę zachwycony? – zagadnął, niczym wilk przywołany z lasu.  
– At, diabli nadali te twoje cienkie uszy! – Dorota udała oburzenie, a potem chyłkiem wycofała się z izby, którą zajmowali małżonkowie.

*Niechta się sami najpierw radują. Na innych przyjdzie czas, jak nabiorą całkowitej pewności.*

W tej samej chwili nowożeńcy szli ze splecionymi dłońmi wśród szmaragdowych traw i wonnych ziół. Ona z pewnym oneśmieleniem, on uszczęśliwiony jak nigdy. Piękna była z nich para: obydwójce smukli, o ładnych posturach. Jej rozpuszczone, długie do połowy pleców włosy rozwiewał wiatr, jemu w siwym kosmyku na skroni lśnił promień popołudniowego słońca. Julia miała na sobie jasną sukienkę w kwiecisty rzucik, Wawrzyniec był w koszuli w biało-niebieskie prążki i w ciemnych spodniach. Marynarki nie włożył, ponieważ uznał, że nie potrzebuje jej do łożenia po łące. Dawno temu porzucił wielkopańskie nawyki. W Nowej Hucie nie było na to miejsca, choć do pracy nosił garnitur. Zresztą żar był nieprawdopodobny, więc w imię czego katować się dodatkowym okryciem?

Nazajutrz również i oni zamierzali opuścić Pawlice. Mieli jechać tylko we dwójkę do ośrodka wypoczynkowego kombinatu położonego w Koninkach na tygodniowy turnus z Funduszu Wczasów Pracowniczych. Potem czekał ich powrót do Nowej Huty, oczekiwanie na przyjazd Karola z kolonii w Gołkowicach i szybkie wyprawienie smyka do pierwszej klasy. Julia miała jeszcze kilka dni urlopu, który zamierzała przeznaczyć na zagospodarowanie nowego miejsca. Trzeba było to załatwić szybko i sprawnie, ponieważ na jej mieszkanie już oczekiwali Leszek z Kazią. Wciąż istniało ryzyko, że ktoś w wydziale kwaterunkowym odkryje w końcu te wszystkie lokalowe kombinacje, które od ładnych paru lat wyczyniali. Szkoda byłoby dwóch pokoi – bardzo przydałyby się rosnącej w siłę rodzinie. Szymczakowie niedawno ogłosili, że do dwóch królewiczów, jak nazywano bliźniaków, dołączy wkrótce trzeci. Albo trzecia, co było wielkim życzeniem ciężarnej.

Na razie jednak młodzi małżonkowie rozkoszowali się błogim popołudniem na wsi. Dotarli nad strumień i na chwilę dla ochłody przycupnęli pod wierzbą. Wawrzek sięgnął do kieszonki na piersi. Wyjął z niej jakąś kartkę. Rozłożył zgięty na pół arkusz i podał żonie.

– Mam dla ciebie niespodziankę, Julisiu. Wierzę, że wybaczysz mi takie niewinne kłamstewko – oznajmił.

Nim zerknęła na treść, spojrzała z niepokojem na męża. Do tej pory we wszystkim wydawał się szczerzy, jakby oszustwa w ogóle nie leżały w jego naturze. Teraz zmartwił ją swoimi słowami.

– O czym ty mówisz? – Posmutniała.

– Spójrz na to – zachęcił.

Przebiegła wzrokiem po świadectwie zawarcia ślubu. Niby wszystko się zgadzało: ten sam kościół, ci sami świadkowie: Dorotka i Ignacy, ta sama para młodych. Coś jednak było na rzeczy, skoro dał jej ten dokument akurat teraz. Jeszcze raz uważnie przeczytała treść, z której wynikało, że związek sakramentalny zawarli latem czterdziestego dziewiątego roku.

– Jakże to? – zdziwiła się niepomierne.

– Kochanie moje najpiękniejsze – powiedział ciepłym, łagodnym głosem – to dla naszego syna, Karola. Zapłaciłem plebanowi co łaska odrobinę więcej, aby wpisał nasz ślub w księdze parafialnej sprzed kilku lat. Nie było to takie proste, ale jak widzisz, nie ma rzeczy niemożliwych.

– Skąd wytrzasnąłeś tę datę?

– Nie uwierzysz, jakie miałem szczęście! Wyobraź sobie, że jak byłem dawać na zapowiedzi, zobaczyłem na półce w kancelarii księgę z okresu, w którym teoretycznie moglibyśmy zawrzeć małżeństwo. Zagadnałem plebana o nią, ponieważ wiem, że gdzieś w okolicy czterdziestego dziewiątego albo pięćdziesiątego roku wszystkie księgi miały trafić do Urzędów Stanu Cywilnego. No i dowiedziałem się, że podczas remontu kancelarii ksiądz ją gdzieś zawieruszył. Ma nawet urzędowe zaświadczenie, że zaginęła. Potem ją odnalazł, ale jakos mu schodziło i nie odwiózł jej komu trzeba. Obliczyłem więc sobie szybko, kiedy powinniśmy

byli się pobrać, aby chłopiec nie był nieślubny, i poprosiłem proboszcza, by wypisał nam zaświadczenie z wcześniejszą datą. Oczywiście, gdy o tym wspomniałem, kategorycznie odmówił. Rozmawiałem z nim dość długo na ten temat i ostatecznie przyznał mi rację. Tak więc datę mam dzięki plebanowi, który znalazł jakąś lukę pomiędzy zapisami i tam nas wcisnął. Zrobił to dla dobra dziecka, które może kiedyś będzie potrzebowało w jakimś celu daty naszego ślubu. Za kilka lat ludzie i tak o wszystkim zapomną. Tu w Pawlicach nikt nie będzie pamiętał, czyśmy najpierw mieli urzędowy świątek, czy sakrament w kościele. Co dzieje się po cichu, szybko umyka ludziom z myśli. A przy okazji rozwiązałem problem z papierami. W razie gdyby jakiś biuralista uczeplił się tego tematu, możemy powiedzieć, że zawarliśmy sakrament, a potem postanowiliśmy się rozejść. Nie było ślubu w urzędzie, więc i rozwód formalny nie był nam potrzebny. Mogłem więc ożenić się i wziąć rozwód z inną kobietą, a potem znowu pobrać się z tobą. No, powiedz coś, Juleczko – dodał, gdyż milczała, patrząc na niego w osłupieniu.

*Kłamstwo powtórzone po wielokroć znowu stało się prawdą. Jak długo to się jeszcze będzie udawać?* – pomyślała. A potem zarzuciła mężowi ręce na szyję.

– Kocham cię, Wawrusz – wyszlochała mu do ucha, w pełni doceniając jego wspaniałomyślność, bowiem tym właśnie krokiem definitywnie usynowił Karola.

Marczyk dokończył papierosa. Rzucił niedopałek na bruk i przydepnął go czubkiem buta. Stał w bramie wjazdowej i obserwował robotników opuszczających teren budowy. Szybko wypatrzył w tym tłumie kędzierzawą szopę tego murarza, co to się wciąż trzymał Szymczaka. Zaraz za nim szedł sam obiekt zainteresowania.

– Przeskurwysyn – burknął.

Był wściekły. Dziesięć miesięcy obserwacji nie dostarczyło mu żadnych materiałów świadczących przeciw wrogowi.

Taki był święty czy aż tak ostrożny?

Że chodził do kościoła? Zdecydowanie za mało podstawy do aresztowania.

Że pomagał zbierać datki na budowę – to też za mało.

Nie nawoływał do rewolucji. Wręcz zdawał się studzić bardziej rozgorączkowanych. Nie pędził bimbru. Nie handlował z cinkciarzami. Nie zdradzał nawet tej swojej pielęgniarzki.

– Czekaj, czekaj, ptaszku. Jeszcze trafisz za kraty. Już ja coś na ciebie znajdę. Będzie trzeba, to koledzy pomogą.

Nie darzyło mu się w Nowej Hucie. Tutaj naród był bardziej krnąbrny niż na prowincji. Tam wystarczyło huknąć jakimś przekleństwem, wałnąć pięścią w stół, postraszyć odsiadką, a zaraz ludzie schodzili mu z drogi. Mieszkańcy miasta każdą sposobność wykorzystywali do drwin i nawet śmieli się z tego, za co można było trafić do aresztu.

Niedawno jeden kolega z bezpieki powtórzył im kawał, który krążył wśród motłochu:

– Uwaga! Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego ogłasza konkurs na najlepszy kawał polityczny. Wyznaczono nagrody! Miejsce pierwsze: pięć lat obozu pracy, drugie: trzy lata. Przyznanych będzie również kilka nagród pocieszenia: od roku do sześciu miesięcy przymusowych robót.

Ich oficjalnie to nie bawiło. Twierdzili, że inwigilują ludzi, aby rozpoznawać nastroje społeczne. Ale z jednego żartu sami się cichcem zaśmiewali:

*Z pamiętnika komunisty. Pierwszy dzień: włączam radio – Lenin, drugi dzień: włączam telewizor – Lenin, trzeci dzień: czytam gazetę – Lenin, czwarty dzień: oglądam plakaty – Lenin, piąty dzień: boję się otworzyć konserwę.*

On też się śmiał, choć może nieco mniej ostentacyjnie niż inni. Nie potrzebował, aby któryś z życzliwych współpracowników doniósł na niego przełożonemu.

Imieniny Andrzeja odbywały się z wielkim rozmachem. Prócz rodziny do niewielkiego mieszkania przyciągnęli także koledzy oraz aktorki pracujące z Sabiną. Słowem – cyganeria! Barwne i wesołe towarzystwo bikiniarzy, brylujące dowcipem, niewymagające jeśli chodzi o poczęstunek, za to łase na trunki wyskokowe.

Adam Kopeć nie żałował sobie alkoholu i raz za razem wznosił rubaszne toasty, przyciskając do swego boku Lurańcównę. Obrączkę przezornie zdjął przed wejściem do Szymczaków, a małżonkę zostawił w domu z trójką małych dzieci. Spokojnie mógł więc obściskać piękne panny, udając przy tym kawalera. W głębi duszy cieszył się, że na przyjęciu dopisały koleżanki gospodyni, bo cóż by to był za bal, gdyby ich nie było? Jak tu flirtować z mężatkami, z których dwie są zaciężone, a pozostałe wciąż na widoku mężów? Nuda, ot co!

Gwarno było i tłoczno, do tego jeszcze pod stołem bawiły się bliźnięta Leszka, co jakiś czas poszturchując dorosłych. Nikt jednak nie robił z tego problemu: wiadomo, że dzieciaki też muszą mieć jakieś zajęcie, a trudno, by takie stare konie przekazywano sobie z rąk do rąk jak malutkiego Pawła.

Jędrak krzywym okiem spoglądał na podchody kumpla. Jakby mógł, skoczyłby Adamowi do gardła. Aż go skręcało z zazdrości, gdy widział, że ten bez pardonu flirtuje z Anielą. Nie żeby do tego stopnia zależało mu na aktorce! Podobała mu się, to prawda. Czasami spotykali się gdzieś potajemnie. Prócz niej miewał również inne przygody. Irytowało go tylko, że Kopeć strugał kawalera i dzięki temu robił, co chciał.

– Mamusia! – Spod stołu wypęłzył Kacper i stanął przy Kazimierze. – A djaciego wujek Bjonek cima ciocię za jękę? – zapytał bezceremonialnie, zerkając z ukosa na Szymczaków siedzących naprzeciwko.

Zgromadzeni przy stole parsknęli. Sprawca zamieszania bez ceregieli podniósł w górę lewą dłoń, którą faktycznie ścisnął prawicę małżonki.

– A, żeby mi ciocia nie uciekła – oznajmił poważnym tonem.

Dla nikogo w rodzinie nie było tajemnicą, że najstarszy z rodzeństwa jest dość zazdrosny o swoją połowicę. Gdy tylko pozwalały na to zmiany w jej oraz jego pracy, przychodził po nią pod szpital albo odprowadzał Bogusię na dyżur. Traktowano to z pobłażliwością, bowiem nie była to zła zaborczość prowadząca do awantur, lecz przede wszystkim troska o ukochaną, by nie chadzała samotnie niebezpiecznymi, ciemnymi zaułkami.

Sabina dwoiła się i troiła, dokładając gościom na talerzyki. Szwagierki ochoczo jej pomagały i tylko Krysia jak zawsze siedziała z kwaśną miną, raz po raz wygładzając dłonią staranną fryzurę. Kulkowa trochę boczyła się na Kazię, ponieważ gdy świeżo upieczona fryzjerka zaoferowała jej ułożenie włosów na tę okoliczność, nie przypuszczała, że po skończonej pracy zażąda wynagrodzenia jak w salonie. Zasadniczo mogła była się tego domyślić, gdyż przez cały czas wykonywania usługi wzdychała i narzekała, jakie wszystko drogie: meble, dywany, wyposażenie mieszkań. Jak trudno coś porządnego kupić, ile się za wszystkim trzeba nachodzić i ile ma kłopotu, aby jako tako urządzić lokal po Julce.

Krysia miała na końcu języka, że tak właściwie nowe mieszkanie to poniekąd jej zasługa, bo przecież to ona parę lat wcześniej przekazała je tej smarkuli, ale co by to dało? Bez komentarza zapłaciła szwagierce i mocno sobie poprzysięgła, że nigdy więcej nie skorzysta z jej usług. A i innym też będzie odradzać, bo w zakładzie fryzjerskim czesanie kosztuje tyle samo, a warunki są bardziej komfortowe.

Tymczasem Kazimiera, nieświadoma złości rozbudzonej w utraconej właśnie klientce, zaczęła się wychwalać, że niedawno rozpoczęła pracę w Spółdzielni Pracy „Uroda”. No i oczywiście wszystkim poleca swe usługi, szczególnie kobietom.

– Ach te nasze damy, jak się tak wyczeszą i wyszykują, to śmiało mogłyby stawać

w konkury z Alicją Bobowską[12]! – stwierdził zaraz Leszek, trącony niezbyt subtelnie przez żonę, która przed imieninami kładła mu do głowy, że ma ją wspierać w reklamowaniu usług.

Dla niego całe damskie pindrzenie się do lustra było nieistotne. Ba! Chwilami uważał, że przynosi więcej szkody niż pożytku. Bo to i pieniądze wyrzucone w błoto, i problem, gdyż taka wyelegantowana kobieta naraża się na zaczepki obcych mężczyzn.

Gdy poznał Kazię, ujęła go za serce swą prostotą. Nosiła złachane portki i flanelowe koszule, a włosy chowała pod chustką. Pracowała przy podawaniu cegieł na budowie. Zachowywała się i wyglądała jak przeciętna robotnica. Niczym nie odstawała od tłumu innych dziewcząt i jemu to odpowiadało.

A teraz? Patrzcie państwo, jaka zrobiła się z niej paniusia! Wciąż tylko spoglądała chytrze na szwagierki, a zwłaszcza na Krysię. Zazdrościła im każdego fatalaszka. Czy to szata zdobi człowieka? Jemu nie przeszkadzało robocze ubranie. Nie musiała stroić się w drogie sukienki, on i tak wołał ją nago. Żona jak na złość chciała dorównać innym strojnisiom, choć sama wiecznie narzekała, że mają wydatków co niemiara. Jak on miał na to wszystko zarobić? Toć nie wyżyją za jedną pensję i niepewne dochody z układania cudzych kudłów. Bo po urodzeniu dzieci o powrocie do pracy na budowie albo choć najęciu się w sklepie nie chciała nawet słyszeć. Ot, hrabina!

– Co tam Bobowska! – Jędrrek wzruszył ramionami. – Nasze damy biją ją na głowę.

– No, to zdrowie pięknych pań! – wtrącił przytomnie Adam, unosząc szkło.

Wawrzek tradycyjnie wychylił tylko pół kieliszka. W przeciwieństwie do dwóch młodszych Szymczaków i Kulki, którzy nigdy nie wylewali za kołnierz, on i Broniek zawsze zachowywali umiar. Krysia także nie żałowała sobie alkoholu, szczególnie tego dnia, gdy na każdym kroku dźgał ją w oczy widok dwóch pęczniejących brzuchów należących odpowiednio do Kazi i Boguśki.

Po kolejnym toaście dwaj koledzy gospodarza zaczęli się zbierać do wyjścia, tłumacząc, że mają do obskoczenia jeszcze jednego Andrzeja. Kopeć został, podobnie jak Aniela. Dziewczyna zajmowała miejsce przy tej krawędzi stołu, którą pan domu zawsze szorował z takim zacięciem. Wodziła opuszkami po blacie, zaglądając co jakiś czas w oczy gospodarza. Jędrka z każdym takim spojrzeniem dręczyła nawracająca fala sugestywnych wspomnień.

Kiedy dobiegło końca zamieszanie związane z wyjściem mężczyzn, Wawrzyniec wstał, aby wzniesć kolejny toast.

– Jako że wypiliśmy już za Baltazara, którego oczekuje Kazia, oraz spodziewany przychówek Bronka, teraz pora, abyśmy uczcili zdrowie mojej Juleczki i naszego maleństwa – oznajmił, pęczniejąc z dumy.

Przy stole powstał naraz tumult i zamieszanie. Posypały się gratulacje i uściski. Pawłowski został solidnie wyklepany po plecach przez szwagrów.

– A toś nam się pięknie spisał, skurczybyku. – Andrzej gwizdnął z podziwem.

Kulkowie też pospieszyli z powinszowaniem, choć Krysia zrobiła to z wielkimi oporami. Dźgnęło ją boleśnie, że w rodzinie pojawi się kolejne dziecko, na dodatek u Julki. Do tej pory nie mogła jej darować urodzenia Karola. A teraz jeszcze ta franca będzie miała drugie! Janek z jednej strony ucieszył się szczęściem szwagierki – zasługiwała na wszystko, co najlepsze. Z drugiej, jemu też było przykro, bo nie dość, że sam od dawna chciał być ojcem, to jeszcze poczuł ukłucie zazdrości, że ten paniczyk spija teraz całą śmietankę.

*Wieczór zmarnowany* – pomyślała Krystyna, wychylając kolejny kieliszek wódki. Właściwie mogłaby powiedzieć, że boli ją głowa, i pogonić męża do wyjścia. Cóż by jej jednak z tego przyszło, gdyby wrócili wcześniej do domu? Pewnie znowu by się o coś pokłócili. Janek włączyłby telewizor, najnowszy nabytek, z którego była bardzo dumna, ponieważ nikt w rodzinie



nie mógł pochwalić się posiadaniem odbiornika. Nawet Julka, choć od ślubu opływała we wszelkie dostatki.

Nie uczestniczyła w dalszej konwersacji przy stole. Cóż ją mogło obchodzić otwarcie Klubu Sportowego „Hutnik”? Była już za stara na uprawianie sportu. Niewiele więcej zainteresowania wykazała wobec inauguracji kina Światowid. Bliżej miała do Świtu – zresztą tam pracował Andrzej, a dzięki niemu zawsze można było kupić bilety na premierę bez konieczności stania w ogonku do kasy. Polityka też niewiele ją obchodziła. Krysia siedziała ze znużoną miną, słuchając o zamieszkach, jakie przed trzema tygodniami wybuchły w Warszawie. I o co tyle hałasu? O jakąś gazetę? Oberwało się studentom, gdy chcieli bronić czasopisma „Po Prostu”. Na co to komu potrzebne? Zbędne nadstawianie karku i zbędna przemoc. Piłka nożna także nie wzbudzała w niej większych emocji. W tym temacie najwięcej do powiedzenia miał Andrzej, który w kółko przypominał, jak to reprezentacja Polski pokonała dwa do jednego drużynę *bratniego narodu*.

– Należało się ruskim! Cieślik[13] to jest mistrz! Dwa gole w jednym meczu! – krzyczał z entuzjazmem. – Teraz ruszamy na podbój świata. Przed nami mundial!

Ach... Nudy! O wiele ciekawszy był temat pierwszych powojennych wyborów Miss Polonia, ale właśnie o tym nikt nie miał ochoty rozmawiać. Ale może to i lepiej, bo na myśl o konkursie odczuwała przykrość, że nie odbywał się w jej panieńskich czasach. Na pewno spróbowałaby w nim wystartować. Czyż nie była najpiękniejszą kobietą w rodzinie? Czyż nie przyćmiewała swą urodą pawlickich dziewczuch i miastowych ślicznotek? Do tej pory zbierała komplementy od mężczyzn, którzy próbowali ją poderwać, choć była mężatką. Przychodzili do sklepu, zaglądali w oczy i pletli trzy po trzy o jej urodzie.

## *Rok 1958*

Za oknem sypał śnieg, opadając wielkimi miękkimi płatami. Widać było, jak wirują na tle ulicznych lamp. W sypialni Pawłowskich panował przyjemny mrok. Julia i Wawrzyniec rozmawiali półgłosem, by nie obudzić śpiącego za ścianą Karola. Mężczyzna siedział, opierając się o wezłowie. Otaczał ramionami ukochaną, która wypoczywała z głową wspartą o jego pierś.

– Nie zdajesz sobie sprawy, Juleczko, jak mi z tobą dobrze – powiedział. – Mam nadzieję, że i ty jesteś szczęśliwa.

– Jestem – odparła. – Jak chyba nigdy w życiu. A tak się bałam na początku – wyznała z westchnieniem.

Nigdy wcześniej nie wspominała mu o obawach, które żywiła przed ślubem. On częściowo domyślał się stanu ducha narzeczonej – przypuszczał, że musi mieć wiele wątpliwości. Wszak jej wcześniejsze doświadczenia były fatalne. Nie poruszał jednak tego tematu. Górę wziął lęk przed nieumyślnym pogorszeniem sytuacji. Wierzył, że z biegiem czasu Julia uwolni się od niepewności. Kochał ją, pragnął dla niej wszystkiego co najlepsze. Chciał zawsze widzieć uśmiech na jej ustach i radosne iskierki migoczące w oczach.

Po pięciu miesiącach małżeństwa odnosił przyjemne wrażenie, że zdołał pokonać uprzedzenia żony. Nie wzdragała się przez miłosnymi uniesieniami, nie chodziła zamyślona czy posępna, nie popłakiwała po kątach. Gdy wracał z pracy, witała go jej pogodna twarz – o ile żona była w domu wcześniej niż on. Często opuszczali Pałac Dożów o tej samej porze i razem jechali tramwajem. Czasami, gdy sprzyjała temu pogoda, urządzali sobie małe węgry: wysiadali z wagonu na osiedlu Szkolnym[14] i szli na spacer nad zalew. Kiedy indziej po opuszczeniu pojazdu zbaczali w stronę parku Ratuszowego. Wawrzek uwielbiał to miejsce, stanowiło żywy symbol najważniejszej zmiany, jaka zaszła w jego życiu. Potem wracali do domu, gdzie czekał na nich Karol, pracowicie odrabiając lekcje. Spędzali razem tyle czasu, ile tylko mogli. Nie nudzili się w swoim towarzystwie. Przyjemnie było słuchać, jak żona nuci pod nosem podczas codziennej krzątania. Kiedy ona gotowała obiad, on przeglądał zeszyty syna. Gdy on studiował rozprawy naukowe dotyczące wytopu, ona dziergała coś na drutach, haftowała lub czytała książki. W wolnych chwilach grywali w trójkę w piotrusia, chińczyka, warcaby albo inne gry planszowe. Gdy na zewnątrz była ładna pogoda, wychodzili na spacer lub na pyszne desery do cukierni. Regularnie odprowadzali Karola na lekcje rysunków lub treningi piłki nożnej, a następnie czekali na niego w jakiejś kawiarence.

Tak, minione miesiące jawiły się niczym najpiękniejszy sen, którego ukoronowaniem była nowina o tym, że wiosną w ich rodzinie pojawi się ktoś jeszcze: maleńka kruszyna, na którą wszyscy troje oczekiwali z radością i nadzieją.

Brzuszek Julii zaczynał robić się wypukły. Wawrzek często przykładął do niego dłonie w nadziei, że w końcu poczuje ruchy dziecka. Żona odczuwała je już od kilku dni. Na razie były to delikatne muśnięcia. A on niecierpliwił się, ponieważ też chciałby przeżywać tę radość.

– Czego się bałaś? – zapytał. – Myślałaś, że cię skrzywdzę?

– Sama nie wiem. Może trochę obawiałam się również i tego – wyznała. – A może chodziło o to, że mój świat był już poukładany, stabilny. Żyłam sobie z dnia na dzień bez większych wstrząsów, a tu nagle taka rewolucja. – Podniosła głowę i spojrzała mężowi w oczy. Na jej twarzy zagościł uśmiech. – Pozytywna rewolucja – dodała – choć początek wyglądał groźnie.

– Ojej! A czemuż to?

– Nie wiesz nawet, jakiego mi strachu napędziłeś. Spotykałam cię w różnych miejscach, a ty jakoś tak dziwnie na mnie patrzyłeś...

– Ach, to? A jakże miałem na ciebie patrzeć? Wpadłaś mi w oko na długo, nim się poznaliśmy. Ale ilekroć chciałem ci się przedstawić, spoglądałaś na mnie z taką zaciekłością i niechęcią, że wołałem nie ryzykować. Skąd mogłem wiedzieć, czy nie dzielisz mnie po łbie torebką albo parasolką?

– A może i dzieliłabym – zachichotała – bo, nie wiedzieć czemu, uznałam cię za szpicla. Miałam wrażenie, że mnie szpiegujesz.

– Nie ośmieliłbym się, choć przyznaję, że raz podkusiło mnie, aby pójść za tobą. Potem było mi bardzo głupio z tego powodu – przyznał skruszony.

– Łobuziak – skwitowała krótko. – Ale prawdziwego stracha to mi napędziłeś wtedy, gdy ten złodziej ukradł moją torebkę. Byłam święcie przekonana, że działaliście w zмовie, a ty, idąc ze mną na posterunek, próbujesz mnie zwabić w pułapkę.

– Czemu miałbym to robić? – zapytał, głaszcząc ją po brzuchu. Starał się nie okazywać rozbawienia jej słowami.

– Bo posługiwałam się fałszywym dokumentem. Myślałam, że ktoś to odkrył.

– Ach, kobiety! Ładnie mnie zasufladkowałeś. Dobrze pamiętam, żeś mnie wtedy wzięła za ubeka. Oj, poderwanie ciebie to było nie lada wyzwanie. Nie dość, że uznałeś mnie za jakiegoś łotra, to jeszcze nabiłeś mi guza pod kioskiem. Pamiętasz?

– Ha, ha, ha! Jakże miałabym nie pamiętać? Przypominam ci jednak, kochanie, że to ty nabiłeś guza na moim czole, schylając się po monety.

– Chciałem być szarmancki, ot co.

Dłoń mężczyzny przesunęła się z ramienia żony na pierś. Niespiesznie gładził nabrzmiałą krągłość. Rozmowa przeszła w ciche czule szeptanie, a następnie w westchnienia miłosnych uniesień.

Pod koniec lutego rodzina Szymczaków powiększyła się o Dariusza. Ponieważ Kazia rodziła w domu, Leszek nie miał sposobności, aby po fakcie wymknąć się na „pępkowe”. Wprawdzie bliźniaki przebywały w ciągu dnia w żłobku, lecz w czasie, gdy położnica dochodziła do siebie, ktoś musiał je z niego odbierać, a następnie nakarmić i dopilnować, by nie wyrządziły sobie krzywdy podczas zabawy.

Świeżo upieczony ojciec nie miał ani chwili spokoju. Żona leżała w łóżku z dzieckiem przy piersi, a on w tym czasie biegał do sklepu, gotował posiłki, ubierał i rozbierał chłopców, prał i gotował pieluchy maleństwa... Ech! Skończyły się sielankowe czasy, gdy mógł spokojnie zasiąść z gazetą w ręce. Teraz całe to urwanie głowy trzeba było pogodzić z mozolną pracą w kombinacie.

Niedawno został przeniesiony z odlewni do aglomerowni, gdzie przygotowywany jest materiał, który później ładuje się do wielkich pieców. Żar towarzyszący spiekaniu rud żelaza wydobytych w odległym Donbasie z różnymi koncentratami, zgorzelami oraz dolomitem był trudny do zniesienia. Zresztą Leszek wiedział od kolegów, że na każdym wydziale pracuje się równie ciężko: w znoju i pocie czoła. W pleszowskiej koksowni, mocno zatruwającej środowisko, produkowany był koks, który trafiał do pieców martenowskich wraz z topnikami pochodzącymi z aglomerowni oraz złomem. Czasami człowiek ledwo zipał od tego gorąca, a na dodatek wszędzie panował trudny do wytrzymania hałas.

Po opuszczeniu pieców wielkie stalowe wlewki o wadze sięgającej piętnastu i pół tony trafiały na zgniatacz. Tam przerabiano je na płaskie bądź kwadratowe kęsiska nadające się do walcowania. Leszek był parę razy w walcowni i na własne oczy widział, jak potężna gilotyna o nacisku tysiąca sześciuset ton rozcinała materiał, który szedł do dalszej obróbki. O tym, co dalej działo się z wyprodukowanym materiałem, wspomniał mu kiedyś Wawrzyniec: z kwadratowych kęsisk produkowane były drobne profile oraz drut. Z płaskich brył w walcowni gorącej formowano blachę na czołgi, samochody i do wszelkich zastosowań służących budowaniu potęgi gospodarczej Polski.

Zdecydowanie nie była to zabawa w wojaczkę – manewry z kałachem przewieszonym przez grzbiet – to był ogromny wysiłek w ciężkich, niemalże nieludzkich warunkach.

Taki szwagier, który robotę znał wyłącznie od strony teoretycznej, mógł sobie mędrkować o tym, ile wysiłku wkłada w swoje obowiązki. On przychodził na wydział okryty lekkim fartuchem, który miał go chronić przed zabrudzeniem, a nie w ciężkim roboczym ferszalunku. Głędził w kółko o tym, jak wielki kłopot sprawiają ściągnięte ze Związku Radzieckiego maszyny, które zaprojektowane zostały z myślą o korzystaniu z innego węgla niż ten, który występuje w Polsce. Ile trudu wkładali inżynierowie w to, aby dostosować do nich cały proces technologiczny. I z dumą dodawał, że dzięki ich wysiłkom nowohucki kombinat zasłynął już w świecie jako niezwykle oszczędny, ponieważ zużywający wyjątkowo mało koksu.

Drugim ulubionym tematem szwagra były przechwałki o spodziewanym podwojeniu produkcji. Do niedawna Huta im. Lenina wypuszczała w świat półtora miliona ton stali rocznie. Dzięki gigantycznemu piecowi o pojemności przekraczającej dwa tysiące metrów sześciennych możliwy będzie spektakularny sukces. Już trwały prace przygotowawcze i opracowano projekt owego giganta.

Ot, czysto naukowe podejście do mozolnej hutniczej roboty, którą Leszek znał od podszewki. To ludziom takim jak on pot ciekł po grzbietach, gdy z ogromnym wysiłkiem uczestniczyli w produkcji.

Ciężka praca połączona z wiecznym zabieganiem i zarwanymi nocami mocno dawała w kość świeżo upieczonemu ojcu, nienawykłemu do takiego trybu życia. Nic więc dziwnego, że w robocie biedaczysko ledwo zipał i parę razy zamiast pracować, zwinął się w kłębek w kącie

magazynu, nakrył derką i przespał pół dniówki. Za każdym razem łął, że cosik go w boku uwiera, bo wstyd mu było przed kolegami tego, jak go ślubna ciemieży. Toż by był wtedy śmiech i kpiny z pantoflarza!

Chłopakom ze zmiany kupił kilka flaszek wódki i wcisnął do wypicia po robocie, a kiedy go zatrzymywali, aby oblał z nimi powiększenie rodziny, bąknął coś na odczepnego i po pierwszym kieliszku już go nie było. W drodze do domu myślał tylko o tym, żeby Kazia nie wyczuła gorzałki w jego oddechu, ponieważ zapowiedziała mu, że jak go przyłapie na picu, podczas gdy ona męczy się z noworodkiem, to gorzko tego pożałuje. Nie zamierzał ryzykować jej gniewu. No i jak tu ulegać bachusowym uciechom, gdy w żłobku czeka na odebranie dwójka brzdąców?

– Jakżeż myśmy sobie radzili, gdy urodzili się Kacper i Melchior? – zachodził w głowę, gdyż z perspektywy czasu już niewiele pamiętał.

W rzeczywistości wtedy nie brał aż tak czynnego udziału w opiece nad potomstwem. Szedł do pracy, zostawiając całą resztę ślubnej. A ta jakoś sobie ze wszystkim radziła. Bez skrzeczenia, że potrzebuje pomocy. Ale wtedy byli ze sobą zaledwie parę tygodni – od przeprowadzki do pierwszego wspólnego mieszkania. Kazia była podekscytowana zyskaniem własnego dachu nad głową. Jeszcze się wzajemnie poznawali i docierali, a raczej to żona zaczynała docierać jego. Bardzo skutecznie, jak widać.

Skoro Leszek migał się od postawienia pępekówki, pozostali bracia postanowili na własną rękę uczcić powiększenie rodziny. Zeszli się pewnego dnia u Bronka. Zawołali także Wawrzka i Janka z żonami.

– Cieszymy się, że Szymczaki rosą w potęgę. Nasze nazwisko nie zginie – stwierdził pierworodny.

Pili powściągliwie i bez pośpiechu. Ważniejsza od wznoszenia toastów było okazja do spotkania.

– Szkoda, że ten pantoflarz nie dotarł – stwierdził Andrzej. – Przeca mógł zabrać swoje dwa starsze króliki i przyjść, aby z nami posiedzieć. Kaźmierce korona nie spadłaby z głowy, jakby chwilę została sama.

– Dajcie dziewczynie spokój. – Bogusia stanęła w obronie zniełubionej szwagierki. – Która kobieta jest szczęśliwa, gdy jej ślubny pije?

– Moja droga, pijemy z umiarem – zauważył Wawrzyniec. – Pełna kultura. Dzieci ładnie się bawią, my sobie możemy pogwarzyć. Nic złego się nie dzieje.

Rzeczywiście miał rację. Paweł raczkował w najlepsze po dywanie, a Karol leżał na brzuchu i oglądał najnowszy numer „Świerszczyka”, osłaniając go przed zakusami berbecia, który co jakiś czas wyciągał pulchne łapki po kolorową gazetę.

– On już jest tak ubezwłasnowolniony, że bez zgody swojej baby nie ruszy się na krok – stwierdził Kulka. – Ciekawe, czy mu ślubna pozwoli ochrzcić dziecko.

– Bój się Boga, Janek! Wypluj te słowa. Jakże dziecku odmówić sakramentu? – nie dowierzała Pawłowska.

– No jak? Jak? – Wzruszył ramionami, a potem poczochnął się po kudłatej głowie. – Toż to niewierzące i partyjne. Strach przy niej odetchnąć, bo nie wiadomo, co jej we łbie siedzi. Nic dziwnego, że z Leszka zrobił się mruk. Przy takiej babie nie da się inaczej. Pamiętam go, jak przyjechał do Huty. Rezolutny był i pełen życia. A teraz? Nie ten chłopak. – Pokręcił głową. – Nie ten chłopak.

– Ano nie ten – potwierdził Jędrzek. – A słyszeliście może – zmienił temat rozmowy – że we Wrocławiu jakiś dochtór przeprowadził operację na otwartym sercu?

– Oczywiście – odparła pielęgniarka, głaszcząc się po wypukłym brzuchu. – W szpitalu o niczym innym się ostatnio nie mówi. Niejeden nasz lekarz marzy, aby operować pod okiem profesora Brossa. To znaczący postęp w medycynie.

– Ach! Żeby jeszcze się który wyspecjalizował w pomaganiu takim kuternogom jak ja – westchnął kaleka. – Co bym dał, żeby mi kulasy naprostowali! Ino bez kolejnego łamania, bo to na niewiele się zdało. – Może przyjdzie czas, gdy lekarze nauczą się prostować źle zrosnięte kości bez konieczności łamania – odparła. – Nie martw się, Andrzejku. Teraz wszystko idzie do przodu w szaleńczym tempie. Kto wie, co wymyślą w przyszłości? Pilnie słucham tego, co gadają na temat odkryć w medycynie. Bądź pewien, że jak się dowiem czegoś ciekawego, to zaraz dam ci znać. Przy stole zapanowała chwila niezręcznej ciszy. Dla nikogo nie było tajemnicą, jak bardzo najmłodszy boleje nad swoim kalectwem. Czasami narzekał nie tylko na trudności w swobodnym chodzeniu, ale również na cierpienie, które odczuwał. Jego nogi bywały sine i drętwiały. Na udach oraz stopach pękały mu naczynka krwionośne, tworząc na skórze siatkę czerwono-fioletowych „pajaczków”. Jeśli tylko ktoś z bliskich usłyszał o jakimś specyfiku, który mógł uśmierzyć ból i poprawić krążenie, zaraz go o tym informował. Wyszukiwano mu także różnych uzdrowicieli, lecz ludowi znachorzy byli po wielokroć gorsi od kształconych medyków. Zwykle radzili mu to samo co lekarze, czyli łamanie nóg i składanie ich na nowo. Czasami wymyślali metody mniej inwazyjne: nacinanie skóry w celu wytoczenia „złej krwi”, przystawianie pijawek lub moczenie kończyn w różnych obrzydliwych substancjach.

Panowie zajęli się następnym toastem. Panie, z wyjątkiem Krystyny, nie piły: dwie wciąż oczekiwały rozwiązania, a Sabina miała na uwadze opiekę nad dzieckiem. Kulkowa wychyliła pełen kieliszek i zagryzła kiszonym ogórkiem. Już dawno przestała rozdrabniać się jak inne kobiety i wypijać kolejkę na dwa razy. Odkryła bowiem, że gdy w głowie przyjemnie szumiało, mniej bolał widok tych wszystkich raczkujących brzdąców oraz pękatych brzuchów.

*Ja to przynajmniej mam ładną figurę* – szybko znalazła pocieszenie.

Tego wieczoru nosiła nową szmizjerkę o prostej, geometrycznej formie. Pod nią włożyła jedwabną bluzkę nabytą „na żydzie”, a na wierzch „pudełkowy” żakiet zapinany na jeden duży guzik pod brodą. Wyglądała nader elegancko, co potwierdził nawet Janek jakimś niezręcznym komplementem, który wygłosił, nim wyszli z domu.

Z zadowoleniem porównywała swój wygląd ze zniekształconą sylwetką młodszej siostry i z głęboką satysfakcją oceniła, że Julka prezentuje się nader niezgrabnie.

*A niech się teraz napatrzy* – myślała, z zadowoleniem zerkając na męża, który musiał widzieć kolosalną różnicę w ich wyglądzie.

– A co tam, szwagierku, pod wielkimi kominami? – zagadnął Bronek.

– Będziemy budowali walcownię rur zgrzewanych.

– A to znowu przybędzie miejsc pracy.

– Tych to chyba nigdy nie będzie mało! To raczej ludzi nam brakuje. Lada moment zostanie oddany do użytkowania trzeci wielki piec. Mam z tym urwanie głowy, bo trzeba wszystkiego dopilnować, przetestować, a terminy naglą. Te partyjne oszołomy łążą tylko z planami i marudzą, że nie może być przekroczeń, bo góra nie daruje. Trzęsą portkami przed Gomułką i Cyrankiewiczem.

– A ci dwaj przed Moskwą – uzupełnił przytomnie Kulka. – A wiecie, ostatnio słyszałem, że Gomułka jest strasznie skąpy. Ponoć, żeby zaoszczędzić, przełamuje papierosy na pół i pali je na dwa razy.

– Pitolisz! – nie dowierzał Bronek.

– Jak Boga kocham! – Huknął pięścią w pierś, aż zadudniło.

– Ja cież kręcę! Przecież nawet najbiedniejszy pomocnik na budowie nie sknerzy się na szlugi.

Dalsze wywody przerwały błyski niebieskiego światła za oknami. Zapadł już mrok, więc widać je było wyraźnie. Syreny nie usłyszeli, gdyż zagłuszał ją gwar rozmów oraz gramofon, na którym nastawiali kolejno płyty: to Szostakowicza, to Mazowsza, to Reny Rolskiej, to Fogga, to przyniesionego przez Jędrka Franka Sinatry. Pan domu przyłożył palec do ust, choć niepotrzebnie, bowiem przy stole momentalnie zapadła cisza. Podeszedł do okna, ale nie wyjrzał ostentacyjnie, tylko stanął bokiem i zerknął na ulicę zza firanki. Po chwili pokiwał głową, że nic złego się nie dzieje. Zaraz za jego plecami wyrosli pozostali ciekawscy.

Na ulicy stał radiowóz, do którego funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej pakowali wyniesioną z czyjś mieszkania aparaturę do destylacji.

– O! – zauważył Kulka. – Naszej władzy pić się zachciało! Będzie balanga na komisariacie.

– Jezu! Ile dobra – westchnął Andrzej na widok baniaków z alkoholem.

– Myślałby kto, żeś ty taki wyrywny do picia – zakpiła Julka, która nigdy nie przepuściła sposobności, by z przyzwyczajenia dokuczyć młodszemu bratu. Nie złośliwie, lecz z czystej sympatii.

– Oj tam. Ile kasztanów zalałby tą wódką – wykręcił kota ogonem. – Miałbym miksturę do smarowania kulasów na całe życie.

– Ba! Mógłbyś się w niej wykąpać!

Bronek przekręcił klucz w górnym zamku drzwi wejściowych. Zamiast spodziewanych dwóch pełnych obrotów, wykonał tylko jeden. Dolny zamek to samo.

Czyżby Bogusia zapomniała o jego pouczeniach?

Uznał to za niemożliwe. Żona była nad wyraz ostrożna.

Wsunął się do mieszkania. Z miejsca ogarnął go dziwny niepokój. Czuł się tak, jakby miał żołądek zawiązany w supeł. Kucnął i spojrzał pod światło na podłogę i rozsypany tam mączny pyłek. Zauważył na nim wyraźne odciski butów. Ktoś był w środku pod ich nieobecność. W powietrzu unosił się obcy zapach spoconego ciała. Węch nie mógł go mylić: znał ten smród na pamięć z zatłoczonych tramwajów oraz baraków na budowie, gdzie się przebierali robotnicy. Ani on, ani tym bardziej jego połowica nigdy tak nie cuchnęli. Obydwoje byli przewrażliwieni na punkcie higieny. Pielęgniarka zawsze wyznawała zasadę, że woli chodzić w ubraniu połatanym, ale czystym. Oczywiście stanowiło to spore przekłamanie i uproszczenie – nie klepali aż takiej biedy, choć nie mógł powiedzieć, aby im się przelewało. Zdecydowanie lepiej mu się wiodło, gdy przed laty gospodarował w Pawlicach. Kupował siostrom nylony i jedwabie, a teraz nie było go stać na podobne zbytki dla ślubnej.

Czy to możliwe, że fetor przywędrował tu z jakimś szpiclem?

Rozejrzał się po mieszkaniu, lecz nie dostrzegł niczego niepokojącego. Schowek, który miał w podłodze za kredensem, pozostawał nienaruszony.

A jeżeli założono mu podsłuch? Jak znaleźć nadajniki?

Czasami spotykał na mieście Marczyka. Wiedział, że jest przez niego obserwowany. Ktoś za nim łąził. Kilkakrotnie odniósł wrażenie, że śledzą go jakieś typki. Unikał odludnych miejsc. Starał się nie kręcić późną porą po mieście, co nie było takie proste. Kiedy tylko zachodziła potrzeba, towarzyszył Bogusi w drodze do i ze szpitala. Często miewała popołudniowe i nocne zmiany, a to oznaczało konieczność przemieszczania się po zmroku.

Odczuwał przeraźliwą bezsilność. Nie mógł zrobić absolutnie nic. Miał związane ręce. Skoro ten czarci pomiot go obserwował, to oznaczało, że z jakiegoś powodu trafił na celownik bezpieczeństwa. Zdruzgotany zacisnął dłoń w pięść i uderzył nią o ścianę. Syknął, gdy poczuł, jak skóra ociera się o szorstki mur. Spojrzał na knykcie, dostrzegł kilka kropel krwi.



Julia ostrożnie stawiała stopy, trzymając pod rękę Wawrzyńca. Wydatny brzusek ciążył coraz bardziej. Zasiadła się w kinie i trochę zdrętwiały jej nogi. Chociaż przypuszczała, że tak będzie, gdy Jędrzek zapytał, czy ma ochotę obejrzeć premierę komedii *Ewa chce spać*, z entuzjazmem poprosiła go o odłożenie biletów.

Karol w tym czasie siedział u cioci Sabiny, gdzie miał grzecznie się pobawić, gdy oni będą na seansie. Wprawdzie był już wystarczająco duży, aby można było zostawić go samego w domu, lecz Pawłowscy nie lubili tego robić. Zamiast więc wracać do siebie, musieli jeszcze pójść na osiedle Centrum A. Ciężarna uparła się, aby nie czekali na tramwaj, lecz urządzili sobie spacer.

– Potrzebuję ruchu, dobrze mi to robi – oznajmiła, przytulając się do boku ukochanego. – I aby nacieszyć się przyjemnościami na zapas, bo jak już urodzę, to nieprędko wyjdziemy do kina – stwierdziła, przypominając sobie czas, gdy samotnie sprawowała opiekę nad synkiem, dbając jednocześnie o dom Bronka.

Ile wtedy wysłuchiwała przytyków od Haliny! Do tej pory odczuwała przykrość na samo wspomnienie o zmarłej bratowej.

– Ależ kochanie! – zaprotestował mąż. – A kto powiedział, że będziemy wciąż siedzieć w domu? Zawsze możemy wyjść do teatru albo do kawiarni.

– Mój słodki głuptasie. – Uśmiechnęła się z wyrozumiałością. – Nie masz chyba pojęcia, o czym mówisz. Taki maluszek wymaga nieustannej opieki. Nie to, co Karol.

– A od czego są ciocie? Albo nianie? Jestem pewien, że gdy zajdzie potrzeba, znajdziemy jakąś miłą osobę, która przypilnuje dzidziusia.

Nie wyprowadzała go z błędu, bo i po co? Za kilka tygodni Wawrzek sam odkryje, że maleństwo to ogromna odpowiedzialność. Ona już przygotowywała się na moment, gdy zostanie mamusią.

Ostatnio spotkało ją dość miłe zaskoczenie, ponieważ usłyszała od położnej, że kobietom w ciąży przysługuje wyprawka. Parę lat temu, gdy miała rodzić Karola, nie było mowy o takich udogodnieniach. A tymczasem ona już otrzymała z apteki zupełnie za darmo – na podstawie karty ciążyowej – pakiet składający się z: kocyka, dziesięciu pieluch tetrowych oraz pięciu flanelowych, czterech wiązanych na troki kaftaników z płótna i trzech par śpiochów zapinanych na guziki. Prócz tego przysługiwała jej jeszcze wanienska z cynkowanej blachy oraz metalowa waga do ważenia dziecka zanim je nakarmi i tuż po posiłku.

Oczywiście pieluch było zdecydowanie za mało jak na potrzeby niemowlęcia, więc Julka wystąpiła w kolejkach dodatkowo. Dokupiła też trochę ubranek. Wieczorami, gdy Karol już spał, siedziała w ulubionym fotelu i dziergała na drutach wełniane sweterki, spodenki, czapeczki oraz maleńkie butki z pomponikami. Za nic miała życzliwe pouczenia sąsiadki, która pewnego dnia naszła ją na tym zajęciu i postraszyła, że dziecku może stać się coś złego. Jej zdaniem, gdy ciężarna robi na drutach, to maleństwo siedzące w brzuchu bawi się w tym czasie pępowiną. I nie daj Boże, a zadzierzgnie ją sobie na szyjce i się udusi! Julka odłożyła wtedy robótkę i pokiwała głową. Nie miała ochoty na dyskusję z zabobonną babą. Potem tylko się z tego wyśmiała i dalejże mnożyć ząbki w sweterkach.

Wawrzyniec w tym czasie czytał opracowania naukowe dotyczące wytopu stali albo studiował jakieś skomplikowane schematy linii technologicznych. To oficjalnie, gdyż ukradkiem wciąż zerkał na ukochaną, która nawet teraz: z wielkim brzuchem i nogami spuchniętymi w kostkach wciąż wprawiała go w zachwyt.

Ach! Cóż to była za kobieta! Czula, troskliwa, opiekuńcza! Prawdziwa kapłanka domowego ogniska. Dzięki jej zwinnym, pracowitym rękom czteropokojowe mieszkanie lśniło czystością. Z kuchni wciąż dolatywały apetyczne zapachy. A te szarlotki! Drożdżówki! Serniki!

De-lic-je! Delicje! Oj, groziło przy niej, że wyrośnie mu brzuch!

Zrywała się wcześniej rano, nastawiała w saganie wodę na herbatę i szykowała śniadanie. Nim obudziła jego oraz Karola, już była wyszykowana jak do wyjścia z domu. Rzadko ją widywał, aby rano chodziła po mieszkaniu w podomce – chyba że przy niedzieli, jeśli pospali sobie trochę dłużej. Nie miała wielu strojów i nigdy nie naciągała go na zakupy, choć nie miałby nic przeciw temu, a mimo to zawsze wyglądała ładnie. Wiedział, że większość sukienek i garsonek zamawia u krawcowej, swojej niedawnej sąsiadki z Centrum B. Gdy dowiedziała się, że zostanie mamą, od razu obstałowała dwie schludne ciążówki.

– Jak już urodzę, to zacznę się stroić, zobaczysz – odgrażała się, gdy zapytał, czemu zamówiła tylko tyle.

Powolutku dotarli do mieszkania szwagierki.

– Mamusia! – wykrzyknął chłopiec. Od razu zerwał się z dywanu i przylgnął do jej boku. Zaraz za nim przyrączkował Paweł, lecz kobieta nie wzięła go na ręce, co zrobiłaby jeszcze kilka dni temu, a tylko pochyliła się, aby połaskotać go po brzuchu.

– No, jak tam? Czy mój smyk był grzeczny? – zapytała Sabinę.

– Anioł nie chłopiec! – pochwaliła go szwagierka, mieszając zupę. – Broniek był u nas przed chwilą. Nie wpadliście na niego na klatce schodowej? – wyraziła zdziwienie.

– Nie. Pewnieśmy go minęli. Szkoda. Coś z Bogusią? – zaniepokoiła się Julka, bowiem szwagierce został tydzień do przewidywanego terminu.

– Ach! Chłopak! Dumny tata wpadł, żeby się pochwalić! Ludwiczek! Trzy siedemset, pięćdziesiąt dwa centymetry – wymieniła tajemnicze komunikaty, z których jedynym zrozumiałym dla Wawrzyńca był ten, że przybył kolejny Szymczak.

– Ach, to pięknie! – ucieszyła się ciotka, ocierając łzy wzruszenia. – Och, mój Boże! Jak on czekał na tę dziecinę!

– No, nie płaczże, Juluś. – Mąż pogłaskał ją po ramieniu, widząc, jak się rozkleja. Ostatnio żonę wzruszało niemalże wszystko i często miewała płacz na końcu nosa. – My też zaraz doczekamy drugiej pociechy.

Zawsze w rozmowach z żoną podkreślał, że to będzie ich drugie dziecko. Jak mógł, starał się powściągać okazywanie nadmiernej ekscytacji, aby czasem nie pomyślała, że Karol stał się mniej ważny. To oczywiste, że szalał z radości na myśl o własnym potomku, lecz byłby niesprawiedliwy, gdyby z tego powodu zaczął gorzej traktować hm... pierworodnego.

Zresztą jak mógłby odrzucić tego chłopca? No jak? Wszak to on sprawił, że otwarło się dla niego serce Julii. Wiedział, że żona pokochała go, ponieważ on pokochał i usynowił Karola. Chłopiec był dla niej całym światem, i choćby Wawrzyniec stanął na głowie, nie zdobyłby jej względów, gdyby interesował się wyłącznie nią.

W sypialni Pawłowskich panował przytulny półmrok. Jedynym źródłem światła była świeczka stojąca na szafce po prawej stronie łóżka – zajmowanej zawsze przez pana domu. Cięża Julii była już tak zaawansowana, że małżonkowie poniechali pełnych zbliżeń. Nie oznaczało to jednak, że całkowicie zrezygnowali z ciepła intymnych chwil. Teraz były to jednak bardzo delikatne pieszczoty, wiążące się bardziej z chęcią okazania uczucia niż szukaniem zaspokojenia.

Wawrzyniec uwielbiał chwilę, gdy po całym absorbującym dniu mógł jeszcze przez moment nacieszyć się towarzystwem żony – zanim obydwójce zapadną w pokrzepiający sen. Ostatnimi czasy nabrali zwyczaju zastępowania figli rozmową albo tuleniem się do siebie. On siedział, wsparty plecami o wezłowie. Otaczał udami oraz ramionami umoszczoną przed nim żonę. Julcia, wpołleżąc, opierała głowę o jego pierś i słuchała miarowych uderzeń bijącego w niej serca. Płomień świecy rzucał migotliwy blask na ich nagie ciała.

Mężczyzna z zachwytem spoglądał na wtuloną w siebie ukochaną. Przepęniało go niewymowne szczęście. Zdobył pełne zaufanie tej niezwyklej istoty. Już nie zasłaniała się przed nim wstydliwie, jak to było na początku ich pożycia małżeńskiego. Nie przeszkadzało jej światło. Mógł do woli podziwiać te wszystkie kuszące krągłości. Sycić wzrok wiecznie głodny jej widoku. Teraz, gdy nosiła pod sercem ich dziecko, podobała mu się jeszcze bardziej – choć wcześniej wydawało mu się, że to niemożliwe. Odkąd zobaczył Julię po raz pierwszy, uznał ją za ucieleśnienie wdzięku.

A jednak! Rozpływał się z zachwytem, gdy widział jej wypukły brzusek, w którym czasami wierciło się maleństwo. Głaskał je wówczas i przemawiał doń czułym głosem. Wiedział, że gdy dziecinka przyjdzie na świat, to będzie miała przy sobie przede wszystkim mamę. Zaabsorbowanemu pracą ojcu na pewno nie pozostanie zbyt wiele czasu na opiekę nad pociechą, więc na początku będzie w życiu tego maleńkiego człowieczka przede wszystkim gościem.

*Jak to dobrze, że Julcia nie musi od razu wracać do biura! Któż lepiej niż matka zaopiekuje się nowo narodzoną kruszyną?*

W czasie ciąży ciało żony nabrało apetycznego kształtu. Delikatnie zaokrągliła się w biodrach, przybyło jej także w biuście. Wawrzyńca zachwyciły pełne piersi z pociemniałymi sutkami. Mógłby w nieskończoność całować je i obsypywać pieszczotami. Czasami, gdy nie mógł wytrzymać napięcia, zakradał się z ustami pomiędzy smukłe uda żony. Nie chciał sobie pozwalać na więcej, aby nie spłonąć ogniem pożądania.

Teraz ze wszystkich zmysłów najbardziej wyczulił wzrok.

– Jesteś taka piękna – powtarzał z zachwytem. – Moja cudna Izyda.

Zawsze porównywał ją do bogini egipskiej, bowiem mimo zmian jakie zaszły w jej ciele, zachowała dziewczęcą subtelność urody. A kiedy stała tyłem do niego, mimo ładnie zaokrąglonych bioder, wciąż wyglądała smukło.

– Dobrze mi z tobą, Wawrzusiu – odpowiedziała, gładząc opuszkami jego szorstkawy policzek.

Czym dłużej była jego żoną, tym większe widziała podobieństwa pomiędzy nim a Bronkiem. Znacznie rozciężczona, lecz mimo wszystko wspólna krew uwidaczniała się w ich wyglądzie oraz mentalności. Obydwaj byli smukłymi brunetami o ciemnych tęczówkach. Mieli mocno zarysowane zuchwy. Ich zarost, mimo starannego golenia, kładł się lekkim cieniem na szczękach. Był też na tyle mocny, że kłuł już parę godzin po goleniu.

Czasami mąż pocierał brodą o jej ramię lub plecy, wiedząc, że ona to lubi.

– Drapiesz mnie, potworze. – Oganiała się ze śmiechem, a potem sama przychodziła, aby się doń połączyć.

A on z każdym dniem odczuwał coraz większą tkliwość. I myślał o sile uczucia, które musiało łączyć ich przodków.

[12] Pierwsza Miss Polonia wybrana w powojennej Polsce.

[13] Gerard Józef Cieślik, ur. 29 kwietnia 1927, zm. 3 listopada 2013 – polski piłkarz, napastnik, zawodnik Ruchu Chorzów.

[14] Do roku 1958 osiedle B-1.

## Rozdział 6



### *Porywy serc*

– Panie Ksawery, będę potrzebowała kilku dni wolnego.

Naczelnik spółdzielni przyszedł, aby zwrócić pożyczone książki, więc Dorota postanowiła od razu wykorzystać okazję i poinformować go o swoich planach.

– Wyjeżdża pani? – wyraził zdziwienie, ponieważ to raczej nie była odpowiednia pora na wakacje. Zresztą bibliotekarka nie podróżowała nawet w letnich miesiącach, ponieważ wolała unikać tłocznych kurortów. Nigdy nie skorzystała z ofert Funduszu Wczasów Pracowniczych, choć była jedną z nielicznych osób, które bez mrugnięcia powieką puściłby na wypoczynek latem. W przeciwieństwie do niej pozostali ludzie byli wówczas pilnie potrzebni w spółdzielni, ponieważ akurat wtedy przypadał sezon najpilniejszych robót. Jacyś urzędowi mądrale umyślili sobie jednak, że robotnikom z kołchozu przysługuje taki sam urlop jak pracownikom fabryki. Przydzielili dla spółdzielni pewną liczbę wyjazdów i rokrocznie dezorganizowało mu to pracę, gdyż jednocześnie trzeba było wykonać wszystkie roboty i częściowo wysłać ludzi nad morze lub w góry.

– Owszem – odparła. – Mój bliźniak doczekał w końcu syna. Zaprosił mnie w kumy. Chciałabym przy okazji zostać kilka dni w mieście. Nigdy dłużej nie była w Krakowie.

– A to pięknie. Pogratulować bratu – rzucił niezobowiązująco. – Nie ma problemu, niech pani jedzie, choć nie taję, że będzie mi tu pani brakowało.

Nie zamierzał nadawać głosowi aż tak miękkiego brzmienia, lecz te cieplejsze dźwięki same wkrały się w jego wypowiedź – nieposłuszne rozkazom rozumu.

Dorota podniosła oczy i napotkała spojrzenie Ksawerego. Nagle ogarnęła ją dziwna duszność. On nie powinien patrzeć na nią w taki sposób!

Olszański zdał sobie sprawę z myśli, które mogły powstać w jej głowie. I, co gorsza, nie potrafił się zmusić, aby odwrócić wzrok. Stali więc naprzeciwko siebie, niebezpiecznie blisko,

z niespokojnymi umysłami i z oddechami, które raptownie przyspieszyły.

To był moment, gdy wszystko mogło się wydarzyć.

Mogli obydwójce zrobić po kroku w tył, odsunąć się i na nowo ogrodzić szklanym murem, który dzielił ich do tej pory.

Mogli stać w miejscu w bolesną nieskończoność, zadając sobie pytanie: co teraz?

Wykonali krok do przodu po to, by wczepić się kurczowo dłońmi w swoje włosy i w ubrania. Połączyć usta w miłosnej pieszczocie, odetchnąć jednym oddechem i zamiast ugasić ogień płonący w żyłach, wzniecić go w jeszcze większy pożar.

Świat budził się do życia. Wśród przydrożnych krzaków jazgotało ptactwo, wijąc gniazda i wypełniając rześkie powietrze zalotnymi trelami. Po marcowych roztopach niemalże nie było już śniegu. Jedynie w półcieniach wzdłuż gościńca zalegały jeszcze schlapane błotem resztki zasp.

Dorotka dziarsko pedałowiała, wracając do domu. Zgrabnie balansowała ciałem, ostrożnie omijając rowerem błotniste kałuże, które po odwilży wciąż stały w koleinach. Słonko ogrzewało jej poorly bliznami twarz, a podmuchy lekkiego, zachodniego wiatru chłodziły nadzwyczaj rozpalone policzki.

Niespokojne serce bibliotekarki wciąż łomotało – tak samo jak w tym zaczarowanym momencie, gdy wargi Ksawerego spoczęły na jej ustach.

To nie był przypadkowy całus pod wpływem impulsu. Dobrze o tym wiedziała. On całował ją świadomie, z zaangażowaniem i czułością. Z pasją, jakiej nigdy wcześniej nie odczuła. Gdy to robił, zamknęła powieki.

Nie pojawiły się żadne mroczne wspomnienia. Tak, jakby *tamto* nigdy nie zaszło.

– Dobry, pannie Dorocie! – Stary Golisz uklonił się grzecznie zza płotu, odruchowo ściągając czapkę z siwej, kudłatej łepetyny.

– Dzień dobry! Powiedźcie, gospodarzu, wnuczce, że w przyszłym tygodniu biblioteka nieczynna – poprosiła, bowiem spodziewała się, że nastolatka może zajrzeć po nowe książki. W przeciwieństwie do swej ciotki, Gienki, ta nie oglądała się za chłopami, po wsi nie latała, ale interesowała się nauką. I dobrze, bo może choć ona jedna z całej rodziny wyjdzie na ludzi. Niegłupia była, w głowie miała dość poukładane. W wolnym czasie zaglądała do Doroty, oferując pomoc przy porządkowaniu księgozbioru albo chociażby omiataniu półek z kurzu.

Bibliotekarka pojechała dalej. Już po chwili skręciła na własne podwórko. Kury rozpierchły się na boki i zareagowały na jej gwałtowne przybycie pełnym oburzenia gdakaniem. Zeskoczyła z roweru i oparła go o ścianę ganku. W sieni zzuła trzewiki i odmotowała ciepłą chustę.

– To ty, Dorcia? – usłyszała głos matki.

– Tak, matulu.

Nim weszła do kuchni, przejrzała się w lustrze. Widziała, że ma błyszczące oczy i rozognione policzki. Przyłożyła zmarznięte dłonie do twarzy, lecz to w niczym nie pomogło.

– A coś ty, córcia, taka rozpalona? – zagadnęła od razu Władzia. – Pokaż no się – dodała, przykładając rękę do jej skroni. – Nie masz czasem gorączki?

– Nie. Nic mi nie dolega.

– Wyglądasz jakoś dziwnie. Obyś nie zachorowała na sam wyjazd.

– Nie bójcie się, nic mi nie będzie. To pewnie jazda na rowerze tak mnie rozgrzała.

Ciepło dzisiaj. Jeszcze wczoraj panował ziąb, a tu nagle taka odmiana pogody. Przecie to niezdrowe.

– Może i masz rację? Ja też żem dzisiaj jakaś ladaca. W kościach mnie łupie i serce coś mocno kołacze. Może to z przejęcia wyjazdem do Krakowa? – stwierdziła.

– Zapewne.

– Wolne wzięłaś? – Matka zmieniła temat rozmowy.

– Owszem.

– Nie robił ci Olszański problemów?

– A gdzie tam! Jedziemy! Hanka Dubielówna jest już zmówiona, przyjdzie nakarmić drób i doglądać obejścia. Zaraz pójde się spakować. Jutro rano możemy wyruszać do miasta.

– A to dobrze, córuś, dobrze. Jeno ostaw trochę miejsca w bagażu. Kupiłam mięsa od Domagały. Bił wieprzka dwa dni temu – objaśniła.

Dorotka czym prędzej umknęła do swojej izby, dziękując Bogu, że matula nie wnikała

dłużej w jej niecodzienny wygląd. Zamknęła starannie drzwi i oparła się o nie plecami. Przyłożyła chłodne dłonie do rozpalonych policzków i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– A to się porobiło! – westchnęła.



Mimo delikatnej presji ze strony rodziny Leszek i Kazimiera kategorycznie odmawiali wyprawienia chrzcin najmłodszemu synowi. Właściwie ojciec niewiele miał w tej kwestii do gadania, gdyż decydujący głos należał do matki, a ta trwała w uporze i żadne argumenty nie przemawiały jej ani do sumienia, ani do rozsądku.

– Pora odejść od zabobonnych obyczajów. Żyjemy w nowoczesnym świecie – tłumaczyła.

– Nowoczesność nie oznacza, że mamy zerwać z naszą wiarą i tradycją – denerwował się Broniek, który specjalnie w tym celu złożył wizytę bratu. Wciąż miał w pamięci scenę sprzed lat, gdy najmłodsza siostra ciosała mu kolki na głowie za to, że po przyjeździe do Nowej Huty odwrócił się od Boga. – W tym właśnie siła naszego narodu.

– Jaka siła? – Wzruszyła ramionami. – Siła jest w uzbrojeniu i mądrości przywódców. Ślepa wiara tumani ludzi. Robi z nich bezwolne stado baranów.

– Głupstwa pleciesz! To wiara i przywiązanie do tradycji trzymały nas w kupie, gdy Polska przez blisko półtora wieku była pod zaborami. Nasi ojcowie i dziadkowie szli, aby walczyć o wolność z pieśnią religijną na ustach! Z *Bogurodnicą!* – mówił zapalczywie, choć zdawał sobie sprawę, że w potyczce słownej ze szwagierką stoi na przegranej pozycji.

– Z tą samą pieśnią na ustach głodowali w Auschwitz i płonęli w krematoriach. Co to za Bóg, który pozwala na takie bestialstwo?

Milczał, bowiem wytrąciła go z równowagi. Gorączkowo szukał trafnej riposty.

– Widzisz? – wykorzystała sytuację. – Nie ma Boga!

– Jest. On nas tylko doświadcza.

– Nazywasz doświadczeniem śmierć milionów ludzi?

– Tak. Bolesnym doświadczeniem. Bóg zesłał na nas karę, bo odwróciliśmy się od niego. Wystawił nas na próbę. Dał nam lekcję pokory. Nazwij to jak chcesz, ale nie mów, że nie ma Boga! – odpowiedział zapalczywie.

– Nie ma. Ja w niego nie wierzę.

– I dlatego skazujesz swoje dzieci na potępienie? – zapytał. – Leszku! A powiedzże coś, chłopie! – warknął do brata, lecz ten wołał się nie odzywać.

Jazgotała za to pani domu.

– Gdyby ten twój miłosierny Bóg rzeczywiście istniał, to nie potępiłby Dariusza za to, że nie został ochrzczony. Przeca według wiary wszyscyśmy są dziećmi Bożymi. Czemu więc ten dobrotliwy ojciec miałby się odwrócić od niewinnego niemowlęcia?

– Słuchaj, Kaziu! Możemy cały dzień walczyć na argumenty, lecz to i tak niczego nie zmieni. Nie próbuję cię nawracać, boś ty zawsze była inna niż my, z innej gliny ulepiona. Ale jako głowa rodziny proszę cię, abys nie odmawiała dziecku sakramentu. Ochrczycie Darka, a potem niech się dzieje co chce. Jeśli taka będzie wola Najwyższego, twój syn pozostanie ateistą. Nikt mu nie będzie narzucał wiary, niech ma wolny wybór.

– Nazywasz to wolnym wyborem? – prychnęła nieprzyjemnie. – Z góry skazujesz go na zaszufladkowanie. Ma zostać bezwiednie napiętnowany jako katolik. Nic z tego, mój drogi! Nie ochrczę dziecka. Wystarczy cyrk z Kacprem i Melchiorem! Miała być kpina z daty urodzin, a nie chrzciny, ale się Leszek zawziął, że będzie to całe polewanie wodą w kościele. Drugi raz nie popelnimy tego błędu! – oznajmiła dobitnie.

– A ty co? – krzyknął najstarszy do średniego brata. – Językaś w gębie zapomniał? Co? Nie potrafisz się babie postawić?

Leszek podniósł głowę.

– To nie twoja sprawa. Nie potrzebuję kwasów dla twojej przyjemności. Tak żeśmy z Kazią ustalili i tak będzie.

– Z partią chyba! – wykrzyknął zdenerwowany brat.

– A nawet jeśli, to co z tego? – Wzruszył ramionami.

Było mu poniekąd na rękę, bo w ten sposób brat w końcu usłyszał o tym, że i on przystąpił do PZPR. Nie miał wyjścia, musiał to zrobić. Były naciski ze strony przełożonych, więc uległ. Łatwiej płynąć z prądem. Co mu przyszło z tego, że w wojsku próbował czasem stanąć okoniem? Nic! Nie awansował, dreptał w miejscu, był nikim.

– Jak mogłeś to zrobić? Po tym, jak zagrabili naszą ojcowiznę! Będziesz im się jeszcze wysługiwał?

– Partia służy ludziom. Daje perspektywy.

– Pitolisz trzy po trzy! Komu służy, temu służy. Co ci dała ta cholerna partia? No, co?

– Święty spokój i perspektywy dla dzieci. Oprzytomniej w końcu, Bronek! Sanacja nie wróci. Czasy panów minęły. Jak chcesz jakoś żyć, musisz się dostosować.

– Leszek ma rację – wtrąciła Kazimiera. – A dzięki władzy ludowej nie musimy gnieździć się jak te szczury po suterrenach. Myślisz, że co by z nami było, gdyby nadal panowały przedwojenne porządki? Kto by nam dał dach nad głową?

– Na pewno nie cierpiałabyś biedy. Nam się żadna krzywda nie działa. Nigdy! Niczego nie zawdzięczam ani partii, ani władzy. Chyba jedynie utratę tego, na co robiłem z dziada i pradziada.

– Już ja tam swoje wiem. I powiem ci, że gdyby nie pezetpeer, cienko byśmy wszyscy piszczeli. Teraz panuje sprawiedliwość. A ty, zamiast się stawiać, lepiej pogodziłbyś się w końcu z nowym porządkiem.

– Nigdy! Miałbym przystąpić do partii? Niedoczekanie!

– A co w tym złego? – zapytał młodszy brat.

– Ty jeszcze pytasz? – zaperzył się starszy. – Małom słyszał o tym, jak esbecy traktują tych, co mają inne poglądy? Mam służyć czerwonym oprawcom? W imię czego? W imię jakiego boga? – zapytał nieopatrznie.

– Boga nie ma. – Leszek powtórzył grobowym głosem słowa żony.

– Nie bluźnij!

– Nie bluźnię. Bóg nie dał mi mieszkania ani pracy.

– Partia też ci nie dała. Małoś się wycierał po hotelach robotniczych?

– Jakby nie władza, nie budowałbyś mieszkań – skwitował Leszek. – To, że jakoś człowiek żyje i ma co włożyć do gara, jest zasługą rządu. Bo oni myślą o wszystkich, a nie, jak za sanacji, tylko o własnych dupach.

– Bredzisz, aż mi niedobrze! – krzyknął Bronek. – Nie tak cię ojciec wychowywał! Oj nie tak! On się teraz w grobie przewraca, ty... ty... ty sprzedawczyku!

– Ty mi tu z ojcem nie wyjeżdżaj! – zaperzył się brat. – Każdy ma swoje racje. Odpierdol się od nas. Ja chcę żyć spokojnie! A przez takich jak ty albo Janek człowiek żyje w nerwach. Chłapiecie ozorami na prawo i lewo te wasze pseudomądrości. Powtarzacie głupie żarty, za które można trafić do ciupy! Ciekaw jestem, czy bylibyście tacy cwani, gdybyście nie mieli roboty. Gdybyście z głodu musieli wbić zęby w ścianę!

– Myślałby kto, że głodowałeś kiedykolwiek!

– Ja nie. Ale mało ludziom w Pawlicach i Piotrowicach było krzywdy? Mało wyzysku? Mało biedy? Myśmy opływali w dostatki, a komornicy na przednówku osychali!

– Jażem nikogo nie wyzyskiwał. Ani nasz ojciec, ani dziad! Do wszyckiego dochodziliśmy pracą! W pocie czoła i znoju!

– W pocie czoła tyrali na nas inni.

– Gównu wiesz o życiu! Ty, kurwa, idioto!

– Sam gównu wiesz, kułaku! Szlag cię trafia, boś chciał być panem na włościach. Sam jeden na wszystkim, co było z ojca i dziadów! I dobrze, że ci się w końcu dobrali do dupy, bobys pewnie do tej pory miał nas wszystkich za parobków!

Bronek otworzył usta ze zdziwienia. W pierwszej chwili chciał skoczyć bratu do oczu i natłuc rozum do durnego łba. Wcisnąc z powrotem w gardło słowa pełne zawiści. Zaraz jednak się pomiarkował – nie potrzebował, by szwagierka narobiła krzyku i ściągnęła milicję. Gdyby powtórzyła cholernym esbekom to, o czym mówił przed momentem, miałby się z pyszna. Nawet jeśliby go nie wsadzili do ciupy, to dostałby po dupie tak, że nie mógłby usiąść. Coś niecoś już wiedział na ten temat. Po *gościnie* w areszcie śledczym długo nie mógł dojść do zdrowia.

– Ach, więc toś ty taki? – zdumiał się nad słowami smarkacza.

Rad nierad wstał od stołu. Spojrzał surowo na Leszka.

– Bratem mi jesteś i będziesz, choć postępujesz jak obcy. Nie tak żeśmy kiedyś żyli. Zapomniałeś? Jeden za wszystkich! Przerobiła cię głupia baba! – dodał z goryczą, spoglądając nieprzyjaźnie na bratową. – Ale nic to. Przyjdź do mnie na wódkę, jak ci rozum wróci. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać – rzucił na odchodnym.

– A idź w cholerę! – pożegnał go piskliwy głos szwagierki.

Od tamtej pory Bronek przestał odwiedzać brata.

Spotykał go jedynie od przypadku do przypadku na jakichś uroczystościach rodzinnych, ale i to z coraz mniejszą częstotliwością. Nie gadali ze sobą, wymieniali jedynie zdawkowe powitanie. O tym, co u niego słychać, Bronek dowiadywał się od reszty rodzeństwa, choć i oni coraz mniej wiedzieli na ten temat, gdyż Leszek skutecznie zaczął ich unikać.

Matka, która przyjechała z Dorotą na chrzciny Ludwiczka, załamała ręce na wieść o konflikcie starszych synów. Próbowwała pogodzić ze sobą zwaśnione strony, lecz na nic się zdały jej wysiłki. Doszło do tego, że i na nią synowa wyskoczyła z pyskiem, gdy znowu wypłynął temat nieochrzczonego dziecka.

Po powrocie do Pawlic zgnębiona kobieta zapłakała rzewnymi łzami.

– Jeszcze jedną zmiję wyhodowałam na własnym łonie – powiedziała dwuznacznie do Doroty.

Pierworodna objęła ją i przywarła policzkiem do mokrej, pomarszczonej twarzy.

– Nie płaczcie, matulu. To nie wasza wina. Wszyscyśmy wyszli z tego samego domu, każde dostało takie same nauki, lecz nie każde ich posłuchało.

– Morderca, dzieciobójczyni i bluźnierca. Oto, com wychowała – lamentowała, załamując ręce. – Alfred się w grobie przewraca!

*Pewnikiem byłaby jeszcze i cudzołożnica – przeszło przez myśl córki, choć przez minione dwa tygodnie jak tylko mogła, odpędzała myśli o Ksawerym. To być nie może! Serce pękłoby matuli, gdybym i ja dała duszę na zatracenie!*

Nazajutrz miała wrócić do pracy. Ale jak tam pójść, skoro ostatnie wspomnienie z biblioteki nie miało absolutnie nic wspólnego z książkami?

Nazajutrz rano dłużej guzdrała się przed wyjściem z domu. Niby już była przygotowana, ale jeszcze wróciła do swojej izby, aby zmienić sweterek i przejechać szczotką po włosach. Przy śniadaniu wszystko leciało jej z rąk. Dwa razy upuściła na podłogę tę samą łyżkę.

– A coś ty dzisiaj taka niezgrabna, córciu? Jakbyś miała marchwiane ręce.

– Tak jakoś nic mi nie idzie – westchnęła. – Rozstroił mnie ten urlop.

– Mnie też nie przysłużył się wyjazd do miasta – stwierdziła Władzia.

Poprawiła spinkę podtrzymującą siwego koka. Potem włożyła fartuch i zabrała się za brudne naczynia.

– Trza było zostawić, matulu. Pozmywałabym po powrocie.

– Tyle tego co nic. Muszę mieć jakieś zajęcie, bo mi w głowie same przykre myśli siedzą.

A jak człowiek ma pracę, to zaraz przestaje się frasować – stwierdziła. – Wyjdę potem do ogródka. Trzeba by opielić.

– Dajcie spokój z tą robotą. Przeca ja to zrobię, jak wrócę. Zaś będziecie płakać na kręgosłup, że boli.

Władzia pogładziła córkę po naznaczonym bliznami policzku.

– Dobre z ciebie dziecko.

Chciała dodać *ty jedna nie przysporzyłaś mi nigdy zmartwień*, lecz w porę ugryzła się w język. A bo to mało nocy przeplakała nad niedolą tej nieszczęsnicy?

– Ech, losie, losie... – westchnęła ciężko, spoglądając za odjeżdżającą wyboistym gościńcem. – Biednaś jest, córeczko. Nie dał ci Bóg szczęścia, choć zasługujesz na lepsze życie.

Dorota jechała niespiesznie do pracy. Szukała sobie usprawiedliwień, że wiosna, więc trzeba posłuchać świergotu ptaków, wdychać zapach rozkwitających ziół i w ogóle cieszyć oczy wszystkim tym, co dzieje się dokoła. W rzeczywistości wcale nie chodziło o piękno przyrody, lecz o to, co czekało ją w Piotrowicach – spotkanie z Ksawerym.

Jak stanąć z nim twarzą w twarz?

Co powiedzieć?

Ilekoć wracała pamięcią do ich ostatniego spotkania, jej serce zaczynało ten sam nieprzyjemny, nerwowy łomot. Chciała zobaczyć Ksawerego i nie chciała jednocześnie.

Tęskniła. Marzyła o kolejnych zapierających dech w piersi pocałunkach.

Zaraz potem krzyczała w myślach na samą siebie. Wyzywała się od grzesznic i ladacznic. A przecież ona go nie prowokowała. Jakżeby mogła – z taką twarzą, dekoltem i dłońmi pooranymi pręgami blizn?

Gdyby zobaczył te wszystkie okaleczenia, które kryła pod ubraniem! Uciekłyby gdzie pieprz rośnie!

*Dobry Boże! Dlaczego postawiłeś go na mojej drodze? Czemu nie mógłby to być ktoś inny? Ktoś, kto nie ma żony i trójki dzieci. Ktoś, kto jest równie samotny jak ja! Dlaczego teraz, po tylu latach, rozbudziłeś we mnie takie tęsknoty? Taką wielką potrzebę bliskości? Czy było mi źle?*

Nie natknęła się na Ksawerego przed dworem. Niespostrzeżona przemknęła wprost do pomieszczeń bibliotecznych. To było jej miejsce na ziemi – skrawek wszechświata poukładany na półkach. Szeleszczący pożółkłymi kartkami książek. Skatalogowany, ostemplowany, uporządkowany. Tutaj była szczęśliwa i spełniona – jeszcze do niedawna.

*Co będzie teraz? Co będzie?*

Skrzypnęły drzwi.

Dorota drgnęła nerwowo, lecz widok Goliszówny uspokoił rozszalałe zmysły.

– Dzień dobry, panno Doroto. Przyszedłam wymienić książki – powiedziała rezolutna nastolatka.

Bibliotekarka zakrzętnęła się wśród półek w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie Marty. Później nadeszli kolejni czytelnicy, głównie po to, by oddawać książki. Z nastaniem dłuższych i cieplejszych dni coraz mniej osób czytało. Każdy patrzył roboty w obejściu. Szymczakówna cieszyła się, że przynajmniej zwracają to, co pożyczyci. Byłoby znacznie gorzej, gdyby księgozbiór przepadł wśród chłopów.

Ksawery zajrzał dwie godziny później. Szczęściem akurat wtedy była u niej dzieciarnia po ostatnią obowiązkową lekturę w roku szkolnym. Mężczyzna odczekał, aż młodzież się rozejdzie.

– Jak dobrze znowu panią widzieć – zagaił.

– Dzień dobry panu – odparła, nie podnosząc wzroku.

– Pusto tutaj było przez ostatnie dwa tygodnie. Nie miałem z kim pogwarzyć.

Mogłaby mu odpowiedzieć, że powinien szukać towarzystwa do rozmów we własnym mieszkaniu. Żona na pewno byłaby rada, gdyby okazał jej trochę zainteresowania. Często popadała w melancholię, a jej oczy wypełniały łzy. Nigdy z jej ust nie padły słowa skargi – nie były z Dorotą aż tak blisko, by dochodziło pomiędzy nimi do zwierzeń, lecz Szymczakówna swoje wiedziała: Olszańska nie była szczęśliwa.

Czy i ona miała dokładać się do tego smutku?

Ksawery podszedł bliżej. Ujął dłoń bibliotekarki. Serce kobiety załomotało niespokojnie.

– Panno Doroto – wyszeptał, przyciskając wargi do jej ręki. – Dorotko miła...

– Tak nie można, panie naczelniku...

– Jak?

Z jej ust padło tylko jedno słowo.

– Amelia.

Mężczyzna cofnął się nieco i puścił jej dłoń.

– Tak. Wiem. Moja żona. Nieszczęsna kobieta.

Nie powiedział nic więcej. Po prostu wyszedł z biblioteki, zostawiając Dorotę samą z rozedrganym sercem.

Olszański szedł przed siebie. Minął oberwaną bramę wjazdową i dotarł do gościńca. Szedł w kierunku lasu, oddalając się od źródła udręki.

*Przeklęta moja głowa! Przeklęty ten los, który mnie tutaj rzucił!*

Brakowało mu szczęścia w życiu. Urodził się jako trzeci w kolejności syn, więc perspektywy na odziedziczenie rodzowego majątku były nikłe, o czym wiedział od najmłodszych lat. Włości Olszańskich miał przejąć najstarszy z rodzeństwa, Eugeniusz. Młodszy, Filip, planował dla siebie sutannę. Od dziecka był wyjątkowo pobożny. Dla Ksawerego rodzice przewidzieli karierę oficera i tak też go ukierunkowywali od dziecka. Prócz chłopców w rodzinie były jeszcze siostry: Elżbieta oraz Małgorzata. Te miały dobrze wyjść za mąż.

Los szybko zaczął płać figle jego rodzicom. Pierworodny zginął w czasie polowania, gdy rzucił się nań rozjuszony niedźwiedź. Zapewne mężczyzna przeżyłby to spotkanie, gdyż w pobliżu byli myśliwi, którzy przyszli mu z pomocą, strzelając do dzikiego zwierza z odległości kilku kroków. Niestety, ułamek sekundy wcześniej pazury rozorały nieszczęśnikowi gardło, przerywając tętnicę szyjną tak, że nie zdołano zatamować krwotoku.

Już wtedy dla Olszańskich stało się jasne, że to Ksawery będzie musiał wejść w rolę dziedzica sporych posiadłości ziemskich. Zagadnięty o to dla porządku Filip kategorycznie odmówił. On wybrał celibat i skromne życie na misji. W okresie, gdy brat umarł tragiczną śmiercią, szykował się do wyjazdu na Madagaskar i żadna siła nie mogła go odwieść od tego planu. Pozostały jeszcze dziewczęta, istoty płocze, próżne i wyjątkowo leniwe. Wychowane w przeświadczeniu, że w przyszłości otrzymają znaczne posagi, nie zaprzętały sobie ślicznych główek prowadzeniem interesów. Wszak od tego mieli być mężowie. Zarządzanie majątkiem? Nuda! Są ciekawsze zajęcia, jak choćby bale, wyjazdy do opery czy teatru oraz liczne spotkania towarzyskie. Nad prowadzenie gospodarstwa przyjemniejsza była gra w tenisa lub karty – w zależności od pory roku i pogody.

Tak więc w kwestii dziedziczenia Ksawery nie miał nic do gadania. Postawiono go przed faktem dokonanym i zapewne nie krzywdowałby siebie jakoś szczególnie, gdyby nie to, że człowiek o takiej pozycji winien mieć małżonkę z odpowiedniej sfery: wykształconą, posażną i światową. W tej kwestii także nie pozostawiono mu wolnej ręki, swatając go ze starszą o pięć lat niedoszłą żoną tragicznie zmarłego brata. Odziedziczona w ten sposób narzeczona została wcześniej na siłę przypisana Eugeniuszowi, który także nie przejawiał szczególnej chęci do mariażu.

Amelia, prócz tego, że posiadała piękny posag, była również, delikatnie mówiąc, nieszczęśliwej urody, a jej osobowość pozostawała wiele do życzenia. Młody małżonek jak tylko mógł unikał spędzania z nią wolnego czasu. Nie kochali się ani trochę. Ona nawet nie próbowała przed nim ukrywać, że oddała serce innemu mężczyźnie. Zapewne tuż po przyjściu na świat ich najstarszej córki, Urszuli, daliby sobie wolną rękę i każde zaczęłoby żyć własnym życiem, lecz właśnie wtedy wybuchła bodajże najstraszliwsza wojna w dziejach ludzkości. Przyzwoitość nakazywała Ksaweremu, aby jak najlepiej zatroszczyć się o rodzinę, więc rozstanie nie wchodziło wówczas w grę. W międzyczasie spłodził z żoną jeszcze dwoje dzieci – w czasie wojennej zawieruchy na wszelkie możliwe sposoby próbowali zapomnieć o otaczającym ich koszmarze.

Bardzo szybko zostali wyrugowani ze swoich dóbr. Okupanci wspaniałomyślnie pozwolili im zatrzymać najlichszy z posiadanych domów, w którym do tej pory urzędował nieudolny zarządca. Cała reszta została zarekwirowana przez Trzecią Rzeszę. Przepadły rodzowe srebra, dzieła sztuki oraz biżuteria Amelii. Ba! Zagrabione zostały nawet futra i paryskie kreacje Olszańskiej.

Pozbawiona majątku rodzina przegłodowała całą wojnę w trudnych warunkach. A gdy



wróg zaczął się wycofywać i zawitała nadzieja na odzyskanie włości, dobrała im się do skóry nowa władza. Urzędnicy uznali, że to, co wcześniej od pokoleń należało do ich rodziny, jest teraz własnością państwa. Za powtórnie zagrabione mienie Olszańscy otrzymali zapomogę, która początkowo obiecywana im była dożywotnio.

Z biegiem czasu okazało się, że społeczeństwo nie zamierza dłużej ich utrzymywać i należy zakasać rękawy do pracy. W tym właśnie okresie Ksaweremu zaproponowano objęcie zarządu nad spółdzielnią zorganizowaną na ziemiach Pawlic i Piotrowic. Tam też dostali służbowe mieszkanie w zapuszczonym dworze. A ponieważ nie mieli lepszych perspektyw funkcjonowania w kraju, gdzie rządy trzymane były w mocno zaciśniętych garściach komunistów, eks-ziemianin bez wahania przyjął skądinąd nie najgorszy wakat. Od przyjaciół, którzy przetrwali wojnę i znaleźli się w podobnych okolicznościach, wiedział, że jest to dość często stosowana praktyka. Cóż bowiem mógł wiedzieć zwyczajny chłopiek-roztropek lub, co gorsza, miastowy robotnik na temat zarządzania tak wielkim areałem?

I tak oto Olszański utknął w Piotrowicach bez nadziei na lepszą przyszłość. Dusząc się u boku nie lubianej połowicy, która równie mocno nie lubiła jego. Powód zawarcia małżeństwa ulotnił się jak dym z wojennych zgliszcz. Pozostała jedynie przysięga złożona przed ołtarzem oraz trójka dzieci.

A teraz, jakby mało było Ksaweremu wcześniejszych nieszczęść i niedoli, Bóg zesłał nań kolejne cierpienie, w postaci kobiety, w której zakochał się do szaleństwa. Problem w tym, że nie miał jej do zaoferowania nic prócz miłości. Na domiar złego panna Dorota była tak bardzo poturbowana przez los, że jego uczucie na zawsze miało pozostać nieodwzajemnionym. Zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że potwornie okaleczona przez barbarzyńców nigdy nie spojrzy przychylnie na mężczyznę. Co więcej, całując ją, zapewne utwierdził nieszczęśnicę w przekonaniu, że wszyscy są tacy sami i jedno, co im chodzi po głowach, to wykorzystanie każdej dziewczyny, która znajdzie się w pobliżu.

Widział popłoch w jej spojrzeniu, gdy się odsuwał.

Widział lęk i ból.

Czy swoim niefrasobliwym zachowaniem przywołał jakieś przerażające wspomnienia?

Jak tu dalej żyć ze świadomością, że wyrządził jej krzywdę?

Jakże inaczej wyglądała opieka nad dzieckiem teraz, gdy Nowa Huta była blisko stutysięczną dzielnicą! Postęp wdarł się nawet w tę dziedzinę życia, którą do tej pory regulowały odwieczne prawa natury. Julia nie mogła się temu nadziwić. Zupełnie inaczej było, gdy urodziła Karola. Wtedy wszystko odbyło się w domu, pod okiem akuszerki, z życzliwą pomocą sąsiadek.

Zosię urodziła w szpitalu, gdzie spędziły aż pięć dni. Nie żeby tak źle się czuły! Ot po prostu – takie czasy nastały. Niby było to o tyle dobre, że młoda mamusia mogła wypocząć. Co parę godzin pielęgniarki przynosiły dzieci do karmienia. Maleństwa były wykąpane, przewinięte i zadbane. A jednak Julia niebywale tęskniła za córeczką i żalowała, że nie może mieć jej cały czas przy sobie. Wciąż zamartwiała się o to, czy maleńka nie płacze albo czy jest dość dobrze ubrana.

Cóż to było za szczęście, gdy przynoszono te kruszynki – ciasno poowijane w szpitalne koce. Regularnie jak w zegarku wypadały pory karmienia: dokładnie co trzy godziny, z dłuższą, sześciogodzinną przerwą nocną. To także smuciło Julię, ponieważ pamiętała te słodkie chwile, gdy Karolek spał z nią w łóżku, przystawiony do jej piersi. Był niejadkiem, zresztą nadal nim pozostawał, więc cieszył każdy moment, gdy chciał jeść. Zosięka też nie zapowiadała się inaczej. Jadła niewiele i leniwie. A chwile karmienia, na które przynoszono noworodki, trwały boleśnie krótko.

- Czy ona płacze, gdy ją zabieracie? – zagadnęła położną.
- Wszystkie dzieci czasami popłakują – padła sucha, pozbawiona uczuć odpowiedź.
- Bo ona prawie nic nie je, gdy mi ją pani przynosi.
- Musi nauczyć się jadać o określonych godzinach. Takie są zalecenia.
- Czyje zalecenia? – zdziwiła się matka.

– Lekarzy pediatrów. Nowoczesne i świadome macierzyństwo. Kilka dni płaczu i marudzenia jest warte tego, aby później wychowywać zdrowego i szczęśliwego dzieciaczka. Czas odejść od zabobonnych praktyk, gdy maluch całymi dniami wisiał przy matczynej piersi. Albo gdy dwu-, trzyletnie dziecko wciąż jeszcze było karmione w naturalny sposób. To odrażające! – Położna się skrzywiła. – No tak. To jednak pewna przesada – przyznała Julia.

– No widzi pani? Powiem więcej. Teraz w ogóle nie zalecamy noszenia na rękach i huśtania. Bo małe szybko się przyzwyczajają i ciągle płacze, a matka nic nie może zrobić, tylko nosi i kołysze. Niemowlę, jak jest przewinięte i nakarmione, powinno pozostawać w łóżeczku. W łóżeczku! – powiedziała z naciskiem. – A nie w łóżku z mamą i może jeszcze, nie daj Boże, z tatą! No, dobra. Koniec karmienia – zadecydowała pielęgniarka, spoglądając na zegarek. – Minęło dwadzieścia minut. Dłużej nie ma sensu trzymać dzieci przy piersi, bo to męczenie i siebie, i dziecka. Jeszcze tylko zważymy maluchy i do spania.

Julia niechętnie oddawała córeczkę. Ach! Gdyby czas nie płynął tak szybko, kiedy miała ją przy sobie! To była najlepsza chwila, aby w spokoju nacieszyć się macierzyństwem – jeszcze bez dodatkowych obowiązków: prania pieluch, prowadzenia domu, stania w kolejkach po zakupy. Dobrze wiedziała, że po wyjściu ze szpitala nie będzie dość czasu na zachwyty nad malusieńką buzią z wielkimi oczętami, stroszącymi się niesforne kędziorkami oraz maciupeńkimi paluszkami, które niepokornie szukały sposobu na to, aby wywikłać się z ciasno krępującego powijaka. *Dzieci rosą tak prędko! Dopiero co Karolek był taką maleńką kruszynką. Ledwo toto kwiliło! Jeść nie chciał, niejadek. Ile bym go nie wytrzymała przy piersi, wciąż był chudzieńki jak patyk. A może to racja z tym, że nie ma co zbyt długo karmić, bo to tylko męczy i mnie, i dzieciątko? Bądź tu mądry, człowieku* – westchnęła.

Potem pomyślała o tym, że nazajutrz przyjdzie Wawrzyniec, aby zabrać ją do domu. Skończy się szpitalna dyscyplina. Matczyne serce najlepiej potrafi podpowiedzieć, w jaki sposób pielęgnować maleństwo.

– Mamo! Mamo! – Karol, tupocząc buciorami, wpadł jak burza do mieszkania i rzucił na podłogę tornister. Dopiero syknięcie Julii przywróciło go do porządku.

– Nie krzycz tak. Obudzisz Zosię! – napomniała go. – O co tyle krzyku?

– Bo jak szedłem ze szkoły, to widziałem wujka Andrzeja. I on mi powiedział, że w niedzielę zabierze mnie do kina na *Króla Maciusia Pierwszego*.

– Dobra, dobra, królewiczu. Do niedzieli jest jeszcze trochę czasu. Marsz do łazienki. Szoruj łapska i chodź na obiad.

– A tata?

– Tatuś jest jeszcze w pracy. Będzie dzisiaj później. Ma jakąś ważną naradę.

– Szkoda! Myślałem, że pomoże mi zrobić wiatraczek do szkoły.

– Sam musisz sobie poradzić.

Zapędziła chłopca najpierw do mycia, później do kuchni, a następnie do lekcji. Podreptała do sypialni, żeby zajrzeć do Zosi. Małeńka spała smacznie na brzuszku, z nóżkami podkurczonymi jak u żabki. Julia przystanąła na chwilę nad córcią i objęła drobinę spojrzeniem pełnym miłości.

*Wszystko się zmieniło – przemknęło jej przez myśl. Gdy urodził się Karolek, miałam przy sobie tylko Bronka. Niełatwo mi było, ale jakoś sobie ze wszystkim poradziłam. Wyrośło chłopaczysko na schwał. Dobry z niego dzieciak. Słodki Jezu! Ileż mam z niego pociechy. Oby i Zosięńka chowała się równie dobrze i była taka grzeczna jak on. Jak to dobrze mieć prawdziwą rodzinę, nie zмагаć się samotnie ze wszystkim!*

Wyjście do kina z Karolem dostarczyło Andrzejowi kolejnych pretekstów do samotnych wypraw z domu. Zawsze mógł się wyłgać, że zabiera dokądś siostrzeńca. Sabina i tak nigdy nie wpadłaby na to, aby sprawdzić informację u źródeł. Małego Pawła nie można było zostawić w domu bez opieki. Wspólne wyjścia z żoną nie wchodziły więc w grę. Chyba że chodziło o spacer we troje. Ale ileż, *do cholery!*, można spacerować z dzieckiem? Nie zawsze też mógł powiedzieć, że idzie z kolegami napić się wódki.

Potrzebował rozrywki.

Jako nastolatek nie cieszył się wieloma przyjemnościami: szybko został w Pawlicach sam z czterema kobietami pod opieką. Miał wówczas mnóstwo obowiązków, a na okrasę jedynie kufel piwa w gospodzie, a i to nie zawsze, bo czasami w Luškę wstępował czort i nie chciała mu sprzedawać alkoholu, że niby za smarkaty na picie. Później zmarła Agata, a on pogrążył się w żalobie. Musiał pomścić śmierć ukochanej. Nie było mu wtedy do śmiechu. Nocami prześladowały go koszmary lub męczyła bezsenność. Dopiero odnalezienie Marczykowego truchła choć trochę ucięło wyrzuty sumienia. Matula mu wybaczyła, ksiądz dał rozgrzeszenie i ciężką pokutę. Odcierpiał swoje.

Mimo to nadal zdarzało się, że budził się nocą zlany zimnym potem. Czuł na szyi zaciskające się palce kostuchy, odór truchła. Słyszał złowieszczy chichot: *Spotkamy się w piekle, gówniarzu!*

Potrzebował zapomnienia. Musiał nadrobić stracony czas. Cóż, gdy w domu wciąż marudziło malutkie dziecko? Żona była nieustannie zmęczona lub śpiąca, na nic nie miała ochoty. Ile razy ją prosił, aby podrzucili komuś maluszka, Julce chociażby, bo ta miała złote serce? Mógł prosić do znudzenia, Sabina i tak nie chciała nigdzie wychodzić. Wołała spać. Albo zrobić coś w domu: wyprać, wyprasować, posprzątać...

Kiedy tę wesołą dziewczynę, której wszędzie było pełno, zastąpiła kura domowa? Dlaczego doszło do tego akurat teraz, gdy niemalże uwolnił się od prześladowającego go kosmaru?

To nie było tak, że pragnął zdradzać żonę. Kochał ją. Była matką jego syna, cudowną istotą o łagodnej naturze, trochę niezdarną, ale pełną słodyczy.

Nie chciał być złym mężem, ale cóż mógł na to poradzić, że wciąż przed oczy pchały mu się różne pokusy o jędrnych piersiach, krągłych biodrach i smukłych łydkach? Te kusicielki! Jakże one się uśmiechały, jak zaczepiały zadziornym wzrokiem, jak potrafiły zręcznie flirtować! Nawet cholerne kalectwo odchodziło w zapomnienie, gdy zatracił się w miłych pogawędkach.

A może w zestawieniu z przystojną, bardzo męską twarzą oraz barczystymi ramionami, po których wciąż widać było krzepę, owe przetrącone kulasy wzbudzały współczucie? Może te wszystkie panie, które tak ochoczo z nim gwarzyły, chciały mu zadośćuczynić za krzywdę wyrządzoną przez los?

Chadzał więc, kiedy tylko mógł, na spacerach w świetle księżyca. Brodził nieporadnie wśród wysokich traw falujących na łąkach nowohuckich. Zbierał polne kwiaty na bukiety i wieńce, a czasami po to, aby miękkimi płatkami obsypać czyjeś nagie, spragnione pieszczot ciała. I padał w te trawy ze słodką boginką u swego boku: Basią, Anielką, Gienią...

Później wracał skruszony do domu, kupując po drodze goździka w kwaciarni.

– Mojej najpiękniejszej – mówił, wręczając go Sabinie.

Zamykał jej posmutniałe usta w namiętym pocałunku, a gdy wypuszczał ją ze swych ramion, w oczach żony znowu zapalały się gwiazdy.

– Jesteś taki kochany, Jędrus. A ja jak ten tłuk: tylko przy garach i pieluchach – wzdychała, delikatnie oswabadzając się z objęć.

Czasami, bardzo rozpaczliwie, usiłował wskrzesić w żonie choćby namiastkę dawnego romantyzmu. Włączał radio i czekał na jakąś ładną piosenkę. Albo ustawiał na gramofonie jedną

z płyt, które kupował pokątnie od handlarzy. Przytulał swoją szarooką ukochaną, sięgał za jej plecy i po omacku odwiązywał troki fartuszka. Kołysali się niezgrabnie do dźwięków muzyki dotąd, aż nie przeszkodził im synek albo nie zacięła się płyta. Kiedy nic nie stawało na przeszkodzie, odpinał guzik w bluzce żony. Potem następny i jeszcze jeden. Pochylał się nad jej obnażoną szyją, wodził po niej wargami, chłonał delikatny zapach kobiecego ciała. Cóż z tego, gdy próbował posunąć się dalej, Sabina przerywała płasy, tłumacząc, że musi jeszcze pilnie coś zrobić.

Nie naciskał na nią. Nie potrafił.

Wszak to ona chciała, żeby się z nią ożenił. Wybrała go sobie spośród wielu innych mężczyzn: zdrowych, sprawnych, nieobciążonych śmiertelnym grzechem. Nie mógł więc teraz oczekiwać, że będzie mu powolna we wszystkim. I choć roznosiło go pożądanie, pozwalał jej decydować, ponieważ rozpaczliwie bał się, że mógłby ją stracić.

Widać nie była gotowa, aby po raz drugi zostać matką.

*A jeżeli ona już mnie nie chce?* – Drętwiał ze strachu.

*Jeżeli uświadomiła sobie ciężar moich win i poczuła do mnie obrzydzenie?*

Wciąż z niemającą namiętnością posyłał kupony Toto-Lotka. Był głęboko przekonany, że wygrana rozwiązałaby raz na zawsze wszystkie jego problemy. Zabrałby żonę i dziecko. Z walizką pełną forsy prysnąłby na Zachód, gdzie kupiłby ładny dom i samochód, a dla Sabci nająłby służącą. Gdyby mieli gosposię, to na pewno nie byłaby wiecznie zmęczona. Ich małżeństwo ożyłoby na nowo. Zresztą tam, w szerokim świecie, na pewno znalazłby lekarza, który naprawiłby jego nogi. Żeby już nie musiał podpierać się laską i smarować kulasów wyciągiem z kasztanów zalanych wódką. Zatańczyliby z ukochaną jeszcze niejednego twista. I byłiby szczęśliwi, że aż strach!

Sabina nie mogła sobie wymarzyć lepszego męża.

*Anioł nie człowiek!* – wzdychała za każdym razem, gdy on z wyrozumiałością pozwalał jej, by wysunęła się z jego objęć.

Kochał ją, pragnął, by na nowo rozgorzał w nich płomień namiętności. A jednak cierpliwie znosił jej zmęczenie, senność i bóle głowy.

Nie krzyczał, nie pił, nie próbował brać siłą tego, czego odmawiała mu po dobroci.

*Jak nie kochać takiego mężczyzny, no jak?*

Obiecywała sobie, że jak tylko choć trochę odchowawa Pawełka, to znowu poświęci więcej uwagi mężowi. Wynagrodzi mu te wszystkie chłodne noce, gdy odwracała się tyłem do niego.

Na razie musiała pogodzić próby w teatrze z prowadzeniem domu i opieką nad małym. Wciąż była w biegu: pomiędzy pracą, żłobkiem, sklepem a mieszkaniem. Nic więc dziwnego, że gdy synek zasypiał, to również i ona padała ze zmęczenia. Na szczęście ubywało jej pomału najcięższych obowiązków, gdyż chłopczyk szybko zaczął siadać na nocnik. Jeszcze tylko w nocy zdarzały mu się czasami mokre niespodzianki, ale i te bywały coraz rzadziej. Jakie szczęście nastanie, gdy na zawsze pozbędą się pieluch!

Nie mogła obarczać męża opieką nad dzieckiem, ponieważ on także pracował, a ponadto kończył naukę w technikum. Miał już za sobą egzaminy maturalne. Dużo się do nich uczył, przeważnie u kolegów, bowiem w domu wciąż przeszkadzał mu Pawełek. Malec nie rozumiał tłumaczenia, że nie wolno zaczepiać taty, gdy ten czyta książkę lub robi notatki. Że w tym czasie powinien być cichutko jak myszka i nawet rzucanie zabawkami może rozproszyć ucznia. Na szczęście mężowi pozostały jeszcze ostatnie zaliczenia ustne, a potem święty spokój z podręcznikami.

– Ach! Gdybym wiedział, ile to trzeba zachodu! – wzdychał. – Nigdy bym się pewnie nie porwał na chodzenie do szkoły.

– Nie gadaj głupot, ucz się – karciła go łagodnie.

– Kiedy Pawełek wciąż rozrabia – utyskiwał.

– A co ci szkodzi wziąć książkę, koc i pójść na łąki? Zobacz, jaka piękna pogoda. Nie musisz tkwić w mieszkaniu – zaproponowała, choć smutno jej było na myśl, że znowu zostanie sama z dzieckiem. Nawet nie mogła pójść na przechadzkę, ponieważ miała pranie do zrobienia.

Andrzej chyba tylko czekał na te słowa, bo zerwał się tak szybko, jak mu na to pozwalało kalectwo. Porwał z kanapy koc i przerzucił sobie przez ramię. Książkę wcisnął do kieszeni. Złapał jeszcze butelkę oranżady oraz kawałek drożdżówki. Nim się obejrzała, wycisnęła siarczystego całusa na jej policzku i pokuśtykał.

– Da Bóg, wszystko się niebawem odmieni – westchnęła, przeglądając poplamione kaftaniki i śliniaczki. – Pawełku, nie wkładaj grzechotki do bużki – skarciła malca. – Może jak tatuś skończy szkołę, to będzie miał więcej czasu i zacznie się tobą zajmować? A może jak zda maturę, to i robotę zmieni? Przydałoby się coś konkretniejszego niż etat kasjera. To dobre dla lekkoducha, choć i tak trzeba przyznać, że go docenili, bo awansował i zamiast sprawdzać, sprzedaje bilety – gadała ni to do siebie, ni to do płaczącego się koło niej synka.

– No, jak ci się podobał film, smyku? – zagadnął Wawrzek, gdy Karol wrócił z kina.  
– Fajny! Mówię ci, tato, było świetnie. Szkoda tylko, że ten Maciuś przegrał wojnę i został zesłany na bezludną wyspę. To było okropne i niesprawiedliwe. Bo on był taaaki dzielny! Mówię ci. – Gestykułował zawzięcie, streszczając fabułę.

– Podziękowałeś wujowi, że cię zabrał?

– No pewnie. A potem jeszcze byliśmy na lodach – nie omieszkał się pochwalić. – A jak wracaliśmy, to opowiadał mi o Żuku.

– Nie wiedziałam, że tak lubi robale – wtrąciła Julka, delikatnie kołysząc zasypiającą Zosię.

Za nic miała nowoczesne wskazania lekarzy, aby dziecko wychowywać na dystans – bez zbędnego „ciuckania”. Nie wierzyła, że jak trochę ponosi małą na rękach, to zaraz ją do tego przyzwyczai i będzie miała kłopot. Poradziła sobie z Karolkiem, poradzi sobie i z córcią. Przecież za te siedem lat świat nie uległ aż tak wielkim zmianom! Czemu więc wymaga się od niej, aby jako matka postępowała teraz zupełnie inaczej? Dlaczego ma odmawiać maleńkiej kruszynie odrobiny pieśczości i czułości? Pragnęła tego dziecka, cieszyła się na nie przez całą ciążę. Zniosła niedogodności stanu błogosławionego i ból porodu nie po to, aby traktować dziecko jakby było lalką.

*Ech, ten świat to już całkiem wariuje! Wszystko staje na głowie* – myślała z przygnębieniem, wspominając jak przez mgłę stare przedwojenne czasy, gdy ludzie żyli ze sobą bliżej.

Kiedyś wszystko odbywało się z sercem: przyjaźnie były głębokie i pełne szczerości. Sąsiedzi ochoczo sobie pomagali. Jak ktoś miał frasunek, wiedzieli o tym znajomi dookoła i starali się jakoś ulżyć – choćby tylko dobrym słowem. Nikt na nikogo nie pisał donosów.

Teraz każdy siedział w czterech ścianach mieszkania i pilnował się, aby sąsiad nie wysłał na jego temat anonimu do bezpieki. Wszystko stało się jakieś takie zimne i powierzchowne. Każdy trzymał język za zębami, aby nieopatrna wypowiedź nie przysporzyła mu kłopotów. Brat donosił na brata – dosłownie. Wszak i oni mieli w rodzinie szwagierkę, której nie można było ufać. A i sposób spędzania wolnego czasu uległ zmianie. W Pawlicach szło się na tańce, skubanie pierza albo zwyczajnie na chałupy pogadać o czymkolwiek. W mieście można było pójść do świetlicy na jakąś sztywną, nudną masówkę: posłuchać wzniosłych pieśni i wierszyków, które niewiele miały wspólnego z patriotyzmem, w jakim została wychowywana. Tutaj relacje między ludźmi nie były tak silne jak na wsi, gdzie wszystko znało się z dziada pradziada, a w większości było jakoś ze sobą skoligacone. Miasto wypełniali obcy. A dla obcego nikt nie zaryzykuje niczym.

– Mamo! Ty się w ogóle nie znasz na motoryzacji – powiedział dobitnie chłopiec, wrywając ją z zadumy. – Żuk to najnowszy samochód dostawczy! Wujko pokazywał mi gazetę, w której były jego zdjęcia. I mówił, że podczas Święta Pracy został oficjalnie zaprezentowany. Będą takie produkować w Warszawie! Ale klawo byłoby mieszkać w stolicy – westchnął. – Tam to mają dobrze! Robią nowe samochody i różne fajne rzeczy!

– Jakie? – zainteresował się Wawrzyniec.

– Oj, no różne – odparł wykrętnie syn, któremu zabrakło chwilowo koncepcji. – I pierwsi mieli telewizję, o! A tu dalej mało kto ma telewizor. W rodzinie tylko wujek Janek. Mamo, czemu nie chodzimy do niego pooglądać program, jak nas zaprasza?

– A bo jest na to czas? – zapytała Julia. – Mało mam zajęć w domu? A i tatko wraca późno z pracy – tłumaczyła.

To prawda, że nie raz zapraszał ich Kulka. Krysia była dumna z nabytku, który zajmował honorowe miejsce w większym pokoju. Na odborniku leżała zawsze sztywno wykrochmalona

serwetka, a na niej stał flakon ze sztucznymi kwiatami. Pawłowscy nigdy nie skorzystali z zaproszenia, choć siostra niejedną raz zachwycała się tym, co można było obejrzeć w drewnianej skrzynce ze szklanym ekranem.

Julia dobrze wiedziała, czemu mąż nie chce przyjąć zaproszenia. Kiedyś nieopatrznie wygadał się, że jest trochę zazdrosny o Janka. Stwierdził, że ten patrzy na Julię w jakiś szczególny sposób. Inaczej niż na żonę i pozostałe kobiety. Dodał też, że dałby głowę, że się w niej kocha. Zapewne Wawrzek nie powiedziałby tych słów nigdy w życiu, ale wracali wtedy z czyichś imienin – być może Bronka lub Bogusi – i był trochę podchmielony. Podczas rodzinnego spotkania widać było, że między Kulkami panuje napięta atmosfera. Julia w drodze powrotnej wyrażała troskę o małżeństwo siostry, a on podał pierwszą przyczynę ich niesnasek, jaka przysłała mu na myśl.

– No tak – przyznał syn. – A u nas w szkole telewizor ma tylko jeden kolega. Ciągłe opowiada o różnych cudach, które tam pokazują. Mówi, że to prawie jak kino, tylko patrzy się na wszystko w domu. No i więcej gadają. Ale nie chce nas zapraszać na oglądanie, bo mu rodzice nie chcą pozwolić, żebyśmy nie nanieśli błota na ich nowe dywany.

– A który to taki krezus, hę?

– Zbyszek Gruca. Wstrętny chwalipięta i na dodatek gruby jak beczka – burknął Karol, który nieszczęśliwie lubił pucułowatego kolegę. Zdecydowanie wołał Saszę Brywkina i Bukana Mirgę. – Sobek i grubas. I wszyscy za nim wołają tak: *Gruby, wpadł do budy. Najadł się groszku, pierdział po troszku!*

– Karol, nieładnie tak o kimś mówić – zwróciła mu uwagę Julia.

– Ale on jest gruby – upierał się chłopiec. – I ciągle się czymś przechwala. Zawsze pierwszy wszystko dostaje od rodziców. Ma rower, choć na nim nie jeździ, bo szybko się męczy. I prawdziwą piłkę nożną, uszytą ze skórzanych łątek, ale nie pozwala jej kopać, żeby się nie ubrudziła. I zawsze ma najfajniejsze kredki i przybory szkolne. I wszystkie chłopaki mu tego zazdroszczą.

– A to też nieładnie, żeby zazdrościć koledze. Czy tobie czegoś brakuje? Tatuś kupił ci przecież rower. I też masz ładne przybory do szkoły.

– Ale nie mam telewizora. A grubas ma i ciągle o tym paple.

Wawrzyniec odwrócił się dyplomatycznie, usiłując nie parsknąć. Przeczekał, aż Julia skarci syna i pouczy go, dlaczego nie powinien dokuczać koledze. A później z poważną miną wtrącił się do rozmowy:

– To mówisz, że do pełni szczęścia potrzeby nam jest telewizor?

– No tak, tato. Bo wiesz: trzeba iść z postęmem, a nie zostawać w tyle!

– Postępem to byłaby pralka Frania – stwierdziła pragmatycznie Julia i w tym właśnie momencie uprzytomniła sobie, że skoro Zosieńka już śpi, to trzeba odłożyć ją do łóżeczka i szybko zrobić przepierkę. – Wawrzusiu, kochanie, czy mógłbyś napelnić wodą i postawić na piecu ten duży gar? Wiesz, ten zielony, od prania.

– Widzisz, synu? Tutaj faktycznie przydałby się postęp. Wiesz, jak ciężko jest twojej matce dźwigać ten wielki gar z wodą? Ile się musi namęczyć, żeby prać na tarze te sterty ubrań?

– No wiem – westchnął chłopiec.

I jak tu pomarzyć o telewizorze, skoro matula marzy o pralce?

A tak fajnie byloby pochwalić się chłopakom! I może nawet mama pozwoliłaby zaprosić kolegów na oglądanie telewizji, bo w gruncie rzeczy była bardzo fajna i nie taka ciągle zła jak inne mamy. Nigdy nie dostał od niej ścierką po łbie, nie wyzywała go od wstrętnych bachorów i nicponi. Nie żałowała mu na „Misia” i na „Świerszczyka” nawet wtedy, gdy byli sami i nie zawsze mieli pieniądze na inne rzeczy. A odkąd pojawił się tato, była wciąż uśmiechnięta,



zadowolona i często śpiewała wesołe piosenki.

Wawrzyniec poszedł do kuchni. Po chwili dało się usłyszeć szum i bębnienie wody o metalowe dno garnka. Julia w tym czasie pozbiierała pieluszki i ubranka Zosi.

– Ach, jakże ja bym chciała pralkę – rozmarzyła się, przygotowując bieliznę do gotowania. – Chyba tak samo, jak Karol telewizor – stwierdziła, bowiem marzenie o oglądaniu filmów i programów powtarzało się ostatnio dość często.

– Juluś moja śliczna, nie martwże się, będzie i pralka, i telewizor – powiedział mąż, stawiając potężny gar na kuchence gazowej.

– Ach, marzenia! – Machnęła ręką.

Nie można mieć wszystkiego! Miała piękne, duże mieszkanie, które wciąż jeszcze urządzali. Od dwóch miesięcy Wawrzek był szczęśliwym posiadaczem syrenki, stojącej zazwyczaj pod starannie zasnuowaną plandeką, a służącej przede wszystkim wyjazdom do Pawlic. Ten samochód – obiekt wielu westchnień wszystkich członków rodziny, a przede wszystkim Andrzeja – jeszcze długo będą spłacali w ratach. I na pewno był o wiele przydatniejszy od pralki, bo przecież większość kobiet posługuje się balią i tarą. A już zdecydowanie lepszy niż taki zbytek jak telewizor.

Zresztą czy człowiek ma czas na rozrywki?

Dom, rodzina, pranie, prasowanie, sprzątanie. Rano mus jest wyprawić dziecko do szkoły, męża do pracy. Potem Zosieńka hop do wózka i prędko do zakupy do delikatesów. Trzeba odstać swoje w kolejce, z przygnębiającą myślą: *Kupię coś czy nie? Oj... Żeby tak choć kawałek schabu na odświętny obiad! Ale nie, nie ma!* Więc trzeba wziąć bodaj sera na pierogi. I znowu migiem do domu. Chleb upiec, obiad ugotować. Małą nakarmić, przewinąć, przez chwilę zabawić. Ani się obejrzy, jak przybiega Karol – odwieczny niejadek. I choć już stary koń z niego – osiem lat to nie przelewki – dalej trza mu wszystko pod nos podtykać i zachęcać:

– A jedźże, a jedźże!

Potem należy zapędzić go do lekcji, zanim umknie na pole, aby grać w piłkę z chłopakami. Bo choć to już połowa maja, uczyć się przecież trzeba, a nie tylko gonić światem. No i nawet się człowiek nie obejrzy, jak wróci Wawrzyniec, głodny i zmęczony. Jemu też trzeba podać obiad, zagadnąć, zapytać, jak minął dzień i co słychać w pracy. Nie można go zostawić samemu sobie – matuś zawsze powtarzali, że o ślubnego trzeba się dobrze troszczyć, bo to głowa rodziny. A jak się ona nie zatroszczy, to kto wie, czy nie zrobi tego inna? Na takiego eleganckiego mężczyznę niejedna by poleciała. Co z tego, że żonaty? A mało to takich latawic, co to tylko szukają przygody? Co im kawalerów po wojnie nie starczyło, więc łaszą się na cudzych? A mało to dziwek się kręci, co choćby i dla zarobku będą kręcić tyłkami przed obcym chłopem?

Nie raz Broniek opowiadał, jak to go zaczęły różne smarkule!

Pogrążyła się w swoich myślach tak, że nie zwróciła uwagi na męża, który zaszeleścił jakimś papierkiem. Dopiero gdy chrząknął znacząco, podniosła głowę znad gara, w którym wielką kopyścią mieszała perkocące pranie.

– A co tam, Wawrzusiu? – zagadnęła.

– A zobacz. Bo tak mi się widzi, że to coś dla ciebie – oznajmił.

Wytarła dłonie w fartuszek i rozprostowała złożony w czworo arkusz. Przebiegła wzrokiem po króciutkiej treści i spojrzała podejrzliwie na sinoniebieski stempel.

– Prawda to czy sobie ze mnie żartujesz? – zapytała.

– A czegoż miałbym żartować? Przecież mówiłem, że będzie i frania, i telewizor. Z tym że na ten ostatni trzeba jeszcze poczekać. A po pralkę możemy pójść już w przyszłym tygodniu.

– Ostatnie jego słowa zaginęły wśród okrzyków radości. To żona rzuciła mu się na szyję,

piszcząc z uciechy.

– I dopiero teraz mi mówisz? – skarciła go łagodnie.

– A kiedym miał ci powiedzieć? Dzisiaj dostałem talon – oznajmił zadowolony ze sprawionej żonie niespodzianki.

– O rewizji na Jasnej Górze słyszałeś? – zapytał Janek, wyciągając do szwagra paczkę papierosów.

Broniek podziękował za lotnika i sięgnął po belwedery. Trzasnął zapałką o pudełko, przypalił, zaciągnął się dymem.

Mimo że wciąż żył w poczuciu zagrożenia ponurym cieniem Marczyka, czasami słuchał Wolnej Europy, zachowując przy tym maksimum ostrożności.

– Słyszałem – odparł. – Cholerny świat! Ponoć poturbowali przy tym mnóstwo pielgrzymów broniących klasztoru przed zomowcami.

– Braciszkom też się dostało. Skurwysyny! – Kulka splunął w kupę piasku. – To ma niby być podtrzymywanie dobrych stosunków państwa z Kościołem? Takie włamywanie się, kradzież dokumentów i plucie na nasze świętości! Jak se o tym pomyślę, to aż mnie szarpie!

– Wiadomo było, że Gomułce nie można wierzyć. Fałszywy dziad!

– No. A pamiętasz, jak się cieszyłeś, gdy zwolnił Wyszyńskiego?

Szymczak pokiwał głową.

– Dałem se na chwilę zamydlić oczy. Umocnił władzę, okopał się na swojej pozycji, a teraz pokazuje, na co go stać.

– Nie podoba mi się to wszystko. Boję się, że znowu nas omamili. Niby dali zgodę na kościół, a zobacz, minęło prawie półtora roku i jak nic się nie działo, tak nic się nie dzieje.

– Ano nie. Komitet zbiera pieniądze na materiały, miejsce zostało wytyczone, Solawa zrobił plan, a nie widać rozpoczęcia prac. Poszedłbym po robocie, aby pomóc. Byle tylko ruszyli z miejsca.

– I ja bym pomógł, ale na razie możemy jeno łązić pod krzyż i czekać. Mus jest, by znowu napisać jakąś petycję do władz. Jedną, drugą, trzecią. Ile będziemy musieli! – mówił zapalczywie Janek.

– Eee, tam. Myślisz, że gamoń nauczył się już czytać?

– Kto? Gomułka?

– A któż by inny. Podobno skończył tylko sześć klas. Wiadomo to, czy zdołali go tam czegokolwiek nauczyć? – zapytał złośliwie Szymczak.

– Pisz. Jak będzie trzeba, to mu sekretarka przeczyta. Nawiasem mówiąc, słyszałem, że potrafi. Ponoć jak siedział w ciupie, to sporo czytał. Jest więc nadzieja, że sobie poradzi.

– Napiszę. Pochodzimy wśród znajomych, zbierzemy podpisy. Trzeba się przypomnieć cholernej władzy. – Broniek zaciągnął się dymem z papierosa. Otarł wierzchem dłoni zroszone potem czoło.

– Ależ dzisiaj skwar. Prysnałbym nad wodę. Choćby i do Przylasku Rusieckiego, bo Wisła tak już cuchnie, że nad nią nie wysiedzisz.

– Ja też zmoczyłbym tyłek. Ledwo zipię z tego gorąca. Dobrze, że to już ostatni tydzień przed urlopem. W poniedziałek jedziemy z Krysią do Jastarni. Mam nadzieję, że ten wyjazd dobrze nam zrobi – dodał dwuznacznie.

Zamartwiał się o żonę. Ostatnio coraz więcej piła. Pociągała niemal każdego wieczoru i nawet nie próbowała tego ukrywać. Nie pomagały jego prośby. Krzyki również niczego nie zmieniały. Janek zdawał sobie sprawę, że to rozpaczliwe próby oderwania myśli od dziecka, którego z utęsknieniem wyczekiwali. Po każdym spotkaniu w gronie rodzinnym Krystyna popadała w depresję. Z zazdrością spoglądała na cudze pociechy, a potem topiła swoje tęsknoty w kieliszku.

W przeciągu minionego roku ich małżeństwo zamieniło się w koszmar. Wciąż dochodziło do sprzeczek o wódkę. To znów żona urządziła mu sceny zazdrości o wymaginowane zaloty do Julki. Podejrzewała go, że kocha się w szwagierce, choć robił, co mógł, aby nie zdradzać swoich

uczuć. Unikał więc Pawłowskiej, a gdy już wpadli na siebie na jakimś spotkaniu rodzinnym, starał się nie siadać przy niej i jak najmniej z nią rozmawiać – nic więcej, niż nakazywała grzeczność.

Bronek także zatonął w nieprzyjemnych rozmyślaniach.

Z przygnębieniem stwierdził, że rodzina zaczyna tracić swoją jedność i siłę. Popadali w konflikty, odsuwali się od siebie. Coraz więcej ich dzieliło. Wkradała się pomiędzy nich niebywała wcześniej obcość.

Czy to była wina Kazimiery, która niczym żmija wśliznęła się do ich świata ze swoim jadem i umiłowaniem partii? Głosząca własne, bluźniercze mądrości i wychowująca kolejne pokolenie Szymczaków bez Boga. A może rozłam zaistniał już wcześniej, przed laty, gdy Julia i Krysia poróżniły się z powodu człowieka, który w następstwie wyrządził krzywdę im obu?

Janek i Wawrzyniec, choć nie warczeli na siebie otwarcie, też za sobą nie przepadali.

W małżeństwie Kulków działo się coś niedobrego. Krystyna coraz częściej chodziła z twarzą zapuchniętą od płaczu, on przygnębiony, ponury, bez chęci dowcipkowania. Czy powodem ich strapienia był brak dziecka?

Jędrzek zdawał się żyć własnym życiem i ważniejsi byli dla niego jego cudacznymi kolegami niż rodzina.

No i wreszcie Dorotka z matką, które zostały same na wsi. Niby blisko, a jednak daleko. Na pewno przeżywały własne strapienia, o których nie chciały pisać w listach, bo czasy były takie, że każdemu wiał w oczy wiatr, więc po co komu dokładać dodatkowych zgrzyot?

Jak na nowo połączyć w całość wszystkie rozsypane skrawki?

Nawet on, choć do niedawna był dla reszty rodzeństwa wzorem do naśladowania i autorytetem, nie potrafił pogodzić zwaśnionych stron. Co gorsza, sam popadł w konflikt z bratem.

W rodzinie pojawiła się nieufność i brak porozumienia.

Czyż nie o to chodziło cholernym komuchom, aby brat występował przeciwko bratu? Bo gdy pojawiają się spory, słabnie jedność i siła narodu. Łatwiej rządzić osłabionym motłochem.

– Ach, wy szczęściarze! – Bronek wrócił myślami na ziemię i westchnął nad słowami przyjaciela o złocistym piasku plaż i chłodnej wodzie Bałtyku. – My w tym roku jedziemy tylko do Pawlic. Ludwiś jeszcze za malutki, żeby go ciągnąć pociągiem przez całą Polskę. Może za rok wybierzemy się na wczasy. A matuli też trzeba pomóc, doglądnąć chałupy, ogarnąć najpilniejsze roboty.

– Czyli zamiast na wypoczynek, jedziesz pracować – skwitował Kulka.

– Cóż poradzę? Andrzej z tymi swoimi przetrąconymi kulasami niewiele narobi, a na Leszka nie ma co liczyć. Wypiął się na rodzinę – powiedział z goryczą. – Nie wiesz, co tam u niego? – zapytał po chwili dziwnie zduszonym głosem.

Janek zerknął na przyjaciela z ukosa. Widział zaciśniętą zuchwę i zmarszczone brwi brygadzysty. Znać było, że gnębi go konflikt, w jaki popadł z młodszym bratem.

– Nie widziałem go już od dawna. Wiem tylko tyle, że chłopaki rosną mu zdrowo. Darek jest w żłobku tygodniowym, a starsi chodzą tylko do dziennego.

– Nic nie gadają o chrzcinach?

– Zapomnij. Kaźmierka zawzięta, nie popuści! Powiedziała, że nie będzie się naginać do twojego widzimisie.

– Ot, żmija! Że na mnie cięta, to jedno, ale że dziecku odmawia sakramentu?

Niepodobna!

– Co poradzisz, Bronku?

– Ano nic. Przyjdzie jeszcze kryska na Matyska. Jeszcze do mnie po coś przyleżą –

burknął, pomny, jak nie tak dawno pomagał im załatwić w wydziale kwaterunkowym sprawy związane z zamianą mieszkań. Gdyby nie znajomości, jakie tam miał, do dzisiaj siedzieliby po hotelach robotniczych albo co najwyżej w tej ciasnej klitce na osiedlu Młodości.

– Tysiąc szkół na tysiąclecie państwa polskiego – zapowiedział Władysław Gomułka. – Kościół powinien zaniechać prowokowania władzy ludowej! Nie kościołów i kaplic brak w naszym kraju, lecz mieszkań, szkół i szpitali!

– Tysiąc szkół – powtórzyła Krystyna. – Tysiąc szkół?

Wyłączyła radio i usiadła przy stole. Napelniła kieliszek wódką.

– Na jaką cholereę tysiąc szkół? Kogo będę do nich posyłać? – zanosła się płaczem. – Na co tyle szkół? – biadoliła, zalewając robaka.

Od trzech lat była mężatką, a wcześniej regularnie sypiała ze Stefanidesem. Nie zaszła w ciążę.

Przed tygodniem spotkała przypadkiem Greka. Właściwie nie tyle spotkała, co zobaczyła go, jak spaceruje z żoną nad zalewem. On pchał wózek, w którym siedziała mała dziewczynka, ona głaaskała pękaty brzuch. Kolejna ciężarna, obnosząca się swoją płodnością!

*Świat nie jest ani trochę sprawiedliwy!*

– Nic mi się w życiu nie udaje – szlochała głośno, wychylając kolejny kieliszek. – Najpierw Julka odbiła mi Bartka, tamta franca Nikosa. A teraz jeszcze muszę patrzeć, jak mój ślubny ślini się do tej chudej gówniary! I na dodatek wszystkie baby wokół rodzą jedno dziecko po drugim. Wszystkie! Tylko nie ja! Ta cholerna Kaźmierka! Jej trafiły się nawet bliźniaki! Ach – pociągnęła żałośnie nosem, aż zabulgotało – gdyby tak zająć w ciążę jeden jedyny raz i od razu urodzić parkę! Cóż by to było za szczęście! Może wtedy Janek by mnie pokochał i przestał wgapić się w Julkę!

Drżącą ręką kolejny raz naląła sobie wódki.

Męża nie było – nie wrócił jeszcze z budowy. Ostatnio często brał godziny nadliczbowe, jakby chciał dać wyraz temu, że nie lubi spędzać czasu w domu. No bo niby na co mu ta dodatkowa forsa? Nie pił, na dziwki nie chodził, nie miał żadnych marzeń, w domu niczego nie brakowało: było nowe radio i gramofon, i telewizor. Ona już od dawna miała pralkę. Fatałaszkę kupowała tylko z zagranicznymi metkami – „na żydzie”. Stać ich na to było dzięki jej zaradności. Gdyby mieli dzieci, opływałyby one we wszelkie dostatki.

– Daeś mi, Boże, na dzieciątko, to daj mi i dzieciątko – bełkotała intencję jakże różną od tej, którą powtarzała przed laty, gdy zaciążyła z Marczykiem.

Wtedy płakała i prosiła Stwórcę, aby zabrał z jej brzucha to, co tam się zagnieździło. Po kłótni z Bartkiem przez trzy dni skakała ze ściany sąsięka na klepisko, podnosiła ciężkie kubły wody, ugniatała dłońmi brzuch, licząc, że płód sam zejdzie, bez pomocy akuszerki. Trzeciego dnia, gdy wciąż nie było oczekiwanych efektów, poszła do znachorki. Wtedy nie miała wyjścia, musiała to zrobić. Ale żeby z powodu takiego głupstwa na zawsze utracić zdolność rodzenia dzieci?

Byle dziwka puszczająca się w Meksyku i usuwająca dziecko za dzieckiem nie miała problemu z zająciem w ciążę. Słyszała od koleżanek w pracy o takim przypadku: kilkunastoletnia smarkuła trzykrotnie poddawała się zabiegowi i za każdym razem wracała do swej *profesji*.

– Gdzie sprawiedliwość? No gdzie? – Czknęła.

Usłyszała zgrzytanie klucza w zamku. To Janek wrócił z pracy.

– Krysia? Krysienko! Jesteś w domu? – zawołał radośnie z przedpokoju.

Nie odpowiedziała. Jeszcze raz napelniła kieliszek.

– Na pohybel – burknęła, wychylając zawartość.

– Kysiu! Znowu pijesz? – zapytał zduszonym głosem.

Podniosła wzrok. Zobaczyła męża. Jego postać rozjeżdżała się przed jej oczami.

– Co się stało?

– Nic. Zostaw mnie w spokoju!

Zwykle, gdy widywał ją pijaną, próbował perswadować, że nie powinna. Szukał słów pociechy, to znów na nią krzyczał. Prosił, groził, lecz nigdy nie pozostawał obojętny. Tym razem rzucił jej zbolące spojrzenie i bez słowa opuścił pokój.

    Nie miał już sił na kolejne utarczki.

    Nie chciał usłyszeć, że jest tępym prostakiem i niczego nie rozumie. Że rani jej uczucia, gapiąc się na szwagierkę. Że zawiódł ją jako mężczyzna, ponieważ nie potrafił spłodzić dziecka.

    Był zmęczony.

## Rozdział 7



### *Rozkoszny zawrót głowy*

Ostatni widzowie dawno opuścili wnętrze kina. Teraz przyszedł czas na pracowników. Wyszła już młodzianka bileterka oraz konserwator. Andrzej zaguzdrał się chwilę, nie wiedząc, że ktoś niecierpliwie oczekuje, aż pojawi się w drzwiach. W końcu on także opuścił budynek, w którym pozostał wyłącznie nocny stróż.

– To ten – szepnęła filigranowa blondynka na ucho swej przyjaciółce.

– No przecież widzę. Tak przypuszczałam, że chodzi ci o niego.

– Nie przeszkadza ci, że utyka?

– Nic a nic. Jest bardzo przystojny – stwierdziła szatynka ubrana w kusą sukienkę.

– Wiedziałam, że ci się spodoba. Ach! Szkoda, że go nie widziałas przed wypadkiem!

Gdy grał w piłkę, to dopiero był widok!

– Teraz też mu nic nie brakuje. – Przyjaciółka wzruszyła ramionami. – A to utykanie tylko dodaje mu uroku. Sprawia przez nie wrażenie takiego bezradnego i męskiego zarazem. Myślisz, że się uda? – zapytała.

– Musi. Zasięgnęłam języka na jego temat. Usłyszałam to i owo. Zapewniam cię, że nikt nie nadaje się lepiej niż on.

Dziewczęta jeszcze raz przyjrzały mu się uważnie. Potem spojrzały po sobie i zgodnie pokiwały głowami.



– Julcia, a pamiętasz tego wesołego księdza, co to przyjeżdża czasami spowiadać do kaplicy w Bieńczycach? Taki z jasnymi włosami.

– Wojtyłę? – odgadła.

– Ano Wojtyłę – potwierdził Wawrzek. – Wiesz, że został wyświęcony na biskupa?

– Co ty mówisz! Taki młody? Przecież on nie może być dużo starszy od ciebie. –

Spojrzała krytycznie na swego trzydziestodwuletniego małżonka i jego skronie, przyprószone pierwszymi nitkami siwizny. Wspomniany ksiądz wyglądał na jego rówieśnika.

– No tak. Może i młody, ale to kapłan całą gębą, że się tak wyrażę. Wyjątkowo życzliwy dla ludzi. Lubilem się u niego spowiadać, bo zawsze potrafił powiedzieć coś takiego, że wlewał w człowieka nadzieję na lepsze jutro.

– Ach! To pięknie, że został biskupem, choć przyznaję, że z drugiej strony troszkę mi go szkoda. Pewnie już nie będzie do nas przyjeżdżał. Co mu tam nowohucy robotnicy? Teraz będzie miał dość własnych zajęć.

– A ja byłbym skłonny stwierdzić, że jest w tym palec Boży. Ksiądz Karol jest bardzo przedsiębiorczy i zaangażowany. Może teraz, gdy wyrósł na ważną osobistość, rozepchnie się łokciami gdzie trzeba i przyspieszy budowę?

– Ach... Dobrze by było. Czekamy już tyle czasu! Komitet zbiera pieniądze, na placu rośnie sterta materiałów, których trzeba pilnować. A my wciąż marzniemy, mokniemy lub skwarzymy się pod kaplicą w Bieńczycach – westchnęła Julia.

– Do czasu, kochanie. Do czasu. Zobaczysz, teraz wszystko ruszy!

– Zupa! – wykrzyknęła Julia bez związku.

W tej samej chwili z kuchni dobiegło syczenie i śwąd kipiącej potrawy. Mężczyzna uśmiechnął się wyrozumiale. Ot, zagadał żonę, to i zupa wykipiła. Ale jakże nie podzielić się radosnymi nowinami, od których aż wrzało w biurze?

Julka wciąż jeszcze nie pracowała. Oczywiście mogłaby oddać córcię do żłobka i wrócić do Centrum Administracyjnego, lecz po co się spieszyć? Kto dogładnie dziecka lepiej niż matka? Wprawdzie wbrew temu, co głosiło Radio Wolna Europa, zarobki Wawrzka nie były aż tak oszałamiające, lecz na utrzymanie rodziny oraz jakiejś przyjemności spokojnie wystarczało.

Kiedyś posprzeczał się z Jankiem o rozpowszechnianie bajd. Kulka, zagorzały słuchacz nielegalnej radiostacji, ślepo wierzył we wszystko, co tam opowiadano. Według plotek kadra zarządzająca w Hucie otrzymywała bająnskie wypłaty. Wśród robotników krążyły legendy na ten temat. Prawda przedstawiała się jednak inaczej. Nawet naczelny dyrektor nie mógł otrzymywać więcej niż czterokrotność zarobków zwykłego robotnika. Pawłowski też należał do tego elitarnego grona – odpowiadał za procesy technologiczne. Zarabiał nieco więcej niż inni, a to dlatego, że otrzymywał dodatkowe premie za każdy zgłoszony wniosek racjonalizatorski. A że nie można mu było odmówić pomysłowości, tych premii trochę się nabierało. Dzięki temu mógł urządzić ładnie mieszkanie, kupić syrenkę, pralkę dla żony oraz odłożyć na odbiornik telewizyjny, który miał odebrać ze sklepu już niebawem. Nie były to jednak tak astronomiczne sumy, jak wmawiano słuchaczom.

Swoją drogą, ten cały Kulka to jakiś dziwny osobnik. Widać było, że mu dobrze wśród Szymczaków. Trzymał sztamę z Bronkiem, nawet pracowali razem. Ponoć przyjaciele od pierwszych chwil w Nowej Hucie. Nic więc dziwnego, że się wzenił w rodzinę. Tylko że z Krysią byli jacyś tacy... niedobrani. Niby traktował żonę z szacunkiem i kurtuazją, ale z drugiej strony chyba niewiele ich łączyło. Ona wciąż na niego fuczała, jakby jej czymś zawinił. Nie mieli dzieci, choć nie dało się nie zauważyć, że Janek bardzo lubi maluchy. Szczególnie akcentował sympatię dla Karola, którego ewidentnie wyróżniał.

Wawrzek dość często zastanawiał się, czy przypadkiem Janek nie podkochuje się w Julii.

Musiałoby to jednak być uczucie nieodwzajemnione, całkowicie jednostronne i beznadziejne, gdyż żona pozostawała poza wszelkimi podejrzeniami. Owszem, lubiła szwagra, lecz nie okazywała mu nic więcej sympatii niż innym znajomym lub krewnym. Nigdy nie przyłapał jej na żadnych kłiwych spojrzeniach ani tajemniczym wzdychaniu. Ba! Był święcie przekonany, że jako mąż niepodzielnie włada jej sercem.

Ale Janek... Cóż, być może faktycznie zakochał się w jednej siostrze, a poślubił drugą? Zdarzają się i takie przypadki. Tak czy inaczej Pawłowski postanowił mieć gagatka na oku, aby czasami nie strzeżowało mu coś do głowy i nie zaczął bałamucić Julii. Zresztą od początku wyczuwał jego niechęć i sam także nie pałał do niego szczególną sympatią.

*Intuicja? Przecież to domena kobiet.*

Czas mijał, a Edek nie posuwał się ani o krok. Szymczak był cholernie ostrożny, nie nastęczał mu żadnych pretekstów do aresztowania. Czasami widywali się twarzą w twarz. Nigdy więcej nie dał mu się zaskoczyć jak wtedy pod szpitalem. Wiedział, że ten chłystek mimo wszystko ma przed nim respekt, choć starał się nie okazywać strachu.

W Nowej Hucie pech zdawał się prześladować go na każdym kroku. O ile w rodzinnych stronach Marczyk cieszył się wymuszonym szacunkiem ziomków i współpracowników, to w mieście o tym drugim mógł zapomnieć. Towarzysze z bezpieki szczerze go nie znosili, a mieszkańcy miasta nie byli tak potulni i skorzy do uległości, jak wieśniacy.

Choć na pozór w szeregach Służby Bezpieczeństwa nie brakowało ludzi takich jak on – bez wykształcenia i obycia – wyraźnie odstawał od kolegów po fachu. Już sam jego wygląd wzbudzał ich antypatię i drwiny. Nie żeby był taki szpetny! Zarostu nie nosił, nie tylko dlatego, że takie były wymagania, ale również z uwagi na kolor wyrastających włosów, który u blondyna był po prostu rudy. Uśmiechał się rzadko, zazwyczaj chodził posepny. A kiedy już miał powód do śmiechu, odsłaniał poczerwiałe, nielezione zęby. Dentysty unikał jak ognia, chyba że już musiał coś wyrwać. Przed trzydziestką stracił kilka trzonowców i dwa siekacze. Teraz zbliżał się ku czterdziestej wiosnie i czasami pokpiwał, że zęby zjadł na służbie dla ojczyzny. Jego rysy znamionowały proste, chłopskie pochodzenie. Spod niskiego czoła i krzaczastych, lekko rudawych brwi wyzierały nieduże szare oczy. Twarz była płaska, pozbawiona wyrazu, nos bulwiasty z bliznami po ospie. Największy mankament stanowił jednak kolor skóry – zazwyczaj mocno różowy, a w chwilach zdenerwowania przechodzący w głęboką purpurę. Z tegoż powodu nowohuccy koledzy okrzyknęli go Czerwonym Edkiem i stroili sobie zeń żarty, że byłby idealnym partnerem dla Krwawej Luny.

To dowcipkowanie miało solidne podłoże i przyprawiało Marczyka o purpurowe wypieki, bowiem osobiście miał przyjemność poznać Julię Brystiger[15]. Spotkał ją kilkakrotnie, gdy przy różnych okazjach wyjeżdżał do stolicy. Chociaż była mężatką, zapalał do niej gorącym uczuciem. Pierwsza istota od czasów Elizy, która rozpałała w nim taką namiętność, mimo że była od niego starsza o blisko dwie dekady. Imponowała mu swoją bezkompromisowością. Jedyna kobieta, prócz rodzonej matki, do której żywił szacunek.

Nie miał szczęścia w miłości. Urodził się jako najstarszy z całej gromady dzieciaków. W przeciwieństwie do Bartłomieja wyglądał zupełnie przeciętnie. Młodszy brat uchodził za najprzystojniejszego parobka we wsi i mógł przebierać w dziewczuchach jak w ulęgałkach – jemu gęba czerwieniała tylko po wypiciu. Edek zawsze wyglądał jak dziewczka, której ktoś nagadał sprośności. Dzierlatki nie były mu przychylnie, a wręcz umykały przed nim w popłochu, gdyż obyczajnie miał grubiańskie i nie potrafił bawić się w układne pogawędki. Kiedy przyszło do żeniaczki, ojcowie potencjalnych kandydatek kolejno odprawiali jego swatów z niczym.

– Aniś majętny, aniś obrotny, aniś chłop do życia – oświadczył któregoś dnia stary Kocęba. – Teraz macie trochę mórg, jak przyjdzie do działów, to ostaniesz pewnie z niczym. Ludzie gadają, że twój ojciec zapisze gospodarkę na Bartka albo rozdzieli między wszystkich po równo. Nie dam córki na zatracenie, coby służyła wam za komornicę.

To było jeszcze przed wojną.

Latem trzydziestego dziewiątego roku, tuż przed tym, jak na świecie rozszalała się hitlerowska zaraza, Edek poznał Elizę Kowal, młodą wdówkę z Limanowej. Jej mąż nie żył od trzech miesięcy, ona wciąż chodziła głodna. Zielone oczy szklily się łzami. Była ładna, subtelna i miała nienaganne maniery – panienka z szanowanej, choć niezamożnej rodziny, która wcześniej wyszła za mąż i równie szybko została sama. Zakochał się w niej po uszy. Ta też nie była mu przychylna, ale głód wziął górę nad porywami serca i tęsknotą za mężem, który uległ śmiertelnemu wypadkowi w pracy. Wzięli szybki ślub, skonsumowali małżeństwo, a potem on odjechał z innymi na wojnę, ona została w rodzinnym miasteczku z kiełkującym ziarnem w brzuchu.

Świeżo upieczoną męczatkę dręczył głód i typowe dla wojny niedogodności. A że była dość ładna, szybko ją sobie upatrzył niemiecki oficer. Złożył nawet pewną propozycję, ale pod warunkiem, że wprzód pozbędzie się tego, co zmajstrował jej ślubny. Za późno było na szukanie znachorki, więc Eliza odczekała, aż dziecko przyjdzie na świat. A ponieważ urodziło się zdrowe i nawet ładne – miało piwne oczy po matce i jasne włosy po ojcu, Helmut Meier załatwił dla niego nową, niemiecką rodzinę. Nazajutrz po narodzeniu maleństwo wyjechało z mamką do III Rzeszy, gdzie wszelki śluch po nim zaginął. Sęk w tym, że pamięć po noworodku nie przepadła w limanowskiej społeczności. Akuszerka, która odbierała poród, nie omieszkała opowiedzieć znajomym o szwabskiej kochanicy, która oddała dziecko zrodzone z Polaka w obce ręce.

Ludziom zdawało się, że wojna nigdy nie dobiegnie końca. W polskich domach panował głód i strach. Coraz trudniejsza była walka o przetrwanie. Marczykowa nie wierzyła w zwycięstwo rodaków. Edek przepadł gdzieś w świecie, a ona, ponownie zdana na samą siebie, musiała jakoś żyć. Helmut wciąż kusił smacznym jedzeniem, zwitkiem banknotów, perspektywą łatwego życia w potwornych czasach. Pomagał jej, gdy była w ciąży. Nic więc dziwnego, że po porodzie oczekiwał zadośćuczynienia za swoje wysiłki. Groził, że jeśli Eliza nie będzie mu przychylna, to nie tylko nie da jej więcej żywności, ale dopilnuje również tego, aby pojechała na *wakacje* do Auschwitz.

Uległa.

Trochę tęskniła za dzieckiem, choć nawet nie wiedziała, czy urodziła chłopca czy dziewczynkę, gdyż rozdzielono ją z maleństwem od razu po porodzie. Czasami wyrodną matkę dręczyły skrupuły, że tak szybko i łatwo oddała je obcym. Przy Helmucie nie mogła okazywać słabości, ponieważ narażała się przez to na jego gniew. Gdy na dobre się z nim związała, matka ją wyklęła, podobnie jak młodsza siostra. Przyjaciółki nie chciały mieć z nią nic wspólnego. Ziomkowie spluwali za nią, gdy dokąś szła. Wytykali ją palcami. Wyzywali od dziwki. Kpili.

Nie mogła tego wytrzymać, więc pewnego dnia poskarżyła się kochankowi. Ten załatwił problem po swojemu. Zygmunt Wilk, największy prześmiewca, z kulką w głowie poszedł do piachu. Po tym wydarzeniu ludzie umilkli. Nikt więcej nie ważył się powiedzieć na nią jednego marnego słowa. Nikt też nie kłaniał się jej na ulicy i nie spoglądał jej w oczy. Traktowali ją, jakby była powietrzem – niczym najgorszą zarazę. Odwrócili się wszyscy, łącznie z najbliższą rodziną.

Czas mijał, sytuacja na frontach krwawej wojny ulegała radykalnym zmianom. Nadszedł dzień, gdy Niemcy zaczęli pospieszny odwrót.

Eliza siedziała w samym szlafroku na rozbebeszonym łóżku i wielkimi z przerażenia oczami obserwowała, jak Helmut sposobi się do wymarszu.

– Zabierz mnie ze sobą, proszę – jęczała co jakiś czas, lecz on nie odpowiadał. – Oni mnie ukatrupią.

Meier ignorował jej płaczliwe prośby do czasu, aż zwlekła się z pościeli i uczepiła jego ręki. Wówczas nie wytrzymał. Odwinął jej w twarz, aż z rozciętej wargi poleciała krew.

Oszołomiona kobieta upadła na podłogę. Usłyszała trzaśnięcie drzwi i oddalające się kroki na klatce schodowej. Na chwilę w mieszkaniu zapanowała cisza.

Marczykowa leżała, płacząc nad swoją niedolą. Panicznie bała się tego, co może nastąpić w najbliższym czasie. Przypuszczała, że ziomkowie zechcą pomścić zabitego Zygmunta, jak tylko odkryją, że jej protektor zostawił ją na pastwę losu.

Instykt samozachowawczy wziął w końcu górę nad słabością. Postanowiła, że spakuje najważniejsze rzeczy i ucieknie z Limanowej. Wyjedzie tak daleko, jak to tylko możliwe. Helmut pozostawił jej litościwie trochę pieniędzy. Nie było tego wiele, ale pomyślała, że może z Bożą pomocą wystarczy. Chwilę później wróciła jej przytomność umysłu – na Opatrzność nie miała co liczyć. Sama musiała sobie poradzić.

Zerwała się, obmyła twarz. Opuchnięta warga pulsowała nieznośnym bólem. Nie było jednak czasu na to, aby się roztkliwiać nad taką bzdurą. Zaczęła pakować niezbędne rzeczy: trochę ubrań, bielizna, jakieś błyskotki, których nie zabrał Meier. Krzątała się – nadal w samym szlafroku – gdy ponownie usłyszała kroki na klatce schodowej.

Czyżby Helmut zlitował się i po nią wrócił? Wszak kochał ją, powiedział to kiedyś, po wyjątkowo upojnej nocy.

Z przedpokoju dobiegło skrzypienie drzwi. Odwróciła się i zamarła. To był brat zabitego Zygmunta, a z nim zgraja ludzi.

– Jesteś sama, szwabska szmato? Gdzie się podział twój kochaś? – zapytał z przekąsem.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy ktoś złapał ją za włosy i pociągnął ku wyjściu.

Na ulicy zdarto z niej odzież. Sąsiadka Meiera wzięła nożyczki i zaczęła obcinać wijące się pukle. Eliza próbowała uciec oprawcom, lecz trzymały ją czyjeś silne ręce. Wśród obelg i szyderstw ogolono jej głowę do łysa. Wrzeszczała jak oszalała, kiedy poczuła na policzku ostrze wycinające swastykę. A później posypały się razy. Bili ją gdzie popadło. Z całym okrucieństwem. Bez litości. Wszak ona jej nie miała, gdy Helmut strzelał do Zygmunta.

Sponiewieraną i nagą porzucono na środku ulicy. Miała przetrącone ręce i nogi, nie mogła więc wstać i pójść, dokąd oczy poniosą. Leżała, cierpiąc okropne katusze. Skonała kilka godzin później. Do końca była przytomna. Spoglądała na świat wielkimi zielonymi oczami, w których szklily się łzy.

Marczyk wracał z frontu przepełniony nadzieją na długie i spokojne życie. Wszak w domu czekała Eliza z ich dzieciątkiem. Liczył na to, że zabierze żonę i maluszkę do rodzinnej chałupy w Pawlicach. Nie zdołał namówić jej na przeprowadzkę po ślubie. Tłumaczyła wtedy, że różniej będzie się czuła wśród swoich w Limanowej niż na wsi, gdzie nikogo nie zna. Rozumiał to wtedy i nie wywierał presji. Teraz jednak przyszyła pora, aby zacząć nowe życie. Wprawdzie nie miał od dawna listów od bliskich – w tej zawierusze nic a nic go to nie dziwiło – lecz wierzył, że zostanie ukochaną w dobrym zdrowiu i choć trochę tęskniącą. Nie spodziewał się żadnych przykrych niespodzianek, bowiem złe wiadomości rozchodzą się znacznie szybciej niż dobre.

Cóż za naiwność!

Bywają takie historie, których nikt nie chce opowiadać najbliższym, zwłaszcza gdy dotyczą ich bezpośrednio. Zbyt okrutne i przerażające, aby przyjął je papier listowy.

Natychmiast po powrocie do Limanowej Marczyk usłyszał historię Elizy oraz dziecka, które przepadło gdzieś w szerokim świecie. Ziomkowie nie oszczędzili mu żadnych szczegółów, przekonując go, że nie ma po kim rozpaczać. Wyrażali współczucie, ponieważ on walczył o wolną Polskę, a ona w tym czasie gziła się z wrogiem.

Jego świat tępnał.

Ponieważ ostatnie miesiące wojny przesłużył z czerwonarmistami, widząc zmiany ustrojowe zachodzące w kraju, postanowił stanąć po jedynej słusznej stronie. Szybko został zwerbowany w szeregi funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Pochodzenie miał ku temu odpowiednie, nikomu nie przeszkadzał brak edukacji. Ważne, że potrafił jako tako czytać i pisać. Na dobre zakotwiczył w Limanowej. Wiedział, że w rodzinnej chałupie i tak nie ma czego szukać. Ciasno tam było i coraz biedniej.

Ponownej żeniaczki w ogóle nie brał pod uwagę. Eliza trwale wyleczyła go z potrzeby bliskości. Nie chciał mieć nic wspólnego z kobietami.

Premiera filmu *Popiół i diament* przyciągnęła sporo kinomanów. Kolejka do kasy była długa. Andrzej ze znudzoną miną wydawał kolejne bilety, od czasu do czasu zerkając na oczekujący w holu tłum spragnionych rozrywki mieszkańców dzielnicy. Jego wzrok prześlizgiwał się obojętnie po większości postaci. Zresztą nie było czasu na to, aby dłużej przyglądać się komukolwiek. Bilet, pieniądze, pieniądze, bilet – i tak w kółko. Czasami, gdy słyszał kobiecy głos, zerkał z zaciekawieniem przez okienko. Niekiedy napotykał spojrzenie ładnych oczu, kiedy indziej odczuwał rozczerowanie, gdy głos należał do mniej atrakcyjnej osóbkki.

Lubił ładne, zadbane kobiety.

W pewnej chwili jego uwagę przykuła para dziewczyn. Przyszły na film bez towarzystwa kawalerów. Kupiły tylko dwa bilety. Jedna z nich szczególnie mu się spodobała: miała modną krótką fryzurę i bardzo dobrze skrojony kostium. Na szyi zamotała fantazyjną apaszkę. Wyglądała jak barwny motyl.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Mężczyzna poczuł przyjemne mrowienie przebiegające od karku wzdłuż kręgosłupa. Potem przeniósł wzrok na jej koleżankę i zamarł z zachwytu! Ach! Cóż to był za pączek różany – takie skojarzenie nasunęło mu się jako pierwsze, bowiem szarooka blondynka była równie ładna, jak jej koleżanka.

– Panie same w kinie? Bez towarzystwa? – zagadnął, wydając bilety.

– Tak jakoś wyszło – odparła jedna z nich, przesyłając mu olśniewający uśmiech.

Nie było czasu na pogawędkę, gdyż za śliczną dziewczyną czekał spory tłum amatorów dziesiątej muzy. Andrzej puścił do niej oko, a gdy odeszła, od razu odłożył sobie bilet na fotel sąsiadujący z tymi, które zakupiły dziewczęta. Miał jeszcze do obsłużenia wielu klientów.

Seans już trwał, lecz Marysia i Józia nieszczególnie zwracały uwagę na to, co dzieje się na ekranie. Bardziej intrygowało je puste miejsce obok nich, gdyż kino dosłownie pękało w szwach.

– Myślisz, że to ten przystojniak? – zagadnęła Mańka.

– Nie wiem. Mam nadzieję. Fajny jest, nie? – stwierdziła przyjaciółka, wygładzając spódniczkę nowej garsonki.

– Oj tak – odparła filigranowa blondynka w eleganckiej sukience mini o prostym fasonie.

Spojrzały po sobie w mroku sali kinowej i parsknęły na siłę tłumionym śmiechem, który i tak pociągnął za sobą syknięcia siedzących wokół kinomaniaków.

Niedawno wpadł im w oko przystojny kasjer. Szybko uznały, że potrzebują urozmaicenia w swoim dość monotonnym życiu. A gdyby we dwie zafascynowały tego samego mężczyznę, zrobiłoby się co najmniej interesująco.

Nie obawiały się, że wystawią na szwank swoją wieloletnią przyjaźń. Łączyły je wyjątkowo mocne więzi.

Piętnaście minut po rozpoczęciu seansu na widowni zapanowało poruszenie. Ktoś nieporadnie przepychał się pomiędzy fotelami w rzędzie dziewcząt, które od razu rozpoznały utykającego kasjera. Spojrzały po sobie i zgodnie pokiwały głowami. Marysia błyskawicznie przesiadła się, robiąc miejsce pośrodku. Szanse musiały być równe.



Jędrrek dokuśtykał do celu, denerwując się, że parkiet tak głośno trzeszczy pod jego niezgrabnymi stopami. Ktoś, poirytowany hałasem, syknął nerwowo. Ku zaskoczeniu kasjera koleżanki nie siedziały obok siebie, lecz dzielił je pusty fotel. W mroku panującym na sali podchwycił błyszczące spojrzenie jednej z nich. Dziewczyna puściła do niego oko i zaprosiła gestem, aby usiadł. Nawiązał kontakt wzrokowy również z drugą i ta także mrugnęła porozumiewawczo. Jej ramiona zadrżały od tłumionego na siłę chichotu.

Nie wiedział, co jest grane, lecz usiadł. Spojrzał najpierw w prawo, potem w lewo, lecz kobiety jakby się zmówiły: siedziały spokojnie z wzrokiem utkwionym w ekran. Obydwie trzymały dłonie na podłokietnikach. Ależ go korciło, aby musnąć którąś z nich! Tylko którą, skoro spodobały mu się obydwie panny?

Zaryzykował i wyciągnął najpierw prawą dłoń. Delikatnie pogładził skórę dziewczyny. Podłapał jej spojrzenie i w mroku dostrzegł delikatny uśmiech. Później nieznajoma odwróciła twarz w stronę ekranu. Zabrał rękę. Opuszkami pogładził palce zaciśnięte na lewym podłokietniku. Również i z tej strony otrzymał uśmiech przyzwolenia.

*Co robić? Którą wybrać?*

Siedział przez chwilę z dłońmi na udach i kombinował, co dalej. Choć patrzył na film, dostrzegł, że dziewczęta się poruszyły. A później, jak na komendę, poczuł uścisk dwóch delikatnych rąk o jedwabście miękkiej skórze. Popatrzył w jedną i drugą stronę. Panny przesyłały mu zalotne uśmiechy, to znowuż zerkały porozumiewawczo na siebie. Z zaferowania przygryzł dolną wargę i bał się głębiej odetchnąć.

Cała treść filmu umknęła uwadze Jędrka. Jedyna rozsądna myśl, jaka kołatała w jego głowie, dotyczyła tego, że musi opuścić salę, nim seans dobiegnie końca. A potem czekała go jeszcze praca, podczas gdy dwie piękne nieznajome opuszczają budynek bocznymi drzwiami.

Ach! Gdyby tak umówić się z jedną z nich na wieczór, gdy już będzie po robocie!

Z łatwością mógł nakłamać Sabinie, że został dłużej, ponieważ musiał zastąpić konserwatora. Nigdy nie powątpiewała w jego uczciwość.

Tylko której zaproponować randkę? Rad by zaprosił obydwie!

Czas naglił. Do końca projekcji zostało nie więcej niż dwadzieścia minut. Jeśli chciał zawrzeć znajomość, powinien zaryzykować.

– Co robicie później, dziewczyny? – zapytał bez pardonu.

– Idziemy do Stylowej. A ty? – odpowiedział mu szept z prawej strony.

Odetchnął z ulgą, gdy usłyszał pytanie.

– Ja muszę tutaj zostać jeszcze dwie godziny. Obowiązki – wyjaśnił krótko. – Może poczekać na mnie w kawiarni? – zagadnął.

– A przyjdiesz? – zaszemrała panna siedząca po jego lewicy.

– Oczywiście! – zapewnił.

– W takim razie poczekaamy. Tylko nie zawieź, przystojniaczku.

– Ciszej tam! – syknął ktoś z tyłu.

Jędrrek przeprosił nieznajome i ostrożnie zaczął przepchać się pomiędzy fotelami.

Szedł na przystanek tak szybko, jak tylko mu na to pozwalały koślawe nogi. Gdyby nie cholerne kalectwo, pewnie przeleciałby pieszo odległość pomiędzy osiedlem Teatralnym a aleją Róż. Niestety, chodzenie wciąż bardzo go męczyło i coraz częściej myślał z rezygnacją o tym, że już do końca życia będzie skazany na podpieranie się laską. W chwilach takich jak ta odczuwał to szczególnie dotkliwie.

A jeśli dziewczyny czmychną w popłochu, gdy zobaczą, jak nieporadnie utyka? W mroku sali kinowej mogły nie zwrócić na to uwagi. Teraz odczuwał zdenerwowanie. Szkoda byłoby, gdyby piękna wizja wieczoru w towarzystwie dwóch ślicznotek spełzła na niczym.

Ku jego radości panny siedziały w lokalu. Widząc go, rozpromieniły się i zaczęły machać rękami. Niewiarygodne! Przecież musiały zauważyć, że kuleje. I na dodatek obydwie były jednakowo ucieszone. A on nadal nie wiedział, która z nich bardziej mu się podoba. Postanowił więc, że spędzi z nimi przyjemnie trochę czasu, spróbuje poznać je bliżej, a może wtedy podejmie decyzję, którą zaprosić na randkę.

– Szanowanie panienkom. Andrzej Szymczak – przedstawił się i szarmancko ucałował dwie wyciągnięte ku niemu dłonie.

– Józefa Korczyk. – Szatynka w kostiumie obdarzyła go powłóczyстым spojrzeniem.

– Maria Bieniek. – Filigranowa blondynka potrząsnęła starannie ułożoną grzywką.

– Usiądziesz z nami? – zaprosiły go zgodnie.

Odsunął krzesło i zajął miejsce pomiędzy nowymi znajomymi. Po chwili podszedł kelner, więc pochłonęło ich składanie zamówień. W tle słychać było brzdąkanie pianina i dość czyste wykonanie szlagieru *Bella, bella donna*.

– Jak wam się podobał film? – zagadnął Andrzej.

Dziewczyny spojrzały po sobie i zachichotały.

– Prawdę mówiąc, nie wiemy – odparła Mańka.

– Ale było bardzo przyjemnie – uzupełniła Józka.

Spoglądał na nie z konsternacją. Bawiły się nadzwyczaj dobrze. Wiedziały, że trzymał za ręce obydwie jednocześnie, i nie okazywały zazdrości. A może one także nie mogły zdecydować, która z nich jest nim bardziej zainteresowana? Bo były zainteresowane, to nie ulegało wątpliwości.

Co pozostawało? On też zamierzał dobrze się bawić. Zanucił więc do wtóru pianiście:

– *Bella, bella donna, wieczór taki piękny / Chodźmy więc nad morze do maleńkiej kawiarenki*[16].

Godzinę później już wiedział, że Józia pracuje w Pałacu Dożów jako referentka w dziale kadr, zaś Mania jest nauczycielką muzyki w liceum, a w wolnych chwilach trenuje bieganie w sekcji lekkoatletycznej „Hutnika”. Ku jego zaskoczeniu pamiętała, że przed laty był piłkarzem. Bez skrępowania wypytywała Andrzeja o to, co go spotkało. Obydwie wyraziły ubolewanie, że tak dobrze zapowiadający się zawodnik musiał porzucić marzenia o karierze.

Nadal nie wiedział, która z nich interesuje go bardziej. Padło jednak hasło do odwrotu i teraz wypadało, aby odprowadził nowe koleżanki. Może wówczas coś drgnie w jego sercu? Zaproponował paniom towarzystwo i znowu spotkała go niespodzianka, gdyż poinformowały go, że mieszkają razem.

– Jesteście siostrami albo kuzynkami?

– Nie! – usłyszał zgodną odpowiedź.

– Przyjaźnimy się – wyjaśniła Marysia. – Bardzo mocno – zaakcentowała.

– Mieszkamy w Hucie niemalże od dnia, gdy zaczęto ją budować. Najpierw nocowałyśmy w tym samym hotelu. Później mnie się poszczęściło i dostałam przydział. Żal mi było Mańki, więc zaoferowałam jej kąt u siebie. No i tak sobie wspólnie mieszkamy już od trzech

lat – oznajmiła Józia.

– W takim razie idziemy razem. Dokąd panie odprowadzić?

– Na osiedle Urocze.

– O, Urocze! Moje miłe, jakże adekwatnie – zauważył.

Szli niespiesznie aleją Róż. Jędrrek kroczył w środku, po bokach miał dziewczęta.

Żałował, że musi się podpierać i nie może zaoferować im ramion. Pięknie byłoby przytulać do siebie dwie boginie. Mijali ciemne witryny sklepów. Wieczór był dość ciepły, jak to bywa na początku października, więc nawet o tej późnej porze nie brakowało spacerowiczów, zwłaszcza w okolicy parku Ratuszowego.

Umówili się na następne spotkanie w trójkę. Dziewczęta zaproponowały kolację w ich mieszkaniu. Jędrrek podziękował za zaproszenie i zapewnił, że przyjdzie. Obiecał także butelkę dobrego wina.

Wracał do domu, gwizdząc pod nosem melodię, która wybitnie wbiła mu się tego wieczoru w pamięć. Tylko cisza nocna i obawy, by nie ściągnąć na siebie uwagi milicjantów, powtrzymały go przed zaśpiewaniem:

– *Bella, bella donna...*

W połowie października Pawłowski uszczęśliwił rodzinę nowiutkim odbiornikiem telewizyjnym w pięknej drewnianej obudowie. Sprzęt marki Belweder stanął w pokoju stołowym i z miejsca zostały ustalone zasady dotyczące jego użytkowania. Chodziło głównie o Karola, aby nie spędzał przed nim całych dni.

– A więc, synu, przede wszystkim nauka. Po drugie szkółka piłkarska. Po trzecie obowiązki domowe – wyliczał ojciec podekscytowanemu chłopcu.

– Ale będę mógł zaprosić kolegów, żeby im się pochwalić?

– Oczywiście. Tylko żeby nie przylecieli tutaj wszyscy naraz już jutro.

– Ależ nie, tatusiu! Jutro lecę na „Hutnika”, bo mam trening – przypomniał.

Wawrzek poczochnął dłonią jego ciemne włosy.

– No, a jak tam postępy, hę? – zapytał. – Będzie z ciebie drugi Cieślik? Też wbijesz dwa gole w decydującym starciu?

– Jasne, tato! Mówię ci! Trener daje nam wycisk – zapewnił syn. – Nic, tylko biegamy i trenujemy karniaki.

– Tak trzymaj, młody. Bo wiesz – ojciec wycelował w niego palec wskazujący – za dziesięć lat widzę cię w reprezentacji narodowej. Będziemy patrzeć z twoją mateczką w telewizor, jak pokonujesz ruskich w eliminacjach do mistrzostw świata. Albo jeszcze lepiej, jak twoja drużyna wygrywa mundial, no! Dobra, teraz zjemy obiad, bo nas zaraz mama zdzieli ścierą po łbach, a potem pomożesz mi z zamontowaniem anteny. Jak dobrze pójdzie, to jeszcze dzisiaj coś obejrzymy.

– Hura! – ucieszył się amator telewizji.

– Otóż to, panowie – wtrąciła Julia. – Siadać do stołu, bo zupa stygnie!

Zasiedli całą rodziną. Od kilku dni przy posiłkach towarzyszyła im także Zosia, którą sadzali w specjalnym, wysokim krzeselku. Dziewczynka dostawała zupkę ugotowaną z przecieranych warzyw. Czasami, gdy bardzo się wierciła i wyciągała rączki, jakby chciała złapać któryś z talerzy, dostawała do skosztowania odrobinę ziemniaków, duszoną marchewkę albo inne *dorośle* smakołyki. Szczególnie upodobała sobie żur, którego próbowała przed dwoma tygodniami. Na widok tej zupy szeroko otwierała buźkę i podrygiwała radośnie w siedzisku.

– Smakuje ci, kruszynko? – cieszyła się matula, wspominając, jak to przed laty miała wieczne strapienie ze starszym niejadkiem. Zosia może też nie jadała dużo, ale przynajmniej nie była tak chuda jak jej braciszek.

Po obiedzie córuchna trafiła do łóżeczka, a pan domu, zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami, zabrał się do instalacji nowego sprzętu. Julia poszła zmywać, lecz ciekawość co chwila wyganiała ją z kuchni.

– No, jak wam idzie? – dopytywała.

– Szłoby znacznie lepiej, gdybyś mi zrobiła dobrą herbatę. Taką, jaką tylko ty potrafisz zaparzyć – stwierdził zaafierowany małżonek.

Jakiś czas później, gdy wszystko zostało podłączone zgodnie z instrukcją obsługi, z odbiornika rozległy się trzaski, a następnie szum. Na ekranie pojawiło się coś, co wyglądało jak śnieżycza za oknem. Wawrzek pokręcił gałkami. Opady śniegu ustąpiły miejsca ruchomym pasom, a następnie, ku uciechu Pawłowskich, ich oczom ukazali się dwaj džentelmeni we frakach, śpiewający:

Starsi panowie, Starsi panowie,

Starsi panowie dwaj...

Już szron na głowie i nie to zdrowie,

A w sercu ciągle maj[17].

Stali całą trójką, wpatrując się w migocący ekran.

– Och! – wykrzyknęła zachwycona Julia. – Jakie to urocze! Ile w tym finezji i elegancji!

– Prawda? – zauważył Wawrzek. – Jakbym widział nieboszczyka ojca, gdy wybierał się z moją matką na bal. Wkładał wtedy koszulę o sztywno wykrochmalonym gorsie, do tego frak, cylinder i lakierki tak wypolerowane, że można było się w nich przejrzeć!

– Też będę nosił taki kapelusz – oświadczył Karol. – Ale tylko do kościoła, bo na treningu by mi przeszkadzał.

– Ot mądrała! Ach... Ta przedwojenna elegancja! Patrz, synku, jak kiedyś nosili się dżentelmeni. Nie to, co teraz, gdy szczytem elegancji jest bikiniarska marynara w kratę albo krawat w poprzeczne, pstrokate paski. O gołych girlsach nie wspomnę!

– A co to są gołe girlsy? – zainteresował się ośmiolatek, dla którego pierwsze słówko zabrzmiało obrzydliwie, a drugie tajemniczo.

– Ach! To? Ee... – Mężczyzna zdał sobie sprawę, że trochę przeholował. – Wujek Andrzej nieźle by ci to wytłumaczył, ale lepiej go nie pytaj – dodał szybko, widząc gniewne spojrzenie Julii.

Pamiętał, że jakiś czas temu żona zmyła głowę najmłodszemu bratu i dobitnie zakazała mu przychodzenia na rodzinne uroczystości w czerwonym krawacie z gołą panną. Jej zdaniem nie był to widok odpowiedni dla oczu ośmioletniego chłopca. Wuj oczywiście nigdy nie traktował serio jej utyskiwań, lecz gdy pojawiał się na horyzoncie siostrzeniec, upychał ów nieszczęsny element garderoby pomiędzy poły koszuli lub zasłaniał marynarką.

Czas płynął nieznośnie powoli. Jędrrek odliczał dni dzielące go od spotkania z nowymi znajomymi. Nadal był w rozterce i nie zdecydował, z którą z nich mógłby spróbować szczęścia. Uporczywie odpychał od siebie myśl, że jako żonaty mężczyzna nie powinien wkląć się w żadne miłości.

Nadszedł upragniony piątek. Pawełek nocował u Julki – jak dobrze mieć taką kochaną siostrę! Żona miała wieczorny spektakl, a on poprosił kolegę o zamianę godzin pracy, o czym, rzecz jasna, *zapomniał* powiedzieć Sabinie. Gdyby spotkanie potrwało dłużej, miał zamiar nałgać, że poszedł z Adamem na małą bibkę. Często korzystał z tej wymówki i jeszcze nie zdarzyło się, aby połowica czyniła mu wyrzuty z tego powodu. Dobrze wiedział, że po występie aktorka będzie zmęczona, więc wróci do mieszkania i od razu pójdzie spać. Na pewno zrobi to przed jego powrotem. Może nawet będzie markować głęboki sen, byle tylko jej nie nagabywał. Już od dawna nie miała ochoty na figle, wątpił, aby tego dnia miało być inaczej. Zwłaszcza że gdy usłyszała, jak uzgadniał z siostrą opiekę nad małym, to zmarszczyła brwi i wyglądała na niezadowoloną. Prawdopodobnie żywiła obawy, że zrobił to, aby spędzić z nią jakieś namiętne sam na sam.

Nic z tych rzeczy!

On miał nadzieję, że po kolacji zaprosi którąś z dziewczyn na romantyczny spacer. Wprawdzie noce były już chłodne, ale w razie czego można było liczyć na Adama, który z dobroci serca, a przede wszystkim dla korzyści finansowych, udostępniał pokój potrzebującym parom.

Jeśli nadarzy się okazja – Andrzej zamierzał skorzystać.

Był niebywale wyposzczony, mimo że co jakiś czas grzeszył cichcem z Anielą bądź innymi kobietami. Wszystko to jednak było niewystarczające: zbyt ukradkowe, zbyt rzadkie. On potrzebował czegoś stałego. Może Józia albo Marynia spełnią jego oczekiwania?

Odczekał, aż Sabina pójdzie do teatru, i zaczął się szykować do wyjścia. Choć szanse na to, że zdoła od razu zbałamucić którąś ze ślicznotek, były niewielkie, dołożył starań, aby jak najlepiej wyglądać. Wykąpany i pachnący włożył świeżą bieliznę oraz pstrokate piratki[18]. Wciągnął przykrótkie, wąskie spodnie. Pozapinał guziki koszuli, ozdobił szyję czerwonym krawatem z wizerunkiem gołej blondyny. Poprawił przed lustrem falującą plerezę. Na ostatek wzuł szeroką marynarkę na kilowatach[19] oraz wygodne buty na słoninie, które dodawały mu wzrostu – choć do niskich nie należał. Zsunął z palca obrączkę i włożył do portfela, aby jej nie zgubić. Z obrzydzeniem sięgnął po laskę – jakże nienawidził tego przedmiotu!

Ostatni raz spojrzął w lustro. Pozytywnie ocenił efekt końcowy. Widział wysokiego i smukłego dwudziestoczterolatka o szerokich ramionach. Kiedy stał prosto, ze ściągniętymi łopatkami, i nie wspierał się o swoją *drewnianą przyjaciółkę*, wyglądał bardzo korzystnie – jakby nie był kaleką. Tylko prawa stopa wskazywała na to, że coś jest nie tak, bowiem wyraźnie skrzywiona była w stronę lewej. Koślawa noga nie rzucała się tak bardzo w oczy. Te mankamenty rekompensowała niezwykle pociągająca twarz o mocno zarysowanej zuchwie, która mimo nader starannego golenia pokryta była szarym cieniem zarostu. Był zaledwie szesnastoletnim smarkaczem, gdy zaczął używać brzytwy.

Na osiedle Uroczę poszedł piechotą, ponieważ miał tam niedaleko. Po drodze wstąpił do delikatesów i nabył obiecaną butelkę wina. Prócz niej niósł w kieszeni dwie czekolady, które dzień wcześniej dostał od Adama za pewną niewielką przysługę.

Zastukał energicznie do drzwi. Otworzyła mu Józia. Odszykowana była jak na bal. Miała na sobie blad różową sukienkę o spódnicy składającej się z trzech sutych falbanek oraz z górą wykończoną dekoltem w kształcie kwadratu. Do czarnego aksamitnego paska przypięła krwistoczerwoną sztuczną różę. Na ramiona narzuciła żakiet z rękawem trzy czwarte. Wyglądała

jak żywcem wycięta z *Przewodnika elegancji* Jacqueline du Pasquier, który kilka tygodni wcześniej widział w rękach żony. Przejrzał go wtedy z czystej ciekawości, gdyż Sabina zdradziła mu, że są tam również porady dla dżentelmenów.

– Ślicznie wyglądasz, Józiu – powiedział, a następnie nachylił się, aby dotknąć wargami jej twarzy. Ciekaw był reakcji i został przyjemnie zaskoczony.

– Bardzo mi miło. Ty także doskonale się prezentujesz.

– Dzień dobry, Andrzejku! – Mania była jeszcze bardziej bezpośrednia, bowiem gdy tylko wszedł do przedpokoju, sama przysła i cmoknęła go w policzek. Zaszleściła falbankami sukienki o tym samym kroju, jaki nosiła przyjaciółka. Jej toaleta miała błękitny kolor, pozostałe dodatki nosiła takie same. Nawet ich buty na niezbyt wysokim słupku były identyczne.

– Wyglądacie jak siostry – zauważył.

– Ach! Bo my jesteśmy niemalże jak siostry – odparła pani domu.

Obdarował dziewczyny winem oraz czekoladą, za co znowu został wynagrodzony całusami. W trójkę weszli do pokoju, gdzie czekał na nich nakryty stół. Jędrak zajął się otwieraniem butelki i napełnianiem kieliszków, gospodyni zadbała o talerze, a Józia puściła na gramofonie płytę z jazzem.

Po kolacji, sownie podlanej czerwonym półwytrawnym alkoholem, Marysia zaproponowała, aby przesiedli się na wersalkę.

– Będzie nam wygodniej – stwierdziła.

Andrzej zasiadł pośrodku, dziewczyny zajęły miejsca po jego bokach. Chętnie poszedłby z którąś z nich na uroczę sam na sam, lecz ilekroć wydawało mu się, że już podjął decyzję, ta druga mówiła lub robiła coś, co sprawiało, że zmieniał zdanie.

Najpierw pomyślał łakomie o Mani – uwielbiał blondynki. Już niemalże był na nią zdecydowany, gdy zobaczył, jak się Józia pochyła, sięgając po solniczkę i niemalże podsuwając mu przed oczy zawartość dekoltu. Ach! Cóż to był za widok! Dwie jędrne półkule uwięzione wśród koronek. Jej przyjaciółka nie miała aż tak apetycznych kształtów. Z szatynką byłoby więc bardziej zmysłowo. Do jego dużych dłoni lepiej pasowałyby większe piersi. No i znowu był w rozterce, gdyż chwilę później Marysia upuściła widelczyk. Andrzej schylił się, aby go podnieść, a wtedy jego wzrok przyciągnęły kształtne łydki. A ponieważ dziewczyna przysiadła sobie sukienkę tak, że ta się trochę odwinęła, miał przyjemność podziwiać znacznie więcej, niż pozwalała na to przyzwoitość, bowiem falbany odsłaniały smukłe udo aż po obrzeże pończochy zaczepionej żabkami o ozdobioną koronkami podwiązkę.

Ależ ten widok rozbudził jego fantazję!

I tak mniej więcej wyglądało to przez cały wieczór. Nawet w chwili, gdy rozsiedli się wygodnie, prowadząc lekką, wesołą pogawędkę, był skonsternowany. No bo jak tu zaprosić którąś z nich na spacer i nie zrobić przy tym przykrości przyjaciółce? Sprawa nader delikatna – wszak obydwie sprawiały wrażenie zainteresowanych, nadskakiwały mu podczas posiłku, podtykając smakowite kąski, czarowały ślicznym wyglądem, trzepotały powiekami i zachwycały się absolutnie wszystkim, co mówił. Wypytywały go o kino, o piłkę nożną, o to, jak spędza wolny czas. Gdzieś między wierszami dały mu delikatnie do zrozumienia, że znają jego stan cywilny i wcale im to nie przeszkadza.

*Co jest grane? – rozmyślał. Może potrzebują złotej rączki do jakiegoś remontu w mieszkaniu?*

Rozejrzał się dyskretnie, lecz nie dostrzegł żadnych palących potrzeb. Ściany były czyste, meble przyzwoite, karnisz mocno trzymał się sufitu. Nawet głośnik w gramofonie nie trzeszczał.

A może chodziło o drugi pokój, którego drzwi zauważył, gdy witał się z dziewczętami przy wejściu? Albo o łazienkę? Przecież to niemożliwe, aby te dwie urocze istoty zapałyły doń aż

taką sympatią. Cóż im z kuternogi?

Muzyka ucichła. Józia, nucąc coś pod nosem, poderwała się, aby nastawić kolejną płytę. Mania także wstała.

– Masz ochotę na papierosa? – zapytała.

– Z przyjemnością – odparł.

– Ja też zapalę – wtrąciła amatorka jazzu.

Dziewczęta wróciły z popielniczką, zapalnikami oraz paczką sportów, lecz tym razem ku jego przeogromnemu zaskoczeniu zamiast na wersalce usiadły mu na kolanach – Józia na prawym, Mania na lewym.

– No co wy? – wyraził zdziwienie, lecz odpowiedział mu chichot.

– Mamy się przesiąść? – zapytała blondynka, robiąc żalostną minę.

– Ależ nie! – zaprotestował, wyjmując zapalnik z dłoni Marysi.

– Wygodnie ci?

– A jakże!

– Nie za ciężko?

– Nigdy w życiu! Czuję się, jakby mi na kolanach przysiadły dwa motylki.

Przypalił dziewczętom papierosy, sam także zaciągnął się cierpkawym dymem. Józia trzymała popielniczkę, do której ostrożnie strzepywali popiół. Andrzej musiał bardzo uważać, aby nie wypalić dziury w którejś sukience.

– Nie za gorąco ci? – zagadnęła blondynka, wachlując się wymownie dłonią. Już wcześniej zdjęła żakiet i teraz kusiała go gładką skórą ramion.

– Owszem, jest mi trochę ciepło – przyznał.

Tak naprawdę czuł, jak płonie w nim żar.

Mania zgasiła niedopałek i zaczęła rozpinąć guziki kraciatej marynarki. Józia odłożyła popielniczkę na stół. W międzyczasie Jędrzek zrzucił wierzchnie okrycie. Od razu poczuł się lepiej i luźniej. Nowe koleżanki coraz mocniej go intrygowały. Znowu siedziały mu na kolanach, trzymając go za kark, a on obejmował obydwie w pasie.

– A wy nie jesteście o siebie zazdrosne? – Ośmielony wypitym wcześniej winem zebrał w sobie odwagę, aby zadać pytanie dręczące go od dłuższego czasu.

– My? Zazdrosne? – Szatynka wzruszyła ramionami.

– O co? Przyjaźnimy się. A przyjaciółki dzielą się wszystkim.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– No wiecie... Nie wszystko jest podzielne.

– Ależ jest, Jędrus! – odparła Mańka.

Dziewczyny spojrzały po sobie, jedna puściła oko do drugiej i jakby się wcześniej zmówiły, obydwie na raz pocałowały go w policzki.

– No, no, no! – skomentował.

– No, co? – zachichotała Marysia i, nie puszczając mężczyzny, nachyliła się do Józki i cmoknęła ją w usta.

Pani domu pogłaskała ją po policzku i oddała pocałunek.

Przełknął ślinę tak mocno, że aż zabolą go grdyka.

– Ale wy tak... eee... serio?

Zamiast odpowiedzieć pocałowały się znowu. Tym razem znacznie mocniej – tak, jak mężczyzna całuje się z kobietą. Spoglądał ze zdumieniem na pozbawioną niewinności pieszczotę. Dobrze widział, że to nie było powierzchowne muśnięcie samymi wargami. Jego dłonie powędrowały wzdłuż ich kręgosłupów. Opuszkami wymacał pod materiałem zapięcia staników. Przesunął palce wyżej, nad obrzeża sukienek, i dotknął obnażonych karków. Poczul palące



pożądanie. Jego ciało intensywnie zareagowało na tak niesamowity widok.

Pierwszy pocałunek należał do Józki. Niezwykle odważnie wsunęła język w jego usta. Badała ich wnętrze, niespokojnie oddychając. Kiedy się odsunęła, poczuł dotyk warg Marii. Ta pozwoliła mu przejąć inicjatywę, oczekiwała, że to on będzie ją całował. W czasie gdy rozkoszował się jej ustami, Józka rozpięła guziki jego koszuli. Na chwilę oderwał się od blondynki, pozwalając, by jej przyjaciółka zdjęła mu krawat.

– Och... dziewczyny – westchnął, po czym na nowo zatopił się w słodkich ustach.

Teraz jego dłonie zabłądziły pod falbany sukienek. Badał palcami smukłość ud, poszukiwał obrzeży pończoch, zataczał opuszkami kręgi wokół podtrzymujących je żabek.

Odsunął się od Mani, aby równie sprawiedliwie pocałować Józkę, i dostrzegł wtedy, że w tym czasie szatynka rozpięła zamek w sukience koleżanki i zsunęła ją z jej ramion. Kiedy był na niej skupiony, przyjaciółka zrewanżowała się jej tym samym.

Po chwili dziewczęta zajęły się sobą. Bez skrzępowania zdejmowały sobie nawzajem biustonosze, nie przestając się przy tym całować. A on siedział pomiędzy nimi jak młody bóg, spoglądając na cztery ponętne piersi, które aż się prosiły o jakieś pieszczoty. Odważnie objął przyjaciółki, co spotkało się z wyraźnym zadowoleniem z ich strony.

Nawet się nie obejrzał, gdy stracił koszulę, a któraś z nich rozpięła mu pasek. Z chichotem i ekscytacją zsunęły z bioder rozpięte wcześniej sukienki, pozostając jedynie w bieliźnie, lecz i tę miały na sobie niedługo. Potem zajęły się nim. Zdjęły mu spodnie i slipy, nie przestając go całować i gładzić jego skóry. Łasiły się doń jak dwie rozochoczone kotki, a on nie pozostawał im dłużny. W najśmielszych oczekiwaniach nie zakładał takiego finału! Pragnął ich obydwu niebywale. Gdyby teraz coś uniemożliwiło mu spełnienie, najpewniej by oszalał, tak był tym wszystkim rozochocony.

Józka ześliznęła się z jego kolan. Wyciągnęła rękę do niego, aby wstał. Potem usiadła na wersalce i rozchyliła szeroko uda. Bez cienia wstydu uśmiechnęła się do mężczyzny, podczas gdy przyjaciółka uklękła na dywanie przed nią i wypięła pośladki. Widok był tak zachęcający, że Andrzej bez chwili wahania jednym gładkim ruchem wszedł w jej rozgrzane wnętrze. Spoglądał na głowę Marysi pomiędzy udami szatynki oraz drobne dłonie tarłujące pełne piersi.

To było najbardziej ekscytujące doznanie w jego życiu. Nigdy wcześniej nie widział na własne oczy figlujących razem kobiet. Właściwie nim przyjechał do Nowej Huty, nawet przez myśl mu nie przeszło, że jest to możliwe. Ludzie na wsi nie gadali o takich perwersjach. Baby były od dawania uciechy chłopom i rodzenia dzieci, a nie żeby zabawiały się ze sobą.

W mieście usłyszał wiele intrygujących rzeczy. Kiedyś Adam pokazał mu kolorową ilustrację z jakiegoś zagranicznego pisma przedstawiającą dwie nagie panny w dość jednoznacznej sytuacji. Ależ to nim wtedy wstrząsnęło! Początkowo myślał, że kolega pokpiwa sobie z wiejskiego tępaka, a dziewczęta są tylko tak dziwacznie upozowane. Później jednak usłyszał to i owo – również na temat podobnych związków między mężczyznami. Choć wśród jego przyjaciół rzadko rozmawiało się o tak intymnych sprawach, wiedział już, że można spotkać pary tej samej płci.

A teraz on, niczym młody bóg, sycił wszystkie zmysły jako trzecia osoba w miłosnym trójkącie.

Mieszały się ich niespokojne westchnienia. Utrzymywali ten sam rytm pieszczot, narzucany przez mężczyznę. Krew w żyłach Szymczaka osiągała temperaturę bliską wrzeniu. Czuł spełnienie wszystkimi zmysłami. Dotykał opuszkami, smakował językiem wilgotną skórę, chłonał zapach rozgrzanych ciał, spoglądał na ekstatyczne uniesienia pieszczonej przez Marię Józki, słyszał ich oraz własne jęki rozkoszy. W końcu zadygotał w finalnym akcie spełnienia. Zmęczony, lecz szczęśliwy, przywarł na chwilę do wilgotnych pleców blondynki, jednak

wypoczynek nie trwał długo. Józia przerzuciła nogę nad głowę przyjaciółki, a następnie wstała.

– Usiądź na wersalce, Andrzejku – rzekła. – Teraz moja kolej.

Zajął wskazane miejsce. Dziewczyna nie dała mu odetchnąć. Smukłe palce, a następnie zachłanne usta szybko przywróciły życie jego męskości. Role miały się odwrócić. To on miał być teraz posłuszny dziewczęcym zachciankom. Kształtna boginka usiadła mu okrakiem na kolanach. Maria pozostała niby z boku, lecz nie beczynnienie. Całowała przyjaciółkę, pieszcząc jednocześnie jej pełne, ciężkie piersi. Jędrak pozwalał, aby kochanka nadawała rytm ich zbliżeniu. Jego prawa dłoń zajęta była szatynką i jej wilgotnym wnętrzem, lewa opierała się o nagie plecy amazonki.

Cóż to był za szalony wieczór!

Jakże trudno przyszło Jędrkowi opuszczenie rozkosznych kochanek! Musiał jednak wracać do domu i żony, która zapewne spała już głębokim snem. Oszołomiony po wcześniejszych uniesieniach, szedł wolnym krokiem przez aleję Róż i rozpamiętywał – minuta po minucie – czas spędzony w mieszkaniu dziewcząt. Własny dom, małżeństwo i cały świat wciąż wydawały mu się czymś abstrakcyjnym, jakby nigdy nie istniejącym.

Nie pomagało nawet rześkie powietrze – wciąż odczuwał niezwykle gorączkę.

Mimo że namiętność Józi i Mani była niewyczerpana, on także czuł się niezadowolony. Niesamowite! Po tych wszystkich ekscesach powinien padać z nóg i marzyć o wypoczynku. Tymczasem wciąż był pobudzony i miał ochotę na więcej – aby znowu potwierdzić swą jurność, choć niedawno zaspokoił dwie kobiety naraz.

*Trzeciej też dałbym radę* – myślał z satysfakcją.

– *Wszyscy śpią wokóło* – zanucił. – *Tylko w starym porcie / Nuci pieśń wesolą / Marynarzy chór / Bella, bella donna, wieczór taki piękny / Chodźmy więc nad morze do maleńkiej kawiarenki...*[20]

Sabina faktycznie spała.

Nie włączał światła, aby jej nie obudzić. Najpierw musiał zmyć z siebie zapach damskich perfum, którym na pewno przesiąkł, oraz ewentualne ślady szminki.

Pamiętał, że Józia miała usta pomalowane na krwistoczerwony kolor. Na to wspomnienie znów poczuł przyjemne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Ach, te jej ciężkie, pełne piersi, te krągłe pośladki! A Mania? Czyż jej sterczący biust z zaskakująco dużymi sutkami nie był równie ekscytujący?

*Male jest piękne* – westchnął, wspominając smak jej skóry. Och, gdybyż Sabcia tak nadstawiała swój tyłeczek. Gdyby tak podsuwała mu swoje krągłości do całowania i pieszczot!

*To się musi zmienić!* – pomyślał buntowniczo. *Kiedyś nie była taka niedotykalska.*

Nim urodził się Paweł, była jak te dwie kotki: skora do figli, namiętna i czuła zarazem.

On miał swoje potrzeby. Powinna to zrozumieć.

Tak cicho, jak tylko było to możliwe, rozebrał się w łazience. Obejrzał koszulę, lecz na szczęście nie znalazł na niej śladów szminki. Nic dziwnego, skoro panny tak szybko pozbawiły go odzieży. Błyskawicznie wziął kąpiel. Nie włożył pizamy. Z ręcznikiem owiniętym wokół bioder poszedł do śpiącej żony.

Ułożył się obok niej i wsunął dłoń pod koszulę nocną. Sabina westchnęła cicho przez sen, gdy objął palcami jej pierś i potarł opuszkami sutek, który momentalnie stwardniał. Zachęcony brakiem protestu przesunął palce niżej, aż do kępki wijących się włosków. Ucisnął wzdłuż łonowy. Pieścił żonę, aż zaczęła głębiej oddychać.

– Och, Jędrus... – westchnęła, rozchylając uda.

Odwróciła się do niego. Pozwoliła, aby ją dotykał i całował, odwzajemniając jego pieszczoty. Obsypywała pocałunkami jego klatkę piersiową i brzuch, przesuwaną wargi coraz niżej i niżej. Jęknął, gdy usta żony otoczyły jego męskość. Nim się obejrzał, doprowadziła go do ekstazy. Nie miał już siły na to, aby kochać się z nią jak należy. Dopieścił ją więc ustami i dłonią, a później zapadł w głęboki sen.

Nazajutrz rano obudził się w doskonałym humorze. Czyż życie nie było piękne? Spojrzał na zegar z kukułką, który wisiał naprzeciw łóżka. Po Pawełka był umówiony dopiero za dwie godziny. To wystarczająco dużo czasu, aby powtórzyć nocne pieszczoty z żoną.

Ku jego przyjemnemu zaskoczeniu Sabina nie stawiała oporu. Dopiero gdy chciał wsunąć w nią swoją męskość, odsunęła się gwałtownie.

– Co jest? – wyraził zdziwienie.

– Jędrus, proszę, ja nie mogę – odparła z nieszczęśliwą miną.

– Ale dlaczego? Stokrotko?

– Nie chcę mieć drugiego dziecka. – Zdobyła się w końcu na to, aby powiedzieć prawdę.

– Nie tak szybko – uderzyła w płacz. – Ledwo jako tako odchowałam Pawła. Nie chcę znowu pieluch, bolących piersi i nocnych płaczów. Nie chcę znowu rodzić i przeżywać tego okropnego bólu. Jędrus... – Pocałowała męża w policzek, zraszając go przy tym łzami. – Ja wiem, że możesz teraz pomyśleć o mnie jak najgorzej. Cóż ze mnie za kobieta, skoro nie pragnę więcej dzieci? Błagam, wybac mi, kochany, najdroższy. Wybac. To nie jest tak, że ja już nigdy... Ja tylko teraz nie chcę... Proszę – powtarzała płaczliwie.

W pierwszej chwili zamarł, zdumiony jej szczerością. Później uprzytomnił sobie, że choć bardzo kocha Pawełka – wszak był dumnym ojcem, który za pierwszym zamachem spłodził syna – to on także nie chce nocnych płaczów. Nie chce marudnej żony z wielkim brzuchem, która nie ma ochoty na figle. Nie chce szukać zaspokojenia poza domem, w objęciach Anieli albo jakiejś innej siksy. Chwilowo nie myślał o Józii i Mani, z którymi był umówiony na następny piątek. Skupił się na tym, co usłyszał od połowicy.

– Nie płacz, Sabcia. Nie będziemy robili drugiego dziecka – oświadczył. – Przecież możemy figlować tak, jak ostatniej nocy. Pragnę cię, stokrotko. Tak bardzo, że aż mnie rozsadza.

– Jędrus...

– Cii... – Położył palec na jej ustach. A później zastąpił go wargami.

- Mamusiu, czy mogę zaprosić w środę kolegów na telewizję?
- Oczywiście, ale pod warunkiem, że wcześniej odrobisz wszystkie zadane lekcje.

A czemu akurat w środę? – zainteresowała się, gdyż równie dobrze mógłby to zrobić nazajutrz.

– Ach, bo wtedy będzie nowy program dla dzieci – odparł Karol. – Tato mówił, że ma lecieć *Miś z okienka*. I że będę mógł to oglądać i zaprosić kolegów, ale tylko wtedy, gdy ty się zgodzisz.

*Jak miło, że to mnie Wawrzek pozostawia decyzję* – pomyślała.

Nie mogła narzekać na męża. Zgodnie z obietnicą traktował Karola jak własne dziecko. Szanował całą jej rodzinę i nigdy nie dał nikomu odczuć, że z racji urodzenia, ukończonych studiów czy piastowanego stanowiska uważa się za kogoś lepszego. Był życzliwy, towarzyski i pomocny. Wśród Szymczaków wysławiał się prostym, potocznym językiem. Przymykał oko na to, że czasami żona przygarniała na noc albo Pawła, albo bliźniaki Leszka. Odkąd urodziła Zosię, była jedyną niepracującą kobietą w rodzinie. Wawrzek załatwił w dziale kadr tak, że formalnie pozostawała pracownikiem Huty, lecz nie przychodziła do biura i z tej racji nie otrzymywała wynagrodzenia. Miała wrócić do Pałacu Dożów, gdy córca trochę podrośnie. Zgadzała się co do tego, że nie zamierzają oddawać jej do żłobka. Była ich oczkiem w głowie, a w publicznych placówkach różnie wyglądała opieka nad dziećmi. Nie chcieli, aby maleńka leżała samotna i zapłakana w mokrych lub zapaskudzonych pieluszkach.

Kazia nie raz narzekała na odparzone pupy chłopców. To samo potwierdzała Sabcia. Wielu rodziców musiało zostawiać pociechy pod okiem zawodowych opiekunek. Niestety w ochronkach zatrudniano zdecydowanie zbyt mało pań w stosunku do realnego zapotrzebowania. Maleństwa płakały, potrzebując odrobiny pieczyoty. Dostawały jedzenie wyłącznie w wyznaczonych porach, a jeśli wtedy nie chciały jeść, to później były głodne. Na nocniki także wysadzano je o określonych godzinach, co nie zawsze przynosiło oczekiwane efekty.

Często więc Julka zabierała maluchy swoich braci do siebie. To ona nauczyła Kacpra i Melchiora, jak robi się znak krzyża. Opowiadała chłopcom o Bogu, ponieważ wiedziała, że ich matka tego nie czyni. Zapewne bratankowie powtarzali matce jej słowa, lecz na razie Kazia nie robiła z tego problemu – nie próbowała Julce niczego zakazywać. Być może przed wyrażaniem dezaprobaty powstrzymywała ją obawa, że szwagierka poczuje się dotknięta i przestanie ich niańczyć, gdy zajdzie potrzeba.

Julia była wdzięczna mężowi za to, że stworzył jej wspaniałe warunki do opieki nad Zosią. Nieustannie porównywała rozwój córeczki z poszczególnymi etapami w życiu syna. Pamiętała, jak bardzo Karol nie lubił najpierw żłobka, a następnie przedszkola. Skoro nie było konieczności, aby pracowała zawodowo – rozkoszowała się wszystkimi urokami macierzyństwa, a jej serce przepelniała miłość do Wawrzka.

Niewiarygodne!

Nigdy w życiu nie pomyślałaby, że można kogoś pokochać tak bardzo!

Wciąż pamiętała swoją rezerwę, gdy padł przed nią na kolana w parku Ratuszowym, oraz obawy z czasów narzeczeńskich. Wspominała wahania nastrojów w pierwszych tygodniach małżeństwa, gdy zrozumiała, że zrobiła coś nieodwracalnego – poślubiła członka może nie tyle wroga, co nieprzychylnego Szymczakom rodziny.

Tymczasem okazał się nie tylko usposobiony życzliwie, lecz w codziennym pożyciu miał tyle uroku i taktu, że zawojował jej serce. Czuły, szarmancki, łagodny, lecz zdecydowany. Nigdy nie podnosił na nią głosu, nawet jeśli robiła coś nie po jego myśli. Często ofiarowywał kwiaty i na każdym kroku wyrażał szacunek oraz miłość. Ot, dżentelmen, jakich w Hucie mało. Widać w nim było dobre urodzenie i staranne wychowanie.

O tym, że potrafi być surowy i wymagający, dowiedziała się właściwie od Leszka, który powtórzył jej kilka plotek krążących na jego temat pomiędzy pracownikami kombinatu. Wśród robotników zdarzało mu się huknąć na kogoś, postraszyć wyrzuceniem z roboty lub odebrać premię. Nie czynił tego złośliwie, po prostu musiał pilnować podlegających mu ludzi. Spuszczeni z oka pili w miejscu pracy i nie uważali na to, co robią. A on nie mógł pozwolić, by doszło do jakiegoś wypadku.

[15] Julia Brystiger z d. Prajs (1902–1975) – doktor filozofii, aktywna działaczka partyjna, funkcjonariuszka aparatu bezpieczeństwa Polski Ludowej. Po zakończeniu pracy w Służbie Bezpieczeństwa redaktor w Państwowym Instytucie Wydawniczym.

[16] Autor tekstu: Kurt Feltz, tłum. Anna Jakowska, kompozytor: Gerhard Winkler, wykonanie oryginalne: Vico Torriani, w Polsce: Jan Danek & Janusz Gniatkowski.

[17] Fragment utworu *Kuplety Starszych Panów*, tekst: Jeremi Przybora, kompozytor: Jerzy Wasowski, wykonanie: Kabaret Starszych Panów, *Piosenki wybrane* (LP, 1962).

[18] Określenie skarpet w jaskrawe wzory noszonych przez bikiniarzy.

[19] Marynarka o mocno watowanych ramionach.

[20] Autor tekstu: Kurt Feltz, tłum. Anna Jakowska, kompozytor: Gerhard Winkler, wykonanie oryginalne: Vico Torriani, w Polsce: Jan Danek & Janusz Gniatkowski.

*Rok 1959*

## **Rozdział 8**



### *Cisza przed burzą*

Przez jakiś czas mieszkańcom Nowej Huty wydawało się, że budowa kościoła ruszy z dnia na dzień. Powołany w tym celu komitet wciąż zbierał datki parafian. Ludzie hojną ręką składali ofiary, co więcej, zapomogi płynęły również z zagranicy, głównie od Polonii amerykańskiej. Skrupulatnie zaszyte w używanych ubraniach, zapakowane w konserwy, ukryte w podeszwach butów – pomysłowości na przesyłanie pieniędzy nie brakowało. Kupka pieniędzy rosła. Można byłoby kupić za nie sporo materiałów. Czołowy architekt zatrudniony w Centralnym Biurze Projektów Architektonicznych i Budowlanych w Krakowie – Zbigniew Solawa, opracował piękny projekt świątyni z dwiema wieżami.

Proboszcz Stanisław Kościelny z godną podziwu gorliwością podejmował kolejne próby uzyskania zgody na budowę. Wierni go uwielbiali, lecz cóż z tego, skoro był solą w oku władzy? Urzędnicy wciąż piętrzyli przeszkody i utrudniali mu życie. Ostatecznie zapadła krzywdząca decyzja i szesnasty dzień lutego przyniósł księdzu odwołanie z pełnionej funkcji.

Wśród parafian pojawiło się poruszenie i niepokój.

Co dalej z budową kościoła?

Wierni wciąż przychodzili pod krzyż, aby się pomodlić. Z tęsknotą spoglądali na plac, który już dawno powinny rozorać łyżki koparek.

Zachodził tam i Broniek ze swym kumplem. Stali markotni na ulicy, szepcząc między sobą. Widać było ich wzburzenie.

Oj, gdyby tak podejść bliżej. Posłuchać, o czym gadają! A nuż trafiłby się powód, aby

przyskrzynić Szymczaka? Skoro nie zawisł jako kryminalista, to czemu nie miałby trafić do piachu jako polityczny? Zdrajca narodu – też ładny wyrok.

*To by była uciecha, gdybym znowu mógł wziąć cię, skurwysynu, na przesłuchanie – myślał Marczyk, obserwując mężczyzn z bezpiecznej odległości.*



– To musi się skończyć – powiedział Janek, usiłując wyjąć Krystynie kieliszek z ręki. Nie chciała go puścić, chociaż był już opróżniony. Kurczowo zaciskała palce, nie bacząc na to, że może zgnieść kruche szkło i pokaleczyć dłoń.

Co tam parę kropel krwi, skoro miała złamane serce?

Zadziwiająca!

Kiedyś uważała, że świat kończy się na Bartku Marczyku. Gdy ją porzucił, myślała, że bardziej cierpieć nie można. Jakże ją to wtedy bolało! Ile wylała łez! Ile nocy strawiła na duszącej bezsenności i tęsknocie.

Wtedy tęskniła za nim.

Teraz żałowała, że nie może cofnąć czasu do chwili, gdy skierowała swe kroki w stronę domu zielarki. Cóż oddałaby za to, aby nie wypić paskudnych ziół, które miały pomóc w spędzeniu płodu, i nie dać się okaleczyć wygiętym drutem?

Serce pękało jej na samą myśl o tym, że mogłaby mieć dzisiaj dziewięcioletnią dziecinę – owoc miłości, a nie grzechu, jak myślała przed laty.

A może to nie była wina znachorki?

Może to on, Janek! Ten nieudacznik, którego zwała swym mężem! Może to on nie mógł spłodzić z nią dziecka? Nie był w stanie począć nowego życia, bo... bo kochał Julkę!

– Zostaw ten kieliszek – warknęła złowrogo, spoglądając na męża z nieskrywaną niechęcią.

– Krysia... Krysieńko, serce moje – powiedział łagodnie, siadając przy niej.

Zadygotała ze wstrętu.

Już jej się nie podobał. Irytowały ją: szczelina pomiędzy górnymi siekaczami, niesfornie wijące się loki i rubaszne poczucie humoru. Nienawidziła go za to, że bezużytecznie rości sobie pretensje do jej ciała. Jaki bowiem miała pożytek z figli? Czuła odrazę, kiedy pochylał się nad nią, posapując. Gdy wchodził w jej ciało, a później nadaremnie zostawiał w nim swoje nasienie.

Niechby sobie poszedł do tej małej wywłoki!

Nienawidziła go! Nienawidziła rodzonej siostry!

Franca zawsze miała w życiu łatwiej. Wszystko pięknie jej się układało: przystojny, szarmancki mąż z wyższych sfer, na którego ni cholery nie zasługiwała. Piękne, przestronne mieszkanie z pralką Franią, telewizorem. Syrenka pod oknami. I, co chyba najbardziej niesprawiedliwe: dwójka dorodnych dzieci!

– Zostaw mnie, zostaw – załkała.

– Tak nie można – perswadował łagodnie niezrażony Janek.

Była pijana. Miała mętny wzrok, mówiła niewyraźnie. Musiała bardzo cierpieć i jego potwornie to bolało. Nie potrafił dać żonie szczęścia. Nie spisał się jako mężczyzna. Jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to otoczyć ją ciepłem wygasającego uczucia. Nie miał prawa się poddawać – nie wolno mu było jej skrzywdzić.

To on ją uwiódł.

Była siostrą jego najlepszego przyjaciela, brata niemalże.

Była siostrą Julii. Julia nigdy by mu tego nie wybaczyła.

– Nie pij, Krysieńko. To nic nie da. – Poglądził ją po modnie ostrzyżonych, lecz rozczochranych włosach. – Ja wiem, czemu to wszystko. Też nad tym boleję. Myślałem nawet, żeby wyruszyć latem na pielgrzymkę do Częstochowy. Pomodliliibyśmy się przed cudownym obrazem. Krysiu? Krysieńko?

Podniosła nań zażawione spojrzenie.

– Co to da?

– Trzeba wierzyć. Pójdę do lekarza. Dam się zbadać – zadeklarował, wiedząc, że ona

odwiedziła niejednego specjalistę.

Zawsze wracała z takich wizyt przygnębiona. Nic nie mówiła, spoglądała na niego wymownie i z wyrzutem. Kto wie, co tam słyszała? Nigdy nie chciała mu tego powtórzyć. Może wina za brak dziecka leżała po jego stronie? Trudno byłoby mu żyć z tą myślą. To tak bardzo ujmowałoby jego męskości. Ale prawdopodobnie to jedyne słuszne wyjście.

Nie był święty przed ślubem. Choć rzadko, jednak zdarzały mu się przelotne romanse – któż by nie uległ pokusie? Był zdrowy, młody, miał swoje potrzeby. Nigdy żadna z tych panien nie przyszła i nie powiedziała mu, że zaszła z nim w ciążę.

Miałby tyle szczęścia?

A cóż to za *szczęście!*

Mijał miesiąc za miesiącem. Andrzej nawet się nie obejrzał, gdy nastąpiła wiosna. Dni uciekały mu na kombinowaniu, jakim kłamstwem uraczyć Sabinę, aby usprawiedliwić kolejną nieobecność w domu. Regularnie raz w tygodniu spotykał się ze swoimi przyjaciółkami. Nie mógł wmawiać żonie, że spędza ten czas w pracy, bowiem teatr niemalże sąsiadował z kinem, więc mogła w każdej chwili zajrzeć do niego pod byle pretekstem. Niekiedy mówił, że idzie z Adamem na piwo, lecz nie chciał wykorzystywać tej wymówki zbyt często, ponieważ z przyjacielem też musiał kiedyś się spotkać. Nie mógł liczyć w tej kwestii na wsparcie rodziny – gdyby bracia zaczęli go podejrzewać o zdradzanie żony, pewnie zaraz natarliby mu uszu. Ech... Ten honor Szymczaków! Zapewne i szwagrowie w niczym by mu nie pomogli: Wawrzek był cholernie zasadniczy, a Janek zbyt poczciwy, aby pomagać w oszustwie.

Jakoś musiał sobie radzić i wychodziło mu to nawet nieźle, choć od czasu pamiętnej pierwszej randki z przyjaciółkami w jego pożyciu małżeńskim nastąpiła radykalna zmiana. O ile wcześniej Sabinie zdarzało się markować sen, byle tylko jej nie nagabywał, to teraz, kiedy uzgodnili, że nie chcą mieć na razie drugiego dziecka, i wiedzieli, jak tego uniknąć, żona znowu była skora do pieścizot. Często oczekiwała na jego powrót z wieczornych wyjść. Pawelek spał spokojnie za ścianą, a oni oddawali się miłosnym uniesieniom.

I nieważne, czy wracał z ramion Józki i Mańki, zawsze miał dość sił, aby kochać się również z nią. Co więcej, nadal miewał przelotne romanse, najczęściej z Anielą. Był jak niewyczerpywalny wulkan energii. Wszystkie przygody erotyczne podsycały tylko jego apetyt, a on, dumny ze swoich możliwości, bez problemu zaspokajał zachcianki swoich kobiet.

Mimo że tak gładko się to układało, marzył chwilami o radykalnej zmianie w swoim życiu. Czasami słyszał podszepty dobiegające z głębi duszy, które mówiły mu o tym, jak przyjemnie byłoby związać się na stałe z przyjaciółkami z osiedla Uroczego. Ach! Gdyby tak mógł budzić się rano z dwoma boginkami po bokach! Bez marudzącego dziecka, bez nudnych obowiązków. Życ w ogrodzie wiecznej przyjemności – stworzonej przez nich namiastce raj.

Na samym początku ustalili pewne zasady. Poza jednorazowym wyjściem do Stylowej mieli unikać miejsc publicznych, gdzie mógłby zauważyć ich ktoś znajomy. Świat był mały. Wszak nie na darmo ukute zostało powiedzenie, że góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem owszem. Dziewczyny były zgodne co do tego, że nie zamierzają rozbijać jego małżeństwa, a wtedy jeszcze bardzo mu to odpowiadało. Teraz już by go to nie zmartwiło: odczuwał znużenie żoną i monotonią figli, którym się oddawali. Ona nie chciała próbować niczego nowego, a już jak ognia unikała pełnych zbliżeń. Nie podejmował jednak żadnych kroków w kierunku rozstania. Wszak poślubił tę kobietę przed Bogiem, co też kosztowało go wiele wysiłku, musiał bowiem przełamać wewnętrzny opór i przystąpić do sakramentu pokuty. Od dawna omijał Kościół z daleka – nie interesowały go przepychanki z władzą, w jakie nieustannie wdawali się mieszkańcy Nowej Huty, aby zyskać zgodę na budowę świątyni. Beznamiętnie wysłuchiwał pełnych emocji rozmów, do jakich dochodziło podczas spotkań rodzinnych. Bliższe były mu poglądy Leszka i Kaźmierki niż całej reszty. Był urodzonym grzesznikiem. Jeden ciężki grzech zastąpił drugim.

Czy nim dojdzie do starości, złamie wszystkie przykazania dekalogu?

Nie zamierzał słuchać kazań ani przystępować do spowiedzi. Ksiądz na pewno wymusiłby na nim przyrzeczenie, żeby porzucił swój ekscentryczny styl bycia. Dla Andrzeja kler niewiele różnił się od milicji. Jedni i drudzy nosili służbowe uniformy. Stali na straży zbliżonych kodeksów: nie kradnij, nie kłam, nie zabijaj... Aż dziw bierze, że tak bardzo nie potrafili znaleźć płaszczyzny porozumienia. Na pewno i pleban, i dzielnicowy zechcieliby zobaczyć go ugrzeczniejszego, gładko przyczesanego, bez ekstrawaganckich ciuchów – za to pod rączkę z żoną i synkiem. Aby poniechał cichych układów z cinkciarzami i innych szemranych interesów,

zarzucił kombinacje i nielegalne zarobki. Zapomniał o hulankach i swawolach.

Nic z tego!

Potrafił skutecznie zagłuszać głos sumienia odzywający się raz na jakiś czas w jego głowie.

Przecież nie robił nikomu krzywdy! Sabinie nic nie ubywało z powodu jego przygód. Nie kochał żadnej ze swoich przyjaciółek, nawet Mańki i Józki. Nie trwonił na nie zbyt wiele pieniędzy – nie oczekiwały tego.

Czasami odczuwał zazdrość o te dwie papużki nierozłączki. Miały wspólny świat różnych spraw, do których broniły mu dostępu. Kiedy wychodził z ich mieszkania, nie zostawały same i opuszczone. Być może nawet za nim nie tęskniły – miały siebie. Od niego oczekiwały tylko zaspokajania fizycznych zachcianek. Zagadnięte o to, odparły, że nigdy wcześniej nie były w takim związku. Każda z nich miała wcześniej jakiegoś mężczyznę. W przypadku Józki był to narzeczony, z którym zgrzeszyła tuż po zaręczynach. Do ślubu nie doszło, ponieważ z nią zerwał – poznał inną. Maria była rozwódką. Rozstała się z mężem, gdyż ten wszystko przepijał, a kiedy był na rauszu, nie żałował na nią pięści. Miały więc kiepskie doświadczenia z płcią przeciwną. Tym bardziej więc dziwił się, że postanowiły go uwieść, bowiem w rzeczy samej to on został uwiedziony przez nie, a nie na odwrót.

– Ależ Andrzejku! Nawet my od czasu do czasu potrzebujemy męskiego towarzystwa – oznajmiła kiedyś Maria, głosząc go po szorstkim od zarostu policzku.

– Niby jesteśmy samowystarczalne, ale jak widać nie do końca.

– A ty jesteś dobrze wychowany, szarmancki, zabójczo przystojny i na szczęście żonaty – zachichotała Józia. – Nie oczekujesz od nas nieustannej dyspozycji. Nie musimy prac i prasować twoich koszul. Nie chrapiesz nam za uszami.

– No, bo od tego masz żonę – wtrąciła pragmatyczna pani domu.

– Z nami masz wieczną niedzielę. Same przyjemności.

– Bo obowiązki i rutyna zabijają romantyzm – uzupełniła niedoszła mężatka, która swoją wiedzę na temat związków opierała na informacjach pozyskanych od przyjaciółki. – A my naprawdę nie oczekujemy od ciebie niczego więcej. Żadnych reperacji, wbijania gwoździ, wkręcania żarówek. Tylko zabawy!

– Wieczna niedziela, powiadacie? – upewnił się, a następnie przydusił Mańkę do pościeli. Zaczął ją łaskotać, lecz zaraz druga kochanka rzuciła się jej na odsiecz.

Piskom i śmiechom nie było końca.

Ot, wieczna niedziela!

Czas upływał: dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Krysia coraz częściej zaglądała do kieliszka. Bywało, że piła w milczeniu, lejąc bezszelestnie łyżki wielkie jak grochy. Kiedy indziej wszczyniała awantury, wyklinając na czym świat stoi, bluźniąc Bogu, a przede wszystkim złorzecząc ślubnemu. Janek czuł, że już dłużej tego nie wytrzyma. Onegdaj dowiedział się, że żona od dawna nie jest ekspedientką na dziale mięsnym, lecz przydzielono ją do wykładania towaru na półki i sprzątanania sklepu, ponieważ kilkakrotnie przyszła do pracy zbyt pijana, aby mogła stanąć za kasą. Przed zwolnieniem dyscyplinarnym uchroniła ją nienaganna wcześniej opinia oraz sympatia kierowniczką sklepu. Dalej jednak niepodobna było pobłażać takim wyskokom. Istniało poważne ryzyko, że nadużywająca alkoholu straci etat.

Pokłócił się o to z Krystyną.

Ostatnio wciąż się sprzecali. Nie! Nie sprzecali! Oni żarli się jak psy, skacząc sobie do oczu. Klócili się o wszystko: o Julkę, o brak dziecka, o nieposprzątane mieszkanie, a najczęściej o jej pijaństwo. Bo przez ten cholerny nałóg zaniedbywała absolutnie wszystko, łącznie z wyglądem, o który jeszcze do niedawna dbała bardzo pieczołowicie. Teraz przypominała zaledwie karykaturę ślicznotki, którą przed laty poprowadził przed stopnie ołtarza. Starzała się niemalże z dnia na dzień. Jej skóra traciła jędrność, włosy zmatowiały. Pod oczami pojawiły się nieładne obrzęki.

– Co się z tobą stało, Kysiu? – dopytywał, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

Chociaż nie miał dokąd pójść, spakował trochę swoich rzeczy. Nie zabierał wszystkiego, ponieważ jeszcze nie wiedział, gdzie spędzi najbliższą noc. Nie chciał siedzieć na karku nikomu z rodziny, w którą się wzenił. Kochał ich, oni szanowali jego. Byli sobie bliscy, może z wyjątkiem Wawrzyńca, który zawsze spoglądał na niego jakoś tak podejrzliwie. A może uległ złudzeniu, że tak jest, ponieważ dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu tkliwości, którą odczuwał nie do tej kobiety, do której powinien?

Czy znajdzie się dlań miejsce w jakimś hotelu robotniczym?

Zresztą co tam! Nastaly ciepłe dni. Jeśli zajdzie potrzeba – póki nie znajdzie czegoś lepszego, przekima kilka nocy w budowlanym baraku.

– Odchodzę, Kysiu – powiedział wyciszonym głosem i położył dłoń na klamce.

Żona nawet się nie obejrzała.

– Idź – zabrzmiało sucho jedyne słowo, jakie padło z jej ust.

Nie próbowała go powstrzymać, choć przez minutę wyczekiwała, czy tego nie zrobi. Z bólem serca stwierdził, że nie jest jej do niczego potrzebny.

– Przykro mi. Żegnaj – rzucił, zamykając za sobą drzwi.

Jeszcze stanął na klatce schodowej i nasłuchiwał, czy nie dobiegnie go wołanie. Odkoczył, gdy o paździerzowe drzwi rozbiło się jakieś szkło – zapewne kieliszek, gdyż hałas był niewielki.

– Idź w cholerę, gamoniu! – wrzasnęła pijana kobieta.

Poszedł.

Mijały miesiące od pocałunku i późniejszej rozmowy. Czas Doroty upływał na bezskutecznych usiłowaniach wyrwania wspomnień z pamięci. Nigdy więcej nie dopuściła do sytuacji równie intymnej co wtedy. Zresztą Ksawery, jak przystało na dżentelmena, także starał się unikać sam na sam z bibliotekarką. Większość spraw służbowych załatwiali przez Maryskę, sekretarkę pamiętającą jeszcze czasy Marczyka. Przełożony zostawiał u niej jakieś informacje lub prośby – zwykle starannie wykaligrafowane na kartce. Ona w podobny sposób przedkładała propozycje powiększenia księgozbioru, informowała o bieżących potrzebach lub przedsięwzięciach, które mogłaby podjąć. Gdy już dochodziło do spotkania, to zazwyczaj w bibliotece, w obecności czytelników albo na jakimś gminnym zebraniu. Kiedy jedno widziało drugie z daleka – starało się zejść z linii wzroku nieświadomej osoby.

Już nie było miłych pogawędek. Olszański nie zaglądał do czytelni, aby przejrzeć prasę. Jak potrzebował gazety, przysyłał po nią kogoś, kto nawinął się w danej chwili pod rękę.

Nie było spojrzeń w oczy.

Pozostawała jednak okrutna tęsknota za tym, co nigdy nie nastąpi. Za słowami, których nikt nie wypowie, bowiem te nie mogły paść z ich ust.

Ksawery nigdy nie dopuściłby do tego, aby kobieta, za którą skrycie tęsknił, została napiętnowana przez ziomków jako istota upadła.

Dorota nigdy nie poślakomiałaby się na żonatego mężczyznę.

Zanim opanował ich ten zadziwiający zawrót głowy, nie rozmawiali o jego małżeństwie ani o jej przeszłości. O takich sprawach po prostu nie mówi się na głos. On wolał w milczeniu i z godnością nieść ciężar małżeńskich kajdan. Ona już dawno przestała wspominać przeżycia z ostatniego roku okupacji.

Obydwoje myśleli, jak trudno jest zapomnieć o rzeczach dziejących się tu i teraz. Jak trudno stawać niemalże każdego dnia twarzą w twarz. Witać się beznamietnym skłonieniem głów, bez kontaktu wzrokowego, z krótkim i suchym *dzień dobry*. Jak trudno udawać, że nic nie zaszło. I obydwójce niczym mantrę powtarzali sobie każdego dnia imię, które ich dzieliło: *Amelia*.

Takie tęsknoty muszą bezszelestnie przepaść, nawet wtedy, gdy zbolące serce podpowiada inne rozwiązania.

Bronek już nazajutrz odkrył, że w małżeństwie Krysi i Janka zaszło coś niedobrego. Zastanowiło go bowiem, czemu przyjaciel nie zbiera się po dniówce do domu, wszak zawsze wracali na osiedle Wandy całą grupą, zahaczając czasami o kiosk z piwem lub saturator, ponieważ po kilku godzinach pracy w spiekocie wszystkich okrutnie suszyło.

– A chodźże już! – popędzał go, gdyż i on odczuwał pragnienie. – Guzdrzesz się jak baba!

– Idźcie sami. Dogonię was za chwilę – odpowiedział Kulka, wciąż jeszcze nie przebrany z roboczych portek i koszuli.

– Ino żwawo. Zajmę ci kolejkę!

Ekipa Bronka opuściła plac budowy. Zmęczeni murarze skierowali kroki do najbliższej budki z piwem. Brygadzista początkowo trzymał kolejkę dla szwagra, lecz widząc, że nie nadchodzi, kupił dla niego chłodny napój. Przez chwilę czekał nawet z pićm swojego na Kulkę. Zniecierpliwiony rozglądał się wśród szukających orzeźwienia budowlańców, czy nie dostrzeże gdzieś charakterystycznej kędzierzawej czupryny. Spóźnialski mógł przystanąć z kimś, aby pogadać. Potem jednak uznał, że oczekiwanie jest bez sensu, ponieważ piwo szybko się ogrzewało. Wychylił duszkiem zawartość swojego kufla. A kiedy doszedł do wniosku, że nieobecność przyjaciela trwa zdecydowanie za długo, osuszył również i drugie naczynie. Widząc, że czekał na darmo, postanowił wrócić na teren budowy. A nuż Jankowi przydarzyło się coś złego? Może utknął na jakimś wykrocie i złamał nogę albo coś go przygniotło? Nigdy nic nie wiadomo.

Miał nadzieję, że żona nie będzie miała mu za złe, jeśli przyjdzie spóźniony na obiad. Zresztą czyż jego anioł wpadł kiedykolwiek w złość bez istotnej przyczyny?

W pierwszej chwili odczuł niepokój, widząc, że szwagier siedzi na stercie desek. Był pochylony, a głowę wspierał na łokciach. Wciąż miał na sobie ubranie robocze i nie wyglądał na kogoś, kto zamierza się przebrać. Czyżby zasłabł z tego gorąca?

– Janek! Co ci? – Dopadł do niego kilkoma susami i położył mu rękę na ramieniu.

Zagadnięty podniósł wzrok. Wyglądał normalnie, jeśli nie liczyć głębokiej bruzdy na czole, która pojawiała się wówczas, gdy był zafrasowany.

– A co ma być? – burknął.

– Czekałem na ciebie z piwem. Co jest?

– Nic. Przepraszam za piwo. Wierzę, że się nie zmarnowało.

– Czemu nie idziesz do domu?

Pytanie zawisło w próżni.

– Ej, no co jest? – dociekał Bronek.

– Nie mam już domu – usłyszał w końcu w odpowiedzi.

– Jak to?

– Nie dałem rady. Zostawiłem Krystynę. To małżeństwo mnie przerosło.

– Chodzi o jej picie czy o brak dzieci? – zapytał szwagier bezpośrednio do bólu.

– O całokształt, ale najbardziej o wodę. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio widziałem żonę trzeźwą. Próbowałem wszystkich sposobów, aby przemówić jej do rozsądku, lecz nie potrafiłem na nią wpłynąć. Nie sprawdziłem się jako mąż pod żadnym względem. A ona tak bardzo chciała mieć dzieci...

– Sądysz, że to twoja wina?

– Nie wiem. – Rozłożył ręce w geście bezradności. – Powiniennem chyba pójść do jakiegoś łapiducha, żeby mnie zbadał. Wiesz, jakie to trudne? Podważyć własną męskość...

Bronek zwiesił głowę.

*Ach więc tak mają się sprawy! Kryśka nic mu nie powiedziała.*

Nie chciał mieszać się pomiędzy małżonków. Gdyby wsypał siostrę przed przyjacielem, ta nigdy by mu tego nie wybaczyła. A i Janek mógłby mieć żal, że nikt mu wcześniej o niczym nie wspomniał. Tak jakby cała rodzina zawarła zмовę milczenia, byle wcisnąć mu wybrakowany towar. A i nie sposób byłoby pominąć milczeniem choćby powierzchowne okoliczności nieszczęścia, które siostra sama na siebie ściągnęła. Miałyby więc szkalować jej dobre imię?

– Skąd wiesz, że to twój... no wiesz... – zająknął się – problem.

– Krysia chodziła po lekarzach, ale nic konkretnego jej nie powiedzieli. A więc to pewnie moja wina – westchnął. – Kiedyś... Kiedyś podczas jednej z kłótni zapytała mnie, czy mam dzieci ze związków pozamałżeńskich.

– Co? – Zdumienie Bronka było bezgraniczne. Nie spodziewał się czegoś takiego po rodzonej siostrze. Aniołem nie była nigdy, ale żeby zrzucać ciężar odpowiedzialności za brak potomka na ślubnego?

– No tak. Powiedziała, że świętych nie ma. A ja przecież musiałem mieć przed nią jakieś panny. I czy któraś z nich zaciążyła.

Bronek milczał. Czuł się niezręcznie, gdy przyjaciel, ociągając się, opowiadał o tak intymnych sprawach.

– No i jak się zastanowiłem, to ona chyba ma rację. Bo wcześniej, w Limanowej, zaglądałem do jednej takiej, co trochę mniej się szanowała. Tu też poznałem kilka dziewczyn, choć rzadko sobie pozwalałem na... Ee... No... Tego... Bo ja tak za bardzo nie lubiłem robić tego z byle kim, byle jak i byle gdzie. I co? I nic.

– To o niczym nie świadczy. Wiesz, że takie *dziewczyny* – zaakcentował cynicznie – potrafią uniknąć kłopotu. A jak zajdzie potrzeba, dyskretnie się go pozbyć. Mało *kociąt* natopiły jedna z drugą w Wiśle?

– Niby tak. Ale czy to nie jest egoizm z mojej strony? Wiedziałem, jak bardzo Krysi zależy, a jednak nie poszedłem do lekarza. Może w ten sposób przyłożyłem rękę do tego, że zaczęła pić? Lepiej jej będzie beze mnie – dodał.

– Nie chrzań!

– Ona mnie już nie chce. Nie próbowała mnie zatrzymać. Wręcz usłyszałem, że mam odejść.

– Co zamierzasz? Gdzie nocujesz?

– Jeszcze nie wiem, co będzie dalej, bo rozstaliśmy się ledwo wczoraj. Przekimałem noc w barakowozie. – Pogmerał po kieszeni i wyjął z niej wygniecioną paczkę papierosów. Bez słowa skierował ją ku przyjacielowi. Ten wyjął jednego. Zapalili.

Bronek odkaszlnął, gdy dym z lotnika podrażnił mu gardło. Zdecydowanie wołał jednak belwedery.

– Nie możesz spać na budowie – stwierdził.

– Napiszę podanie o przydział do hotelu robotniczego. Drugiego mieszkania na pewno już mi nie dadzą. Ale przecież nie wyrzucę kobity na poniewierkę. Ja żem jest chłop, więc sobie poradzę.

– Może jeszcze się pogodzicie – zasugerował Szymczak.

– Wątpię. – Janek chciwie wciągnął dym. Potem chrząknął parę razy, jakby mu coś utkwiło w przełyku. – Już dawno nie potrafimy ze sobą normalnie gadać, ino skaczemy sobie do oczu. Krysia to elegancka babeczka, zawsze czułem się przy niej jak ten gorszy. Łapska zniszczone, szczerba między zębami i brak obycia. Nieraz mi dokuczała, że ledwo składam litery i wstyd posadzić mnie z Wawrzkiem przy jednym stole.

– A co ma, kurwa mać, do tego Wawrzek? – Zdziwienie Bronka było niebotyczne.



– A, bo Krysia też by chciała, jak Julcia, mieć kształconego męża z lepszej sfery.  
– Pitolisz! – stwierdził lekceważąco. – Z jakiej lepszej sfery? Powiedziała ci tak?  
– Nie. Zresztą to nieistotne. Nasze drogi już się nie zejdą. Było, minęło. Przepraszam, że zawiodłem.

Szymczak pomyślał chwilę. Dopalił papierosa, a potem zdusił butem niedopałek.

– Idź, zmień te łachy. Weź swoje klamoty. Nie możesz tutaj zostać.

– Daj spokój. Przeca nikomu nie zawadzam.

– Mnie wadzisz, boś jest mi szwagrem, ale i przyjacielem. Na razie możesz nocować u mnie, a potem zobaczymy. Coś zorganizujemy. Może zejdziecie się jeszcze z Kryską. Zresztą już ja sobie z nią porozmawiam! Dobrze wiem, że mojej siostruni daleko do ideału.

– A Bogusia? Nie będzie się złościć?

– Bogusia? W życiu! Przecież znasz ją dobrze. Zła byłaby wtedy, gdybym cię tu zostawił.

No? Na co czekasz? Migiem dylaj po klamoty!

– Ale... Ale... jakże tak?

– A ty zostawiłbyś mnie w potrzebie?

– Głupie pytanie!

– No to przestań pitolić!

Półtora roku pracy na marne. Znoszenie drwin, docinków i wyzwisk niczemu nie posłużyło. Czerwony Edek nie zdołał przyskrzynić wroga.

Coraz częściej w chwilach samotności użalał się nad swoją bezsilnością. Zalewał robaka wódką, to pomagało. Mimo wszystko nie myślał o powrocie w rodzinne strony.

Po co? Żeby go wyśmiali?

W przekonaniu ziomków robił oszałamiającą karierę w mieście. I niech tak zostanie.

Właściwie w pracy i tak miał dużo szczęścia. Mogło być znacznie gorzej, bowiem gdy dwa lata wcześniej nastąpiła cała ta zbędna odwilż, sporo jego kolegów trafiło przed oblicze sądu i otrzymało wyroki za nadgorliwą działalność, która prowadziła do śmierci wielu więźniów.

Mało brakowało, a ten los podzieliłoby również jego bożyszcze. Julia Brystiger albo miała przyjaciół, którzy ją w porę ostrzegli, albo wyjątkowo dużo szczęścia, bowiem odeszła ze służby krótko przed tym, jak aparat bezpieczeństwa przeszedł poważną restrukturyzację, która zakończyła się wieloma procesami karnymi.

Nikt nie dziwił się, że zdołała uniknąć wymiaru sprawiedliwości. Prywatnie dusza towarzystwa, wykształcona i wyjątkowo inteligentna, w kwestiach zawodowych postępowała wyjątkowo bezwzględnie. Choć miała pospolitą twarz i niezgrabną figurę, nie brakowało jej adoratorów. Mężczyznom nie przeszkadzały krótkie, bardzo grube nogi ani niski wzrost. Jej intelekt brał górę nad tymi drobnymi niedoskonałościami. Kolegom w pracy imponowała skutecznością podejmowanych działań. Szczególnie upodobała sobie przesłuchiwanie mężczyzn, którzy z takiego spotkania rzadko wychodzili o własnych siłach. Miała na koncie między innymi rozmowy z Wyszyńskim. Prymas, gdy już było po przesłuchaniu i minęła pierwsza trauma, rzekł pod jej adresem: *to straszna kobieta*.

Marczyk żałował, że jej kariera polityczna dobiegła końca. Wszak do takich jak Julia: imponujących wiedzą i intelektem, powinien należeć świat. Ona potrafiłaby zaprowadzić porządek z tymi wszystkimi szumowinami, których mimo wszystko wciąż nie brakowało. Ukręciłaby łeb Kościołowi. Naprowadziłaby frustratów na właściwą drogę.

Czy była dla tego parszywego i zdegenerowanego społeczeństwa lepsza wizja przyszłości niż socjalistyczny dobrobyt, w którym wszyscy mieli sprawiedliwie, bo po równo?

Niewdzięczny motłoch wciąż podnosił łby i wygrażał władzy. Robotnicy, którzy powinni być solą tej ziemi, lud pracujący, dla którego trwała ta walka z kapitalistycznymi imperialistami, występował przeciw własnym dobroczyńcom! To się nie mieściło w głowie Marczyka. Jak można gryźć rękę, która karmi i zapewnia spokojne, dostatnie życie pozbawione trosk?

– Oni tak na przekór, po złości – burczał pod nosem, rozpracowując kolejnych podejrzanych. – Bo czym więcej im się czegoś zakazuje, nawet dla ich dobra, tym bardziej ich nosi, aby walczyć z zakazami.

Jego zdaniem robotnicy nie powinni trwonić sił na strajkowanie. Niechby się wzięli do solidnej roboty! Niechby poszli na front walki o rozwój przemysłu, o dobre plony, o budowanie potęgi narodu!

Już on tam dobrze wiedział, kto podburza tych wszystkich niewdzięczników. To Kościół i jego służby mundurowe paradujące w czarnych sukniach.

– Ech, Julio, Julio! Ty byś im dała radę. Zdarłabyś z nich te czarne kiecki, pod którymi mają takie same przyrodzenia, jak każdy chłop.

– Czyżes ty już do reszty zdurniała?

Bronek postanowił, że nie będzie certolił się z siostrą. Jak tylko ulokował Janka w swoim mieszkaniu, od razu poszedł pogadać z Krystyną. Od szwagra wyciągnął, że najpewniej będzie ją złapać tuż po pracy. Wypadła jej druga zmiana. Istniała szansa, że ze sklepu wyjdzie na trzeźwo. Jeśli wierzyć Kulce, piła wyłącznie w domu. Wraciała z pracy i jak miała lepszy dzień – krzątała się po mieszkaniu, gotowała obiad lub robiła późną kolację, a dopiero potem siadała z butelką wódki. Widać odczuwała jeszcze wstyd przed ludźmi i nie chciała, by widywano ją po wypiciu. Tylko czasami, gdy zarwała noc i nie zdążyła do rana wytrzeźwieć, szła do sklepu wstawiona bądź na niegorszym kacu. A piła dużo – jak chłop, nie jak baba.

Zaszedł więc pod sklep i odczekał, aż z niego wyjdzie. Potem złapał siostrę za łokieć i bez słowa odciągnął dalej, aby ich rozmowy nie mogły usłyszeć jej koleżanki. Nie chciał rugać nieszczęśnicy przy obcych. Szli więc w stronę osiedla Wandy, a on ją łajał.

Spoglądał na nią z niechęcią. Wyglądała marnie, pod oczami miała nieładne worki. Darowała sobie nałożenie makijażu, jej fryzura była żalosna. Ubranie wisiało na niej jakoś niechlujnie: nieświeżą sukienkę znaczyły plamy.

– A czego się czepiasz? – burknęła nieuprzejmie.

– A tego, żeś ślubnego wyrzuciła z domu!

– Ja go nie wyrzucałam! Sam se poszedł!

– Poszedł, bo nie mógł z tobą wytrzymać! Spójrz tylko na siebie! Co ty ze sobą zrobiłaś? Ojciec w grobie by się przewrócił, gdyby mógł cię zobaczyć! Ty... Ty... Ty alkoholiczko! – wykrztusił z gniewem słowo, które tak bardzo nie chciało mu przejść przez gardło. – Zapomniałaś już, kim jesteś? Musisz równać się z pierwszymi lepszymi? Wypadłaś sroce spod ogona?

– A kimże my jesteśmy, Bronku, hę? – zapytała, mrużąc oczy. – Zwykłymi robotnikami! Kułakami bez ziemi! W czymże jesteśmy lepsi od innych?

– Dobrze wiesz, że gdyby nie wojna i władza ludowa...

– Nie pito! – powiedziała dosadnie. – Od wojny minęło piętnaście lat. Komuchy trzymają rządy twardo i już nic tego nie zmieni! Żyjemy jak robole i pozdychamy jak robole.

– To nie ma nic do rzeczy! – huknął, wściekły, że odeszli od zasadniczego tematu. – Nic nie usprawiedliwia tego, co robisz. Staczasz się, jak... jak... Jak jakaś lumpiara! Nigdy żadna kobieta w naszej rodzinie nie doprowadzała się do takiego stanu! A z tobą wieczne utrapienie! Odkąd pamiętam, wciąż przysparzałaś matce trosk. Co ty masz we łbie, dziewczyno?

– To samo co inni!

– Wątpię! Do nauki byłaś ostatnia, a pierwsza do popatrywania za chłopami. Chęci do roboty też zawsze ci brakowało. Zawsze miałaś zbytki w głowie! A coś wyczyniała z Marczykiem? Co?

– Nie twoja sprawa. Dajże ty mi w końcu święty spokój! Nie jestem smarkulą, którą możesz rozstawiać po kątach!

– Może i nie jesteś. Może i mnie też nie wypada, abym łajał dorosłą kobietę. Ale wciąż jesteś moją siostrą i nie mogę patrzeć, jak krzywdzisz samą siebie!

– Odczepże się! Nie widzisz, żeś nieszczęśliwa? Nic mi się w życiu nie układa!

– Przestań gadać głupoty! Żle ci? Masz piękne mieszkanie i pracę, o jakiej na wsi mogłaś tylko pomarzyć. I co najważniejsze: masz rodzinę, która cię kocha, oraz poczciwego męża. Drugiego takiego ze świecą szukać!

– No tak, bo on taki święty, że tylko do rany przyłoży! – prychnęła pogardliwie.

– Kryśka! Czego ty się czepiasz? O co ci chodzi? Znam dobrze Janka i wiem, że to porządny człowiek.

Korciło go, aby na nią nawrzeszczyć! Wypomnieć usunięcie dziecka i wskazać to jako powód, dla którego nie mogła teraz zajść w ciążę. Przepelniała go wściekłość, że winę za brak potomka usiłowała niesprawiedliwie zrzucić na ślubnego. Była jego siostrą i kochał ją nie mniej niż resztę bliskich, choć może nie tak mocno jak Julię. Jednakże braterska miłość nie zaślepiła go aż do tego stopnia, by nie widział, jaką krzywdę zrobiła Jankowi, który zdecydowanie nie zasługiwał na taką podłość.

Bronek niemalże w ostatniej chwili powstrzymał się od komentarzy. Przywoływanie ponurych wspomnień na pewno w niczym by nie pomogło, a wręcz zaszkodziło.

Szli ramię w ramię, klóćąc się i przystając co jakiś czas. Nie pomogły perswazje brata, Krystyna wciąż powtarzała, że to jej życie i jej sprawa, co robi. Niech Bronek pilnuje swojego nosa. Mało mu, że zadarł z Leszkiem i Kazimierą? Chce także z nią mieć na pieńku? Zamierza niańczyć Janka? Proszę bardzo! Jego życzenie. Ale niech nie miesza się w ich małżeńskie problemy. I co z tego, że ona od czasu do czasu coś wypije? Nie za jego, za swoje!

Rad nierad wrócił do mieszkania, gdzie szwagier, już zagospodarowany w mniejszym pokoju, bawił się z Ludwiczkiem.

– Co tam, Bronis? – Bogusia wychyliła się z kuchni. W dłoniach trzymała chleb i nóż, gdyż właśnie szykowała kolację. – Rozmówiliście się z Krysią?

– Niby tak, ale co to za rozmowa? Jakbym grochem rzucał o ścianę – stwierdził zniechęcony. – Ona nie widzi problemu w picciu. Twierdzi, że to jest wyłącznie jej sprawa. Nie wiem, jak jeszcze mógłbym przemówić głupiej babie do rozsądku – stwierdził.

– A może ja spróbuję? – złożyła propozycję. – Kobieta z kobietą łatwiej się porozumie.

– Mogłabyś? – zapytał Janek z nadzieją w głosie.

– Oczywiście – potwierdziła, spoglądając na udręczoną twarz szwagra.

Nie wierzyła w plotki, jakoby on kochał się w Julii. A szeptano o tym wśród rodziny i znajomych dość często, dodając przy tym, że być może dlatego Krystyna wciąż zagląda do kieliszka. Przecież gdyby żywił do młodszej z siostr jakieś uczucie, to ją poprosiłby o rękę. Była samotna, gdy się zenił, miała jedynie Karolka. Lubiła go, było to widać, i zapewne gdyby wtedy troszkę się postarał, to byliby małżeństwem. Widać jednak on wolał Krysię, a znajomość z Julką miała charakter czysto przyjacielski. Pawłowska nie próbowała go nigdy kokietować. Bogumiła była tego absolutnie pewna, bowiem zdążyła już wystarczająco dobrze poznać szwagierkę. Nie bez powodu Broniek tak serdecznie zawsze o niej mówił – nosiła w sobie pokłady ciepła i dobroci, a jednocześnie była niezwykle zasadnicza i poważna. Z każdym potrafiła znaleźć wspólny język i chyba nie było w ich kręgach rodzinno-towarzyskich osoby, która by jej nie lubiła.

Ta sama prawość i szlachetność cechowały Bronka, lecz on w przeciwieństwie do siostry nigdy nie wahał się przed wyrażaniem swojego zdania. Jako najstarszy z rodzeństwa uważał się za głowę rodziny: kogoś, kto odpowiada za wszystkich. Z jego słowem należało się liczyć, ale z drugiej strony, gdy ktoś potrzebował wsparcia albo wpadł w tarapaty, nie zawodził. Któż inny zniósłby równie mężnie katowanie podczas przesłuchania w areszcie, byle ochronić kalekiego młodszego brata?

Mąż był bez wątpienia kimś wyjątkowym. A ponieważ sprawa Krysi kładła się ponurą chmurą na jego skroni, postanowiła, że dołoży starań, aby tę chmurę odpędzić.

– Pójdę do niej jutro po dyżurze. Dzisiaj jest już zbyt późno. Muszę wykąpać i ułożyć Ludwisia do snu – oznajmiła, wyjmując znużone dziecko z rąk wujka.

Nie dane jej było spełnienie złożonej obietnicy. Nazajutrz bowiem przez Nową Hutę przebiegły zatrważające wieści, które całkowicie odwróciły uwagę Bogusi od kłopotów małżeńskich Janka.

– Broniś! Broniś, nieszczęście straszne!

– Matko Przenajświętsza, Bogusiu, co się stało? Coś z dzieckiem? – rzucił najbardziej prawdopodobną myśl, gdyż żona wróciła do domu sama, choć miała przyprowadzić synka. – Gdzie Ludwiczek?

– Ludwiś jest jeszcze u Julki. Nic mu się nie dzieje – odparła szybko, widząc, że mocno wystraszyła męża. Od razu ogarnął ją wstyd, ponieważ wpadła do mieszkania jak pocisk, wykrzykując od progu o nieszczęściu. Mogła się domyślić, że w takiej sytuacji Broniek uzna, iż chodzi o pierworodnego. – Kościół! – wysapała.

– Co: kościół? – zapytał, wciąż zaniepokojony.

– Od rana w szpitalu gadali, że władze cofnęły zgodę na budowę kościoła!

– Jak to?

– Nie wiem – jęknęła. – Najpierw wspomniał o tym pan Antoni, wiesz, sąsiad Julki. Zmieniałam mu dzisiaj na urazówce opatrunek, bo parę dni temu utknął na jakimś wykrocie i paskudnie poharatał sobie rękę. Mówił, że ludzie rozprawiali o tym na przystanku. Ponoć nikt nic oficjalnie nie gada, ale urzędnicy zmienili zdanie.

– Nie wierzę! Nie wierzę! To niemożliwe! – Broniek złapał się za głowę. – Przecież mamy już plany świątyni. Krzyż stoi na ziemi, która została przeznaczona na prace budowlane. Dali nam zezwolenie! Była delegacja u samego Gomułki! On nie protestował. Wysłuchał, zrozumiał naszą bolączkę...

– Broniś, to jeszcze nie wszystko. – Spojrzała na niego zmartwiona. Jak przekazać takie okropne nowiny? Mąż niezwykle to przeżywał. Angażował się we wszystkie sprawy związane z wzniesieniem kościoła. Pomagał zbierać pieniądze na materiały, a wcześniej podpisy pod petycjami. Był nawet współautorem pism słanych do urzędów.

– Co gorszego mogło się stać?

– Zabrali pieniądze z konta i materiały z placu.

– Skurwysyny! Wiedziałem! Czuję, że coś się święci! Za grosz nie dowierzałem państwowemu bankowi ani zapewnieniom władzy, że wszystko jest na dobrej drodze. Już nieraz zrobili mnie na szmaty. Banda złodziei! – Kipiał wściekłością.

Jeszcze nigdy nie widziała męża w takim stanie. Nie miała pojęcia, jak go pocieszyć.

– Tyle zachodu na darmo – westchnęła. Ona także kwestowała wraz z nim. Zbierała pieniądze wśród kolegów i koleżanek z pracy. Pomagała w zdobywaniu podpisów. Namawiała, prosiła, tłumaczyła wąpiącym, że kościół jest potrzebny. – Co teraz będzie, Broniś?

Po jej policzkach płynęły łzy zawodu.

Mężczyzna przygarnął ją do siebie i zanurzył twarz w puszystych włosach.

– Nie wiem, aniele mój. Nie wiem – powiedział strapiony. Nagle złapał żonę w talii i odsunął na wyciągnięcie rąk. – A może to tylko głupie plotki? – zapytał z nadzieją.

– Nie, kochany. Nie ma mowy o głupich plotkach – odparła ze smutkiem. – Po Antonim przyszedł taki wysoki, tęgi chłop, wiesz... ten, co to tak głośno gada. Nie pamiętam jego nazwiska – westchnęła. – On jest blisko z Satorą. Kojarzysz może który? – Spojrzała na Bronka, a gdy ten przytaknął, kontynuowała: – Pękła mu kość w nadgarstku – powiedziała pozornie bez związku.

– No i co z tego, że pękła? – wyraził zdziwienie.

– Ano nie bez powodu o tym mówię. Jak przyszedł na dyżur, to powiedział, że gdy usłyszał od proboszcza, co się stało, ze złości rąbnął pięścią w ścianę. Mamy więc wiadomość

z pierwszej... eee... ręki.

– Cholerne komuchy! Nigdy nie wolno im wierzyć.

– Wspomnij, jak nie pozwolili nam pójść z procesją na Boże Ciało. Zmienili trasę, choć przez dwa lata nie robili trudności, jakżeśmy chadzali od kaplicy w Bieńczycach po plac budowy. Pamiętasz co ludzie wtedy gadali?

– Ano tak. Że niby, zdaniem urzędasów, Kościelny nie był godzien prowadzić procesji. A któż by mógł być godniejszy od niego? Co za skurwysyny! – powtórzył.

Nie pomogły delikatne perswazje Bogusi ani napomnienia Leszka. Z Krystyną rozmawiał już chyba każdy Szymczak, niektórzy nawet kilkakrotnie. Za nic miała ich prośby i utyskiwania. Nie obchodziło jej, czy Janek ubolewa nad rozpadem małżeństwa. Nie potrafiła szczerze rozmawiać o bólu, który rozsadzał jej klatkę piersiową za każdym razem, gdy trzeźwiała. Alkohol uśmierzał cierpienie, sprawiał, że świat robił się zamazany, kontury łagodniały, a dzieci stawały się niewyraźnymi, rozmytymi plamami. Ich śmiech i płacz nie wwiercał się tak boleśnie w głowę. Puste łono, które w trzeźwej rzeczywistości pulsowało głodem rodzenia, ogarniał spokój.

W końcu do rozsądku siostry postanowił przemówić również Andrzej. Do tej pory się przed tym wzdrygał – przypuszczał, że i on zostanie zbyty w mniej lub bardziej nieprzyjemny sposób, wszak zawsze miała go za smarkatego pętaka. Nigdy nie traktowała go serio – nawet wówczas, gdy był jedynym mężczyzną w pawlickim domu i na jego barkach spoczywały wszelkie sprawy gospodarcze. Sytuacja jednak stawała się coraz gorsza. Krystynie groziło wyrzucenie z pracy – kilkakrotnie przyszła pod wpływem alkoholu. Rodzina wiedziała o tym wszystkim, gdyż kierowniczką sklepu mieszkała niemalże po sąsiedzku z Leszkiem i pewnego dnia opowiedziała mu o jej poczynaniach. O ile do tej pory bliscy wierzyli, że nieszczęsnica w końcu się otrząśnie, to teraz wszyscy zgodnie uznali, że sama nie poradzi sobie z problemem.

– Nie po to zabiłem Marczyka – szeptał nerwowo brat – abyś się rozpiła. Chciałem dać tobie i Julce szansę na nowe, lepsze życie.

– Lepsze? Co ty gadasz, bajoku! Jakie lepsze życie? – Zanosila się płaczem.

Tego dnia nie wypila dużo, więc wciąż jeszcze zachowywała jasność umysłu.

– Pomściłem wasze krzywdy. Posłałem go do diabła między innymi po to, żeby przestał zatruwać ci życie.

– Nikt cię o to nie prosił! Zabiłeś człowieka, którego kochałam – biadoliła.

– Ale on nie kochał ciebie, rozumiesz? – zapytał, łapiąc ją za ramiona. Potrzęsnał ją lekko. – Przejrzyj w końcu na oczy!

– Kochał mnie, zanim Julka wpięprzyła się pomiędzy nas! Na pewno przysłałby do mnie swatów.

– Sama nie wierzysz w to, co mówisz. Nigdy nie przysłałby swatów. On cię nie chciał. A nawet gdyby jakimś cudem ożenił się z tobą, to cóż by ci było z takiego męża? Mało się na niego Teresa napłakała? Mało chodziła to z popodbijanymi oczami, to z rozkwasoną wargą?

– Bo jej nie kochał. A mnie tak – obstawała przy swoim.

– Chrzanisz! Uczepiłaś się pazurami tej myśli, choć dobrze wiesz, że cię nie chciał. Kazał ci zabić dziecko! Nie pamiętasz już o tym, idiotko? – wykrzyczał jej w twarz to, o czym nikt inny nie chciał mówić nawet szeptem. – To przez niego nie możesz mieć dzisiaj dzieci! Jesteś aż tak głupia, że nie widzisz prostej zależności? Służyłaś mu za materac – powiedział dosadnie. – Nie znaczyłaś dla niego absolutnie nic! Otrząśnij się w końcu! On, w przeciwieństwie do Janka, nigdy cię nie kochał.

– Bzdury wygadujesz! – odparła. – Czy wyście wszyscy oślepli? Nie widzicie? Janek kocha się w Julce! Ta franca zabrała mi najpierw Bartka, potem męża. Wciąż jej mało, taka jest zachłanna. Dobrze, że Dorota nie ma chłopca, bo pewnie zakręciłaby się i wokół niego.

– Jeszcze słowo, a trzasnę cię w łeb! Jak możesz wygadywać takie głupoty na temat rodzonej siostry! Ty... Ty... Ty podła zazdrośnico! Zapomniałaś już, że tamten skurwysyn ją zgwałcił? Nie pamiętasz, ile się napłakała i nacierpiała z tego powodu? Jak możesz oskarżać ją o romansowanie z Jankiem? Przecież oni znali się przed twoim przyjazdem do Huty. Gdyby faktycznie mieli się ku sobie, dawno wzięliby ślub.

– Nie! Bo ona upodobała sobie odbijanie cudzych mężczyzn. Mała, chuda dziwka!



Andrzej nie wytrzymał i zacisnął dłoń na jej postrzępionych włosach.

– Chcesz zawrzeć znajomość z moją pięścią? – zapytał złowrogim tonem.

– A czemu ty jej tak bronisz? – prychnęła, usiłując mu się wywinąć.

– A temu, że ona, choć niewiele ode mnie starsza, jest nam tu wszystkim jak matula! To ona pielęgnuje łączące nas więzi. Dba, byśmy spotykali się przy wspólnym stole, usiłuje łagodzić właśnie, każdemu znajdzie słowo pociechy i wszyscy mamy jej coś do zawdzięczenia. Opiekę nad dziećmi chociażby.

– Nic mi z tej pomocy. Dzieci nie mam. Na niedzielne obiady nie muszę do niej chodzić. A i dobrego słowa też od niej nie uświadczylałam – burknęła. Była bliska łez.

– Tak? A kiedy ty rzekłaś jej choć jedno dobre słowo? O ile pamiętam, to nigdy! Zachowujesz się jak księżna udzielna, ale w rzeczywistości wciąż wyłazi ci słoma z butów. A co do dziecka... Gdybyś tylko chciała, już dawno byłabyś matką. Nigdy nie słyszałaś o sierotach? Mało takich biedot na świecie? Nie pomyślałaś, podła egoistko, że moglibyście z Jankiem dać szczęście jakiemuś brzdącowi, który stracił rodziców?

Następne tygodnie potwierdziły wieści przyniesione przez Bogusię ze szpitala. Mieszkańcom Nowej Huty odebrano nadzieję na kościół. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęto usuwać ze szkół lekcje religii, przywrócone na krótko przez Gomułkę. Nowo powołany proboszcz bieńczyckiej parafii – ksiądz Satora – dokładał starań, aby kontynuować dzieło swojego poprzednika, choć zadanie było wyjątkowo trudne.

– Chcą nas pognębić – martwiła się Julia. – Tylko patrz, jak nam dokuczyc.

Kilka dni wcześniej zaatakował ją jakiś typ w prochowcu. Było ciepło, a on miał na sobie płaszcz z postawionym kołnierzem. Scenariusz zdarzenia był podobny do przygody, jaka parę lat wcześniej przytrafiła się Wandzi. Pawłowska została wciągnięta w bramę. Tam czekał jeszcze jeden tajniak. Nieznajomy typ zasłonił jej usta ręką i odwrócił ją twarzą do ściany. Nie mogła pisnąć ani nawet drgnąć. Próbowwała się szarpać, lecz wówczas poczuła kolano wbijające się w krzyż. Jęknęła z bólu. Czyjeś natarczywe dłonie przeszukały jej letnią sukienkę, kilkakrotnie prześlizgując się najpierw po piersiach, później po pośladkach.

Zaraz przypomniała sobie napaść Marczyka. Jego obmierzłe łapska obmacujące jej ciało i przerażenie, które wówczas czuła. Serce Julii łomotało ze strachu tak mocno, jakby chciało wydrzeć się z piersi. Panicznie bała się, że ci ludzie chcą ją zgwałcić. Próbowwała ugryźć dłoń, lecz nie była w stanie tego zrobić.

Koszmar wrócił – choć w innej formie.

Mężczyzna wygrzebał z jej torebki dowód osobisty.

– Nasza niestrudzona katoliczka nazywa się Julia Pawłowska – odczytał.

– Żona tego specjalisty od wytopu stali? – dociekał drugi.

Nie było szansy na udzielenie odpowiedzi, gdyż miała zasłonięte usta. Mroczny typ ponowił pytanie, więc w odpowiedzi pokiwała głową. Żywiła nadzieję, że nie ściągnie kłopotów na Wawrzka.

Uścisk nagle zelżał. Szpicel wcisnął w jej rękę torebkę.

– Spierdalaj! – rzucił. – A próbuj jeszcze agitować do budowy kościoła, to gorzko pożałujesz. Mąż cię nie obroni. Tobie nie pomoże, a sobie napyta biedy!

Uciekała ile tchu w płucach, nie oglądając się za siebie. Biegła, roztrącając przechodniów. Dręczyły ją skrupuły, że lekkomyślnie zostawiła w domu Zosię z Karolkiem.

A gdyby coś jej zrobili?

Gdyby została aresztowana?

Biedne dzieciaczki!

Wróciła do domu rozdygotana. Wpadła wprost w bezpieczne ramiona męża, który wrócił z biura wyjątkowo wcześniej.

– Co się stało, Juleczko? – zapytał, mocno ją przytulając.

Pokręciła głową. Wskazała syna i córkę.

– Karol, zabierz siostrę do waszego pokoju – polecił.

Dopiero wtedy żona opowiedziała mu o wszystkim ze szczegółami. Nie przemilczała również tego, że ci ludzie z miejsca odkryli, kto jest jej mężem.

Zafrasowany Wawrzyniec krążył wokół stołu.

– Musisz na siebie uważać, serduszko – powiedział.

– Uważam. Dobrze wiesz, że nie angażuję się w nic poważnego. A na kościół przecież wszyscy czekamy. Żadna ze mnie agitatorka – westchnęła.

– Wiem, wiem. Może im nie chodziło o ciebie, ale o mnie?

– O ciebie, Wawrzus? – zdziwiła się. – Czymże ty mógłbyś im podpaść?

– Czy to dużo trzeba? Wciąż naciskają na mnie w pracy, abym przystąpił do partii.

Zapewne gdybym nie był tak dobrym fachowcem, dawno ukręciliby mi łeb. Jestem im solą

w oku już za samo pochodzenie. Nie podoba im się, że chodzimy pod kaplicę. Wciąż mnie szpiegują. Moje rozmowy są podsłuchiwane. Wprawdzie nikt nie może mi nic zarzucić ponad to, że praktykuję, ale widać dzisiaj jest to duże przestępstwo. Nie zamierzam dla nich zrezygnować z mojej wiary.

– Już niejednego oskarżali niesłusznie. Mało to księży cierpiało za czyny, których nie popełnili? Nasza władza dzierży mistrzostwo świata w fabrykowaniu dowodów – przypomniała Julka. – Boję się o ciebie. A co, jeśli niechcący przysporzyłam ci problemów?

– Nie martw się na zapas. Jestem im potrzebny. Partyjniacy są w większości niedouczonymi głabami, ale nie mogą nie docenić mojej wiedzy i doświadczenia. Nie postawią na czele wydziału niedouczonego robotnika ani chłopca odciągniętego od pług.

Październikowy dzień był ciepły i pogodny. Słońce chyliło się ku zachodowi, lecz wciąż jeszcze ogrzewało twarze przechodniów. Klony posadzone w parku Ratuszowym przyoblekały się z wolna w jesienne szaty, ciesząc oczy przepychem barw. Delikatny wietrzyk szumiał pomiędzy gałęziami i strącał pierwsze kolorowe liście.

Jędrak maszerował w stronę osiedla Uroczego. Szedł na tyle dziarsko, na ile pozwalało mu kalectwo. Myślał o tym, że niebawem minie rok od chwili, gdy poznał swoje przyjaciółki.

Ach! Cóż to był za wyborny czas!

Każdego tygodnia zachodził do mieszkania dziewcząt. Gospodynie podejmowały go smaczną kolacją, a później w trójkę oddawali się słodkim uciechom. Nigdy nie pokazywali się razem na mieście z obawy, by ktoś nie odkrył łączącej ich zażyłości. Bo mimo tego perwersyjnego romansu, on wciąż kochał swoją żonę resztkami uczucia, choć był nią znudzony. Na swój sposób pokochał także Marysię i Józję oraz Anielkę, z którą również miewał czasami chwile przyjemności.

Wiedział, że zachowuje się jak podły egoista: i tam mu było żal, i tu szkoda było popuścić. Nie potrafił zdecydować, czy zwrócić wolność żonie. Nie chciał rezygnować z kochanek.

Rozpaczliwie potrzebował wszystkiego: namiętności, elementu ryzyka, ciągłego napięcia. Dzięki temu nie miał czasu na rozmyślanie o przeszłości. Nie budził się nocami zły zimnym potem i zduszony koszmarem. Nie wspominał jęków skazanego na śmierć Bartka. Nie słyszał jego szamotaniny. Nie prześladował go widok oczu rozszerzonych strachem i bólem.

Mimo wszystko pamiętał.

Często nachodziły go chwile refleksji. Dręczony był wyrzutami sumienia. Cóż z tego, że rodzina wybaczyła mu popełnienie zbrodni? Cóż z tego, że działał w amoku, opętany niewyobrażalnym cierpieniem po stracie ukochanej? Cóż z tego, że odpokutował to morderstwo kalectwem i katuszami bezsenności?

Czasami odnosił wrażenie, że upiór nie opuści go aż do grobowej deski. Będzie dusił kościstymi palcami, jęczał w ucho, zerkał pod powieki udręczone brakiem snu. Musiał więc robić coś, co odwracało jego uwagę od piekła, które sam sobie zgotował za życia.

Spotkania z kochankami były antidotum na ten przeklęty koszmar.

Pawełek miał już dwa i pół roku. Rósł w oczach i wciąż domagał się uwagi, a on nie potrafił zająć się nim jak należy. Lubił dzieci, ale na odległość. Pamiętał czasy, gdy równie mały był Karol. Często się z nim wtedy bawił. Nosił go na rękach, gadał do niego. A potem wracał do swojego mieszkania, gdzie nie było małej papli – miał spokój. Czemu nie potrafił wskrzesić w sobie dość cierpliwości dla własnego synka? Dlaczego nie chciał sadzać go sobie na kolanach, czytać mu bajeczek albo bawić się z nim na dywanie?

A co będzie, jak Sabina urodzi drugie dziecko? Czy będzie je traktował z równą obojętnością? Czasami było mu wstyd za to, jak zareagował na wieść o spodziewanym powiększeniu rodziny. Właściwie nic konkretnego wtedy nie powiedział. Chyba nie okazał nieprzyjemnego zawodu, że znowu w ich mieszkaniu pojawi się rozwrzeszczany maluch. Nie był jednak zadowolony. *Kurwa, znowu wpadka* – pomyślał wtedy, żałując chwili zapomnienia, kiedy to poniosło ich podczas igraszek.

*Kawał buca ze mnie* – stwierdził z przygnębieniem, nie pierwszy raz zresztą.

Miał niską samoocenę. Czuł, że jest nikim. Niczego nie dokonał, nic sobą nie reprezentował. Niby skończył szkołę, ale nic z tego nie wyniknęło. Nie zmienił pracy, choć wciąż spoglądał łakomie na mknące ulicami samochody. Utknął w jakimś marazmie, który nie pozwalał na wykonanie choćby jednego kroku naprzód. Może odmieniłby swoje życie, gdyby podążył za pasją, jaką była motoryzacja, zamiast okopywać się na wygodnej, ciepłej posadce kasjera?

Jedno, co miał, to bagaż ponurych wspomnień i obciążone sumienie. A szukając zapomnienia, wpędzał się w jeszcze większe udreki.

Na razie jednak czekały go chwile przyjemności, po co więc psuć sobie humor? Zastukał do drzwi. Otworzyła mu Józka.

– Cześć, Andrzej. Dobrze, że cię widzę – powiedziała zadziwiająco beznamiętnie.

– A gdzie całusy? – zapytał zdumiony. Do tej pory nie spotkał się z tak chłodnym powitaniem.

– Nie teraz – odparła, uchylając szerzej drzwi. – Wejdz. – Zaprosiła go ruchem dłoni. Poczł niepokój.

– Czy coś się stało?

– Zaraz porozmawiamy. Zostaw płaszcz.

Zdjął wierzchnie okrycie i wszedł do pokoju. Przy stole siedziała Maria. Miała poważną minę, oczy jakby zażawione i w ogóle nie wyglądała najlepiej. Zastanawiające było, że obydwie panie ubrane były jakoś tak... zwyczajnie. Przyzwyczajony do fikuśnych sukienek, falbanek, wzorków i całej palety barw, ze zdziwieniem spoglądał na dwie szare myszki bez makijażu i starannych fryzur.

Czyżby w ich trójkątny związek miała wkraść się rutyna?

Do tej pory każde spotkanie było niczym pierwsza randka. Dziewczeta olśniewały go dbałością o wszystkie szczegóły wizerunku. Nie widział ich bez makijażu, a nim trafiali w miękkość pościeli, było je z czego rozbierać!

Skrzywił się nieznacznie, wszak prozę życia miał w domu. To oczywiste, że do gotowania obiadów i szorowania wanny Sabina nie wkładała najładniejszych sukienek ani koronkowej halki. Między innymi przed tą prozą uciekał na osiedle Urocze. Tylko tam bywał w pełni szczęśliwy, gdyż przebywał wśród idealnych istot. Zdawać by się mogło, że Józki i Mani nie dotyczą sprawy przyziemne. W ich rozmowach nigdy nie pojawiały się problemy codzienności.

Czy teraz ich tęczy raj miał poszarzyć?

Z lekkim rozczarowaniem podszedł do kochanki i cmoknął ją w policzek. Usiadł obok. Miejsce naprzeciwko zajęła Józka.

– Co tam, moje panie? Czemuście takie zasępione? – zagadnął, siląc się na lekki ton, choć dobry humor z miejsca go opuścił.

– Czas wrócić na ziemię – odparła pani domu. – Przyjemnie było bujać w obłokach, ale... – zawahała się nad dalszymi słowami.

– Chcecie to zakończyć? – odgadł.

– Przykro nam – powiedziała filigranowa blondynka.

Spojrzał na nią uważnie. Nie wyglądała na kogoś, komu jest przykro. Jej ton był stanowczy, a w oczach nie dostrzegł nawet cienia smutku. Powaga, która widniała na jej twarzy, wskazywała raczej na surowość i zdecydowanie. *Ot, belferka w akcji!* – przeszło mu przez myśl.

– Dlaczego? – zapytał. – Przecież było cudownie. Jest ktoś inny, tak? – Ogarnęła go złość, gdy przedłużyła się chwila ich milczenia. Przyjaciółki, zwykle rozszczebiotane, tego dnia były dziwnie milczące. – Znudziło wam się moje towarzystwo? Potrzebujecie nowego urozmaicenia?

– Nie. Nie potrzebujemy mężczyzny. Jesteśmy ze sobą szczęśliwe.

– A więc co to było? To, co trwało przez ostatni rok... Szukałyście frajera? No świetnie!

– To nie tak, Andrzej – powiedziała Józka. – Nie patrz na to w ten sposób.

– Nic z tego nie rozumiem. Możecie mówić jaśniej?

– Wybrałyśmy ciebie, bo wydawałeś nam się najbardziej odpowiedni.

– Do czego?

– Do realizacji planu – padła z ust jasnowłosej rozwódki nader lakoniczna odpowiedź.

– Jakiego planu? – drażył temat.

Dziewczyny wcale nie wyglądały na chętne do ujawniania szczegółów. Patrzył na nie wyczekująco, czując narastający gniew. Czy te dwie kocice go wykpiły? W uniesieniu zaczął krzyczeć, co o tym wszystkim myśli. Próbowaly go uspokoić, lecz on już nie mógł zapanować nad zdenerwowaniem. Wstał i podpierając się laską, kuśtykał po pokoju, wymyślając gospodyniom od najgorszych. W końcu tak go zmęczyła ta zaciekłość, że stanął w miejscu.

– Przestań! – krzyknęła Józia, widząc, że zaczyna mu brakować słów. – Już ci wszystko wyjaśniam. Tylko usiądź i uspokój się, dobrze?

Usiadł.

– Wiedziałeś od samego początku, że ja i Maria bardzo się kochamy i łączy nas coś o wiele głębszego niż zwyczajna przyjaźń. Wiedziałeś, że żyjemy ze sobą jak małżeństwo, choć nie ma w nim męża i żony, nie ma też sakramentu ani urzędowego świstka. Od lat jesteśmy rodziną i wierzę, że to nigdy się nie zmieni.

– Ale rodzina wymagała dopełnienia – wtrąciła blondynka.

– Czyli mnie – wszedł jej w słowo.

Kobiety spojrzaly po sobie. Ich splecione ręce spoczywały na blacie stołu. Już dawno zauważył, że obydwie mają takie same pierścionki na serdecznych palcach prawych dłoni. Głupiec! Powinien był się domyślić! Gdyby w tym związku potrzebny był mężczyzna, one nosiłyby obrączki lub coś, co i on mógłby włożyć bez wstydu. A więc jednak to nie on miał być tym dopełnieniem.

Józia pokręciła głową.

– Prawdziwa rodzina jest wtedy, gdy przychodzą na świat dzieci. I u nas właśnie się pojawiają. Jestem w ciąży – oznajmiła.

– Psiakrew! – nie wytrzymał. Poczul, że zaczyna uwierać go kołnierzyk koszuli. Wsunął dwa palce pomiędzy szyję a materiał.

*Ja pierdołę! I co teraz będzie? Mam rzucić żonę dla nich i tego dzieciaka, na którego czekają? Rodzina mnie przeklnie, jak o tym usłyszy!*

– O nie, nie! – wykrzyknął. – Nie było o tym mowy! Nie dam wam się wrobić w zasrane pieluchy!

– Akurat na ten temat nic nie powiedziałam! Nikt nie zamierza wrabiać cię w pieluchy, chociaż owszem, byłeś nam potrzebny do tego, aby się pojawiły.

– Wykorzystałyście mnie po to, abym zrobił bachora?

– Dziecko! – poprawiła go Maria i dodała: – Możesz tak na to patrzeć.

– I co teraz? Mam dać mu nazwisko? Łożyć na utrzymanie? Wyprowadzać na niedzielne spacerki? – ironizował.

– Nie. Niczego od ciebie nie chcemy. To nasze dziecko.

– Aha! Akurat! Teraz tak mówicie, a za chwilę dostanę w tej sprawie papierek z urzędu.

– Niczego nie dostaniesz – zapewniła szybko ciężarna. – Jedyne, co chcemy ci dać, to święty spokój. I tego samego oczekujemy od ciebie.

– Czyli mam zniknąć z waszego życia, tak? – upewnił się Jędrak.

– Otóż to.

– Mam udawać, że to nie moje? – Wskazał na jeszcze płaski brzuch kochanki.

Kobieta przytaknęła.

– Przecież masz już dziecko ze swoją żoną. O ile wiem, niebawem będzie drugie. Możesz ich narobić, ile zechcesz i komu zechcesz. Tylko to jedno zostaw w spokoju.

- Dlaczego?
- Bo tak będzie lepiej dla wszystkich. Posłuchaj! – przerwała mu krzykiem, widząc, że on zamierza coś powiedzieć. – Wybrałyśmy ciebie na ojca naszego dziecka. Mojego i Mańki. Nie chcieliśmy robić tego z kimś przypadkowym z ulicy.
- Zaplanowałyście wszystko?
- Tak. To była świadoma decyzja.
- Dlaczego ja?
- Bo jesteś przystojny, więc dziecko będzie ładne.
- Dobrze sobie! Przystojnych mężczyzn jest w tym mieście na pęczki.
- Chodziło również o to, że jesteś żonaty, więc będziesz potrafił zachować dyskrecję.
- No, to wam się akurat udało.
- I masz już dziecko, co dowodziło, że mamy szansę na realizację planu.
- Szukałyście jurnego koguta? – zarechotał. – Ot, cwane bestie! A skąd wiedziałyście, że złapię się na wasz haczyk?
- Bo ludzie gadają, że lubisz kobiety. Mamy różnych znajomych, więc słyszałyśmy to i owo.
- Że niby żadnej nie przepuścisz, a twoja żona o niczym nigdy nie wie.
- Zamarł, słysząc te słowa. Czy rzeczywiście był aż tak nieostrożny, że ludzie gadali o jego podbojach?
- No, nie rób takiej miny – skarciła go nauczycielka. – Świętoszka nie zdołałybyśmy uwieść. Z kawalerami nic pewnego. Ty byłeś odpowiedni pod każdym względem. A teraz czas, abys wrócił do swojej żony i dzieci. U nas nie masz już czego szukać.
- A piśnij tylko komuś choć słowo – wtrąciła Józefa – to gorzko tego pożałujesz. Żona o wszystkim się dowie.
- A wtedy ty będziesz musiał płacić na dziecko – uzupełniła bezlitośnie Maria.
- Przekurwy z was – warknął, wstając i sięgając po laskę.
- Ciągnie swój do swego – odgryzła się pani domu. – Odprowadzić cię do wyjścia?
- Nie trzeba – burknął. – Doskonale znam drogę.

Trzasnął drzwiami tak mocno, że obydwie podskoczyły.

– Nie za ostro żeśmy go potraktowały?

– Nie można było inaczej. Wiesz, że to raptus. Musiałyśmy skutecznie go zniechęcić.

– A co, jeśli wróci? – zapytała przygnębiona ciężarna.

– Nie martw się, Józia. – Kochanka objęła ją ramieniem i mocno przytuliła. Cmoknęła w czubek głowy. – Nie wróci. Będzie się bał o swój tyłek. Zresztą widziałas, jak zareagował, gdy usłyszał, żeś jest brzemienna. Jemu nie jest pilno do bawienia dzieci. Pierworodnym nie potrafi się zająć, lekkoduch! Zaraz przyjdzie drugie utrapienie, więc z całą pewnością nie weźmie dobrowolnie na głowę trzeciego.



Dla kombinatu metalurgicznego nastąpiły czasy wyjątkowej prosperity. W lipcu nastąpiła znacząca zmiana na najwyższym szczeblu zarządzania przedsiębiorstwem. Dotychczasowy dyrektor Antoni Czechowicz odszedł do pracy w ministerstwie. W jego miejsce pojawił się Bohdan Kołomyjski, inżynier metalurg, który doświadczenie zawodowe zbierał, zarządzając katowicką Hutą Baildon. Nowy szef podjął śmiało wyzwanie rozbudowy kombinatu, które miało przynieść przywoływany przez Wawrzyńca w rozmowach potężny wzrost produkcji. Ambitne plany zakładały dwukrotne powiększenie zakładu i budowę nowych obiektów.

Decydenci kwestionowali wizję Kołomyjskiego. Uznawali to za znaczną przesadę. Szczególną niechęć wyrażali wobec utworzenia stalowni konwertorowo-tlenowej oraz walcowni slabing. Nowy dyrektor był jednak człowiekiem nader przedsiębiorczym i bez wahania wykorzystywał swoje znajomości z radzieckimi prominentami, aby wyrzucić nacisk na oporną władzę.

Wawrzek entuzjastycznie ocenił zmianę przełożonego. Być może trochę na tę sympatię miało wpływ to, że obydwaj ukończyli ten sam wydział Akademii Górniczo-Hutniczej. Jednak za jego główną zaletę uważał nadzwyczajne zdolności organizacyjne.

– Widzisz, Julciu – opowiadał żonie o swoich wrażeniach z pracy – ten człowiek to ma łeb na karku. Wszystko czarno na białym. Jest u nas niespełna pół roku, co ja mówię? Jakie pół roku? Toć od lipca minęło ledwo cztery miesiące! A on tyle już zdążył zrobić!

– Dobry zarządca – stwierdziła.

– Oj tak! U niego wszystko musi być na papierze i pod ścisłą kontrolą. Teraz nasza przykładowa drukarnia wypuszcza mnóstwo instrukcji, zarządzeń i okólników. Kołomyjski porządkuje i spisuje wszystkie zasady pracy. Nie sam, oczywiście. Wszyscy skrupulatnie notujemy nasze spostrzeżenia.

– Ach, to nad tym tak ostatnio ślęczysz wieczorami.

– Ano nad tym. Znosi się na to, że Dział Organizacji i Kontroli będzie się teraz prężnie rozwijał. A Kołomyjski ma ponoć ustalony cel, by uczynić nasz kombinat największym w Europie. Wierzę, że to mu się uda!

– A wiesz, Wawrzku, że czasami trochę mi tęskno za pracą w Pałacu Dożów? Tyle się tam działo!

– Wrócisz tam, kochanie, kiedy zechcesz. Na razie jednak korzystaj z uroków macierzyństwa. – Poglaskał ją po delikatnie wysklepionym brzuchu, w którym od jakiegoś czasu rosło ich trzecie dzieciątko. – Mam nadzieję, że nie krzywdujesz sobie na siedzenie w domu?

– Oczywiście, że nie, Wawrzku. Dobrze mi z naszymi pociechami. Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa, że mogę sama zajmować się Zosią i nie muszę oddawać jej do żłobka. Przynajmniej widzę, jak rośnie i zmienia się dosłownie z dnia na dzień. Słyszałam jej pierwsze słowo, przy mnie stawiała pierwsze kroki. Sama oduczyłam ją korzystania z pieluch. Obyło się bez płaczów, odparzonej pupcy i innych niedogodności.

Wawrzek pogładził ją pieszczotliwie po policzku.

– Ach ty, moja kapłanko domowego ogniska. I mnie dobrze wracać z biura, gdy wiem, że ktoś na mnie czeka, a dzieciaki nie wałęsają się samopas.

– A mnie tylko czasami trochę szkoda atmosfery z biura i koleżeńskich plotek – odparła, bez większego żalu jednakże. – Tam zawsze się coś działo, bo i ludzi było mnóstwo.

– Uwierzysz, że huta zatrudnia już około dziewiętnastu tysięcy osób?

– Toż to mrowie! Ale nie ma się co dziwić. Miasto też jest niemałe. Czytałam ostatnio, że jest nas tutaj, w samej Nowej Hucie, blisko sto tysięcy. Wiesz, kiedyś takie liczby były dla mnie niemalże astronomiczne. Kiedy słyszałam, ile ludzi zamęczyli niemieccy kaci w obozach koncentracyjnych, to spoglądałam w niebo i myślałam o tym, że chyba nawet tam nie ma tyłu

gwiazd.

– Ale nie żałujesz, że nie wróciłaś do pracy po urodzeniu Zosi? – upewnił się mąż.

– Oczywiście, że nie, Wawrzku. Mam dość zajęć w domu. No i mogę przynajmniej dopilnować, żeby Karol chodził na piłkę nożną i na plastykę. A wiesz... Myślałam o tym, że jak Zosieńka jeszcze troszkę podrośnie, to zapiszę ją na gimnastykę artystyczną. Co ty na to?

– Wybornie. Będziemy mieć w domu samych sportowców – pochwalił pomysł żony.

– Trzeba korzystać z możliwości, jakie nam tutaj stwarzają. Na wsi dzieciaczki nie mają takich szans. W Piotrowicach jest tylko biblioteka oraz sala klubowa, w której czasami odbywają się jakieś pogadanki. A tutaj mamy plastykę, balet, sport i różne kółka zainteresowań. Jak na to patrzę, to sobie myślę, że przynajmniej tu ma nasza wstrętna władza jakieś zasługi. Bo o ile większość dorosłych to półanalfabeci, co to ledwo potrafią składać litery, to nasze pociechy mogą się kształcić i rozwijać talenty.

## *Rok 1960*

Chociaż oficjalnie wycofane zostało pozwolenie na budowę kościoła, rozwiązano komitet zbierający datki i zagrabiono zgromadzone fundusze, mieszkańcy Nowej Huty nie porzucili nadziei, że w ich dzielnicy stanie nowa świątynia. To nie były mrzonki pojedynczych fanatyków, lecz oczekiwania dziesiątek tysięcy robotników upchniętych w przeludnionych hotelach, gnieźdzących się po kilka rodzin w jednym mieszkaniu. Ta potrzeba serc miała większą siłę niż obawy przed represjami. Cóż z tego, że zastraszano kobiety? Że groźbami próbowano wymusić posłuszeństwo?

Ludzie wciąż przychodzili pod krzyż. Modlili się o cud. Czekali. Wierzyli.

Tracili także cierpliwość, lecz nie na rzecz ustępstw wobec władzy. Podczas wyjątkowo surowej i mroźnej zimy z nadzieją oczekiwali na wiosnę.

– To musi być teraz, w tym roku – mawiali, stojąc pod kaplicą w Bieńczycach i dygocząc na zimnie. – Choćbyśmy mieli łopatami robić wykopy pod fundamenty.

– Niby miała przyjść odwilż – stwierdził dwuznacznie Bronek do Kulki stojącego z nim ramię w ramię. – A tu powiało chłodem ze strony cholernego rządu.

– Dopniemy swego! Nie porzucimy wiary, choć wciąż nas o to zadręczają.

– Wybudujemy i kościół, i plebanię, i salki katechetyczne. – W głosach stojących obok ludzi pojawiała się coraz większa zaciekleść.

– Pousuwali krzyże ze szkół, teraz wycofują religię! – denerwowała się jakaś matka. – Skoro nie pozwalają na naukę w szkołach, to niech wybudują nam miejsce, do którego będziemy mogli prowadzić nasze dzieci!

– Nie ustąpimy!

– Nigdy!

– Nigdy! Nigdy!

Nawet pogoda była im przeciwna, ponieważ wciąż ścisnął tęgi mróz, lecz oni się nie zrażali. Trudności utwierdzały ich w przekonaniu, że trzeba walczyć o swoje prawa. A tym prawem był obszerny gmach, który dawałby schronienie przed zimnem, szarugami i śnieżycą, a latem zapewniał przyjemną ochłodę.

Nowohucy robotnicy współczuli mieszkańcom Kraśnika Lubelskiego, którym na siłę odebrano nadzieję, usuwając krzyż wkopany w miejscu wyznaczonym na kościół.

I nieważne, że coraz częściej powtarzano, jakoby przy skrzyżowaniu Marksa i Majakowskiego miała stanąć szkoła „tysiąclatka”. Ktoś puścił plotkę, że i od proboszcza Satory domagano się, aby wierni usunęli krzyż. Ponoć naciski w tej sprawie były coraz silniejsze – w maju do Nowej Huty miał przyjechać towarzysz Gomułka, a miejscowi aparatczycy za wszelką cenę zamierzali mu się przypodobać. Parafianie byli jednak głęboko przekonani, że postawią na swoim.

Po rozstaniu z Mańką i Józią Jędrak długo nie mógł znaleźć sobie miejsca. Popadał w skrajne nastroje. Początkowo dominowała wściekłość, że tak głupio dał się okpić dwóm dzierlatkom. Dały mu iluzję, że trafił do raju, a w rzeczywistości został przez nie wykorzystany w perfidny sposób.

Czasami pojawiała się tęsknota za tym, co minęło: szalem zmysłowości. Cóż to były za potworne katusze, gdy wspominał te chwile!

To już nie wróci! Taka przygoda mogła zdarzyć się tylko raz w życiu.

Potem uświadamiał sobie, jak wiele miał w tym wszystkim szczęścia. Przecież gdyby tak Sabina odkryła prawdę – oj! – miałby się z pyszna. Utraciłby żonę i dzieci. Może nie był najlepszym ojcem i mężem świata, ale nagle zdał sobie sprawę z tego, co mógł zaprzepaścić: miłość wspaniałej kobiety, która akceptowała go takim, jakim był – bez zastrzeżeń i mimo wszystko. Bezpieczny, przyjazny dom. Szacunek bliskich.

Broniek na pewno byłby na niego wściekły. Może nie natarłby mu uszu, ale nieźle nagadałby się na ten temat! On zawsze postępował szlachetnie i uczciwie. Wysoko cenił kwestie honoru. Czy zdradziłby swoją żonę? Andrzej nie przypuszczał, aby to było możliwe. To w ogóle nie pasowało do osobowości brata.

*Co ja zrobiłem ze swoim życiem?* – myślał przerażony, gdy spoglądał wstecz.

Pijak, hulaka, bawidamek, zdrajca, morderca – potrafił określać samego siebie wyłącznie najgorszymi epitetami. Mógłby z powodzeniem dołożyć również inne: lekkomyślny niebieski ptak, nieodpowiedzialny chłoptaş, wałkoń, który zaprzepaścił szansę na pracę zgodną z kierunkiem wykształcenia.

Jakże mało znała go Sabina!

Cóż z niej był za anioł, skoro wciąż ślepo wierzyła jego słowom i patrzyła weń jak w obrazek! Taką kobietę powinien nosić na rękach. Wielbić, szanować i kochać nad życie. Zaslugaowała na wszystko, co najlepsze, a nie łachmytę w przykrótkich portkach.

Wszak niedługo urodzi się ich drugie dziecko!

Andrzej stanął przed lustrem i krytycznie przyjrzał się samemu sobie. A potem element po elemencie zaczął zdejmować kolejne części bikiniarskiej garderoby. W końcu został w samych slipkach. Spojrzał z politowaniem na swoje wiecznie sine, powykrzywiane nogi.

– Jestem nikiem.

Dokuśtykał do szafy. Długo grzebał w jej wnętrzu, nim znalazł zwyczajne drelichowe spodnie, które nosił tuż po przyjeździe do miasta. Naciągnął na grzbiet jedyną pozbawioną wzorków koszulę. Przyliżał włosy. Z niechęcią wzuł buty – miał tylko te na słoninie. Wsunął do kieszeni portfel, narzucił jesionkę, a następnie opuścił mieszkanie.

Sabina siedziała przy stole, trzymając Pawełka na kolanach. Razem gryzmoлили coś na kartce. Gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku oraz skrzypnięcie drzwi, uniosła głowę i spojrzała w stronę przedpokoju. Było zdecydowanie zbyt wcześnie na powrót męża z pracy. Chyba że nie był w kinie, lecz na jakichś bibkach z Adamem, choć z tych także wracał zdecydowanie później.

– Jędrus? – zdziwiła się, widząc go odmienionym.

W rękę trzymał pęk goździków ozdobionych gałązkami asparagusa. Pod pachę miał wetknięty spory pakunek zawinięty w sklepowy papier – widać zrobił jakieś zakupy. Nie to jednak przyprawiło ją o konsternację, lecz widok, jaki prezentował.

Gdzie się podziała falująca plereza, marynara w kratkę, przykrótkie spodnie i pstrokata koszula? Gdzie buty na słoninie i krawat z gołą panną?

Mąż miał na sobie schludne popielate ubranie. Do tego białą koszulę i zwyczajny, ciemny krawat. Krótko ostrzyżone włosy zaczesał na bok.

– No, co jest, Sabinka? – zapytał. – Ślubnego nie poznajesz?

– Widzę, że to ty, ale jakby nie ty – odparła, nie mogąc wyjść ze zdziwienia. – Co się stało, żeś taki odmieniony?

– Pora dorosnąć, stokrotko – powiedział.

Odłożył pakunek i podszedł do siedzących przy stole.

Krzywiąc się nieznacznie z bólu, uklęknął przed ukochaną. Wręczył jej kwiaty, pocałował kędzierzawą główkę syna.

– Niebawem będzie nas więcej – przypomniał. – Do tej pory nie byłem najlepszym mężem i ojcem. Zaniedbywałem was – przyznał skruszony. – Wiem, że nie raz płakałaś z mojego powodu. Sama musiałaś sobie radzić z opieką nad dzieckiem i obowiązkami domowymi. Teraz to się zmieni, obiecuję! Już nigdy nie uronisz przeze mnie ani jednej łzy. Dość fiu-bździu! Dość zabawy w wiecznego chłopca. Piotruś Pan odszedł. Zamierzam rozejrzeć się za poważniejszą pracą. Chcę zajmować się maszynami. Nie po to zdałem maturę, aby sprzedawać bilety do kina.

– Ale co cię tak natchnęło? – wyraziła zdziwienie.

Nagła metamorfoza męża bardzo jej się spodobała. W gruncie rzeczy, choć nie przyznawała tego na głos, pragnęła już od jakiegoś czasu, aby Jędrus nabrał odpowiedzialności. Zwłaszcza teraz, gdy ponownie była w ciąży, choć wcale nie paliło jej się do ponownego macierzyństwa.

– Tak jakoś – bąknął. – Byłem do spowiedzi. Poczulem ogromną potrzebę dokonania poważnych zmian w naszym życiu.

W czasie gdy mieszkańców Nowej Huty niepokoiły losy budowy, Janek modlił się żarliwie nie tylko o sprawy wielkie, ale również we własnej intencji.

Krystyna wracała powoli do życia. Wciąż jeszcze mieszkali osobno. Ona u nich, on w hotelu robotniczym. Mimo zapewnień Bronka, że nie musi się wyprowadzać, nie chciał siedzieć mu na karku. Młode małżeństwo z małym dzieckiem i drugim w drodze potrzebowało spokoju i przestrzeni. Nie chciał nadużywać grzeczności Szymczaków, choć pod ich dachem było mu nad wyraz przyjemnie.

Gdy jeszcze u nich nocował, z zachwytem spoglądał na wzajemny szacunek oraz przywiązanie małżonków. Bogusia była cicha i łagodna. Krzątała się po domu, nucąc piosenki. Ludwiś ją uwielbiał – kiedy przebywał w mieszkaniu, nie odstępował matki na krok. Kulka wiedział, że serce jej się krajało, gdy musiała odprowadzać malca do żłobka. O wiele chętniej korzystała z uprzejmości Julki, która zawsze z ochotą przygarniała do siebie dziatwę z całej rodziny.

Cóż to za zadziwiające kobiety! Ach! Gdyby wszystkie miały taką naturę, świat byłby piękniejszy. Niekłótlive, pogodne, skore do pomocy... Istoty, które nie znały przekleństw, nie bluźniły, nie potrzebowały wrzeszczeć, aby zdobyć posłuch. Godne największego uwielbienia. Zauważał między nimi spore podobieństwo: nie fizyczne, lecz w zachowaniu.

Czemuż Krystyna nie przypominała Julii albo Bogumiły? Skąd u niej ta wybuchowość, ten dosadny język, ta złośliwa natura?

Janek doskonale widział wady swojej połowicy, ale czyż mógł im zaradzić? Nie da się zmienić charakteru człowieka. Krysia, prócz tego, że pyskata i uszczypliwa, miała też w naturze zaradność i pracowitość. Zanim zaczęła pić, bardzo dbała o dom i o siebie. Troszczyła się także o niego. Był do niej przywiązany. Zresztą łączyła ich święta przysięga małżeńska, której nie zamierzał łamać. Odchodząc od żony, nie zastanawiał się, co będzie dalej. Wiedział tylko, że nawet gdyby wzięli rozwód, nie zwiąże się z inną kobietą. Sumienie nigdy by mu na to nie pozwoliło.

Na szczęście myśli o definitywnym rozstaniu zaczynały się oddalać. Krystyna przestała pić. Powoli wracała do życia. Znowu zaczęła o siebie dbać, chociaż wciąż daleko jej było do kobiety, którą poślubił. Zmieniła pracę, ponieważ w tamtym sklepie już jej nie chcieli. Znowu była ekspedientką, ale nie na dziale mięsnym. Mąż regularnie do niej zaglądał. Dopytywał, czy jej czegoś nie trzeba. Wykonywał jakieś drobne naprawy w mieszkaniu.

Znowu ze sobą rozmawiali. Bez krzyków. Bez wulgaryzmów.

Siadali razem przy stole. Żona robiła mu kanapki. Czasami częstowała go obiadem. Jadł z apetytem, wypytując ją o różności. Powoli zaczęli poruszać bardziej bolesne tematy. Rozmawiali o tym, co ich podzieliło.

Ona mówiła mu o zazdrości o Julię. On tłumaczył, że nie było o co.

On mówił, że gdy piła, była niezdolna. Ona przepraszała i zapewniała, że z tym już koniec.

W końcu przyszedł także czas na rozmowę o braku dziecka. Kilka tygodni wcześniej Janek odwiedził lekarza. Podał się różnym badaniom, z których wynikało, że nie powinien mieć trudności ze spłodzeniem potomka. Napomknął jej o tym.

– Tak bywa czasami, że choć ludzie są zdrowi, nie mogą mieć dzieci. Nie powinniśmy jednak porzucać marzeń o powiększeniu rodziny. Moglibyśmy przysiąść jakąś sierotkę – powiedział z lekkim onieśmieleniem.

Krysia przypomniała sobie rozmowę z najmłodszym bratem.

Najpierw długo nie mogła przeboleć tego, że to Jędrzek zamordował Bartka.

Pamiętała, jak przez długi czas po zaginięciu kochanka żyła złudzeniami, że on się znajdzie. Być może miał już dość swojej smarkatej, infantylnej żony i po prostu nagle postanowił, że rzuci wszystko, łącznie ze spółdzielnią. Mieszkańcy Pawlic byli niewdzięcznikami. Nigdy nie doceniali jego wysiłków – na każdym kroku spotykał się z niechęcią ziomków. Ona doskonale go rozumiała. Dostosował się do zmian, chciał dobrze. Wszelkimi sposobami usiłował unowocześnić wieś. Był człowiekiem na eksponowanym stanowisku, więc nie mógł pozwolić sobie na romans z pracownicą obory. Wyparła z głowy myśl, że przecież mógł ożenić się z nią, a nie z Teresą. Zresztą w podobny sposób korygowała wiele innych wspomnień dotyczących tamtego czasu. Wciąż nosiła w sercu wyidealizowany obraz Marczyka. Nie pamiętała siorbania i mlaskania przy jedzeniu. Czerwieniejącej po wypiciu gęby. Chamstwa i gruboskórności. Obwiniała wszystkich wokół o to, że mężczyzna postępował w taki, a nie inny sposób.

W jej wspomnieniach wciąż żył: tańczył z nią, flirtował, był najprzystojniejszym parobkiem w okolicy. Myślała więc, że tak naprawdę wcale nie zaginał, lecz wyjechał w szeroki świat, aby zrobić karierę. Mógł wspiąć się na szczyty władzy – miał idealne, chłopskie pochodzenie. A potem odnaleźć ją w Nowej Hucie i wyrwać z tej beznadziejności.

Czekała na niego, spotykając się z Nikosem. Tęskniła, gdy była zaręczona z Jankiem. Marzyła, aby po nią przyjechał, kiedy już wyszła za mąż.

A później usłyszała tę straszną wieść, która zgmiotła w proch zamek z piasku, jaki wybudowała w mrzonkach.

Rozpaczała, gdy znaleziono jego ciało, a raczej szczątki, które pozostały. Była wtedy tak bardzo pochłonięta swoją zgryzotą, że niemalże nie zwróciła uwagi na nagły wyjazd braci. Nie miała pojęcia, co w tym czasie działo się z Bronkiem. Trochę się zdziwiła, gdy pewnego wiosennego dnia zobaczyła, że jest on dziwnie zgaszony, wychudły i wygląda jak cień samego siebie. Potem wrócił do formy, choć w jego oczach na zawsze pozostał wyraz głębokiego smutku. W rodzinie nikt nigdy nie rozmawiał na ten temat. Na pewno nie przy wspólnym stole, nie podczas rodzinnych uroczystości.

Andrzej jej to wszystko uświadomił. Pewnego jesienno-wieczornego, tuż po pierwszej rozmowie na ten temat, wrócił do jej mieszkania i szczegółowo opowiedział zarówno o popełnionym przez siebie czynie, jak i o heroizmie najstarszego brata.

Najpierw na niego nakrzyczała, że zmarnował jej życie. Bo przecież Bartek mógł oprzytomnieć i do niej wrócić. Potem z wolna zaczęła dopuszczać do siebie myśl, że jednak myliła się co do kochanka. W końcu wybuchła żalonym płaczem, gdy młody uświadomił jej, jak wiele szans w życiu zaprzepaściła.

Nie mogła już znieść ciszy samotnych wieczorów. Marzyła w pustym łóżku. Odczuwała dotkliwą nudę, której nie mogła wypełnić niczym. W takich chwilach odczuwała pragnienie. Myślała o kojącym kieliszku gorzałki, która pozwalała zapomnieć. Ze wszystkich sił walczyła z pokusą i na razie wychodziła z tego pojedynku zwycięsko. Pomagała jej w tym rodzina, dobrzy ludzie i życzliwy lekarz.

Mogła podjąć kolejną próbę, by przywrócić sens życiu.

Kulka skończył posiłek. Jego wyżarte wapnem ręce spoczywały na stole, po obu stronach nakrycia – dwie ciemne plamy na tle śnieżnej bieli obrusa.

– Wróć do domu, Janku – powiedziała, dotykając opuszkami jego spracowanych dłoni.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał zduszonym emocjami głosem.

– Tak. Brakuje mi ciebie. Zmieniłam się. Teraz wszystko będzie inaczej. Daję słowo.

Uściskała jej palce.

– Wrócę.

– Kiedy?

– Teraz?

– Teraz.

Janek pociągnął dłoń żony do ust i delikatnie ją pocałował.

– Kocham cię. Nie przestałem cię kochać nawet na moment, Krysieńko.

– Janku, Janku... – wyszeptwała przepelniona szczęściem.

Nie musiała być sama. Lepiej z nim niż z butelką wódki.

Zatęskniła za czasami, gdy byli szczęśliwi i dobrze im się powodziło.

Och, gdyby znowu wrócić na dział mięsny w delikatesach! Tam ludzie ją szanowali.

A jaka była wtedy szykowna!

Ostatnio przestało ją już nawet uwierać to, że nie mieli dzieci, choć wokół roilo się od ciężarnych kobiet, a Sabina od kilku dni piastowała córeczkę. Przecież Janek obiecał, że przysięgną jakąś sierotkę. Rodzina zrozumie, nie będą zadawali zbędnych pytań. Przyhołubią obce jak własne. Skoro nie wydali jej sekretów przed mężem, to i dziecku nie wydadzą, że było cudze.

*Ludzie z wiekiem mądrzeją – pomyślała. Andrzej dojrzał i wydorósł, choć taki z niego był rozlatany dzieciak. Teraz pora na mnie.*



24 kwietnia 1960

– Drodzy bracia i siostry. Z ogromnym bólem muszę wam przekazać treść pisma, które kilka dni temu nadeszło od Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych – obwieścił proboszcz Satora głosem zdławionym ze smutku.

Pod kaplicą w Bieńczycach zawrzało. Dreszcz niepokoju przeleciał pomiędzy wiernymi. Czyż mało im jeszcze zmartwień? Czy w tym świecie podłym i bezdusznym nie żyło się wystarczająco ciężko?

Julia westchnęła i pogłaskała wypukły brzuch. Jej niepokój zdawał się udzielać dziecku, które nosiła pod sercem, gdyż poruszyło się niespokojnie.

– Wszystko w porządku? – zapytał szeptem stojący obok Wawrzyniec.

Pokiwała głową i mocniej zacisnęła dłoń na rączce spacerowego wózka, w którym słodko drzemała córka.

– Mamo, idziemy już? – dobiegło ją pytanie Karola.

Chłopiec wiercił się niecierpliwie. Zapewne miał ochotę lecieć na boisko i pograć w piłkę z kolegami. Już tam na niego czekali Sasza Brywkin, Bukano Mirga, Jane Becker oraz kilku polskich rówieśników. Cóż to była za barwna mieszanka! Rosjanie, Niemcy, Romowie, Grecy... Do klasy Karola chodziły dzieciaki wielu nacji. Czasami wywoływało to różne zabawne zdarzenia, wynikające z nieporozumień językowych. Julka nieraz słyszała barwne opowieści o życiu szkolnym i zaśmiewała się z nich razem z synem. A jakże wspaniale dogadywały się te dzieciaki mimo dzielących ich różnic oraz przełamywanej systematycznie bariery językowej! Cała ta rozwrzeszczana zgraja często przybiegała do mieszkania Pawłowskich. Tupotali po schodach niczym stado żrebaków. A potem nagle zapadała cisza, gdy zatrzymywali się przed drzwiami. Stukali cicho, umówionym sygnałem. Tak ich nauczył Karol nazajutrz po tym, jak dostał burę, że koledzy narobili hałasu i obudzili Zochę.

Na razie jednak musiał cierpliwie odczekać do końca nabożeństwa.

– Cii... Jeszcze chwilę – syknęła zniecierpliwiona Julia.

Uniósł głowę i spojrzał na jej twarz. Zauważył, że maluje się na niej smutek. Słuchała jakiegoś nudnego listu, a w jej oczach zaszklily się łzy.

Niedobrze. Mamusia rzadko płakała – nigdy bez powodu. Musiało stać się coś bardzo złego. Przeniósł spojrzenie na ojca i dostrzegł pionową bruzdę na czole oraz ściągnięte gniewnie brwi. Ludzie wokół też byli jacyś ponurzy i szemrali coś buntowniczo.

– Co się stało? – zapytał półgłosem, ciągnąc mamę za rękaw luźnej sukienki.

– Cii... Zaraz ci wytłumaczę – szepnęła, ocierając mokry policzek.

Wawrzek spojrzał na syna, jakby chciał go skarcić za to, że gada podczas nabożeństwa, lecz pomiędzy nim a chłopcem stała Julia. Gdy zobaczył, że żona leje łzy, zamiast gniewać się na Karola, objął ramieniem ukochaną i delikatnie pogładził po ręce. W normalnej sytuacji nie zdobyłby się na tak poufale zachowanie w miejscu, gdzie tysiące ludzi słuchało mszy świętej, a teraz urzędowego listu. Wieści przekazywane przez księdza były jednak na tyle bulwersujące, że nikogo nie mógł zgorszyć jego gest. Od parafian i proboszcza domagano się bowiem, aby w przeciągu tygodnia został zabrany krzyż z osiedla Teatralnego, gdyż dla tego terenu obmyślone zostało inne zagospodarowanie. Zamiast świątyni zaplanowano tam wzniesienie szkoły „tysiąclatki”.

– ...po bezskutecznym upływie tego terminu Dyrekcja zmuszona będzie zlecić usunięcie krzyża na koszt i ryzyko Parafii[21] – czytał zafrasowany Satora. – Podpisano: Bogumił Korombel. Drodzy parafianie! Chciałbym was poinformować, że odmówiłem pisemnie wykonania tego polecenia.

– Nie oddamy krzyża! Trzeba z nimi walczyć! – huknął jakiś mężczyzna.

– Nie mam armat, strzelać nie będę, módlcie się – zaapelował proboszcz do wiernych. – Bóg wysłucha naszych prośb. A ja wam obiecuję, że nie ustnę w staraniach o pomyślne załatwienie sprawy.

– Będziemy bronić krzyża!

– Nie oddamy tego, co nasze!

– Hańba! Precz z komuną!

– Co za draństwo!

– Niegodziwi kłamcy! – zaszumiało wśród tłumu rozchodzącego się spod kaplicy.

– Budowa ruszy, czy się to władzy podoba, czy nie!

– Choćby nie wiem jak nam zakazywali, my postawimy na swoim. Na przekór władzy!

– Na przekór!

Każdego dnia Julia zachodziła na skrzyżowanie ulic Marksa i Majakowskiego. Zazwyczaj robiła to rano, kiedy Karol biegł na lekcje, a Wawrzek wyjeżdżał do pracy. Wkładała Zosieńkę do wózka, zabierała kankę, siatkę na zakupy i wychodziła z domu. Wiosenna pogoda sprzyjała przechadzkom, więc gdy już kobiecie udało się zrobić niezbędne sprawunki i odczekać swoje w kolejce po mleko, szła jeszcze pod krzyż, aby sprawdzić, czy stoi.

Tego dnia mijał termin wyznaczony przez władzę, a symbol wiary wciąż pozostawał na miejscu.

– Całe szczęście – odetchnęła z ulgą, a następnie zmówiła krótką modlitwę.

Z zadumy wyrwało ją kwilenie córki.

– Piciu – zaczęła marudzić dziewczynka.

– Już, zabeńko. Pojedziemy do domu i mamusia da ci kompotu.

W siedzibie krakowskiego Komitetu Miejskiego PZPR panowała nerwowa atmosfera. Minął termin, który został wyznaczony proboszczowi z Bieńczyc na usunięcie krzyża. Uparci parafianie zlekceważyli rozkaz. Jak na złość szybkimi krokami zbliżał się dzień planowanej wizyty towarzysza Gomułki. Jak tu teraz przyznać się pierwszemu sekretarzowi partii, że jego polecenie nie zostało wykonane? Nie ma innej możliwości: skoro wierni sami nie usunęli symbolu wiary, trzeba będzie im w tym pomóc. Nawet jeśli później zaczną szemrać o bezczeszczeniu świętości.

– Do tego się tylko nadają: do szemrania – utyskiwał Tadeusz Górski, chodząc nerwowo po gabinecie.

– Co poradzicie? Ciemny naród wierzy w te wszystkie zabobony – odezwał się Adam Koczur oddelegowany z Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych.

– No to my tę wiarę z nich wyplenimy! I to już! Towarzyszu. – Odwrócił się gwałtownie. – Jutro o dziewiątej rano usuniecie krzyż. Spychacz już tam stoi. Weźmiecie kilku robotników. Raz dwa załatwicie sprawę. O tej porze ludzie będą w pracy. Możecie co najwyżej natknąć się na kilka bab, ale z nimi nie będzie problemów. W razie czego dostaniecie wsparcie milicji. Jak podjedzie radiowóz, to im rury zmiękną. Jestem przekonany, że wszystko pójdzie jak po maselku.

– Pewnie, że tak. Przecież ten ciemnogród już od dawna wiedział, że budowy nie będzie. Ma być szkoła.

– Otóż to. Nie mają pieniędzy, bośmy im rozwiążali komitet i przejęli te dwa miliony, co je tak ochoczo uciulali. Z czym chcą zaczynać pracę? Porywają się z motyką na słońce. Macie jakieś pytania? Potrzeba wam czegoś? Ludzi? Sprzętu?

– Wszystko jasne – odparł posłusznie Koczur. – Od kilku dni mam w pogotowiu robotników. Nie było łatwo znaleźć chętnych, bo te gamonie jakby się ze sobą zmówiły. Ale zebrałem czterech chłopów, którzy czekają na sygnał.

– Zatem jutro rano.

– Jutro rano – powtórzył jak echo.

27 kwietnia 1960

## Rozdział 9



### *Czarne chmury nad miastem*

Kiedy na plac przy osiedlu Teatralnym przyjechał spychacz, ludzie ucieszyli się, że w końcu budowa ruszy. Po cóż by przywożono ciężki sprzęt, gdyby miało być inaczej? Wszak na szkołę, o której wspomniano w liście, nie było żadnych planów. Ot, taka luźna koncepcja urbanistów. Być może była to ostatnia, nieudolna próba wprowadzenia wiernych w błąd.

Każdego dnia okoliczna dzieciarnia przybiegała, aby z bliska obejrzeć ciężką maszynę, choć w Nowej Hucie był to widok powszedni.

Tego poranka koło krzyża kręciło się czterech robotników. Wyglądali na mocno zmęczonych, jakby dzień wcześniej oddali się długiej libacji, a raczej jakby mieli za sobą cały ciąg alkoholowych upojen.

– Budowa ruszy – stwierdziła jakaś cherlawa kobiecina z dwójką brzdąców w wieku przedszkolnym.

Stojąca obok Julka odetchnęła nieznacznie.

– Miejmy nadzieję. Tylko że coś mało tych robotników – zauważyła sceptycznie. – I chyba są niezbyt trzeźwi.

– A bo pewnie dopiero zaczną się schodzić. Przecie władza nie puści najlepszych ekip na

budowę kościoła. Jak znam życie, będą przewlekać sprawę ile wlezie. Ale to nic. Jak nasze chłopcy wyjdą z kombinatu, to zakaszą rękawy i pomogą – dowodziła nieznajoma nader racjonalnie.

– Też prawda. Może próbowali nas przechytryć, nakazując usunięcie krzyża. Gdybyśmy ustąpili, dzisiaj nie przyszliby żadni robotnicy, a partyjniacy tylko by się cieszyli, żeśmy sami oddali plac. Ale skorośmy wywalczyli swoje, to w końcu postanowili na odczepnego dać nam sprzęt i ludzi.

– Byle jakich – podkreśliła mizerota z dziećmi.

– Nieważne – wtrąciła inna kobieta, która także przyszła pod krzyż, aby się pomodlić. – Jak mój wróci ze zmiany, to dam mu obiad, a potem przyślę go tutaj. Na pewno pomoże.

– Mój też – powiedziała następna, farbowana na rudo.

– Mój brat i szwagier są murarzami. Oni aż się palą do roboty – oznajmiła Pawłowska.

– Mami, chodź do domciu. – Znudzona Zosia pociągnęła ją za rękę.

Wyjątkowo nie wzięły wózka, ponieważ Julka nie wybierała się ani po mleko, ani po sprawunki. Wszystko to załatwiła dzień wcześniej. W środę rano przygnała ją na budowę wyłącznie ciekawość. Zaaferowana kobieta chciała sprawdzić, czy krzyż jeszcze stoi, bo przecież przewrotne komuchy mogły go usunąć ukradkiem, po nocy. Po nich można było spodziewać się wszystkiego, co złe.

– Poczekaj, aniołku. Zaraz pójdziemy.

Robotnicy szwendali się beczynniami. W końcu jednak na polecenie majstra jeden z nich wsiadł do spychacza. Pozostali wzięli w garści łopaty i, ku zgrozie zgromadzonych, przystąpili do kopania wokół krzyża. Widząc to, kobiety zaczęły gwałtownie protestować.

– A co wy robicie? – zaperzyła się chuda.

– Precz stąd. Zabierać łapy od świętego krzyża!

– Od świętego krzyża? – zaśmiał się nieprzyjemnie jeden z nich. – Kpisz sobie, babo?

– Do kawałka niepoświęconego drzewa się modlicie – dodał jego kolega, biorąc zamach łopata.

Wbił sztychówkę w grunt, poprawił ciężkim buciorem, aby weszła głębiej, i z wysiłkiem odrzucił na bok ciężką grudę dobrze ubitej ziemi.

– Ludzie! Pomocy! Krzyż nam chcą zabrać!

– Wynoście się! Czy wyście nie katolicy?

Kobiety wszczęły raban. Tak głośno jazgotały na robotników, że zaraz zgromadził się tłum gapiów. Z bloków sąsiadujących z placem budowy nadbiegły inne baby – uzbrojone w to, co która złapała w pośpiechu: wałki, patelnie, pogrzebacze. Te, co je przyniosło z pustymi rękami, zaczęły zgarniać ziemię i lepić z niej kulki. Rzuciły się kupą na budowlańców, krzycząc i obrzucając ich błotnymi pecynami. Wrzaskom nie było końca. Rozjuszonym mieszkankom Nowej Huty niestraszni byli nawet milicjanci, którzy stali opodal i spokojnie przypatrywali się całej drace.

– Łapy precz od krzyża, bluźnierco! – Chuda z niespodziewaną energią napadła na robotnika ze sztychówką. A ponieważ nie zaprzestawał kopania, wzięła zamach i z całej siły przyłożyła mu kanką, którą trzymała w ręce.

Naczynie było puste, więc zadzwięczało na jego niedomytej głowie.

– Pójdiesz, babsztylu? – wrzasnął.

Byłby jej może przyłożył, ale za kobietami przybiegli na skrzyżowanie również nieliczni o tej porze mężczyźni: część z nich przed momentem odsypiała przepracowaną zmianę nocną w kombinacie, inni mieli pójść dopiero na drugą. Dostał więc robotnik jeszcze raz po łbie, i to znacznie mocniej, bo od godnego siebie przeciwnika.

– Łapy precz od kobiety, szmaciarzu!

Mimo znacznych utrudnień brygada robotników zdołała zarzucić na ramiona dziesięciometrowego krzyża grubą linę, która miała posłużyć do obalenia symbolu wiary.

Milicjanci nadal nie podejmowali interwencji, spoglądając spokojnie na zbiegowisko.

Robotnicy, mimo obelg i mało szkodliwych pocisków z błota, ciskanych na ich plecy i ramiona, powrócili do przerwane go zajęcia. Dalej usiłowali przewrócić krzyż.

W tym samym czasie od strony Dzielnicowej Rady Narodowej nadeszło kilku urzędników. Próbowali przemówić kobietom do rozsądku.

– Dajcie im wykonywać robotę. To odgórne rozkazy – tłumaczył jeden z nich.

– Nic tu po was, kobity! Won, do domów! Do dzieci! Do garów! – poparł go bardziej krewki kolega.

Z miejsca zaczęła się ostra pyskówka.

– Ratujcie! Zaraz się przewróci! – krzyknęła Pawłowska, widząc, że krzyż uległ przekrzywieniu.

– Mamuś, bojam się – powiedziała wystraszona Zosia, która już dawno przestała popłakiwać, że chce do domu, lecz stała potulnie przy matce i z rozdziawioną buzią spoglądała na przepychanki pod krzyżem.

– Nie bój się, aniołeczku, mamusia jest z tobą – powiedziała Pawłowska, ściskając rękę córeczki. – Zostaniemy jeszcze choć chwilę? Muszę zobaczyć, czy ludzie przepędzą tamtych niedobrych panów, którzy chcą nam zabrać Bożę.

Odeszły nieco dalej, na bezpieczną odległość. I choć od dreptania w miejscu solidnie spuchły jej nogi, a ciężar brzucha dawał się we znaki, nie myślała o powrocie do domu, patrząc na zamieszanie.

– Spierdalać stąd! – krzyknęła w stronę urzędasów jakaś pyskata kobieta.

– Won, wy ruskie zaprzedańce! – zawtórowała jej inna.

Posypały się obelgi. A gdy słów było mało, w stronę urzędników poleciał grad naprędce organizowanych pocisków. Zaraz znalazło się kilka kamieni, trochę grud błota, jakieś zgnite jabłko, ba!, nawet jaja! Panowie w garniturach zostali potraktowani zacnymi kuksańcami, podobnie jak kilku podejrzanie wyglądających typków, którzy zamiast bronić krzyża, weszli wśród ludzi.

Zadziorne kobiety tak poturbowały robotników, że ci zabrali łopaty i czmychnęli w popłochu. Mocniej dostało się operatorowi spychacza i majstrowi. Obydwaj zostali solidnie pobici, zanim zdołali wyrwać się z rąk rozjuszonego tłumu.

Około jedenastej na placu znajdowało się już blisko tysiąc osób. Wierni wspólnym wysiłkiem wyprostowali krzyż. Ktoś przyniósł i złożył pod nim kwiaty. Zapłonęły świece. Ludzie modlili się i śpiewali pieśni religijne. Jakiś człeczyna przymocował do krzyża kartkę, na której wcześniej wypisał fragmenty konstytucji dotyczące wolności sumienia i wyznawania wiary.

Julka odetchnęła z ulgą.

– Chodź, maleńka. Wracamy do domu – powiedziała do znużonej córeczki, niemalże przysypiającej na swetrze, który matka rozłożyła dla niej na ławce.

Dziewczynka z miejsca się ożywiła. Podała jej rączkę i razem ruszyły w stronę placu Centralnego.

*Dobrze będzie* – rozmyślała Pawłowska, widząc, że na skrzyżowanie Majakowskiego i Marksa nadciągają kolejni mieszkańcy dzielnicy. *Obronimy krzyż. Zaraz wyjdą hutnicy z kombinatu, przylecą murarze z budowy. Upilnują tego, co nasze.*

Pocieszała ją myśl, że milicjanci nie podejmowali interwencji. Ze spokojem przyglądali

się przepychankom nawet wtedy, gdy doszło do drobnych rękoczynów.

Julka spieszyła się do domu, gdyż lada moment miał wrócić Karol. Nie chciała, aby chłopiec czekał na nią przed klatką schodową, kiedy wokół było dość niespokojnie. To, że na chwilę zażegnano niebezpieczeństwo usunięcia krzyża, nie oznaczało jeszcze, że władza się podda. Julka była skłonna przypuszczać, że niebawem – w większej sile i być może z obstawą milicji – na plac wrócą robotnicy, aby podjąć kolejną próbę.

*Za łatwo poszło przepędzenie tamtych* – pomyślała z przygnębieniem.

Żałowała, że nie może pozostać z innymi, ale musiała zająć się dziećmi. Nie powinna narażać córeczki na niebezpieczeństwo. W tłumie nietrudno o wypadek. Niechby ją ktoś niechący poturbował! Była taka maleńka! Niechby upadła i została stratowana przez ludzi! Albo dostała kamieniem, czy choćby nawet grudą błota!

Julia już sobie zaplanowała, że jak Karol wróci, to zostawi z nim Zochę i wróci pod krzyż. Musiała tam być wraz z innymi. Wszak w tłumie siła! Do rozwiązania zostało jeszcze sporo czasu, da radę. Teraz trochę odsapnie, przygotuje obiad. Zostawi coś ciepłego w szabaśniku – dla męża. Przez ten czas i nogi powinny jej skłęsnać. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, aby aż tak mocno opuchły.

W mieszkaniu od razu dała małej kompotu oraz drugie śniadanie. Potem dziarsko zabrała się za gotowanie zupy. Nie mogła jednak zaznać spokoju. Co chwilę wyglądała z okna na plac Centralny, aby sprawdzić, co się dzieje. Dolatywały ją bowiem jakieś pokrzykiwania, to znowu dźwięk syreny milicyjnej. Na szczęście na ulicach panował względny spokój, choć zauważyła, że sporo osób zmierza na północ. Nieco wcześniej zegar w pokoju stołowym wybił godzinę czternastą. Teraz z tramwajów wysypywały się tłumy robotników, którzy skończyli pierwszą zmianę. Pokrzykiwali między sobą, widać było, że są niezwykajnie ożywieni. Część z nich z powrotem próbowała wsiadać do wagonów, inni pieszo udawali się w stronę osiedla Teatralnego.

– Pod krzyż! Ludzie! Pod krzyż! – nawoływali jedni.

– Chodźmy protestować pod Radę[22]! – krzyczeli inni.



W zatłoczonym do granic możliwości tramwaju było duszno od przepoconych, niedomytych ciał. Leszek skończył dniówkę i wracał do domu. Miał do przejechania ostatni przystanek, gdy usłyszał, że w mieście doszło do rozróby. Ludzie gadali między sobą, że od rana trwają przepychanki o miejsce pod kościół. Ktoś nawoływał, aby nikt nie wysiadał, tylko żeby jechać dalej – pod budynek Rady albo na osiedle Teatralne pod krzyż.

Słyszając to, próbował mimo wszystko precyzyjnie się do wyjścia. Nie zamierzał uczestniczyć w jakichś podejrzanym sprawach. Nie zdołał jednak opuścić pojazdu, więc zamiast szamotać się w ścisku, postanowił jechać ze wszystkimi, a potem spokojnie wrócić do siebie. Choćby miał iść pieszo.

– Biją nasze kobiety! – krzyknął naraz ktoś z przodu przez otwarte drzwi. – Broniły krzyża. Poszarpały się z robotnikami, którzy chcieli go wykopać. Ponoć pogotowie zabrało jakąś ciężarną!

Słyszając to, zamarł. Julia i Bogusia spodziewały się dzieci. Czy możliwe, żeby chodziło o siostrę lub szwagierkę? Oczywiście zdawał sobie sprawę, że kobiet przy nadziei jest w dzielnicy bez liku, ale niepokój, który wkrał się w jego myśli, nie odpuszczał.

– Mędy jebane! Telefony odcieśli, żebyśmy nie przekazywali sobie informacji! – darł się ktoś inny.

– Tłuką naszych pod krzyżem. Przyjechały dwa plutony zomowców. Pałują ludzi bez litości! Trza spieszyć na pomoc!

Tłum wypchnął Leszka z wagonu w pobliżu gmachu Dzielnicowej Rady Narodowej. Co tam się działo! Ludzie szarpali się między sobą. Ktoś próbował studzić emocje robotników, lecz zaraz zatkali mu gębę.

– Dawać tu te partyjne szmaty! Zaraz spuścimy lanie zdrajcom!

Szymczak dostrzegł znajomego, który podobnie jak on miał czerwoną legitymację. Chłopina ledwo trzymał się na nogach, próbując uciec przed ciosami wyrotowców. Z rozwalonego nosa ciekła mu krew, podobnie z łuku brwiowego.

– Zachciało ci się partii? Masz, czerwony zdrajco! – krzyczał jakiś krewki smarkacz, kopiąc go ile wlezie. – Gdzie masz swego Stalina? Czemu nie wyjdzie z piekła, aby ci pomóc?

Szymczak, bojąc się, aby i jego ktoś nie rozpoznał jako zaangażowanego w sprawy partii, już miał zawrócić, gdy ujrzał w tłumie Andrzeja. Chłopak ledwo kuśtykał, opierając się o laskę, lecz szedł wraz z innymi, krzycząc na całe gardło:

– Zostawcie nam krzyż! Żądamy wolności wyznania!

*Nierozważny kretyn! Żeby kaleka tak ryzykował!* – Leszek poczuł wrzący w nim gniew. Widział z oddali, że ktoś potrącił brata. Ten zachwiał się i może byłby upadł, lecz w porę podtrzymały go czyjeś ręce. Niezrażony dalej parł naprzód, zdzierając gardło jak inni.

*Muszę go powstrzymać! Przecież jak temu idiocie coś się stanie, matula umrze z żalu. Mało się nad nim napłakała, gdy leżał połamany?*

Przypomniał sobie, jak się wtedy postarzała z tego strachu i emocji. Rzadko bywał w domu w tamtym czasie, gdyż służył w wojsku. Ale jak już przyjechał, to aż zamarł ze zgrozy – tak została naznaczona przez cierpienie siwizną i zmarszczkami.

Poczucie obowiązku wzięło górę nad trwogą.

Ruszył pod prąd, na przekór napierającemu tłumowi. Musiał odciągnąć Jędrka na bok i przemówić mu do rozsądku. Rewolucje nie były dla takich jak on.

– A ty co? – zapytał go ktoś agresywnie. – Ty przeciw ludziom?

Mignęły mu przed nosem zaciśnięte gniewnie pięści.

– Skądże! Tam jest mój brat! Ten z laską. – Wskazał charakterystyczną posturę młodego. – Muszę mu pomóc, nim go ludzie przewrócą i zatratują!

– A idź – odpuścił zadziorny popędliwiec.  
Nie dał sobie dwa razy powtarzać. Czym prędzej dopadł kulawego.  
– Co ty tutaj robisz? – krzyknął Jędrak na jego widok.  
– O to samo mógłbym zapytać ciebie.  
– Bronię mojej wiary, a ty? – W jego głosie zabrzmiała agresja.  
– A ja próbuję ci ratować dupę. Wiesz, co tu się będzie zaraz działo?  
– Jak to: co? Rozpierzemy Radę. Nie będą nam narzucać jakichś podupconych ograniczeń! Za wiarę i ojczyznę! – wrzasnął co tchu w płucach.  
– Za wiarę! – podchwycił ktoś obok niego.  
– Za ojczyznę! – krzyczeli ludzie.

Milicjanci bezskutecznie próbowali powstrzymać demonstrantów. Czymże były ich wątle siły, wsparte przez dwa plutony ZOMO, naprzeciw rozjuszonej kilkutyśięcnej rzeszy, która wciąż rosła w siłę? Oni mieli do dyspozycji gumowe pały, tłum rzucał w nich kamieniami i brukiem rwanym z ulic. Nie było litości ani kompromisu.

– Nie nadstawimy drugiego policzka! – wrzasnął Jędrak.  
– Na litość boską, Jędrak! Opanujże się, chłopie. – Brat złapał go za marynarkę. – Jesteś kaleką! Stanowisz łatwy cel dla glin.  
– Mam to w dupie! Rozumiesz? – Wyszarpał połę ubrania z dłoni brata. Zachwiał się przy tym i byłby upadł, gdyby nie przytomna pomoc Leszka.  
– Zjeżdżaj do domu! Ale już! Życie ci zbrzydło?  
– Może i zbrzydło – burknął. – Bo co to za życie bez nadziei i bez Boga?  
– A odkąd to zrobiłeś się taki wierzący?  
– Ja, w przeciwieństwie do ciebie, nigdy nie zaparłem się wiary. Bóg czuwał nade mną w najczarniejszych chwilach. Ty sprzedałeś się swojej babie i partii!  
– Jędrak. Wracaj do żony i dzieci – powiedział Leszek znacznie spokojniej. Ze smarkaczem nie było co wdawać się w dyskusje. Zawsze był jak ten kogut: zadziorny, pyskaty i skory do zwady. Na przekór wszystkim. Byle podkreślić swoją niezależność.  
– Spierdalaj – syknął młody.  
– Nie! To ty spierdalaj! Pały tu nadbiegają! – ostrzegł brata. A potem bezceremonialnie złapał go za ramię i pociągnął w stronę najbliższej bramy.  
Weszli na podwórko. Leszek rozejrzał się szybko.  
– Do klatki schodowej! – zarządził.

Pomógł kalekiemu pokonać kilkunastometrowy dystans. Ledwo dotarli na pierwsze piętro, usłyszeli krzyki i tupot butów. Dyskretnie wyjrzeni przez zakurzone okno. Zobaczyli demonstranta uciekającego przed trzema milicjantami. Biedak zaczepił stopą o krawężnik i runął jak długi. To go zgubiło, ponieważ na jego plecy, głowę i ramiona posypały się razy. Kulił się, osłaniał jak tylko mógł, lecz tamci mieli zdecydowaną przewagę. Tłukli go bez litości i kopali, nie szczędząc przy tym obelg. W końcu, gdy przestał się ruszać, dali mu spokój. Jeden z nich splunął na nieprzytomnego krwawiącego mężczyznę. Znowu zatupali ciężkimi buciorami i już ich nie było. Pognali z powrotem w tłum, by szukać słabszej ofiary.

– Ja pierdolę! – stęknął Leszek.  
Odwrócił się od okna, oparł plecami o ścianę. Z wrażenia osunął się w kucki.  
– Widziałeś to, smarku? Widziałeś tego biedaka?  
– Głupie pytanie! To byli twoi pobratymcy!  
– Zamknij ryja, idioto! To nie są moi pobratymcy. Ja zem się z nimi nie dogadywałem.  
– Ale nosisz w kieszeni czerwoną szmatę, sprzedawczyku!  
– Nie jestem sprzedawczykiem!

– Zaparłeś się naszej wiary!  
– Nie! Jędrrek, błagam, wracaj do domu. Przecież tam, na dole, to mogłeś być ty! Chcesz, żeby zakatowali cię na śmierć?

– Mam jak tchórz uciekać z podkulonym ogonem?

– Żaden tchórz – perswadował starszy brat. – Zachowaj rozsądek, idź do żony i dzieciaków. Saba na pewno umiera ze strachu o ciebie. Andrzej! – Zerwał się i podszedł do brata. Oparł czoło o jego czoło i z takiej odległości spojrział mu w oczy. – Jędrus, nie wygłupiaj się, proszę. Zostaw walkę nam, zdrowym.

– Wam? – zapytał zgryźliwie kaleka. – Przecież to nie jest twoja walka.

– Teraz już jest – stwierdził.

Wyrzał przez okno. Dostrzegł leżące na chodniku ciało. Czy ten człowiek jeszcze żył? Jeśli tak, potrzebował pomocy. Jeśli nie, nie można było go zostawiać niczym ścierwo na pastwę losu.

– Zostań tu na razie – zwrócił się do brata. – Zobaczę, co z nim. Jakby co, to albo przeczekaj zamieszki, albo spróbuj przedostać się do siebie przez osiedla. Nie wychodź na otwarte ulice, to niebezpieczne. Obiecuj mi to! – rozkazał.

– Odwał się ode mnie!

– Obiecuj, że nie będziesz więcej ryzykował. Pójdę za ciebie między protestujących, przysięgam.

– Dobra – odparł bezsilny Andrzej.

Bolało go, że jako kaleka do niczego nie jest zdalny. Posłuchał jednak głosu rozsądku. Na własne oczy widział wcześniej, jak ustawieni w szyk zomowcy usiłują napierać na demonstrantów. Ludzie rwali bruk, wrywali ławki i stawiali z nich barykady. Do tych ostatnich celów wykorzystywali także tablice ogłoszeniowe i płyty chodnikowe. To była kwestia czasu, by milicjanci ściągnęli posiłki z Krakowa i okolicy. Cóż on mógł? Jaki byłby sens w tym, żeby zrobić z siebie worek treningowy?

Leszek zbiegł po schodach. Wyrzał ukradkiem zza drzwi. Podwórko było puste, lecz zza bramy wjazdowej dobiegał harmider zamieszek. Krzyki bólu mieszały się z hasłami buntowników. Słyszał było brzęk tłuczonych szyb, głuche uderzenia kamieni, tupot butów. Na to nakładało się wycie syren i jakieś rozkazy wydawane przez megafon. Wszystkie te odgłosy stanowiły trudny do opisanego zgiełk.

Wysunął się z klatki schodowej, spojrział wokół. Poszkodowany leżał niebezpiecznie blisko bramy. Widać go było jak na dłoni. Co gorsza, akurat tam ulokowali się milicjanci, którzy wyczuli, że rozpędzany przez zomowców tłum będzie szukał drogi ucieczki przez labirynt podwórek. Ostrożnie przedostał się do leżącego mężczyzny. Serce łomotało mu jak nigdy w życiu. Co chwilę zerkał, czy jego obecność nie została odkryta, lecz funkcjonariusze stali plecami do niego, widać, że zajmowali ich buntownicy.

Nie ociągając się, Leszek dźwignął bezwładne ciało. Na szczęście mężczyzna był drobnej postury, w przeciwnym razie nie dałby sobie rady.

*Ino mi teraz nie piśnij* – rozkazywał w duchu nieprzytomnemu.

Z wysiłkiem przerzucił go sobie przez ramię, choć wiedział, że w ten sposób może mu wyrządzić jeszcze większą krzywdę. Chyłkiem wycofał się do tej samej klatki schodowej, w której wcześniej znaleźli schronienie. Ku jego zaskoczeniu Jędrrek nie próżnował. Zdążył zapukać do jakichś drzwi i poprosić o pomoc.

– Na pierwsze piętro – rzucił.

Leszek, ciężko dysząc, wspiął się po schodach. Kondygnację wyżej dziewczyna w zaawansowanej ciąży wpuściła ich do swojego mieszkania.

– Połóżcie go tutaj. – Wskazała kanapę.  
– Krwawi – stęknął Leszek. – Pobrudzi wszystko.  
– Trudno. Niech pan wytrze krew ze schodów, a ja się nim zajmę. Nie potrzebuję, żeby mi tu przylecieli zomowcy – wyszeptwała pobielalymi z przejęcia ustami.

– Oczywiście. Gdzie ma pani szmatę do podłogi?

– Wisi w łazience na grzejniku.

Wyszedł, aby zrobić porządek. Kobieta pochyliła się nad rannym. Jędrrek spoglądał na to bezradnie. Chciałby pomóc, lecz nie wiedział jak.

– Da pan radę wejść po schodach na trzecie piętro? – zwróciła się do niego gospodyni.

– Oczywiście – zapewnił. – Choć chwilę to potrwa.

– Zapuka pan pod czternastką i zapyta o Anzelma. To wprowadzie weterynarz, ale może coś zaradzi. Przyjechał tutaj, gdy władza skonfiskowała dobytek jego ojcu.

Jędrrek pokiwał głową. Skąd on znał tę historię? Widać niejeden taki jak on trafił do Nowej Huty. Posłusznie wspiął się na górę i załatwił sprawnie co trzeba. Chwilę później pozbawiony praktyki weterynarz rozłożył przy rannym torbę z narzędziami. Wyjął z niej opatrunki. Uważnie obejrzał pobitego.

– Nie jest dobrze. Przydałby się szpital. Może mieć urazy wewnętrzne.

– Nie ma jak sprowadzić pomocy. Telefony odcięli – oznajmiła kobieta.

Wcześniej obserwowała rozwój wypadków ze swych okien. Jej mieszkanie mieściło się w narożniku, więc miała widok i na podwórko, i na ulicę. Widziała biegających ludzi i chaotyczne akcje zomowców. Kiedy dwaj mężczyźni wpadli w bramę, przeszła do drugiego pokoju i wyrzała na dziedziniec. Leszek i Andrzej byli szybsi lub przyczaili się w jakimś ukryciu, ponieważ ich nie dostrzegła. Zauważyła natomiast nieboraka, który nie zdążył umknąć. A kiedy milicjanci porzucili bezwładne ciało, próbowała zadzwonić po karetkę pogotowia. Należała bowiem do nielicznych szczęściarzy posiadających w domu aparaty telefoniczne. Niestety, ze słuchawki nie dobiegał żaden dźwięk. Nie zgłaszała się centrala.

Chwilę później Stanisława usłyszała odgłosy wyciszonej kłótni prowadzonej na klatce schodowej. Dyskretnie uchyliła drzwi i nadstawiła uszu. Zaraz się zorientowała, że może być przydatna.

O tym, co zaszło pod krzyżem, budowlańcy dowiedzieli się dość szybko. Z dala słyhać było wrzawę zamieszek. Ledwo zegar wybił fajrant, rzucili narzędzia i w te pędy pognali na osiedle Teatralne.

Na skrzyżowaniu trwały dość ostre przepychanki. Tłum raz po raz rozbijał zomowców zwierających szyki. Milicjanci usiłowali podejmować jakieś chaotyczne akcje, które spełzały na niczym. Czasami komuś mocniej oberwało się białą gumową pałką, to znów jakąś kobietę stratowały ciężkie, podkute buciory. Widać było, że mundurowym brakuje jakiegokolwiek planu na powstrzymanie eskalacji zdarzeń. Protestujących przybywało z każdą chwilą i zajmowali coraz większy obszar w dzielnicy. Byli wśród nich i zwyczajni ciekawscy, którzy stali spokojnie, obserwując rozwój sytuacji. Oni chyba cierpieli w tym wszystkim najdotkliwiej, bowiem nieprzygotowani do nagłego ataku, łatwo dawali się wyciągnąć z tłumu przez funkcjonariuszy ZOMO. Ci wlekli ich do radiowozów, skąd dobiegały potem przerażające krzyki.

– Trza ratować ludzi! – krzyknął Bronek, widząc, co się święci.

Naparł wraz ze sporą grupą na pojazd. Jakimś cudem zdołali otworzyć drzwi i dostać się do środka, gdzie zobaczyli mężczyznę leżącego w kałuży krwi na podłodze i milicjantów tłukących go na oślep pałami.

Robotnicy nie pozostali im dłużni. Mieli przewagę liczebną, więc bez większego wysiłku wydarli ich z samochodu. Dalejże okładać przeciwników pięściami, pałami wyrwanymi z ich rąk i czymkolwiek jeszcze popadło.

Wkrótce nadjechały posiłki. Milicyjna nyska zgarnęła poturbowanych funkcjonariuszy i odjechała w stronę Dzielnicowej Rady Narodowej.

– Za nimi! – wrzasnął Kulka. – Pod Radę!

Popędzili co tchu w płucach, zwartą grupą. Rozpierała ich niebywała energia. Z euforią wykrzykiwali wraz z tłumem żądania prawa do wyznawania wiary.

– Mamy naszą rewolucję! – krzyczał podekscytowany Szymczak. – Widzisz to, Janku? Widzisz? To dzieje się teraz, z naszym udziałem! A te skurwysyny nie były na to gotowe!

Zamieszki szybko rozlały się na dzielnicę. Kilka godzin po pierwszych starciach, do których doszło pod krzyżem, na większości osiedli panował chaos.

– Niech ta gorączka opanuje Kraków i cały kraj! – odpowiedział Kulka. – Nie damy się czerwonym skurwysynom!

– Za wiarę!

– Za ojczyznę! – Tłum raz po raz wznosił okrzyki.

Dotarli na miejsce. Część ludzi pognała dalej, na plac Centralny. W samym sercu dzielnicy podpalono budkę wartowniczą milicjantów. Funkcjonariusze ledwo zdołali się wymknąć. Jeden z nich pognał do pobliskiej cukierni. Liczył na to, że znajdzie tam schronienie i poczeka na posiłki, lecz ludzie z miejsca zaczęli oblegać lokal.

Pod Radą poleciały kamienie, rozległ się brzęk szyb wypadających z okien. Zmierzchało już, gdy wśród krzyków demonstranci wdarli się do środka. Bronek i Janek także byli w tym tłumie, ogarnięci niezwykłą gorączką i amokiem niszczenia. Trzymali się razem, by w razie czego jeden mógł pomóc drugiemu. Teraz biegali po korytarzach, wyłamywali drzwi, tłukli szyby. Z okien wyfruwały niesione wiatrem papiery, leciały maszyny do pisania i sprzęty biurowe.

– Obalim skurwysynów! – sapał Kulka, demolując szafę z aktami.

– Za naszą wolność! Za wiarę!

Tłum kotłował się w nowoczesnych pomieszczeniach. Hałas narastał taki, że człowiek nie słyszał własnych myśli, a co dopiero nadjeżdżających radiowozów. Szymczak na nic nie baczył, dokonując dzieła zniszczenia, gdy nagle usłyszał krzyk szwagra:

– Bronek! Uważaj!

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z uzbrojonym w pałę zomowcem. Zza pleksiglasowej osłony mocowanej do hełmu wyzierały puste, bezduszne oczy. Nawet nie zdążył mrugnąć powieką, gdy dostał twardą gumą przez bark. Wrzasnął z bólu i odruchowo próbował robić uniki przed kolejnymi ciosami. Janek ruszył mu z pomocą, lecz wtedy zza pleców funkcjonariusza wyszli jego koledzy.

Kulka i Szymczak rozejrzeli się nerwowo na boki. Byli w pułapce – pozbawieni drogi odwrotu.

Andrzej z Leszkiem wciąż jeszcze znajdowali się w mieszkaniu Stasi, gdy usłyszeli przeciągłe wycie syren. Młody wyrzwał przez okno. Miał doskonały widok na budynek Dzielnicowej Rady Narodowej. Widział wozy bojowe podjeżdżające na sygnałach.

– Kurwa! Sprowadzili posiłki – oznajmił. – Przepraszam za słownictwo – zreflektował się, gdyż pani domu czuwała przy poszkodowanym.

Minęło ładnych parę godzin, odkąd trafili do jej mieszkania. Chłopak poturbowany przez milicjantów właśnie się ocknął. Leżał, tłumiąc jęki. Ze stoicką cierpliwością znosił ból, choć złamany nos utrudniał oddychanie. Weterynarz, który dokładnie go obejrzał, kategorycznie nakazał mu leżeć, nim nie przyjedzie po niego karetka pogotowia, na co nie można było liczyć w najbliższym czasie.

– Nie ruszajże się, człowieku – uspokajała go Stanisława Norek, gdy zaczął przeproszać, że sprawia kłopot. – Gdyby nie ten bęben – poklepała wydatny brzuch – byłabym teraz tam, na ulicy. – Wskazała dłonią okno.

– Ja też bym tam był, gdyby nie te cholerne kulasy – zdenerwował się Andrzej.

– To zrozumiałe. A pan? – zapytała Leszka. – Jaką pan ma wymówkę?

– Jestem niewierzący – odparł ze stoickim spokojem. – To nie jest moja rewolucja.

Kobieta spojrzała nań z niechęcią. Podeszła do okna i wyrzwała zza firanki.

– Zdrajca. Doniesiecie na nas, *towarzyszu*?

– Nie jestem sprzedawczykiem. Żyję sobie spokojnie, z dnia na dzień. Nie stanąłbym po drugiej stronie barykady, nawet gdyby władza próbowała mnie do tego zmusić. Co innego ateizm, co innego bicie swoich.

– Chociaż tyle – odetchnęła. – Nie wyobrażam sobie, że miałabym gościć zdrajcę pod swoim dachem. A zdrajcami są wszyscy ci, którzy biją teraz ten tłum! Matko Najświętsza! Co tam się dzieje! – dodała.

Leszek podszedł do okna. Zrobili mu przy nim miejsce, rozsuwając się na boki.

Na zewnątrz zapadał zmierzch, lecz pod budynkiem Rady było widno. Kiosk płonący w pobliżu rzucał krwawą lunę na ludzi. Dodatkowym źródłem światła były lampy wozów bojowych. Milicjanci i robotnicy toczyli ze sobą regularną bitwę. Jedni bronili zdobytego przyczółku, drudzy za wszelką cenę chcieli go odbić z rąk wywrotowców. Na ulicy rozgrywały się dantejskie sceny. Ryk megafonów zagłuszał wycie syren i okrzyki demonstrantów.

– Chryste! – jęknął Leszek. – Młody, jak ty teraz wrócisz do domu? Nie dość, że wszędzie ciemno, bo skurwysyny powyłączali światła, to jeszcze niebezpiecznie.

– Co, jak trwoga to do Boga? – zapytała z przekąsem gospodyni. – Panowie bracia – stwierdziła.

– Owszem. Dawno powinienem był odprowadzić smarkacza, ale liczyłem, że rzecz albo rozejdzie się po kościach, albo przeniesie gdzieś dalej.

– Pan żartuje? Jak miałyby się rozejść po kościach, skoro ludzie tylko czekali okazji, aby dopieprzyć władzy? – powiedziała dobitnie.

Przez cały ten czas nie spuszczała wzroku z demonstrantów i walczących z nimi funkcjonariuszy. Nagle otwarła okno. Ujęła w dłonie niewielką doniczkę z rachityczną pelargonią. Przymierzyła starannie i cisnęła w dół. Z jej ust dobył się okrzyk triumfu, gdy trafiła w obrany cel. Zresztą z wielu okien leciały różne pociski: garnki i butelki z wodą, doniczki, jabłka, a nawet odłupane drobne elementy elewacji. Piętro niżej wrzało jak w ulu.

– Niedobrze – martwił się Leszek. – Młody, musimy stąd iść. Nie ma co czekać. Może zdołamy dotrzeć do domów przez podwórka.

Przez chwilę przyglądał się zomowcom usiłującym odbić budynek Rady. Nagle zobaczył, jak mundurowi wywlekają z bramy znajomą postać.

– Ja pierdolę! Bronek! – krzyknął na całe gardło. – Trzeba ratować chłopaka, nim go dociągną do radiowozu. Andrzej! – Złapał brata za ramiona i lekko nim potrząsnął. – Wracaj do domu, do naszych kobiet. W razie gdyby mi się nie powiodło, musisz powiedzieć Bogusi, że gliny aresztowały Bronka! – krzyknął i już go nie było.

Zatupał butami na klatce schodowej i wybiegł w tłum. Zwinnie przemykał pomiędzy walczącymi, cudem unikając ciosów. Szukał wzrokiem brata, lecz ten dawno zniknął, co nie zdziwiło go w zapadających ciemnościach.

– Ja pierdolę! – powtórzył. – Trzeba mi było się pospieszyć!

Niespokojnie spoglądał dookoła. Widział zaparkowane radiowozy i kordon funkcjonariuszy ZOMO. Pomiędzy tym wszystkim, zataczając się, pędzili Bronek z Jankiem, okładani ze wszystkich stron pałami.

– Ludzie! Ratunku! – zawył Leszek. – Trza ratować naszych!

Ruszyli całą chmarą. Poleciał grad kamieni, gruzu a nawet koksu. Zomowcy odpowiedzieli ogniem. Ktoś padł, rażony ostrym pociskiem.

– Mordują! Skurwysyny jebane! – wrzasnął jakiś wyrostek.

Leszek parł naprzód. Był tak blisko brata! Już widział, jak funkcjonariusze wpychają go do opancerzonego samochodu. Ten jeszcze walczył i szukał drogi ucieczki. Rozglądając się, na ułamek sekundy spojrzął w oczy Leszka.

– Bronek! Bronek! Nie dawaj się, kurwa! – krzyczał ten, zrozpaczony.

Nagle tuż obok niego huknęło. Poczuł nieznośne szczypanie pod powiekami. Padł na kolana.

– Aa! Kurwaaa! – jęczał, z całej siły trąc oczy.

Ułamek sekundy później otrzymał silne uderzenie w skroń.

Zapadła ciemność.



Andrzej wciąż stał w oknie. Widział, jak brat i szwagier zostają wepchnięci do stara. Dostrzegł także padającego Leszka.

– Boże, pomóż! – krzyczał z bezsilnej złości, to znowuż miotał najordynarniejszymi przekleństwami, jakie ślina przyniosła mu na język.

Jeszcze nigdy w życiu nie przeklinał tak rozpaczliwie swej ułomności. Czuł się bezsilny i do niczego niezdatny.

W krótkiej chwili poczuł nieprzyjemne pieczenie spojówek.

– Boże, co się dzieje? – jęknęła Stasia Norek, trąc palcami po oczach.

– Gaz łzawiący!

Zamknęli szybko okno, lecz pomieszczenie i tak wypełniło gryzące powietrze.

– Muszę do brata! – stwierdził Andrzej, szukając porzuconej gdzieś laski.

– Jak? Na litość boską, chłopaku! Toć oni cię zakatują! – Poczul na przedramieniu zadziwiająco mocny uścisk ciężarnej. – Nie możesz tam iść, bo i tobie zrobią krzywdę. Życie ci zbrzydło?

– Nie! Ale Leszek i Bronka... – Próbował się jej wyszarpnąć, lecz o dziwo, kobieta miała nad nim przewagę.

– Twoi bracia, tak? – zapytała.

– Tak.

– Masz ich więcej?

– Nie.

– To oszczędź cierpienia swej matce!

– Kiedy ja nie mogę patrzeć na to wszystko beczynnienie!

– Musisz. Pamiętaj, co ci powiedział Leszek, nim pobiegł do brata? Że masz bezpiecznie dotrzeć do waszych kobiet! One pewnie zamartwiają się o was.

Andrzej stał niepewnie, zerkając przez okno. Wciąż pocierał szczypiące oczy. Po przyjeździe militarne go wsparcia tłum demonstrantów sprawiał wrażenie nieznacznie przerzedzonego. Była to jednak iluzja, gdyż ludzie odchodzili chmarami w głąb osiedli po to, by po chwili pokazać się u wylotu ulicy lub w bramie prowadzącej na podwórka.

Odjechał samochód, do którego wepchnięto kilku protestujących oraz Janka i Bronka.

– Mogę jeszcze chwilę przeczekać? – zapytał Szymczak ze ściśniętym gardłem.

– Ile zechcesz – odparła gospodyni.

– Nie będę przeszkadzał? Pani mąż może się zdenerwować, gdy wróci i zastanie tutaj dwóch obcych.

– Nie ma powodu do obawy. On jest gdzieś tam, pomiędzy demonstrantami. – Kiwnęła głową w stronę okna. – I na pewno nie byłby zły.

Mijały kolejne kwadransy. Oczy szczypały nieco mniej, choć nieprzyjemne uczucie wciąż pozostawało. Jędrak wyteżał wzrok, by wyłowić jak najwięcej z panujących ciemności.

Zobaczył, że jacyś miłosierni ludzie podnoszą Leszka i układają na jedynej ławce, której nie wyrwano z ziemi. Potem pobiegli z innymi, zostawiając go zabezpieczonego przed ewentualnym stratowaniem.

– Niech im Bóg wynagrodzi – powiedział zgnębiony.

Stasia poklepała go po ramieniu.

– Będzie dobrze. Zaufaj Panu. A ty jak się czujesz? – zagadnęła poszkodowanego, który przez cały ten czas milczał, spoglądając na krążących wokół ludzi.

W odpowiedzi jęknął i leciutko kiwnął głową. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Cały zakrwawiony i opuchnięty na twarzy. Jedno oko zniknęło pod nabrzmiałą powieką, na wardze zastygł strup. Czoło miał prowizorycznie przewiązane chustą, bowiem ani weterynarz, ani Stasia

nie mieli dość opatrunków. Musieli jednak jakoś osłonić rozcięty łuk brwiowy, który został zszyty na poczekaniu.

Stasia poszła do kuchni. Po chwili wróciła z dwoma szklankami kompotu. Jedną podała Andrzejowi, z drugą podeszła do leżącego chłopaka.

– Nie płaczcie, mężczyźni nie wypada – zwróciła się do Jędrka.

Otarł szybko twarz rękawem marynarki. Nie opuszczając stanowiska przy oknie, spoglądał na rozpierzchający się tłum.

– Boże, daj, by się rozeszli. Daj, by Leszek jeszcze dychał – modlił się półgłosem bez cienia wstydu.

– Będzie dobrze – próbowała go pocieszyć, lecz on wciąż był niespokojny. Miotał się niczym zwierzę zamknięte w klatce. Nie zważał na ból, który po tylu godzinach dreptania pełzał po jego koślawych nogach.

Nie na długo wystarczyło mu cierpliwości. Szybko uznał, że zagrożenie minęło i może ruszyć bratu z pomocą. Przez cały ten czas niemal nie spuszczał z oczu jego nieruchomej sylwetki. Rozejrzał się za laską.

– Niech ci Bóg wynagrodzi za pomoc – pożegnał gospodynię i czym prędzej opuścił jej mieszkanie.

Niezdarnie zszedł po schodach. Wyjrzał na podwórze. Wokół panował względny spokój, choć niedawno stoczono tutaj bitwę. Wszędzie leżały porzucane kamienie, wybite szyby i rozwleczone śmieci.

Pokuśtykał w stronę ulicy. Szedł tak szybko, jak tylko pozwalało mu na to kalectwo. Rozglądał się bacznie. Na skrótów miał do pokonania szerokość ulicy, chodnik i pas zieleni. Adrenalina popychała go naprzód, nawet nogi były zadziwiająco posłuszne.

Dopał ławki, dysząc z wysiłku. Dawno już nie pędził takim tempem. Z trudem łapiąc oddech, spojrzął na brata. Leszek wyglądał upiornie blado. Włosy na skroni zlepily mu się w zakrzepłą bryłę, policzek także miał zakrwawiony. Prócz tego Jędrka nie zauważył innych urazów. Nachylił się nad nim i zapłakał z ulgą – poszkodowany jeszcze dychał!

– Dzięki ci, o słodki Jezu!

Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie – musiał sprowadzić pomoc albo osobiście zawlec brata do szpitala. Jedno i drugie było prawie niemożliwe w mieście ogarniętym zamieszkami. Nie miał możliwości przywołania ambulansu. Nie pozostawało nic innego, jak działać samemu. Tylko jak tego dokonać?

Przycupnął na moment przy Leszku. Wiedział, że każda chwila zwłoki może go drogo kosztować, ale musiał pomyśleć o tym, jak przenieść rannego w bezpieczne miejsce. I dokąd?

Do szpitala było zdecydowanie za daleko. Najbliżej znajdowało się jego mieszkanie, mógł ewentualnie spróbować dostarczyć brata do Julii. Nie wyobrażał sobie, że odstąpi rannego choćby na krok. Czuł paniczny strach na myśl, że w czasie, gdy on będzie błądził po mieście w poszukiwaniu Wawrzka lub kogoś ze znajomych, podjadą milicjanci i zabiorą Leszka. Mógłby wprawdzie spróbować ukryć go w jakiejś klatce schodowej albo dotaszczyć do mieszkania Stasi, u której przesiedział ostatnich parę godzin, lecz uznał to za niewystarczające rozwiązanie. Ciemności mogły mu pomóc. Dać osłonę, której nie było za dnia. Postanowił, że spróbuje dotrzeć z bratem do Julki. Szwagier na pewno zlituje się i pomoże dostarczyć go do szpitala. To było najracjonalniejsze rozwiązanie.

Tylko jak wprowadzić je w czyn?

Nie mógł liczyć na pomoc w transporcie ze strony kogokolwiek z demonstrujących. Na własne oczy widział, jak ludzie to uciekali w popłochu przed wozami bojowymi oraz uzbrojonymi zomowcami, to wdawali się z nimi w groźnie wyglądające bijatyki. Zdany był sam

na siebie.

Po domu często próbował kuśtykać bez laski. Szło mu to nader opornie, ale nie należał do osób, które łatwo rezygnują. Teraz wziął górę strach. Odłożywszy laskę, Andrzej na chwiejnych nogach przymierzył się do Leszka. Z nadludzkim wysiłkiem uniósł bezwładne ciało i przełożył przez swoje ramię.

– Ależ upasiony, skurczybyk. Służy mu wikt Kaźmierki – burknął, uginając się pod ciężarem brata.

W duchu prosił Boga, aby jego poczynania nie zaszkodziły dodatkowo rannemu.

Sięgnął po laskę. Wsparty na kawałku drewna, ostrożnie niośł nieprzytomnego. Powoli, krok po kroku. Z wielkim wysiłkiem, zaciskając zęby w bólu, który rozsadał jego źle zrosnięte kości.

*Boże, miej litość – jęczał, walcząc z własną słabością. Nie pozwól, aby Leszek umarł. Matuś by tego nie przeżył. Ja wiem, że jestem marnym pyłem, niegodnym Twojej laski, ale błagam, dodaj mi sił!*

Wzrastało natężenie hałasu. Zerknął nerwowo za siebie i zobaczył rozwrzeszczany tłum ludzi uciekających przed bojowym wozem milicyjnym. Zomowcy nie żalowali armatek wodnych, usiłując rozpedzić demonstrantów.

*Zatratuj nas! Trzeba wiać na bok – przeszło kalekiemu przez myśl.*

Przerażony, kuśtykał w stronę najbliższej bramy.

Serce pękało mu z żalu, bowiem miał do przejścia spory kawałek w stronę przeciwną do celu, który obrał pierwotnie.

Coraz bardziej ciążył mu ranny brat. Nogi odmawiały posłuszeństwa, bolały ramiona – zarówno to, na którym niośł Leszka, jak i to, którym wspierał się o laskę.

Jeszcze parę kroków. Jeszcze trochę. Jeszcze...

Nagle znalazł się w samym środku snopu ostrego światła. Widział czarny zarys własnej sylwetki rzucającej cień na skwer. Chwilę później poczuł silne uderzenie w plecy, a następnie rozlewającą się po nich falę ciepła. Przed oczami zawirowały mu czarne płatki.

– Matulu! – westchnął, osuwając się na kolana.

Ostatnim przebłyskiem przytomności pokierował swe ciało tak, aby nie przygnieść Leszka. Padli na miękką kobierzec szmaragdowozielonej trawy.

*Jakie dorodne koniczyny – naszła go niespodziewana myśl. Agata wiała z takich wianuszki.*

### *Kilka godzin wcześniej*

Julia wyjrzała przez okno. Było późne popołudnie, a Wawrzek wciąż nie wracał. Zwykle o tej porze był w domu. Pomyślała, że na pewno już dawno opuścił kombinat. Czy wmieszał się w tłum protestujących?

Choć stronił od politykowania, nie przypuszczała, aby szukał schronienia w jakimś bezpiecznym miejscu w nadziei na przeczekanie zamieszek. To nie było do niego podobne. Mimo że jeszcze parę godzin wcześniej sama myślała o tym, aby zostawić dzieci w mieszkaniu i wyjść na miasto, porzuciła ten zamysł. Na ulicach było teraz bardzo niebezpiecznie, a ona za kilka tygodni spodziewała się rozwiązania.

Na zewnątrz wrzało niczym w czarcim kotle. Ludzie wznosili okrzyki, nawoływali do buntu przeciwko władzy. Czasami krzyk przechodził w śpiew. Wtedy z tysięcy robotniczych gardeł płynęły pieśni religijne lub patriotyczne. Donośny ryk z megafonów nie był w stanie zagłuszyć ich głosów.

Dość długo czekała na męża z obiadem. W końcu, czując, że jego nieobecność może się przedłużyć, nakarmiła dzieciaki i sama także chlipnęła parę łyżek zupy. Na więcej nie miała ochoty, gdyż strach skutecznie odbierał jej apetyt.

– Obywatele! Wzywamy was do rozejścia się! – chrypiał uliczny głośnik.

– Mamuś, co się dzieje? – dopytywał raz po raz Karol.

– Nic takiego, synku. Nie podchodź do okna! Zmykaj stąd. Raz dwa! – dodała surowym tonem.

Sama z lękiem spoglądała na ulicę, kryjąc się za firanką. Widziała demonstrujący naród oraz przemierzające się wozy bojowe oblewające wodą tłumy robotników. Chwilami widok przesłaniały kłęby dymu wywołane wybuchem petard. Mimo zamkniętych okien do mieszkania wdzierał się dziwny zapach. Gaz łzawiący szczypał w oczy. Julia zaprowadziła Karola i Zosię do pokoju naprzeciw. Tam okna wychodziły na podwórze, więc była nadzieja, że drażniąca substancja nie dotrze do dziecięcych oczu.

– Zostań tutaj z siostrzyczką, dobrze? – poprosiła. – Pobawcie się ładnie, zaraz do was przyjdę.

– Mamo, ale ja będę się nudził – jęknął. – Poszedłbym na pole zagrać w piłkę z Saszą i Bukanem. Umówiliśmy się na mecz po lekcjach.

– Nie ma mowy! Twoi koledzy na pewno siedzą w domach. Przecież sam widziałeś, że na ulicach jest niebezpiecznie – dodała, starannie zamykając za sobą drzwi.

Weszła do stołowego, z którego był najlepszy widok na plac Centralny. Zamknęła się w pomieszczeniu, nie zważając na to, że do pokoju przenika gaz łzawiący.

Przepełniona obawami wyjrzała ponownie przez okno. Usiłowała w kotłującym się ludzkim mrowiu wyłowić jakieś znajome postaci.

Za oknem zaczynało zmierzchać. Włączyła światło i zajrzała do dzieci. Bawiły się zadziwiająco spokojnie drewnianymi klockami.

– Zgłodnieliście pewnie – stwierdziła i podreptała do kuchni, aby przygotować posiłek.

Z niepokojem spoglądała na przesuwające się wskazówki zegara. Czas płynął zatrzęsająco szybko, a Wawrzyniec wciąż nie wracał.

*Boże mój, Boże! Gdzie on jest?* – zamartwiała się, krojąc zgrabne pajdy.

Automatycznie wykonywała wszystkie czynności. Wyjątkowo rodzeństwo miało dostać

na kolację kanapki z dżemem, a nie grysik na mleku, jak to zazwyczaj bywało. Już i tak spóźniła się z podaniem kolacji, gotowanie kaszy manny przesunęłoby tylko czas ostatniego posiłku na później. Zdrowy rozsądek nakazywał jak najszybsze nakarmienie pociech i odesłanie ich do spania.

Nagle w mieszkaniu zapanowała ciemność. Przestraszona Zosia pisnęła.

– Mamuś, co się stało? – zapytał zaniepokojony syn.

– Nie wiem, kochanie. Być może wybiło korki – wysiliła się na spokojny głos. – Nie ruszajcie się nigdzie, zaraz poszukam świeczek.

Tak naprawdę gardło miała zdławione, a serce tłukło się nerwowo. Brak światła wywołał jakieś niedoprecyzowane lęki, które pełzały zimnymi mackami po jej plecach.

*Boże, miej w swej opiece Wawrzyńca.*

Po omacku sięgnęła do szafki. Na szczęście zarówno świece, jak i zapalki miała pod ręką – zawsze w tym samym miejscu.

W chybottliwym blasku kuchnia od razu stała się przyjaźniejsza.

– Czemu nie ma jeszcze tatusia? – zapytał wystraszony chłopiec. Chociaż matka jak mogła starała się trzymać go z dala od okien wychodzących na plac Centralny, on zdążył wcześniej ujrzeć, że na zewnątrz dzieje się coś dziwnego. Zresztą nawet w jego pokoju słychać było jakieś dziwaczne odgłosy i budzące grozę krzyki.

– Tatko niebawem przyjdzie – zapewniła.

On jednak miał wątpliwości.

– Czy to wojna? – zapytał.

Ciągle o tym mówiono w szkole. Regularnie odbywały się zajęcia z przysposobienia obronnego. Uczono ich, jak założyć maskę oraz pelerynę zabezpieczającą przed skażeniem. Robili ćwiczenia z ewakuacji, opuszczając w pośpiechu klasy i schodząc do schronów.

– Nie. To nie jest wojna. – W oczach matki dostrzegł obawę. – Synku, zamiast zadawać niemądre pytania, lepiej zmów paciorek, żeby tatuś bezpiecznie do nas wrócił.

– A ty?

– Możemy pomodlić się razem. Tylko ja będę robiła kolację, więc ty ładnie przeżegnaj się za nas wszystkich. Zmówimy „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Mario” i „Pod Twoją obronę”.

Chłopiec pokiwał głową. W kuchni zabrzmiała niezbyt głośna modlitwa. Z lękiem i nabożną czcią powtarzali dobrze znane słowa. Skończyli w tej samej chwili, gdy kolacja była gotowa do podania.

Julia odłożyła dla męża kilka kanapek. Potem wzięła jedną z talerza i pokroiła ją na małe kawałeczki. Tak jak niegdyś synka, tak teraz karmiła córeczkę. Sama nie jadła nic, nie byłaby w stanie przełknąć ani kęsa.

– Jedz, Karolku, jedz – napominała chłopca.

– Już pojadłem – oznajmił.

– Jeszcze choć połówkę. Za tatusia – poprosiła.

O dziwo, chłopiec bez kręcenia nosem spełnił jej polecenie.

Siedzieli w ciszy. Nawet Zosia milczała, choć z dwuletniej dziewczynki była nadzwyczajna gaduła. Widać jednak było, że oczy kleją jej się do snu. Przysypiała nad kolacją, więc Julia pomyślała, że daruje córeczce kąpiel i po prostu położy ją spać.

Kwadrans później zamknęła drzwi od pokoju dzieciennego.

– Ty też powinienesz już się położyć – oznajmiła Karolowi. – Jutro nie będziesz chciał wstać do szkoły – dodała. A potem uświadomiła sobie, że puszczanie dziecka na lekcje nie ma najmniejszego sensu. Miasto ogarnął chaos. Mało prawdopodobne było, że do rana to ucichnie i wszystko zacznie normalnie funkcjonować.

Nie mogła jednak przenosić swoich lęków na dzieci. Wypadało nadać ich życiu w tych trudnych chwilach jak najwięcej normalności.

*Boże... A jeżeli wybuchnie wojna domowa?* – nasza ją obawa.

Wróciły straszne wspomnienia z czasów okupacji. Co z tego, że wówczas ciemniejszymi byli Niemcy i Rosjanie? Czy Polak występujący przeciw Polakowi byłby w czymkolwiek lepszy? Mało się nasłuchiwała opowieści Bronka z aresztu? Mało przerażających historii, podawanych z ust do ust, krążyło wśród ludzi? Mało widziała na własne oczy, a nawet, nie tak znowu dawno temu, odczuła na własnej skórze?

Nagle usłyszeli chrobotanie dobiegające od drzwi wejściowych. W pierwszej chwili zamarła z niepokoju, lecz zaraz jej serce mocniej zabiło. Niewiele myśląc, zerwała się ze stołka, nakazując jednocześnie gestem, aby syn został na miejscu. Wzięła ze stołu jedną ze świec.

*Niech to będzie Wawrzek* – błagała w duchu, szarpiąc się z zamkami.

Za drzwiami rzeczywiście stał, a raczej opierał się o futrynę, jej mąż.

– Wawrzus! – wykrzyknęła z poczuciem ulgi. – Dobry Boże! Umierałam ze strachu!

– Jestem, Julisiu – odparł słabym głosem. Wszedł do środka, ale zatrzymał się w przedpokoju.

– Tatku! Tatku! Jak dobrze, że wróciłeś! – radował się Karol.

– Ja też się cieszę, smyku – powiedział. – A teraz uciekaj do łóżka, bo już późno – dodał.

W mroku panującym na korytarzu Julia niewiele widziała. Domyślała się, że coś jest nie tak, ponieważ głos męża brzmiał dość dziwnie.

– Karol, do spania – przegoniła chłopca. – Nie musisz się dzisiaj myć. Szybciutko!

Chłopiec niechętnie usłuchał matki. Wolałby zostać z tatą i zapytać go, gdzie podziewał się tyle czasu. I co to za niezwykle rzeczy dzieją się za oknami. I dlaczego mamusia zamknęła pokój stołowy, a pod drzwiami położyła zwinięty koc. I dlaczego trochę szczypią go oczy.

Wawrzyniec odczekał, aż syn odejdzie.

– Pomóż mi, Julisiu – jęknął.

Dopiero teraz zobaczyła, że mąż trzyma się za ramię, a jego odzież w mdłym świetle świecy wygląda dziwnie. Kiedy jednak Wawrzek wszedł do kuchni, zauważyła, że to, co wyglądało na mokrą plamę, było w rzeczywistości krwią. Pomiędzy jego palcami wolno płynęły gęste krople.

– Matko Przenajświętsza! Jesteś ranny!

– Cii... Juleczko – zaczął ją uspokajać.

Usiadł ciężko na zydlu, oparł się plecami o ścianę.

– To nic wielkiego. Kula przeszła na wylot.

– Strzelali do ciebie?

– Tak, ale chybili. Musisz mi założyć opatrunek. Nie mogłem z tym do szpitala. Ponoć dzieją się tam dantejskie sceny. Zaraz by mnie spisali i byłyby z tego kłopoty. Wiesz jakie – szeptał, gdy ona spoglądała na niego w bezradnym milczeniu.

Stała niczym mityczna żona Lota niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

– Juliś, pomóż. Musisz opatrzyć mi ranę – powtórzył. – Juliś!

Z przerażeniem pokręciła głową.

– Trzeba sprowadzić lekarza!

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Poradzisz sobie. To drobiazg. Kula przeszła na wylot. Posłuchaj: w barku jest butelka wódki. Może nawet znajdziesz tam spirytus. Przynieś go tutaj. Zalejesz nim solidnie ranę, a potem ją zabandażujesz. Nie chcesz chyba, abym wykrwawił się na śmierć. – Przez jego twarz przemknął cień bladego uśmiechu.

To podziało. Julia rzuciła się do pokoju stołowego. Gaz, który wdarł się szczelinami

w oknie, uszczypnął nieprzyjemnie jej oczy. Po omacku wyszukała w barku alkohol. Opatrunki trzymała w szafce kuchennej. Przymtomnie złapała jeszcze nożyczki, aby rozciąć rękaw marynarki. Ta już na pewno nie będzie nadawała się do użytku, tak bardzo była zniszczona i uszargana.

Gdy wróciła do kuchni, Wawrzek siedział na taborecie. Był blady niczym upiór. Okrycie wierzchnie zdołał jakoś zdjąć. Właśnie szarpał się jedną ręką z guzikami koszuli, która rano była nieskazitelnie czysta, a teraz wyglądała mniej więcej tak, jak flaga narodowa – biel spłynęła purpurą.

– Poczekaj, kochanie. Już ci pomogę – powiedziała Julka, odkładając alkohol.

W czasie, gdy rozpiniała guziki, on sięgnął zdrową ręką po flaszkę. Odkręcił zakrętkę i wlał sobie wprost w gardło zacinając porcję gorzałki. Pierwszy haust go zapowietrzył.

– Muszę się znieczulić – usprawiedliwił przed Julią swoje zachowanie.

Przyjęła to ze zrozumieniem. Musiało go boleć – krwawił bardzo obficie.

Pomogła mu zdjąć koszulę i obejrzała ranę. Nie było to proste, bowiem krew wciąż płynęła. Otwór wlotowy był gładki, znacznie gorzej wyglądało to z drugiej strony. Pocisk rzeczywiście przeszedł na wylot, pozostawiając za sobą poszarpane tkanki i mięśnie.

– Zrobię opaskę uciskową powyżej – oznajmiła Wawrzyńcowi.

On tylko pokiwał głową i pociągnął kolejny łyk wódki.

Najdelikatniej jak tylko to było możliwe obmyła okolice urazu.

Upływ krwi, przeżyty szok oraz głód zrobiły swoje.

– Całusa – mruknął Wawrzek dość niewyraźnie, zamroczony sporą ilością alkoholu.

– Głuptas z ciebie – odparła, nie przerywając pracy.

Mocno owinęła jego ramię nad miejscem postrzału.

– Pocałuj mnie, żoneczko, bo mogę tego nie przeżyć. A jeśli wykrwawię się na śmierć, to zabiorę do grobu wspomnienie twoich słodkich ust.

– Nie do wiary! Żarty się ciebie trzymają? – zapytała zdumiona, lecz on złożył usta jak do pocałunku i zamknął powieki.

Cóż miała zrobić? Delikatnie ucałowała jego wargi.

– Kocham cię, Julisiu – powiedział, a potem jego głowa zawisła bezwładnie na piersi.

Sabina umierała ze strachu. Czas płynął nieubłaganie. Dzień zamienił się w niespokojną noc. Na ulicach wciąż wrzało, a Jędrka nie było.

*Gdzież on jest?* – rozmyślała.

Pawełek i Danusia spali już słodko, a ona dreptała niespokojnie po mieszkaniu, czekając na ukochanego męża.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuła równie wielkich obaw. Jakże bowiem szanse mógł mieć kaleki mężczyzna w starciu z uzbrojonym i zaprawionym w bojach zomowcem?



Bogumiła także odchodziła od zmysłów, krążąc szpitalnymi korytarzami. Miała poranny dyżur, gdy usłyszała, że w mieście wybuchły zamieszki. W godzinach południowych karetki pogotowia zaczęły zwozić pierwszych rannych.

Ktoś dostał kamieniem w głowę, inny w oko. Komuś milicjanci przetrącili bark. Pobitych pałami było najwięcej. Głównie mężczyźni, ale trafiło się również kilka pań.

– Co za bydlę! Nie oszczędzili nawet kobiet. – Pielęgniarka nie kryła oburzenia, opatrując młodzieńką, może szesnastoletnią dziewczynę, której spuchła stopa po tym, jak z rozmysłem nadepnął na nią zomowiec swoim ciężkim, podkutym buciosem. Ponieważ panna była w pepegach, została zraniona do krwi i na tyle mocno, że zachodziła potrzeba nałożenia kilku szwów.

Prócz cywili, pogotowie przywoziło także rannych zomowców. Jedna z pielęgniarek, widząc, że po udzielenie pierwszej pomocy dotarło karetką dwóch funkcjonariuszy, odeszła na bok i zaczęła chichotać. Potem śmiech zamienił się w złość. Bogusia spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Co tobie, Karolinko? – zagadnęła, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Przypuszczała bowiem, że koleżanka zachowuje się tak dziwnie na skutek przemęczenia zbyt długim i wyczerpującym dyżurem.

– Ano nic. Na płacz mi się zbiera, jak widzę, że jest ich tylko dwóch, podczas gdy w sanitarce znalazłoby się miejsce dla pięciu. Dobrze tak, kanaliom. Niech im nasi wtłuką ile wlezie – dodała z gniewnym błyskiem w oczach.

Tego dnia Bogusia opatrzyła niezliczoną ilość ran. Słaniała się ze zmęczenia, ale pracowała wytrwale. Każde ręce były teraz niezbędne. Osób potrzebujących pomocy przybywało z każdą godziną. Ponieważ była już na dniach – mogła urodzić w każdej chwili – ordynator wspaniałomyślnie przydzielił ją do opieki nad lżej rannymi.

Na zewnątrz zapadł mrok. Nowa Huta zatonęła w ciemnościach, bowiem ktoś odgórnie polecił, aby wyłączono prąd. Władze liczyły, że brak światła zmusi demonstrantów do rozejścia się, na co jednak w ogóle się nie zanosilo.

Poszkodowani przybywający na oddział szpitalny przynosili z miasta zatrważające wieści. Komunikacja miejska została wstrzymana. Prócz tego, że odłączono prąd, nie działały telefony. Osiedla ogarnął chaos. Ludzie budowali barykady. Spłonęły jakieś kioski. Zamieszki wcale nie cichły. Na pomoc nowohuckim milicjantom sprowadzono służby mundurowe z Krakowa oraz pobliskich miejscowości. To wywołało jeszcze większe rozróbę i w niczym nie pomogło włodarzom. Dla osób nieobeznanych z topografią Nowa Huta stanowiła istny labirynt na pozór zamkniętych osiedli. Tłum demonstrantów, uciekający przed armatkami wodnymi i gazem łzawiącym, potrafił znikać w jednym miejscu, by po chwili wyłonić się z jakiegoś zaułka. Zomowcy goniący pojedynczych *chuliganów* szybko tracili ich z oczu. Protestujący przemieszczali się nie tylko ulicami i osiedlami, ale wykorzystywali również podziemną część miasta – na coś im się przydało zarówno staranne planowanie, jak i próby zabezpieczenia dzielnicy przed wybuchem wojny. Wieczorem zdesperowani *stróże prawa* otrzymali zgodę na użycie ostrej amunicji.

*Dobry Boże, spraw, aby Bronkowi nic się nie stało* – modliła się w duchu pielęgniarka. Niespokojnym spojrzeniem lustrowała wszystkie osoby, które pojawiały się w izbie przyjęć. Doskonale wiedziała, że jej małżonek ma niebyswały dar wpadania w tarapaty.

Pragnęła wrócić jak najszybciej do domu, choć dobrze wiedziała, że wędrownica przez opanowane zamieszkami miasto może być niezwykle niebezpieczna. Z tego, co zdążyła usłyszeć, najbardziej zagrożeni byli przypadkowi przechodnie oraz gapie.

Martwiła się także o Ludwiczka, który przebywał w tygodniowym żłobku. Byłaby znacznie spokojniejsza, gdyby został u Julci. Dobrze było mieć taką kochaną szwagierkę, która, choć sama ciężarna, gdy tylko zachodziła potrzeba, bez mrugnięcia okiem przyjmowała pod swój gościnnie dach wszystkie dzieciaki z rodziny. Bogumiła nie chciała nadużywać tej dobroci, lecz teraz żałowała, że nie zawiozła do niej maluszka. Drżała na myśl o tym, czy jest bezpieczny. Postanowiła, że jak tylko nadarzy się możliwość, pójdzie po dziecko. Lepiej będzie w tym niespokojnym czasie mieć synka w domu albo u Pawłowskich.

*A może Broniś już wrócił? Może odebrał Ludwisia? Może to on martwi się, gdzie ja tak długo jestem?*

Wszak powinna była wyjść kilka godzin temu. Została jednak na prośbę ordynatora – podobnie jak kilka innych pielęgniarek, bowiem na zmianę, przed którą miała skończyć dyżur, nie dotarli wszyscy pracownicy wpisani w grafik.

Julia przestraszyła się, gdy mąż zawisł bezwładnie na stołku. W pierwszej chwili pomyślała, że wykrwawił się na śmierć. Wszak ubranie było nią mocno przesiąknięte. Na szczęście zauważyła falującą lekko klatkę piersiową. Biedak stracił tylko przytomność. Całe szczęście, że oparty był o ścianę, bo gdyby runął jak długi, nie dałaby rady go podnieść. W jej stanie taki wysiłek mógłby zaszkodzić.

– Może to i lepiej – stwierdziła, oglądając uważnie ranę.

Kości wyglądały na nienaruszone. Pocisk o małym kalibrze faktycznie przeszedł na wylot. Stuknął o kuchenną posadzkę już wtedy, gdy Julia zdejmowała Wawrzekowi koszulę. Najdelikatniej jak tylko mogła oczyściła newralgiczne miejsce z kłaczek wyszarpanych z koszuli oraz marynarki. Gnębiła ją myśl, czy na pewno zrobiła to wystarczająco dokładnie. Nie miała wprawy w robieniu opatrunków. Zawahała się moment, potem sięgnęła po wódkę i sownie załaza ranę. Wawrzek jęknął przez sen.

– Mój biedaku – westchnęła. – Mam nadzieję, że to wystarczy. Umarłabym z żalu, gdybyś odszedł do aniołów.

Ostrożnie zawinęła jego rękę bandażem. Na szczęście opaska uciskowa powstrzymała krwotok. Julia postanowiła, że zostawi na razie męża w spokoju, a uprzątnie bałagan, który powstał w kuchni. To było teraz najważniejsze. Nie potrzebowała, aby przyszło któreś z dzieci i zobaczyło pobojowisko. Pomieszczenie wyglądało tak, jakby odbyła się w nim rzeź. Podłoga, stół, taboret, na którym siedział Wawrzek, a nawet ściana nosiły ślady krwi. Ona też miała poplamioną odzież.

Schyliła się i podniosła leżącą na podłodze kulę. Zaciśnęła ją mocno w garści i podniosła pięść do ust.

– Dobry Boże – wyszeptwała. – Dziękuję, że przywiodłeś go do domu. Strach pomyśleć, co jeszcze mogło się wydarzyć.

Pozbierała zakrwawione ubrania. Marynarkę po krótkich oględzinach wyrzuciła do kubła na odpadki. W ślad za nią poleciała dziurawa i poplamiona koszula. Można było wprawdzie próbować ją uratować, ale Julia dobrze wiedziała, że nawet gdyby zdołała doprać plamy z krwi, Wawrzek i tak nigdy by jej nie włożył. Nie nosiłby połatanej rzeczy, miał do tego ogromną niechęć sięgającą czasów okupacyjnego niedostatku.

Mimo ciężącego brzucha sprawnie uwinęła się z doprowadzeniem kuchni do czystości. Kucnęła przed mężem i ostrożnie zdjęła mu buty. Te także oczyściła z krwi. Dopiero gdy sama zdjęła uszarganą odzież i zastąpiła ją podomką, zdecydowała, że czas obudzić Wawrzyńca, aby poszedł do sypialni.

Niestety, wypity wcześniej alkohol zrobił swoje. Mężczyzna mamrotał coś niewyraźnie i nawet nie próbował ruszyć się z miejsca.

Nie mogła go tak zostawić.

– Karolku, śpisz? – Zajrzała do pokoju dzieciaków.

Nie spał. Nasłuchiwał nerwowej krzątany.

– Co się stało, mamusiu? – zapytał.

– Tato miał nieprzyjemną przygodę. Musiałam opatrzeć mu skaleczenie – powiedziała wymijająco. – Chodź, synku, pomożesz mi zaprowadzić go do łóżka. Sama nie dam rady, a ty już jesteś dużym i mężnym chłopaczyskiem.

Chłopiec odrzucił kołdrę, odsłaniając długie, chude, patykowate nogi. Bez zadawania zbędnych pytań poszedł z matką do kuchni. Na widok pobladłego ojca z obandażowanym przedramieniem stanął jak wryty. Julia pogratulowała sobie w duchu przezorności, która nakazała jej uprzątnięcie pomieszczenia oraz zmycie z Wawrzyńca śladów krwi.

– Mamo? – Odwrócił ku niej wielkie przerażone oczy.

– Nic mu nie będzie, synku – zapewniła, choć drżała z obawy, czy rana nie została zakażona i by nie okazało się, że mąż nie przeżyje nocy.

– Wawrzuś – usiłowała jeszcze raz obudzić męża. – Wstań, kochany, powinieneś pójść do łóżka.

Przecknął się na chwilę, choć był wciąż zamroczony alkoholem. Wstał i pozwolił, by zaprowadzili go do sypialni. Tam Julia i Karol pomogli mu się ułożyć.

– Dziękuję, synku. Idź spać. A przed snem zmów paciorek za zdrowie tatusia i wszystkich dobrych ludzi, którzy wpadli dzisiaj w tarapaty – poprosiła szeptem.

– A ty? – zapytał.

– Posiedzę przy nim. Będę czuwała.

– Mamusiu? – Przystanął w drzwiach.

– Tak?

– Boję się – przyznał. – Słyszałem krzyki i strzały. Czy to wojna? – ponowił wcześniej zadane pytanie.

– Nie. To tylko nieporozumienie. Straszne nieporozumienie, bo Polak staje przeciwko Polakowi. Żyjemy w trudnych czasach.

– Dlaczego? Przecież nie jest źle. Nie chodzimy głodni, mamy telewizor i samochód, i pralkę... Nie ma hitlerowców i ruskich. Bunia mówiła, że oni byli najgorsi.

– Tak, wiem. Kiedyś ci to wszystko wytłumaczymy. A teraz zmykaj, dobrze?

Chłopiec zamknął za sobą drzwi.

Julia westchnęła. Odpięła mężowi pasek w spodniach. Zsunęli je wspólnym wysiłkiem. Po chwili mężczyzna ponownie zapadł w głęboki sen. Okryła go kołdrą.

Usiadła na fotelu. Wzięła w dłoń różaniec, lecz nie potrafiła skupić się na modlitwie. Zamiast tego wspominała wszystkie dobre chwile, które spędziła z Wawrzyńcem. To, jak nabił jej niechcący guza, a potem nalegał, aby poszli razem na kawę. Jak karmili łąbędzie nad zalewem, chadzali na spacer. Jak oświadczył się w parku Ratuszowym na oczach spacerowiczów. Jak bywali razem w Stylowej.

Co jakiś czas wstawiała, aby przyjrzeć mu się z bliska. Choć była nieprawdopodobnie zmęczona, bała się położyć i zasnąć.

Okolo północy Wawrzek zaczął się niespokojnie rzucać. Na twarz wystąpiły mu krople potu. Zatraskana kobieta dotknęła jego czoła i zamarła. Było rozpalone.

Szybko przygotowała chłodne kompresy.

– Jesteś światłem mojego życia. Wniosłeś w nie radość i szczęście. Nie zostawiaj mnie teraz samej – prosiła.

Godziny mijały jedna za drugą. Za oknami szarzało. Krzyki demonstrantów ucichły. Julia wyjrzała przez okno i zobaczyła nerwową krzątanicę służb porządkowych oraz kręcących się funkcjonariuszy MO. Miasto wyglądało żałośnie. Sklepy straszyły rozbitymi witrynami, rabaty zostały stratowane. Z ulic zbierano śmieci, gruz, potłuczone butelki. W powietrzu czuć jeszcze było woń gazu i spalenizny.

– Juleczko? – usłyszała słaby głos Wawrzka.

Odwróciła się gwałtownie.

– Jak się czujesz?

– Jak sytuacja na ulicach? – odpowiedział pytaniem.

– Wygląda na to, że zamieszki stłumione – westchnęła. – Chyba pobili naszych.

– Która godzina?

– Szósta. Nie powiedziałaś, jak się czujesz – przypomniała.

– Muszę jechać do kombinatu – odparł, podnosząc się. Uraził przy tym ramię, gdyż

syknął z bólu.

– Co ty wygadujesz? Jesteś ranny. W nocy miałaś gorączkę! – zdenerwowała się Julia.

– Nic mi nie jest. To tylko draśnięcie. Muszę jechać do biura jakby nigdy nic, żeby mnie czasem nie wyrzucili z pracy.

– Oszalałeś? Powinieneś zostać w domu albo pójść do lekarza.

– Nie mogę. Nic mi nie będzie. Gdybym poszedł do lekarza, narobiłbym sobie bigosu.

Zerknął na opatrunek.

– Widzisz? Nie krwawi. To dobry znak. Jak będę wracał, zajrzę do Bogusi. Jeśli zastanę ją w domu, na pewno obejrzy to zadrapanie.

– Ładne mi zadrapanie – utyskiwała żona, lecz on i tak obstawał przy swoim.

– Muszę, Julisiu. Nie mam wyjścia.

Wstał, podszedł do okna. Wyjrzał na ulicę.

– Przygotuję ci napar z krwawnika, to przyspieszy gojenie rany. Co byś zjadł na śniadanie? – zapytała z bezsilnością.

Nie mogła go powstrzymać. Był uparty jak mało kto, już nie raz się o tym przekonała. Ale z drugiej strony mąż dobrze wiedział, co robi. Zapewnił ją, że jeżeli poczuje się gorzej, wyjdzie wcześniej z biura – to nie powinno wzbudzać niczyich podejrzeń. Nie był robotnikiem, który jest rozliczany z każdej minuty.

– Nie jestem głodny. A ty jak się czujesz? – zapytał, spoglądając z troską na pobladłą twarz ukochanej. – Wyglądasz na zmęczoną. Pewnie nie spałaś przez całą noc – odgadł.

– To nic. Może później zdrzemnę się chwilę przy Zosi. Najważniejsze, że ty doszedłeś do siebie. Martwiłam się, Wawrzku.

Bez słowa podszedł i przytulił Julię, uważając, aby nie urazić sobie newralgicznego miejsca.

– Jestem z tobą. Wszystko będzie dobrze. Nie mogłem inaczej. Musiałem z nimi... Kiedy wyłączono prąd, byłem pod krzyżem. Tam płonął las świec. Milicjantom zabrakło wody w armatkach i gazu łzawiącego. Próbowali wycofywać się po ciemku, a ludzie obrzucali ich czym popadło, nawet butelkami oranżady – zachichotał. – Wtedy ożyła w nas nadzieja, że wygraliśmy z komuchami i tą całą czerwoną zarazą. Szliśmy na budynek Dzielnicowej Rady Narodowej. Demonstranci już tam siedzieli. Z okien leciały szyby, jakieś papiery, maszyny do pisania, kawałki mebli. I wtedy padły strzały.

– Widziałeś kogoś z naszych bliskich? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Tłum był taki, że nie sposób było dostrzec kogokolwiek. Przez moment miałem wrażenie, że mignął mi przed oczami Leszek. Ale potem otrząsnąłem się, że to musiał być ktoś inny. Przecież Leszek nie biłby się o krzyż.

– Ano nie – odparła ze smutkiem.

Julia zakrzętnęła się przy śniadaniu. Wawrzek poszedł do łazienki. Dopiero gdy zniknął z zasięgu wzroku żony, pozwolił sobie na słabość i ciężko odetchnął.

*Psiakrew, jak boli! Ależ mnie urządzili!*

Potem pomyślał, że mimo wszystko i tak miał bardzo dużo szczęścia. Nie dostał pałami po tyłku, nie aresztowali go milicjanci. Przeżył.

Obronili krzyż. Tylko czy na długo?

[22] Mowa o budynku Dzielnicowej Rady Narodowej, który mieścił się przy osiedlu Zgody.

## Rozdział 10



### *Krajobraz po burzy*

Osiem godzin pracy dłużyło się Wawrzyńcowi w nieskończoność. Choć łykał tabletki przeciwbólowe, ręka rwała, ale przynajmniej rana nie krwawiła. Sprawdzał to kilkakrotnie, wychodząc do toalety. Zdejmował blezer, który wyjątkowo włożył zamiast marynarki – nie był w stanie wcisnąć obandażowanej ręki do wąskiego rękawa. Oglądał opatrunek zrobiony onegdaj przez żonę. Krew, która przezeń się przesączyła, miała brunatną barwę i była skrzepnięta. Nie pozwolił Julii na zmianę bandażu. Bał się, że w porannym pośpiechu rana może się otworzyć. Wierzył, że jakoś wytrzyma do popołudnia, a później zajrzy do Bogusi. Żywił obawy, że nie zastanie jej w domu. Nie wyobrażał sobie, aby miał pójść po pomoc do szpitala.

Męczyła go niezbyt wysoka gorączka. Co jakiś czas wstrząsały nim dreszcze, a na czole skraplał się pot.

– A co cię tak febra trzęsie? – zagadnął go Czesiek Wydra, który wpadł po jakieś papiery.  
– Przeziębilesz się? A może to suchoty?

– Chyba łapie mnie jakaś zaraza – podał najlepsze wytłumaczenie swojego stanu.

– Marnie wyglądasz – stwierdził kolega. – Słuchaj – zniżył głos do szeptu, rozglądając się trwoźnie wokół – a tyś nie złapał tego przeziębienia minionej nocy?

Wawrzek spojrzał na niego z ukosa. Nie mógł ufać nikomu. Nawet koledze, którego znał parę lat. Bo choć ten sprawiał wrażenie, że jest w porządku, nigdy nic nie wiadomo.

A Pawłowski miał zbyt dużo do stracenia.

– Nie. Już wczoraj rano źle się czułem. Pewnie nie przyszedłbym dzisiaj do pracy, ale po wczorajszych zamieszkach wolałem nie ryzykować absencji. Jeszcze ktoś błędnie zinterpretowałby moją nieobecność i kłopot gotowy – oznajmił. Ostentacyjnie sięgnął po polopirynę, którą na wszelki wypadek Julia zapakowała mu do pracy.

Przemęczył się jakoś, markując zajęcia. Gdy tylko było to możliwe, złapał aktówkę

i opuścił biuro. Każdy ruch był dla niego wysiłkiem, ale należało za wszelką cenę zachować pozory normalności. Zwalczył chęć powrotu prosto do domu. Zgodnie z obietnicą złożoną żonie udał się najpierw do Szymczaków.

Drzwi otworzyła mu zapłakana szwagierka.

– Dzień dobry, Bogusiu. Co się stało? – zapytał, widząc, że kobieta jest w kiepskim stanie.

Wpuściła go do mieszkania i, dopiero gdy zamknęła drzwi, wśród szlochów i płaczu powiedziała, że mąż nie wrócił na noc do domu. Nie dał znaku życia od wczoraj. I tak, była na posterunku, aby zapytać, czy czegoś nie wiadomo na jego temat, ale ją stamtąd pogonili, wyzywając od idiotek, co to se nie potrafią upilnować chłopca.

– Powiedzieli mi: jakżeście go puścili na zamieszki, to teraz nie becziecie. Może jest w szpitalu, może na Montelupich, a może leży gdzieś w piwnicy i zdycha.

– Dobry Boże – westchnął i przytulił znekana.

Płakała przez chwilę w jego ramionach.

– A byłeś u Janka? – zapytał.

– On też przepadł. Szukałam Bronka wszędzie. Zostawiłam mu na stole kartkę, że lecę za nim do rodziny i znajomych. Żeby wiedział, jak się martwię, i nie ruszał z domu, gdyby wrócił pod moją nieobecność. Miałam odebrać Ludwisia ze żłobka, ale tam tylko zajrzałam, żeby sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku. A potem byłam u Jędrka, ale on też gdzieś zaginął. Sabina siedzi i płacze ze strachu. Poszłam nawet do Kazi, bo pomyślałam, że może tam znaleźli schronienie, gdy rozpętało się piekło.

– Tam też ich nie ma – odgadł.

– Ach, nie ma! Nie ma! Kaźmierka na mnie fuknęła, bo przepadł i Leszek! Naburmuszyła się, że pewnikiem bracia go zbałamucili i powiedli na rozróby.

– Wstrętne babsko – burknął, poważnie zaniepokojony tym, że w ciągu jednej nocy zaginęli wszyscy Szymczakowie i Kulka.

– Byłam też u was – oznajmiła. – Julisia powiedziała mi, co się stało. Pokaż rękę – dodała, ocierając łzy. – No już! – ponagliła, widząc, że ten się ociąga.

– Nie chcę ci zwracać głowy. Powinienem raczej pójść na posterunek i zapytać o naszych chłopaków. Może mnie uda się czegoś dowiedzieć.

– To za chwilę. Najpierw zajmiemy się postrzałem. – Zniżyła głos do szeptu. – Trzeba by może zrobić zastrzyk przeciwtężcowy.

– Wiesz, że nie mogę do szpitala...

– Wiem. Nie martw się. Przecież jestem pielęgniarką.

Ostrożnie odwinęła opatrunek. Tam, gdzie bandaże przyschły, delikatnie je odmoczyła.

– Wygląda nie najgorzej – oceniła sytuację. – Rana ładnie zakrzepła. Dezynfekowaliście?

– Czystą wódką. Nie było nic innego pod ręką.

Bogusia pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Kość nie jest uszkodzona, szczęściarzu.

– Lekko mnie dziabnęli. Ciemno było, jak dostałem kulkę. Strzelali na oślep.

Pielęgniarka sprawnie opatrzyła uraz. Pomogła Wawrzkowi włożyć koszulę i sweter.

Mężczyzna spojrział na jej poszarzałą twarz.

– Pójdę ich poszukać – oznajmił. – Bądź dobrej myśli.

Na posterunku Pawłowski usłyszał mniej więcej to samo, co Bogusia, lecz w zdecydowanie przyzwoitszej formie. Dopytał nie tylko o Bronka, ale również o pozostałych członków rodziny. Darował sobie wizytę w szpitalu. Szwagierka powiedziała mu, że gdyby trafił tam któryś z braci, to na pewno daliby jej znać.

Chociaż ślaniał się na nogach ze zmęczenia i osłabienia postrzałem, zajrzał jeszcze do pozostałych kobiet. W każdym mieszkaniu zastał łyzy i strach. Tylko Kazia niemalże rzuciła mu się do oczu.

– To wasza wina! Przez te rojenia o kościele i walce z rządem mój chłop nie wrócił na noc do domu. Pewnie go zwiedli kochani braciszczkowie. Zwłaszcza ten, co to zawsze wszystko wie najlepiej – utyskiwała.

Krzykom i pomstowaniu pewnie nie byłoby końca, ale Darek, wystraszony jej jazgotaniem, uderzył w płacz, więc musiała zająć się dzieckiem.

– Przykro mi, Kaziu – powiedział Wawrzyniec, choć tak naprawdę nie wiadomo było, co się stało. – Jak tylko zdobędę jakieś informacje, to dam ci znać.

Nim dotarł do domu, spotkał znowu Bogusią. Byliby się pewnie minęli, gdyż ciężarna szła powoli z przystanku. Zmierzała do Kazimiery.

– Wawrzek! – zawołała go, widząc, że ten jej nie zauważył, taki był zaafierowany i wycieńczony.

– Bogusia? Ty tutaj? Coś się stało! – odgadł, spoglądając na zapłakaną kobietę.

– Le...szek... – wyszlochała.

– Co z nim?

– Ran... ran...ny w głowę. Jest w szpi... szpi...tal!

– Dobry Boże! Wyliże się z tego?

– Nie wiadomo. Sprawa poważna. Jest w śpiączce. Muszę zawiadomić Kazię.

– Pójdę z tobą – zdecydował. Spodziewał się bowiem najgorszego: scen hysterii, obwiniania szwagierki, wyklinań.



– To wszystko przez was! – krzyczała jak oszalała. – Kościół wam się zachciało! A on jest niewinną ofiarą tego zbiorowego szaleństwa! Szedł pewnie z pracy i dostał przez przypadek! A żebyście tak wszyscy szczyli w tym waszym piekle!

– Kazimiera! Uspokój się, kobieto! – krzyknął w końcu zniecierpliwiony Pawłowski. – Rzucanie obelgami w niczym nie pomoże. Jedź do męża. My z Bogusią zostaniemy tutaj i dogładniemy twoich chłopaków.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nigdy nie zdarzyło się, aby kiedykolwiek wcześniej podniósł na kogoś głos. Nie słyszała, aby łajał swoje dzieci. A teraz wrzeszczał na nią jak na jakąś smarkulę.

– No, co tak patrzysz? – zapytał spokojniej. – Jedź do Leszka i sprawdź, co z nim.

– Ja tu zostanę – powiedziała udęczona Bogumiła. – Ty, Wawrzek, idź do siebie. – Spojrzała mu wymownie w oczy. – A gdybyś czegoś... Gdybyś coś... o Bronku...

– Oczywiście. Pójdę na chwilę do siebie, ale wrócę niedługo. Ty pewnie też wolisz być u siebie na wypadek, gdyby... – głos uwiązł mu w krtani – pojawiły się jakieś wieści.

Choć czuł, że to nie w porządku, musiał ją na chwilę zostawić. Żał mu było ciężarnej. Miała opuchnięte w nogach kostki, umierała ze strachu o własnego męża, a jednak przyszła do nielubianej szwagierki i zadeklarowała pomoc. Anioł nie kobieta! Musiał jednak zajrzeć do żony, która na pewno zamartwiała się o niego, a na dodatek też została wcześniej przytłoczona zatrważającymi wieściami od Bogusi.

Wrócił do domu niehumanie zmęczony.

– Jak dobrze, że jesteś, Wawrzku. – Julia z płaczem rzuciła mu się na szyję.

Stłumił syknięcie, gdyż niechcący uraziła jego ranę.

– Wiem o wszystkim od Bogusi – powiedział, tuląc ją do siebie. Pogłaskał żonę po plecach. – Leszek się znalazł – dodał po chwili.

– Co z nim? Cały? Zdrowy? Gdzie się podziewał?

– Jest w szpitalu. Dostał czymś bardzo mocno w głowę. Prawdopodobnie przyłożyli mu pałą.

– Jak się czuje?

– Jest nieprzytomny. – Powtórzył wszystko to, co usłyszał od szwagierki.

Żona wybuchnęła nieutulonym płaczem, a on nie potrafił znaleźć słów pociechy.

Chwilowo był jedynym mężczyzną w rodzinie. Nie mógł sobie pozwolić na komfort wypoczynku, póki nie ustalą, co się stało z resztą. Musiał jakoś pomóc kobietom w tych trudnych momentach.

– Zostawcie moje dziecko! – błagała Sabina, spoglądając z przerażeniem na intruzów, którzy parę minut wcześniej, nie bacząc na późną porę, wdarli się do mieszkania. Teraz jeden z nich stał przy otwartym oknie, trzymając na ręce Danusię. – Czego chcecie?

– Przyszliśmy z nowiną – oznajmił człowiek z czerwoną twarzą. – Jak będzie obywatelka grzeczna i dostosuje się do naszych poleceń, to nic złego się nie stanie. Córka, tak?

Sabina odruchowo pokiwała głową.

– Chodzi o waszego męża.

– Co się stało? – zapytała z niepokojem, lecz nie podnosząc głosu.

– Przyjedźcie jutro o czwartej rano na cmentarz w Mogile. Macie się stawić bez żadnych kuzynek, szwagierek czy koleżanek. W przeciwnym razie pochowamy waszego chłopca, ale tak, że nie dowiecie się, gdzie leży. Rozumiecie? – padł suchy rozkaz.

Jej oczy zogromniały od szoku.

– Andrzej – jęknęła.

Mimo że jeden z milicjantów wciąż mocno ją trzymał, ugięły się pod nią kolana.

– Nie! Nie! Nie! Nie! Nie! – powtarzała w kółko, coraz głośniejsze i głośniejsze, aż jej słowa przerodziły się w pełne bólu wycie. – Nie wierzę! Mój mąż! Nie! Mordercy! Coście mu zrobili?

– Zawrzyjcie pysk – warknął trzymający ją człowiek – bo inaczej pochowacie jeszcze córkę!

– Nie, błagam! – Zimne słowa natychmiast przywróciły ją do przytomności. – Zostawcie ją! Swoich dzieci nie macie, potwory? Co z was za ludzie?

– Wy nam tu nie fikajcie, tylko wbijcie sobie dobrze do łba: jutro, czwarta rano, przed bramą cmentarza. Żadnych osób postronnych. A piśnijcie komuś choć słowo, to gorzko pożałujecie! – Pogroził pięścią przed nosem zdruzgotanej wdowy. – Czy to jasne?

– Ta... Tak – zająknęła się Sabina.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Ten, który wciąż trzymał kobietę, uszczypnął ją z całej siły w pierś. Na szlafroku pojawiła się pokaźna plama mleka.

– Wydoiłbym tę krasulę – zarechotał obrzydliwie drugi funkcjonariusz.

Sabina szarpnęła się nerwowo.

– Wierzga jak klacz – zauważył ten, który trzymał dziecko. – Też bym sobie użył. Całkiem do rzeczy te katoliczki.

– Wszystko w swoim czasie – burknął trzeci. – Jak obywatelka będzie stawała okoniem, to tak jej dupę zerzniemy, że odechce się fikania.

Pchnął ją na wersalkę.

Krzyknęła, przerażona. Wystraszyła się, że zaraz ją zgwałcą, ale oni tylko wcisnęli w jej rękę płaczące niemowlę.

– Pilnujcie dobrze smarkacza, żeby wam kiedy nie wypadł przez okno – usłyszała jeszcze, gdy wychodzili.

Danusia zaczęła krzyczeć wniebogłose. Sabina spojrzała na zegarek. Dochodziła północ. Miała cztery godziny do pochówku męża. Odsloniła pierś i przytuliła płaczące dziecko. Córka zajęła się jedzeniem, a ona siedziała na posłaniu, kiwając się w przód i tył.

Nie była zdolna do racjonalnego myślenia. Wciąż jeszcze nie do końca docierał do niej wydzwięk wiadomości, którą usłyszała z ust esbeka.

*Andrzej nie żyje? Jak to możliwe? Jak? Dlaczego? To musi być jakaś pomyłka!*

*Uważaj, stokrotko – dźwięczały jej w głowie słowa ukochanego. Uważaj, stokrotko.*

*Uważaj, stokrotko... Uważaj...*

W jej oczach zabrakło już łez. Nie była w stanie opłakać wieści, która spadła na nią niczym grom z jasnego nieba.

Już nikt nigdy nie nazwie jej stokrotką. Nie będzie ciepłego ciała, w które mogłaby się wtulić w zimną noc.

Tyle razy odwracała się od niego plecami. Markowała głęboki sen. Nie miała ochoty na odrobinę pieszczot... Och! Gdyby mogła cofnąć ten czas!

Jej pozbawiony łez, lecz przepełniony bólem szloch wystraszył dziewczynkę.

Nagle do Sabiny dotarło, że za parę godzin musi pójść na pochówek męża. Jeżeli tego nie zrobi, to później może już nigdy się nie dowiedzieć, gdzie spoczęło jego ciało. Tylko jak zostawić kilkudniowego noworodka pod opieką trzyletniego malca? Jedno i drugie wymagało doglądu. Nie mogła zostawić dzieci samych, ale też nie miała ich komu powierzyć. Gdzie szukać opiekunki o tak później porze?

W końcu pomyślała, że ubierze się do wyjścia i zapuka do kogoś z sąsiadów. Ludzie wstawali dość wcześnie do pracy w kombinacie. Ale czy pół do czwartej nie było jednak zbyt abstrakcyjną porą? Wszak za oknami będzie jeszcze ciemno. Obudzi kogoś i napędzi mu strachu. Przecież nie mogła nikomu powiedzieć, dlaczego wychodzi o tak dziwnej godzinie ani gdzie zapodział się jej mąż. Ci dranie z SB wyraźnie to zapowiedzieli. Z całą pewnością będą obserwowali jej poczynania, aby sprawdzić, czy posłuchała rozkazów.

Bijąc się z myślami, krążyła po mieszkaniu, raz po raz zaglądając do śpiących dzieci, to znowu wybuchając nieutulonym płaczem.

Danusia była nakarmiona i miała zmienioną pieluszkę. Nie powinna się szybko obudzić. Pawełek zwykle sypiał do szóstej.

Dochodziła trzecia. Czas najwyższy zdjąć szlafrok i włożyć wyjściową odzież.

*To nie dzieje się naprawdę! To niemożliwe! Mój Jędrus... Dlaczego, Boże?*

Jej gardło zdławił szloch.

Jakże pogrzebać męża ukradkiem, w ciszy, samotnie? Bez bliskich i kochających osób, wspierających na duchu w tej dramatycznej chwili. Ludzi, z którymi mogłaby dzielić swoją niewyobrażalną rozpacz i ból.

Jeszcze nie sięgała myślami w przyszłość. Nie próbowała sobie wyobrazić następnych dni, tygodni i lat.

O pół do czwartej była gotowa do wyjścia. Włożyła skromną ciemną sukienkę, narzuciła płaszcz. Ostatnim impulsem wcisnęła do torebki całą garść chustek. Jeszcze tylko rzut oka na śpiące maleństwa.

*Moje biedne sierotki.* – Rozkleiła się znowu.

Jak znaleźć w sobie siłę, aby przetrwać cały ten koszmar?

Świt był zimny i nieprzyjemny. Sabina szła pospiesznie opustoszałymi chodnikami. Przepelniał ją ból, którego nie była w stanie wyplakać. Lecz zabrakło już poprzedniego wieczoru, gdy zrozumiała, że nieobecność męża trwa zdecydowanie za długo. To wtedy zrodziło się w niej jakieś straszne przecucie.

Przed bramą cmentarną stało dwóch mężczyzn w ciemnych prochowcach oraz mocno wystraszony ksiądz. Rozpoznała esbeka i jednego z milicjantów, którzy złożyli jej wizytę o północy. Stali, dowcipkując i dygocząc z zimna. Człowiek o czerwonej twarzy palił papierosa, zaciągając się chciwie dymem. Nie zgasił go, nawet gdy podeszła. Beztrosko gawędził z kolegą. Dopiero kiedy skończył kurzyć i rzucił niedopałek na chodnik, padł krótki komunikat:

– Idziemy.

Potulnie ruszyła za mężczyznami, choć ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Zmęczona niedawną ciążą i porodem, nieprzespanymi nocami, a nade wszystko strachem i żalnością, ledwo wlokła nogi.

*To niemożliwe. Niemożliwe, niemożliwe... To jakiś okropny koszmar, z którego zaraz się ocknę. Jędrus wróci z pracy. Obudzi mnie pocałunkiem.*

Utknęła na nierównym chodniku i wpadła na idącego przed nią esbeka.

– Uważajcie, jak lezicie, ślepoto. Ani myślę i was dzisiaj grzebać! – burknął, a ona aż zadygotała ze strachu. Bo przecież gdyby uderzyła głową w kamienną płytę nagrobną lub metalowy krzyż, to pewnie padłaby trupem. A w zamkniętym na klucz mieszkaniu zostały te dwie maleńkie sierotki, którym los brutalnie odebrał ojca.

Duchowny spojrzał współczująco na kobietę i podtrzymał ją delikatnie za łokieć. Nie odezwał się, był nie mniej zastraszony niż ona.

Dotarli na miejsce. Sabina jęknęła na widok grabarzy stojących nad dołkiem, obok którego usypany był świeży kopiec ciemnej, nowohuckiej ziemi. Trumna stała obok. Właściwie nie tyle trumna, co prosta podłużna skrzynia zbita byle jak z nieoheblowanych desek. Wystawały z niej ostre końce gwoździ, a wieko jeżyło się drzazgami. Na nim naklejona była kartka z jakimś napisem i urzędową pieczęcią.

Esbek kiwnął głową na kapłana, by ten czynił swoją powinność.

– Zaczekajcie! – wykrzyknęła wdowa. – Chcę go zobaczyć!

– W głowie wam się pojechało? Nie ma czasu na zabawę.

– Muszę wiedzieć, czy na pewno oplakuję mojego męża! – zażądała stanowczo.

Kurczowo uchwyciła się ostatniego rozbłysku nadziei, że to jakaś dramatyczna pomyłka. Może w tej skrzyni leży ciało kogoś obcego? Och! Gdybyż tylko tak było! Wróciłaby biegiem do domu – do dzieciactwów. Położyłaby się przy nich choć na godzinkę, aby złapać odrobinę snu. A potem, niczym wierna Penelopa, czekałaby na jego powrót.

Dotąd upierała się przy swoim, aż ustąpili. Jeden z robotników wziął łom i podważył wieko skrzyni. Widać byli przygotowani na taką ewentualność, ponieważ mieli także narzędzia. Pisnęły gwoździe wyrwane z kiepsko wysuszonych desek. Rozległ się trzask.

Sabina zamarła. Oto działo się coś, co mogło dać nową nadzieję lub ostatecznie ją pogrzebać. Człowiek w kufajce podniósł wieko.

Z jej piersi wydarł się żalorny szloch.

– I o co becycie? Myśleliście, że kogo tutaj mamy? – warknął nieprzyjemnie funkcjonariusz.

Osunęła się na kolana obok siermiężnej domowiny, która musiała wystarczyć jej mężowi na wieczność.

– Zabijać trumnę – padło surowe polecenie.

– Panowie, proszę. – Kapłan nie wytrzymał. – Dajcież wdowie pożegnać męża. Bądźcie

ludźmi!

– Nie wtrącajcie się, klecho! – usłyszał w odpowiedzi.

Robotnik, który miał w pogotowiu młotek i gwoździe, zawahał się chwilę. Spojrzał pytająco na esbeka. Ten gestem pokazał, aby mimo wszystko dali kobiecie trochę czasu.

Sabina klęczała nad ciałem Andrzeja. Głaskała pieszczotliwie jego męską, kanciastą żuchwę pokrytą ostrą szczecinią zarostu. Odgarnęła pukiel opadający na czoło – wspomnienie niegdysiejszej bujnej plerezy.

Przesunęła opuszkami po zimnych, sinych ustach. Wytarła jakiś brud z policzka. Strzepnęła listek koniczyzny przyklejony do marynarki. Poprawiła źle ułożony kołnierz. Starła się omijać wzrokiem ziejącą w jego piersi poszarpaną dziurę – otwór wylotowy po kuli. W dawnych szczęśliwych czasach naoglądali się z Andrzejkim dość filmów wojennych i westernów, aby wiedziała, że taka rana oznacza postrzał w plecy.

Miał na sobie to samo ubranie, w którym widziała go ostatnio. I buty na słoninie, których jakoś nie miał ochoty zastąpić innymi – jedyne wspomnienie po niedawnej ekstrawagancji. Teraz te rzeczy znaczyły plamy zaschniętej krwi, a spodnie uszargane były na kolanach błotem. Sabina zamknęła na chwilę oczy i wyobraziła sobie, jak ugodzony kulą pada najpierw na kolana, a później na twarz.

Podniosła powieki – nie chciała teraz o tym myśleć.

*Biedaku, ruszasz w ostatnią podróż w brudnym ubraniu. Nawet nie dali mi cię obmyć i ubrać jak należy.*

Delikatnie ujęła rękę męża – zimną w dotyku i sztywną. Ta dłoń już nigdy więcej jej nie przytuli, nie popieści, nie wplącze się we włosy.

*Mój kochany. Mój najdroższy, jedyny. Mój skrojony na miarę!*

Powróciła wzrokiem do jego twarzy. Wyglądał spokojnie, jakby zasnął, choć widać też było na nim odcisnięte piętno cierpienia, jakby tuż przed chwilą zgonu dokonywał jakiegoś nadludzkiego wysiłku.

*Byłeś całym moim życiem. Jak mam sobie poradzić bez ciebie? Kochany mój! Jak mogłeś mi to zrobić? Przecież obiecałeś, że nigdy nie zapłacę z twojego powodu! Co z twoją przysięgą? Jak mogłeś złamać słowo? Jak mogłeś? Jak?*

Z jej oczu popłynęły łzy. Jedna z nich kapnęła na jego policzek i wolno po nim spływała – zupełnie jakby i on płakał nad ich przeszłym szczęściem.

– Jędrus – szepnęła. – Jędrus...

– Dosyć tego – padła szorstka komenda.

Nie chciała, by już zabili wieko trumny. Pragnęła jeszcze choć chwili, aby na wieki zapamiętać ukochaną twarz. Mężczyźni brutalnie oderwali jej dłonie od drewnianych krawędzi, nie bacząc na to, że kaleczy je o drzazgi i sterczące gwoździe. Poderwali kobietę na nogi. Jeden z nich ją przytrzymał, bowiem zaczęła się wyrwać jak oszalała.

Nagle poczuła na czole dotyk czyjejś chłodnej dłoni.

– Nie płacz, siostró. Mąż twój jest już opromieniony chwałą Pana.

Odwróciła wzrok na przepelnioną współczuciem twarz księdza.

– Módlmy się za pokój jego duszy.

Zawyła, gdy usłyszała stukanie młotka o wieko. Nie chciała na to patrzeć, lecz musiała – oczy same zwracały się ku trumnie.

Grabarze opuścili skrzynię do wykopu.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.* – Kapłan przystąpił do krótkiego obrzędu pochówku.

Jakże ciężko było ustać złamanej bólem kobiecie, gdy nie mogła liczyć na niczyje

życzliwe ramię. Jak bolało serce, z każdym uderzeniem grud ziemi o deski!

Poczuła silny uścisk w okolicy łokcia.

– Pamiętajcie, jeśli wam miłe życie bachorów, macie trzymać język za zębami.

W przeciwnym razie szybko przybędzie w tej kwaterze świeżych mogił – wysyczał jej na ucho człowiek o nieprzyjemnie czerwonej twarzy i małych, przekrwionych oczach.

Nie pamiętała dalszych szczegółów ani tego, jak zdołała dotrzeć do domu. Dopiero gdy stanęła przed drzwiami, powróciła świadomość.

– Pani Sabino! A gdzież to się z mężem podziewacie? – Sąsiadka, wywabiona z mieszkania płaczem dzieci, napadła na zrozpaczoną kobietę.

– Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam – powtarzała Szymczakowa, usiłując otworzyć drzwi drżącymi ze zdenerwowania, pokrwawionymi dłońmi.

– Zostawiła pani dzieci bez opieki?

– Wyszłam tylko na chwilę – odparła wymijająco.

Nie miała sił na tłumaczenia. Prędzej czy później ludzie i tak się dowiedzą, że jej mąż nie żyje. W końcu zdołała odblokować zamek. Delikatnie uchyliła drzwi, aby nie uderzyć stojącego za nimi Pawła. Ubrany w piżamkę maluch żałośnie zanosił się płaczem. W ręce trzymał misia z wydłubanym okiem. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Z pokoju dobiegał nie mniej rozpaczliwy krzyk Danusi.

– Ma...musia mo...ja ko...cha...na, gdzieee by... byłaś? – wyszłochało dziecko. Z nosa wyleciały mu smarki, oblepiając poczerwieniałą buzię.

– Już jestem, aniołku. – Schyliła się i wzięła synka na ręce.

Wiedziała, że nie powinna tego robić. Wszak dopiero co rodziła. Jeszcze nie wszystko wygoiło się jak należy. Z chłopcem w objęciach weszła do pokoju.

– Dzieciaczki moje kochane. Sierotki moje – zapłakała, wtulając twarz w miękkie włosy synka.

Postawiła go na podłodze i zajęła się córką.

– Nie płacz, Pawełku. Zaraz zrobimy śniadanie – uspokajała żalność malca.

Zmieniła Danucie pieluchy, potem przystawiła ją do piersi. Poleciała synkowi, aby zrobił siku i umył zęby. Nim wrócił, dziewczynka zdażyła sobie pojeść. Sabina nie miała sił, aby wstać, pójść do kuchni i zagotować grysik. Siedziała otępiała, patrząc na wyblakłą od szorowania krawędź stołu.

*Andrzej powiedziałby, że znowu zapomniałam go umyć.*

– Mamo, dlaczego masz brudne kolana? – Pociągnięcie za rękę odwróciło jej uwagę od mebla.



Następnego dnia Wawrzek uświadomił sobie, że w tym całym zamieszaniu nikt nie poinformował Sabiny i Krysi o odnalezieniu Leszka. Wciąż liczył na szczęśliwy powrót reszty chłopaków. Być może ich aresztowano. Jeśli tak, to dostaną pewnie parę kuksańców, a później zostaną zwolnieni.

Postanowił, że po wyjściu z biura znowu zajrzy po kolei do wszystkich szwagierek – o ile pozwoli mu na to czas.

Wizyta u Krystyny nie wniosła nic nowego do stanu jego wiedzy. Kobieta wypytywała o męża na milicji, lecz niczego jej nie powiedziano. Była niezwykle dzielna, o dziwo. Obyło się bez dramatów i hysterii. Wieści o Leszku także przyjęła z zaskakującym spokojem.

– Zazdroszczę Kaźmierce – stwierdziła po chwili milczenia. – Ona przynajmniej wie, że mąż żyje. Ja obawiam się już najgorszego. Bo przecież gdyby Janek został aresztowany, to w końcu ktoś by mnie powiadomił. To jakiś obłęd – westchnęła.

– Tak. Szaleństwo – przyznał, zdumiony jej nadzwyczajnie dojrzałą postawą.

Zapadła cisza. Brunetka zaciągnęła się papierosem. Wypuściła dym i dopiero wtedy przerwała milczenie.

– Byłam wtedy pod krzyżem. Po południu, po pracy. Nigdzie nie widziałam naszych chłopaków. Teraz zaglądam tam codziennie. Ludzie wciąż przychodzą, aby się modlić. A milicja z uporem nas przegania. Nie jestem taką wstrętną żołą, za jaką wszyscy mnie macie – powiedziała bez ogródek. – Do aniołów też nie należę, ale w przeciwieństwie do Kaźmierki mam przynajmniej wiarę w Boga. Modłę się. To pomaga. Czy ktoś już napisał do mamy? – zmieniła nagle temat.

– Na poczcie nie chcieli przyjąć telegramu. Julia posłała list do Pawlic. Przypuszczam, że go ocenzurują. Wprawdzie starała się pisać oględnie, ale ta esbecka zaraza nie popuści. O tym, co tutaj się dzieje, nie mówili ani w radio, ani w telewizji. Była jedynie krótka wzmianka w „Głosie Nowej Huty” i kilku gazetach. Pismacy nazwali zajścia chuligańskimi wybrykami fanatyków religijnych.

– A to podłe dranie!

– Czas na mnie, Krysiu – powiedział Wawrzyniec, wstając. – Jakbyś czegoś potrzebowała, daj mi znać. Postaram się pomóc. Skoczę teraz do Saby. Może ona ma jakieś nowiny? Nie byłem u niej od przedwczoraj. Do Bogusi nie idę, ma dzisiaj dyżur.

Wciąż był osłabiony i łaknął wypoczynku, lecz nie mógł sobie na niego pozwolić. Paradoksalnie chwile wytchnienia znajdował teraz w pracy. Poza nią zewsząd osaczały go problemy – jak nie własne, to cudze.

Kwadrans później stał przed mieszkaniem Jędrka. Drzwi otwarła pani domu – upiornie blada, wymizerowana, zapłakana. Widać było, że w przeciwieństwie do Krysi w ogóle nie daje sobie rady. Wewnątrz panował zaduch i bałagan. Danusia spała, Pawełek bawił się klockami. Na widok Wawrzka zerwał się i podbiegł.

– Wujek, wujek! – wykrzyknął.

– Co jest, smyku? – Poczochrał dłonią jego ciemne włosy.

– Nie widziałeś mojego tatusia? Bo długo go nie ma. Nie wraca do domu. A mama ciągle płacze i płacze.

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie Sabina chlipnęła.

Pawłowski przeniósł wzrok na kobietę, ta szybko uciekła spojrzeniem.

– Idź się pobawić – zwrócił się do chłopczyka, a następnie powiedział do szwagierki: – Sabcia, tak nie można. Wiem, że ci ciężko, ale nie popadaj w zwątpienie. Dzieciaczki cię potrzebują. Otwórz okno. Wpuść tu trochę tlenu. A może wyjdziemy razem na spacer? – zaproponował, mimo że słał się ze zmęczenia.

W milczeniu podeszła do okna. Uchyliła kwaterę.

– Nie mam siły na spacer – przyznała. – Nie mam siły na nic.

Po jej twarzy płynęły łzy.

– Andrzej na pewno by nie chciał, abyś tak rozpaczała – zauważył Wawrzyniec. – Co on sobie pomyśli, jak w końcu wróci?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się gwałtownie. Zaczęła zbierać porzucone w nieładzie ubrania.

– Saba?

– Tak? – zapytała, nie odwracając głowy.

– Słyszałaś, że Leszek się znalazł? Jest w szpitalu. Uraz głowy. Śpiączka.

Nawet nie spojrzała w jego stronę. Jej ramiona zadrgały w bezgłośnym szlochu.

– Nie płaczże, dziewczyno. Andrzej też się znajdzie. Wierzę, że będzie w lepszej kondycji niż brat.

– Co ty tam możesz wiedzieć?

– Trzeba wierzyć. On się znajdzie – powtórzył.

– Już się znalazł – powiedziała cicho.

W pierwszym momencie uznał, że się przesłyszał.

Nie mogła dłużej udawać, że nic się nie stało. Potrzebowała zrzucić w końcu z ramion ten okropny, przytłaczający ciężar.

Nie musi przecież mówić o wszystkim, ale siostrze i braciom Andrzeja należała się bolesna prawda.

– O czym ty mówisz?

– Pochowałam go dzisiaj o świcie. – Ostatnie słowa zatoneły w płaczu.

Wawrzek z wrażenia zachwiał się i usiadł.

– Jak to? Co się stało?

– Ja nic nie wiem – odparła, kręcąc nerwowo głową.

– Niemożliwe! Może to jakaś pomyłka?

– Nie. Nie. Widziałam go. – Zniżyła głos do szeptu. – Leżał w sosnowej skrzyni. Miał dziurę w piersi wielką jak moja pięść. Proszę, nie pytaj o nic więcej. I nie zdradź nikomu, jak zginął. – Rozplakała się na dobre. – Miałam nic nie mówić. Miałam nie mówić – powtarzała w oszołomieniu.

– Ale jak to, Saba? Opowiedz mi o wszystkim! – nalegał, zdruzgotany kolejną fatalną nowiną.

Zaczęła nerwowo wyłamywać palce.  
– Nie mogę – wyszeptwała. – Błagam, idź już.  
– Nie wyjdę stąd, póki nie usłyszę, co się stało – oznajmił, zatroskany, co też powiedzieć Julii. Jak taki szok odbije się na ciężarnej?  
– Idź stąd, błagam! – zdenerwowała się. – Nie powiem nic więcej! Już i tak za dużo wygadałam.  
– Mamusia! Mamusia, nie ksyc. – Pawełek podbiegł do niej i objął ją za uda.  
Skonsternowany mężczyzna spoglądał na szwagierkę.  
– Dlaczego?  
– Bo mam dzieci. Nie chcę iść o czwartej rano, aby ich pogrzebać – odparła grobowym głosem. – Byli u mnie esbecy – wyszeptwała pobielałymi wargami. – Powiedzieli, że jeśli komuś pisnę choćby słowo, to pochowam resztę rodziny.  
– Nie ufasz mi? – wyraził zdumienie.  
– Samej sobie nie ufam. Ja się boję! Nie rozumiesz?  
– Rozumiem. Takie czasy, że każdy z nas czegoś się boi. Sabina. Proszę, mów co wiesz.  
Jak zginął twój mąż?  
– Strzelili mu w plecy. Ale w świadectwie zgonu wypisanym przez lekarza jest coś innego: że wpadł wprost pod rozpędzony tramwaj. I tak mam wszystkim mówić. O! Spójrz. – Wcisnęła mu w dłoń jakiś dokument opatrzone pieczętkami. – I nikomu ani słowa, bo gorzko tego pożałuję! Ani Julce, ani Krysi, ani nawet matuli!  
*Psiakrew! Cóż za perfidna ironia losu!* – przemknęło mu przez myśl.  
– Ale nie zginął w takich okolicznościach. Zamordowano go podczas zamieszek – powiedział rozgoryczony.  
– Cicho, na litość boską – syknęła przerażona. – Chcesz, żeby zabili moje dzieci?  
– Matko Przenajświętsza – westchnął. *Ależ ją zastraszyli!* – Mogę coś dla ciebie zrobić?  
Pokręciła głową.  
Rozłożył dokument i powiódł po nim wzrokiem. Nagle zadygotał ze zdenerwowania.  
Jeszcze raz uważnie przestudiował świstek.  
– Czytałaś to?  
Przytaknęła bez słowa.  
– Zwróciłaś uwagę na datę?  
Spojrzała na niego, jakby widziała go pierwszy raz w życiu, więc pospieszył z wyjaśnieniami:  
– Zgodnie z tym świstkiem twój mąż zmarł miesiąc temu.

Wawrzyniec wciąż odczuwał zmęczenie. Ręka rwała nieprzyjemnym bólem, mimo że rana postrzałowa dość ładnie zaczęła się goić. Znacznie gorsze były wszystkie problemy, które narastały w ostatnich dniach.

Siedział w biurze, lecz nie mógł skupić się na pracy. Wciąż rozpamiętywał ogromną żalność Julii i Karola, gdy poinformował ich o śmierci Andrzeja. Najpierw porozmawiał na ten temat z żoną i to jej pozostawił decyzję o tym, w jakiej formie przekażą wieści synowi. Chłopak bardzo kochał wuja. Często wychodził z nim do kina i mieli własne *męskie sprawy*.

Biedna Juleczka! Jak ona to okropnie przyjęła! Żywił poważne obawy o jej zdrowie – wszak była ciężarna. Takie emocje na pewno nie były wskazane w jej stanie. Nawet nie mogła pójść na grób brata, ponieważ uradzili wspólnie, że lepiej będzie wstrzymać się z tym przez kilka dni. Esbecy mogli obserwować cmentarz i rodzinę. Sabina była bardzo zastraszona, a oni nie chcieli przysparzać jej więcej powodów do zmartwienia.

Problem stanowiło nawet powiadomienie matki, lecz onegdaj zdołali posłać do Pawlic depeszę. Można było więc spodziewać się, że dziś lub jutro przyjedzie Władzia. A wtedy trzeba będzie uprosić nieszczęsną wdowę, aby wskazała miejsce pochówku męża – by nie musieli w poszukiwaniu grobu gonić po wszystkich cmentarzach w Krakowie. Sabina odmówiła im nawet tej informacji. Wawrzek zastanawiał się, jak duże jest prawdopodobieństwo, że ciało szwagra zostało złożone w Mogile, i uznał, że to mało realne.

*Skurwiele. Już oni na pewno zadbali, aby utrudnić nam dostęp do grobu* – rozmyślał, gdy natarczywe pukanie do drzwi oraz podniesione głosy na korytarzu przywróciły go do rzeczywistości. Osoby, które się dobijały, nie zamierzały czekać na wezwanie.

– Panie dyrektorze! Ja mówiłem panom, że nie można tak bez zapowiedzi... – tłumaczył się sekretarz, wbiegając do gabinetu Pawłowskiego w ślad za dwoma smętnymi mężczyznami ubranymi w szare prochowce.

Wawrzyniec pobladł nieznacznie. Domyślił się, kim mogą być ci ludzie. Zapewne odkryli jego powiązania rodzinne z Andrzejem i postanowili również i jemu złożyć *kondolencje* w związku ze śmiercią szwagra.

– W porządku, Tadek. – Pokiwał głową do kolegi. – Proszę się rozgościć – powiedział z przekąsem. Wskazał gościom fotele stojące pod dorodną palmą usytuowaną w rogu pomieszczenia.

– Dziękujemy, my tylko na chwilę – oznajmił jeden z przybyłych.

Mężczyźni upewnili się, że asystent zamknął za sobą drzwi. Mężczyzna o czerwonej twarzy podszedł do Pawłowskiego i położył mu rękę na ramieniu – dokładnie w tym miejscu, w którym został ugodzony kulą.

– Kim jesteście i czemu zawdzięczam niespodziewaną wizytę? – zaryzykował.

– Służba Bezpieczeństwa. Mamy do omówienia pewną delikatną sprawę.

– Słucham panów? – Silił się na jak najspokojniejszy ton. Dołożył starań, aby jego głos nie zdradzał, a wyraz twarzy nie zdradził, że rana nieprzyjemnie rwie. – Może jednak zechcą panowie spocząć?

– Ot, staropolska gościnność – zarechotał jeden z nich.

– O małżonkę chodzi – oznajmił drugi. – Szkoda byłoby ją narażać, panie dyrektorze, czyż nie? I dzieciaków też byłoby szkoda.

– Nie rozumiem.

– Szanowny panie... – Mężczyzna poklepał go po newralgicznym miejscu. Wawrzek z trudem opanował reakcję na ból. – Władza ludowa szanuje wybitnych specjalistów jak pan. Doceniamy wkład w budowę socjalizmu. Ale po co było pchać się w tłum? Narażał pan własne zdrowie, a na dodatek jeszcze ryzykował pan, że taka śliczna kobieta zostanie sama. Bez opieki.

– Z dezaprobatą pokręcił głową. – A tu przecież trzecie dziecko w drodze – perswadował pozornie łagodnym tonem, jakby mówił do krnąbrnego łobuziaka.

– Nie zamierzamy składać panu więcej takich wizyt – oświadczył grobowym głosem drugi.

Te słowa zmroziły krew w żyłach Wawrzyńca. Poczuł, jak palce funkcjonariusza zaciskają się na jego ramieniu. Zagryzł zęby, aby nie jęknąć. Nie zamierzał dawać im satysfakcji. Nie był pierwszym lepszym chłystkiem, którego można byłoby zastraszyć. Dłoń coraz mocniej drażniła obolałe miejsce. Pawłowski czuł krople potu występujące na czoło. Był na pograniczu wytrzymałości, gdy uścisk nagle zelżał.

– Ukłony dla małżonki – rzucił esbek.

Po chwili w pokoju nie został po nich ślad. Dopiero wtedy Wawrzek pozwolił sobie na słabość. Z jego piersi wydarło się mocniejsze tchnienie.

– Matko Najświętsza! – jęknął.

Czuł pulsujące ciepło rozchodzące się od rany, która z całą pewnością znowu krwawiła.

O wiele gorsze było nagłe poczucie bezsilności.

I strach.

Depesza i list z Nowej Huty dotarły w tym samym dniu. Władzia z niepokojem odczytała lakoniczną treść telegramu: *Mamo, przyjeździe jak najszybciej, proszę. Problem w rodzinie. Julia*. Myślała, że może więcej wynikać z treści listu, lecz ku jej rozczarowaniu niemalże całość została ocenzurowana. Przed ingerencją oparły się tylko słowa powitania i pożegnania oraz lakoniczne wzmianki o tym, że ciężarna czuje się nad podziw dobrze, a z dziećmi wszystko w porządku.

– Nic z tego nie rozumiem – westchnęła, podając korespondencję córce.

Dorota z przygnębieniem stwierdziła, że też nie pojmuje, o co może chodzić.

Od kilku dni Szymczakówną targały jakieś dziwne niepokoje. Niby nie miała żadnych zatrwających snów ani przywidzeń, lecz wciąż dręczyło ją uczucie nieprzyjemnego chłodu przenikającego do szpiku kości. Wychodziła do ciepłych kwietniowych promieni, lecz słońko nie było w stanie jej rozgrzać. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie złapała przeziębienia, lecz nie miała nawet kataru. Matula też zwróciła uwagę, że córka trzęsie się jak w febrze.

– A ty, dziecko, nie miałaś ostatnio jakichś przeczuć? – zagadnęła w końcu Władzia.

W jej oczach widać było lęk. Jakby bała się straszliwych prorocstw, które mogłyby zaraz paść.

– Nie, matulu. Ino chłód dotkliwy jakoś tak nieprzyjemnie mną telepie, ale to pewnie z zimy wciąż jestem przemarznięta – odparła, siląc się na jak najłżejszy ton.

– Trzeba mi będzie ruszyć jutro do miasta – westchnęła matka. – Julcia nie wzywałaby mnie, gdyby nie było to coś pilnego.

– Pojadę z wami – zaproponowała Dorota. – Dam znać Olszańskiemu, że muszę wyjechać. Nie powinien robić trudności. Podjadę zaraz na rowerze do Piotrowic i wyjaśnię mu, że mamy problemy rodzinne.

Intuicja podpowiadała jej, że nie powinna puszczać matki w tę podróż bez opieki.

Nazajutrz mocno zaniepokojone kobiety ruszyły do Krakowa. Przez całą drogę snuły rozważania, co też takiego mogło się wydarzyć. Pełne najgorszych przeczuć zastukały do Julki. Drzwi otworzyła im spowita w czerń ciężarna. Jej pobladła twarz i napuchnięte od płaczu oczy wpędziły gości w jeszcze większe przerażenie.

– Julcia, co się stało, dziecino? Czy coś z Wawrzyńcem? – Matka wysnuła najbardziej prawdopodobną teorię.

– Wejdźcież dalej. Matulu, Dorcia, zapraszam. Rozgoście się. Zaraz podam ciepły obiad, pewnieście strudzone. A i opowiadać też będę za chwilę.

– Bunia! – Zosia zawisła na babcinej szyi.

Karola nie było, poleciał z chłopakami na boisko. Julka była zadowolona z tego powodu, bowiem synek mocno przeżył śmierć wujka. Trudno było o tym swobodnie przy nim rozmawiać, ponieważ wciąż popłakiwał po kątach. Sama nie mogła się otrząsnąć, a przecież należało go jakoś pocieszyć. Rada więc była, gdy wpadli Jane oraz Bukano i wywołali go na piłkę.

Zakrzętnęła się w kuchni, ukradkiem ocierając uporczywie napływające łzy. Matula nie dawała za wygraną, przydreptała za nią i zagadywała o list, z którego nic nie szło wyczytać, i o depeszę. Julia zmartwiała, słysząc, że list został ocenzone. Starła się w nim jak najpowszechniej przekazywać wieści o zamieszkach i ich skutkach, lecz z tego, co mówiła Władzia, wynikało, że wyczyszczono z niego niemalże całą treść.

– Ach, matulu – westchnęła, podając gościom po talerzu zupy. – Tyle tego jest, że nie wiem, od czego zacząć.

W tej samej chwili zachrobotał zamek w drzwiach wejściowych. To Wawrzek wrócił z pracy. Julia oderwała się na moment od matuli. W tym czasie Zosia weszła na krzesło stojące obok Władzi.

– Bunia, wiesz, a tatko ma duże ziazu – oznajmiła z dziecięcą szczerością.

– Co ty mówisz, wnusiu? – wystraszyła się babcia. Od razu pojęła, skąd ta rozpacz w oczach najmłodszej córki.

– Zosieńko, nieładnie tak paplać – powiedział Wawrzek, pochylając się nad ręką teściowej. – Dzień dobry. Jak widzicie, całym i prawie zdrów. Dzień dobry, szwagierko. – Ucałował Dorotę w policzek.

Był jednym z nielicznych mężczyzn, którym pozwalała na poufałość. W jej odczuciu zasługiwał na ten przywilej.

– Dzięki Bogu! Od wczoraj zachodzimy z Dorcią w głowę, co to się u was dzieje. Jak do tego doszło, żeś ranny? To dlatego Julisia przysłała nam telegram?

– Ech... Mamo! Żeby tylko to – odparł mężczyzna. – Julia nic nie mówiła?

– Nie zdążyłam. A list poniszczyła cenzura.

Usiedli wszyscy za stołem. I w końcu od słowa do słowa popłynęła straszna historia, pełna bólu, tajemnic i łez.

Jakaż wielka żalność ogarnęła Władzię, gdy usłyszała o losach ukochanych synów i zięcia, a w końcu o tragicznej śmierci najmłodszego.

– Boże, mój Boże! Za co tak nas karzesz? Czy to grzechy naszych przodków wywołują u ciebie ten gniew? – jęczała zrozpaczona matka. – Co za bestie, nawet nie dali nam go pochować jak należy!

Najgorszy moment w życiu – stanąć nad grobem syna.

Spojrzeć na świeżo usypany kopiec ziemi, prosty drewniany krzyż z tabliczką i ten napis, który swym kłamstwem woła o pomstę do nieba!

*Matko Najświętsza o sercu przebitym siedmioma mieczami boleści, dopomóż w tej strasznej chwili!*

Władysława raz po raz przyciskała do oczu przemoczoną do ostatniej nitki chusteczkę. Nie mogła pogodzić się z tym, że stoi nad mogiłą najmłodszego dziecka. Co chwilę przypominała sobie jakieś drobiazgi z jego dzieciństwa: pierwszy świadomy uśmiech, pierwsze kroki, pierwsze słowa. To, jak lubił gonić za piłką. Jak szybko dorastał i z gołowąsa przedzierzgnął się w pracowitego, odpowiedzialnego mężczyznę. Jak nucił sobie przy robocie frywolne piosenki, za które nie raz go obsztorcowała, bo jej zdaniem za smarkaty był na znajomość takich tekstów. Jak marzył o własnym samochodzie i podróżach w dalekie strony.

Jako młodzutki chłopak był szczęśliwy i beztroski, choć wojna zabrała mu część jego dzieciństwa. A potem jakoś tak wszystko mu się posypało: śmierć ukochanej, popełniona zbrodnia, kalectwo i utracone marzenia o karierze piłkarza.

– Nie pieściło cię dorosłe życie, synusiu – łkała. – Nie było ci pisane szczęście.

Widać wyczerpał cały jego limit, zanim dorósł.

*Matka nie powinna stać nad grobem własnego dziecka! Dobry Boże! Gdzie Twa sprawiedliwość? Czemuś do siebie nie powołał mnie, starej, skoro zabrakło Ci w niebie duszyczek?*



Następny dzień przyniósł w końcu nowiny o Janku i Bronku. Żyli! Zostali aresztowani i osadzeni na Montelupich. Pozwolono im nawet na napisanie listów, lecz te trafiły w ręce rodzin tak ocenzurowane, że niewiele dało się z nich wyczytać. Z jednej strony kobiety mogły odrobinę odetchnąć z ulgą, wiedziały przynajmniej, co stało się z bliskimi. Ale Dorota i matka miały świadomość, że powody do radości są mikre. Aż nazbyt dobrze pamiętały, w jakim stanie wrócił Broniek do domu po kilkudniowym pobycie w areszcie.

– Podobno najgorzej traktuje się politycznych – szeptała najstarsza siostra do Julki.

– To prawda. Po zamieszkach w Poznaniu krążyły legendy na temat brutalnych przesłuchań i tortur, jakie zadawano zatrzymanym osobom.

– Boję się o naszych. Ostatniej nocy miałam koszmarne sny. Widziałam truchło Marczyka występujące z mogiły i okrutnie wyzywające się na Bronku.

– Ale jakże to? – Brzemienna zmartwiała ze strachu. – Przecież to nie Broniś wymierzył mu sprawiedliwość! A Jędrus, biedaczysko, nie żyje!

– Tak, ale o tym, kto zabił, wiemy tylko my. Edek do dzisiaj nie ma o niczym pojęcia. A przecież wiesz, że odkąd Broniek został wybroniony od zarzutów, ta gnida wciąż płacze się za nim.

– No tak. Kilka razy próbował go zastraszyć. I nie było możliwości, aby się uwolnić od dziada. Gdyby Bronkowi puściły nerwy, poszedłby do piachu – stwierdziła. – Mało to się słyszy o ludziach, którzy zniknęli w tajemniczy sposób?

– Otóż to. Ja się boję. Bo jak ten ancyrkryś odkryje, że Broniek siedzi, to już znajdzie sposób, żeby mu dopiec. Z waszych opowiadań wynikało, że dobrze orientował się w jego poczynaniach. Kto wie? Może nawet zlecił komuś obserwację i tylko czekał na sposobność?

Dorota nie pierwszy raz zdumiewała Julię swoją przenikliwością. Ta rozmowa toczyła się jednak tylko w cztery oczy – kobieta nie chciała wpędzać matki w przerażenie i przysparzać jej dodatkowych trosk. Niespodziewana śmierć Andrzeja była dla niej wyjątkowo ciężkim przeżyciem. Wszak to najmłodsze dziecko!

Na domiar złego jeszcze ten biedak, który leżał w szpitalu i nie wiedział o bożym świecie! W tym czasie, gdy córki rozmawiały o najzagorzalszym wrogu, Władzia siedziała przy łóżku Leszka, odmawiając modlitwy. One czekały w przyszpitalnym ogrodzie, gotowe w każdej chwili stanąć na wezwanie. Do chorego nie wpuszczano więcej osób, więc rodzina z wyrozumiałością pozwoliła na to, aby najczęściej przebywała u niego matka.

Od zamieszek minęły dwa tygodnie, gdy do Nowej Huty przyjechał z oficjalną wizytą pierwszy sekretarz partii. Wawrzyniec z przykrością słuchał przemówienia, jakie Gomułka wygłosił przy tej okazji w Hucie im. Lenina. Z ust polityka padały bezlitosne słowa o resztkach antyspołecznych szumowin, które dały o sobie znać w gorszących chuligańskich ekscesach.

– Cały kraj wypruwa sobie żyły, a wy urzędzacie zamieszki i chcecie budować kościoły? – grzmiał z trybuny.

Ci, którzy walczyli o budowę świątyni, słuchali jego słów z rosnącym przygnębieniem.

– Pozwolimy, by nasza sprawa przepadła? – szeptali między sobą, rozglądając się na boki, czy czasami ich słów nie łowią chciwe uszy osób do tego nie powołanych.

– Nie może być.

– Tak nas zwiódł trzy lata temu, gdy byli u niego delegaci. Udawał, że słucha i rozumie nasze potrzeby.

– Kłamał. Chciał zyskać nasze zaufanie i szacunek.

– Tępy, żaloszny nieuk! Nas będzie uczył, jak mamy żyć? Szkoły będzie budował, a sam ledwo skończył cztery klasy powszechnej, a potem jeszcze jakieś dwie dodatkowe.

– A słyszeliście, chłopcy, że ten gamoń rzuca kapciami w telewizor? – zagadnął jakiś odważniejszy dowcipniś.

– A niby czemu? – zdziwili się koledzy.

– Z miłości do Kaliny Jędrusik.

W grupce kolegów przebiegł szmer chichotu, który szybko zamarł pod czujnym okiem stojącego w pobliżu aktywisty partyjnego.

– Żaloszny pieniacz – komentował później Pawłowski, gdy relacjonował Julii jego przemowę. – Gdybyś ty go widziała! Te jego nerwowe gesty! To, jak stał i kiwał się w przód i tył! Jak chrzanił o braku poszanowania praw i swobód obywatelskich! Zdierał sobie gardło, plując na prawo i lewo, ech!

– Szczęściem mnie ta szopka została oszczędzona. Pewnie gdybym pracowała, i ja musiałabym na to patrzeć.

– Z całą pewnością.

– Nic nie straciłam. Wystarczy mi twoja relacja.

– Ech, Julciu! Słuchaliśmy tego zniesmaczeni i wściekli, choć byli i tacy, co bili mu brawo. Zawsze trafią się klakierzy, którzy ślepo wierzą w taki bełkot.

– Wiesz, przypuszczam, że poza nielicznym gremium popleczników, którzy tak ochoczo mu przyklaskują, większość ludzi ma ochotę obrzucić go błotem.

– Tak myślę. Widziałem miny robotników. Oni nie musieli nic mówić. Gomułka może sobie zedrzyć gardło, może nas wyzywać od elementu antyspołecznego. My się nie ugniemy. Zbierzemy siły i wznowimy walkę o kościół.

Julia z uśmiechem słuchała jego słów. Poglaskała wypukły brzusek i zwróciła się do dzieciątka, które niebawem miało przyjść na świat:

– Słyszysz, co mówi tatuś, kochanie? Będziemy walczyć o to, abyś miał wolność wyznania.

Wawrzek także położył rękę na jej brzuchu.

– Kopie – ucieszył się, czując energiczne ruchy dziecka. – Mam nadzieję, że będzie równie niepokorne jak my.

– Będzie – stwierdziła Julka. – Bo to już tak jest w naszej naturze. Czym bardziej czegoś nam się zabrania, tym bardziej o to walczymy. Na przekór!

– W samo sedno – skwitował. – Gomułka jeszcze się przekona, czym jest upór nowohuckich robotników.

### *Kilka tygodni później*

Więzienny korytarz jest zdecydowanie zbyt wąski. Nie sposób przebiec przez całą jego długość tak, aby nie otrzymać kilkudziesięciu solidnych ciosów pałką.

Oslaniać głowę czy inne obite części ciała?

Trzeba przemykać ostrożnie, uchylając się przed ciosami tych, którzy najmocniej biją.

Po kilku przebytych *ścieżkach zdrowia* Broniek już wiedział, na kogo lepiej uważać. Przed jednym tylko oprawcą nigdy nie zdołał uciec.

Ten zawsze czekał pod koniec *trasy rekreacyjnej*. Patrzył na niego, wymierzając leniwie i od niechcenia ciosy przypadkowym skazańcom. Nie pastwił się mocno nad innymi – zawsze oszczędzał siły na człowieka, którego niezmiennie uważał za mordercę swojego brata. Dopiero gdy Szymczak dobiegał do niego, ledwo żywy ze zmęczenia i obolały od wcześniej otrzymanych ciosów, w Marczyka wstępowała dzika bestia i nadludzkie siły. Odwieczny wróg nie miał już dość energii, aby osłaniać się przed jego pałką. Kilka razy padł z wycieńczenia u stóp nienawistnego esbeka. Edward z satysfakcją kopał ciężkimi buciorami kulącego się mężczyznę. Gdy przeholował, ofiara traciła przytomność. Dozorcy więzienni brali wówczas sponiewieranego pod pachy i wlekli do jego celi.

To bardzo szybko przestało bawić funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa.

Nieprzytomny wróg nie odczuwał bólu, a on chciał, aby cierpiał nieludzkie katusze i zwijał się niczym robak. A najlepiej, aby błagał o litość – tego jednak nie mógł się doczekać.

Szymczak wciąż był hardy. Jeżeli zdołał dobiec do końca trasy w dość dobrej kondycji, rzucał Edkowi ironiczne i pełne pogardy spojrzenie. Nie mówił nic. Tylko raz się z nim przywitał – podczas pierwszego spotkania w więzieniu.

– Czemu nie dziwi mnie, żeś tu trafił? – zapytał z przekąsem.

I chociaż darował sobie wszelkie epitety, Edek poczuł się tak, jakby ten rzucił mu w twarz najgorszą obelgę. Musiał pokazać temu gówniarzowi, kto jest górą! Zetrzeć z jego gęby ten parszywy, pełen wyższości uśmiech.

Starannie wymierzał razy: w nerki, brzuch, usiłował sięgnąć krocza lub głowy, choć zapowiedziano im, żeby nie bili więźniów po łbach. Potrzebni im byli świadomi, aby dało się z nich wycisnąć jak najwięcej zeznań na temat innych buntowników.

Edka irytowało to certolenie się z więźniami. Dobrze pamiętał opowieści Luny o tym, jak przesłuchiwała podejrzanych o zdradę ojczyzny. Ona z nikim się nie cackała i zwykle po *spotkaniu z nią trzeba było takiego delikwenta wlec do celi niczym worek ziemniaków*.

Tylko raz zdołał wcisnąć się na przesłuchanie Szymczaka. Niewiele wtedy wskórał – po tym jak wyrwał chłystkowi kilka paznokci, cała zabawa została przerwana. A szkoda, bo on chętnie *pogwarzyłby z nim trochę dłużej*.

List od żony, choć ocenzone, był największym skarbem – traktowanym z pietyzmem. Bronek znał na pamięć wszystkie wyrwane z kontekstu zdania, których nie zamazała obca ręka. Kilka słów o niegasnącej miłości i nadziei na jak najszybsze spotkanie. Całusy i uściski od Ludwiczka. Odcisnięta na kartce miniaturowa rączka Agniesi. Pozdrowienia od Julii, jej nowo narodzonej córeczki Marty, słowa otuchy od matuli i całej reszty ujętej nie w imionach, lecz jednym ogólnym wyrazem.

Po raz drugi został ojcem. Kiedy o tym przeczytał, wzruszenie ścisnęło mu gardło. Biedna Bogusia – została sama z dwójką drobiazgu. Czy mogła liczyć na pomoc reszty rodziny? Andrzej, Wawrzek i Leszek mieli zapewne na głowie dość własnych spraw, ale może zlitowali się nad nieszczęśnicą. Na Julię zawsze można liczyć. Najukochańsza z siostr nie zostawiłaby szwagierki samej sobie. Gorzej z Krysią – ta także była sama, bowiem wraz z Bronkiem aresztowano również Janka. Miał nadzieję, że nie rozpiła się na nowo z rozpaczy.

Zaraz po przyjeździe na Montelupich zostali rozdzieleni i nie miał okazji do tego, aby zamienić choć słowo z przyjacielem. Widywał go czasami z daleka, zwykle na tych potwornych ścieżkach zdrowia. Kulka jakoś wytrzymał, choć i jemu dali mocno popalić – kiedy ostatni raz mu się przyjrzał, był cały poobijany. Zresztą on też pewnie wyglądał nie lepiej.

Musiał przyznać, że i tak nie było najgorzej. Areszt w Limanowej był zdecydowanie mniej gościnny – stamtąd miał nie wyjść żywy. Na Montelupich nie tłukli go aż tak mocno – należał do grona kilkuset zatrzymanych, więc oprawcy mieli dość *podopiecznych*, którym należało poświęcić uwagę. Przesłuchiowano go tylko dwukrotnie. Wprawdzie za drugim razem stracił paznokcie u prawej ręki, ale po tym przesłuchaniu zostawiono go w spokoju – nikogo wtedy nie wydał, nie dał satysfakcji Marczykowi. Jediną *atrakcją*, której mu nie szczędzono, była regularnie odbywana ścieżka zdrowia. Gdyby nie ten cholerny esbek, który tak się nad nim pastwił, nawet to nie byłoby aż tak przerażające.

Podczas absurdalnie przeprowadzonej rozprawy sądowej dostał kilkumiesięczny wyrok. Skazano go za działania wywrotowe i niszczenie mienia państwowego. Adwokat, którego mu przydzielono, nawet nie próbował go bronić. Był tam tylko pro forma, aby zostały zachowane pozory przyzwoitości.

Początkowo Bronek żywił obawy, że Bogusia nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego – wszak wciąż wpadał w jakieś tarapaty i ciągnęła się za nim mętna przeszłość. List, który przysłała, podniósł go mocno na duchu. Mimo że wycięto z niego najważniejsze słowa, wiedział, że ukochana czeka na jego powrót. Wierna, pełna miłości i dumy, choć to ostatnie mógł jedynie odgadnąć.

Zamiast więc popadać w zwątpienie, wołał przenosić się myślami do domu. W najtrudniejszych chwilach przywoływał tkliwe spojrzenia żony, jej łagodną twarz i ciepło, które zawsze opromieniało całą postać. Niewyobrażalnie tęsknił za pierworodnym. Wspominał jego pierwsze słowa i pierwsze kroki, wszystkie uśmiechy i nieporadnie gryzmołone rysunki. Wyobrażał sobie Agniesię – małą kopię Bogumiły. O wielkich ciemnoniebieskich oczach i czarnych gęstych włosach wijących się gęstymi puklami wokół puculowatej, anielskiej buźki.

W takich chwilach otrzymane ciosy bolały mniej. Łatwiej było spojrzeć w twarz wroga i wykrzywić usta w pełnym ironii uśmiechu.

*Nisko upadłeś, gnido – mówił mu samymi oczami. Zawsze byłeś nikim, teraz wylądowałeś na dnie bagna, utopiony po szyję w cuchnącym szlamie krzywd, nienawiści i barbarzyństwa.*

Marczyk musiał dobrze interpretować ten wzrok, ponieważ tłukł go z prawdziwą zapamiętałością, jakby chciał odciąć się od tego, co Szymczak potrafił przekazać jednym wymownym spojrzeniem.

*Cóż z ciebie za Polak, skoro podnosisz rękę przeciwko Polakowi? Jaką ojczyznę reprezentujesz, zwyrodniała bestio? Szmato w ludzkiej skórze!*

### **Rok 1961**

W mieszkaniu było pusto. Janek pomyślał, że pewnie Krysia jest w pracy. Rozejrzał się po ukochanych czterech kątach. Wszędzie panował idealny porządek. Nigdzie nie znalazł nawet śladu po spożywaniu alkoholu. Odetchnął z ulgą, gdyż przez cały miniony czas frasowało go, czy żona nie wróciła do nałogu. Marnie radziła sobie z problemami dnia codziennego. Widać jednak bracia i siostry dobrze o nią zadbali i nie dopuścili, aby na nowo się stoczyła. Z krótkich, ocenzonego listów, które od niej dostał, niewiele mógł zrozumieć. Wiedział tylko, że jest w dobrym zdrowiu, a Julce i Bogusi urodziły się córki.

Święty Boże! – odetchnął z ulgą. *Jak to dobrze wrócić do siebie!*

Po tylu miesiącach spędzonych w więzieniu nadeszła upragniona wolność. Już nie będzie ścieżek zdrowia i ciągłego niepokoju. Nie będzie przesłuchań, zimnej ponurej celi, nędznego żarcia – ponieważ więzienny wikt trudno byłoby nazwać jedzeniem.

Mężczyzna pomyślał, że weźmie kąpiel, ogoli się i przebierze w świeżą odzież, a potem pójdzie do sklepu, w którym ostatnio pracowała Krysia. Nie mógł przecież do niej pójść tak, jak stał – nieświeży i w uszarganym ubraniu. Tęsknił za nią niczym szaleniec i to właśnie myśl o tym, aby jak najszybciej wrócić, podtrzymywała go na duchu w najtrudniejszych chwilach. A gdy już trochę ochłonie, to zaraz postarają się o przygarnięcie jakiejś sierotki, aby stworzyć prawdziwą rodzinę. Nieważne, czy będzie to chłopiec czy dziewczynka, byle tylko dać dziecku nazwisko i te pokłady uczucia, które nosili w sercach.

Jak postanowił, tak uczynił. A potem pobiegł oblodzonymi chodnikami na spotkanie z ukochaną.

Krysia siedziała przy kasie. Ruch był tego dnia wyjątkowo nieduży. Widać mróz zatrzymał ludzi w domach. Janek postął chwilę przed drzwiami, patrząc przez szybę na ekspedientkę. Ślicznie wyglądała mimo czepka na głowie i bezkształtnego chałatu. Jej twarz pokrywał delikatny rumieniec – widać zgrzała się podczas pracy.

Uśmiechnął się, przepelniony szczęściem.

Pchnął drzwi i przeszedł parę kroków dzielących go od żony.

– Krysieńko! – powiedział głosem zduszonym emocjami.

Kobieta zamarła, słysząc męża. Jej serce załomotało. Podniosła wzrok i nim łyzy ulgi i szczęścia przysłoniły jej widok, spojrzała w twarz, za którą nieprawdopodobnie tęskniła przez minione miesiące.

Zdjął czapkę. Zamiast bujnej kędzierzawej fryzury zobaczyła głowę ostrzyżoną na zapałkę i nieładną szramę na uchu, której wcześniej tam nie było. Rozpostarł ramiona. Zerwała się z krzesła stojącego przy kasie, podniosła pulpit odgradzający ją od klientów. Kobieta, którą właśnie obsługiwała, wyrozumiale przesunęła się na bok.

– Janku! Jasieczku mój miły – wyszlochała ekspedientka, tonąc w uścisku męża. – Puścili cię? – upewniła się, spoglądając na jego wymizerowaną twarz.

– Jakże ja za tobą tęskniłem! – wykrzyknął, całując ją w czoło.

Odetchnął z ulgą. Trochę bał się tego powrotu. Opuszczając *gościnne* progi więzienia

przy ulicy Montelupich, miał mieszane uczucia. Nie wiedział bowiem, jak żona zareaguje, gdy go zobaczy. Czy nie pogoni go jak psa? Nie każe się spakować i wynosić, bo cóż jej z kryminalisty?

Kierowniczka sklepu знаła sytuację ekspedientki, więc łaskawie pozwoliła na to, aby zakończyła wcześniej pracę. Wszak Kulka wracał jako bohaterski obrońca krzyża – niemalże męczennik. Takich jak on szanowano w dzielnicy, bowiem to dzięki ich zaangażowaniu i męstwu udało się obronić symbol wiary przed usunięciem.

Wrócili do domu i dopiero tam żona opowiedziała mu o wszystkim, co działo się pod jego nieobecność. A on słuchał zatrwożony i posępny.

– Okrutne żniwo – stwierdził.

Krystyna podsumowała bilans strat:

– Andrzej nie żyje, Leszek nieprzytomny, Wawrzek do tej pory narzeka na rękę, która czasami mu drętwieje. Bronek wciąż siedzi. Nie puścili go z tobą? – upewniła się, choć już wiedziała, że wrócił sam.

– Ano nie. Ja nawet nie widywałem go w pudle. Czasem mignął mi gdzieś w przelocie, jak nas okładali pałami. Nie zamieniliśmy ani słowa od aresztowania. Ale wiem, że się trzyma – naciągnął nieco prawdę, gdyż parę razy widział na własne oczy, jak szwagier padał po ciosach jednego takiego, co wyraźnie się na niego zawziął. Janek dobrze znał ten krzywy czerwony ryj z obłudnym uśmiechem. – Może też już niedługo wyjdzie – dokończył z nadzieją.

Przecież nie mogli trzymać przyjaciela w nieskończoność, zwłaszcza że obydwaj zostali aresztowani pod dokładnie takimi samymi zarzutami.

– To dobrze, dobrze – odparła Krystyna, bo choć nieraz sprzeczała się z najstarszym bratem, teraz bardzo za nim tęskniła.

Pojęła, jak ważna była jedność rodziny, kiedy nastaly ponure chwile. Gdyby nie Wawrzek, byłoby znacznie trudniej. On przejął rolę Bronka i wziął odpowiedzialność za wszystkich. O każdego się zatroszczył, pomagał na miarę możliwości. Wspierał finansowo wdowę po Andrzeju, dawał pieniądze lekarzom i pielęgniarkom zajmującym się Leszkiem, a później wyszukał dla niego miejsce u sióstr miłosierdzia. Często zaglądał do Pawlic, aby sprawdzić, czy i w rodzinnym domu nie potrzeba pomocy. A tam to dopiero były łzy i lamentowanie!

Biedna matula wciąż nie mogła pogodzić się ze śmiercią syna, a dodatkowo jeszcze płakała nad losem pozostałych dwóch. Zięc ze stoicką cierpliwością tłumaczył, że składał odwołania od wyroków Bronka i Janka. Pilnował, aby w obejściu wszystko jakoś funkcjonowało. Najmował ludzi do najpilniejszych prac. Oj, miał w tym czasie za swoje i pokazał, że chociaż z niego wielki pan, to i serce ma wielkie.

Bogusia często czuwała nad nieprzytomnym szwagrem, choć w domu miała dwójkę drobiazgu, która wymagała stałego doгляdu. Julia niańczyła wszystkie dzieciaki w rodzinie, a jej mieszkanie służyło niemalże za przedszkole. Byle ulżyć tym, którzy mieli gorzej, trudniej i biedniej. To ona czuwała nad Sabiną, gdy ta przeżyła załamanie po śmierci męża. Dodawała otuchy, pomagała w obowiązkach domowych, popychała ku życiu, a czasami zwyczajnie ocierała łzy płynące z oczu młodej wdowy. A przecież sama obarczona była własną dziaćwą i mnóstwem obowiązków. Krysia, nadzwyczajnie skruszona widokiem całej tej życzliwości, także zmiękła i ruszyła z pomocą szwagierkom. Jej osobista tragedia, czyli aresztowanie męża, była niczym w porównaniu z ogromem utrapień, jakie spadły na pozostałe kobiety w rodzinie. Nie miała prawa do roztkliwiania się nad sobą i nie mogła oczekiwać, że ktokolwiek będzie ją niańczył, głaskał po główce i zapewniał o rychłym końcu pasma nieszczęść. To ona musiała wejść w rolę miłosiernej samarytanki, poniekąd przywrócona do pionu kilkoma ostrymi słowami Wawrzka, który raz naszedł ją w chwili, gdy postawiła na stole kieliszek i flaszkę gorzałki.

Bronek do ostatnich dni spędzonych w więzieniu znajdował się pod szczególną *opieką* Marczyka.

*Kiedyś spotkam cię w sprzyjających okolicznościach, przyjacielu* – myślał, osłaniając głowę przed razami białej gumowej pałki. Żałował, że wcześniej nie uporządkował tej sprawy. Miał tyle okazji, aby pozbyć się problemu! Gdyby wtedy zdecydował się na jakiś krok, jego pobyt w więzieniu byłby znośniejszy. Ale z drugiej strony nie był przecież mordercą! Nie wyobrażał sobie, że miałby odebrać życie drugiemu człowiekowi. Okupację przeżył jako młody chłopak. Owszem, ciągnęło go do partyzantki, lecz odpowiedzialność za rodzinę wzięła górę. Jednakże wojna rządzi się innymi prawami niż pokój. Jak miałby żyć ze świadomością, że splamił ręce krwią?

Jak żył z tą świadomością Jędrzek?

Bronek wciąż pamiętał to poczucie ulgi, jakie odmalowało się na wiecznie spiętej nerwami twarzy brata, gdy w końcu wyjawiał prawdę.

Z Edkiem nie mógłby rozprawić się tak, jak zrobił to z Bartłomiejem przed wyjazdem do Huty. Obicie gęby temu gnojowi oznaczałoby wyrok śmierci dla Bronka i represje względem rodziny. Ta myśl przez minione lata przeważała nad chęcią pokazania ancykrynowi, co o nim myśli.

Nadszedł upragniony dzień powrotu do domu. Więzień z utęsknieniem czekał na tę chwilę. Paznokcie zdążyły mu jako tako odrosnąć. Wyglądały gorzej niż te, które stracił, ale przynajmniej nie wystraszy żony poranionymi dłońmi. Wiedział, że jest posiniaczony i wygląda jak cień samego siebie, ale żył. Za kilka dni odzyska dawne siły. Wróci do pracy i zacznie normalnie funkcjonować. Byle być już z ukochaną kobietą i dziećmi. Zobaczyć braci i siostry. Julkę, za którą tęsknił najmocniej. Matulę, która na pewno znowu się o niego zamartwiała.

Już planował jak najszybszy wyjazd do Pawlic. Co prawda ufał, że bracia poradzili sobie ze wszystkim – wszak niejednokrotnie udowodnili, że w razie czego potrafią zmobilizować się do działania – ale musiał sprawdzić to na własne oczy.

A pierwsze, co zrobi, jak już przywita się z Bogusią i dzieciskami, to weźmie flaszkę i pójdzie do Leszka, aby wypić na zgodę. Niech tam sobie brat żyje po swojemu. Nie musi chrzcic i posyłać dzieci na religię. Jak chłopcy dorosną, sami zadecydują, czy chcą żyć z Bogiem – jak reszta rodziny, czy jak rodzice – bez wiary. Byle nie było w rodzinie więcej swarów. Byle znowu zasiąść razem przy wspólnym stole. Wznieść toast, pożartować. Zaśpiewać jakąś piosenkę. Bez jadu, bez skakania sobie do oczu. Trzeba też będzie przemówić do rozsądku Krystynie. Niech i ona pojedna się z Julką, bo przecież powody, dla których starsza boczy się na młodszą, już dawno przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.



Powitanie z żoną – chwila nieprawdopodobnego wzruszenia. Łzy dławiące gardło. Uczucie bezgranicznej ulgi.

– Bogumiła, aniele mój... Jesteś. Bogumiła, Bogumiła, Bogu-miła – powtarzał pomiędzy jednym a drugim pocałunkiem, to znów ujmował w dłonie twarz żony i patrzył w nią, patrzył, patrzył. Niby w jakiś cud, najpiękniejszy skarb świata.

Tulił swoje szczęście ze wszystkich sił, to odsuwał na wyciągnięcie ramion, by znów spojrzeć w jej oczy. Z bólem serca patrzył na posiwiałe skronie. Gdy widział ją po raz ostatni, pomiędzy kruczoczarnymi włosami połyskiwało zaledwie kilka siwych nitek. Teraz wśród srebrnych wyrastały nieliczne ciemne kosmyki. Z czułością gładził ją po głowie i nawijał sobie na palec poszarzałe pasma – dowód na to, jak bardzo musiała cierpieć przez minione miesiące. W jego głowie zabrzmiała piosenka, której z upodobaniem słuchali rok wcześniej: *Spostrzegłem dzisiaj pierwszy siwy włos na twojej skroni / I widzisz, miła, przed wzruszeniem trudno się obronić. / Mam przecież w oczach dzień, gdy pierwszy raz ujrzałem ciebie. / Pamiętam każde słowo, każdy uśmiech twój*[23].

– Chodź, kochany, musisz w końcu zobaczyć naszą córkę – oznajmiła, biorąc go za rękę. – Ludwiś jest jeszcze w przedszkolu – wyjaśniła. – Idę do pracy na drugą zmianę, więc popołudnie miał spędzić u Julci. Do niej też odwiozłabym Agnisię. Nieoceniona ta twoja siostrzyczka. Co my byśmy bez niej zrobili? Bez niej i bez Wawrzyńca! Ach, gdybyś ty wiedział, kochany, jak nam było strasznie przez ostatnie miesiące – westchnęła ciężko. – W listach pisałam niewiele, bo nie chciałam cię martwić.

– Dostałem dwa i na dodatek tak ocenzurowane, że nie wiem o bożym świecie. Zaraz mi wszystko opowiesz – dodał – tylko najpierw chcę poznać pewną młodą damę.

Pochylił się nad śpiącą córeczką. Jego serce mocno zabiło.

Cóż to był za słodki okruszek! Kociątko maleńkie!

– Dobry Boże! Jaka ona piękna! – Zamarł z zachwytu. – Moja mała księżniczka. Tak bardzo żałuję, że nie było mnie przy was przez te wszystkie miesiące. Bogusia... Bogusia... Mój ty cudny aniele!

Znowu przywarł do ciepłych warg żony, by złożyć na nich dziękczynne pocałunki.

A później przyszła chwila na to, aby w końcu wysłuchać nowin.

Niewyobrażalny ból ścisnął jego serce.

*Tyle strat, tyle rozpaczy, tyle cierpienia!*

A w tym wszystkim zaledwie kilka dobrych wieści. Córcia Juleczki rośnie zdrowo. Janek i Krysia starają się o adopcję dziecka. Nowe pokolenie dorasta pod troskliwym okiem rodziny. Kiedyś ci młodzi ludzie spróbują zawalczyć o to, co dla ich rodziców stało się nieosiągalnymi marzeniami.

– Nasze dzieci, Broniś. Nasza nadzieja na lepszą przyszłość kraju! Może oni dokonają przewrotu? A może nim dorosną, ludziom wróci rozsądek i skończą się te absurdalne nieporządki, które zaprowadziła władza ludowa?

Niełatwo było wrócić do rzeczywistości. Bronek stracił dotychczasowy etat. Już nie liczyły się jego wcześniejsze zasługi ani to, że przez lata był przodownikiem pracy. Odprawiono go z kwitkiem.

Cóż miał począć? Zaczął się rozglądać za nowym zajęciem.

– Przyjdź do kombinatu – poradził mu życzliwie szwagier. – Tam potrzebne są każde ręce.

– Ale ja się na tym nie znam. Całe życie byłem rolnikiem, a potem murarzem. Mam się teraz przemienić w hutnika?

– A masz lepszy pomysł? Przyuczysz się i do tego. Nie musisz przecież od razu stawać przy piecu martenowskim. Murarki też żeś się nauczył. A jak ci się nie spodoba, to za jakiś czas, gdy wszystko przycichnie, wrócisz na budowę. W razie czego pomogę ci w administracyjnym, żebyś dostał angaż. Zresztą masz przecież maturę, więc może dadzą ci od razu jakiś lepszy etat. No, jak? Pisziesz się na to? To przybij grabę. – Wyciągnął rękę do szwagra.

– Nie ma wyjścia. Lepsze to niż nic. Nie mogę przecież zerować na Bogusi. Ona już dość zjadła nerwów, gdym siedział.

Wawrzek poklepał go po ramieniu.

– Dobrze będzie. Widzisz? Wszyscy pomału wychodzimy na prostą. Da Bóg, przyjdzie czas, że i Leszek wróci do zdrowia. Wszak medycyna wciąż idzie do przodu. A i cuda też się zdarzają.

– Ano tak. Szkoda tylko, że Andrzejowi nic już nie pomoże.

– Zaiste. Dzielnym z niego był chłopak. Popytałem tu i ówdzie. Dotarłem do jednej takiej, co mieszka na Teatralnym. Jędrak i Leszek spędzili u niej tamtego dnia parę godzin. Ona widziała z okien, co się stało. Najpierw Leszek zauważył, jak zomowcy pędzą was do samochodów. Znaczą: ciebie i Janka. Chciał wam ruszyć z pomocą, i pewnie dałby sobie radę, bo siła ludzi tam była. Wprawdzie tłukli się z mundurowymi, ale gdy zaczął krzyczeć, aby pomogli was odbić, to trochę chłopów ruszyło wraz z nim. I właśnie wtedy nie zauważył stojącego mu na drodze zomowca. Dostał pałą przez głowę tak mocno, że do dzisiaj się nie obudził. A ten nieborak, Jędrak, odczekał trochę, aż się tłum przewali, a potem pokuśtykał do niego. Chciał go na własnym grzbiecie dokądś ponieść, zapewne do szpitala. Odszedł zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy dostał kulę w plecy. Bohater – dodał z uznaniem. – Sam ledwo włókł nogi za sobą, a chciał ratować Leszka.

– Biedaczysko. Porządny był z niego chłopak. Zawsze nad wyraz lojalny, gotów poświęcić siebie, byle innych ocalić – stwierdził zamyślony Bronek. Dobrze pamiętał, jak to przed laty Andrzej sam jeden porwał się na karkołomny plan pomszczenia krzywd wyrządzonych rodzinie.

Wyjątkowo smutna uroczystość zgromadziła całą rodzinę Szymczaków w czwartkowe popołudnie dwudziestego siódmego kwietnia sześćdziesiątego pierwszego roku. Kilka minut wcześniej uczestniczyli wspólnie w nabożeństwie, które opłacili w intencji tragicznie zmarłego Andrzeja. Po raz pierwszy od ponad roku udało im się wszystkim zgromadzić, przyszła nawet Kazia z dziećmi, choć ona dotarła dopiero po mszy – wyłącznie na grób. Nikt nie okazywał jej niechęci z tego powodu, Broniek zdołał przekonać rodzinę, że w trudnych czasach jedność jest ważniejsza niż uprzedzenia. Ze względu na Leszka oraz dzieciaki nie mogli odciąć się od nielubianej szwagierki. Nikt nie znał dokładnych przyczyn, dla których brat znalazł się w tłumie demonstrantów. Zakładano jednak, że być może widząc, jak wielka jest potęga wiary nowohuckich robotników, przypomniał sobie tradycje, w jakich go wychowywano.

Kazia niechętnie brała udział w spotkaniach rodzinnych. Nie miała jednak innego wyjścia – od czasu do czasu musiała się przełamać, choć w głębi duszy nienawidziła całego rodu Szymczaków, włącznie z tym nieudacznikiem, który od roku dogorywał pod opieką sióstr zakonnych.

Nawet tego nie potrafił zrobić jak należy: zamiast wyzionąć ducha jak przyzwoity człowiek i uwolnić ją z więzów małżeńskich, leżał niczym jarzyna na straganie, nie wiedząc o bożym świecie i wymagając stałej opieki. Co więcej, on – ateista – znajdował się pod opieką mniszek. Że też Wawrzek nie mógł umieścić go w innej placówce!

Gdyby mąż w końcu zdecydował się i umarł, byłaby w lepszej sytuacji. Mogłaby sobie przygruchać jakiegoś chłopca, aby pomógł jej w znoszeniu trudów dnia codziennego. Przecież wiadomo, że we dwoje łatwiej. Na pewno byłoby to lepsze i stabilniejsze niż doraźna pomoc Szymczaków, którzy czasami kupowali jakieś rzeczy dla jej chłopców, a także opłacali żłobek i przedszkole. Godziła się na ich wsparcie bez skrupowania – wszak jej się to po prostu należało! Bo przecież gdyby ten gamoń pracował, miałyby do dyspozycji dwie wypłaty i życie byłoby lepsze.

Nie miała absolutnie żadnego pożytku z męża. Najpierw narobił jej dzieciaków, a potem polazł jak jakiś idiota pomiędzy obrońców krzyża.

*Żeby choć był wierzący! Czego tam szukał?* – zachodziła w głowę po wielokroć, lecz nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Wciąż uważała, że doprowadził do tego czysty przypadek. Potwierdzały to też słowa Stanisławy Norek, u której przesiedzieli z Jędrkiem kilka godzin. Chciał więc przeczekać co najgorsze i wrócić spokojnie do domu. I pewnie tak by było, ale diabli nadali tych dwóch bałwanów, co to im się zachciało rewolucji.

– To wasza wina, że tak mi źle – wytykała szwagrowi przy każdej sposobności. – Przez was Leszek leży jak warzywo, a ja muszę radzić sobie sama ze wszystkim! Wiesz ty, Bronku, jak ciężko jest samotnej kobiecie z trójką dzieci? Ile muszę się nabiedzić i nauzerać, aby jako tako związać koniec z końcem?

Szymczak doskonale to rozumiał, podobnie zresztą jak Kulka i Pawłowski. Na zmianę wspierali Kazimierę, choć im też było nielekkko. Bronek przez kilka tygodni nie miał pracy, dopiero pomoc szwagra sprawiła, że znalazł zajęcie.

Janek po powrocie z więzienia również nie potrafił odnaleźć się w nowej rzeczywistości. W pracy wciąż go szykanowano i przydzielano do najgorszych robót. Brakowało mu przyjaciela. Coraz częściej rozmyślał, czy i on nie powinien uprosić Wawrzka o etat w kombinacie. Powstrzymywała go przed tym duma i odrobina niechęci, którą mimo wszystko wciąż do niego odczuwał.

Z drugiej strony od kilku miesięcy Kulka był ojcem dwuletniej Ewy – adoptowanej sierotki. Pragnął zapewnić małej szczęśliwe, godne dzieciństwo.

Jakież to było cudowne uczucie, gdy po domu rozlegał się tupot małych nóżek!

Takie toto było malutkie, a jakie wdzięczne! Nucilo jakieś piosnki, piastowało lalki i misie, przychodziło do tatula na kolana, by posłuchać bajek.

A i Krysia sprawiała wrażenie uszczęśliwionej. Nareszcie miała kogo stroić w piękne sukienki. Zaplatała małej dwa jasne mysie ogonki i wiązała na nich wielkie białe lub czerwone kokardy.

Ich dom nareszcie wypełnił radosny śmiech.

Julia przycisnęła chustkę do zapłakanych oczu.

*Dobry Boże, kiedy pomyślę, ile mieliśmy szczęścia, to nie starcza mi słów do wyrażenia wdzięczności. Tak niewiele brakowało, aby i Wawrzek spoczął w grobie, z zafalszowaną datą zgonu i nieprawdziwą przyczyną wpisaną w dokumentach.*

Podniosła wzrok na ukochanego. On chyba to poczuł, gdyż zwrócił ku niej twarz. Uśmiechnął się i delikatnie pokiwał głową, jakby chciał dodać żonie otuchy. Czuł nieprzyjemne mrowienie, ale nie miał serca, aby właśnie teraz cofnąć podane Julce ramię. Postrzelona ręka często mu drętwiała, była też zdecydowanie mniej sprawna niż przedtem. Starał się nie narzekać, bowiem wiedział, że ze wszystkich członków rodziny on i tak miał najwięcej szczęścia w czasie zamieszek. Janek i Broniek niechętnie opowiadali o czasie spędzonym w więzieniu, ale przecież widział, jak wyglądali po powrocie. Co z tego, że siniaki wyblakły a następnie zniknęły? Mimo upływu czasu wciąż byli wychudzeni. Po niektórych razach pozostały im blizny. Kulka miał naderwane ucho, Szymczak cierpiał z powodu krzywo wyrastających paznokci. U obydwu pojawiło się w oczach coś, czego nie było wcześniej: ni to strach, ni to nienawiść, ni to wyraz buntu. I nadal zgodnie deklarowali, że nie ustaną w walce o budowę kościoła, ponieważ wydarzenia sprzed roku pokazały, jak wielka jest siła zdeterminowanego narodu.

Sabina, słysząc, że rodzina Andrzeja zamierza zgromadzić się w rocznicę na cmentarzu, próbowała temu zapobiec. Prosiła, płakała, a na ostatek zaczęła krzyczeć, aby dali temu spokój. Panicznie bała się, że to rozjuszy esbeków, którzy raz na jakiś czas zaczepiali ją gdzieś na mieście albo wpadali z *przyjacielską* wizytą. Za każdym razem dopytywali wdowę o zdrowie dzieci, pozornie nie interesowało ich absolutnie nic więcej. Dobrze wiedziała, że bacznie jej się przyglądają. Unikała więc jak tylko mogła rodziny zmarłego męża. Chociaż było jej wyjątkowo ciężko, dawała sobie radę. Wolała zagryźć zęby, niż przyjąć ich pomoc. A oni w całej swojej życzliwości wciąż ładowali się z butami w jej życie. Nie pozwalali zapomnieć o zmarłym, wyrażali troskę o dzieci, przynosili ubranka, zabawki, coś do jedzenia, a czasami nawet pieniądze. Julka wciąż oferowała pomoc przy maluchach.

Nie chciała tego wszystkiego. Wolałaby, żeby esbecy nie zobaczyli jej w towarzystwie Szymczaków. Nie potrzebowała podejrzeń, że rozmawia z nimi o śmierci męża. Bała się zwiąanych z tym kłopotów. Musiała chronić rodzinę.

Teraz stała na cmentarzu, drżąc z przerażenia i mocno ściskając rączkę Pawła. Danusia spała w wózku, który został parę kroków dalej, w szerszej alei. Zaniepokojona matka wciąż spoglądała w tamtą stronę z obawy, aby nagle jej dziecku nie przydarzyło się jakieś nieszczęście. Czy ktokolwiek zdążyłby podbiec, gdyby nagle przy małej zatrzymali się funkcjonariusze bezpieczeństwa?

Cały rok życia w nieustannym strachu, oglądania się za siebie, nasłuchiwania kroków na klatce schodowej... Rok koszmaru, gdy nawet nie mogła w spokoju opłakać ukochanego, ponieważ wciąż spoglądały na nią czujne oczy Służby Bezpieczeństwa, to znowuż rodzina, która nie chciała zostawić jej samej.

Najtrudniej jednak radziła sobie z nieutuloną tęsknotą. Powracające fale wspomnień z najpiękniejszych wspólnych chwil życia. Czasami przychodziły krótkotrwałe chwile ulgi, lecz nagle spojrzenie na wytarty od szorowania stół bądź lecąca w radio *Bella, bella donna* pobudzały pamięć.

On tak lubił tę piosenkę! Często ją nucił w czasach, gdy byli razem. Tylko w ostatnich tygodniach małżeństwa, gdy nagle spoważniał, nie słyszała, by śpiewał lub choćby gwizdał radosną melodię.

– Nie płaczcie, matulu. – Broniek nachylił się nad Władzię, aby szepnąć na jej ucho kilka słów pociechy. – Odszedł do lepszego świata. Bóg na pewno odpuścił mu jego winy. Teraz już nic go nie dręczy, nie gryzą wyrzuty sumienia, nie cierpi z powodu kalectwa.

– Nie żyje – przerwała synowi. – Był taki młody! Miał przed sobą wszystko!

Dorota spojrzała w oczy bliźniaka ponad jej głowę. Na poranej bliznami twarzy malował się głęboki smutek. Od roku usiłowała pocieszyć matkę, lecz ta wciąż rozpaczała po stracie najmłodszego syna.

Grupka żałobników okalająca mogiłę usypaną z ciemnej nowohuckiej ziemi pogrzyła się w modlitwie. Nawet dzieci stały nadzwyczaj spokojnie, wyczuwając poważne nastroje rodziców.

– Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...

[23] Autor tekstu: Kazimierz Winkler, kompozytor: Henryk Jabłoński, rok powstania: 1955, wykonanie oryginalne: Marta Mirska (1954), płyta: 1 LP-vinyl: Mieczysław Fogg – Piosenki, 1955 (Muza, L 0004 – PL).

1967



### *Epilog*

Nad łąkami wisiała gęstniejąca mgła. Broniek zaklął pod nosem.  
*Co też mnie opętało, aby akurat dzisiaj przyjść i szukać latawca. Nie wypatrzę go ni cholery!*

Dzień wcześniej był tutaj z żoną i dziećmi. Puszczali latawce, które własnoręcznie wykonali z cieniutkich listewek, papieru pergaminowego i kolorowej bibułki. Zaczynało zmierzchać, gdy jeden z nich, należący do Agnisi, zerwał się ze sznurka i odleciał kilkadziesiąt metrów dalej. Córka z miejsca uderzyła w płacz i zaczęła go błagać, aby odnalazł zabawkę. A ponieważ szybko zmierchało, obiecał jej, że wróci tu nazajutrz i poszuka zguby. Sęk w tym, że nie przewidział nagłej zmiany pogody. Jeszcze wczoraj świeciło słońce, teraz wszystko spowijała mgła. Panowała także nieprzyjemna wilgoć, skraplająca się na strzępiastych kłosach wybujałej trawy oraz innych chaszczki porastających odludne o tej porze roku miejsce.

Jeżeli nie znajdzie latawca dzisiaj, jutro zostaną z niego żalosne strzępy, które nie będą się do niczego nadawały.

Nie mógł zlekceważyć prośby dziecka, bowiem ten latawiec był dla małej czymś szczególnym. Wprawdzie zabawka wyszła spod pracowitych dłoni jego oraz Bogusi, ale zdobiące ją rysunki wykonał sam Szymon Kobyliński. Agnieszka spotkała go podczas wycieczki szkolnej do Warszawy. Tak się złożyło, że miała wówczas przy sobie kawałek pergaminu, na którym zamierzała namalować jakiś obrazek ze stolicy. Kiedy jednak spotkała *pana od tych fajnych rysunków*, własna twórczość zesłała na boczny tor, a arkusz został spożytkowany zupełnie inaczej. Wracając z nim do domu jak z bezcennym trofeum, a następnie uznała, że przeznaczony to dzieło na najpiękniejszy latawiec na świecie.

Zaiste lekkomyślnością było zabieranie tego przedmiotu na łąki, które jesienią stały się grząskie i trudne do przebycia. Nikt jednak nie przewidział, że porywisty wiatr urwie sznurek



łączący linki.

Brodził więc Szymczak wśród zarośli, pomstując na własną głupotę i żalując roboczych trzewików, które grzęzły w błocie. Tak bardzo pochłonęły go poszukiwania, że nie zauważył człowieka przypatrującego mu się od jakiegoś czasu. Dopiero gdy usłyszał chrzęst łamanych gałęzi, odwrócił się gwałtownie i osłupiał.

– Ty tutaj? Znowu za mną łazisz, esbeku?

Edek zarechotał nieprzyjemnie.

– Miło cię spotkać, kolego. Dawnośmy się nie widzieli. Ile to już lat? Sześć? Siedem? Ostatnio mieliśmy chyba przyjemność na Montelupich. Pamiętasz?

– Jakżeby inaczej – powiedział Bronek z przekąsem.

Rozejrzał się szybko, lecz nie dostrzegł nikogo więcej. Nie czuł strachu. Sam na sam z tym człowiekiem miał zdecydowanie większe szanse.

Może przyszedł w końcu czas na to, aby natrzeć mu uszu?

Jak bardzo było to ryzykowne?

– A może tęsknisz za ścieżkami zdrowia, organizowanymi przez tamto *sanatorium*?

– Bułka z masłem. Ty byś się posrał po pierwszym otrzymanym ciosie – stwierdził nonszalancko.

– Cieszę się, że znowu cię spotykam. – Edek zignorował sarkazm. – Wreszcie możemy spokojnie pogawędzić.

– Nie mamy o czym. Mało ci jeszcze krzywd, które wyrządziliście mnie i mojej rodzinie?

Marczyk podszedł, lecz nadal pozostał parę kroków od Bronka. Nie wiedział, na ile ostygła zapalczliwość czterdziestodwulatka. Szymczak bez wątpienia nie był już tym samym zabijaką, który chodził dumnie samym środkiem pawlickiego gościńca.

Czy pobyt w limanowskim areszcie, a kilka lat później na Montelupich, nauczyły go choć trochę pokory?

– Mówisz o krzywdach, kundlu? A kto mi przywróci brata?

– Powiedz lepiej, szmaciarzu, że nie po bracie becysz baranim głosem, jeno po jego stanowisku w spółdzielni!

– Ja ci jeszcze pokażę, kto tutaj beczy baranim głosem – zdenerwował się Marczyk.

Tak naprawdę tylko szukał okazji, aby raz na zawsze załatwić tę sprawę. Od lat obserwował Szymczaka. Wyczekiwał, aż znajdą się gdzieś na uboczu i bez zbędnych świadków. Teraz miał idealne warunki na wymierzenie sprawiedliwości. Był głęboko przekonany o jego winie. A jak się już z nim rozprawi, to kto wie? Może jeszcze załatwi tę szmatę, swoją byłą szwagierkę? Musiała być z nim w znowie! Do tej pory ją oszczędzał ze względu na to, że wciąż liczył na przyłapanie tych dwojga. Toż by miał pociechę, gdyby mógł tej świętoszkowatej katoliczce, żonie Bronka, rzucić w pysk, że ślubny ją zdradzał. Albo że jest pospolitym rzezimieszkiem!

Nie wdając się w dalsze dyskusje, sięgnął pod marynarkę, gdzie wymacał zapiętą kaburę z pistoletem. Nie zdążył jednak użyć broni, gdyż ten drab przewidział chyba, co się święci, i ruszył do ataku. Skoczył na niego tak gwałtownie, że obydwaj wylądowali w błotnistej kałuży. Marczyk na plecach, Szymczak na nim. Nie zważając na zimną wodę, zwarli się w walce na śmierć i życie. Obydwaj dobrze wiedzieli, że tylko jeden z nich może wyjść z tego starcia. W szamotaninie trudno mu było sięgnąć po broń, więc pozwolił przeciwnikowi na osiągnięcie chwilowej przewagi, przyjmując jego ciosy. Zajęty ich wymierzaniem Bronek stracił na moment czujność. Edward zdołał wyszarpać z kabury tetetkę, lecz to nie uszło uwadze wroga. Zaczęli się szarpać.

A potem padły, jeden po drugim, dwa strzały.

Ciała obydwu mężczyzn znieruchomiały na bagnistej łące.

***Koniec części trzeciej***

**Książki Edyty Świętek  
wydane przez Wydawnictwo Replika:**

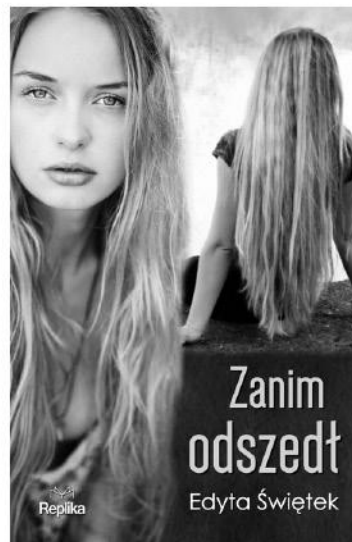


***Cienie przeszłości***

Kiedy Karina budzi się w szpitalu, nie pamięta niczego ze swojej przeszłości, nawet własnego imienia. W powrocie do zdrowia z wielką cierpliwością pomaga jej Wiktor, który utrzymuje, że przed napadem, w wyniku którego kobieta straciła pamięć, planowali wspólne życie.

***Zanim odszedł***

Karolina, po tragicznej śmierci męża i utracie dziecka, długo nie może dojść do siebie. Zachęcona przez przyjaciółkę, Sylwię, postanawia przelać swoje emocje na kartki książki. Pomysł okazuje się strzałem w dziesiątkę, a Karola pisze i wydaje coraz to kolejne powieści. Oparcie znajduje w przyjaciółkach – krzykliwej i przebojowej Sylwii oraz dopiero co poznanej za pośrednictwem Internetu Caro.





### ***Tam, gdzie rodzi się miłość***

Przygnieciona ciągłym nadzorem Daria postanowiła wyrwać się spod rodzicielskiej kurateli. Kiedy w „Zaciszu” poznaje Marka – nieco tajemniczego mężczyznę, który usilnie stara się zwrócić na siebie uwagę dziewczyny – pozwala, aby głos serca stłumił rozsądek.

### ***Tam, gdzie rodzi się zazdrość***

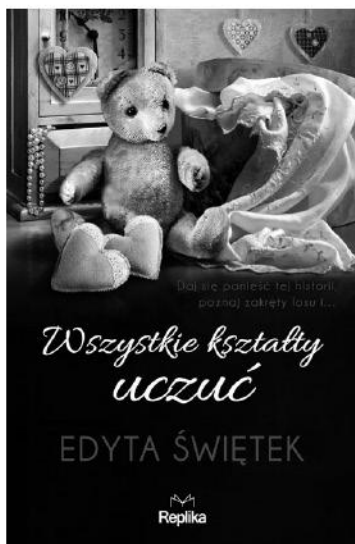
Związek Darii i Marka z trudem można nazwać szczęśliwym. Młodzi małżonkowie nie darzą się nawzajem zaufaniem i boją się mówić wprost o swoich uczuciach. Marek, przekonany, że żona zgodziła się na ślub wyłącznie z rozsądku, po ściągnięciu jej do Krakowa wprost szaleje z zazdrości i strachu, że dziewczyna w końcu zdecyduje się go zostawić.



### **Cappuccino z cynamonem**

*Wzruszająca, ciepła i doskonała książka. Zaczęłam się w niej, pochłonęłam szybko. Na miłe popołudnie z kubkiem pysznej kawy... Trudno było mi się oderwać od książki!!!*

**Justyna Antoniewicz,  
lubimyczytac.pl**



### **Wszystkie kształty uczuć**

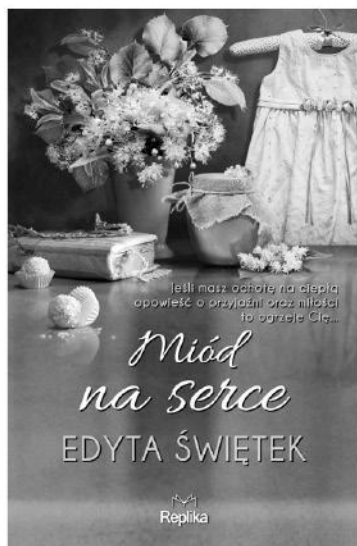
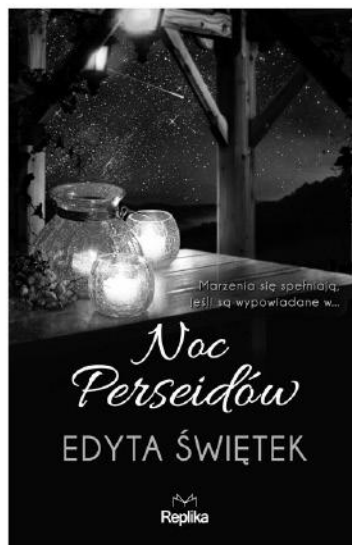
*Są dni, kiedy zdecydowanie potrzebuję relaksu, chwili dla siebie... Wtedy sięgam po Edytę Świętek. To jedno z najciekawszych nazwisk polskiej literatury kobiecej. Autorka pisze o kobietach dla kobiet, a robi to w taki sposób, że aż chce się to ciągle czytać! Takie historie napisałoby samo życie, ale ma od tego Edytę Świętek.*

**Magdalena Majcher,  
przeklad-czytelniczy.blogspot.com**

### **Noc Perseidów**

Spod pióra Edyty Świątek wychodzi następną fascynująca opowieść, złożona z okruszków życia, a autorka umacnia nią swoją pozycję wśród najlepszych przedstawicielek polskiej literatury obyczajowej. To powieść o wszystkich najistotniejszych aspektach życia. W jej tle wielka miłość, namiętność, zdrada, łzy, szczęście, rodzina, pieniądze. A na pierwszym planie marzenia – wypowiedziane w noc Perseidów, magiczny czas, kiedy podobno się spełniają...

**Joanna Szarańska,**  
autorka *I że ci nie odpuszczę*



### **Miód na serce**

Tytuł nie kłamie. Ta książka to rzeczywiście miód na serce. Również i moje. Bawiłam się doskonale. Edyta Świątek tak zgrabnie pakuje Ciaputka w coraz to nową kabałę, że nie można się oderwać. W czasie lektury lepiej nic nie gotować, by tak jak ja, nie spalić sobie garnków. Polecam. Polecam. Polecam!

**Izabella Frączyk,**  
autorka m.in. *Końca świata*